

# Emancypantki, tom drugi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

BOLESŁAW PRUS

# *Emancypantki*

# TOM II

## I. POWRÓT

Panno Magdaleno, czas wstawać!...

Te wyrazy, a jednocześnie — turkot pociągu, dźwięczenie łańcuchów i szybki oddech lokomotywy usłyszała Madzia. Ale nie mogła jeszcze otworzyć oczu, odurzona kołysaniem wagonu.

Wtem stuknęło okno i na Madzię wionął orzeźwiający prąd powietrza. Westchnęła i przetarła oczy.

Sen uciekł, Madzia zaczyna rozumieć rzeczywistość. Oto siedzi w kącie przedziału pierwszej klasy, a naprzeciw — jej towarzyszką, pani naczelnikowa, przeglądając się w małym lusterku, obmywa twarz kolońską wodą i gładzi włosy. Na świecie jest pogodny ranek.

— Dzień dobry pani naczelnikowej...

— Dzień dobry... dzień dobry, kochana panno Magdaleno... Doskonale pani spała!...

Po łaźni i po płaczu zawsze się dobrze śpi.

— Daleko jeszcze do Warszawy?... — pyta Madzia.

— Wyjechaliśmy z ostatniej stacji.

Madzia chwiejnym krokiem zbliża się do okna i zaczyna oglądać okolicę.

Pola zżęte; na ścierniach zapalają się i gasną krople rosy; drzewa uciekające w tył mają niezdrawą zieloność, jakby w tym miejscu jesień zaczynała się wcześniej aniżeli w Iksinowie. Niekiedy między polami zabieli się chata otoczona płotem z żerdzi; z daleka widać parę wysokich kominów.

A na granicy horyzontu rozpiera się olbrzymi szary obłok przecięty trzema poziomymi smugami dymów. Najniższa smuga oznacza Powiśle, średnia — stoki, najwyższa szczyty Warszawy, która wygląda jak tajemnicze pasmo wzgórz zębatach z wyskakującymi tu i owdzie skałami.

— Piękne macie powietrze w tej Warszawie — odezwała się naczelnikowa. — Jestem pewna, że za dwa dni będę miała czarne płuca... Ach, Boże, jak wy tu żyć możecie?...

— Ale widzi pani, że im bliżej podjeżdżamy, tym bardziej rozpraszają się dymy... O! wieża kościoła ewangelickiego... na lewo Święty Krzyż... na prawo kościół Panny Marii... Coraz wyraźniej!...

— Już ja dziękuję za taką wyraźność. Panie Boże!... W rok umarłabym tutaj... A pani niech wraca do Iksinowa z początkiem przyszłych wakacyj... Ot, już gwizdzą... zaraz wysiadamy... Odwiozę panią, gdzie trzeba.

To mówiąc naczelnikowa zaczęła śpiesznie wyjmować z siatki wagonu torby, pudełka, parasole. Pociąg zwalnia, słychać gwar rozmów, konduktorzy otwierają drzwi...

— Warszawa...

— Ej, człowieku!... a zamów wygodną dorożkę... — woła naczelnikowa podając tragarzowi stos rupieci.

Ponad ramieniem tragarza Madzia spostrzega szczupłą osóbkę w ciemnych sukniach, której zafrasowana twarz wydaje się jej znajomą.

— Madziu! — nagle odzywa się zafrasowana osóбка wyciągając rękę.

— Żanetko!... — odpowiada Madzia. — Co tu robisz?

— Przyjechałam na dworzec po ciebie...

— A ty skąd wiesz, że ja miałam wrócić?...

— Przecież telegrafowałam do panny Malinowskiej i ona mnie tu przysłała w zastępstwie...

Obie panny tak gwałtownie padają sobie w objęcia, że robi się z nich jedna bryła tamująca ruch na peronie. Zaczepił je wózek, potracił konduktor, wreszcie wpadł na nie tragarz i niechęć rozdzielił parasolem naczelnikowej.

— Takim sposobem ja już niepotrzebna pani? — mówi naczelnikowa i — ona znowu chwyta Madzię w objęcia. — Więc do widzenia, panno Magdaleno, najpóźniej w końcu przyszłego czerwca. Mówię: do widzenia nie tylko od siebie, ale od całego miasta i od mego męża, któremu pani także głowę zawróciła... Oj! będziemy się kłócić w Iksinowie...

Tragarz zajął się odebraniem rzeczy Madzi, i obie panny weszły do sali pasażerskiej.

— Boże, jak ty ślicznie wyglądasz, Madziu — mówiła panna Żaneta — a tu ktoś rozpuścił plotkę, żeś w kwietniu umarła!... Od kwietnia do sierpnia zrobiłaś sobie wakacje, wiesz!... Dopiero musiałaś używać?...

— Nie widziałam nawet mojej siostrzyczki — wtrąciła Madzia. — Cóż u was?...

— Nic. Na pensję taki natłok, że panna Malinowska nie chce przyjmować uczennic... Ale co za zmiany!... W dawnym mieszkaniu Ady Solskiej i pani Latter są dziś sypialnie; gospodaruje matka panny Malinowskiej, a ona sama oprócz salonu do przyjęć ma tylko jeden pokój... Słyszałaś?... Przełożona w jednym pokoju!...

— Musi mieć mniejsze dochody aniżeli pani Latter?

— Wątpię — odparła panna Żaneta. — Choć, wyobraź sobie, bierze po pięćdziesiąt i po sto rubli taniej od pensjonarek, nam popodwyższała pensję, no... i stół jest lepszy... O, lepszy...

— To doskonale.

Panna Żaneta westchnęła.

— Straszny ucisk!... Pensjonarkom nie wolno wychodzić na wizyty; nam wolno przyjmować gości tylko w ogólnym salonie... O dziewiątej wieczór wszystkie musimy być w domu... Joasia nie miałyby co robić u nas. To klasztor!...

Wyniesiono rzeczy, panny wsiadły w dorożkę.

— Jak te wasze dorożki trzęsą... ach, wylecę!... — zawołała Madzia. — Kurz... za-  
duch...

— A mnie się zdaje, że dziś jest cudowne powietrze — uśmiechnęła się panna Żaneta.

— Tak dawno już nie byłam na wsi, że chyba nie potrafiłabym tam oddychać — dodała z westchnieniem.

— Panna Howard jest u was? — pyta Madzia.

— Co też ty mówisz?... U nas nie ma miejsca dla progresistek wobec panny Malinowskiej.

— Gwar... hałas!... Nieznośna Warszawa... A nie słyszałaś czego o Solskich, o... Helenie Norskiej?... pytała Madzia rumieniąc się.

— Wszyscy siedzą za granicą, ale niedługo mają wrócić — mówiła panna Żaneta. — Ada chce doktoryzować się z nauk przyrodniczych, a Helenka podobno jest zaręczona z Solskim. Tylko że oni ciągle to — godzą się, to — zrywają ze sobą... Hela ma być taka despotyczna jak pani Latter, a Solski zazdrosny... Nic tego nie rozumiem. Proszę skrócić w bramę i wjechać na dziedziniec!... — zawołała panna Żaneta do woźnicy.

W kilka minut później Madzia z biciem serca wstępowała na dobrze znane jej schody pensji. Uderzyła ją cisza panująca w korytarzach i brak pensjonarek, które dawniej ciągle kręciły się między salami.

— Pani przełożona u siebie? — zapytała panna Żaneta szpakowatego mężczyznę, który w czarnym surducie, zapiętym pod szyję, stał przy schodach, wyprostowany jak żołnierz.

— Pani przełożona... — odparł, lecz nagle umilkł.

Otworzyły się drzwi i jakiś pan wśród ukłonów cofał się tyłem z pokoju, w głębi którego słychać było łagodny głos panny Malinowskiej:

— ...bo od chwili gdy sprowadzi się na pensję, wychodzić do miasta nie może...

— Nieodwoalnie?... — zapytał ciągle kłaniający się pan.

— Tak.

Pan zbiegł ze schodów i Madzia ujrzała przed sobą pannę Malinowską. Miała taką samą ciemną suknię, taką samą spokojną twarz, jak przed pół rokiem. Tylko jej piękne oczy nabrały koloru stali.

— Aaa... panna Brzeska jest?... — rzekła przełożona i pocałowała Madzię w czoło.

— Czy będziesz mogła pojechać ze mną dziś o piątej do twoich panienek?

— Owszem, proszę pani.

— Panno Żaneto, zajmij się Brzeską...

— Czy mogę przywitać się z dawnymi uczennicami?... — nieśmiało zapytała Madzia.

— Owszem. Piotrze, śniadanie dla panny Brzeskiej... Potem może Piotr wysłać list, który mu dziś dałam...

— Do pani Korkowiczowej — wtrącił wyprostowany mężczyzna.

— Właśnie zawiadamiam w nim panią Korkowiczową, że przyjechałaś i że będziemy u niej o piątej — rzekła do Madzi panna Malinowska i poszła na górę.

Madzia w osłupieniu patrzyła na pannę Żanetę, która zobaczywszy, że przełożona znikła już w korytarzu drugiego piętra, pokiwała głową i szepnęła:

— Tak, tak!...

Teraz uchyliły się inne drzwi i w wąskim otworze ukazał się cień dziewczynki, która dawała znaki ręką szepcząc: „Pst!... pst!... panno Magdaleno!...”.

Madzia z Żanetą weszły do sali, gdzie zebrała się gromadka mniejszych i większych panienek.

— Pani przełożona pozwoliła przywitać się — rzekła panna Żaneta.

Wtedy dziewczynki otoczyły Madzię ze wszystkich stron, zaczęły ją całować i mówić jedna przez drugą.

— Widziałyśmy oknem, jak pani zajęchała... Pani do nas?... Nie, do Korkowiczówien... Ach, gdyby pani wiedziała, jak nas ostro trzymają!... Wie pani, że Zosia Piasecka w lipcu umarła...

— Ja miałam wszystkie celujące i dostałam pierwszą nagrodę... — mówiła głośniej od innych piękna brunetka z aksamitnymi oczyma.

— Moja Malwinko, nie chwal się tak...

— A ty nie przeszkadzaj, moja Kociu. Ja przecież byłam uczennicą panny Magdaleny, więc przyjemnie jej będzie dowiedzieć się, że jestem najzdolniejsza z całej pensji...

— Wie pani, że biedna Mania Lewińska nie skończyła szóstej klasy?...

— Ach, Łabęcka, jak się masz! — zawołała Madzia. — Dlaczego nie skończyła?...

— Musi siedzieć u swego wuja Mielnickiego... Pamięta pani: taki gruby pan... Spalizowało go po śmierci pani Latter, a Mania go pielęguje...

— O mnie już pani zapomniała... A ja tak tęsknię za panią...

— Ależ nie... Zosiu...

— Tyle mam do powiedzenia... Niech pani ze mną pójdzie do okna...

Zaprowadziła Madzię we framugę i zaczęła szeptać:

— Jeżeli pani zobaczy go... bo on ma tu niedługo wrócić...

— Kogo, Zosiu?...

— No... tego pana... Kazimierza Norskiego...

— I ty jeszcze o nim myślisz?... W szóstej klasie!... — rzekła zgorszona Madzia.

— Właśnie, że już wcale nie myślę... Sto razy... tysiąc razy wolę pana Romanowicza... Ach, pani, jaka jemu śliczna broda urosła od wakacyj...

— Dziecko jesteś, Zosiu...

— O, wcale nie, bo już umiem pogardzać... Niech się żeni z tą Mongołką...

— Kto z kim?... — zapytała Madzia błędąc.

— Kazimierz z Adą Solską... — odparła Zosia.

— Któż ci znowu mówił o takich dzieciństwach?...

— Nikt nie mówi, bo nikt nie wie, tylko... moje serce przeczuwa... O, nie na próżno oni siedzą w Zurychu...

Zapukano do drzwi. Dziewczynki rozpięchły się jak wróble przed jastrzębiem. Ukazała się pokojówka zapraszając Madzię na śniadanie.

W pokoju przełożonej Madzia zetknęła się ze staruszką białowłosą i szczupłą, ale bardzo ruchliwą.

— Jestem tutejsza gospodyni — rzekła wesoło staruszka — i w zastępstwie córki proszę panią...

Staruszka była podobna do doktorowej Brzeskiej, więc wzruszona Madzia ucałowała jej ręce.

— Niechże pani siada... przepraszam, ale nie pamiętam nazwiska?...

— Magdalena...

— Niechże pani siada, panno Magdaleno... Ja pani naleję kawę, bo musi pani być zmęczona... I bułkę nasmaruję... Ja się na tym znam...

— Bardzo dziękuję, ale... nie jadam z masłem — szepnęła Madzia pragnąc jak najmniej narażać na kosza swoje protektorki.

— Nie chce pani masła?... — zdziwiła się staruszka. — A niechże Bóg broni, ażeby o tym dowiedziała się Felunia!... Według niej pieczywo bez masła nic niewarte... Tu wszyscy musimy jadać masło.

Więc i Madzia jadła bułkę z masłem, a w sercu jej odezwała się cicha tęsknota. U rodziców na podwieczorkach w altance także jadano do kawy bułki tylko z masłem... Co teraz robi major... proboszcz... rodzice?... Ach, jak to ciężko dom opuścić!...

Staruszka może przeczuwając jej smutne wspomnienia odezwała się:

— Pewnie pani znowu kilka lat posiedzi w Warszawie jak my?... Felunia już bardzo dawno nie była na wsi.

— O nie, proszę pani! — zaprotestowała Madzia. — Ja może za rok wrócę, bo mam zamiar otworzyć pensyjkę — dodała ciszej.

— W Warszawie?... — spytała żywo staruszka patrząc na Madzię wylęknionymi oczyma.

— O, nie... w Iksinowie...

— Iksinów?... Iksinów?... Nie mamy żadnej uczennicy z Iksinowa... Ha, może to i dobrze... Przysyłałaby nam pani panienki do wyższych klas.

— Ależ naturalnie, że tylko tutaj... — odparła Madzia.

Staruszka uspokoiła się.

Do obocznego saloniku, do którego drzwi były uchylone, weszła przełożona, a za nią jakaś dama.

— Zdecydowałam się na czterysta rubli — mówiła dama. — Trudno, cóż robić?...

— Już nie mam miejsca dla córeczki pani, wczoraj zostało zajęte — odpowiedziała przełożona.

Chwila milczenia.

— Jak to?... przecież... Przecież zmieści się jeszcze jedno łóżeczko w tak obszernym lokalu — mówiła dama, w której głosie czuć było zmieszanie.

— Nie, pani. U nas liczba uczennic stosuje się do obszerności mieszkania... Dziewczynki muszą mieć powietrze albo blednicę, a ja nie chcę u siebie blednicy.

Dama widocznie podniosła się do wyjścia i rzekła tonem irytacji:

— Pani Latter nigdy nie była tak bezwzględna... Żegnam panią...

— I bardzo źle na tym wyszła. Żegnam panią — odparła przełożona wyprowadzając damę na korytarz.

Madzia była zadziwiona stanowczością panny Malinowskiej, a jeszcze więcej fizjognomią jej matki. Przez czas rozmowy w saloniku na twarzy staruszki kolejno malowała się obawa, duma, gniew, zachwyt.

— Ona taka zawsze... Felunia!... — mówiła matka składając ręce i trzęsąc głową ze wzruszenia. — Co to za wyjątkowa kobieta!... Prawda, panno... przepraszam, ale?

— Magdalena... — przypomniała jej Madzia.

— Tak... panno Magdaleno... bardzo przepraszam. Ale prawda, że Felunia jest nadzwyczajną kobietą?... Drugiej takiej ja przynajmniej nie spotkałam na świecie.

W progu ukazała się przełożona.

— Cóż, mam — rzekła — bielizna Gniewoszówny zgadza się z rejestrem?

— Bielizny ma dosyć — odparła staruszka — ale żadnego rejestru.

— Jak zwykle!... Gniewoszówna nie pójdzie dziś na spacer, tylko z mamą porachuje bieliznę i robi rejestr, który da do podpisania ojcu, gdy ją odwiedzi. Wieczny nieład!...

Teraz panna Malinowska zwróciła na Madzię spokojne oczy.

— Proszę cię, panno Magdaleno. Rzeczy twoje są w dawnym pokoju Solskiej, który możesz zająć do piątej. Do tej godziny jesteś wolna.

Madzia podziękowała staruszce za śniadanie i przeszła do wskazanego pokoju. Znalazła tam swój kufer i pudelka, ogromną miednicę wody, ręcznik śnieżnej białości, ale z ludzi — nikogo. Widocznie wszyscy byli zajęci i nikt nie myślał jej bawić.

Brr!... jak tu chłodno... Madzi jeszcze huczał w głowie turkot pociągu, jeszcze odurzał ją dym lokomotywy, jeszcze nie mogła oswoić się z myślą, że jest w Warszawie. Stojąc na środku pokoju przymknęła oczy, ażeby mieć złudzenie, że ona jeszcze nie opuściła Iksinowa. Za drzwiami słychać szelest... może idzie matka?... Ktoś odchrząknął — to pewnie ojciec albo major?... A to co?... Ach, słychać przeraźliwe granie katarynki!...

Jakże pragnęła w tej chwili przytulić się do kogo, całować i być całowaną... Gdyby przynajmniej odezwał się do niej kto, gdyby wysłuchał, jak jej w domu było dobrze, a jak dziś tęskno... Żeby choć jedno słówko otuchy... Nic, nic!... Po korytarzu cicho biegają ludzie bez głosu; niekiedy chrząka woźny stojący przy schodach; przez otwarty lufcik napływa duszne powietrze, a z daleka na drugiej ulicy gra katarynka...

„O mój pokoiku, mój ogrodzie... moje pola!... Nawet nasz cmentarzyk nie jest taki smutny jak ten dom; nawet mogiła biednego samobójcy nie jest tak pusta jak ten pokój...” — myśli Madzia, z trudnością powstrzymując wybuch płaczu.

Gdyby w tym gabinecie została jaka pamiątka po Solskiej! Nie ma nic! nawet zdarto obicia i pomalowano ściany na stalowy kolor, który przypomina spokojne oczy panny Malinowskiej.

Kiedy Madzia przebrała się, wpadła do niej panna Żaneta.

— Ach, nareszcie!... — zawołała Madzia wyciągając ręce do zafrasowanej osóбки, która dawniej nic ją nie obchodziła, lecz w tej chwili wydawała się najdroższą.

— Przyszłam się z tobą pożegnać, bo zaraz wychodzimy z klasą do Botanicznego Ogrodu, a później możemy się nie zobaczyć...

— Nie przyjdiesz do mnie?... — zawołała Madzia z żalem.

— Nie mogę... dziś mój dyżur...

— A ja z wami nie mogłabym pójść na spacer?... — zapytała tonem prośby.

— Czy ja wiem?... — odparła panna Żaneta robiąc jeszcze bardziej zafrasowaną minę. — Poproś panny Malinowskiej... może pozwoli...

— To już do widzenia się... — rzekła Madzia ze smutkiem.

Bardzo jej było źle w tym jasnyniebieskim pokoju, ale jeszcze gorzej bała się prosić przełożonej. Ona taka zajęta... a jeżeli odmówi albo pozwoli z niechęcią?...

— Możesz ty chora?... — spytała nagle panna Żaneta. — Powiem, a doktor zaraz przyjdzie...

— Na Boga, Żanetko, nie mów nic!... Mnie nic nie jest...

— Bo masz taką dziwną minę?... — rzekła panna Żaneta i pożegnała Madzię, lekko wzruszając ramionami.

Po wyjściu koleżanki Madzia znowu została sama ze swymi myślami, które ją tak dręczyły, że zdobyła się na krok bohaterski. Opuściła pokój, przebiegła korytarz na palcach, oglądając się jak człowiek, który ma spełnić przestępstwo, i znalazłszy w garderobie matkę przełożonej rzekła zarumieniona:

— Proszę pani, mam teraz czas, może bym pani w czym pomogła?...

Staruszka, która właśnie rachowała bieliznę w towarzystwie pensjonarki z zaczerwienionymi powiekami, podniosła na Madzię zdziwione oczy.

— Droga panno... przepraszam... panno Magdaleno, w czymże mi możesz pomóc?... Prędzej chyba u Feluni coś by się znalazło... Ona teraz jest w kancelarii...

I zaczęła znowu rachować bieliznę mówiąc do pensjonarki:

— Chusteczek piętnaście... napisałaś, moje dziecko?...

— Napisałam — szepnęła dziewczynka trąc oczy palcami zawałanymi atramentem.

— Trzeba wyraźnie pisać, kochanko... bardzo wyraźnie...

Madzia opuściwszy garderobę, z wielkim strachem weszła do kancelarii, gdzie pochylona nad biurkiem panna Malinowska pisała listy.

Usłyszawszy szelest kroków przełożona odwróciła głowę.

— Może, proszę pani... czy nie mogłabym w czym pomóc?... — cicho zapytała Madzia.

Panna Malinowska popatrzyła na nią uważnie, jakby usiłując zgadnąć, w jakim celu Madzia oświadcza chęć pomożenia jej — i odparła:

— No, no!... Korzystaj, moja droga, z tych kilku godzin swobody, które ci zostały... Pracy będziesz miała dosyć...

Po tej odprawie zawstydzona i rozżalona Madzia czym prędzej wróciła do swego pokoju i ażeby nie poddać się desperacji, wydobyła z kufra wszystkie rzeczy, książki, kajety i zaczęła je układać.

Zajęcie to, pomimo że nie wymaga zbyt wielkich wysiłków umysłu, uspokoiło Madzię. Dziś dopiero zrozumiała różnicę pomiędzy rodzinnym domem, gdzie wszyscy mieli

czas na to, ażeby ją kochać, a domem obcym, gdzie nikt nie miał czasu nawet rozmawiać z nią.

Około trzeciej zrobił się ruch w korytarzach: pensjonarki wróciły ze spaceru, następnie poszły na obiad. Z odgłosów dochodzących ją Madzia wywnioskowała, że dziewczynki maszerują parami, a rozmawiają po cichu. Za czasów pani Latter w podobnej chwili było dużo śmiechu, skoków, bieganiny... dziś nic z tego!

„Zapomniano o mnie... — nagle pomyślała Madzia spostrzegłszy, że jej nikt nie prosi na obiad.

Krew uderzyła jej do głowy, lzy zakręciły się w oczach i uczuła niepokonaną chęć powrócenia do domu.

„Do domu!... do domu!... nie chcę już ani panny Malinowskiej, ani jej protekcji, ani nade wszystko jej gościnności... Przecież moja mama nie postąpiłaby w podobny sposób z żebrakiem, który znalazłby się u niej w porze obiadu... Mam dziewięćdziesiąt rubli papierami, złoto od majora, więc wrócić mogę... A w Iksinowie, choćbym tylko zapracowała piętnaście rubli miesięcznie, nikt nie zrobi mi impertynencji...”

Tak sobie mówiła Madzia chodząc po pokoju rozgorączkowana... ale na palcach. Bała się, ażeby kto usłyszawszy kroki nie przypomniał sobie o niej. Pragnęła, ażeby wszyscy o niej zapomnieli, ażeby rozstąpiły się mury i uwolniły ją z tego dziwnego domu bez zwrócenia niczyjej uwagi.

— Boże, Boże!... po co ja tu przyjechałam?... — szeptała załamując ręce.

Okropność jej położenia zaostrzał jeszcze smutny fakt, że Madzi — jeść się zachciało.

„Nie mam ambicji!... — myślała z rozpaczą. — Jak można w podobny sposób być głodną?...”

Wtem ogarnęło ją zdziwienie: na górze zrobił się ruch, rozległy się śmiechy, bieganina, dźwięki fortepianu... Bodaj nawet, czy kilka par nie tańczyło...

„Cóż to znaczy?... — mówiła do siebie. — Więc i tu wolno się bawić?...”

Jednocześnie zapukano do drzwi i weszła panna Malinowska uśmiechnięta.

— Teraz nasza kolej — rzekła — bądź łaskawa.

Wzięła Madzię pod rękę i zaprowadziła do pokoju matki, gdzie był stół nakryty na trzy osoby i dymila się waza.

„Boże, ja nigdy nie będę mieć rozumu!” — pomyślała Madzia śmiejąc się w duchu z samej siebie..

Rozpacz już ją opuściła, ale apetyt spotężniał.

— Zaczynam oddychać — odezwała się panna Malinowska po sztuce mięsa. — Doprawdy, mam czasami ochotę zazdrościć, że ci się nie udało twoja pensyjka w tym jakimś Iksinowie...

— O, ja wrócę tam i założę choć dwie klasy: wstępną i pierwszą — odparła Madzia chcąc uspokoić swoją gospodynię.

— I dwie klasy dadzą ci się we znaki, szczególnie w początkach. My coś wiemy o tym, prawda, mamo?

— O!... — westchnęła staruszka chwytając się oburącz za głowę. — Bo też dostałaś pensję, Chryste elejson!... Mówię pani — zwróciła się do Madzi — ile ja też wylałam, ile nocy nie przespałam w tamtym kwartale!... Ale Felunia żelazna kobieta... O!...

— Pani mi pozwoli czasem przyjść do siebie i popatrzeć na gospodarstwo?... — zapytała nieśmiało Madzia przełożonej.

— Owszem, ale... co tu zobaczysz, moja droga? Trzeba najwcześniej wstawać, najpóźniej kłaść się spać, wszystkiego pilnować, a co najważniejsza — każdemu od razu wyznaczyć obowiązki i... żadnych ustępstw!... Latterowa, kiedy nie wydalila pierwszej pensjonarki za spóźniony powrót od rodziców, już była zgubiona. Od tej chwili zaczęły się wizyty studentów u panny Howard, spaceru panny Joanny... No, ale mniejsza o to... Znasz panią Korkowiczową, u której obejmujesz miejsce?

— Dziewczynki znam... Panią, zdaje mi się, raz widziałam... — odparła Madzia.

— I ja jej nie znam. Słyszę, że są to ludzie bogaci, dorobkiewiczze, a pani dba o wychowanie córek. Rozumie się, że gdyby ci tam było źle, znajdziemy inne miejsce, a może nawet u mnie otworzy się jaka posada...

— Ach, to byłoby najlepsze!... — zawołała Madzia składając ręce.

Panna Malinowska pokiwała głową.



— No, no!... Zapytaj twoich koleżanek: czy one się tak zachwycają?... — rzekła przełożona. — Ale trudno... ja nie chcę iść za panią Latter...

Po obiedzie przełożona pobiegła na górę, gdzie mimo jej obecności nie zmniejszył się gwar pensjonarek. Zaś na kwadrans przed piątą wpadła do Madzi.

— Ubierz się — rzekła — jedziemy. Kufer odeszł ci za godzinę.

Madzię, gdy została sama, ogarnął strach. Jak ją przyjmie pani Korkowiczowa?... — może i u niej jest taki rygor jak u panny Malinowskiej?... Błada, drżącymi rękoma włożyła na siebie okrywkę, a ponieważ była sama w pokoju, więc przeżegnała się i uklękła prosząc Boga, ażeby ją pobłogosławił w tak ważnym momencie życia.

## 2. DOM Z GUWERNANTKĄ

Przełożona uchyliła drzwi i wywołała Madzię. Wyszły na ulicę, wsiadły w dorożkę, a w kilka minut były na pierwszym piętrze wykwińskiego domu. Panna Malinowska pociągnęła kryształową rączkę dzwonka przy drzwiach, które otworzył lokaj w granatowym fraku i czerwonej kamizelce.

— Kogo mam zameldować? — spytał.

— Dwie panie, które miały tu być o piątej — odpowiedziała panna Malinowska wchodząc do przedpokoju.

Przybyłe nie zdążyły jeszcze zdjąć okrywek, kiedy z salonu wpadła między nie dama niska, otyła i ruchliwa, w jedwabnej sukni z długim ogonem, w koronkowym kołnierzu, z koronkową chustką w jednej ręce, z wachlarzem ze słoniowej kości w drugiej. W jej uszach lśniły się dwa wielkie brylanty.

— Jakżem wdzięczna, że pani przełożona sama się fatyguje!... — zawołała dama ściskając pannę Malinowską. — Jakżem szczęśliwa, że nareszcie poznaję panią!... — zwróciła się do Madzi. — Niechże panie pozwolą do saloniku... Jan, powiedz paniąkom, ażeby tu zaraz przyszły... Proszę, bardzo proszę... niech panie siadają... O, na tych krzeselkach...

I podsunęła dwa złocone krzeselka kryte amarantowym jedwabiem.

— Kiedyż przyjeżdżają państwo Solscy? — mówiła w dalszym ciągu dama patrząc na Madzię. — Pan Solski w sąsiedztwie mego męża ma majątek... co za majątek!... Lasy, łąki, a jakie grunta!... Dwieście włók, proszę pani... Mój mąż mówi, że tam można by postawić cukrownię za psie pieniądze, a mieć z niej ogromne dochody... Pani ciągle koresponduje z panną Solską?... — zapytała znowu Madzię.

— Tak, pisałam do niej parę razy... — odparła zmieszana Madzia.

— Co to parę razy!... — zawołała dama. — Kto ma szczęście posiadać przyjaciółkę z tej sfery, powinien do niej ciągle pisywać... Ja bo jestem zakochana w pannie Solskiej... Co za rozum, skromność, dystynkcja...

— Pani zna pannę Solską? — wtrąciła Malinowska, z właściwym sobie spokojem patrząc na tęgą damę.

— Osobiście jeszcze nie mam honoru... Ale pan Zgierski tyle mi o niej opowiadał, że nawet ośmieliłam się prosić ją o składkę na założenie szpitala w naszej okolicy... I wie pani co?... przysłała tysiąc rubli i odpisała jak najgrzeczniej!...

Pulchne policzki pani Korkowiczowej zaczęły drżeć.

— Darujcie, panie — mówiła mrugając powiekami — ale nie mogę przypomnieć sobie tego wypadku bez wzruszenia... Jest to jedyna osoba... jedyny dom, któremu pierwsza złożyłabym wizytę, tyle mam uwielbienia dla państwa Solskich... A przy tym tak bliskie sąsiedztwo...

Podczas długiego i szybkiego wykładu gospodyni domu twarz Madzi promieniała zachwytem. Cóż to za szczęście dostać się do rodziny, która tak kocha jej przyjaciółkę! A jak szlachetną musi być sama pani Korkowiczowa, skoro oceniła wartość Ady nie znając jej... Natomiast oblicze panny Malinowskiej nie wyrażało nic, choć równie dobrze mogło oznaczać zdumienie albo drwiny. Siedziała wyprostowana ustawivszy wielkie oczy w ten sposób, że nie było wiadomo, na co mianowicie zwraca uwagę: czy na panią Korkowiczową, czy na jej salon wypełniony kilkoma różnymi garniturami mebli, czy na dwa olbrzymie dywany na posadzce, z których jeden był ciemnowiśniowy, a drugi jasnożółty.

Kiedy gospodyni podniosła do ust koronkową chustkę jakby dając znak, że już wypowiedziała wszystkie uniesienia, panna Malinowska odezwała się:

— Jakież będą obowiązki panny Brzeskiej u pani?  
Pulchna dama stropiła się.

— Obowiązki?... żadne!... Towarzyszyć moim córkom, ażeby nabrały pięknego układu, i pomagać im w naukach, a właściwie pilnować... Moje panienki biorą lekcje od profesorów, od renomowanych nauczycielek...

— A pensję jaką pani przeznaczasz dla panny Brzeskiej?... O ile sobie przypominam...

— Trzysta rubli rocznie — wtrąciła dama.

— Tak, trzysta rubli — powtórzyła panna Malinowska i zwróciwszy się do przerażonej i zaczerwienionej Madzi dodała:

— W ciągu roku masz jeden tydzień wolny na Boże Narodzenie, drugi na Wielkanoc i miesiąc na letnie wakacje, w czasie których możesz odwiedzić rodziców.

— Naturalnie!... — potakiwała pani Korkowiczowa.

— I rozumie się, że będziesz w domu państwa Korkowiczów traktowana jak starsza córka...

— Nawet lepiej!... wiem przecież, kogo biorę...

— A teraz może mi pani pozwoli zobaczyć pokój panny Brzeskiej — mówiła dalej przełożona podnosząc się ze złoconego krzeselka tak obojętnie, jakby chodziło o najzwyczajniejszy stołek.

— Pokój?... — powtórzyła pani Korkowiczowa. — A tak... pokój dla panny Brzeskiej... Proszę...

Madzia jak automat szła za panną Malinowską. Minęły pod przewodnictwem ruchliwej gospodyni długi szereg saloników i gabinetów i znalazły się w niewielkim, ale czystym pokoju z oknem wychodzącym na ogród.

— Łóżko zaraz każę przynieść — mówiła gospodyni. — Obok mieszkają moje panienki — a syn... na drugim piętrze...

— O, widzisz, masz tu i popielniczkę, gdybyś kiedy nauczyła się palić papierosy... — rzekła panna Malinowska do Madzi.

— Ach, to popielniczka mego syna, który tu czasem lubi zdrzem... czytać po obiedzie... — odparła zakłopotana gospodyni. — Ale on tu już nigdy nie przyjdzie...

— Żegnam panią — odezwała się nagle panna Malinowska ściskając rękę damie — i dziękuję za warunki. Bądź zdrowa, Madziu — dodała — pracuj, jak to ty umiesz, i pamiętaj, że mój dom jest w każdej chwili na twoje usługi. Rozumie się... dopóki nie przyjadą Solscy, których przyjaźń i opiekę ja tymczasowo zastępuję — kończyła z naciśkiem.

— Ach!... — westchnęła pani Korkowiczowa patrząc na Madzię z wyrazem macierzyńskiej miłości. — Upewniam, że państwo Solscy będą zadowoleni...

Gdy po oględzinach panie wróciły do salonu, zastały tam dwie panienki wcale rozwinięte, ładnie ubrane, może zanadto ulegające naciskowi gorsetów. Obie były blondynki o okrągłych rysach, tylko jedna miała zmarszczone czoło jak osoba, która się gniewa, druga wysoko podniesione brwi i półotwarte usta, jakby lękała się.

— Panie pozwolą przedstawić sobie moje córki — rzekła gospodyni. — Paulina... Stanisława...

Obie dziewczynki dygnęły przed panną Malinowską według prawideł, przy czym brwi Stanisławy podniosły się jeszcze wyżej, a czoło Paulinki pofałdowało się jeszcze posępniej.

— Panna Brzeska... — mówiła gospodyni.

— O, my się znamy!... — zawołała Madzia całując zarumienione dziewczynki, które uśmiechnęły się życzliwie — jedna z odcieniem goryczy, druga z wyrazem melancholii.

— Żegnam panią — powtórzyła panna Malinowska. — Do prędkiego widzenia, Madziu... do zobaczenia, moje dzieci...

Madzia wyprowadziła przełożoną na schody i całując ją w ramię szepnęła:

— Boże, jak ja się boję...

— Bądź spokojna... — odparła panna Malinowska. — Znam ten gatunek chlebowców i już wiem, o co im chodzi...

Kiedy Madzia wróciła do salonu, pani Korkowiczowa opuściwszy grupę mebli złoconych usiadła na aksamitnym fotelu, a Madzi wskazała miejsce na krześle.

— Pani dawno ma przyjemność znać państwa Solskich?... — zapytała dama.

W tej chwili dziewczynki schwyciły Madzię za ręce i jednocześnie odezwały się:

— Czy Wentzlówna jest jeszcze na pensji?...

— Czy pani słyszała o pani Latter?...

— Linka... Stasia!... — zgromiła je matka uderzając ręką o poręcz fotelu. — Ile razy mówiłam, że panienki dobrze wychowane nie powinny przeszkadzać starszym?... Zaraz... Ot, i już nie pamiętam, o co chciałam pytać pannę Brzeską!...

— Naturalnie, że o tych Solskich, których majątek sąsiaduje z browarem papy — odpowiedziała Paulinka z miną rozgniewanej.

— Linka! — pogroziła jej matka. — Linka, ty swoim postępowaniem wpędzisz mamę do grobu... Pamiętaj, że niedawno wróciłam z Karlsbadu...

— Ale już mama jada mizerię — wtrąciła Stasia.

— Mamie wolno wszystko jadać, bo mama wie, co robi — odparła dama. — Ale dobrze wychowane panienki nie powinny... Linka, ty niedługo siądziesz na kolanach pannie Brzeskiej...

— Albo to ja raz siedziałam na pensji...

— Na pensji co innego...

W przedpokoju rozległ się potężny bas:

— Mówiłem ci, błźnie, ażebyś mi się nie stroił jak małpa...

— Jaśnie pani kazała... — odparł inny głos.

Drzwi otworzyły się i do salonu wszedł w kapeluszu na głowie mężczyzna z dużą brodą.

— Cóż to dziś za maskarada?... — wołał pan w kapeluszu. — Z jakiego, u diabła...

Umilkł i zdjął kapelusz spostrzegłszy Madzię.

— Mój mąż... — rzekła prędko gospodyni. — Panna Brzeska...

Pan Korkowicz chwilę przypatrywał się Madzi, a na jego dobrej twarzy odmalowało się zdziwienie.

— A... — odezwał się przeciągle.

— Najserdecniejsza przyjaciółka państwa Solskich.

— Eh!... — odparł lekceważąco, a potem wzięwszy rękę Madzi w swoje ogromne dłonie dodał:

— To pani ma uczyć nasze dziewczęta?... Bądź dla nich miłosierna!... Głupiutkie to, ale pocziwe...

— Piotruś! — upomniała go pani, uroczyście poprawiając koronkowy kołnierz.

— Moja Toniu, kogo ty chcesz w błąd wprowadzić, panią nauczycielkę?... Pani nauczycielka od razu pozna się na twoich córkach jak szynkarz na młodym piwie... Cóż, ten wałkoń już wrócił?...

— Nie rozumiem cię, Piotrze... — odparła oburzona dama.

— Papo pyta się, czy Broniek wrócił — wyjaśniła Paulinka.

— Piękne panna Brzeska będzie miała wyobrażenie o naszym domu!... — wybuchnęła pani. — Tylko wszedłeś, zaraz prezentujesz się jak człowiek ordynarny...

— Przecież ja taki zawsze... — odparł pan, ze zdziwieniem rozkładając ręce. — Panna Brzezińska, czy jak tam, nie będzie płaciła moich weksli, choćbym się do niej krygował... A gałgan!... Nie waliłem za młodu, teraz on mnie wali...

— Co ty gadasz?... co się z tobą dzieje?... — wołała pani Korkowiczowa widząc, że Madzia jest przestraszona, a obie córki śmieją się.

— Co gadam!... ten hultaj nie zapłacił wczoraj wekslu w banku i gdyby nie pocziwy Switek, miałbym rejeta w kantorze... A, rozbójnik!...

— Ale przecież Broniek nie stracił tych pieniędzy, tylko spóźnił się!... — przerwała oburzona matka.

— Pięknie go bronisz, nie ma co mówić!... Gdyby choć grosz stracił z tych pieniędzy, byłby złodziejem, a tak jest wałkoniem... — krzyczał ojciec.

Na twarz pani wystąpiły fioletowe rumieńce. Zerwała się z fotelu i zadyszana rzekła do Madzi:

— Niech pani wyjdzie z dziewczynkami do ich pokoju... A, mój kochany!... taka awantura przy osobie, która nas nie zna...

Madzia, błada ze wzruszenia, opuściła salon. Lecz humor obu panienek nie zmienił się; gdy zaś znalazły się w swoim pokoju, Linka stanęła przed Madzią i patrząc jej w oczy rzekła:

— Pani boi się papu?... Pani myśli, że papuś jest naprawdę taki straszny?... — dodała pochylając głowę na bok. — Tu nikt nie boi się tatki, nawet Stasia...

— Widzi pani, papuś robi tak... — wmieszała się Stasia. — Jak papuś jest zły na mamę, to jej samej nic nie powie, tylko gniewa się na nią przed nami. A jak Broniek co zmaluje, to papuś znowu nic nie mówi jemu, tylko wygraża się na niego przed nami albo przed mamą...

— Teraz na wszystkich będzie skarżył się przed panią... — wtrąciła Linka. — O, ja wiem!... Pani bardzo podobała się papusiowi...

— I mamie — dodała Stasia. — Mama wczoraj mówiła, że gdyby pani miała rozum i potargowała się, to mogłaby dostać u nas z pięćset rubli rocznie.

— Moja Stasiu... pani i tak dostanie... — przerwała jej Linka.

— Dzieci, co wygadujecie?... — zawołała Madzia ze śmiechem. — Któż słyszał zdradzać tajemnice rodzinne?...

— Alboż pani nie należy do naszej rodziny? — rzekła Stasia rzucając się Madzi na szyję. — Jest pani u nas godzinę, a mnie się wydaje, że już od stu lat...

— Widzę, że pani będzie więcej kochała tego lizusa aniżeli mnie... Ale ja do pani jestem bardziej przywiązana, choć nie obrywam pani sukni... — odezwała się obrażona Linka tuląc się do ramienia Madzi.

— Będę obie kochała jednakowo, tylko powiedzcie mi, czego się uczycie? — odparła Madzia całując każdą po kolei. Naprzód Stasię i Linkę, potem Linkę i Stasię.

— Ja pani powiem! — zawołała Stasia. — Od kiedy wyszliśmy z pensji — do wakacyj nauczyliśmy się wszystkiego: literatury, historii, algebry, francuskiego...

— Od wakacyj nie uczymy się niczego — wtrąciła Linka.

— Przepraszam... ja uczę się fortepianu... — przerwała Stasia.

— Kochasz się w panu Stukalskim, który wymyśla ci, że masz palce do obierania kartofli...

— Moja Linko!... Sama romansujesz z panem Zacieralskim i myślisz, że zaraz każdy musi się kochać!... — odparła zarumieniona Stasia.

— Cicho, dzieci! — uspokoiła je Madzia. — Kto jest pan Zacieralski?

— Malarz, uczy Linkę malować, a tatko pyta się, kiedy zaciągną nam podłogi, bo froterzy drogo kosztują...

— A Stasię pan Stukalski uczy grać na fortepianie i przez połowę każdej lekcji stawia jej palce na klawiszach... Nie bój się!... już mama spostrzegła, że podczas tych wykładów za mało słyhać muzyki... Przysięgnę, że gdyby twój Kocio zamiast dwu rubli brał rubla, skończyłyby się czułości...

— Może ten twój Zaciereczka uczyłby cię darmo?... — wtrąciła Stasia.

— Właśnie, że uczyłby mnie darmo — odparła obrażona Linka — bo ja mam poczucie natury...

— O, tak!... Kiedy ci zadał do wymalowania koszyk wiśni, to wiśnie zjadłaś, liście wysypałaś za okno, a potem rozchorowałaś się na głowę...

— Dzieci!... ach Boże!... — uspakajała je Madzia. — Powiedzcie mi lepiej: gdzie odbywają się wasze lekcje?

— Forte pian na górze, ja maluję w oranżerii, a inne wykłady odbywają się czy mają się odbywać w auli — objaśniła Linka.

— Ja panią tam zaprowadzę — rzekła Stasia.

— I ja.

Schwyciły Madzię pod rękę i ze swego pokoju przez szereg gabinetów, korytarzy i siołek wyprowadziły do wielkiej sali.

Było już ciemno, więc Linka znalazłszy zapalnik zapaliła cztery płomienie gazu mówiąc:

— Oto jest nasza aula, w której przez wakacje prasowała się bielizna...

— Przepraszam, bo stały kufry z futrami... — poprawiła ją Stasia.

Salon zadziwił Madzię. Było w nim kilka wyścielanych ławek przed eleganckimi stoliczkami, była wielka tablica jak na pensji, a nade wszystko — była szafa wypchanych zwierząt i druga pełna aparatów do wykładu fizyki.

— Po cóż tyle ławek? — zapytała Madzia.

— A... bo mama chce, żeby u nas zbierały się komplety panienek, którym mają wykladać najlepsi profesorowie — rzekła Linka.

— A na cóż te narzędzia?... Uczycie się fizyki?...

— Jeszcze nie — pochwyciła Stasia. — Ale, widzi pani, było tak: mama dowiedziała się, że panna Solska ma takie przedmioty, więc zaraz nam je kupiła.

— I to stoi bez użytku?

— Owszem — rzekła Linka — w maszynie pneumatycznej, czy jak tam, Broniek dusił myszy; więc papuś rozbił klosz, Bronka wykrzyczał i szafę zamknął na klucz. Ale pani klucz odda...

Z pół godziny zeszło Madzi na oglądaniu naukowego salonu, aż wreszcie lokaj (już ubrany w surdut) dał znać, że będzie herbata.

— Chciałabym umyć ręce — rzekła Madzia.

— To pójdziemy do pokoju pani — zawołała Stasia. — Linka, pozakręcaj gaz, a ja wezmę zapalki...

Przeszły znowu sień, garderobę, oświetlony korytarz i zatrzymały się przed jednymi drzwiami. Stasia zapaliła zapalki, Linka popchnęła drzwi i nagle... Madzia poczuła silny zapach tytoniu, a jednocześnie usłyszała męski głos:

— Won stąd!... czego wy tu?...

Skrzypnęło, stuknęło i z szelonga zerwał się młody człowiek, otyły, ubrany tylko w kamizelkę. Szczęściem zapalka zgasła.

— Czego wy tu, sikory?... — pytał zaspany młody człowiek.

— Co ty tu robisz?... To pokój panny Brzeskiej... — wołały obie dziewczynki.

— Na złamanie karku!... — mruknął młodzieniec usiłując zamknąć drzwi, czemu przeszkadzała Linka.

Teraz otworzyły się inne drzwi w głębi korytarza i wybiegła z nich pani Korkowiczowa, pan Korkowicz, a za nimi lokaj z kandelabrem.

— Co tu robisz, Broniek?... — pytała niespokojnie pani młodego człowieka, który chowając się za szafę wdziewał surdut. — A gdzie łóżko?... — dodała, gdy blask świec oświetlił wnętrze pokoju. — Jan, gdzie łóżko dla panny Brzeskiej?...

— A na górze, w pokoju młodego pana...

— Zwariowałeś?... — jęknęła dama.

— Przecie jaśnie pani kazała wstawić łóżko do tego pokoju, gdzie młodszy pan sypia...

— Ale gdzie sypia po obiedzie, głębie jakiś... — mówiła zirytowana dama.

— Toteż pan Bronisław tam sypia po obiedzie, a tu dopiero nad wieczorem — tłumaczył się lokaj.

— Otwórz okno... przynieś stamtąd łóżko... a niegodziwiec...

— Ehe! widzę, że już dawno nie smarowałem maszyn w tej fabryce!... — odezwał się pan Korkowicz. Wyrwał służącemu z rąk kandelabr i ująwszy samego za kark wyprowadził do garderoby. W chwilę później rozległ się krzyk i parę tępych uderzeń.

— Chodźmy, moi państwo, do stołowego pokoju — westchnęła pani. — Strach, co się dziś wyrabia ze służbą!...

Gdy wszyscy usiedli przy stole, zwróciła się do Madzi:

— Mój syn, Bronisław... Przepraszę panią za swój nietaktowny postępek...

Tłusty młodzieniec uklonił się Madzi bardzo nisko i rzekł mrukliwym głosem:

— Prze... przepraszam panią... Choć, jak Boga kocham, nie wiem za co?...

— Za to, że ośmieliłeś się spać w pokoju pani...

— Wszyscy mi oczy wykluwają tym spaniem!... Przecie człowiek musi sypiać... Wszedł starszy pan.

— No!... — zawołał do syna — powiedz no mi: jak to było wczoraj z tym bankiem?...

— Już tatko zaczyna awanturę!... — odparł syn. — Słowo honoru daję, że wyprowadzę się od rodziców...

— Proszę cię, Piotrusiu, daj mu spokój!... — wtrąciła matka. — Stasia, zadzwoni.

Wszedł Jan zakrywając nos chustką.

— Dlaczego nie usługujesz do herbaty? — zapytał pan.

— Bo ja już jaśnie państwu dziękuję za służbę.

— Co to znaczy?... — groźnie odezwał się pan domu.

— A tak!... — odparł służący. — Jaśnie pan tylko ciągle obraża człowieka, a potem się dziwi...

— No... no... no... nic nie gadaj!... Nie stało ci się nic złego...

— Łatwiej jaśnie panu bić niż mnie brać — mruknął Jan.

Zdziwiona i przestraszona Madzia pomyślała, że dom państwa Korkowiczów jest bardzo oryginalny.

### 3. BODAJEŚ UCZYŁ CUDZE DZIECI

Pani Korkowiczowa posiadała dyktatorską władzę nad domem. Tylko jej lękała się służba, jej ustępował mąż, tylko jej rozkazy spełniały panienki, a nawet ukochany syn, który nie bardzo słuchał ojca.

Opanowała wszystkich z mniejszym lub większym oporem z ich strony. Toteż niemałym było zdziwienie pani Korkowiczowej, gdy po niejakim czasie spostrzegła, że obok niej w domu zaczyna wyrastać nowa indywidualność — Madzi.

Ta Madzia wesółka, grzeczna nawet dla służby, nigdy nie opierająca się, a stanowczo posłuszniejsza od Linki i Stasi, z każdym dniem nabierała znaczenia. Wszyscy czuli jej obecność, a przede wszystkim sama pani, choć nie rozumiała, w jaki się to dzieje sposób.

Zaraz w kilka dni po przyjeździe pani Korkowiczowa uroczyście wezwała Madzię do salonu, ażeby zakomunikować jej swoją wolę co do kierunku, w jakim mają być kształcone panienki.

— Panno... panno Brzeska — zaczęła pani Korkowiczowa — rozsiadając się na kanapie — trzeba, żeby pani odwiedziła pannę Malinowską i spytała, jakich zaleci profesorów dla moich dziewczynek. W każdym razie... tak... sądzę, że mąż musi zaprosić pana Romanowicza, bo on w kwietniu miał odczyt w ratuszu i w jesieni także ma mieć... No i oprócz pana Romanowicza weźmiemy jeszcze kilku...

— Proszę pani — rzekła Madzia — na co naszym dziewczynkom profesorowie?

Pani Korkowiczowa drgnęła.

— Co?... jak to?...

— Rezultaty wykładów są dziś wątpliwe — mówiła Madzia — a koszt wielki. Gdybyśmy miały tylko dwie lekcje co dzień po dwa ruble godzinę, to już wyniesie około stu rubli na miesiąc. Moja pensja, lekcje muzyki i malarstwo już kosztują dziewięćdziesiąt rubli, więc razem około dwustu.

— Dwieście!... — powtórzyła pani zmieszana. — Nie myślałam o tym... Ależ będziemy miały komplet, z dziesięć panienek... więc na każdą wypadnie może dwadzieścia rubli, a może i taniej?...

— A czy pani już ma komplet?...

— Właśnie zajmuję się tym... Ale w tej chwili jeszcze nic... — mówiła pani Korkowiczowa wzruszonym głosem.

— Więc, proszę pani, zróbmy tak... Gdy pani zbierze komplet, dopiero wówczas zwrócimy się do profesorów, a tymczasem ja będę powtarzała z dziewczynkami to, co przeszły na pensji i czego trochę zapomniały.

— Dwieście rubli na miesiąc!... — szeptała dama ocierając twarz chustką. — Naturalnie, musimy poczekać... — Następnie chwilę odpocząwszy dodała:

— Otóż mam myśl!... Ja zajmę się zebraniem kompletu, a pani zapyta pannę Malinowską o najodpowiedniejszych profesorów... Tymczasem będzie pani powtarzała z dziewczynkami to, co przeszły na pensji.

— Dobrze, proszę pani.

Pani Korkowiczowa była zadowolona, że ostateczny rozkaz wyszedł z jej ust i że Madzia bez opozycji podjęła się go wykonać. Była zadowolona, ale w jej duszy pozostało nieokreślone zakłopotanie.

„Dwieście rubli!... — myślała. — Że mi to od razu nie przyszło do głowy?... No, od tegoż ona jest guwernantką...”.

Był to dopiero początek.

W gorące dni pan Korkowicz starszy od niepamiętnych czasów miał zwyczaj siadać do obiadu bez surduta. Otóż raz w końcu sierpnia zdarzył się tak silny upał, że pan Korkowicz zasiadł przy stole bez kamizelki. A nadto rozpiął gors koszuli, dzięki czemu doskonale uwydatniało się jego różowe łono pokryte bujnym meszkiem.

Obok matki uplasował się pan Bronisław, lokaj wybiegł prosić panny, i niebawem weszły do pokoju Linka, Stasia, a na końcu Madzia.

— Szacunek dla panny Magdaleny!... — zawołał gospodarz pochylając się naprzód, co wpłynęło na mocniejsze otworzenie się koszuli.

— Ach!... — krzyknęła Madzia i cofnęła się za drzwi.

Pan Bronisław zerwał się od stołu, a zdumiony pan Korkowicz zapytał:

— Co się stało?...

— Jakże, co się stało?... — rzekła Linka. — Przecież papuś jest rozebrany...

— A niechże cię najjaśniejsze!... — mruknął gospodarz chwytając się za głowę. — Poprościez tu pannę Magdalenę... Bodaj diabli...

Wybiegł do swego pokoju i w kilka minut wrócił ubrany jak ze sklepu artykułów mody. W tej chwili weszła powtórnie Madzia, więc przeprosił ją wśród ukłonów i zapewnił, że tak smutny wypadek nigdy się już nie powtórzy.

— W twoim wieku, Piotrusiu, dużo uchodzi... — odezwała się kwaskowatym tonem pani.

— Dużo... niedużo... — wtrącił pan Bronisław. — Anglicy do obiadu ubierają się we fraki.

— Panna Magdalena nie ma powodu gniewać się — mówiła pani — ale przypominaj sobie, Piotrusiu, ile razy prosiłam, ażebyś nie negliżował się przy obiedzie? Trzeba przestrzegać form towarzyskich, choćby ze względu na dziewczęta...

Gdy obiad skończył się, Madzia zawiadomiła panią, że pragnie odwiedzić Dębickiego.

— Dębicki?... Dębicki?... — powtarzała pani, lekko marszcząc brwi.

— To ten bibliotekarz i przyjaciel Solskiego — objaśnił gospodarz.

Oblicze pani Korkowiczowej rozpogodziło się.

— Ach — rzekła z uśmiechem — chce pani dowiedzieć się, kiedy przyjeżdżają państwo Solscy?... Ależ proszę, niech pani idzie...

— A ja panią odprowadzę!... — zawołał zrywając się z krzesła pan Bronisław.

— Dziękuję panu — odpowiedziała Madzia tonem tak chłodnym, że pani Korkowiczowa aż drgnęła.

— He!... wstydzi się pani?... — mówił pan Bronisław ze śmiechem. — Jak nas kto spotka, to powiem, że jestem trzecim uczniem pani...

— Na ucznia już pan za duży.

— To pani powie, że ja jestem pani guwerner.

— Na guwenera jest pan za młody — zakończyła Madzia. — Do widzenia się z państwem...

Za Madzią wybiegła Stasia, Linka zaś została i wygrażając pięścią bratu rzekła z gniewem:

— Słuchaj no... Jeżeli tak będziesz traktował pannę Magdalenę, oczy ci wydrapię...

— Dobrze mów! — potwierdził ojciec. — Trzeba być cymbałem, ażeby narzucać się porządnej dziewczynie...

— Eh!... porządek... — odparł z lekceważeniem otyły młody człowiek. — Porządne panny nie mają zegarków wysadzanych brylantami...

— Co to bydlę mówi, co?... — zapytał ojciec.

— Naturalnie! — upierał się pan Bronisław. — Zegarek wart ze czterysta rubli, więc skąd może go mieć guwernantka...

— A ja wiem!... — zawołała Linka. — O, już będzie z tydzień, jak ze Stasią oglądaliśmy ten zegarek. Prześliczny!... nawet mama nie ma takiego... Stasia otworzyła kopertę i przeczytałyśmy napis: „Mojej najdroższej Madzi na pamiątkę lat 187... wiecznie kochająca Ada...”. Ada to panna Solska — zakończyła Linka.

— Taki napis?... rzeczywiście?... — zapytała pani Korkowiczowa.

— Jak rodziców kocham!... Obie umiemy go na pamięć...

— Ot, i masz zegarek z brylantami, jołopie!... — westchnął pan Korkowicz uderzając ręką w stół.

— Proszę cię, Bronku, ażebyś był uprzedzająco grzeczny dla panny Brzeskiej — rzekła uroczyście pani. — Ja wiem, kogo wzięłam do domu...

Pan Bronisław zasepiał się.

— Głupi Bronek!... głupi Bronek!... — śpiewała skacząc i śmiejąc się Linka.

— Tylko, Linka... ani słowa pannie Brzeskiej o tym, co się tu mówiło — upomniała ją pani. — Wpędziłabyś mamę do grobu...

Kiedy gospodarz wyszedł za interesami do miasta, pan Bronisław na drzemkę, a Linka do Stasi, ażeby asystować jej przy lekcji fortepianu, pani Korkowiczowa przeniósłszy się do swego gabinetu usiadła na biegunowym fotelu i zaczęła rozmyślać.

„Czy mi się zdaje, czy nasza guwernantka już przekracza granice swego stanowiska?... Piotr ubiera się do niej przy obiedzie... No, powinien by się już odzwyczaić od swoich okropnych manier!... Linka broni jej jak lwica... Nic to złego... Zresztą Broniek ją lekceważy... Ale chłopak musi być dla niej grzeczny... i nawet ja, i my wszyscy. Takie stosunki za trzydzieści rubli miesięcznie... Złoty zegarek z brylantami!... Jeżeli teraz nie zaprzyjaźnimy się z Solskimi, to już nigdy...

Swoją drogą przy pierwszej okazji dam panience do zrozumienia: czym ja tu jestem, a czym ona...”.

Fotel bujał się coraz wolniej; głowa pani Korkowiczowej opadła na wiszącą poduszkę, z półotwartych ust wybiegało chwilami głośnie chrapanie. Sen, brat śmierci, skleił powieki dystygowanej damie.

Już pan Stukalski skończył wtajemniczać swoją uczennicę w trudną sztukę palcowania, przy czym nie zaniedbał przypomnieć jej, że powinna obierać kartofle; już panienki wybiegły do ogródka, gdzie gniewna Linka usiadła na trapezie, a łzami zalana Stasia huśtała ją — kiedy Madzia wszedłszy do gabinetu pani Korkowiczowej zastała ją na biegunowym fotelu, z głową odrzuconą w tył i rękoma splecionymi na łonie.

— Ach, przepraszam!... — mimo woli szepnęła Madzia.

— Co?... co to?... — zawołała pani zrywając się. — A, to pani?... Właśnie myślałam... Czegóż kochana pani dowiedziała się o Solskich?...

— Mają wrócić w końcu października. W początkach zaś przyjedzie do Warszawy pan...

Tu Madzia zatchnęła się.

— Pan Solski?

— Nie... pan Norski — odparła Madzia ciszej. — Syn nieboszczki pani Latter...

— Nieboszczki? — powtórzyła pani Korkowiczowa. — Czy to nie z jego siostrą ma się żenić pan Solski?

— Podobno.

— Muszę zapoznać się z panem Norskim, ażeby choć w części wynagrodzić mu mimowolną krzywdę... Obawiam się — wdychając i kiwając głową mówiła dama — że odebranie moich córek z pensji było jedną z przyczyn samobójstwa nieszczęśliwej pani Latter... Ale Bóg widzi, nie mogłam zrobić inaczej, panno Brzeska!... Pensja w ostatnich czasach miała okropną opinię, a ja jestem matką... Jestem matką, panno Brzeska...

Madzia pamiętała dzień, w którym Linka i Stasia opuściły pensję; zdawało jej się jednak, że pani Latter nawet nie spostrzegła tego wypadku.

— Mam do pani wielką prośbę — odezwała się nieśmiało Madzia po chwili milczenia. — Czy nie pozwoli pani, ażeby siostrzenica profesora Dębickiego uczyła się razem z naszymi dziewczynkami?...

— Chce należeć do kompletu?

— Ona nie ma pieniędzy na lekcje z profesorami, więc uczyłyby się tylko ode mnie...

„Aha!... — pomyślała pani. — Teraz, panienko, zrozumiesz, co jestem ja, a co ty!...”.

Głośno zaś rzekła:

— Cóż ubogiej dziewczynce po takich wysokich naukach, jakie będą pobierały moje dzieci?...

Madzia patrzyła na nią zdziwiona.

— Ale... ale... — ciągnęła pani Korkowiczowa czując, że mówi coś nie do rzeczy. — Ten pan Dębicki, u którego pani bywa, to kawaler?

— Kawaler, ale bardzo stary... Ach, jaki to uczony człowiek, jaki szlachetny... Pan Solski bardzo go kocha i ledwie zmusił go do przyjęcia u siebie posady bibliotekarza...

— Przepraszam... — rzekła nagle dama. — Co to za prześliczny zegarek ma pani? Pamiątka?...

— Dostałam go od Ady Solskiej — odparła zarumieniona Madzia podając zegarek. — Ale czasami wstyd mi chodzić z nim...



— Dlaczego? — mówiła pani Korkowiczowa z trudem otwierając kopertę. — „Mojej najdroższej Madzi...”. Dlaczego ta dziewczynka pana Dębickiego nie chodzi na pensję?... Moglibyśmy przykładać się do płacenia za nią...

— Jej wuj miał przykre zajście z uczennicami i musiał opuścić pensję pani Latter... Zosię awantura tak przestraszyła, że już nie ma odwagi chodzić na żadną pensję, więc uczy się biedaczka sama, trochę przy pomocy wuja.

— Ha, jeżeli pani sądzi, że pan Dębicki jest taki dobry człowiek...

— Bardzo... bardzo dobry...

— A ta dziewczynka jest uboga, to... niech przychodzi... Byłe moje panienki nie straciły na tym...

— Przeciwnie, zyskają... Współzawodnictwo zachęci je do pilności...

— Muszę jednak dodać, że robię to tylko dla utrzymania stosunków z Solskimi... Pana Dębickiego przecie nie znam!... — mówiła dama czując, że wobec Madzi zajmuje coraz fałszywsze stanowisko.

Przez parę dni pani Korkowiczowa była nieco cierpka w obejściu z Madzią; ale gdy Dębicki złożywszy jej wizytę przyznał, się, że oboje państwa Solskich zna od dzieci i co parę tygodni koresponduje ze Stefanem, pani Korkowiczowa udobruchała się.

Owszem, podziękowała Madzi za zawiązanie nowego stosunku.

„Dębicki — myślała — byłby niewdzięcznikiem, gdyby o nas dobrze nie mówił przed Solskimi. Brzeska także powinna mówić o nas dobrze; zresztą postaramy się o jej życliwość...”

Od tej pory było Madzi u państwa Korkowiczów jak w niebie. Pan Bronisław miał obowiązek witać ją i żegnać z największym uszanowaniem; starszy pan miał prawo okazywać, że Madzię lubi; wreszcie sama pani wyznaczyła Madzi miejsce przy stole obok siebie, a lokaj podawał jej półmiski zaraz po gospodyni domu.

Pomimo jednak najlepszych chęci pani Korkowiczowej Madzia nieustannie narażała się wobec swojej chlebodawczyni. Z właściwą sobie wyrozumiałością pani Korkowiczowa przyznawała, że niektóre czyny Madzi zdradzają dobre serce, ale zarazem — niesłychany brak taktu.

Raz na przykład Linka spostrzegła na podwórzu córkę praczki z tego samego domu. Dziecko było tak bosa, w tak podartej koszuli, w tak połatanej sukience, że nieledwie prosiło się na model. Linka zawołała dziewczynkę i posadziwszy w oranżerii zaczęła ją malować w otoczeniu palm, kaktusów i innych roślin egzotycznych.

Studiom tym przypatrywała się Stasia, pani Korkowiczowa, pan Korkowicz, nawet pan Bronisław, który miał niejaki wątpliwości, czy jego siostra w danej chwili maluje kaktus czy nogę obdartej dziewczynki. Lecz dopiero Madzia zauważyła, że dziecko strasznie kaszle.

— Boże! — zawołała — ależ ona prawie naga... — a potem dodała po francusku:

— Jeżeli biedactwo nie będzie leczyć się i nie dostanie odzieży — umrze...

Linka przestała malować, a wylękniona Stasia już miała oczy pełne łez.

Obie siostry uważniej zaczęły oglądać dziewczynkę i odkryły, że kaszlące dziecko nie ma ani śladu trzewików, że oberwana do połowy koszulka nie zastąpi braku spódniczki, że wreszcie pełna łat sukienka raczej przypomina sieć pajęczą aniżeli ubranie...

Od tej chwili panienki przestały ją malować, a zaczęły się nią opiekować. W tajemnicy przed matką złożyły się sprowadzenie jej lekarza, kupiły małe trzewiczki i pończochy, a potem płótna i barchanu, z którego same zaczęły szyć ubranie przy pomocy panny służącej i Madzi.

— Widzicie, jak to dobrze, że u pani Latter uczyliście się krawiecczynny — przypomniała im Madzia.

Kiedy pani Korkowiczowa zobaczyła Linkę z trudem szyjącą barchan na maszynie, myślała (według jej własnych słów), że padnie trupem. Madzi w pokoju nie było, więc zacna dama ograniczyła się na przeprowadzeniu śledztwa i wzięwszy fatalny barchan, z zaciętymi ustami pobiegła do pokoju męża, a za nią Linka, która dosyć stanowczo prosiła matkę o niemieszanie się do jej interesów.

— Czyś widział, Piotrze?... — zawołała pani rzucając barchan na biurko męża. — Czy słyszałeś coś podobnego?...

Po czym na wyścigi z Linką zaczęły opowiadać historię obdartej dziewczynki, jej kaszlu i pomocy, jaką udzieliły jej panny. Linka kładła nacisk na nędzę dziecka, a pani Korkowiczowa na jego brudy, możliwą zaraźliwość kaszlu i emancypacyjne zachcianki Madzi.

Wyrozumiawszy, o co chodzi, pan Korkowicz pogłaskał bujną brodę i odezwał się tonem spokojnym, który bardzo zaniepokoił jego małżonkę:

— Czy to dziecko nie było brudne, kiedyś je malowała?

— Jak smoluch, papusiu! — odparła Linka.

— A nie kaszłało?

— O, kaszłało daleko gorzej niż teraz...

— Idź, Linko — rzekł ojciec tonem szkaradnie spokojnym — idź i ucałuj ręce pannie Magdalenie za to, że was zachęciła do uczciwego postępku...

— Ależ, Piotrze... tak być nie może!... — zawołała pani. — Ja nie pozwolę...

— Toniu — odpowiedział mąż, gdy Linka wyszła. — Toniu, nie bądź wariatką!... Przecież ja dopiero dziś widzę, że moje córki mają serce... Bóg nam zesłał tę pannę Brzeską...

— Wiem, wiem... — mówiła pani. — Wszystko ci się podoba, co robi panna Brzeska... I gdybym dziś zeszła do grobu...

— Miej rozum, Toniu. Jeżeli chwalisz Solską, że dała ci tysiąc rubli na szpital, nie gań własnych dzieci, gdy sprawią odzież sierocie...

— Ale one same szyją...

— Księżniczki angielskie także szyją odzienie dla ubogich dzieci — odparł mąż.

— Czy to tylko pewne?... — mimo woli zapytała pani czując, że gniew jej szybko ucieka.

W godzinę później pochwaliła córki za ich zajęcie się dziewczynką i podziękowała Madzi. W duszy jednak postanowiła przy pierwszej okazji wytknąć jej emancypacyjne nowatorstwa, które zasiewają niezgodę wśród najczciodszych rodzin.

Najważniejszy w domowych stosunkach wypadek trafił się w sześć tygodni po przyjeździe Madzi.

Było to przy obiedzie. W czasie krótkiej pauzy oddzielającej befszytk od kurcząt z mizerią Linka z gniewem odezwała się do lokaja:

— Zabierz ten talerz...

— Czysty, proszę pani — odparł Jan stawiając na powrót talerz, który obejrzał.

— Bałwanie... bierz, kiedy mówię!... — zawołała Linka, rozdrażniona z powodu kłótni ze Stasią o to, czy pan Zacierański jest większy od Lessera, czy tylko równy jemu.

— Kiedy panienka mówi, musi tak być — ostro odezwała się pani Korkowiczowa.

Lokaj zabrał talerz, podał inny; potem obniósł kurczęta i mizerię, wreszcie wyszedł do kuchni.

Wtedy Madzia pochyliła się do Linki i objąwszy ją ręką za szyję szepnęła:

— Drugi raz nie odpowiesz tak Janowi... prawda?...

Niewinne te słowa wywołały piorunujący efekt przy stole. Stasia podniosła brwi wyżej niż zwykle; pan Bronisław wyjął z ust widelec, którym wykluwał zęby; pan Korkowicz zrobił się fioletowy i tak pochylił twarz, że powalał brodę w resztkach mizerii. Linka zaś kilka razy prędko odetchnąwszy rozplakała się i wybiegła z jadalnego pokoju.

— A wracaj na leguminę, bo będzie krem! — zawołał pan Bronisław tonem szczerego współczucia.

— Bardzo dobrze... — mruknął ojciec.

Pani Korkowiczowa osłupiała. Ponieważ jednak była osobą niezwykle bystrego umysłu, więc szybko zorientowawszy się w sytuacji rzekła uroczystym głosem do Stasi:

— W domach arystokratycznych panienki z wyszukaną grzecznością odzywają się do służby.

Pan Korkowicz klapnął się w gruby kark jak gdyby mądre zdanie żony nie wydawało mu się wypowiedzianym w porę.

Pani także, pod pozorem pewności siebie, ukrywała zmieszanie. Czuli, że od tej chwili stosunek dzieci do służby zmieni się w domu, i to nie na skutek jej moralów, ale — odezwania się Madzi. Przypomniała też sobie z goryczą, że Jan chętniej służy Madzi,

weselej z nią rozmawia aniżeli z panienkami, a przy obiedzie manewruje półmiskiem w taki sposób, ażeby guwernantce podsuwać najlepsze kawalki, których zresztą nie brała.

„Widzę, że to Bismarck-dziewczyna!... — myślała pani odkładając podwójną porcję kremu dla nieobecnej Linki. — Swoją drogą Bóg wie od ilu lat proszę Piotrusia, ażeby nie wymyślał służbie... Bardzo też dawno zbierałam się powiedzieć dziewczętom, ażeby były grzeczne w obejściu z ludźmi niższego stanowiska... No i ta... uprzedziła mnie!... Porachujemy się kiedyś, panienko... porachujemy...”

Po obiedzie pani Korkowiczowa chłodno podziękowała guwernantce za towarzystwo i kazała Stasi, ażeby zaniósła Lince krem. Za to pan mówiąc Madzi: „dziękuję...”, trochę za długo trzymał jej rękę i dziwnie patrzył jej w oczy. Toteż gdy Madzia odeszła, zirytowana pani odezwała się do męża:

— Myślałam, że... pocałujesz pannę Brzeską...

Pan kiwał głową.

— Wiesz — odparł — rzeczywiście chciałem ją pocałować w rękę...

— W takich razach ja tatkę mogę wyręczać — wtrącił pan Bronisław odwracając się do okna.

— Żebyś ty, mój kochany, wyręczał mnie w kantorze — odparł ojciec.

— Musisz jednak przyznać, mój drogi, że Broniek od kilku tygodni zmienił się na awantaż... — zabrała głos pani. — Prawie nie wychodzi z domu i regularnie siada z nami do obiadu.

— Zapewne chce ode mnie wykpić kilkaset rubli... Znam ja go!... Cholera mnie bije, kiedy patrzę na jego łajdactwa; ale skóra na mnie cierpnie, kiedy zaczyna się poprawiać...

— Mylisz się — rzekła matka. — Broniek nic złego nie zrobił, tylko — uległ moim perswazjom. Wytłomaczyłam mu, że niewłaściwie postępuje włóczęg się po nieodpowiednich towarzystwach, że wpędza rodziców do grobu i — on mnie zrozumiał...

— Eh! — mruknął ojciec — zawsze ci się coś zdaje... Z dziewczętami nie umiesz dać sobie rady, a myślisz, że taki birbant usłucha perswazji.

— Więc któż im daje radę?... kto kieruje ich edukacją?... — zawołała pani rumieniąc się jak rozpalone żelazo.

Ale pan Korkowicz, zamiast odpowiedzieć małżonce, zwrócił się do syna:

— Słuchaj no!... bo mnie doprowadzisz do kija i torby, walkoniu... Albo weź się tutaj do roboty, ażeby Switek mógł jechać do korkowskiego browaru, albo sam ruszaj do Korkowa... Ja na dwie fabryki, o trzydzieści mil odległe, nie rozedrę się... Kiedy jestem w Warszawie, tam się coś psuje; kiedy jestem w Korkowie, tu nie ma dozoru... A ty wałęsasz się po restauracjach...

— Powiedziałaś ci, że siedzi w domu — wtrąciła matka.

— Mnie nie o to chodzi, ażeby on wysypiał się w domu — ryknął ojciec — ale żeby choć parę razy dziennie zajrzał do fabryki i sprawdził, co robią...

— Zastępował cię przez kilka dni.

— Tak!... i połowy obstalunków nie wypełnili na czas... Bodaj to najjaś...

Nagle pan Korkowicz uderzył się ręką w usta i nie dokończył przekleństwa. Natomiast dodał spokojnie:

— Bądź tu łagodny... nie wymyślaj... kiedy wszyscy poczawszy od rodzzonego syna wbijają ci noże w wątrobę...

— Widzę, że i na ciebie wpłynęła lekcja panny Brzeskiej... — syknęła pani Korkowiczowa.

— Nie... to twoje morały!... — odparł ojciec i wyszedł z pokoju.

Przez ten czas pan Bronisław stał pod oknem i bębnił palcami w szybę, niekiedy wzruszając ramionami.

Pani Korkowiczowa załamała ręce i tragicznie patrząc na syna rzekła:

— Cóż ty na to?...

— A... no... że ładna, to ładna, nie ma co gadać — odparł rozwinięty młodzieniec.

— Kto?... co się tobie śni?...

— Magdzia ładna i dobrze tresuje dziewczęta, tylko... ma za dużo fochów. Solscy i Solscy!... a mama jeszcze jej podbija bębenka tymi Solskimi... Tymczasem cóż Solscy?... Ja się boję Solskich czy co?... — mówił z flegmatyczną gestykulacją pan Bronisław.

Potem ucałował skamieniałą matkę w obie ręce i wyszedł mrużąc:

— Cóż to stary myśli, że będę piwo rozwoził?

— Boże!... — jęknęła pani chwytając się za głowę. — Boże! co się tu dzieje?... na co ja zesłałam?...

Była tak zirytowana, że znalazłszy się w swoim gabinecie na biegunowym fotelu nie mogła od razu zasnąć po obiedzie.

„Z dziewczętami robi, co jej się podoba, a one tylko płaczą... — myślała pani. — Psuje służbę... do domu naprowadza dzieci rozmaitej hołoty... Sam Broniek zachwycę się, że ładna (co oni widzą w niej ładnego?...), a ten stary niedźwiedź nie dość, że zaprzecza mi wpływu na dom, ale jeszcze chce ją w rękę całować... Nie, ja muszę z tym zrobić jakiś koniec!...”

Po chłodniejszej rozwadze zarzuty przeciw Madzi poczęły rozwiewać się w umyśle pani Korkowiczowej. Przecież Zosię do nauki ona sama przyjęła, ona, pani Korkowiczowa; a zrobiła to dla zawiązania ścisłych stosunków z Solskimi. Obdartą dziewczynkę ona w rezultacie pozwoiliła ubierać swoim córkom; i nie stało się nic złego, gdyż o ich pięknym czynie mówią dziś w całej kamienicy. Nareszcie — dobrze wychowane panienki (a nawet mąż!...) nie powinny wymyślać służbie... Bo cóż by to był za cios dla jej macierzyńskiego serca, gdyby kiedy Linka przy Solskich albo w innym dystyngowanym towarzystwie nazwała lokaja bałwanem?...

Lecz im zupełnie rozgrzeszał Madzię umysł pani Korkowiczowej, tym — w jej sercu silniejszy żal budził do nauczycielki. Okropne położenie: czuć do kogoś niechęć i — nie mieć przeciw niemu zarzutów!

„Cóż jej powiem?... — z goryczą myślała dama. — Kiedy dziewczęta, mąż i nawet Broniek odpowiedzą, że panna Magdalena robi to, czego ja sobie życzę...”

Niechęci także nie wypada okazywać. Bo nuż guwernantka obrazi się i opuści jej dom? Co na to powiedziałyby córki, Broniek, mąż — a nade wszystko jakby wyglądała upragniona znajomość z Solskimi?

„Dziwna ta panna Solska... — rzekła do siebie pani Korkowiczowa. — Przyjaźnić się z guwernantką!”

#### 4. NIEPOKOJE PANI KORKOWICZOWEJ

W pierwszych dniach października dom pani Korkowiczowej stanowczo był przewrócony do góry nogami. Ona zaś sama czuła się w położeniu rozbitka, który siedząc na wąskiej skale widzi rozhukany ocean i tylko czeka, kiedy go fale pochłoną.

Córki jej, na których edukację tyle wydała pieniędzy, nie tylko przestały być opryskliwymi dla służby, ale jeszcze — weszły w zażyłość z panną służącą, kucharką, nawet z rodziną lokaja. Pani Korkowiczowa nieraz znajdowała obie panienki w garderobie, a przy stole widywała na własne oczy, że Jan uśmiecha się nie tylko do panny Brzeskiej, ale nawet do Linki i Stasi.

„Niechby kiedy zrobił taką minę do nich przy kimś z towarzystwa, a musiałabym umrzeć ze wstydu!...” — myślała pani.

Ale zgromić Jana za poufalość nie miała odwagi. Nie było też racji skarżyć się przed mężem, który od owego pamiętnego obiadu nie tylko nie „smarował maszyn” Janowi, ale nawet przestał mu wymyślać przy Madzi i córkach. Raz pan Korkowicz był zirytowany tak, że zsiniał z gniewu i wywijał ogromnymi pięściami, ale ciosy zamiast na kark Jana padały na stół albo na drzwi.

— Ciebie kiedy, Piotrusiu, apopleksja zabije, jeżeli tak będziesz się krępował!... — rzekła pewnego dnia pani widząc, że jej mąż, zamiast trzasnąć w ucho Jana, który przy kolacji oblał go sosem, uderzył pięścią w udo — samego siebie.

— Dajże mi spokój!... — wybuchnął pan. — Od czasu kiedy wyjeżdżasz do Karlsbadu, nazywałam mnie ordynarnym; a dziś, kiedy wyeleganciałem, chcesz, żebym się znowu nie krępował... Przewracają ci się projekta w głowie jak w zacierowej kadzi...

— Za to z żoną nie robisz sobie subiekcji — westchnęła pani.

Mąż uniósł się na krześle, ale spojrzawszy na Madzię usiadł, aż podłoga skrzypnęła, i oparł głowę na rękach.

„Co to znaczy?... — pomyślała przerażona dama. — Ależ ta guwernantka naprawdę opanowała mego męża...”

Pani Korkowiczowej zrobiło się tak źle, że wstała od stołu i wyszła do gabinetu. A gdy córki i nauczycielka wybiegły za nią, rzekła do Madzi lodowatym głosem:

— Niech się pani mną przynajmniej nie zajmuje... Nic mi nie jest...

Madzia cofnęła się, a pani Korkowiczowa zawołała z gniewem do córek:

— Idźcie sobie, idźcie... do waszej nauczycielki!...

— Co mamie jest?... Cóżemy winne?... — pytały z płaczem obie dziewczynki widząc irytację matki.

Jak wszyscy ludzie gwałtowni, pani Korkowiczowa prędko ochłonęła i usiadłszy na swym fotelu rzekła spokojniej:

— Linka, Stasia... patrzcie mi prosto w oczy!... Wy już nie kochacie mamy... wy chcielibyście mamę wpędzić do grobu...

Dziewczęta rozszlochały się.

— Co mama mówi?... A kogoż my kochamy?...

— Pannę Brzeską... Ona teraz wszystko znaczy w domu, ja nic...

— Pannę Brzeską kochamy jak przyjaciółkę, a mamę jak mamę... — odparła Linka.

— Chcielibyście, ażeby do grobu wstąpiła, a tatko ożenił się z guwernantką!...

Pomimo łez obficie twarz im zalewających obie dziewczęta zaczęły śmiać się jak szalone.

— A to by dopiero była para... cha!... cha!... cha!... Cóż by na to Broniek powiedział?... — wołała Linka chwytając się za boki.

— Błażnice jakieś, nie śmiejecie się ze słów mamy, bo słowa mamy święte... Co za Broniek?... Jaki Broniek?

— Przecież Broniek kocha się w pannie Magdalenie i tak się do niej umizga, że wczoraj aż płakała, biedactwo... Cha!... cha!... cha!... Tatko i panna Magdalena... — śmiała się Linka.

Wiadomość o zalotach Bronka do reszty uspokoiła panią Korkowiczową. Przyciągnąwszy obie córki do siebie, rzekła:

— Co gadacie o jakichś umizgach Bronka?... Panny dobrze wychowane nie powinny o tym nic wiedzieć... Stasia, Linka... patrzcie mi prosto w oczy. Przysięgnijcie, że lepiej kochacie mamę aniżeli pannę Brzeską...

— Ależ, jak mamę kocham, tak sto razy lepiej! — zawołała Linka.

— Sama panna Magdalena ciągle powtarza nam, że powinniśmy mamę i tatkę kochać nad wszystko w świecie — dodała Stasia.

W ruchliwym sercu pani Korkowiczowej obudził się cień zycliwości dla Madzi.

— Idźcie kończyć kolację — rzekła do córek, dodając w duchu:

„Może i niezłe dziecko z tej Magdaleny, ale cóż to za despotyczny charakter... wszystkich chciałaby zawojować... No, ma takie stosunki!... Żeby już raz ci Solscy przyjechali... Co one znowu plotą o Bronku?... Umizga się do Brzeskiej?... Pierwszy raz słyżę coś podobnego!...”

Po chwili jednak pani Korkowiczowa przypomniała sobie, że — może i nie pierwszy raz słyży o czymś podobnym. Ciągłe przesiadywanie pana Bronisława w domu było niewątpliwie skutkiem jej macierzyńskich upomnień, ale mogła oddziaływać na syna i obecność pięknej guwernantki.

— Młody, nie ma się czemu dziwić!... — westchnęła i przyszło jej na myśl, jak pewnego wieczora znalazłszy się przypadkiem we framudze korytarza usłyszała następną rozmowę między synem a guwernantką:

„Panie Bronisławie, proszę, niech mi pan nie zastępuje drogi” — mówiła zirytowana Madzia.

„Bo ja chciałbym panią przekonać, że jestem bardzo zycliwy” — odparł błagalnym tonem pan Bronisław.

„Da pan najlepszy dowód zycliwości nie rozmawiając ze mną, kiedy jestem sama...”

„Proszę pani, przy ludziach...” — zaczął pan Bronisław, ale nie mógł dokończyć, gdyż Madzi nie było.

— Drażni się z nim! — szepnęła pani Korkowiczowa, a następnie dodała w duchu:

„Chłopak młody, bogaty, no... i przystojny... Broniek jest wcale niczego na męczyźnie, i pannie muszą jego umizgi pochlebiać... Naturalnie powie o nim Solskiej, Solska zwróci

uwagę i przez kobiecą zazdrość sama zaczęła wabić Bronka do siebie... Boże, jak wszystko doskonale się układa!... A nie mogę zaprzeczyć, że Magdalena dużo mi ułatwi!..”

Przyszła tedy na panią Korkowiczową epoka czułości dla guwernantki i niezawodnie od tej pory byłoby Madzi jak w niebie, gdyby jej emancypacyjne zachcianki nie napoiły duszy chlebobawczyni nową goryczą.

Od pewnego czasu Linka i Stasia coraz więcej zaniedbywały talentów. Linka rzadziej malowała, potulna Stasia zaczęła kłócić się z nauczycielem muzyki, nawet opowiadać, że pan Stukalski łysieje; obie zaś skracały lekcje: jedna muzyki, druga malarstwa.

Rozumie się, że zatrwożona matka przeprowadziła śledztwo i odkryła rzecz straszną. Panienki czas przeznaczony na edukację estetyczną obracały na uczenie Michasia, ośmioletniego syna lokaja. Stasia uczyła go czytać, a Linka pisać!..

Tego już było za wiele i pani Korkowiczowa postanowiła rozmówić się z nauczycielką.

„Panno Brzeska — miała jej powiedzieć — dom mój nie jest ochroną, a moje córki nie są ochroniarkami!..”

W tym celu zadzwoniła raz, po chwili drugi raz, gdyż Jan ociągał się. Wreszcie stanął we drzwiach.

— Dlaczego Jan nie przychodzi zaraz, kiedy dzwonię? — rzekła pani nastrajając się na ton surowy. — Poproś tu pannę Brzeską...

— Właśnie przyszedł jakiś pan do panny Magdaleny i czeka w sali — odparł lokaj podając bilet.

— Kazimierz Norski... — przeczytała pani. — Aha, daj znać pannie Magdalenie...

Zerwała się i ze swego gabinetu szybko przeszła do sali. Gniew ją opuścił, a natomiast opanowało silne wzruszenie.

„Norski!... — myślała. — Tak, miał przyjechać w początkach października... Może są i Solscy!..”

Nogi pod nią drżały, gdy otworzyła drzwi salonu, ale osłupiała na widok młodego człowieka, który ujrawszy ją uklonił się bardzo elegancko.

„Co za rysy... oczy... brwi!..” — pomyślała pani, a głośno rzekła:

— Mam zaszczyt powitać pana Norskiego?... Jestem... u nas właśnie bawi panna Brzeska... a ja jestem wielbicieleką świętej pamięci mamy pańskiej... Boże, co za okropny wypadek!... Nie powinnam o nim wspominać, ale moje córki były ukochanymi pensjonarkami świętej pamięci mamy, którą tu wszyscy oplakujemy...

Tak mówiła pani Korkowiczowa kłaniając się i wskazując Norskiemu złożone krzeselko, na którym usiadł bez ceremonii.

„Prześlizny!..” — myślała pani, a ponieważ młody człowiek milczał i spoglądał na drzwi, odezwała się znowu:

— Jakże świętej pamięci mama?... To jest...

— Właśnie jeździłem na jej grób, gdzie chcemy postawić pomnik...

— Powinni państwo zwrócić się do społeczeństwa... — prędko przerwała mu pani.

— A w takim razie ja i mój mąż, cały wreszcie nasz dom...

W tej chwili Norski podniósł się ze złożonego krzeselka patrząc ponad głowę uprzejmej gospodyni. Pani Korkowiczowa odwróciła się i zobaczyła bladziutką Madzię, która oparła się ręką o stół.

— Właśnie panna Brzeska... — znowu zaczęła gospodyni.

Ale Norski nie czekając na rekomendację zbliżył się do Madzi i wzięwszy ją za rękę rzekł pięknym aksamitnym głosem:

— Wiemy, że nasza matka z panią przepędziła ostatnie godziny... Chciałem podziękować i jeżeli kiedy będzie można, z ust pani usłyszeć szczegóły...

Madzia patrzyła na cieniutkie, białe sznureczki przyszyte do klap surduta pana Kazimierza i oczy zaszyły jej łzami.

— Wszystko kiedy opowiem obojgu państwu — rzekła nie patrząc na pana Kazimierza. — Czy i Helenka wróciła?..

— Przyjedzie z Solskimi za tydzień... dziesięć dni... — odparł Norski nie mogąc oprzeć się zdziwieniu. — Ale jeżeli i ich przywita pani w podobny sposób...

— Obraziłam pana?... — zapytała wylękniona Madzia.

— Czy ja śmiałym się na panią obrazić... — odparł ożywionym głosem i wziął ją znowu za rękę. — Ale niechże pani osądzi... — dodał zwracając się do pani Korkowiczowej. — Panna Magdalena, Ada Solska, moja siostra i ja byliśmy w domu nieboszczki matki jedną rodziną... Matka jadąc na śmierć przekazała pannie Magdalenie błogosławieństwo dla nas... i dziś, kiedy wracam po pożegnaniu mojej matki, ta jej druga córka przyjmuje mnie jak obcego... Niechże pani powie, czy godzi się tak...

Madzia spuściła głowę nie mogąc powstrzymać łez.

— Jaka pani szczęśliwa!... — rzekł Norski. — Mnie już łzy wyschły...

Przerwał i zmarszczył piękne brwi spostrzegłszy o parę kroków pana Bronisława, który cicho wszedł do salonu i od kilku chwil przypatrywał się to Norskiemu, to Madzi.

— Może mnie mama zapozna z tym panem — odezwał się pan Bronisław. — Jestem młody Korkowicz, czyli korkociąg, jak mnie nazywają dawni pańscy przyjaciele...

— Panowie się nie znają?... — rzekła zakłopotana gospodyni. — Mój syn... pan Norski...

— Właściwie to znamy się, a przynajmniej ja znam pana z opowiadań... Dużo się nieraz mówi o pańskich figlach u Stępka... — przerwał matce pan Bronisław wyciągając ogromną rękę do Norskiego.

Obaj młodzi ludzie uścisnęli się: pan Kazimierz z lekceważeniem, pan Bronisław z energią. Można było jednak poznać, że nie czują do siebie sympatii.

Norski posiedział kilka minut, nieco chmurny, krótko odpowiadając na pytania pani Korkowiczowej o Solskich. Wreszcie wstał, pożegnał się i obiecał częściej, jeżeli państwo pozwolą, odwiedzać Madzię.

— Tyle mamy z sobą do mówienia, panno Magdaleno, o mojej matce, że musi mi pani kiedy poświęcić godzinkę sam na sam, jak to kiedyś bywało... — rzekł pan Kazimierz na odchodne.

Gdy zamknęły się za nim drzwi przedpokoju, zmieszana i zamyślona Madzia odezwała się do pani Korkowiczowej:

— Jan mówił mi, że pani chciała się ze mną widzieć?...

— Tak... Chciałam ci podziękować, droga panno Magdaleno, że moje panienki zajęły się Michasiem... Piękna to zaleta miłosierdzie!... — żywo odpowiedziała pani Korkowiczowa kilkakrotnie ucałowawszy Madzię.

Wobec bliskiego przyjazdu Solskich i zażyłości, jaka łączyła guwernantkę z Adą Solską tudzież z Helenką, przyszlą panią Solską, gniew pani Korkowiczowej rozplynął się. Niech już Madzia robi w jej domu, co chce, niech córki ubierają i uczą wszystkie dzieci z ulicy, byle zawiązać stosunki z Solskimi.

„Broniek nawet nie przeczuwa swego szczęścia!...” — myślała pani promieniejąc radością.

— Ale... ale!... — zawołała do odchodzącej Madzi. — Niechże pani przy sposobności oświadczy panu Norskiemu, ażeby był łaskaw odwiedzać nas jak najczęściej... Nasz dom otwarty dla niego zawsze... Boże! zapomniałam prosić go na obiad... Niech pani, panno Magdaleno, z całą delikatnością zaproponuje mu, ażeby u nas stałe jadł obiady... A nawet jeżeli nie ma jeszcze urządnego mieszkania, niech bez ceremonii sprowadzi się do nas... do przyjazdu państwa Solskich, nawet i dłużej... Zrobi pani to, kochana panno Magdaleno?... Całe życie będę wdzięczną, bo... wspomnienie nieboszczki Latterowej...

— Proszę pani, nawet nie wiem, czy mi wypadałoby mówić o tym z panem Norskim — odparła zakłopotana Madzia.

— Pani nie wypada?... — zdziwiła się dystyngowana dama. — Przecież w domu nieboszczki — on, Solscy i pani tworzyliście jedną rodzinę...

— Pan Kazimierz tak sobie powiedział... — rzekła smutnie Madzia. — Ja u jego matki byłam tylko damą klasową, niczym więcej.

— A wysadzany brylantami zegarek od panny Solskiej?... — badała zaniepokojona pani.

— Ada Solska lubiła mnie trochę, ale i na tym koniec. Cóż innego może łączyć ubogą jak ja dziewczynę z majątną panną?... Ada jest bardzo dobra dla wszystkich.

Po wyjściu Madzi pani Korkowiczowa zwróciła się do syna, który ogryzał paznokcie i, stuknąwszy się palcem w czoło, rzekła:

— Oho... ho!... Czyś ty uważał, jak ona się wykręca od pośredniczenia między nami i Norskim?... Coś w tym jest, nie uważałeś, Bronek?

— Dobrze robi!... — mruknął syn. — Po co ściągać do domu takiego drania.

— Bronek!... — krzyknęła pani uderzając ręką w stół — do grobu wpędzisz matkę, jeżeli będziesz wyrażał się jak cham... jak twój ojciec... Norski potrzebny mi do zawiązania stosunków z Solskimi... Rozumiesz?

Pan Bronisław machnął ręką i odparł ziewając:

— A już mama dobiera sobie pośredników... to Zgierski, to Norski!... Solscy także muszą być dranie, jeżeli się wdają z podobnymi facetami.

Rumieniec wystąpił na twarz pani.

— Słuchaj no — rzekła — jak mi jeszcze powiesz co złego o panu Zgierskim, to cię wyklnę!... Człowiek mądry, mający stosunki, nasz przyjaciel!...

— Przyjaciel, bo wtrynił staremu, diabli wiedzą po co, trzy tysiące rubli na dwanaście od sta... Śmiech powiedzieć, żeby Korkowicz pożyczał na dwanaście procent...

— Bo to jest delikatny prezent... Musimy Zgierskiemu wywdzięczyc się w jakiś sposób za jego serce dla nas... nawet dla ciebie... — odpowiedziała matka.

Przez kilka dni Norski nie pokazywał się w domu państwa Korkowiczów. Natomiast Madzia była z wizytą u Dębickiego i wróciła wzruszona.

Przypatrzywszy się jej oczom noszącym ślady łez, pani Korkowiczowa zapytała niby obojętnie:

— A pan Norski był u profesora Dębickiego?

— Właśnie... — odparła Madzia mocno rumieniać się. — Mówiliśmy o jego matce... Powiedział mi, że z Ameryki przyjeżdża tu jego ojczym z rodziną.

— Co za ojczym?...

— Drugi mąż pani Latter. Służył w wojsku Stanów Zjednoczonych, a obecnie jest przemysłowcem czy sprzedaje maszyny...

Wielomówstwo Madzi nie podołało się pani Korkowiczowej.

„Ta koteczka coś ukrywała!... — myślała pani. Czy ona aby nie intryguje przeciw nam? Panna Brzeska przeciw nam, i to jeszcze w domu Dębickiego, którego siostrzenicę przygarnęła do nauki... O, niewdzięczności ludzka!...”

Za wiele rozumu miała pani Korkowiczowa, ażeby Madzię posądzić o intrygi. Dla zabezpieczenia się jednak i z tej strony postanowiła wydać duży raut i posłała męża z wizytą do Norskiego.

Gdy pan Korkowicz wrócił sapiąc i szybko rozbierając się ze świątecznego odzienia, pani zapytała z niepokojem:

— Cóż Norski, przyjdzie?...

— Dlaczego nie miałby przyjść?... Każdy przyjdzie tam, gdzie mu dobrze jeść dadzą.

— Ej... Piotrus!... Ty coś uprzedzasz się do Norskiego... A to taki piękny człowiek... i lada dzień zostanie szwagrem Solskiego.

— Ale musi być łobuzina!... — stęknął pan, z trudnością zdejmując ciasny kamasz za pomocą chłopca do butów w formie jelonka.

— Co z tobą gadać — rzekła pani. — Uczciwy jesteś człowiek, ale dyplomatą nie będziesz...

— Phi!... zesłał mi Bóg takiego Metternicha w spódnicę, że na dwa browary wystarczy...

## 5. RAUT Z BOHATEREM

W najbliższą sobotę, jaka przypadła w drugiej połowie października, salony państwa Korkowiczów zajaśniały. Na schodach położono dywany i ustawiono kwiaty, przedpokój wypełnił się służbą, na czele której stał Jan wygolony, w granatowym fraku, czerwonej kamizelce i złotych spodniach.

— Czysta małpa z wyspy szczęśliwości!... — mruknął patrząc na niego pan Korkowicz.

— Mój drogi, tylko nie powiedz tego głośno, bo ludzie poznają, że masz zły gust i gminne wysłowienia — odrzekła pani.

Około jedenastej wieczorem zebrało się ze sześćdziesiąt osób. Większość stanowiły zamożne rodziny mieszczańskie: piwowarów, kupców, jubilerów, powoźników. Panie



poubierane w brylanty i jedwabie zasiadły wzdłuż ścian, aby zaczawszy rozmowę o teatrze zakończyć ją kwestią sług, które co roku są gorsze. Panienci rozbiegły się po kątach szukając towarzystwa literatów i artystów w celu dowiedzenia się najświeższych wiadomości o pozytywizmie, teorii Darwina, ekonomii politycznej i budzącej się podówczas kwestii kobiecej.

Młodzi fabrykanci i kupcy od razu wynieśli się na papierosa, ażeby tam drwić z uczonych panien i poetów, którzy nie mają całych spodni. Wreszcie ojcowie, ludzie tędy i poważni, źle dopasowani do swoich fraków, potrącający złocone meble, obrzuciwszy posępnym wzrokiem swoje żony i córki przeszli do pokojów karcianych.

— Hrabskie przyjęcie! — rzekł fabrykant powozów do dystylatora. — Bekną kilkaset rubli.

— Albo ich nie stać? — odparł zaczepony. — Każdy hrabia, kto ma pieniądze. Jakże, siadamy?... Ja z tamtym, a pan z nim...

Rozmieścili się; obok przy innych stołach zasiadły inne grupy i wkrótce — znikli wszyscy w dymie doskonałych cygar. Tylko od czasu do czasu odezwał się kto: pas!... trzy bez atu!... a niechże cię!... kiedy bo pan nie słuchasz licytacji!...

O wpół do dwunastej w salonach i pokojach karcianych zrobił się szmer. Jedni pytali: co się stało?... inni szeptali: już jest!... Mamy i ciocie od niechcienia zwróciły oczy ku drzwiom, nie dlatego, broń Boże, ażeby je ktoś zainteresował, ale — ot tak sobie. Córeczki i siostrzenice jedna po drugiej przerywały rozmowę o pozytywizmie i Darwinie i — spuszczały oczy, co nie przeszkodziło im wszystkiego widzieć. Poeci, literaci, artyści i w ogóle — inteligencja, poczuli się osamotnionymi; młodzi fabrykanci w dalszych apartamentach doznali niepokoju i zaczęli gasić papierosy.

Pani Korkowiczowa oderwawszy męża od kart wbiegła z nim do przedpokoju, gdzie pan Kazimierz Norski zdejmował palto, a pan Zgierski mówił do jednego ze służących:

— Uważasz, kochanku, nasze paltoty miej pod ręką, bo musimy wyjść...

— Jakież zaszczyt!... jakżeśmy wdzięczni!... — zawołała pani Korkowiczowa i wyciągnęła do Norskiego obie ręce, które natychmiast pochwycił Zgierski zwracając wybuch radości pani domu na własną osobę.

— Co za zaszczyt!... Mężu... Jakże, czy państwo Solscy jeszcze nie przyjechali? — mówiła dama.

— Mają przyjechać w tych dniach — odpowiedział Norski.

Jan w pąsowej kamizelce i żółtych spodniach szeroko otworzywszy drzwi do salonu zawołał:

— Jaśnie wielmożny pan Norski...

— Pan Norski!... — powtórzyła pani Korkowiczowa, rozkosznie zawieszona u ramienia młodego człowieka.

— Szwa... to jest przy... — wtrącił oszołomiony pan Korkowicz.

Pani odwróciła głowę i przeszła męża tak rozpaczliwym spojrzeniem, iż ten zaprzysiągł sobie milczeć.

— Musiałem palnąć jakieś głupstwo? — szepnął mimo to Korkowicz do Zgierskiego.

— Ach!... — oburzył się Zgierski słodko przymykając oczki.

W sali zrobiło się cicho, później — tu i owdzie zaczęto szeptać:

— Cóż to znowu?...

— Jeszcze nikogo nie prezentowano w taki sposób.

— Myślałby kto, że królewicza sprowadzili...

Lecz szmer umilkł. Norski był tak piękny, że mamy i ciocie przypatrując mu się pohamowały wybuch oburzenia, a córki i siostrzenice były gotowe przebaczyć mu wszystko.

— Piękny jak grzech śmiertelny! — rzekła pełnoletnia emancypantka do osiemnastoletniej turkawki z szafrowymi oczyma.

Turkawka nie odpowiedziała nic, ale serce jej gwałtownie biło.

Po odbyciu szczegółowej prezentacji i wymianie grzeczności z najpoważniejszymi damami Norski nagle przeszedł w kierunku fortepianu. Obecny zdawało się, że w tej chwili fortepian i grupa siedząca obok niego — rzucają blaski.

— Kto tam siedzi?...

— Linka i Stasia Korkowiczówny.

- A z kim on tak rozmawia?...
- Z guwernantką Korkowiczów.
- Kto ona jest?... Jak się nazywa?...

Kilkuminutowa rozmowa Norskiego wystarczyła do zwrócenia powszechnej uwagi na Madzię, której dotychczas nikt nie spostrzegł. Starsze panie zażądały, aby gospodyni przedstawiła im swoją guwernantkę, a młodsze panienki na wyścigi biegly witać się z Linką i Stasią i przy okazji zaznajomić się z Madzią.

Nawet młodzi fabrykanci ociężałym krokiem poczęli zbliżać się do nauczycielki albo obserwować ją z daleka.

— Pi!... pi!... — szepnął jeden. — Ależ to ładna dziewczka...

— A zgrabna... Jak żywe srebro...

— Ponosiłaby...

— Jak kogo!... — mruknął młody dystylator mający opinię siłacza. — Co mówisz Broniek?...

— Eh! daj mi tam spokój... — odparł gniewnie młody Korkowicz.

— Psiakrew!... — westchnął czwarty.

— No, no, no... panowie młodzi, głę na angielski zatrząsk, bo to porządna dziewczyna — wtrącił półgłosem Korkowicz starszy.

— Cóż się tatko tak ujmuje?... — spytał gburowatym tonem pan Bronisław, spod oka patrząc na twórcę swoich dni.

Korzystając z chwili okrągłutki jak piłeczka pan Zgierski potoczył się do gospodyni domu i miłośnie patrząc na nią rzekł słodkim głosem:

— Wspaniały raut, daję słowo!... A ledwie wyciągnąłem Kazia, który gwałtem zabierał mnie do hrabiego Sowizdrzalskiego...

— Jak to, miałby nie przyjść do nas?... — spytała zdumiona pani.

— No, tego nie mówię... owszem... Tylko nie dziw, że rozpieszczony bywalec rwie się do towarzystwa lekkoduchów... Ma być tam książę Gwizdalski, hrabia Rozdzieralski... brylantowa młodzież — objaśniał Zgierski.

— Ale na kolacji panowie zostaniecie u nas — rzekła nieco zirytowana gospodyni.

Zgierski podkreślił ufarbowanego wąsika i pobożnie wznosił oczy do nieba. Gdy zaś pani Korkowiczowa odeszła, zbliżył się do Madzi i tkliwie uściskawszy jej rękę rzekł głosem, w którym drgało uczucie:

— Przypominam się pani... Zgierski. Przyjaciel (tu westchnął) nieboszczki, a (ośmielę się uzurpować sobie ten honor) i — przyjaciel pani...

Madzia była tak wzruszona ogólnym zajęciem się nią, że chcąc choć na chwilę odpocząć wskazała przy sobie krzesło Zgierskiemu.

Zaproszony usiadł i pochyliwszy piękną łysinę, na której malowała się pogoda duszy, zaczął mówić miłym półgłosem:

— Cieszę się, że panią spotykam w tym domu... Od pół roku życzyłem państwu Korkowiczom towarzystwa pani i... z przyjemnością widzę, że projekt mój należy do tych, które się udały. Dawno pani miała wiadomości od panny Heleny?...

— O, bardzo dawno.

— Tak! — westchnął Zgierski — nie otrząsnęła się jeszcze biedaczka... Dzieci te, Kazio i Helenka (przy pani zawsze je tak będę nazywał), żywo mnie obchodzą... Dla ustalenia ich przyszłości muszę zbliżyć się do Solskich, a pani mi w tym pomoże. Czy tak?...

— Cóż ja mogę? — szepnęła Madzia.

— Wiele... wszystko!... Jedno słówko rzucone w porę, gdzie należy... jedno napomknięcie mi, o czym należy... Panno Magdaleno — mówił wzruszony — dzieci te, dzieci serdecznej przyjaciółki pani, bardzo mnie obchodzą... Oboje musimy zająć się ich przyszłością... Pani pomaga mnie, ja pani... Jesteśmy sprzymierzeńcy... A teraz — działanie i tajemnica...

Wstał z krzeselka i obrzucił Madzię takim spojrzeniem, jakby w jej ręce złożył przyszłość świata. Potem wymownie uściskał ją i znikł w tłumie.

Od strony pieca niedźwiedzim krokiem zbliżył się do Madzi pan Bronisław i rzekł:

— Co znowu ten tam pani gitarę zawraca?... Niech mu pani nic nie wierzy...

Z drugiej strony krzesła znalazł się obok Madzi pan Korkowicz ojciec.

— Cóż to — spytał — za tajemnice opowiada pani Zgierski?... Nie radzę mieć z nim sekretów, bo to stary umizgus...

— A co ojcu do tego, kto się umizga?... — odezwał się pan Bronisław i krzywo spojrzął na ojca.

Madzia nie spostrzegła ich starcia myśląc o Zgierskim. Widziała go na pensji pani Latter po jej ucieczce i nieszczerze zrobił na niej wrażenie. Coś niezbyt pochlebnego słyszała o nim, zdaje się, że od gospodyni, panny Marty; dziś znowu obaj Korkowicze mówią o nim z przekąsem...

„Widocznie dobry człowiek — myślała — tylko ma nieprzyjaciół. Rozumie się, że zrobię wszystko dla Helenki i dla pana Kazimierza... Ale co ja mogę!...”

Była rozrzewniona troskliwością Zgierskiego o dzieci pani Latter i dumna, że ją przyjął na powiernicę.

Pani Korkowiczowa mocno zajmowała się gośćmi: każdy obecny usłyszał od niej jakieś pytanie albo uprzejme słówko; każdego usiłowała zabawić albo obsłużyć. Była więc kolosalnie zajęta, lecz mimo to nie uszło jej uwagi powodzenie Madzi. Przed godziną nieznaną, nikomu nie prezentowaną, zapomniana w kącie guwernantka stała się nagle środkiem ciężkości rautu. Z nią najdłużej i kilkoma nawrotami rozmawiał bohater wieczoru — pan Noriski; ją o coś prosił czy zwierzał się człowiek tak ustosunkowany jak pan Zgierski; dokoła niej krążyły panienki; z nią zapoznawały się damy poważne stanowiskiem i wiekiem; ją z przyzwoitej odległości bombardowali spojrzeniami młodzi panowie.

Nawet zdaje się, a pani Korkowiczowa rzadko myliła się w podobnych wypadkach, pomiędzy jej własnym mężem i jej rodzonym synem wynikła jakaś sprzeczka — z pewnością o Madzię. Toteż nie dziw, że na jasnym czole gospodyni domu utworzyła się zmarszczka wcale nie godząca się z dobrotliwym uśmiechem ust i blaskiem, policzków.

— Zainteresował się pan naszą nauczycielką... Prawda, że ładna?... — spytała pani Korkowiczowa Zgierskiego, który ciągle starał się być w pobliżu niej.

— O, znam ją od dawna — odparł. — Serdeczna przyjaciółka panny Solskiej...

— Miał pan przy niej minę skruszoną — rzekła pani.

— Bo też panna... panna... nauczycielka pani wiele może w tych sferach, w których ja zaledwie jestem... dobrym znajomym. Wiele może!... — dodał znaczącym tonem pan Zgierski.

Serce pani Korkowiczowej przeszły w tej chwili dwa sztylety: jednym był żal do Madzi, że ciągle odnosi zwycięstwa, drugim — tkliwość, szczerą tkliwość dla Madzi, że tak wiele może w pewnych sferach.

„Jeżeli tak wiele może — pomyślała pani — to musi zaznajomić nas z Solskimi... Bo wprawdzie panna Solska jest brzydka, ale Broniek ma zbyt wiele rozumu...”

Podano kolację, w ciągu której ukazywały się i znikwały misy kawioru, sterty ostryg, stopy dzikiej i hodowanej zwierzyny i omal że nie konewki szlachetnych trunków. Korci szampa strzelały tak często, że ogłuszony pan Zgierski zaprzestał słuchać swoich sąsiadek, a oddał się wyłącznemu badaniu treści półmisków i wnętrza butelek.

Około trzeciej wszyscy panowie znaleźli się w doskonałych usposobieniach, przy czym miało miejsce nadzwyczajne zjawisko psychologiczne. Jedni z biesiadników twierdzili, że pan Noriski siedzi przy kolacji i że go widzą, drudzy — że tenże pan Noriski zniknął przed kolacją. Potem pierwsi zaczęli twierdzić, że Noriskiego wcale nie było, a zaś drudzy, iż — jest, ale w innym pokoju. Że zaś zapytany o rozstrzygnięcie sporu, gospodarz z równym przekonaniem godził się na obie opinie, więc w końcu nie było wiadomo, co jest prawdą: czy że Noriski nigdy nie istniał na świecie, czyli też, że przy kolacji znajduje się kilku Noriskich, którzy naumyślnie tak pokierowali rozmową, ażeby zakłopotać towarzystwo?

I już energiczniejsi panowie półgłosem zaczęli protestować przeciw niewłaściwym żartom, gdy — nowy wypadek skierował uwagę biesiadników w inną stronę.

Oto rozmarzony pan Bronisław ucałował pulchne ramię pełnoletniej emancypantki, która bawiła go traktatem o Szopenhauerze, a gdy ten przygotowawczy manewr został mile przyjęty, pan Bronisław oświadczył, że ją namiętnie kocha.

Przytomne dziewczę natychmiast uroniło łezkę szczęścia, a jej wuj (tęgi przemysłowiec), który znalazł się obok pana Bronisława, zaczął go ścisnąć i wyznał publicznie, że nie życzy sobie lepszej partii dla siostrzenicy.

Wówczas zdarzył się fakt niezwykle. Młody Korkowicz zerwał się z krzeselka, przetarł oczy, jak człowiek zbudzony ze snu, i bez ogródki wyznał tak pannie, jak jej wujowi, że... on omylił się, ponieważ afekta jego skierowane są do innej osoby, której na próżno upatrywał przy stole.

Szczęściem był to już koniec kolacji, dzięki czemu goście mogli wstać od stołu, a następnie — szybko rozjechać się do domów.

W przykrew chwili Opatrzność do ratowania honoru Korkowiczów powołała Zgierskiego. Roztropny ten człowiek nie tylko nie podniósł się od stołu razem z innymi, ale jeszcze w imię przyzwoitości głośno zaprotestował przeciw opuszczaniu biesiady. Co gorzej, nie tylko nie wyjechał z większością towarzystwa, lecz nawet nie chciał ruszyć się z krzesła. Dopiero ktoś ze służby znalazł jego palto, wsadził go w dorożkę i odwiózł do mieszkania.

Kiedy owionęło go świeże powietrze, pan Zgierski zapomniał o przygodzie młodego Korkowicza, ale przypomniał sobie rozmowę z Madzią.

„Miła, miła dziewczyna — myślał — muszę się i nią zająć. A nade wszystko muszę trafić przez nią do Solskich, bo mi Korkowiczowa urwie głowę, jeżeli ich nie zapoznam...”.

Natychmiast po wyjeździe gości pani Korkowiczowa zajęła się odbieraniem srebra od służby, a pan Korkowicz na pewien czas zamknął się w swoim gabinecie sam na sam z wodą sodową i cytryną. O czym rozmyślał, nie wiadomo, dość, że o piątej rano wezwał do siebie żonę i syna.

Pan Bronisław przedstawiał żalony obraz, zdolny wzruszyć najmniej tkliwe serce macierzyńskie: miał twarz bladą i nalaną, mętne spojrzenie i rozczochrane włosy. Na jego widok pani Korkowiczowa z trudnością mogła wstrzymać się od łez, ale ojciec nie wyglądał na rozczulonego.

Spostrzegłszy na biurku życiodawcy wodę sodową pan Bronisław niepewną dłonią ujął szklankę i zbliżył ją do syfona. Ale ojciec wyrwał mu szklankę i krzyknął:

— Ręce przy sobie! Nie po to cię zawołałem, ażebyś mi wypijał wodę...

— Piotrusiu — błagalnie odezwała się matka — spojrzij, jak on wygląda...

— Niech go diabli wezmą — odburknął starszy pan. — A ja jak będę wyglądał przez niego?... Coś ty, słuchaj, zrobił pannie Katarzynie?... Jak śmiałeś pocałować ją w ramię czy gdzie tam?...

— Ma też ojciec o co wyrabiać takie krzyki — odparł apatycznie pan Bronisław. — Pomieszało mi się w głowie, i tyle... Myślałem, że to Magdzia...

— Hę?... — zapytał ojciec podnosząc się z fotelu.

— No, myślał, że to guwernantka... — szybko wtrąciła pani Korkowiczowa.

— Guwernantka?... — powtórzył pan nadstawiając ucho.

— Przecież Bronek ma tyle taktu, że na trzeźwo nie zrobiłby nic podobnego pannie z towarzystwa — mówiła matka mrugając na młodego człowieka. — Jutro ją i jej wuja przeprosi i będzie po wszystkim. Sama wreszcie panna Katarzyna powiedziała mi żegnając się, że uważa to za żart.

— Nie ma o czym gadać!... — odezwał się pan Bronisław. — Ja przecie zaraz z miejsca powiedziałem jej wujowi, że omylił... Ja przecie nie pannę Katarzynę...

— Nie pannę Katarzynę chciałeś pocałować w żywe mięso, tylko kogo?... — badał dalej ojciec.

— No, Magdzię... Nie ma o czym gadać!... — odparł pan Bronisław zasłaniając ręką usta w celu ziewnięcia.

W tej chwili ojcu zsiniała twarz i tak uderzył pięścią w biurko, że syfon podskoczył, a szklanka spadła na dywan.

— A łajdaku!... — krzyknął Korkowicz. — A farmazońskie nasienie!... To ty myślisz, że ja w moim domu pozwolę kompromitować uczciwą dziewczynę?...

— Ale czego się irtujesz, Piotrusiu?... Przecież nic się nie stało guwernantce — reflektowała pani.

— Bo tatko o nią zazdrosny — mruknął pan Bronisław.

— O kogo?... co ty mówisz?... — zapytał zdumiony ojciec.

— A o Magdzię. Stawia się do niej tatko jak cietrzew... Ile razy widziałem.

— Widzisz, Piotrusiu! — wtrąciła pani. — Sam dajesz chłopcu zły przykład, a potem gniewasz się...

— Ja?... zły przykład?... — powtarzał Korkowicz chwytając się za głowę.  
— Uśmiechasz się do niej... nadskakujesz... poufale rozmawiasz... — mówiła pani z ożywieniem.

— A ja przecie młodszy od tatki i mnie to prędzej uchodzi — dodał syn.

W tej chwili ojciec schwycił go za klapy fraka i prawie przyniósł do lampy.

— Toś ty taki?... — rzekł spokojnym głosem patrząc mu w oczy.

— Ja z uczciwą dziewczyną postępuję jak człowiek uczciwy, a ty, błaznie, śmiesz mówić, że staję jak cietrzew?...

— Piotrusiu!... Piotrusiu!... — odezwała się przerażona pani usiłując drżącymi rękoma uwolnić syna z ojcowskich objęć. — Piotrusiu... przecie to był żart...

— E!... — mówił stary wciąż spokojnym głosem — widzę za wiele żartów w moim domu. Tobie uchodzą umizgi, boś młodszy?... Prawda. Umizgajże się do dziewczyny, ale... zaraz mi się oświadczyć o nią...

— Piotrus!... — krzyknęła pani. — Tęgo już za wiele...

— Nie chcesz, ażeby się twój synek żenił z doktorówną?

— Do grobu mnie wpędzisz!... — odparła wstrząsając się pani.

— Aha!... nie podobało się pani małżeństwo... No to poczekajcie... Bronek... — mówił ojciec tonem stanowczym — jutro wyprowadzisz się z domu do fabryki... jest tam pokój... Zapędzę ja cię, kochanku, do roboty... dam ci dobry przykład... będziesz i ty stawał jak cietrzew, ale do kadzi...

— Ale, mężu...

— Nie zwracajcie głowy! — krzyknął ojciec. — Tak będzie, jak chcę, i basta... Już chłopca wychowałam na lajdaka; jeżeli dziewczęta mają takie same zasady, to pójdą... wiesz gdzie?... Muszę ja i do tej fabryki zaglądać, bo ta chyba najgorsza... Jak przywiążesz fartuch do pasa i włożysz treпки na bosc nogi, odechce ci się bałamuctw... — dodał zwracając się do syna.

Pan Bronisław był w tej chwili bledszy aniżeli na początku rozmowy, ale spojrzenie miał przytomne. Wziął ojca za rękę i ucałowawszy go w łokieć wymruczał:

— Przecie proszę tatki... przecie... ja mogę się oświadczyć Magdzi...

— Ani mi się waź!... — zawołała matka. — Po moim trupie...

— Naprzód, kochanku, weźmiesz się do roboty, a o żeniacze później...

— Po moim trupie!... do grobu mnie chcecie wpędzić!... — mówiła z uniesieniem pani.

— Dosyć komedii — przerwał ojciec. — Ja muszę jechać do browaru, a wy idźcie spać. Bronek!... — dodał na pożegnanie — jeżeli mi kiedy zaczepisz nauczycielkę, to cię tak zbiję jak dwa lata temu... Pamiętasz?

— Przecie ja się chcę z nią ożenić...

— Wynoś się.

Gdy oboje z matką znaleźli się w korytarzu, pan Bronisław rzekł półgłosem:

— A widzi mama, że stary mi zazdrości!... No, dobranoc...

Wyszedł do sieni. Pani Korkowiczowa stanęła pod drzwiami Madzi i grożąc pięścią rzekła:

— Poczekaj, ty emancypantko... Niech no ja poznam się z Solskimi, a zapłacę ci za wszystko...

## 6. SOLSCY PRZYJEŹDZAJĄ

Pierwszego dnia po wspaniałym rauciu ani starszy, ani młodszy pan Korkowicz nie zasiedli do stołu. Na drugi dzień pan Korkowicz, syn, kazał przynieść obiad do swego pokoju, a ojciec wprawdzie był przy stole, lecz nie miał apetytu i zwymyślał Jana. Dopiero na trzeci dzień pan Bronisław ukazał się w jadalni z miną obrażoną, starszy zaś pan nie śmiał synowi spojrzeć w oczy.

Przez te ciężkie dnie pani Korkowiczowa narzekała na migrenę, klóciła się z córkami i ze służbą, hałaśliwie zamykała drzwi, z Madzią rozmawiała krótko, siląc się na uprzejmość.

— Piękne gospodarstwo! — rzekła w owej epoce Linka do Stasi. — Ze wszystkiego widzę, że rodzice musieli wydać dużo pieniędzy...

— A przy tym Broniek coś zmalował — odparła Stasia. — Podobno uszczypnął pannę Katarzynę przy kolacji...

— A brzydko!... — zgromiła ją oburzona Madzia. — Jak możecie powtarzać takie wyrazy, których wstydziliby się służba w kuchni?

— O, proszę pani!... nam to powiedzieli w garderobie...

— No, moje drogie, nie powtarzajcie tego... — rzekła Madzia całując Stasię i Linkę. W duchu zaś dodała:

„Biedni państwo Korkowiczowie! Ponieść tyle kosztów na raut, ażeby kupić migrenę i zmartwienie... Biedni ludzie...”

I cierpliwie czekała na rozejście się złych humorów, jak ludzie wiejscy oczekują mi-  
nienia niepogody robiąc swoje.

Cierpliwość jej została wynagrodzona nawet prędzej, aniżeli można było przypuszczać. Pewnego dnia wpadła do sali wykładowej pani Korkowiczowa bez tchu, ale promieniejąca radością, i zawołała:

— Wie pani co?... Przed chwilą był u mnie Zgierski i powiedział, że państwo Solscy przybyli w nocy do Warszawy... Dzisiaj zaś pan Solski ma wyjechać na parę dni do swego majątku, który graniczy z naszą fabryką...

— Więc są?... — powtórzyła Madzia i ognie ją oblały. — Ach, jak to dobrze...

Pani Korkowiczowa nie mogła pohamować objawów czułości, które wezbrały jak górski potok po deszczu.

— Kochana panno Magdaleno — rzekła obejmując Madzię — przebac mi, jeżeli zrobiłam ci przykrość w ciągu tych paru dni... Ale tak byłam zdenerwowana... tyle miałam przejść z mężem...

Zdziwiona tkliwością Madzia odpowiedziała, że w domu państwa Korkowiczów nie doznaje nic przykrego; owszem — pobyt w nim uważa za jedną z przyjemnych epok w życiu.

Pani powtórzyła uściski dodając:

— Zapewne panna Solska poprosi panią do siebie i sama panią odwiedzi. Proszę więc... niech się pani nie krępuje lekcjami... Może pani wychodzić i wracać, kiedy pani chce... A dla swoich gości ma pani do rozporządzenia nasz salon...

Wieczorem stary służący Solskich przyniósł do Madzi list dodając, że czeka na nią powóz. Pani Korkowiczowa straciła przytomność. Dała służącemu rubla, którego przyjął obojętnie, chciała go poczęstować szklanką wina, za które podziękował, a nawet — była gotowa sama odwieźć Madzię do panny Solskiej. Gdy zaś Madzia prędko ubrawszy się wybiegła z mieszkania, pani Korkowiczowa zawołała obie córki, Jana i pannę służącą do salonu i kazała im wyglądać przez okna.

— Patrzcie!... — mówiła gorączkowo — powóz panny Solskiej... Szkoda, że ciemno, choć zdaje mi się, że dosyć stary powóz, prawda, Janie?... O siada... O, już jadą... Konie nieszczęśliwe...

Po szerokich schodach pałacu Solskich Madzia w towarzystwie kamerdynera weszła na piętro. Minęła kilka dużych komnat, zapelnionych meblami w pokrowcach, i znalazła się przy zamkniętych drzwiach, do których kamerdyner zapukał.

— Proszę!... proszę!...

W pokoju oświetlonym lampą z abażurem, naprzeciw kominka, na którym płonęło kilka polan, zawinięta w szal, siedziała na kozetce Ada Solska.

— Jesteś nareszcie, włóczęgo! — zawołała Madzia biegnąc do niej.

— Nie całuj mnie, bo dostaniesz kataru!... A, teraz to już całuj, tylko nie patrz na mnie — mówiła Ada. — Moja ty kochana... moje ty złotko... Okropnie wyglądam... Stefan wczoraj otworzył okno wagonu i zakatarzyłam się na wieki... Słyszysz, jaki mam głos?... sześćdziesięcioletniej baby!... No, usiądź tu... no, jeszcze mnie pocałuj... Tak dawno nikt mnie nie całował! Stefan robi to jak za pańszczyznę, a Helena nie lubi pieścić się i ma usta chłodne jak marmur. No, mówże co do mnie?... Jakaś ty śliczna!... Co robisz, co masz zamiar zrobić?... Przecie niedługo rok będzie, jakeśmy się nie widziały...

Tak mówiąc Ada objęła Madzię w pól i okryła ją swoim szalem.

— Cóż ja mogę robić, moja złota? — odparła Madzia. — Jestem nauczycielką u państwa Korkowiczów, a na przyszły rok założę pensyjkę w Iksinowie.

— Nieznośni muszą być ci Korkowicze?

— Znasz ich?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Ach, czy znam!... Od pół roku zasypują nas listami, a dziś słyszałam o nich od pana Kazimierza, że to są niesmaczne pyszałki.

— Heła przyjechała?

— Została na kilka dni w Berlinie i przyjedzie ze swoim ojczymem.

— Moja kochana — rzekła Madzia — tu mówią o Heli i o panu Stefanie, że są zaręczeni?...

Ada wzruszyła ramionami i wzniosła oczy do sufitu.

— Cóż ja ci odpowiem? — odparła. — Byli po słowie, potem zerwali, znowu się zbliżyli, a teraz jest nie wiadomo co; podobno przyjaźń między nimi. Może pobiorą się, gdy Helena zdejmie żałobę... Gdyby jednak dziś wyszła za kogo innego, także nie zdziwiłabym się.

— Pan Stefan kocha ją?

— Prędkiej uparł się, że ona musi wyjść za niego.

— A ona?

— Czy ja wiem?... — mówiła Ada. — Kiedy Stefek umizga się do innych kobiet, Helena nie ukrywa zazdrości; ale kiedy wróci do niej, traktuje go chłodno. Może go i kocha... Stefka można kochać, o można!...

— A ty?

— Ja już nie zachwycam się Heleną jak dawniej... pamiętasz?... Nie chcę rywalizować ze Stefkiem... Ale rada bym, ażeby się pobrali, i wiesz dlaczego?... Byłyby w domu dzieci — rzekła Ada ciszej — piękne dzieci... A ja tak lubię dzieci, nawet brzydkie...

I ucałowawszy Madzię mówiła dalej:

— Cała nasza rodzina, wszyscy znajomi oburzają się na Stefka za ten projekt. A to panna bez posagu, a to bez nazwiska... A to córka samobójczyni... — dodała cicho. — Ale im oni więcej gniewają się, tym Stefek bardziej kamienieje w uporze...

— Teraz pan Stefan wyjechał? — spytała Madzia.

— Wyjechał do majątku. Wyobraź sobie, że chce stawiać cukrownię!... Bardzom zadowolona z projektu, bo Stefan zawsze desperował, że nie ma celu w życiu. Dziś ma cel i mówi: albo uszczęśliwię jakąś gromadę ludzi, albo będę robił pieniądze, które także są coś warte...

— Jak nasz Zdzisław — wtrąciła Madzia.

— Twój brat? — spytała Ada. — Jakże jemu się powodzi?

Madzia machnęła ręką.

— Taki widać los, ażebyśmy nie rozumiały naszych braci! — rzekła. — Zdzisław jest dyrektorem jednej czy kilku fabryk pod Moskwą, gdzie malują perkaliki. A pisał do mnie (prosząc o sekret przed rodzicami), że powodzi mu się bardzo dobrze, ale że teraz nie powie mi nic więcej... Myśli widać o zrobieniu rodzicom niespodzianki, ale ja go nie rozumiem.

— Powiedzże mi coś o sobie, moja droga — zakończyła Madzia.

— Ach, o mnie!... — odparła z westchnieniem panna Solska. — Napisałam rozprawę o rozmnażaniu się grzybów, a teraz pracuję nad mchami... Poznałam kilku znakomitych botaników, którzy chwalą moje roboty, no... i nic więcej... Muszę mieć jakąś nerwową chorobę, gdyż pomimo usilnej pracy ciągle mi jest smutno, nawet straszno... Zanim przysłaś, myślałam ciągle, że nasz dom jest za obszerny dla mnie... Czy ty sobie wyobrażasz, co to za męka mieć jedenaście pokoi dla takiej małej osóбки jak ja?... Boję się chodzić po nich... trwoży mnie ich ogrom i odgłos własnych kroków... Dziś, kiedy się zbliżył wieczór, kazałam je oświetlić, bo zdjął mnie strach, że nasi przodkowie opuściwszy portrety błakają się po pustych salach. Lecz doznałam przerażenia na widok oświetlonych a pustych apartamentów i — kazałam pogasić światła... Te same uczucia trapiły mnie w weneckich i rzymskich pałacach... Oto moje życie... W Zurychu było stosunkowo najlepiej, gdyż miałam tylko dwa pokoiki jak u pani Latter. Ale te czasy już nie wróca... Widzisz, jaki mam nieznośny katar?... — zakończyła panna Solska ocierając oczy chustką.

— Więc i tu przeniesiesz się do małych pokoików — rzekła Madzia.

Ada uśmiechnęła się smutnie.

— Nie wiesz — odparła — że samotność rozszerza najmniejsze mieszkanie?... Gdziekolwiek pójdę, zawsze będę sobą i zawsze sama.

— Wybierz sobie towarzystwo.

— Jakież?... Czy z tych ludzi, którzy mi pochlebiają, czy z tych, co mi zazdroszczą?...

— Masz przecie familię, znajomych.

— Dajże spokój — odparła Ada, pogardliwie wzruszając ramionami. — Już wolę moje mchy aniżeli tych ludzi, z którymi nie jestem w stanie rozmawiać. Nade mną, a szczególnie nad Stefką ciąży klątwa: mamy arystokratyczne mózgi, a demokratyczne wychowanie, no... i trochę wiedzy... Owoc z drzewa wiadomości wypędza nie tylko z raj, ale przede wszystkim z eleganckiego towarzystwa...

Podano kolację i herbatę, przy której obie przyjaciółki zasiedziały się do północy rozmawiając o pensjonarskich czasach.

Kiedy Madzia wróciła do domu, zastała w swoim pokoju rozgorączkowaną panią Korkowiczową.

— I cóż panna Solska?... — zawołała pulchna dama pomagając Madzi zdjąć okrywkę.

— Jest trochę chora, ma katar...

— Czy nie wspominała o nas?... Niech pani powie szczerze...

— Owszem — odparła zakłopotana Madzia. — Coś wspominała o listach państwa...

— Dobra... szlachetna kobieta!... Czy nie za gorąco pani w pokoju, bo kazałam napalić?... Jutro mąż jedzie do swej fabryki na prowincję, gdzie zapewne zbliży się z panem Solskim.

Madzia do trzeciej rano nie mogła zasnąć. Była wzruszona przyjazdem Ady, a nade wszystko jej smutkiem. Ciągłe widziała bogatą pannę zawiniętą w szal i tulącą się do kozetki; właścicielkę jedenastu pokojów, które były straszne po ciemku, a jeszcze straszniejsze, gdy je oświetlono.

„Czy to możliwe — myślała — ażeby Ada nie była szczęśliwą?... Ma ogromny majątek i siedzi samotna; jest dobra... najlepsza dziewczyna i nie może znaleźć towarzystwa. Chyba że na świecie nie ma sprawiedliwości, tylko jakiś traf, który jednym daje dobroć, a innym zadowolenie?...”

Przebiegł ją dreszcz. Jej przecie mówiono, że cnota otrzymuje nagrodę, i ona w to wierzyła. A jednak pani Latter i biedny Cynadrowski zostali ukarani śmiercią, podczas gdy bardzo wielu złych ludzi cieszy się życiem i powodzeniem!...

Przez kilka następnych dni powóz co wieczór przyjeżdżał po Madzię i zabierał ją do panny Solskiej. Pani Korkowiczowa była tym zachwycona, lecz nagle zmienił się jej pogląd.

Pan Korkowicz wrócił z fabryki zły jak diabeł. Właśnie trafił na obiad, przywitał rodzinę niedbale, a Madzię obojętnie i siadając do stołu odezwał się do żony:

— Było mnie też po co wysłać!...

— Jak to... — spytała pani. — Więc nie dokonałeś twego zamiaru?...

— Dajże mi pokój z zamiarami! — wykrzyknął. — To nie był mój zamiar, tylko twój kaprys... Moje zamiary są: ażeby piwo było dobre i ażeby go jak najwięcej kupowali!... Nie szukanie znajomości z arystokracją...

— Dość, Piotrusiu!... — przerwała pani błędąc. — Zawsze jesteś niezręczny... Gdyby z tobą pojechał Zgierski...

— Zgierski łże... on ich także nie zna... Solski to jakiś narwaniec czy zajęty...

— Proszę cię, Piotrusiu, dosyć... — przerwała pani. — Pan Solski musiał być mocno zajęty...

Pomimo gniewu pan Korkowicz jadł za czterech, ale pani straciła apetyt. Po obiedzie wyszła z mężem do jego gabinetu i odbyła długą konferencję.

Kiedy wieczorem o zwykłej godzinie zajeżdżał powóz po Madzię, Korkowiczowa zastąpiwszy jej drogę w korytarzu odezwała się z przekąsem:

— Co dzień jeździ pani do Solskich, a oni pani nie rewizytują?...

— Ada jest niezdrowa — odparła zmieszana Madzia. — Zresztą...

— Nie do mnie należy pani robić uwagi — mówiła szanowna dama — ostrzegam jednak, że z tymi panami z arystokracji trzeba się bardzo rachować. Jeżeli więc panna Solska nie odda pani rewizyty, nie wiem, czy wypada...

— Czyliż ja jestem w moim domu?... — odpowiedziała Madzia i aż drgnęła pomyślnie, że pani Korkowiczowa może jej słówko wziąć za obrazę albo wymówkę.



Ale skutek małej impertynencji był wprost przeciwny: pani rozczuliła się.

— A, panno Magdaleno — rzekła biorąc Madzię za rękę — czy godzi się w podobny sposób odpowiadać takiej jak ja przyjaciółce?... Nasz dom to pani dom... jesteś jakby naszą córką... możesz przyjmować w salonie, kogo chcesz... możesz nawet zaprosić państwa Solskich na obiad, którego się nie zawstydzimy... Jeżeli zaś zrobiłam uwagę o rewizycie, kochana panno Magdaleno, to tylko dla twego dobra... Ja przecież nie mogę pozwolić, ażeby ktokolwiek lekceważył osobę, która zasługuje na miłość i szacunek...

Madzia doświadczała dwóch uczuć: braku wiary w troskliwość pani Korkowiczowej i obawy, że może być natrętną wobec Ady.

„Pani Korkowiczowa jest o coś rozgniewana na Solskich — myślała — ale z drugiej strony ma słuszność... Po co ja narzucam się Adzie, z którą przecie nie będę utrzymywała trwałszych stosunków?... Ja — guwernantka i ona — wielka dama!...”

Kiedy w godzinę później znalazła się u panny Solskiej mniej śmiała niż zwykle, Ada spojrzawszy na nią rzekła:

— Tobie coś jest?... Wyglądasz, jakby cię spotkała przykrość. Może z domu?...

— Nic mi nie jest, kochanko — odparła Madzia spuszczać oczy.

W tej chwili wszedł do pokoju siostry Stefan Solski. Zobaczywszy Madzię zatrzymał się, a w skośnych oczach błysnęło mu zadowolenie.

— Oczywiście — rzekł — witam pannę Brzeską?... Ale wyznaję, że nie poznałbym pani...

Wziął ją za obie ręce, wpatrywał się w nią, a nozdrza grały mu jak rumakowi szlachetnej krwi.

— W Rzymie — mówił — malarze oblegaliby panią, ażebyś im pozowała... No, powiedz, Ada: czy to nie jest uosobienie dobroci?... No, powiedz: czy na tysiąc kobiet znajdzie się dziś jedna taka twarz?... Gdzie ja oczy podziałem, kiedyś panią pierwszy raz widział... No, sama powiedz, Ada...

Ścisnął ręce Madzi, pożerał ją wzrokiem i następował na nią tak, że zawstydzona cofać się musiała nie śmiejąc spojrzeć w jego czarne oczy, które rzucały iskry.

— Stefek!... — upomniała siostra, łagodnie odsuwając go od Madzi. — Obrazi się na ciebie... ona prawie cię nie zna...

Solski spoważniał.

— Chyba rozumiesz — rzekł do siostry — że wolalbym rękę stracić aniżeli obrazić twoją przyjaciółkę... I jeszcze taką!...

Szedł znowu do Madzi, ale Ada znowu go powstrzymała.

— Nie gniewaj się, moja złota — rzekła do Madzi — ale Stefek jest taki żywiec, że... Niech tylko co mu się podoba, zaraz... zaraz wyciąga ręce jak dziecko... Taki żywy i oryginalny, że nieraz wpędza mnie w kłopot... Wyobraź sobie, na audyencji u Ojca świętego tak podobała mu się statuетка Matki Boskiej, że nie odpowiadał na pytania...

Brat wyrwał się jej i znowu schwycił rękę Madzi.

— Przysięgam pani — zawołał — że jestem dobry chłopiec i Ada niepotrzebnie otacza mnie siecią konwenansów!... Wyznaję, że dopiero dziś przypatrzyłem się pani... Na twarzy pani jest jakiś dziwny wyraz, który kocham...

Madzia ukryła zarumienioną twarz na ramieniu Ady.

— Jeżeli pan będzie tak mówił, nigdy tu nie przyjadę... — odpowiedziała.

— Tak?... — zawołał. — Więc zostanę niemową, ale niech pani jak najczęściej odwiedza Adę. Zrobi pani uczynek miłosierny, bo moja biedna siostra jest zupełnie opuszczona... Ja rzuciłem się w interesa i bardzo być może, iż będziemy spotykali się z nią ledwie raz na tydzień...

Madzia milczała. Solski zrobił na niej wielkie wrażenie. Czowała w nim dziką siłę, wobec której nie ma oporu, ale którą on sam dobrowolnie spętał szacunkiem dla niej.

Solski posiedział jeszcze z pół godziny. Rozmawiali wesoło o Włoszech i Paryżu i Ada zapowiedziała Madzi, że gwałtem kiedy weźmie ją za granicę.

— Poznasz inny świat — mówiła. — Inaczej zbudowane miasta, inaczej uprawne pola, inne zwyczaje, nawet inne zasady...

— Inne zasady aniżeli gdzie?... — spytał Solski.

— Aniżeli u nas — odparła siostra.

— My nie mamy żadnych zasad! — rzekł ze śmiechem.  
— Uchybiasz samemu sobie.  
— Bynajmniej, tylko znam siebie i moje otoczenie... Sam nie mam zasad, ty ich nie masz.

— A pan Kazimierz? — spytała siostra.  
— On najmniej.  
— Czy i Dębicki? — dodała zarumieniona.  
— Chyba on jeden. Ale to człowiek podobny do kursu jeometrii: wszystko w nim jest pewne, uporządkowane i oparte na kilku pewnikach. Lecz cały ten aparat jest siłą martwą, która wprawdzie daje cenne wskazówki choćby do poruszenia ziemi, lecz sama nie podniesie nawet szpilki.

Solski był w dobrym humorze, choć było widać, że krępuje się wobec Madzi. Co chwilę zbliżał się do niej, lecz wnet odstępował; niekiedy chwycił ją za rękę i zaraz puszczał. Zdawało się, że robi mu przyjemność choćby dotknięcie jej sukni; po twarzy przebiegały mu błyskawice, a w skośnych oczkach zapalały się i gasły iskry.

„Okropny człowiek...” — pomyślała Madzia czując, że wywiera na nią wpływ, któremu niepodobna się oprzeć.

Solski wyszedł, jeszcze ode drzwi spoglądając na przyjaciółkę swej siostry, a wkrótce i Madzia pożegnała Adę.

— Adziu — rzekła nieśmiało — mam do ciebie prośbę... Nie przysyłaj po mnie co dzień...

— Boisz się Stefka?... Obraził cię?... — zapytała Ada patrząc na nią wylęknionymi oczyma. — Ależ ty go nie znasz... to najszlachetniejszy człowiek!...

— Jestem pewna, że tak... Wreszcie nie o niego chodzi, tylko o... moją chlebobawczynię, która (chwilami tak mi się zdaje) zazdrości mi waszej znajomości... Ale ani słowa o tym, Ado... Mogę się mylić, nawet z pewnością myślę się... z tym wszystkim...

— Ach, jacyż to nieprzyjemni ludzie!... — odparła Ada marszcząc brwi. — Pan Kazimierz tyle mi naopowiadał o ich manierach, że prawie ich nie lubię... Gorsze jednak to, że pan Korkowicz robi formalną obławę na Stefka, który wrócił ze wsi zirytowany na niego.

— No, więc sama widzisz, że nie mogę bywać u was tak często — zakończyła Madzia.

Umówiły się, że Madzia odwiedzać będzie Adę co niedzielę przed wieczorem, powóz zaś już nie będzie przyjeżdżał.

— Bo wiesz co?... rzuć ich i sprowadź się do mnie — rzekła panna Solska.

— Czy ja mogę to zrobić?... Mam przecie z nimi umowę.

Ucałowały się jeszcze raz na połowie schodów.

## 7. SŁÓWKO JASNOWIDZĄCEJ

Nadciągnęła jesień. Na niebie zasłoniętym chmurami, podobnymi do rzadkiego dymu, po kilka dni nie ukazywało się słońce. Bruki ledwie wynurzały się z powodzi błota; ściany domów nabrały brudnej barwy; powietrze nasyciło się wilgotną mgłą zamieniającą się w drobny deszczyk. Przemoknięte wróble uciekając z nagich drzew gromadziły się na gzymsach i zaglądały do mieszkań ciemnych i ponurych.

Solscy ani razu nie odwiedzili państwa Korkowiczów, a nawet tak gościnnie przyjmowany Norski wcale się nie ukazał. Pan Korkowicz od rana do wieczora siedział w browarze, niekiedy nawet zrywał się w nocy i biegł do fabryki potracając czasem w bramie syna, który wracał z kolacji. Pani Korkowiczowa była zamyślona i pochmurna jak jesień, a raz zapytała Zgierskiego, który dość częstym bywał u nich gościem:

— Cóż się dzieje z Solskimi?... Pięknie pan dotrzymuje słowa!...

— Nie rozumiem — odparł rozkładając ręce. — Robiłem, co mogłem, ażeby zbliżyć państwa... Widocznie jednak są silniejsze wpływy od moich...

— Domyślam się!... — rzekła.

— O, tylko proszę niczego nie domyślać się! — zaprotestował Zgierski spoglądając na nią wzrokiem, który pozwala domyślać się wszystkiego.

„Poczekaj, panienko!... — rzekła do siebie pani Korkowiczowa. — Zobaczysz, co to znaczy: jak Kuba Bogu. tak Bóg-Kubie...”

Pewnego dnia kazała Janowi poprosić Madzię do swego gabinetu.

— Panno Brzeska — zaczęła — chcę pomówić z panią o drażliwej kwestii...

Madzię oblał mocny rumieniec.

— Nie robię wymówek — prawda dalej — ponieważ ja sama zaakceptowałam plan jej, co do kształcenia moich panienek. Widzę jednak, że obecny system jest zły. Dziewczęta zamiast grać na fortepianie i malować, co przystoi pannom z towarzystwa, spędzają większą część dnia w garderobie, szyją jakieś lachmany albo uczą lokajczyka... Co gorsze, na własne uszy słyszałam ich rozmowę o tym, że jedna już nie kocha się w panu Stukalskim, a drugiej obrzydł pan Zacieralski... Okropność!...

— Pani przypuszcza, że to z mojej winy?... — żywo przerwała Madzia.

— Za pozwoleniem... Ja nic nie przypuszczam, tylko zaznaczam brak dozoru. Panienki muszą mieć zbyt wiele czasu, skoro zajmują się podobnymi kwestiami. Dlatego, ażeby nieco więcej zaabsorbować ich uwagę, prosiłam o lekcje panny Howard. Panna Howard ma wyklądać im trzy razy na tydzień i właśnie dziś przyjdzie...

To powiedziawszy pani kiwnęła głową na znak, że konferencja skończona.

— Ale... ale!... — dodała. — Obecnie panienki moje będą tak zajęte, że chyba uwolni je pani od szycia i pracy z Michasiem...

Biedna Madzia w korytarzu załała się łzami; znalazłszy się zaś w swoim pokoju wypląkała się serdecznie.

„Mój Boże!... — myślała łkając — nie mogę być nauczycielką... Więc z czego będę żyła?... co powiedzą rodzice?...”

Tego samego dnia przyszła panna Howard i po rozmowie z panią Korkowiczową odwiedziła Madzię.

— Kochana panno Magdaleno — rzekła właściwym sobie tonem nie dopuszczającym dyskusji. — Niech pani nie sądzi, że wdzieram się w jej prawa... Dziewczęta mogą z panią powtarzać kursa pensjonarskie, ja im wykładam co innego. Będzie to historia wpływu kobiet na rozwój ludzkości poczynając od mitycznej Ewy, której zawdzięczamy popęd do naukowych badań, a skończywszy na Alicji Walter, która kierowała armiami Stanów Zjednoczonych w czasie ostatniej wojny...

Nie krytykuję systemu pani — mówiła dalej. — Piękna to rzecz pielęgnować w dzieciach uczucie litości!... Zwracam jednak uwagę, że już za wiele mamy kobiet litościwych, a za mało samodzielnych... Ja więc będę kształcić ich samodzielność.

Następnie panna Howard prosiła o przedstawienie sobie Linki i Stasi i zaczęła wykłady.

W pierwszych dniach obie panienki niechętnie przyjęły nową mistrzynię. Mówiły, że jest brzydka i że musi być zła, ponieważ ma rudawe włosy. Narzekały też, że nic nie rozumieją z historii wpływu kobiet na rozwój ludzkości. Ale gdy po pewnym czasie panna Howard zaleciła dziewczynkom naukę konnej jazdy, były zachwycone.

I z tym samym zapałem, z jakim miesiąc temu uczyły Michasia, dziś zajęły się konną jazdą. Ubierały się w amazonki i wysokie kapelusze, wymieniały między sobą szpicrózgi i po całych dniach rozmawiały o nowych znajomych, o tym, jak która trzyma się na koniu albo jak to będzie pięknie, gdy na wiosnę urzędzą spacer za miasto — wierzchem.

Pan Stukalski, mistrz fortepianu, i pan Zacieralski, malarz, poszli w ką; ich miejsca w sercu Linki i Stasi zajęli panowie: Galopowicz i Wybuchowski, młodzi i przystojni pomocnicy właściciela tatarsalu.

Madzia już nie mogła zadawać im lekcji; obie panienki uczyły się tylko z nią i tylko przez miłość dla niej. Po skończeniu zaś wykładu książki i kajety zostawały na stole, a Linka i Stasia biegle do garderoby, ażeby przebrać się w amazonki.

Położenie Madzi w domu państwa Korkowiczów stawało się coraz trudniejsze. Niekiedy, zrozpaczona chciała podziękować chlebodawcom za pracę, a potem błagać pannę Malinowską o zajęcie na pensji albo o lekcje prywatne. Wnet jednak opamiętywała się.

„Cóż to — myślała — będę zmieniać miejsce co kwartał?... Wszędzie są jakieś przykrości, a obowiązkiem człowieka jest wytrwać. Zresztą moim dziewczynkom znudzi się konna jazda, a wówczas znowu mniej będę miała z nimi kłopotu... Za dobrze działa mi się w życiu i dlatego łatwo tracę odwagę...”

Kiedy raz poskarżyła się przed panną Howard, że panienki coraz mniej mają ochoty do nauki i są zanadto śmiałe, panna Howard zdziwiła się.

— Jak to? — rzekła — więc pani nie cieszy się, że w dziewczętach rozwija się samodzielność?... Czyliż tylko chłopcy mają rwać się do ćwiczeń fizycznych?... Oni tylko mają posiadać przywilej głośnego mówienia i śmiałych ruchów?... O, panno Magdaleno, minęły czasy, kiedy obłudne rumieńce i spuszczenie oczu stanowiło wdzięk kobiecy!... Nieustrasżoność, umiejętność dawania sobie rady w najgorszym położeniu — oto zalety kobiet nowych.

Pewnego dnia pani Korkowiczowa znowu wezwała do siebie Madzię i rzekła:

— Uważam, że pani coraz dłużej odbywa lekcje z dziewczynkami... Taka praca nie może być korzystną ani dla pańienek, ani dla samej pani, i dlatego oświadczyłam listownie panu Dębickiemu, że jego siostrzenica nie może już uczyć się u nas.

— Wysłała pani ten list?... — zawołała Madzia z przestachem.

— Tak... I pan Dębicki zgodził się ze mną...

— A... na to chyba nie zasłużyłam!... — odparła Madzia. — Przecież to dziecko nie przeszkadzało naszym dziewczynkom... I co ja teraz powiem panu Dębickiemu?...

Rozpląkała się, a zaniepokojona pani Korkowiczowa od surowego tonu przeszła nagle do czułości.

— Ależ ja chciałam pani dogodzić, panno Magdaleno... mnie pani żal... — mówiła dodając w duchu, że jeżeli Madzia ją opuści, zniknie resztką nadziei zapoznania się z Solskimi. A tak, może ją przecież kiedy odwiedzą...

Raz wieczorem (był to dzień powszedni) przed dom państwa Korkowiczów zajechał znowu powóz Ady, a kamerdyner oddał Madzi list.

„Onegdaj — pisała panna Solska — Helenka wróciła zza granicy ze swym ojczymem i jego rodziną. Dziś wszyscy są u mnie na herbacie, więc przyjeźdź, gdyż pragną cię poznać.”

Pani Korkowiczowa chętnie zgodziła się na wizytę Madzi, która z największym niepokojem, ubrawszy się w nową sukienkę, pojechała.

W przedsiönku jeden ze służby zatrzymał kamerdynera i coś z nim szeptał. Po chwili wbiegła panna służąca Ady; poznawszy Madzię cofnęła się, lecz niebawem wróciła prosząc Madzię do pokoju.

— Tylko niech pani będzie łaskawa wchodzić bardzo cicho i zatrzyma się z daleka, bo tam jest jedna pani, która wywołuje duchy... — mówiła wzruszona panna służąca.

— Jaka pani?

— Żona ojczyma państwa Norskich... Może będzie z kwadrans, jak ta pani dostała spazmów, bo spadło na nią natchnienie...

Przez uchylone drzwi Madzia ostrożnie weszła do saloniku Ady i zatrzymawszy się u progu, zobaczyła dziwną scenę. Na środku, za stolikiem siedziała kobieta może trzydziestoletnia, z oszupiałymi oczyma, z włosami rozwianymi na kształt lwiej grzywy. Na jej twarzy malował się niezwykły wyraz: mieszanina zdumienia i groźby. Obok niej stał piękny brunet, który zdawał się pytać o coś. Reszta osób siedząc w różnych punktach saloniku przypatrywała się natchnionej.

Brunet powtórzył pytanie, ale kobieta nie odpowiedziała. Zwróciła oczy na Madzię i nagle wyciągnąwszy ku niej rękę zawołała dzwicznym głosem po angielsku:

— Oto oblubienica!...

Przymknęła oczy, zmarszczyła brwi jak człowiek, który z trudnością rozmyśla, i dodała tonem zdziwienia:

— Szczególna rzecz... nie widzę oblubieńca?... Choć jest wielki i potężny... O, potężny!...

Głowa jej opadła na poręcz fotelu, na twarzy ukazał się wyraz znużenia.

— Nie chcę... Nie chcę!... — powtórzyła kilka razy, trąc oczy rękoma.

Brunet pochylił się i dmuchnął jej w twarz. Upłynęło tak kilka chwil...

— Czy ja spałam? — zapytała śmiejąc się, ale zmienionym głosem jasnowidząca.

Kiedy Madzia znowu spojrzała na nią, zdawało jej się, że za stolikiem siedzi inna kobieta: groźne przed chwilą oczy przygasły, twarz natchniona zmieniła się w dobrą, a potem figlarną. Powstała z fotelu i przeszła na kanapkę śmiejąc się i ocierając łzy.

— Ach, dajcie mi spokój — mówiła po angielsku. — Dawno tak nie zmęczyłam się...

Nastąpiły prezentacje i powitania. Ada zapoznała Madzię z pięknym brunetem, którym był ojczym Norskich pan Arnold Latter, potem z jego żoną, która jeszcze otrząsała

się ze snu. Następnie przybiegł do Madzi Solski i powitał ją z zapalem, potem pan Kazimierz, który wyglądał na zakłopotanego, wreszcie Dębicki, jak zwykle roztargniony i obojętny.

Tylko panna Helena Norska nie powstała z fotelu, a gdy Madzia uwolniwszy się od otaczających przysła do niej, panna Helena z daleka podając jej rękę rzekła po polsku tonem delikatnej ironii:

— Moja droga, musisz chyba wyjść za Bismarcka, jeżeli twój oblubieniec ma być wielki i potężny, jak mówi wyrocznia.

Madzię stropiło powitanie. Lecz w tej chwili łamaną polszczyzną odezwał się pan Arnold do Heleny:

— Nie żartuj... Ta sama wyrocznia przepowiedziała śmierć twojej matki...

— Ale mnie i Kaziowi obiecała, że wszystko stanie się według naszych zamiarów — odparła Helena ze swobodnym uśmiechem, który nie godził się ani z jej czarną suknią, ani ze słowami ojczyzna.

Do Madzi zbliżyła się Ada i wzięwszy ją pod rękę zaczęła szeptać ze śmiechem:

— No, no!... przyznaj się, kogo to potężnego zbałamuciłaś?... Jaka szkoda — do dała wdychając — że twój przysły musi być wielkim i potężnym!... Gdyby był tylko rozumnym i szlachetnym, myślałabym, że ci Stefek przeznaczony...

— Żartujecie ze mnie!... — odparła zmieszana Madzia, która w tej chwili zaczęła rozumieć, że pani Arnoldowa zrobiła jakąś przepowiednię, skutkiem której ona jest bohaterką zebrania. Przynajmniej na krótki czas.

— Chodźmy do profesora — rzekła Ada widząc, że jej brat rozmawia w kącie z Dębickim.

— Cóż pan profesor na tę wróżbę? — spytała zbliżywszy się do nich.

Dębicki zwrócił na nią niebieskie oczy i już wsadził rękę za kłapę surduta mając zamiar odpowiedzieć, gdy wyręczył go niecierpliwy Solski.

— Wyobraź sobie, on nie wierzy w spirytyzm!... Mówi, że to jest szarlataneria albo specjalny rodzaj obłądu...

— Przecie pan wierzy w świat nadzmysłowy — zawołała Ada. — Owszem, pan nawet określa go za pomocą matematycznych formuł... Jak więc pan może wątpić o spirytyzmie?...

— Ostrzegam panią — odezwał się Solski do Madzi — że moja siostra jest skończoną ateistką. Słuchała Haeckla, to chyba dość!... Ateizm jednak nie przeszkodził jej wstąpić do Częstochowy, kiedyśmy wracali — no i uwierzyć w pukające duchy.

— Wątpię — rzekł po namyśle Dębicki — ażeby istoty świata nadzmysłowego mogły porozumiewać się z nami...

— Dlaczego?... — spytała Ada.

— Czy pani — mówił Dębicki profesorskim tonem — mogłyby porozumiewać się na przykład... z ostrygami?... Czy uważałyby pani za stosowne tracić czas na tłumaczenie im: co to jest świat, który my widzimy i słyszymy?... Czy nareszcie byłaby choć najslabsza możliwość objaśnienia o naszym świecie istot, które ani wzroku, ani słuchu nie mają?... Otóż nam tak brakuje odpowiednich zmysłów do ujęcia świata nadzmysłowego jak ostrygom słuchu do zachwywania się naszymi operami, a wzroku do ocenienia piękności naszych krajobrazów...

Do rozmawiających zbliżył się uśmiechnięty pan Kazimierz Norski.

— Oho! — rzekł — widzę, że profesor wpadł na ulubiony temat: jak wygląda Królestwo Niebieskie?...

— Pan nie wierzy w to?... — z wahaniem zapytała Ada raz spoglądając na Kazimierza, to znowu na Dębickiego, który przy pięknym młodzieńcu wyglądał jak karykatura człowieka.

— Wierzę w to, co widzę...

— Amerykę widzi pan? — spytał Dębicki.

— Inni ją widzieli i widzą...

— A obrót ziemi naokoło słońca i osi widzi pan?...

— Na tym nie znam się — odparł wesoło pan Kazimierz.

Dębicki z Solskim spojrzeli po sobie.

— Nie mogę oprzeć się przypuszczeniu — mówił Norski do panien — że pozaświatowe teorie są obmyślane dla pociechy biedaków, przed którymi — świat jest zamknięty. Nadmysłowość ma wynagrodzić głód, jakiego doznają ich zmysły... Ludzie jednak, dla których przystępne są powaby doczesności, okradają samych siebie, jeżeli tracą czas na podobnych spekulacjach... Jest to to samo, jak gdyby ktoś spragniony wzdychał do mallowanej brzoskwini, zamiast zjeść świeżą z puszką...

— Poeta!... — roześmiał się Solski spoglądając na Madzię.

— Poeta obecnych czasów — dodał Dębicki.

— Myśli pan, że przyjdą inne? — spytała Ada.

— One są ciągle... Tylko ciągle stoją za drzwiami tych, którzy lubią brzoskwinię z puszką.

Do Madzi zbliżyła się panna Helena i odprowadziwszy ją na bok usiadła z nią na kanapie.

— Cóż to — rzekła patrząc na swój wachlarz — zaczynasz kokietować Solskiego?...

— Ja?...

— Jest tobą zachwycony... — Zwierzał mi się... Jesteśmy przecie przyjaciółmi...

— A powinna być już być jego żoną — odparła Madzia tonem tak naturalnym, że panna Helena spojrziała na nią uważnie.

Nagle Madzia przysunąwszy się do niej zaczęła mówić ciszej:

— Po co ty tak robisz, Helenko?... Po co zwłóczysz i drażnisz człowieka, którego twoja matka bardzo... bardzo pragnęła dla ciebie...

— Czy tak?...

— Wierz mi, że tak... wierz mi... I bardzo ją martwiło, kiedy dowiedziała się o zerwaniu...

Panna Helena rzuciła się na kanapie.

— Ach, wiem coś o tym!... Matka, brat, nawet ojczym zawsze zalecali mi tę świetną partię... Im się nie dziwię, ale matka!... Prawie jedyną rzeczą, jaką odziedziczyłam po niej, jest to — że nie potrafię się sprzedać... Kto chce posiadać mnie całą, musi mi oddać siebie całego... Nie chodzi mi o piękność, ale o wzajemne posiadanie... Myślisz, że ja nie wiem, co to jest małżeństwo i jaka w nim rola przypada kobiecie?... Brrr!... Za te wszystkie wstręty niechże coś mam... Jeżeli więc komu zrobię to szczęście, że zostanę matką jego dziecka, niech ten ktoś ocenia, co mu daję...

— Więc chyba nie kochasz Solskiego?... — wtrąciła zdziwiona Madzia. — Jeszcze chyba kobieta nie mówiła w taki sposób o małżeństwie...

— Żadna u was... w kraju gąsek... Ale porozmawiaj z Amerykankami, Szwedkami... tam dopiero kobieta ceni swoją godność!... One zrozumiały, że mężczyzna jest przede wszystkim — łakome zwierzę... Jeżeli więc mam być zjedzona, niech mi zapłacą tyle, ile jest warte moje ciało... Ile zaś warte, oni sami ocenią między sobą — zakończyła ze śmiechem.

— A więc oblubieńcem pani musi być Bismarck — odezwał się nagle pan Kazimierz podając rękę Madzi.

Pani Arnoldowa pochwyciła Dębickiego, jej mąż wziął Adę, Solski Helenę i wszyscy przeszli do jadalnego pokoju.

— Założyłbym się, że mówiła pani z panną Magdaleną o kobietach — rzekł Solski.

— Zgadł pan — odpowiedziała panna Helena.

— A czy wolno wiedzieć — co?...

— Zawsze to samo, że — nie jesteście nas warci.

— Niekiedy zdaje mi się, że pani ma słuszość...

— Wyborne jest to: niekiedy!... — roześmiała się Helena. — O, wy się musicie zmienić... bardzo zmienić... Wreszcie niech tylko utworzy się związek kobiet...

— Na co to?

— Dla obrony jeżeli nie praw, to przynajmniej kobiecej godności przeciw wam... — odpowiedziała opierając się na nim.

Solski ścisnął ją za rękę i rzekł, namiętnie patrząc w oczy:

— Przysięgam, że pani ma w sobie coś ze lwicy... Piękna, a niebezpieczna... Gotowa ranić wśród pieszczoł.

— Pieszczot!... cóż znowu?... — odpowiedziała obrzucając go spojrzeniem. — Nic dziwnego, że z waszych dawnych kotek powyrastały lwice. W tym wieku wszystko potężnieje.

W czasie kolacji pani Arnoldowa kilka razy potrącała kwestię nowej religii — spirytyzmu, który w Ameryce liczy już krocie tysięcy wyznawców.

— A jaki będzie pożytek z tej nowej wiary? — odezwał się pan Norski usiłując zachować poważną minę.

— Ileż razy muszę panu powtarzać?... — zawołała po francusku pani Arnoldowa. — Jest to religia nieustannie dostarczająca dowodów, że — istnieje świat zagrobowy, w którym szczęście każdej duszy zależy od postępowania jej na ziemi. Tym sposobem hamuje ona ludzi od złego, a zachęca do cnoty... Dalej spirytyzm uczy nas, że wszyscy ludzie i wszystkie żywe stworzenia stanowią jedną rodzinę, w której winna panować miłość...

— Na miłość — zgoda! — wtrącił pan Kazimierz.

— Czy i pani tak myśli? — zapytał Solski Helenę.

— Owszem, byle miłości dowodzono czynami.

— Dalej — mówiła pani Arnoldowa z rosnącym zapałem — spirytyzm pozwala utrzymywać stosunki ze zmarłymi...

— Czy tak?... — spytała Madzia.

— Ach, byle nie to!... — wtrąciła otrząsając się panna Helena. — Tak dalece brak mi zmysłu do rzeczy nadprzyrodzonych, że bałabym się...

— A czy nie ma takich duchów, które pokazywałyby ludziom ukryte skarby? — odezwał się pan Kazimierz.

— Owszem. One już powiedziały, że największe skarby człowiek nosi w sobie — odparła pani Arnoldowa..

Dębicki uważnie spojrział na nią i pokiwał głową.

Kolacja była ożywiona. Tylko Dębicki, chociaż siedział naprzeciw panny Heleny, był posępny i patrzył w talerz. Madzia zaś, której sąsiadem był pan Norski, niekiedy mieniła się na twarzy, a czasami robiła wrażenie, że chce wstać od stołu.

Po kolacji Solski, odprowadziwszy Dębickiego na stronę, rzekł śmiejąc się:

— Już widzę, że profesor nie ma nabożeństwa do panny Norskiej.

— Bynajmniej — odparł wzruszając ramionami. — Nie rozumiem tylko, jak mogłeś ty — szaleć za nią.

— Lubię sport! — odpowiedział Solski. — Kiedy jest burza, coś mnie ciągnie na spacer... Kiedy widzę stromą górę, chciałbym się na nią wdrapać...

— Sądziłbym, że strome góry powinny najmniej zachęcać do wycieczek...

— Ale!... jest jednak coś, że właśnie przedmioty niedostępne i niebezpieczne wywierają na człowieka wpływ magnetyczny...

— Jak na kogo... — wtrącił Dębicki. — Zresztą nie widzę, czym panna Helena może być niebezpieczna.

— Ach, czym!... — odparł Solski. — Egoizmem, ubóstwieniem własnego ja, przed którym cały świat korzyć się powinien... W jej oczach każdy człowiek jest prochem... Satysfakcja osiąść taką kobietę!...

— Czy to warte zachodu?...

— Więc cóż jest warte?... — spytał z ożywieniem Solski. — Pojedykowałem się i wyniosłem szramy albo wyrzuty sumienia. Pod Capri rozbiłem się z łódką w czasie burzy, alem nic nie doznał oprócz zwichnięcia nogi. Lew, do którego klatki wszedłem rozdarł mi pantalon... Ogniem ziejący Wezuwiusz o mało nie oślepił mnie popiołem i nabawił mnie kataru... I to się nazywają wrażenia?... Niech licho porwie! Tymczasem posiadanie pięknej i samodzielnej kobiety da mi chwilę szału, przy czym nie zmoknę, nie potłukę się i nie zostanę skaleczony... Niechże i ja czegoś zaznam w życiu... Po cóż bym wreszcie miał pieniądze?

— Panowie wciąż mówią o spirytyzmie?... — zapytała Madzia, lękliwie zbliżając się do nich.

— Gorzej — pochwycił Solski — mówimy o szczęściu. Myślała pani kiedy: co to jest szczęście?

— Szczęście?... — powtórzyła Madzia. — Gdy wszystkim dokoła jest dobrze, wtedy człowiek czuje się szczęśliwym.

— To cudze szczęście!... — rzekł Solski. — Ale jak sobie pani wyobraża swoje własne szczęście?

— Największe własne szczęście jest wtedy, kiedy człowiek może robić dobrze... Chyba tak? — spytała Madzia patrząc zdziwionymi oczyma to na Dębickiego, to na Solskiego.

— I pani wystarczyłoby takie szczęście?... — spytał Solski.

— Ach, Boże! — zawołała Madzia. — Przecież nic nie ma lepszego na świecie i nawet człowiek nie potrzebuje nic więcej...

— Owszem — odezwał się flegmatycznie Dębicki — człowiek jeszcze potrzebuje skakać w morze, staczać się ze spadzistych gór, pojedynkować się...

— Co też pan mówi?... — reflektowała go Madzia. — To właśnie są nieszczęścia...

— Nie rozumiemy się, moja pani — rzekł Dębicki ściskając ją za rękę. — Pani jesteście osoba normalna i zdrowa, a my — chorzy i zwyrodniali. Nasze nerwy już tak stępiały, że nie tylko nie odczuwamy cudzej radości, ale nawet własnej... Dopiero ból fizyczny przypomina nam, że istniejemy...

— No, no!... — wtrącił Solski. — Ani egoizm, ani potrzeba silnych wrażeń nie dowodzą stępienia nerwów.

— Dowodzą... dowodzą!... — odparł Dębicki. — Doskonale skrzypce nawet wówczas dźwięczą, gdy obok nich odezwie się jakiś ton... Ale ażeby zadźwięczał kamień, trzeba go zwalić młotem... Altruizm to są te doskonałe skrzypce, które każda zdrowa istota nosi we własnym sercu. Zaś te wasze silne wrażenia — to młot... młot, którym trzeba tłuc kamienie.

— Nie wiem, o czym panowie mówią... — rzekła zarumieniona Madzia i cofnęła się do towarzystwa pań.

— Cóż ty na to?... — spytał Dębicki wskazując głową w kierunku Madzi. — Nie lepsze to od stromych skał?...

— Sen... objawienie! — odparł zamyślony Solski. — Jeżeli... nie dobrze odgrywana komedia — dodał po chwili. — Kobiетки, gdy chcą, umieją stroić się w skrzydła i tęczę. Cała zaś mądrość polega na tym, ażeby udając, że im wierzymy, brać kochane aniołki za to, czym są w rzeczywistości.

— A czymże one są?

— Samicami słabszymi od samców, których skutkiem tego muszą ciągle wyzyskiwać za pomocą rozmaitych manewrów... Jedne pozują na anioły, inne na demony... w miarę zapotrzebowania.

— A twoja siostra na co pozuje? — spytał Dębicki, surowo patrząc na Solskiego.

— Ach!... — wybuchnął. — Ada jest święta... To wyjątkowa kobieta.

— Więc bądź ostrożniejszy z teoriami, bo wyjątków może być więcej.

Było już późno; rozmowa w salonie rwała się i goście zaczęli się żegnać.

— Mogę panią odwiedzić?... — zapytał Madzię pan Kazimierz.

— Dziękuję. Może pan Dębicki zechce się mną zaopiekować — odparła Madzia.

— Widzisz, profesorze, jak ci się opląca twój optymizm — rzekł Solski.

— Niepocieszająca zapłata!... — wtrącił pan Kazimierz.

— Podziękujże, Madziu, pani Arnoldowej za dobrą wróżbę — rzekła Ada. — Choć zawsze wolałabym, ażeby ci przeznaczono mniej wielkiego oblubieńca...

Wracając do domu, Madzia zaczęła tłumaczyć się przed Dębickim z usunięcia Zosi przez panią Korkowiczową. Ale ten przerwał jej:

— Posyłałem Zosię do tych państwa jedynie dla pani. Dzisiaj jestem kontent, że tak się stało, bo to... osobliwi ludzie. Zdaje mi się, że i pani niedługo ich pożegna.

Domyślając się, że profesor musiał słyszeć o jej stosunkach z Korkowiczami, Madzia zmieniła temat rozmowy i zapytała go, co sądzi o dzisiejszym zebraniu.

— Cóż?... — odparł krzywiąc się przy blasku latarni, obok której przejechali. — Przepędziliśmy czas w sposób mniej banalny niż na zwykłych rautach... A co się tycze ludzi...

Potarł sobie koniec nosa i mówił:

— Oboje Solscy to przesłiczne charaktery (znam ich nie od dzisiaj), ale — brak im celu w życiu... Przydałaby się bieda!... Pan Arnold jest, zdaje się człowiek przyzwoity, a jego żona trochę sekciarka, trochę histeryczka. Kobiety zbyt pieszczone i swobodne łatwo wpadają w kaprysy, a potem w histerię.



— Nie mówi pan nic o Norskich?... — odezwała się Madzia cichym głosem.

— Cóż o nich powiedzieć?... — rzekł. — Chyba to, że mają skłonność do używania, obok braku poczucia jakichkolwiek obowiązków... Solskiego brak obowiązków dręczy i popycha do wymyślania sobie sztucznych celów, ale pan Norski podobnych cierpień nigdy nie dozna.

— Nie lubi ich pan? — spytała Madzia przypomniawszy sobie dawne zajście Dębickiego z Heleną.

Pokiwał głową i rzekł po namyśle:

— Proszę pani, ja gdybym nawet chciał, nikogo nie lubić nie potrafię.

— Nie rozumiem...

— Widzi pani, każdy człowiek — składa się z dwóch części, jak nas uczył katechizm. Jedna jest bardzo skomplikowanym automatem, nad którym można litować się, pogardzać nim, czasem podziwiać... Druga — jest iskrą Bożą, która pali się jaśniej lub słabiej, lecz w każdym człowieku warta jest więcej aniżeli cały świat.

Niech pani teraz doda, że obie części są ściśle połączone, że zatem człowiek jako całość wywołuje w nas jednocześnie pogardę i najgłębszy szacunek, a zrozumie pani, co z tych uczuć może wyniknąć.

— Nic?... — rzekła Madzia.

— Nie. Sympatia tam, gdzie góruje duch, a obojętność — gdzie przeważa automat. Nienawiści w żadnym razie nie można mieć do człowieka wiedząc, że prędzej czy później straci on zgangrenowaną powłokę i stanie się bytem nieskończenie szlachetnym.

— Pan także wierzy w duchy?...

— Pukające?... — spytał. — Nie!

Powóz zatrzymał się, a Dębicki pomógł Madzi wysiąść i zadzwonił do bramy.

Ledwie Madzia weszła do swego pokoju, ukazała się pani Korkowiczowa w krótkiej spódnicy, z włosami w papilotach, w nocnym kaftaniku, który uwydatniał jędrną obfitość jej biustu.

— Już druga godzina!... — rzekła rozdrażnionym tonem. — Ciągle była pani u Solskich?

— Tak.

— Wesoło czas przepędzają wielcy panowie, nie tak jak ludzie pracujący... Czy to pan Solski panią odwiózł?...

— Pan Dębicki.

— Musieliście państwo... — Tu zacięła się, a potem dodała: — Pan Dębicki musi być niekontent ze mnie!...

Madzia milczała. Ale że na jej zwykle dobrej twarzyczce ukazał się cień, więc pani Korkowiczowa powiedziała jej dobranoc.

Kiedy Madzia zgasiła światło, przed jej oczyma zaczął przesuwać się niewyraźny obraz salonu Ady. Widziała lwią grzywę i groźne oczy pani Arnoldowej, a dokoła niej piękne postacie Arnolda i Norskich tudzież brzydkie twarze Solskich i Dębickiego. I — dziwna rzecz — dopiero w tej chwili, kiedy zatarły się rysy szczegółowe, każde oblicze przedstawiało jakiś charakterystyczny wyraz. Arnold był zajęty swoją żoną, Dębicki głęboko zamyślony, w Solskim coś płonęło i gotowało się. Na twarzy Ady było widać rezygnację, Helenę cechował gniew i duma, a pan Kazimierz — nie posiadał żadnego wyrazu, a raczej — wesołość, która na Madzi przykre robiła wrażenie.

Nagle między cieniami ukazał się nowy: pani Korkowiczowej w nocnym kaftaniku, z włosami w papilotach, pretensją w oczach... Wyglądała tak zabawnie, że Madzię ogarnął wstyd za nią i litość.

„Nierozdmuchana iskra Boża!...” — mówiła sobie usiłując nie patrzeć na pana Kazimierza, który ze swoim drwiącym uśmiechem, z całą pięknnością i wykwintnymi ruchami wydawał się jej banalniejszym — nawet od pani Korkowiczowej i jej pretensji.

O przepowiedni jasnowidzącej nie pamiętała uważając ją za jakieś nieporozumienie.

## 8. DOLA GUWERNERSKA

Przez kilka następnych dni pani Korkowiczowa tłumiała gniew, półsłówkami nadmieniając o próżniactwie ludzi bogatych i późnym wracaniu do domu. Madzia udawała, że nic nie spostrzeża.

Panią drażniło to jeszcze mocniej. Więc raz przy obiedzie wzięwszy sobie potrawę z półmiska rzekła do służącego:

— Teraz podaj panu...

A gdy Jan, nawykły do innego zwyczaju, zawahał się, pani popchnęła go w stronę męża.

— A panna Brzeska?... — zapytał zdziwiony pan domu.

— Bierz, proszę cię...

Korkowicz wzruszył ramionami, ale wziął. Był to bowiem sezon, w którym stanowczo triumfowała małżonka.

— Teraz podaj pannie Brzeskiej — zakomenderowała pani.

Linka patrzyła na matkę, rozżalona Stasia na Madzię, a pan Bronisław, ogromnie zadowolony, pokazał Stasi język. Ale Madzia spokojnie wzięła swój kawałek z półmiska, tylko — nieco pobladła i było widać, że zmusza się do jedzenia.

To samo powtórzyło się przy innych potrawach.

Natychmiast po obiedzie obie dziewczynki pobiegły za Madzię i zaczęły mówić jedna przez drugą:

— Niech pani nic na to nie uważa... Za tydzień mama przeprosi panią, ale teraz przyszedł na nią taki humor, że sam tatko boi się jej... Nawet my... Teraz tylko mama i Broniek trzęsą domem, ale za tydzień...

— A może mama już nie życzy sobie, ażebym was uczyła? — rzekła spokojnie Madzia.

W tej chwili Stasia zaczęła płakać, a Linka ukłękła przed Madzię.

— Ach, pani!... — znowu mówiły obie. — Jak pani może coś podobnego przypuszczać?... Ja bym umarła... Ja bym uciekła z domu... Ach, bez pani cały świat na nic... Niech nam pani przyrzeknie, że pani nas nie opuści...

Tak rzewnie płakały, tak ścisnęły Madzię, że ta rozplakawszy się razem z nimi obiecała nigdy ich nie opuszczać.

Lekcje z panną Howard odbywały się ciągle po kilka razy na tydzień; lecz zarówno sentymentalnej Stasi, jak i surowej Lince wydawały się coraz mniej zrozumiałymi. Panna Howard w żaden sposób ani jednej, ani drugiej uczennicy nie mogła wytłumaczyć, z jakiego na przykład powodu nieposłuszna Ewa, ciekawa żona Lota albo krwiożercza Judyta były kobietami wyższymi, a zaś Penelopa — wstrętnym typem niewolnicy...

Nieraz Stasia mówiła do Linki:

— Ciekawam, za co panna Howard gniewa się na Penelopę? Jeżeli jej mąż nie umarł, tylko wyjechał, to musiała na niego czekać. Zresztą nawet nie daliby jej ślubu z innym.

— Ileż to razy mama czeka na ojca i nikt się temu nie dziwi! — wtrąciła Linka.

— Wiesz co — rzekła Stasia ciszej — mnie się nawet nie podobają te bohaterki. Bo czy dobrze zrobiła Ewa, gwałtem dobijając się o mądrość, za którą dziś wszyscy pokutujemy?...

— Co, ty wierzysz w mądrość Ewy! — odparła Linka — Cóż to, czy ona wstąpiła do uniwersytetu, jak panna Solska, czy co?... Ja myślę i zresztą Broniek mi wspomniał, że z tym jabłkiem było coś innego...

— Albo Judyta — prawiała Stasia. — Ja, powiem ci otwarcie, nigdy bym Holofernesowi nie ucięła głowy.

— Mógł się przecie obudzić — dodała Linka.

Z powyższych racji obie panienki serdecznie nudziły się na lekcjach panny Howard: o dziejowej roli kobiety, poczynając od mitycznej Ewy, która dała ludzkości popęd do badań ścisłych, skończywszy na Alicji Walter, która dowodziła armią Stanów Zjednoczonych Północnych. Stasi ani Linki nie zajął nawet ten ważny fakt, że historycy mężczyźni tendencyjnie milczą o kierowaniu armią Stanów Zjednoczonych przez kobietę i że, według najnowszych doniesień, ową głównodowodzącą nie była Alicja Walter, tylko — Elwira Cook, a może jakaś inna.

Stasia i Linka bez ceremonii ziewały na wykładach albo pod ławką trącały się nogami, najchętniej zaś rozmawiały z panną Howard o wypadkach bieżących i domowych.

Toteż gdy po awanturze obiadowej przysła do nich panna Howard z nowym rozdziałem (dowodzącym, że hetery były najsamodzielniejszymi kobietami Grecji), Linka i Stasia na wyścigi zaczęły opowiadać o złym humorze mamy, o porządku roznoszenia potraw, a najwięcej o dobroci panny Magdaleny, która jest świętą i aniołkiem.

Panna Howard ze zgrozą wysłuchiwała opowiadania i — ograniczywszy na nim lekcję — udała się do pokoju Madzi mówiąc:

— Czy to prawda, że pani Korkowiczowa każe wbrew przyzwoitości i zwyczajowi podawać pani półmisek po swoim mężu?...

— Cóż to szkodzi? — odparła Madzia. — Pan Korkowicz mógłby być moim ojcem...

— Aaa!... więc zapominasz pani o swojej płci i stanowisku...

— Nie rozumiem...

— W ciągu długiego pasma wieków — mówiła panna Howard z natchnioną miną — obdarta, wyzyskiwana, oszukiwana kobieta wywalczyła sobie wobec mężczyzny to, że przynajmniej w formach zewnętrznych uznawał jej wyższość nad sobą i — na ulicy, w salonie, przy stole ustępował jej pierwszeństwa. Moim więc zdaniem kobieta zrzekająca się tego przywileju dopuszcza się zdrady wobec żeńskiej zbiorowości, której cząstkę stanowi...

— Cóż mam robić?... — spytała Madzia, zalana potokiem wymowy.

— Walczyć... Zmusić pana Korkowicza, ażeby uznał swój błąd i zwrócił pani należne miejsce.

— Ależ ja tu mam miejsce płatnej nauczycielki.

Czoło, twarz, nawet szyja panny Howard zalały się krwią.

— Tym większy powód!... — zawołała. — Pani chyba nie rozumiesz wzniosłości stanowiska nauczycielki, które o całe niebo góruje nawet nad stanowiskiem rodziców. Bo my tworzymy umysł dziecka, jego samodzielność, jego ja... podczas gdy rodzice dali mu tylko ciało. No, a chyba nie zawaha się pani w ocenieniu, które z tych zajęć jest trudniejsze...

— Ja nie wiem, proszę pani... — odparła wylękciona Madzia.

Ponieważ panna Howard przypomniała sobie, że i ona nie wie, które z tych zajęć jest trudniejszym, więc — wzruszyła ramionami i kiwnąwszy Madzi głową wyszła z jej pokoju.

Upłynęło znowu parę tygodni. Spadł pierwszy śnieg i zamienił się w warstwę błota; potem nadciągnęły przymrozki, upadł drugi śnieg i pobielił dachy i ulice. Ale w sercu pani Korkowiczowej niechęć do Madzi nie ostygła, owszem rozgrzała się pod wpływem walki z obawą, że — trzeba będzie wyrzec się nadziei zawiązania stosunków z Solskimi i zbliżenia pana Bronisława do panny Ady.

„A niegodziwa!... — myślała szanowna dama. — Za moje serce, za prerogatywy, jakie jej dałam, tak mi się wywdzięcza!... Przecież w jej interesie leży podszeptać słówko Solskim... Przecież to chyba rozumie, że gdy zapoznam się z nimi, mogę jej podnieść pensję; w razie zaś przeciwnym będzie traktowana jak guwernantka... Nie wiem: głupia czy taka zła!...”

Pewnej niedzieli, gdy Madzia wróciła od Solskich w tak dobrym humorze, że aż śmiały się jej szare oczy, pani Korkowiczowa rzekła tonem lodowatym:

— Jutro każe przenieść panią do innego pokoju... Na jakiś czas — dodała uląkłszy się zerwania stosunków.

— Dlaczego, proszę pani?... — spytała Madzia, jeszcze nie mogąc pozbyć się figlarnego wyrazu w oczach, choć na czole już odmalował się niepokój.

— Bo u pani musi być robactwo...

— Skąd?... pani myli się...

— Może być. W każdym razie chcę dać nowe tapety, a nawet... a nawet przebudować piec — dodała łagodniej, spostrzegłszy, że Madzi błysnęły oczy i rozszerza się mały nosek.

— Zresztą — zakończyła pani — to tylko na jakiś czas... Nie mogę przecież pozwolić, ażeby mi pani zmarła...

Ostatnie wyrazy były powiedziane tak macierzyńskim tonem, że w Madzi zatłony gniew zgasł, a została tylko troska, czy jej ton i fizjonomia nie zrobiły przykrości pani

Korkowiczowej. Madzia tak nie chciała nikomu robić przykrości, tak wołała sama cierpieć dla oszczędzenia innych, że cały wieczór rady dać sobie nie mogła. Była gotowa przeprosić panią, a nawet przyznać, że w jej pokoju jest zły piec i brzydkie tapety.

Na drugi dzień przeniesiono rzeczy Madzi do nowego mieszkania. Był to pokój mały i ciemny nie tylko z powodu starych tapet, jakimi go wyklejono, ale jeszcze dlatego, że okno wychodziło na szczytową ścianę sąsiedniej kamienicy odległej o parę kroków. Żelazne łóżko, lakierowany stolik, dwa gięte krzeselka, a zamiast umywalni — miednica na żelaznym trójnogu — takie było umeblowanie. Garderobiana lepiej mieszkała w domu pani Korkowiczowej.

Madzi łzy zakręciły się w oczach.

„Chcę mnie się pozbyć — myślała — ale dlaczego robią w taki sposób?... czyliż nie zasługuję nawet na to, ażeby mi wprost powiedziano, że jestem zbyt uczciwa?...”

Była zdecydowana pójść do pani Korkowiczowej i prosić, ażeby natychmiast uwolniła ją od obowiązków.

„Mam przecie — mówiła sobie — sto kilkadziesiąt rubli z domu i od majora, a to mi przynajmniej na pół roku wystarczy... Przeprowadzę się choćby do panny Howard, a lekcje znajdę. Panna Malinowska i poczciwy Dębicki nie opuszczą mnie...”

Właśnie w tej chwili wbiegły do ciemnego pokoiku Linka i Stasia, obie zapłakane. Obie rzuciły się Madzi na szyję, oświadczyły, że zaczynają tracić serce do matki, i obie zaklinały Madzię na jej rodziców, na Boga i miłość dla nich (dla Linki i Stasi), ażeby się nie obrażała.

— Tatko — zaczęła szeptać Linka — okropnie rozgniewał się na mamę za te przenosiny... Ale mama tłumaczy się, że tamten pokój trzeba odnowić i że tutaj zabawi pani tylko parę dni... Więc tatko trochę się uspokoił, ale powiedział, że wyjechałby z domu, gdyby mama nie oddała pani tamtego pokoju — odświeżonego...

I znowu obie zaczęły błagać Madzię, ażeby się nie gniewała, ponieważ mama musi być w tych czasach chora na wątrobę, i dlatego jest w złym humorze.

Cóż było robić? Madzia znowu przyrzekła dziewczynkom, że ich nigdy nie opuści, a w duchu zaczęła robić sobie wymówki:

„Cóż to za pretensje budzą się we mnie?... Pokój nie jest taki zły, owszem, ma nawet coś przyjemnego... A gdyby mi przyszło siedzieć na poddaszu albo w suterynie?... O ileż lepszy i piękniejszy jest ten pokój aniżeli mieszkanie nauczycielowej w Iksinowie albo tego stolarza, u którego chciałam zamówić ławki, albo biednej Stelli w brudnej izbie zajezdnej domu... Wcale ładny pokoik!...”

Na drugi dzień w czasie wykładu o roli kobiety w dziejach, począwszy od mitycznej Ewy aż do tajemniczej nieznajomej, która dowodziła armią Stanów Zjednoczonych, Linka i Stasia opowiedziały pannie Howard o przenosinach do ciemnego pokoju i nowym dowodzie, że panna Brzeska jest aniołem i świętą. Ponieważ Madzi w pokoiku nie było, więc panna Howard kazała go sobie pokazać, a obejrawszy miejscowość wyszła mrucząc przez zęby:

— Ludzkości nie potrzeba aniołów, tylko kobiet samodzielnych i ceniących swoją godność.

Tego samego wieczora do Madzi i do pani Korkowiczowej przyniósł posłaniec listy od panny Howard. Oba były dziwnie treściwe. Apostolka emancypacji oświadczyła Madzi, że nie może nadal utrzymywać przyjaznych stosunków z osobą nie szanującą kobiecej godności; pani Korkowiczowej zaś napisała, że nie myśli dłużej wyklądać w domu, który nie rozumie wysokiego stanowiska nauczycielki i lekceważy kobietę pracującą.

Pani Korkowiczowa odczytała nadesłany jej list raz i drugi. Nagle uderzywszy się w czoło krzyknęła:

— Ona mnie chce do grobu wpędzić, ta wariatka!...

Do późnej nocy trwały spazmy, wyrzekania na pannę Howard tudzież śledztwo: kto jej mógł powiedzieć o nowym pokoiku Madzi?... Nazajutrz zaś pani Korkowiczowa ze łzami oświadczyła Madzi, że nie miała zamiaru jej uchybiać i że jak najrychlej przeniesie ją do dawnego mieszkania, byle Madzia swoim wpływem pojednała ją z panną Howard, najznakomitszą nauczycielką w Warszawie.

W odpowiedzi na to Madzia pokazała pani Korkowiczowej list otrzymany przez siebie od panny Howard.

Pani Korkowiczowa przeczytawszy osłupiała.

— Ależ ona panią buntuje... — zawołała. — Ona jest gorsza... — chciałam powiedzieć: gorętsza emancypantka od pani...

A w godzinę później rzekła do męża:

— Niedługo już garderobiane i kucharki, zamiast sprzątać i gotować, będą rozprawiły o godności kobiecej... Boże, co za okropna epidemia z tą emancypacją... Jeżeli mojej guwernantce nie dam salonów, to zaraz druga guwernantka robi mi impertynencję...

— No, do panny Magdaleny nie możesz mieć pretensji... Cichutka... — odezwał się pan domu.

— Twoja panna Magdalena jest gorsza od Howardówny! — wybuchnęła pani. — To dziewczyna podstępna... propagatorka, która naszym panienkom kazała uczyć lokajczyka i obszywać bębny z ulicy.

— Więc rozstań się z nią.

— Aha, jeszcze czego?... — odparła pani. — Przecież może się nareszcie domyśli, że gdyby ułatwiła nam znajomość z Solskimi, nie brakłoby jej ptasiego mleka...

— A jak się nie domyśli albo oni nie zechcą zapoznać się z nami?...

— To pójdzie precz!... — rzekła pani rozdrażnionym tonem. — Zresztą — dodała zamyśliwszy się — darmo u nas nie je chleba. A kiedy przytrę jej rogów, może być niezłą guwernantką.

Pan rozpaczliwie schylił głowę i rozłożył ręce. Interesa fabryk tak go pochłaniały, że już nie miał siły do walczenia z żoną.

— Róbcie, co wam się podoba!... — szepnął.

Tymczasem panna Howard opowiadała znajomym i nieznanym o arogancji pani Korkowiczowej i o braku kobiecej godności w pannie Brzeskiej. Wieści te, zataczając coraz szersze kręgi, dosięgnęły z jednej strony aż na pensję panny Malinowskiej, z drugiej — aż do ucha panny Solskiej.

## 9. NARESZCIE — ZŁOŻYLI WIZYTĘ

Raz... (było to po Bożym Narodzeniu) około dwunastej z rana służący Jan wezwał pannę Brzeską i panienki do salonu.

Poszły. Madzia chwilę zatrzymawszy się we drzwiach spostrzegła w lustrze dwie zakonnice w granatowych sukniach i białych kapeluszach, jak wielkie motyle. Był to widok tak niezwykły w salonie, że Madzia przestraszyła się.

— Moje córki... panna Brzeska, przyjaciółka panny Solskiej — rzekła pani Korkowiczowa do zakonnice.

Nastąpiły ukłony; panienki ucałowały ręce obu zakonnicom; Madzia usiadła przy młodszej z nich i w lustrze naprzeciw kanapy znowu zobaczyła ich odbicie, i — znowu drgnęła nie wiedząc dlaczego.

— Dobrodziejki — rzekła uroczyście pani Korkowiczowa — jadąc do naszego szpitala w Korkowie były łaskawe odwiedzić nas...

— Ażeby podziękować państwu za ich hojne dary na szpital — wtrąciła starsza zakonnica. — Bardzo przydał się, bo panuje tyfus w okolicy...

— Doprawdy, aż mi wstyd... — mówiła pani Korkowiczowa. — Ale kiedy już siostry są z takim uznaniem dla fundatorów, to — daleko większy honor należy się pannie Solskiej, która na moja listowną prośbę odpowiedziała bardzo grzecznie i ofiarowała dla szpitala tysiąc rubli... Szlachetna kobieta!... Byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby dobrodziejki ją przede wszystkim odwiedziły, nadmienając, że nigdy nie zapomnę tego pięknego czynu, jaki za moim pośrednictwem...

Madzia spojrzała na bok i w trzecim lustrze znowu zobaczyła kapelusze zakonnice. Zakonnice na kanapie, zakonnice z frontu, zakonnice z prawej i z lewej strony... Już widać ich nie cztery pary, ale dwa nieskończone szeregi odbijające się w lustrach bocznych!... Madzię zaczęły w końcu drażnić te białe kapelusze i ręce złożone na piersiach.

— Pani dawno w klasztorze? — zapytała młodszej.

— Siódmy rok.

— Ale pani może opuścić zakon, kiedy zechce?

— Nie myślę o tym.

— Więc tak do końca życia?

Zakonnica łagodnie uśmiechnęła się.

— Paniom światowym — mówiła — klasztor wydaje się więzieniem... Ale my jesteśmy szczęśliwymi, że za życia dopłynęliśmy do portu.

Do rozmowy wmieszała się starsza zakonnica i rzekła patrząc na Madzię:

— Znałam kiedyś u Wizytek matkę Felicissimę, która na święcie nosiła nazwisko Brzeskiej, choć ziemskiego jej imienia nie pamiętam. Czy pani nie była spokrewniona z jej rodziną?...

Madzię prawie przeraziło to pytanie.

— To była ciotka mego ojca... Wiktoria Brzeska... — odparła zdławionym głosem.

— Naturalnie pani nie mogła jej znać, bo już od dwudziestu lat nie żyje — mówiła zakonnica. — Była to osoba niezwyklej pobożności, tak zatopiona w modlitwie i praktykach ascetycznych, że nieraz musiano jej zakazywać...

Pani Korkowiczowa znowu skierowała rozmowę na szpital i szlachetność Ady Solskiej. Przy pożegnaniu starsza zakonnica ucałowała Madzię rzekła do niej:

— Ja mieszkam stale w Warszawie. Jeżeli zechcesz mnie kiedy odwiedzić, kochane dziecko, będę ci wdzięczna. Babka twoja robiła mi wiele dobrego, bardzo ją kochałam.

Po odejściu zakonnicy Madzię ogarnął strach i smutek. Dzieckiem będąc słyszała opowiadania o obłóczynach babki Wiktorii, które porównywano do pogrzebu. Później kilka razy stykała się z zakonicami, zawsze w przykrych warunkach: przy łóżku chorego albo przy trumnie.

Dziś odżyły wszystkie żalose wspomnienia, a nadto ciągle zdawało się jej, że z prawej i lewej strony widzi nieskończone szeregi zakonnicy.

„Cóż to za okropne życie!... — myślała. — Siedzieć w wiekuistym więzieniu, zerwać z rodziną, wyrzec się znajomych, patrzeć na świat tylko przez kratę... I nigdy żadnego celu, żadnej nadziei... Ach, lepiej od razu umrzeć...”.

Ale pani Korkowiczowa była bardzo zadowolona, tak zadowolona, że zacierając ręce rzekła do Madzi:

— Jeżeli tym razem państwo Solscy nie przypomną sobie o nas... No, byłiby chyba ludźmi tak niedelikatnymi, że nie warto zbliżać się do nich!...

W kilka dni później, na krótki czas przed obiadem do pokoju Madzi wpadła Linka wzburzona:

— Pani!... — zawołała. — Przyszli państwo Solscy... mama prosi... Boże, a tu akurat wyjechał tatko...

Madzia uściskała Linkę z radości.

— Nareszcie — rzekła — spełniło się życzenie mamy i moje najgorętsze... Ach, jacyż oni dobrzy!...

Pod zamkniętymi drzwiami salonu Stasia zaglądała przez dziurkę od klucza. Na widok Madzi zawstydzona się i uciekła do jadalnego pokoju, lecz po wejściu Madzi do salonu wróciła na poprzednie stanowisko i ciągnąc za sobą Linkę szepnęła do niej:

— Co za szczęście!... jest i Bronek... Teraz już na pewno ożeni się z panną Solską... Ale jaka ona nieładna...

Madzia trafiła na moment, kiedy rozgorączkowana pani Korkowiczowa prezentowała Solskim pana Bronisława.

— Mój syn!... — mówiła z mocą. — Prawdziwe nieszczęście, że mąż musiał wyjechać do Korkowa, właśnie tam, gdzie pan hrabia (w tym miejscu skłoniła się obojgu) chce postawić cukrownię... Ale po powrocie mąż mój nie omieszka...

— Hrabia to chyba wcale nie bywa u Stępka?... — odezwał się pan Bronisław.

— Bardzo trafnie odgadł pan — uprzejmie odparł Solski.

— Nie umiem opowiedzieć — mówiła deklamując pani Korkowiczowa — jak panna Magdalena tęskni za państwem.

Madzia ze zdumieniem spojrzała na panią Korkowiczową, a w tej chwili Solski odezwał się:

— Słowa szanownej pani przypomniły mi, że przysłaliśmy tu z prośbą.

— Ależ niech hrabia rozkazuje!... — zawołała pani schylając głowę.

— Nie śmiem prosić nie będąc pewnym skutku.

— Spełnić każde życzenie hrabiostwa cały nasz dom uważa sobie za najświętszy obowiązek...

Madzia siedziała jak na szpilkach, panna Solska rumieniła się, a pan Bronisław widząc jej rumieńce — również się zarumienił.

„Nie taka ona brzydka, jak mówili!...” — pomyślał.

— Siostra moja — mówił Solski — tak kocha pannę Magdalenę, że nie może obejść się bez jej towarzystwa...

— Ależ co dzień... na cały dzień... — wtrąciła pani Korkowiczowa.

— ...że przyszedliśmy z uprzejmą prośbą, ażeby pani raczyła — uwolnić pannę Magdalenę od dotychczasowych obowiązków — zakończył Solski.

— Ależ... — zaprotestowała Madzia.

— Moja droga... proszę cię o to!... — szepnęła panna Solska biorąc ją za rękę.

Pani Korkowiczowa osłupiała.

— Jak to?... Jeżeli rozumiem... — rzekła.

— Tak jest — odparł Solski — o to właśnie prosimy panią...

— Nie wiem, czy panna Magdalena, którą wszyscy tak kochamy...

— Właśnie wiedząc o uczuciach państwa i pojmując wielkość ofiary, jakiej żądamy od pani, przyszedliśmy tu z siostrą...

— Ależ ja nie mogę... — wtrąciła Madzia.

Panna Solska ścisnęła ją za rękę.

— Czy zatem pani raczy uwzględnić naszą prośbę? — nalegał Solski w taki sposób, że aż siostra zgromiła go spojrzeniem.

Pani Korkowiczowa była zdruzgotana.

— Ha!... — rzekła zmienionym głosem — jeżeli hrabiostwo koniecznie tego sobie życzą...

— Jesteśmy pani bardzo obowiązani — rzekł Solski i z ukłonem uściśnął rękę pani Korkowiczowej. — Teraz na ciebie kolej — zwrócił się do siostry.

— Ty pojedziesz z nami, kochanko... Ty mi nie odmówisz tej łaski... Przecież jesteśmy spokrewnione... — błagała Madzię panna Solska.

— Tak — potwierdził brat — przez Strusiów.

— Więc ubierz się, moja ty jedyna, i kiedy pani tak łaskawa, że cię zwolniła, jedź zaraz z nami...

— Naturalnie — rzekł Solski.

W pięć minut później, w pysznym salonie została tylko pani Korkowiczowa bliska apopleksji i jej syn pełen zdumienia.

— Cha! cha! cha!... — zaśmiał się pan Bronisław. — Kuzynka Solskich... A to się mamie udało z tym ciemnym pokoikiem!...

— Będziemy ją odwiedzać u Solskich... — nagle odezwała się pani. — Mamy prawo, nawet święty obowiązek...

— Albo oni nas tam przyjmą!... Przecież dawno mówiłem mamie, że to dranie... — zakonkludował pan Bronisław.

Linka i Stasia wyrozumiawszy przez drzwi, o co idzie, nawet nie pożegnały się z Madzią. Zamknęły się w swoim pokoju na klucz i zanosiły się od płaczu.

Stroskana matka na próżno dobijając się do nich usłyszała od Linki te wyrazy:

— A co, nie mówiłam, że się mama dowojuje?...

— Przecież będziemy pannę Brzeską odwiedzać u państwa Solskich — uspakajała ją pani Korkowiczowa, choć serce jej szarpały złe przecucia.

## IO. DOM PRZYJACIÓŁ

Od chwili pożegnania pani Korkowiczowej Madzia prawie nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Pan Solski sprowadził ją ze schodów, pomógł wejść do eleganckiej karety (nie tej, która przyjeżdżała po nią zwykle); obok Madzi usadowił siostrę, sam usiadł naprzeciw pań i kareta ruszyła skrzypiąc po śniegu, który grubą warstwą bielił się na ulicach i dachach.

Madzia w milczeniu spoglądała na Adę i pana Stefana. Czuła, że wypada przemówić do nich, lecz brakło jej wyrazów, nawet wątku myśli. Nigdy nie wyobrażała sobie tak

dziwnego położenia: była faktycznie porwaną, jakkolwiek nie gwałtem, ale też i nie z jej wola i wiedzą.

Kareta stanęła przed domem Solskich. Pan Stefan wysadził swoje towarzyszek i znowu wzięwszy Madzię pod rękę skrzył z nią do prawej oficyny. Spostrzegłszy, że nie wchodzi do głównej sieni, Madzia zawahała się; ale Solski nie dał jej czasu do namysłu i stanowczo, choć delikatnie, pociągnął na górę.

„Okropny człowiek” — pomyślała Madzia nie śmiać stawiać oporu.

Na pierwszym piętrze oczekiwała na nich młoda, nieładna panna służąca, wcale nie gorzej ubrana od Madzi.

— Anusiu, oto twoja pani — rzekł do niej Solski wskazując na Madzię.

— Postaram się, ażeby pani była ze mnie kontenta — odpowiedziała pokojówka odznaczająca się brakiem wdzięków i poważnym wyrazem twarzy.

Mimochodem na jej widok Madzia zrobiła w duchu uwagę, że w domu Solskich wszyscy służący mężczyźni byli piękni, a wszystkie kobiety brzydkie.

Teraz Solski zatrzymał się przy otwartych drzwiach, Madzi zaś Ada podała rękę.

— Wejdz z nami, Stefek — rzekła siostra. — Madzia dziś wyjątkowo pozwala ci... Twoje mieszkanie, Madziu — mówiła wzruszonym głosem. — Widzisz... salonik... To pokój do pracy, a to sypialnia, która może łączyć się z moją, jeżeli zechcesz.

Pokoje były duże, widne, wesołe, gabinet miał balkon wychodzący na ogród obecnie zasypany śniegiem.

Pozwoliwszy rozebrać się pokojówce Madzia stała na środku saloniku bez ruchu. Zdumiona patrzyła na wielkie lustra w złotych ramach, na adamszkowe krzesła i fotele, na niebieskim tle ozdobione haftowanymi pasami, na ogromne wazony świeżych kwiatów...

— Więc ja już nie jestem u państwa Korkowiczów?... — cicho spytała Ady.

— Już nie — kochanko... na twoje i nasze szczęście — odpowiedziała panna Solska okrywając ją pocałunkami. — Rzeczy przywiozą dziś wieczór...

— Więc czymże ja teraz jestem?...

— Naszą przyjaciółką... naszym drogim gościem — mówiła Ada. — Pozwól mi — mówiła dalej — wynagrodzić ci choć cząstkę tych przykrości, jakie miałaś z naszego powodu...

— Ja?...

— No, tylko nie ukrywaj!... Dziś całe miasto wie, że pani Korkowiczowa kazała ci podawać obiad dopiero po swoim mężu, że ulokowała cię w jakiejś komórce i nawet nie pozwalała ci być litościwą. A wszystko z tego powodu, że nie umiałaś ściągnąć nas do jej salonów...

— Do pałaców sterczących dumnie!... — deklamował pan Stefan.

— Tylko nie wypieraj się — pochwyciła Ada obejmując Madzię i siadając z nią na kozetce. — Ja, wyznaję, jestem tak niedołęzna, że oprócz łez (ale z gniewu!) nie umiem znaleźć rady, i już byłam zdecydowana na projekt panny Malinowskiej, która chciała cię wziąć do siebie. Ale Stefek, powiadam ci, zakipiał... No i widzisz, co się stało!... Mnie porwał na wizytę do pani Korkowiczowej, a ciebie wydarł stamtąd w imię zupełnie słusznej zasady, że nie możemy pozwolić na krzywdę wnuczki Strusiów, z których krwi pochodzimy sami.

Madzia rozplakała się. Solski rzucił się do niej zmieszany.

— Panno Magdaleno — rzekł biorąc ją za rękę — przysięgam, że nie chciałem zmartwić pani... Ale powiedz sama: czy mogłem obojętnie słuchać o wybrykach pani Korkowiczowej i patrzeć na fontanny łez mojej siostry?... Przecież ona zmizerniała w ciągu kilku dni, rozpaczając...

— Magduś... — szeptała Ada tuląc się do Madzi — przebac mi mój egoizm... Ja taka samotna... mnie tak smutno... Już od dawna chciałam cię błagać, ażebyś zamieszkała u mnie, lecz znając twoją drażliwość nie śmiałam... No, ale twoja dobroć wobec pani Korkowiczowej nawet mnie uzuchwiała. Ty nie gniewasz się, Magduś, prawda?... Przypomnij sobie, jak nam było pod jednym dachem... Czyliż nie warto choćby na kilka miesięcy odnowić takich wspomnień?...

— Ale ja będę dawać lekcje u panny Malinowskiej... — rzekła nagle Madzia spostrzegłszy, że jej przyjaciółka jest zmartwiona i zakłopotana.

— Rób, co chcesz, kochanko...



— I... potem przeniosę się do panny Malinowskiej na stałą... Bo widzisz — usprawiedliwiła się Madzia — ja przecież muszę obeznać się z administracją pensji, bo... widzisz, ja muszę od wakacyj otworzyć szkółkę w Iksinowie...

— Czy koniecznie w Iksinowie? — przerwała Ada. — Przecież tam, jak sama mówiłaś, nie było uczniów ani uczennic.

— Więc gdzie, moja droga?... Tam, choćby nie opłacił mi się pierwszy rok, znajdę pomoc w domu, a później... jakoś pójdzie.

— Moja kochana — rzekła Ada dając znak bratu — jeżeli szkoła koniecznie potrzebna ci do szczęścia, to my będziemy mieli szkołę przy cukrowni... Możesz ją wziąć, skoro się otworzy, nie narażając się na wydatki i ryzyko.

— Ależ bardzo panią prosimy — wtrącił Solski — a ja specjalnie błagam, ażebyś nie opuszczała siostry... Co najmniej do czasu, w którym ukończę ważniejsze interesy... Ada naprawdę jest osamotniona i łaskę wyświadczy nam pani pozwalając choć raz na dzień spojrzeć na siebie i zamienić parę słów.

— Psujecie mnie państwo... — szepnęła Madzia kryjąc twarz na ramieniu Ady.

— Więc nie gniewasz się?... Zgadzasz się, złota, kochana!... — rzekła Ada.

— Błogosławiona!... — zawołał śmiejąc się Solski i przyklękawszy ucałował rękę Madzi. — Teraz cały świat nie odbierze nam pani...

Kiedy Solscy przeszli do swoich pokojów zostawiając Madzię samą, pan Stefan zatarł ręce i rzekł z zapalem do siostry:

— Ach, cóż to za oryginalna kobieta!... Czy ty pojmujesz, Ada?... Zawsze gotowa do poświęcenia się... cierpi bez skargi i... wiesz co?... Ona może nawet nie wie o tym, że jest przesłiczna... Takie robi wrażenie... Cóż to za prostota, naturalność...

Chodził szybko po pokoju i zacierał ręce, a małe oczki rzucały iskry.

— Podobają ci się? — zapytała siostra.

— Oszałamiałbym dla niej, gdyby... Gdyby była taką, jak się wydaje.

— Za to ci ręczę — rzekła Ada kładąc mu rękę na ramieniu i patrząc w oczy.

— Za nikogo nie ręczę — odparł tym samym tonem i z tym samym ruchem. Następnie pocałowawszy ją w czoło dodał z westchnieniem:

— Nasze szczęście, że wobec rozmaitych rozczarowań my przynajmniej możemy liczyć na siebie.

— Znowu Helena?... — zapytała siostra.

— Wszystko jedno — odparł, a potem dodał: — Widzisz, Helena, o ile znam kobiety, nie gorsza od innych; a ma pieprzyki!... Ale gdyby istniały takie kobiety, jaką ty jesteś i jaką wydaje się być Magdalena... Ach, Ada, mówię ci, świat byłby lepszy i — nam byłoby lepiej na nim.

— Ręczę ci... ręczę, że Madzia jest taką.

— Bodajbyś miała słuszność... Ale na wszelki wypadek już nie ręczę za nikim... Zresztą mądrość życia polega na tym, ażeby brać ludzi, jakimi są: podstępnymi bydlętami, bez których nie możemy się obejść.

— Gdybyś znalazł taką żonę jak Madzia! — rzekła siostra.

— Może bym się znudził nią?... — odparł z uśmiechem Solski. — Ja przecież także jestem dzieckiem czasu, które lubi nowość...

Pożegnał siostrę i przez długi szereg pokojów przeszedł do swego gabinetu.

Był to pokój o dwu oknach, obity ciemnym adamaszkiem, zastawiony szafami i stolami pełnymi książek i papierów. Meble były dębowe, obite skórą. Pod jednym z okien stało biurko zaopatrzone w guziki do dzwoneczków elektrycznych; za biurkiem na ścianie wisiał plan przyszłej cukrowni i jej zabudowań.

Solski usiadł przy biurku zasypanym szkicami i raportami — i ziewnął.

„Jest fakt — myślał — że inna na jej miejscu już od kilku lat wyzyskiwałaby Adę, a ona nie robiła tego... Może przez naiwność?...”

Solski dotknął jednego z guzików na biurku. Drzwi od przedpokoju cicho otworzyły się i wszedł lokaj z miną, jeżeli nie zaspanego, to przynajmniej zmęczonego człowieka.

— Był, proszę jaśnie pana, ten z cegielni, był Niemiec i był adwokat. Położyłem bilety na stole.

Solski od razu zauważył bilety we właściwym miejscu, ale nie chciało mu się odczytywać ich.

— Listy odesłałeś?  
— Odesłałem, proszę jaśnie pana.  
— Do mnie korespondencji nie było?  
— Nie było, proszę jaśnie pana.  
— To dziwne!... — mruknął Solski i jednocześnie pomyślał, że wszystkie te jego listy i cudze listy, i wszystkie wizyty techników, ceglarzy i adwokatów nic a nic go nie obchodzą...

— Możesz odejść — rzekł głośno.

„Może dopiero teraz zacznie panna Magdalena korzystać z usług Ady, chociaż... Kto jej bronił zamiast do Korkowiczów od razu sprowadzić się do nas?... Więc ma ambicję. A jeżeli tam znosiła impertynencje tylko przez przywiązanie do dziewcząt, więc ma zdolność przywiązywania się...”

Patrzył na sufit i zobaczył cień Madzi w popielatej sukience, z półotwartymi ustami i nieopisanym zdumieniem w oczach na widok nowego mieszkania.

„Jak ona się kapitalnie dziwiła!... — myślał. — Kto tak dziwić się umie, musi być szczerym...”

Zresztą — dodał po chwili — zobaczymy, jak postąpi z Korkowiczami. Panna Helena w podobnym wypadku zdobyłaby się na śmiertelną pogardę... No, także nie byle kto potrafi gardzić... Pyszna lwica... a jak ona się rozwinęła w towarzystwie!... Brak jej tylko pieniędzy i nazwiska, ażeby zabłyszczeć w Europie. Milion niesłychanie potęguje wdzięki kobiet...”

Tymczasem Madzia, kiedy Solscy opuścili ją, naprzód — schwyciła się rękoma za głowę, a potem zaczęła oglądać swój apartament ze wzrastającą ciekawością.

„Pokój do pracy — myślała — co za biurczko... jakie książki... Szekspir, Dante, Chateaubriand?... Sypialnia... nie wiem, czy potrafię spać na tak ogromnym łóżku?...”

Był i bujający się fotel (jak w gabinecie pani Korkowiczowej) naprzeciw kominka. Madzia usiadła, zakosyła się parę razy, co jej wcale nie wydało się przyjemnym, i znowu zaczęła rozmyślać.

„Jeżeli tutaj nie zwariuję, to już nie wiem, co zrobić! Jestem jak chłop, którego przemieniono na księcia... Ja bym jednak nie śmiała przerzucać ludźmi: z pokoju guwernantki do salonu wielkiej damy — ale panom to uchodzi... Nawet nie wiem, czy wypada mi od nich przyjąć szkołę przy fabryce?... Zresztą, może się jeszcze zmienić kaprys... Ach, mają pieniądze i sami nie wiedzą, co z nimi robić!...”

Madzię ogarniał coraz większy niepokój. Nie mogła wyobrazić sobie, że jej stosunki z Korkowiczami już są zerwane, a bała się myśleć: co o niej powiedzą? Wzięto ją jak obraz, jak sprzęt i przewieziono do innego mieszkania... Piękna rola!...

Wnet jednak przypomniała sobie nieklamane objawy życzliwości ze strony Solskich. Obrazili się za nią na państwa Korkowiczów i odebrali ją, zupełnie jak gdyby była ich siostrą... Takich rzeczy niepodobna nie ocenić i Madzia oceniła je.

„Boże... Boże — szepnęła — jaka ja jestem niewdzięcznica!... Przecież oni zrobili mi łaskę...”

„A może właśnie tu dopiero zaczną się moje obowiązki?... — myślała. — Ada nie jest szczęśliwa i może mnie Bóg przysłał...”

„Akurat!... — szepnęła. — Miałby się też Pan Bóg kim posługiwać...”

A jeżeli?... A może uda mi się namówić Helenę, ażeby wyszła za Solskiego... Przecież to było największe pragnienie jej matki, której tyle zawdzięczam... Nawet, że tu dziś jestem... To pewna, że nie jestem tu przez siebie ani dla siebie...”

Wejście Ady przerwało rozmyślenia.

Około szóstej podano obiad w ogromnym pokoju jadalnym i w asystencji dwu służących, ale przy małym stole, na którym były cztery nakrycia.

W chwili gdy Madzia miała zapytać się: kto będzie czwartym biesiadnikiem, niewidzialna ręka szeroko otworzyła drzwi, przez które majestatycznie weszła ciotka Solskich, pani Gabriela. Była to osoba wysoka, szczupła i chorowita, ale ubrana z elegancką prostotą. Ledwie raczyła spojrzeć na zmieszaną Madzię, którą jej przedstawiła Ada, i usiadłszy na swym miejscu kazała podawać obiad.

— Jakże ciocia spała dziś? — spytał Solski.

— Jak zwykle nie zmrużyłam oka.

— A nerwy?

— Czy możesz o to pytać?... Od śmierci waszej matki nie opuszcza mnie bezsenność i niepokój.

Następnie po raz setny w życiu i wśród głębokich westchnień (które jednak nie odstraszały jej apetytu) ciotka Gabriela zaczęła upominać Solskich, ażeby nie usuwali się od towarzystwa.

— Dziczejecie — mówiła — odwykacie od widoku ludzi narażając się przy tym na opowiadanie dziwnych historii...

— Pasjami to lubię — wtrącił Solski.

— Wczoraj na przykład zaręczono mi u Władysławów, że Stefan ma zostać dyrektorem swojej własnej cukrowni... Dlaczegoż — odpowiedziałam — nie awansujecie go od razu na rządcę domu albo stangreta?...

— Mówiono cioci prawdę — rzekł Solski — bo już kieruję przygotowaniem planów do cukrowni...

— Ależ, na Boga! — zawołała ciotka Gabriela spoglądając w sufit. Następnie zapytała Ady, czy „tej panience” nie zrobi różnicy rozmowa po francusku, ze względu bowiem na służbę nie można wszystkiego wypowiadać po polsku. Odebrawszy zaś potwierdzającą odpowiedź zaczęła prawić:

Że tryb życia, jaki Solscy obecnie prowadzą, w najwyższym stopniu dziwi całe towarzystwo. Że stosunki Stefana z panną Norską (której brat jest zresztą niezłe widziany w towarzystwie), że stosunki te są powodem dwuznacznych uśmiechów. I że Stefan powinien by się ożenić, choćby ze względu na swoją siostrę. Ożenić się zaś może tym łatwiej, że w towarzystwie jest kilka dobrych partyj, na które Stefan może liczyć, że będzie mile przyjęty, pomimo swojej oryginalności, a nawet z powodu tej oryginalności.

— Stefan — kończyła ciocia Gabriela — ma opinię bałamuta, co w oczach kobiet światowych otacza go urokiem.

— A czy te panie, na które rzucam urok, mają pieniądze? — zapytał Solski.

— Nie mówiłabym ci o innych!... — zawołała ciocia Gabriela. Mają nazwiska, wdzięku, pieniądze i mimo to niejednej biedaczce grozi staropanieństwo tylko dlatego, że mężczyznom podoba się umieszczać uczucia poza właściwą sferą.

Obiad kończył się, a przy leguminie służący półgłosem zawiadomił Adę, że przywieziono dla panny Brzeskiej rzeczy i listy. Jeden z pieniędzmi był od pani Korkowiczowej, drugi od jej dziewczynek.

Przy kawie Ada, za nią pan Stefan i ciocia Gabriela uprosili Madzię, ażeby bez ceremonii przejrzała korespondencję, która może być ważna. Skutkiem tego Madzia zaczęła czytać listy, co chwilę rumieniąc się i błędąc. Solski, który patrzył na nią spod oka, spostrzegł, że pierś jej faluje coraz szybciej, usta drżą i że Madzia robi duże wysiłki, ażeby się nie rozplakać.

„Kto w taki sposób — myślał — umie czytać listy od swoich uczennic, nie może być złym... Chyba że popisali jej impertyncje...”

— I cóż? — zapytała Ada.

— Nic... Choć wiesz, Adziu, że będę musiała tam pójść — odparła Madzia nie podnosząc rzes, spoza których gwałtem zaczęły się lzy przeciskać.

— Ale nie dziś, kochanko?...

— Kiedy zechcesz, moja złota — rzekła cicho Madzia. Ale już nie mogła pohamować się i wybiegła z pokoju.

Dwaj lokaje dyskretnie odwrócili się do okna, zaś ciocia Gabriela wzruszając ramionami zawołała:

— Wiesz, moja Ado, że mogłaś między tymi pannami znaleźć weselszą towarzyszkę!... Chyba że lubisz nerwowe ataki, a w takim razie ja bez potrzeby ukrywam moje cierpienia...

— Ciotko — odezwał się z niezwykłą powagą Solski — te lzy wart są więcej aniżeli nasze brylanty...

— Zdumiewasz mnie, Stefanie — zdziwiła się ciotka Gabriela. — Ja co dzień wylewam potoki łez...

— Jej, widać, jest bardzo przykro, że rozstała się ze swymi uczennicami — wtrąciła Ada.

— Więc zamiast płakać, niech do nich wróci — rzekła ciotka Gabriela tonem rozstrzygającym wszelkie fizyczne i metafizyczne wątpliwości.

Solski uderzył palcami w krawędź stołu.

— Ach, ciociu, ciociu!... — odparł — ty nawet nie domyślasz się, jaką piękną rzecz widzieliśmy w tej chwili... Sama powiedz, czy płakał kto za tobą, za Adą albo za mną, i jeszcze tak serdecznymi łzami... Nas nigdy nikt nie oplakiwał, choć nikomu nie zrobiliśmy krzywdy. I może dlatego musimy wylewać potoki łez nad urojonymi cierpieniami... Powiedz, Ada: kochał nas kiedyś kto, jak panna Brzeska swoje uczennice?...

— Widzisz, a nie wierzyłeś mi... — wtrąciła siostra.

— Święty dzień — mówił wzruszony Solski. — Święty dzień, w którym taka kobieta weszła do naszego domu... Będziemy mieli — dodał z ironią — widowiska wspanialsze od zórz północnych i wschodu słońca na Righi...

— Jestem zbulwersowana! — rzekła ciocia Gabriela składając ręce. — Stefanie, mówisz jak zakochany... Jak wówczas, kiedy wróciłeś z pierwszego spaceru z tą panną... no z panną Norską.

— Eh, co tam panna Norska!... — odparł wzburzony.

— Aa... rozumiem!... Umarł król, król... Możemy wstać od stołu — zakończyła ciotka.

Ponieważ rozmowa toczyła się w języku francuskim, więc lokaje udawali, że nic a nic nie rozumieją. Niemniej od tej pory ktokolwiek ze służących spotkał Madzię, schylał się przed nią do ziemi.

— Nasi państwo — mówił w kuchni jeden z lokajów — zawsze lubią mieć coś nowego na stajni...

— Minie i to... — odparł wiekowy kamerdyner.

— Ale co pieniędzy wykosztuje? — wtrącił kucharz. — Za to, co się wydało dla Norskich, wziąłbym ze trzy takie restauracje jak w Europejskim Hotelu. Żaden wilk nie zje tyle co baba... A czy to warto?... My najlepiej wiemy, panie Józefie...

Kamerdyner potrząsnął siwą głową.

— Pan przynajmniej nie powinienes narzekać na ten interes — rzekł powoli. — Z jednej Ewy tyłu przecie narodziło się ludzi, że wszyscy kucharze mają za co pić do ukamienowanej śmierci...

## II. NA NOWYM STANOWISKU

W taki sposób osiedliła się Madzia w domu Solskich. Oprócz cioci Gabrieli nie pojmującej, jak można przyjaźnić się z „tymi panienkami”, wszyscy byli jej życzliwi. Ada lubiła ją serdecznie, służba prześcigała się w grzecznościach, a władca tej kolonii, pan Solski, wahał się jak na huśtawce między bałwochwalczym ubóstwieniem Madzi i — nieufnością do ludzkiego rodu w jego żeńskiej połowie.

Madzi jednak w nowych warunkach nie opuszczał niepokój. W nocy na rzeźbionym łóżku nie mogła spać: a ile razy zdrzemnęła się, budziło ją przywidzenie, że ona nie ma dachu na głowę, lecz tuła się po ulicach miasta.

Od czwartej rano nie zmrużyła oka, ale gdy około siódmej weszła pokojówka, Madzia udawała, że śpi. Wstyd jej było, że ta dystygowana panna ma czyścić jej ubogą sukienkę.

Zjadłszy pierwsze śniadanie w pokoju Ady Madzia poszła do Korkowiczów, gdzie przyjęto ją ze zdumieniem i zachwytem. Pani rozszlochała się, panienki od wczoraj płakały, a pan Korkowicz, który przed godziną wrócił ze wsi, uściskawszy Madzię rzekł swoim grubym głosem:

— Wołałbym mieć w pani synowę aniżeli nauczycielkę, bo synowej nikt by mi nie odebrał...

Pani Korkowiczowa westchnęła żałośnie. W ciągu pół doby straciła nadzieję ożenienia swego syna z Adą Solską, a natomiast wiele myślała o innej kwestii.

— Proszę pani — wtrąciła wśród pocałunków — ci Strusie, o których mówili wczoraj państwo Solscy, to musi być rodzina zagranicznego pochodzenia?

— Nie, pani, to polska rodzina.

— Myślałam. Bo ród mego męża także pochodzi z Niemiec, gdzie nazywali się von Propfenberg. I dopiero edykt nantejski zmusił ich...

— Dajże pokój tym bredniom! — oburzył się pan. — Któryś mój dziad musiał być w szynku parobkiem do korkowania butelek i stąd nasze nazwisko...

— Ależ, Piotrusiu, nie zaprzeczaj mi!... Sama byłam nad Renem na pagórku Propfenberg, który, jak objaśnił mnie hrabia Przewracalski, musi być gniazdem naszych przodków... Nawet hrabia Przewracalski radził, ażebyśmy kupili to miejsce i zbudowali...

— Trzeci browar? — wtrącił pan. — Niegłupim!...

— Ależ nie... Ażebyśmy tam wzniesli zameczek.

— Jak Boga kocham — zawołał Korkowicz bijąc się w piersi — czasami zdaje mi się, że mam więcej rozumu od ciebie. A przecież nie chodziłem na pensję i na starość nie uczę się po francusku...

Wszedł do salonu pan Bronisław... Był nieco zmieszany obecnością Madzi, lecz odzyskawszy humor rzucił się na kanapę i zawołał:

— Ten Kazik Norcki ma diabelskie szczęście: wygrał od nas wczoraj ze sześćset rubli... Ale za to jego siostra!... Mówię ojcu, palce oblizywać...

— Gdzież ją widział? — niespokojnie zapytała matka.

— Eh! to cała historia — odparł pan Bronisław machając rękoma i pomagając sobie w tej czynności jedną nogą. — Spotkałem ją koło Saskiego Placu... szła z tym swoim amerykańskim ojcem... Stałem, mówię mamie, jak bałwan i patrzę, a ona na mnie — łyp oczkiem... Idę za nią, wymijam... ta znowu łyp... Zglupiałem do reszty, a ona delikatnie odwraca głowę i coś... jakby się uśmiecha... Ukrop mnie oblał... a ona szep, szep do ojca — i skracają na wystawę sztuk pięknych, a ja za nimi...

Nicem nie widział, tylko ją — prawil pan Bronisław ocierając spotniałą twarz chustką — ale i ona trochę na mnie oczkowała... Potem rozeszliśmy się... Ale że ja mam należność u Kazika, więc zaraz poprosiłem go, ażeby mnie przedstawił swojej siostrze. Obiecał — i dziś albo jutro poznam się z nią... Ale mówię tatce, kiedy o niej wspomnę, łydki mi drętwieją. W Warszawie jest dużo ładnych facetek, ale takiej jeszcze nie widział.

— Słyszałeś?!... — zapytała pani Korkowiczowa, z rozpaczą spoglądając na męża.

— Twój wychowanek — odparł mąż.

Pan Bronisław zerwał się z kanapy.

— Ale rodzony syn tatki i wdał się w tatkę!... — zawołał klepiąc ojca po brzuchu.

— Ho! ho! ho!... — zaśmiał się pan Korkowicz.

Wycelowana i zapraszana przez całą rodzinę Korkowiczów o najczęstsze wizyty Madzia pożegnała ich zdziwiona. Więc nawet i pan Bronisław zaciągnął się na listę wielbicieli Heleny, których już w Warszawie było kilku?... Co na to powie Solski, taki wyłączny i dumny?... W tenże to sposób Helenka stosuje się do przedśmiertnych życzeń matki?...

Od Korkowiczów Madzia poszła do panny Malinowskiej, która powinszowawszy jej porzucenia dotychczasowych obowiązków zapytała: czy nie weźmie na pensji trzech godzin dziennie arytmetyki i jeografii w najniższych klasach?

— Właśnie przyszedłam o to prosić... — rzekła uradowana Madzia.

— Czy tak?... Bardzo dobrze robisz zapewniając sobie rezerwę z własnej pracy — odparła panna Malinowska. — Bo względy wielkich panów mniej są pewne aniżeli gusta kobiet... Więc przyjdź jutro o dziewiątej i zaczynaj od razu. A teraz do widzenia, gdyż jestem zajęta.

Pożegnawszy się z panną Malinowską Madzia spotkała oczekującą na schodach pannę Żanetę, która bez wstępu zapytała:

— Cóż to, Madziu, chcesz u nas dawać lekcje?

— A tak — odpowiedziała wesoło — i wyobraź sobie, już mam u was trzy godziny...

Panna Żaneta wzruszyła ramionami i rzekła obojętnym tonem:

— No, no... Ja mając takie stanowisko u Solskich nie myślałabym o niczym podobnym...

— Dlaczego?

— Tak sobie.

Pożegnały się chłodno, a rozżalona Madzia mówiła do siebie:

„Czy ona chce, ażeby ja dostała się na łaskawy chleb u Solskich?... Przecież wie, że muszę pracować, a mój pobyt u Ady skończy się za parę miesięcy...”

Od tej pory życie Madzi w domu Solskich płynęło bardzo systematycznie.

Wstawała o siódmej i ubrawszy się mówiła pacierz. Była to ciężka chwila, często bowiem przychodziło jej na myśl, że Pan Bóg może nie wysłuchać modlitw tak wielkiej jak ona grzesznicy.

Około ósmej przynoszono jej kawę, po wypiciu której ucałowawszy Adę, leżącą w pułkach i koronkach, biegła na pensję, skąd wracała o pierwszej lub trzeciej.

Przez jakąś godzinę, wesoła i uśmiechnięta, opowiadała pannie Solskiej o wydarzeniach na pensji, a następnie w swoim pokoju odrabiała lekcje z Zosią, siostrzenicą Dębickiego, który mieszkał w lewej oficynie na dole obok biblioteki.

Pewnego dnia rzekła do Zosi:

— Wiesz, Zochna, pójdziemy jutro na pensję do czwartej klasy... Przecież pensję trzeba skończyć, bo inaczej będzie martwił się wujcio.

Dziewczynka zbladła i zaczęła drżeć.

— Ach, pani — rzekła — ja tak się boję... One mnie będą wyśmiewały... Nawet panna Malinowska mnie nie przyjmie...

— Nie bój się!... Przyjdź do mnie jutro o wpół do dziewiątej, ale — wujciowi nie mów nic...

Jakoż nazajutrz rano prowadziła na pensję Zosię, która była biała ze strachu i miała czerwony nosek z zimna. Madzia jednakże tak wesoło rozmawiała z Zosią i tyle zadawała jej pytań w ciągu drogi, że dziewczynka ani spostrzegła się, kiedy stanęły w korytarzu pensji.

Jedna z pokojówek zdjęła z Zosi krótką salopkę, a Madzia wprowadziła za rękę drżące dziecko do sali czwartej klasy.

— Patrzenie — zawołała do uczennic — przyszła Zosia, którąście tak zapraszały... Kochajcie ją i bądźcie dla niej dobre.

Dziewczynki otoczyły dawną koleżankę i tak życzliwie zaczęły z nią rozmawiać, że Zosię opuścił strach. Dopiero gdy Madzia wyszła z sali, dziewczynka znowu pobladła i zwróciła za nią rozszerzone źrenice.

Madzia z korytarza weszła do klasy i ucałowawszy wylęknioną Zosię, jeszcze raz rzekła do jej towarzyszek:

— Kochajcie ją, bardzo kochajcie... Ona boi się, żebyście jej nie zrobiły jakiej przykrości...

Zosia została w sali. W czasie pauzy o dwunastej przyznała się przed Madzią, że jest jej wesoło w klasie, a wracając o trzeciej do domu powiedziała, że nie rozumie, jak mogła tyle miesięcy wytrzymać bez towarzystwa koleżanek.

Zaniepokojony Dębicki czekał na podwórzu, a zobaczywszy mizerną, lecz uśmiechniętą siostrzeniczkę, pobiegł kilka kroków naprzeciw i zawołał:

— Cóż to... wróciłaś na pensję?...

— I już będzie chodziła aż do ukończenia! — szybko odpowiedziała Madzia.

Dębicki podziękował jej spojrzeniem. Wprowadził zziębniętą Zosię do pokoju i zdejmując z niej wiotką salopkę pytał:

— Cóż, bałaś się?... bardzo ci było przykro?...

— Okropnie!... Ale kiedy panna Magdalena pocałowała mnie, zrobiło mi się tak na sercu!... Wie wujcio, tak mi się zrobiło, że weszłabym do najciemniejszego pokoju...

Tęgo wieczora Dębicki opowiedział Solskiemu przygodę Zosi: jej przestach, długą przerwę w naukach i dzisiejszy powrót na pensję dzięki Madzi, która w tajemnicy przed nim wszystko przygotowała.

Solski słuchał wzruszony, biegając po gabinecie. Wreszcie kazał prosić do siebie siostrę.

— Słyszałaś, Ada, o Zosi?... — zapytał.

— Naturalnie. Madzia cały plan ułożyła w moim pokoju.

— My byśmy tego nie umieli zrobić, Ada?...

— Nam by to nawet na myśl nie przyszło — cicho odpowiedziała siostra.

— Anioł w ciebie kobiety albo... genialna intrygantka!... — mruknął Solski.

— Ach, proszę cię — wybuchnęła Ada — możesz stosować swój pesymizm do całego świata, tylko nie do Madzi.

Solski wpadł w rozdrażnienie i prostując swoją małą figurkę zawołał:

— Dlaczegoż to, jeżeli łaska?... Czyliż panna Magdalena nie jest kobietą, a w dodatku ładną?... Poeci trafnie nazwali kobietę bluszczem, który aby się rozwinął i zakwitł, musi opasać drzewo i ssać... ssać... ssać!... A im lepiej ssa, im jego podpora jest bliższą śmierci, tym bluszcz bujniej rośnie i piękniej kwitnie...

— Nie wiedziałam, że jesteś zdolny mówić tak o przyjaciółce siostry...

— A panna Helena nie była twoją przyjaciółką? — odparł zasadzając ręce w kieszenie. — Uważałaś ją za istotę nadziemską!... No a dziś do tej niebianki modli się z tuzin pobożnych... na trzy miesiące przed zdjęciem żałoby po matce!... Przyznaj, Ada, że boginie, zanim staną się nieśmiertelnymi posągami, już mają kamienne serca — zakończył całując siostrę.

Pogodzili się prędko; Ada wyszła, a Solski z wyrazem znużenia zabrał się do odczytywania papierów dotyczących jego fabryki.

W początkach lutego, gdy Madzia wcześniej powróciła do pałacu Solskich z pensji, zobaczyła na schodach służbę w ruchu. Pokojówki biegały do góry i na dół z fiolkami i ręcznikami, a młodszy lokaje ustawiając się na różnych kondygnacjach pobierali od nich rogatkowe w sposób mniej lub więcej widoczny, któremu towarzyszyły lekkie okrzyki.

Wobec Madzi — pokojówki przybrały powagę infirmerek, a lokaje zaczęli udawać, że to właściwie oni niosą na górę fiolki i ręczniki.

— Co się stało? — zapytała przestraszona Madzia.

— Pani hrabina zachorowała na migrenę — odparł jeden ze służby nisko kłaniając się i usiłując pohamować westchnienie, które rozsadało mu piersi.

Panią hrabiną nazywano tu ciocię Gabrielę, która mieszkała przy Solskich na drugim piętrze. Dama ta, niezła w gruncie rzeczy, miała sto tysięcy rubli w banku. Narzekając na nudy i samotność, całe dni spędzała na wizytach, a wieczory w teatrze; do swoich zaś siostrzeńców przychodziła tylko na obiady, aby dowiedzieć im, że jest przez cały świat opuszczona.

Madzia dowiedziawszy się, że Ady i Solskiego nie ma w domu, pobiegła na drugie piętro i weszła do sypialni chorej. Zastała ją na fotelu jęczącą, z przymkniętymi oczyma, obłożoną plastrami i materacykami, które ustawicznie zmieniała panna Edyta, stara dama do towarzystwa, mająca w tej chwili również zawiązaną głowę.

Przy wejściu Madzi chora dama rzekła jęśliwym głosem:

— Nareszcie... ukazał się ktoś z dołu!... A ja od godziny umieram... Czarne płatki biegają mi przed oczyma, zęby mam wysadzone, a skronie boją, jakby kto wiercił rozpalonymi świdrami.

— Ja to samo!... — wtrąciła dama do towarzystwa.

— Boże, skróć me cierpienia... — jęczała ciotka Gabriela.

— Boże, zachowaj panią!... — szepnęła dama do towarzystwa kładąc jeszcze jeden materacyk na głowę dostojnej chorej.

— Proszę pani — odezwała się Madzia naturalnym głosem — może ja w czym pomogę?...

Chora otworzyła oczy.

— Ach, to pani?... Bardzo jesteś dobra odwiedzając samotną kobietę, ale... cóż ty mi możesz pomóc?

— Ojciec — mówiła Madzia — nauczył mnie jednego sposobu leczenia migreny, który niekiedy udaje się...

Zdjęła ze siebie okrycie i kapelusz i stanąwszy za fotelem chorej zaczęła odrzucać wszystkie ręczniki i materace opasujące jej głowę.

— Co pani robi? — krzyknęła dama do towarzystwa załamując ręce. — Ależ to zabójstwo...

— Pozwól, Edyto... — odezwała się słabym głosem ciocia Gabriela poczuwszy miły chłodek. — Przecież pani jest córką doktora...

W tej chwili Madzia zaczęła delikatnie ścisnąć i rozcierać rękoma czoło, skronie i kark chorej. Ciocia Gabriela zwróciła uwagę na te ruchy i nagle przemknęło w jej myśli pytanie: „Skąd ona ma takie ręce?... Aksamit!... Dziwne ręce...”. Madzia wciąż tuliła i rozcierała jej głowę; chora dama z natężoną uwagą odczuwała dotknięcie jej rąk.

„Arystokratyczne ręce!...” — myślała dama przypatrując się jednym okiem długim palcom Madzi i różowym paznokciom.

— Czy uwierzysz, Edyto, że mi lepiej?... — odezwała się głośno.  
— Nie do pojęcia!... — odparła dama do towarzystwa.  
— Czuję, jakby mi wchodził w głowę ciepły powiew... oczywiście strumień magnetyczny... A ból ustępuje...

W minutę później ciocia Gabriela była już zdrowa.

— Ojciec pani — rzekła na podziękowanie — musi być homeopatą albo uczniem hrabiego Mattei.

— Nie wiem o tym, proszę pani.

— Czy da pani wiarę — zawołała dama do towarzystwa — że mnie jest trochę lepiej na głowę, choć tylko patrzyłam na ruchy pani?... Istotnie czuję jakiś ciepły prąd powietrza w lewej skroni, a drugą stroną ból ucieka... Cudowne lekarstwo!... Pani musiała dowiedzieć się jakiegoś sekretu od pani Arnold...

— Kto to jest pani Arnold? — spytała ciocia Gabriela.

— Amerykanka, druga żona ojczyrna panny Norskiej...

— Ach, tej...

— Ale ona jest sławną magnetyzerką i rozmawia z duchami — objaśniła dama do towarzystwa.

Zanim Madzia zeszła z drugiego piętra do siebie, już w całym pałacu opowiadano o jej cudownych kuracjach wykonanych na pani hrabinie i damie do towarzystwa. Ledwie zaś Solscy powrócili z wizyty, natychmiast kamerdyner zakomunikował im wiadomość o nadzwyczajnych wypadkach, a ciocia Gabriela, wezwawszy ich do siebie, w dwu językach odmalowała barwny obraz swoich cierpień i sposób usunięcia ich przez Madzię. Kładła przy tym nacisk na delikatność jej dotknięcia dziwiąc się, skąd córka doktora może mieć tak piękne ręce.

— Podoba mi się system panny Magdaleny — odezwał się Solski, któremu żółta twarz pociemniała. — Migrenę leczy ściskaniem, a brak odwagi pocałunkami...

— Nie pleć!... — zawołała siostra.

— No, przecież Zosię ośmieliła całując ją... Bardzo wierzę, że to pomaga!

Kiedy pożegnawszy ciotkę oboje zeszli na dół, odezwała się Ada:

— Tylko, Stefek, nie bałamuć Madzi. Ty, jak widzę, za często prawisz jej komplementa.

— Cóż to, nie wolno?

— Nie wolno, bo jak się dziewczyna w tobie zakocha...

— To się z nią ożenię — odparł Solski.

— Aa... w takim razie...

— Tylko zrób, ażeby się zakochała!... — dodał z westchnieniem.

— Na to nie licz!... — stanowczo odpowiedziała siostra.

— Nie pomożesz mi?... — spytał Solski zdziwiony.

— Nie — odpowiedziała. — To już za poważna sprawa.

— Jak chcesz.

Ucałowali się, ale oboje byli podrażnieni. Ada mówiła sobie:

„Widzę, że Stefek znowu zakochany... Piękna rzecz!... Albo ożeni się z Madzią, a wtedy zobojętnięją dla mnie oboje, albo — rzuci biedną dziewczynę, a wówczas ona będzie miała prawo zniechęcić mnie...”

Gdybyż to były na świecie dwie Madzie, jedna do drugiej podobna jak dwie krople wody!... Nie, nawet jedna niechby sobie była daleko lepsza i piękniejsza od drugiej... W takim razie tamtą lepszą oddałabym Stefkowi, a sobie zostawiłabym tę zwyczajną. I wszyscy byłibyśmy szczęśliwi, a tak... nie wiadomo, co będzie...”

Solski z rękoma w kieszeniach szybko chodził po swoim gabinecie, manewrując spojrzzeniami w ten sposób, aby jak najrzadziej spotykać się z rozwieszonymi na ścianach planami cukrowni.

„Weszła do nas — myślał — jak iskierka i zapaliła płomień, który sięgnął aż na drugie piętro... Cha!... Cha!... — śmiał się — jeżeli pannie Brzeskiej za każdym razem uda się wypędzić migrenę z głowy mojej biednej ciotki, Gabriela zacznie podejrzewać swoją lekarkę bodaj czy nie o królewskie pochodzenie... Tylko francuscy królowie dotknięciem usuwali skrofuły... Zatem panna Brzeska... cha!... cha!... cha!... Już widzę ciotkę w naszym obozie!...”



Ale Ada!... Zawsze awantury z tymi babami... Ileż to razy mówiła mi: chciałabym, ażebyś znalazł żonę podobną do Madzi... A jak ją chwali, jak ją kocha!... I właśnie teraz, kiedy znajduję żonę najpodobniejszą do Madzi, ona mówi, że nie chce się mieszać do tego...

Przecież z panną Heleną Norską moje rachunki są — jak nie można — czyste... Nie ja zerwałem, tylko ona radząc mi w dodatku, ażebym zdobywał ją na nowo wedle najświeższych zasad jeszcze nie wypróbowanych przez nikogo, ale które ona dopiero oceni!... Chwała Bogu!... Niechże ocenia nowe zasady na innych zwierzętach, a mnie — zostawi w spokoju...

Będę miał żonę piękną, która mówi po francusku i gra na fortepianie, i która — mnie wszystko będzie zawdzięczać... Majątek, nazwisko, hołdy światowe... Wszystko — prócz anielskiego serca... które zresztą trzeba bliżej poznać... Może i ona wynalazła nowe zasady kochania?... Diabli wiedzą. Na kobiety padła jakaś umysłowa epidemia, zabawna w początkach, ale na dłuższą metę nudna...”

W tym samym czasie Madzia w swoim pokoiku czytała wypracowania uczennic. Ale zajęcie szło jej oporem. Co chwilę odkładała kajet i oparłszy głowę na rękę przymykała oczy, jakby odrywając się od zewnętrznego świata chciała głębiej spojrzeć we własną duszę, którą ugniatał nieujęty, ale dokuczliwy ciężar.

W domu pani Latter czytanie wypracowań robiło jej przyjemność; nieraz zanosila się od śmiechu z powodu zabawnych wyrażen młodych autorek.

Dziś nuży ją niewyraźne pismo, dręcząc błędy, a treść nie zajmuje. I wydaje się jej, że lada chwila wejdzie ktoś i zapyta:

„Skąd się pani tu wzięła?... Co pani tu robi?...”

Może nawet wejść jej własny ojciec, a byle spojrzal na nią, ona już zrozumie: co to znaczy?...

„Jakże — więc rodzicom chciałaś płacić za pokoik i proste obiady, a u wielkich panów darmo zajmujesz salony i jadasz potrawy, jakich my przez cały rok nie widzujemy?...”

Madzia schwyła się za głowę.

„Ja muszę coś zrobić dla nich, bo inaczej łaskawy chleb otruje mnie!... — szepnęła z desperacją. — Niepodobna, ażeby Bóg rzucił mnie tu bez celu... Przecież ci ludzie w swych wielkich salonach nie są szczęśliwi... Ada tak pragnęła, ażeby pan Stefan ożenił się z Heleną, toż samo nieboszczka pani Latter... Czy ja tu nie jestem jej zastępczynią?...”

Ona wskazałaby Adzie środek na rozpedzenie nudów, ona umiałaby poprawić stosunki między panem Solskim a Helenką... I wszyscy byliby szczęśliwi, a ja wywdzięczyłabym się za ich dobroć...

## 12. W JAKI SPOSÓB OŻYWIA SIĘ PUSTKA

Przy mieszkaniu Ady Solskiej był rodzaj oranżerii, cały dzień oświetlonej przez słońce. Za życia matki Ady przynoszono tu osobliwe rośliny w czasie ich kwitnienia. Później przez szereg lat altana stała pustką. Dziś przerobiono ją na botaniczne laboratorium Ady.

Madzia bywała tutaj rzadko. Nie lubiła laboratorium. O ile bowiem szklana altana urządzona była elegancko, o tyle napełniały ją przedmioty brzydkie i dziwaczne.

Ada prowadziła hodowlę mchów i porostów, więc wszystkie stoły i półki były nimi zarzucone. Znajdowały się tam płaskie skrzynie, napełnione piaskiem, torfem, błotem, gdzie rosły jedne gatunki. Były wielkie kawały strzechy, kamieni, cegły i kory drzewnej, na których niańczono inne gatunki. Były zielone, żółte, czerwone i szafirowe klosze dla pielęgnowania mchów i porostów pod wpływem światła różnej barwy. Były olejne lampy uzbrojone wklęsłymi zwierciadłami, za pomocą których oświetlało się rośliny przez całą noc. Były wkszyce duże skrzynie ze szklanymi ścianami, w których można było stosownie do woli badacza wytwarzać podzwrotnikową lub podbiegunową temperaturę, zwiększać ilość kwasu węglanego w powietrzu, dodawać tlenu albo azotu, słowem — grać na siłach i materiałach przyrody jak na klawiszach fortepianu.

Madzia z litością i zgrozą przypatrywała się ledwie widzialnym roślinkom, które zastąpiły tu miejsce pomarańcz, kaktusów, storczyków... Jeszcze mchy były przynajmniej podobne do krzaczków, w najgorszym razie do młodych piórek ptasiego pisklęcia albo do aksamitu. Ale porosty były dziwolągami. Jeden wyglądał jak żółty albo zielonawy proszek

skąpo rozsypany po cegle. Inny był siwą plamą na korze, inny jakąś łuską czy wysypką chorego drzewa.

Madzi niekiedy zdawało się, że drobne te istotki były nieudanymi próbami natury usiłującej stworzyć normalną roślinę. Tu i zrobiła jakiś koszlawy listek, tam cudacki płatek korony, owdzie guzik owocowy. Było to niezgrabne, więc odrzucało się na bok, lecz o zgrozo!... żyło jakimś wyschniętym, trupim życiem...

Że natura myliła się, trudno... Ale że kazała żyć ofiarom swych pomyłek, wyglądało to na okrucieństwo.

W takim otoczeniu Ada spędzała po kilka godzin dziennie; mniej więcej ten odłam czasu, w ciągu którego młode kobiety z jej sfery poświęcają się wizytom i oglądaniu magazynów. Zazwyczaj niektóre ze swych porostów rozpatrywała Ada przez lupę; niekiedy coś zapisywała do specjalnych rejestrów, niekiedy rysowała. Trafiały się jednak i takie dni, że odrzuciwszy głowę na tył fotelu siedziała bez ruchu z oczyma utkwionymi w przezroczysty sufit, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy.

Ożywiła się dopiero wówczas, gdy przyszła do niej Madzia i wzruszając ramionami zapytywała po raz dziesiąty:

— Ja jednak nie rozumiem ani tego, co robisz, ani — po co to robisz?

— Więc posłuchaj jeszcze raz — odparła Ada ze śmiechem — a zagustujesz w tej robocie.

Biorę na przykład sześć, siedem kawałków kory z żółtymi plamkami: są to porosty tego samego gatunku. Wymierzam powierzchnię każdej takiej plamki i zapisuję: A — ma sto milimetrów kwadratowych, B — sto dwadzieścia, C — osiemdziesiąt i tak dalej. Potem jeden kawałek kładę — na przykład — pod klosz czerwony, drugi pod żółty, trzeci pod fioletowy, czwarty pod przezroczysty i — zostawiam to w spokoju.

Po upływie tygodnia wydobywam moje kawałki spod kloszów, znowu mierzę powierzchnię żółtych plamek i znowu zapisuję. Porównanie zaś nowych cyfr z dawniejszymi pokazuje mi, jaki kolor światła sprzyja, a jaki nie sprzyja rozwojowi danego porostu.

W podobny sposób badam wpływ ciepła, wilgotności, kwasu węglanego na porosty, i już mam dość bogaty rejestr spostrzeżeń.

— Brr!... cóż to za nudy... — otrząsnęła się Madzia. — Zdaje mi się, że między tymi suchymi roślinami człowiekowi może serce uschnąć.

— Ach, jakże się mylisz! — zawołała Ada z błyszczącymi oczyma. — Gdybyś wiedziała, ile uczuć rozbudza w sercu podobne zajęcia!... Ile razy niepokoiłam się: czy ta a ta plamka została dobrze zmierzona? Ile razy wstawałam w nocy myśląc, że w lampie ogrzewającej zabrakło oliwy albo że jakiś kawałek leży w niewłaściwym kloszu. I wiesz, że niekiedy tak bywało...

To dopiero jedna strona kwestii. Bo otóż pewnego dnia na badanym poroście ukazuje się nowa kropka, listeczek albo guziczek. Widziałam to już sto razy, lecz za każdym pojawieniem się nowej istoty doznaję dziwnego uczucia: ogarnia mnie obawa, radość i czy nie uwierzyłabyś, niby wstyd... Ze Stefanem na przykład nie rozmawiałabym o tym... Powiadam ci, każdy taki nowy utwór wydaje mi się czymś bliskim: cieszę się, gdy rośnie, lękam się, gdy spostrzegę objawy nienormalne, a gdybyś wiedziała, jak mi żal, gdy biedaczek umiera... Zdaje mi się, że jest to małe dziecko, które ja stworzyłam i nie umiem go utrzymać przy życiu.

— Dziwne! — szepnęła Madzia. — I zawsze jesteś tak zajęta?

Panna Solska zarzuciła rękę na głowę i przymknęła oczy.

— Nie — odparła po chwili. — Czasami jest tu okropnie cicho, pusto. Wtedy myślę, że cały świat jest tak pusty i nagi jak moje laboratorium, a życie martwe — jak na kamieniach i korach. W tej zaś powszechnej martwocie i pustce nasz dom wydaje mi się najbardziej głuchym i martwym...

Ach, Madziu, w podobnych chwilach oddałabym laboratorium, mieszkanie, nawet majątek, wiesz za co?... Za jednego małego siostrzeńczyka, który by na Stefana wołał: tato... a na mnie ciociu... Jakby tu było głośno, jaki ruch w tym naszym klasztorze!...

Zasłoniła oczy ręką, ale między palcami przekradło się parę łez. Po raz nie wiadomo który Madzia powtórzyła sobie, że jednak jej bogata przyjaciółka — nie jest szczęśliwą.

Od tej rozmowy laboratorium Ady zaczęło się zmieniać. W kątach pojawiały się co dzień nowe tuje, oleandry i palmy; pod ścianą — hiacynty, róże, doniczki z fiołkami

i konwalią. Czy zmiany były nieznaczne, czy panna Solska roztargniona, dość, że nie spostrzegła ich.

Pewnego dnia wchodząc do pracowni Ada usłyszała szelest. Stała na środku — szelest nie powtórzył się. Zbliżywszy się do stołu zaczęła oglądać przez lupę jeden z porostów i rysować. Znowu rozległ się szelest bardzo wyraźny.

„Mysz w pułapce?...” — pomyślała patrząc.

Zdawało jej się, że w jednym kącie jest bardzo dużo nagromadzonych roślin; spostrzegła też rozstawione tu i owdzie doniczki z kwiatami. Ale że szelest powtarzał się, więc pobiegła między tuje i oleandry.

— Co?... co?... — zawołała zdzierając czarny pokrowiec. — Klatka?... Kanarki?...

Istotnie były to kanarki: jeden żółty jak ciasto z szafranem, drugi nieco bledszy, ale za to z czubkiem na głowie. Ada przypatrywała im się zdziwiona, one jej — przestraszone.

Na drucianej klatce była karteczka z napisem: „Dzień dobry pani!...”.

„Prezent Madzi” — pomyślała Ada nie wiedząc, czy śmiać się, czy gniewać. Usiadła znowu przy stole, ale już bez ochoty do rysowania. Intrygowały ją różowe dziobki i ciemnoszarawe oczy, a nade wszystko błyskawiczne ruchy ptaków, które przypatrywały się, uciekały do kątów klatki, skakały po drążku, huśtały się na kółku robiąc przy tym miny bardzo poważne i kręcąc się na wszystkie strony, tak że co chwilę jakaś główka ukazywała się na miejscu ogona, a biaława pierś zamiast żółtego grzbietu.

Lutowe słońce, które od rana kryło się lub ukazywało spoza chmur, oświetliło w tej chwili pracownię. Liście palm i oleandrów nabrały połysku, nieśmiałe kwiaty hiacyntów, róż i fiołków wysunęły się na pierwszy plan, kanarki zaczęły świergotać. Odezwał się czubaty, odpowiedział mu żółty, następnie czubaty usunął się w kąt klatki, a żółty parę razy wypróbował głos wyśpiewał taką melodię, że pracownia napelniła się jej dźwiękami, a klosze z cicha zaczęły jej wtórować.

Zdumienie ogarnęło pannę Solską. Zwiesiła ręce i przypatrywała się niepojętym zmianom.

Martwa altana miała w tej chwili barwy, życie, nawet zapachy. Naukowa pracownia stała się królestwem ptaków, gdzie tuje i oleandry były mieszkaniem, róże i fiołki dekoracją, a dotychczasowi władcy tej krainy — mchy i porosty, ledwie mogły przydać się na gniazdo dla śpiewaczki pary.

Kiedy Madzia powróciła z pensji, Ada dziękując jej za niespodziankę rzekła:

— Albo ja jestem niższa, albo ty jesteś wyższa od ludzi. Jakie na ciebie spadają natchnienia!

— Żadne natchnienia — odpowiedziała Madzia. — Ty jesteś zajęta nauką, więc drobiazgi nie przychodzą ci do głowy. A jednak i one mają wartość...

Ada podniosła palec do góry. Siedziały w trzecim pokoju od laboratorium i mimo to dochodziły ich perliste trele kanarka.

— Jedno małe stworzonko pół domu ożywia — rzekła Ada. — Gdyby Stefanowi... — dodała zamyślona.

— Daj mu Helę... — uśmiechnęła się Madzia.

— Żonę on sam sobie znajdzie — odparła panna Solska. — Ja mu dam co innego.

W parę dni, kiedy Madzia z powodu święta nie poszła na pensję, wbiegła do niej Ada ubrana w płaszczyk z kapturkiem.

— Weź co ciepłego na siebie — rzekła panna Solska — i zjeźdźmy na dół. Zobaczysz coś...

Przez kryte schody, sienie i korytarze obie panny poprowadziły się na drugi koniec pałacu do pralni, która w tej chwili niezwykle przedstawiała widok. Znajdowało się tam z dziesięciu mężczyzn i kilka kobiet, każda zaś z tych osób trzymała na sznurku psa.

Był tam wystrzyżony pudel, z wąsików i bródki wyglądający na starego kawalera; był taks na krzywych nogach podobny do czarno-żółtej gąsienicy; były popielate mopsiki z aroganckimi pyszczkami, ponury buldog, angielski wyżeł odznaczający się łagodną fizjognomią i pieszczotliwymi ruchami. Po wejściu pań psiarze i psiarki, prowadzący dotychczas gwałną rozmowę, nagle umilkli; lecz psy pomimo targania ich za sznurki niewiele robiły sobie z nowo przybyłych. Jeden z mopsików umizgał się do czarnej szczurołapki, pudel zaglądał do pustej balii, angielski wyżeł usiłował zjednać dla siebie taksę, który ciągle stawał do niego bokiem.

— Pst!... Parol tu!... Muszka do nogi!... — wołali psiarze.

W tej chwili wysunął się z buldogiem mizerny chłopak w niebieskiej chustce, okręconej na szyi bez kołnierzyka, i zwracając się do Madzi mówił przeraźliwym dyszkantem:

— Oto jest prawdziwy buldog angielski, żebym tak nogę złamał, proszę jaśnie pa-nienki, urodzony z dzikiej krokodylicy...

— Cicho!... — groźnie odezwał się kamerdyner z uszanowaniem stojący za Adą.

— Rzeźniczkę bydlę, proszę jaśnie pani — wtrąciła tęga jejmość patrząc na Adę. — Co innego moja Musia... o!... Musia, służyć... no, służyć, Musia...

— Do sztuby ją, pani, oddaj, a nie do takiego pałacu — przerwał właściciel pudła. — Suka ani myśli służyć...

— Bo ona się zawstydzila...

— Karo, hop!... — zawołał pudlarz.

Pies w jednej chwili porzucił balię i zaczął chodzić na przednich łapach jak pajac...

— Hiii!... czy ja tego komedianta nie widziałem w jesieni w cyrku?... — rzekł chłopak w niebieskiej chustce. — Moja pani — zwrócił się do jejmości z ratlerką — o kamienicę, co naprzeciw, założę się, że to emigrant z cyrku.

— Sam widać kradniesz psy, kiedy posądzasz drugich — ofuknął go właściciel pudła. — Karo wychował się u mnie od szczenięcia... Ja go uczyłem...

— A sama pani go wykarmiła — dodał chłopiec z buldogiem.

— Cicho tam!... — znowu odezwał się kamerdyner lękając się awantury.

Ale Ada nie uważała na kłótnię, pieściła bowiem psa, który kolorem i wspaniałą postać lwa przypominał.

— Patrz, Madziu — rzekła po francusku — takiego samego miał Stefan za studenckich czasów. Co to za mądre i łagodne spojrzenie!... Siła i spokój...

— Ile ma lat ten pies? — zapytała po polsku jego właściciela.

— Dwa lata.

— A jak się nazywa?

— Cezar.

— Proszę za mną — rzekła kiwnąwszy głową pozostałym psiarzom.

— A z nami co będzie, jaśnie pani? — zawołał chłopiec z buldogiem. — Taki uczony pudel zarobiłby przez ten czas na podwórkach ze dwa złote... Pani z ratlerką, żeby tu przyjść, zamknęła na pół dnia magazyn z paryskimi modami, a ja spóźniłem się na giełdę...

Ada szepnąwszy coś kamerdynerowi szybko wraz z Madzią opuściła pralnię, a za nimi Cezar i jego właściciel.

— Ten kawaler ma rację!... — zawołała dama z ratlerką.

— Toteż dostaniecie państwo po rubelku za fatygę — rzekł kamerdyner.

— Słyszane rzeczy!... — wrzasnął chłopak. — Ratlerka rubla i mój buldog rubla!... przecie taka wesz mogłaby za pchłę być u mojego i jeszcze by mu między zębami uciekła...

W rezultacie wszyscy wzięli po rublu oprócz właściciela wyżła, który włożył czapkę na głowę i wyszedł mrużąc, że nie jest żebrakiem.

— Widzieliście, państwo, coś podobnego?... — odezwała się z pogardą tęga jejmość. — Jaki elegant!...

— Zatkaj sobie, pani, grzydkę — wtrącił chłopak — bo to prowizor od samego pana Dytwalda... Wiem, przecie byliśmy razem na Sylwestrze w Resursie Obywatelskiej. Ja wyciągałem damy z furgonów, a on patrzył, czy każdy idący na to wesele ma tabliczkę z magistratu.

— Ech!... urodziłeś się na adwokata — rzekł właściciel pudła spluwając.

— Namawiają mnie tam i dziś, ale ja wolę panu dotrzymywać sąsiedztwa.

Ponieważ Solski miał niedługo wrócić z miasta, więc Ada szybko skończyła z właścicielem Cezara. Pies był łagodny i posłuszny, nigdy nikogo nie ugryzł, u obecnego właściciela bawił dopiero dwa miesiące, a oceniony został, jak obwarzanek za grosz, na sto pięćdziesiąt rubli.

Kamerdyner chciał się targować, lecz Ada zapłaciła natychmiast, biorąc w zamian od sprzedawcy pokwitowanie tudzież papiery osobiste Cezara, gdzie znajdował się jego rysopis, genealogia i świadectwa dawniejszych właścicieli.

Właśnie Ada karmiła psa cukrem, kiedy jego pan opuścił pokój nie okazując wielkiej czułości. Cezar spojrział za nim, rzucił cukier i pobiegłszy do drzwi zaczął w nie skrobać. Przy tym z początku piszczał, potem skamlał, w końcu wył żalosnym głosem.

— Cezar... Cezar!... chodź tu, piesku — mówiła Ada. — Teraz będziesz miał lepszego pana, który cię nikomu nie sprzeda...

Pies spojrział na nią pełnymi smutku oczyma, jeszcze skrobał do drzwi, wachał. Widząc jednak, że nic nie pomaga, zbliżył się do Ady i oparł piękny łeb na jej kolanach. Lecz co parę chwil cicho skamlał lub wzdychał.

— Wiesz — mówiła Ada do Madzi pieszcząc Cezara — zrobię tak: ubiorę go w czepek, owinę w koldrę i położę na szezlongu u Stefka... Dopiero się zdziwi!...

Nagle Cezar podniósł uszy i rzucił się kręcąc ogonem do drugich drzwi, w których niebawem ukazał się Solski. Pies pochylał ogon i przypatrywał mu się z uwagą.

— Co?... Co?... — zawołał Solski. — Panna Ada zaczyna handlować psami... Ależ to cień mego Hektora!... Pójdź no tu, mały...

Poklepał psa, wziął go za mordę, wygłaskał wzdłuż ciała. Pies życzliwie przyjmował pieszczoty.

— Masz, Stefek, to twój Cezar — rzekła Ada. — Ale podziękuj za niego Madzi, która swoimi kanarkami przypomniała mi, że u nas nie ma żywej istoty w domu. Jak to, nie cieszysz się?... Widzę, że ród męski składa się z samych niewdzięczników, bo nawet i niegodziwy Cezar już nie chce patrzeć na mnie.

— Dziękuję ci, Adziuś — odparł całując siostrę.

Usiadł przy niej i głaskał Cezara, który na jego kolanach położył głowę.

— Jesteś jakiś nieswój?... Myślałam, że zrobię ci niespodziankę...

— Gorzej, bo nie przywitałem się z panną Magdaleną — rzekł i ścisnął Madzię za rękę. — Ech! co za niespodzianka... Od wczoraj wiedziałem, żeś kazała naprowadzić psów do domu, i tylko ostrzegłem Józefa, ażeby nie pozwolił kupić jakiego kundla. Ale myślę w tej chwili o czym innym... Zaraz... zaraz... już wiem!

Wybiegł do swego pokoju, posłał kamerdynera do miasta, sam poszedł na górę do ciotki i odbył z nią długą konferencję.

Przy obiedzie zabrał głos.

— Słuchajcie, panie, gdyż nie chcę was dłużej torturować. W dniu dzisiejszym... zgadnij, Ada co będzie?

— Czwartek.

— Co to czwartek!... — Dziś będzie teatr. Idziemy z cicią na *Zemstę za mur graniczny*...

— Cudownie! — zawołała Ada klaszcząc w ręce. — W tym roku jeszcze nie byłam w teatrze...

— To nie wszystko — przerwał Solski. — *Zemstę* bowiem dają w Teatrze Wielkim, gdzie mamy łożę parterową...

— Aaa!... — zachwyciła się Ada.

— To jeszcze nie wszystko, albowiem — słuchajcie, słuchajcie!... po przedstawieniu idziemy na kolację do Stępkowskiego.

Oparł ręce na kolanach i z triumfem spojrział po obecnych. Ada rzuciła mu się na szyję.

— Jesteś nadzwyczajny, Stefanie... Skądże ci to wszystko przyszło?...

— Słuchaj! — odparł — i podziwiał mądre urządzenie świata. Jak grudka śniegu staczając się z niebotycznej góry wyrasta w olbrzymią lawinę, tak w domu naszym drobne cnoty rodzą wielkie czyny. Panna Magdalena darowała ci parę kanarków ważących ledwie kilkanaście łutów. Była to owa grudka śniegu, która trafiwszy na ciebie już urosła w Cezara ważącego z pięćdziesiąt kilogramów. Cezar zaś trafiwszy na mnie przerodził się w teatr, który waży dziesiątki tysięcy centnarów.

— Już teraz wiem, dlaczego u was miewam większe migreny, i anizeli gdy mieszkalam sama — rzekła ciotka.

— Ale ma ciocia i lekarza! — odparł Solski spoglądając na Madzię. — Pod takim warunkiem chętnie przejąłbym migreny cici...

— Stefek, nie pleć! — zgromiła go Ada.

— Gdzie Cezar? — rzekł nagle Solski i gwizdnął.

Mądre zwierzę odpowiedziało mu z trzeciego pokoju szczeknięciem, a za chwilę wbiegło susami.

— Wielki Boże, cóż to za potwór! — jęknęła ciotka. — Proszę cię, Stefan, niech on na mnie nie patrzy...

Powoli jednak uspokoiła się, a nawet pogłaskała Cezara, którego Solski zaczął karmić z ręki.

— Straszne rzeczy dzieją się w naszym domu!... — mówiła ciotka. — W pokojach kanarki wrzeszczą tak, że trzeba zatykać uszy, pies szczeka, aż ściany drżą, a Stefan gwizdże przy obiedzie. Zdaje mi się, że dostałam się na pustynię...

— Przyznaj jednak, ciociu, że dzisiejsza nasza pustynia weselej wygląda od wczorajszego klasztoru — odpowiedział Solski. — Żyliśmy tu jak mnisi albo więźniowie; doszło do tego, że ja sam bałem się głośniej mówić. Słowem — marnowaliśmy życie. Ale już się to nie powtórzy. Jak promień słońca spłynęła do nas panna Magdalena; topi lód, który ugniatał nam piersi, i z zatęchłych kątów wypędza mary smutku...

— Stefek!...

— Nie przeszkadzaj, Ada, bo jestem w natchnieniu. Lekcja pani — zwrócił się do Magdaleny — trafiła na pojętnych uczniów. Precz z nudami!... Od tej pory nasze kółko stanie się ogniskiem rozrywek...

— Co?... chcesz otworzyć dom? — spytała Ada.

— Nie dla wszystkich. Chcę się tak urządzić, ażebyśmy nie rozdierali płuc ziewaniem. Początkiem zaś nowej epoki będzie — dzisiejszy teatr.

Ciotka Gabriela dała mu lekkie brawo.

— Lubię cię takim — rzekła. — I jeżeli takim zostaniesz, gotowam pogodzić się z Cezarem, a nawet z kanarkami Ady.

— Pogodzisz się z wieloma innymi rzeczami — odpowiedział całując ciotkę w rękę, która bystro spojrzała na niego.

Madzia siedziała milcząca i zakłopotana. Nad wszelkie rozrywki lubiła teatr, tym razem jednak zamiast radości sprawiał on jej niepokój.

„Po co oni mnie biorą?” — myślała czując odległość, jaka dzieli ubogą nauczycielkę od osób wyższej sfery.

Wszystko ją raziło: prosty ubiór Ady i pani Gabrieli, które oczywiście pragnęły zastosować się do niej; doskonałe konie i piękna karetka, a nawet to, że ona z ciotką zajęły siedzenie tyłne, a Stefan z Adą przednie.

Ale dopiero w teatrze zaczęła się prawdziwa męka dla Madzi. Ledwie weszli do loży, wszyscy zaczęli przypatrywać się im. Nawet było slychać szept: „Solscy... Solscy...”, i pytanie: „A któż jest ta panienka?”

„Kto?... — myślała Madzia. — Zwyczajna dama do towarzystwa, która znajduje się na niewłaściwym miejscu”.

Siedziała zarumieniona, bez tchu, ze spuszczoną głową; ile razy musiała podnieść oczy, przerażał ją widok żywej ściany z kobiet i mężczyzn zapełniających łoże, amfiteatr, balkony. Tu i owdzie błyszczały szkła lornet skierowanych na twarz Madzi, zagląających jej w oczy.

Ktoś stanął przed łożą i złożył głęboki ukłon. Po wielkiej, różowej lysinie Madzia poznała Zgierskiego i — odetchnęła. Przynajmniej jeden znajomy i życzliwy!... Znowu jacyś dwaj panowie... Kazimierz Noriski i Bronisław Korkowicz od pewnego czasu złączeni węzłem nierozzerwalnej przyjaźni. Może jeszcze jest kto? — myśli Madzia obrzucając wejściem teatr. A naturalnie! W amfiteatrze pierwszego piętra siedzi towarzystwo, wśród którego Madzia poznaje swoją koleżankę z pensji, pannę Żanetę, i pana Fajkowskiego, prowizora z Iksinowa.

Zawstydzona, spuszcza oczy i mimochodem trafia na olbrzymi kapelusz w krzesłach. To panna Howard — sama; nie, nie sama, piastuje bowiem w ręku artyleryjską lornetę, jak przystało na damę, która chce dorównać mężczyznom.

Na domiar zbliża się do Ady stary, obrzydliwy baron Pantoflewicz i patrząc jednym okiem na bukiet u jej stanika, drugim na Madzię, zapytuje:

— Cóż to za cudny kwiatek?...

— Zwykła konwalia.

— A prawda! I nasze kwiatki bywają piękne, tylko je trzeba zmieniać...

— Bo na tym świecie, mój baronie — pochwylił Solski — wszystko zmienia się oprócz peruki.

Baron prędko odszedł, ale Ada pobladła, a Madzi pociemniało w oczach. To ona należy do tych kwiatków, które trzeba zmieniać!

Teatr mimo doskonałej gry artystów nie udał się dla kółka Solskich. Panie były zmieszane i chmurne. Stefan zły. Przy końcu sztuki Ada powiedziała, że ją boli głowa i że zamiast do Stępkowskiego, chce wracać do domu na kolację.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Ada rzekła do Madzi:

— Widzę, że teatr już nie dla mnie. Drażni mnie gorąco, mnóstwo osób... Byłam dziś tak rozstrojona, że wam zepsułam zabawę... Stefan odczuł to i gniewa się na mnie. Nigdy nie pójde do teatru! — dodała z żalem w głosie.

Wobec jej zmartwienia Madzia zapomniała o własnych przykrościach. Objęła Adę za szyję i powiedziała śmiejąc się:

— Otóż pójdziesz i będziesz chodzić do teatru, ale powiem ci, jak zrobimy. Weźmiemy łóżę drugiego piętra...

— Nie wypada...

— Zobaczysz, że wypada, tylko nikomu nic nie mówiąc wymkniemy się we trójkę z panią Arnoldową na przykład — na operę włoską.

— Wiesz, że podoba mi się ta myśl — zawołała Ada. — Pójdziemy incognito...

— Rozumie się, że nie tak jak dziś karetami, z kamerdynerami.

— Jesteśmy przecie kobiety samodzielne...

— No, i pani Arnoldową stanowi poważną opiekę. Jaka szkoda, że Hela jeszcze nie bywa w teatrze! — dorzuciła Madzia.

— Wołałaby to aniżeli flirt ze swoimi wielbicielami — odparła posępnie Ada.

W tydzień później Ada i Madzia istotnie były na operze włoskiej z panią Arnoldową i bawiły się doskonale. Dowiedziawszy się o tym Solski machnął ręką i rzekł do siostry:

— Chciałem zrobić ci przyjemność, ale mi się nie udało... Widzę z tego, że nasz dom może być szczęśliwym tylko przez pannę Magdalenę. Ona jedna ma ten przywilej!...

### 13. ECHA PRZESZŁOŚCI

Od pewnego czasu Madzi zaczyna się zdawać, iż w jej stosunkach z ludźmi zaszła jakaś zmiana.

Jej uczennice podczas lekcji są spokojniejsze aniżeli dawniej, co Madzię cieszy; ale zarazem są jakby mniej śmiałe, co ją trochę dziwi. Widocznie ona sama musiała się zrobić poważniejszą, co zawsze zalecała jej nieboszczka pani Latter, niezapomniana...

Podobny odcień nieśmiałości, a raczej delikatności, dostrzegła Madzia w obejściu swoich koleżanek. Przypisywała to jednak szacunowi, jaki okazywali jej profesorowie wstając w jej obecności, rozmawiając z nią grzecznie lub unikając niewinnych żartów, na które dawniej niekiedy pozwalali sobie. Profesorowie zaś traktowali ją uprzejmie zapewne pod wpływem panny Malinowskiej, która także od pewnego czasu zaczęła wyróżniać Madzię z grona innych nauczycielek.

Za co? Madzia tylko domyślała się. Przecież ona ma założyć szkołę; więc najpóźniej za rok będzie także przełożoną jak panna Malinowska, która już dziś traktuje ją na równi ze sobą. Całkiem niepotrzebnie, gdyż Madzia rozumie, że nigdy i pod żadnym względem pannie Malinowskiej nie dorówna.

Prawda, że raz, kiedy Madzia zaczęła mówić o pensyjce, panna Malinowska przerwała ze śmiechem:

— Jak to, jeszcze myślisz o szkole?...

Madzia przecież rozumie dobrze, że przełożona powiedziała to żartem, ażeby ją zakłopotać.

W innych znajomych kółkach Madzia także dostrzegła zmianę. Raz młody pan Korkowicz jadąc powozikiem wyskoczył z niego, ażeby przywitać się z Madzią, przy czym zachowywał się z elegancją, jakiej w nim nie dostrzegała dotychczas.

Pan Arnold (co ją bardzo zdziwiło) parę razy rozmawiał z nią o cukrowni zachwalając angielskie kotły i maszyny, które choć drożej kosztują, są jednak trwalsze i lepiej opłacają się w praktyce.

Pani Arnoldowa coraz częściej wtajemniczała Madzię w swoje domowe sprawy, a nawet opowiadała jej wiadomości z tamtego świata komunikowane przez duchy piszące lub pukające.

Nawet Helena Norska, która ciągle mieszkała u państwa Arnoldów, pozbyła się wobec Madzi wyniosłego, a niekiedy ironicznego tonu. Ale poza chłodną uprzejmością Helenki kryło się jakieś uczucie, nad którym Madzia nie lubiła się zastanawiać.

Tylko Ada Solska pozostała zawsze tą samą: dobrą i serdeczną, a pan Stefan — nieco spoważniał. Ile razy Madzia była w mieszkaniu jego siostry, przychodził tam ze swoim psem i słuchał w milczeniu rozmowy panien bawiąc się grzywą Cezara. Ale już nie umizgał się do Madzi, nawet nie dowcipkował; widać jeszcze kłopotowało go zajście w teatrze, tak przynajmniej myślała Madzia.

Drobna ta i zapewne tylko pozorna zmiana w stosunkach ludzi do niej zaniepokoiła Madzię. Nieraz zapytywała siebie: „Co to znaczy?... dlaczego to?...”. I odpowiedziawszy: „Ach, coś mi się tylko zdaje!” — wracała znowu do pytania: „A jednak co to znaczy?... bo przecież nie jestem dziś lepsza ani mądrzejsza aniżeli przed dwoma tygodniami...”.

Pewnego dnia (było to w marcu) siedziała Madzia w swoim gabinecie patrząc na ogród Solskich, niezbyt wielki, ale pełen starych lip i kasztanów. Słońce mocno grzało. Białe szmaty śniegu leżące na szarej trawie topniały, parowały i zerwawszy się w górę odlatywały na północ niby stado srebrzystych ptaków. Ciepło, a zarazem surowe podmuchy potrząsały gałęziami drzew strącając resztkę lodowych sopli.

Mimo pogodnego nieba było parno i mokro. Mokro na ścieżkach, na gazonach, drzewach i dachach, skąd padał niby deszcz kroplisty.

Spod białej skorupy śniegów wykluwała się wiosna jak pisklę, jeszcze wilgotna i naga.

Z daleka za ogrodową kratą widać było na chodniku snujących się tam i na powrót przechodniów ruchliwych, ożywionych i ubranych już po wiosennem.

„Oto dlaczego — myślała Madzia — ludzie wydają mi się lepszymi... Bo są weseli. Wiosna daje im radość jak drzewom młode listki; zielone drzewo jest piękniejsze od nagich konarów, a wesoły człowiek jest lepszy od ponurego...”.

W jednym kącie ogrodu spostrzegła gromadę dzieci, które wynalazszy suchy kawałek ziemi ogradzają ją patykami niby płotem. Był tam wnuczek kamerdynera, wnuczka szwajcara, dwóch synków lokaja, jeden kucharza, siostrzenica szafarki — drobna cząstka tej dzieciarni, której rodzice służyli Solskim.

Madzia przypomniała sobie, że w tym pałacu służby z rodzinami jest kilkadziesiąt dorosłych i małych osób — i przyszła jej dziwna myśl. Wszyscy ci ludzie jedzą, śpią, bawią się lub smucą, żenią się i wychowują dzieci nie tylko bez pozwolenia, ale nawet bez wiedzy Solskich. Żyją całkiem odmiennie od Solskich, jak żyją oto te drzewa w ogrodzie nie troszcząc się o ziemię, która je karmi.

Któż więc tu należy do kogo: drzewa do ziemi czy ziemia do drzew? służba do Solskich czy Solscy do swej służby?... Czy Solscy są naprawdę władcami tego pałacu, w którym każda rodzina ma własne troski, uciechy i cele niezależne od woli Solskich? I czym wreszcie są ci potężni Solscy, jeżeli nie biednymi niewolnikami, którym kucharz daje obiady, lokaje czyszczą i ogrzewają mieszkanie, garderobiane zmieniają bieliznę, a administrator dostarcza pieniędzy?

Możnaż dziwić się, że oni nie są szczęśliwymi?...

„Ojciec miał rację — pomyślała — mówiąc, że nie ma czego zazdrościć wielkim panom... Ale czymże ja tu jestem?...”.

Spojrzenie jej pobiegło za kratę, kędy roili się przechodzący. „Oto czym jestem: przechodniem, który ukazuje się na jednym końcu ogrodu, przez chwilę patrzy na jego drzewa, oddycha jego powietrzem i za chwilę znika na drugim końcu ogrodu...”.

Przykrość robiły jej podobne myśli, uważała je za pewien rodzaj niewdzięczności względem Solskich. Więc ażeby uwolnić się od drażliwych pytań, przeszła do saloniku.

Tam okna wyglądały na dziedziniec. Pod kolumnadą pałacu siedział na krześle szwajcar z siwymi faworytami, w długim liberyjnym surducie i rozmawiał z jakąś kobietą czarno ubraną, tak zawiniętą w czarny welon, że jej twarzy nie można było poznać.

Po chwili kobieta pożegnała szwajcara i chwiejnym krokiem poszła do bramy. Skręciła na chodnik i wnet rozplynęła się w ruchliwym potoku przechodniów, który nie wiadomo dokąd płynął i na jakie brzegi wyrzucał swoje krople.



„Może uboga z prośbą do Ady...” — pomyślała Madzia i serce ścisnęło się jej.

Teraz szwajcar rozmawiał z młodym lokajem, a niebawem przyłączył się do nich froter.

Madzi znowu nasunęło się pytanie: co robią ci ludzie w pałacu?... Dla siebie bardzo wiele: bawią się, smucą, odpoczywają, wychowują dzieci... Ale co robią dla Solskich?... Szwajcar pilnuje porządku w sieni, kamerdyner pilnuje porządku w garderobie pana Stefana, panna służąca pilnuje porządku w garderobie Ady, administrator pilnuje porządku w dochodach państwa.

Tu nikt nic nie zmienia, nie tworzy, nie porusza, tylko wszyscy pilnują raz ustalonego porządku, w którym dwie szlachetne dusze: Ady i Solskiego, konserwują się jak przedpotopowe motyle w odłamie bursztynu. Cała ich służba, z której każdy człowiek żyje pełnym, indywidualnym życiem, cała ta służba pracuje tylko w jednym kierunku: ażeby ich panowie nie żyli, a nawet nie pomyśleli o tym, że jest jakieś życie trosk i radości, trudów i odpoczynków, walk, niepowodzeń i triumfów.

„Ach, ja niegodziwa!... — szepcze Madzia. — Skąd mi znowu przyszło krytykować Solskich, z których dobroci korzystam?”

Zapukano do drzwi i weszła pokojówka z listem, mówiąc:

— Jakaś kobieta dopiero co oddała go szwajcarowi...

— Czarno ubrana?... w czarnym welonie?... — zapytała Madzia.

— Tak, proszę pani. Ona nawet musi być niedaleko i pewnie czeka na odpowiedź. Niezamożna jakaś.

Madzia szybko rozdarła kopertę i oto, co znalazła w liście pisanym nieznaną ręką:

„Trzy razy byłam u Pani. Ale gdy stale mi odpowiadano, że Pani nie ma w domu, domyśliłam się, że Pani nie chce mnie przyjąć. Rozumiem to i już gdzieś się z myślą, że nie ma dla mnie miłosierdzia, bom go niewarta.

Przepraszam za moje natręctwo, do którego skłoniła mnie dobroć, jakiej doznaliśmy od Pani w Iksinowie, a nade wszystko łzy, które widziałam w jej oczach, kiedy weszła Pani do naszego pokoju w oberży. Pamięta Pani? Płakałam wtedy, a przecież, Boże mój, to były nasze najlepsze czasy. Nędza nie jest nieszczęściem, nawet choroba: dopiero wówczas człowiek jest na prawdę nieszczęśliwym, kiedy zostaje sam ze swoją trwogą i boleścią, kiedy nie może wierzyć cudzym przysięgom, nawet łzom.

Niech mi Pani daruje ten list bez sensu i ładu, ale tak strasznie cierpię, tak muszę pogadać z kimś bodaj w myśli, że prawie czułabym się szczęśliwą, gdybym miała choć kamień własny, który wolno by mi było całować i łzami oblewać. Wiem, że nikt mnie już nie uratuje, ale piszę — jak człowiek tonący, który woła o ratunek, chociaż go nikt nie słyszy.

Może to ostatnie słowa moje na tej ziemi. Zwracam je do Pani, która byłaś moją ostatnią nadzieją. Przez kilka dni mówiłam sobie: ona mnie ocali, a przynajmniej doda otuchy, bo ona ma anielskie serce. Ale przekonałam się, że to jest niepodobieństwem: są występki, które człowieka usuwają spod wszelkiej litości.

Żegnam Panią i zaklinam, ażebyś mnie nie poszukiwała. Rozumiem, że pomoc na nic mi się nie zda, bo nie ma siły, która mogłaby odwrócić to, czego się lękam. Jeżeli łaska, niech Pani czasem wspomni o mnie albo lepiej niech Pani nie wspomina, bo ta myśl, że jeszcze są serca życzliwe, rozpaczą by mnie napełniła. Albo niech przynajmniej westchnie Pani na moją intencję. Boże, Boże, ja taka samotna, taka opuszczona, że gdyby mi choć czyj pacierz towarzyszył, byłoby mi pełno — jak na najlepszym koncercie.

Pamięta Pani nasz koncert w Iksinowie?... Ach, jeżeli ziemia nie otworzy się pode mną, to już nie ma miłosierdzia na świecie.

Jeszcze raz błagam: nie szukaj mnie, Pani, bo zrobisz mi więcej krzywdy aniżeli dobrego. Dziś jedynym moim życzeniem jest, ażeby nikt o mnie nie mówił, nie słyszał, nie wiedział. Może ja zresztą nie jestem tak nieszczęśliwa, tylko bardzo rozdrażniona, a to przecież mija. My, artystki, naprawdę mamy nerwy rozstrojone...

## Stella”

Splakana Madzia pobiegła do pokoju Ady, pokazała jej list i w niewielu słowach opowiedziała historię swojej znajomości ze śpiewaczką. Panna Solska spokojniej oceniała położenie.

— Przede wszystkim czy nie domyślasz się, co jej grozi? — spytała. — Samobójstwo?... chyba nie. Może porzucił ją ten towarzysz deklamator? A może ona jest?...

Obie panny zarumieniły się.

— Różne myśli przychodzą mi do głowy — odparła Madzia. — Może ona lęka się więzienia?...

Ada sposepniała.

— Stefan znalazłby ją — rzekła — przez policję. Gdyby jednak lękała się uwięzienia, nieszczęśliwą oddalibyśmy jej usługę. W każdym razie... Czy znasz jej nazwisko?... Niech Józef jedzie przynajmniej do biura adresowego.

Józef pojechał i wrócił w pół godziny z notatką, że Marta Owsieńska, śpiewaczka, zamieszkała na Nowym Mieście, w maju roku zeszłego opuściła Warszawę.

— Jeżeli teraz nigdzie nie jest meldowana — zauważyła Ada — więc ukrywa się. A w takim razie może i lepiej zrobiła nie zbliżając się do ciebie.

— Czy ja wiem? — szepnęła Madzia czując, że jest to jeden z najsmutniejszych wypadków w jej życiu. Tajemnica Stelli była czymś, co mogło porównać się tylko ze śmiercią pani Latter i Cynadrowskiego.

„Niby jest mi dobrze — myślała — a jednak od czasu do czasu pada obok mnie jak piorun cudze nieszczęście. Czy to przestrogi?...”

Strach ją ogarnął.

W parę dni wracając z pensji spotkała pannę Howard. Znakomita bojowniczką o prawa kobiece zapominając wyrządzonych Madzi impertynencji powitała ją serdecznie, nawet z wymówkami.

— Zapomniała pani o mnie, a przecież byliśmy w przyjaźni. Pamięta pani nasze wspólne troski o nieboszczkę Latterową i usiłowania, ażeby jej dopomóc?... Ale cóż to, widzę, że nie ma pani humoru? Może moje towarzystwo.

Ażeby nie obrazić nowo odkrytej przyjaciółki i ulżyć sobie zmartwieniu, Madzia nie wymieniając nazwisk opowiedziała pannie Howard historię Stelli tudzież treść jej rozpaczliwego listu.

— Nie rozumiem, co to jest — zakończyła Madzia — i nie wiem: szukać jej czy nie?...

— Szukać, nigdy!... — wybuchnęła panna Howard. — Osoba, o której mówisz pani, jest kobietą, istotą świadomą i samodzielną; jeżeli więc pragnie zachować incognito, byłoby obrazą nie spełnić jej życzenia...

— Przede wszystkim jednak nie wiemy: czy taka jest jej wola, czy może jej co grozi? Cała rzecz wygląda okropnie...

— Zaraz okropnie! — powtórzyła lekceważąco panna Klara. — Przypuszczam, że chodzi o zwyczajne odbytego połogu. A że zapewne trafiło się jej to pierwszy raz, więc biedaczka robi wielką awanturę i wstydząc się obwoływać na rynku swój wypadek wynagradza sobie pisywaniem rozpaczliwych listów...

Madzię jakby kto zimną wodą oblał. I biedna Stella z tragicznej bohaterki spadła w jej sercu na szczebel osoby nieprzyzwoitej, o której nawet nie bardzo wypada mówić.

— W każdym razie — rzekła Madzia rumieniąc się i spuszczać oczy — nieszczęśliwa ta gorzko narzeka na opuszczenie i może być bez środków...

W błędnych oczach panny Howard zamigotała błyskawica natchnienia:

— Aaa!... — zawołała — trzeba było od razu tak postawić kwestię... Kobieta, ofiara, okryta hańbą za to, że odradza ludzkość, porzucona przez swego współnika, co jest bardzo naturalne, i... opuszczona, odtrącona, kopnięta przez inne kobiety, co już jest podłością!... Takim językiem niech pani do mnie przemawia, a wtedy odpowiem, że od pięciu lat boleję nad tym stanem rzeczy, że od pięciu lat nawołuję kobiety do walki — wszystko na próżno. Niechże nam raz nareszcie otworzą się oczy, niech raz zrozumiemy, że stowarzyszenie kobiet jest najpilniejszą potrzebą moralną, cywilizacyjną i społeczną...

Złączmy się, podajmy sobie ręce, a żadna nie będzie narzekać na brak dachu, opieki, chleba, żadna nie będzie potrzebowała kryć się przed opinią publiczną...

Przechodnie zaczęli się tak oglądać, że Madzia przyspieszyła kroku. Już dochodzili do pałacu Solskich, gdy panna Howard zapytała:

— Więc cóż, nie mam racji zachęcać kobiet do zawiązania towarzystwa?

— Prawda — rzekła Madzia.

— A pani należałabyś?

— Owszem i ja, i Ada...

— A więc — rzekła z triumfem panna Klara — stowarzyszenie kobiet już jest!... Sesje co tydzień... Składka — złoty na miesiąc... Mam panie zapisać?... Chcecie być na sesji?...

— Zapytam Ady, choć prawie jestem pewna, że zapisze się do towarzystwa.

— Bodajby — odparła panna Howard tonem pełnym sceptycyzmu.

Pożegnawszy zapalczywą apostołkę praw kobiecych Madzia swobodniej odetchnęła. Niemniej czuła w sercu radość na myśl, że istnieje stowarzyszenie kobiet, i podziw dla panny Howard, która pomimo dziwactw zdobyła się jednak na urzeczywistnienie szlachetnej idei.

Od tej pory każda kobieta, a więc i Madzia, może śmiało myśleć o jutrze. Gdy znajdzie się bez zajęcia, towarzystwo da jej pracę; gdyby kiedy nie miała gdzie mieszkać, ofiarują jej dom, a na wypadek choroby — dozór. W takich warunkach nieszczęśliwe kobiety podobne do Stelli nie potrzebowałyby wpadać w nędzę i rozpacz. Towarzystwo udzieliłoby im pomocy, którą na wstępie można by spłacić z zarobków.

Kiedy Madzia zapytała Adę, czy chce należeć do towarzystwa, panna Solska aż zarumieniła się ze wzruszenia.

— Wątpiłaś o tym?... — rzekła. — Ależ ja z największą chęcią poświęcę tak pięknemu celowi moją pracę i majątek! Bo i co lepszego — dodała z uśmiechem — może zrobić kandydatka na starą pannę? Tylko...

I nagle ożywiona twarz Ady spochmurniała.

— Nie lubisz panny Howard?... — wtrąciła Madzia.

— Ach, nie! miałam przecie czas oswoić się z jej oryginalnością. Tylko... chciałabym wiedzieć: kto należy do towarzystwa? Bo powiem ci — mówiła po namyśle — że te towarzystwa kobiece, z jakimi zetknęłam się za granicą, wcale mnie nie pociągały. Widywałam, młode panny zaniedbane w ubiorze, z wyzywającymi minami, które paliły tytoń, piły piwo i klóciły się jak mężczyźni. Tylko że mężczyźni nawet wśród awantur wyglądają dobrze, a te biedaczki były wprost obrzydliwe. Otóż ja z takimi nie chciałabym się spotkać.

Skutkiem tej uwagi Madzia przez parę dni zasięgała między znajomymi paniami informacji o stowarzyszeniu panny Howard. Odpowiadano jej rozmaicie. Jedne z pań uważały towarzystwo za stratę czasu, inne — za nieszkodliwą zabawkę, inne mówiły o nim z zapalem. Ogólna jednakże opinia była taka, że Madzia porozumiewszy się z Adą oświadczyła pannie Howard gotowość przystąpienia do jej kółka.

## 14. SESJA

W parę dni obie panny otrzymały wezwanie, ażeby w sobotę przyszły na tygodniową sesję do domu pani Zetnickiej, właścicielki magazynu ubiorów damskich. W sobotę zaś z rana do Madzi przyszedł list z Iksinowa dziwnie odpowiadający chwili i sytuacji.

Pisała panna Cecylia, siostra aptekarza, z prośbą, ażeby Madzia wyrobiła jej miejsce nauczycielki przy jakiej pensji klasztornej w Krakowie albo Jazłowcu.

Wprawdzie brat i bratowa — pisała panna Cecylia — tak są dobrzy i tak ją kochają, że będzie musiała stoczyć z nimi walkę, zanim jej pozwolą opuścić swój dom. Ale ona czuje się już zmęczoną życiem światowym, tęskni do spokoju i do jakiegoś kącika, gdzie mogłaby doczekać starości nie będąc dla nikogo ciężarem.

„Otóż mam temat na dzisiejszą sesję” — pomyślała Madzia, z góry ciesząc się wrażeniem, jakie wywoła w pannie Cecylii, gdy doniesie, że — ma dla niej miejsce w klasztornej pensji, a to dzięki protekcji stowarzyszenia kobiet.

Co za triumf dla towarzystwa i co za ulga dla biednej Cecylii, która zamiast dziękować jakiejś litościwej osobie, będzie korzystała z praw przysługujących każdej kobiecie!...

A jak Madzi będą zazdrościły inne uczestniczki sesji, jak zdziwi się Ada!...

Kiedy około ósmej wieczorem obie panny skromnie ubrane wymknęły się ze swych apartamentów, w dziedzińcu zetknął się z nimi Solski.

— A to pięknie! — zawołał. — Wycieczka w niepogodną noc... Dokądże?

— Nic mu nie mów, Madziu!... — odparła Ada. — Dowiesz się jutro.

— Weźcież, panie, przynajmniej kogo ze służby...

— Jeszcze czego?... Słyszałaś, Madziu: każe nam korzystać z opieki mężczyzny w podobnej chwili!... Adieu, mój panie — mówiła śmiejąc się Ada — i wiedz o tym, że masz do czynienia z kobietami samodzielnymi.

Skoczyły w dorożkę i wesołe, choć wzruszone, zajęchały na miejsce.

Salonik pani Zetnickiej, duży, jasny, oświetlony przez lampę wiszącą pośrodku sufitu, był pracownią. Na jednym stole leżała góra tkanin zakrytych prześcieradłem; w kącie obok pieca tulił się druczany manekin do upinania sukien. Ściany były ozdobione sztychami Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, naprzeciw drzwi stało ogromne lustro. Wielka różnorodność krzeseł wyściełanych i giętych świadczyła, że dom ten nie odznacza się bogactwem umeblowania.

Pań zgromadzonych było ze trzydzieści. W tej liczbie kilka młodych i bardzo wesołych, kilka starszych i jakby rozdrażnionych najpierw rzucało się w oczy. Ogół wyglądał spokojnie i bezpretensjonalnie, jak osoby, które mają dużo kłopotów, nie kryją się z nimi ani też ich okazują. Ada spostrzegła, że większość zebranych nie odznacza się wdziękami, i — odetchnęła. W towarzystwie pięknych kobiet czuła się skrępowaną.

Prezentacja nowo przybyłych odbyła się krótko. W zagłębieniu jednego okna Madzia spostrzegła Manię Lewińską, siostrzenicę Mielnickiego, która pomimo nieukończenia szóstej klasy wyglądała na kobietę dojrzałą i stroskaną. A że obok niej było parę krzeseł wolnych, więc Madzia pociągnęła tam Adę i wszystkie trzy siedziały razem. Dzięki temu wypadkowi Ada miała sposobność dowiedzieć się niektórych szczegółów o uczestnikach zebrania.

Sama gospodyni domu, mimo obfitości obstalunków robionych w jej pracowni, nigdy nie posiadała nawet dziesięciu rubli zaoszczędzonego kapitału; przypuściła bowiem swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowawice, zupełne sieroty. Panna Żetowska, introligatorka, ile razy nie miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna Ulewska umiała szewstwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie; pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i brata, który na jej koszt chodził do gimnazjum.

Natomiast panna Papuzińska grała na fortepianie jak Liszt, śpiewała jak Patti, malowała jak Siemiradzki, pisała powieści jak Wiktor Hugo i gniewała się na cały świat, który żadnego z jej talentów nie chciał ocenić.

Pani Białecka, wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobietami wychodzącymi z więzienia, które mieszkaly u niej, przez nią dostawały służbę i — niekiedy okradały ją na podziękowanie. Panna Zielińska, nauczycielka, z własnej pracy utrzymywała rodziców i dwu braci, którzy ciągle szukali odpowiedniego dla siebie zajęcia, a panna Czerwińska, także nauczycielka, biorąca po złotówce za lekcję, odznaczała się niezwykłą zdolnością wyzyskiwania swoich znajomych na rozmaite dobroczynne cele. Jeden z jej pupilów był dyrektorem fabryki, drugi poszukiwanym adwokatem, trzeci ożenił się z majątną panną. Ale ich opiekunka, już zagrożona ślepotą, wciąż brała po złotówce za lekcje i chodziła w podartych trzewikach.

Ukryta za firanką Ada słuchając tych objaśnień wypowiedzianych szeptem przez Manię Lewińską doznała wstrząsających uczuć. W pierwszej chwili chciała wybiec na środek saloniku, upaść na ziemię i całować nogi tych świętych kobiet, które szły przez życie nikomu nie znane, ciche, proste, niekiedy lekceważone. Potem ogarnęła ją rozpacz, stało się bowiem dla niej jasnym, że cały majątek Solskich nie wystarczyłby na zaspokojenie tych potrzeb i niedostatków, których tu zaledwie drobną cząstkę poznała.

Zdumiewało ją, że na te nadzwyczajne kobiety nikt w stowarzyszeniu panny Howard nie zwracał uwagi. One same nieśmiało, jakby zawstydzone, kryły się po kątach; mówiła zaś najgłośniejszemu i robiła najwspanialsze wrażenie albo panna Howard nosząca tytuł członka-założyciela towarzystwa, albo niezadowolona ze świata panna Papuzińska, jej

antagonistka, albo antagonistka ich obu, panna czy pani Kanarkiewiczowa, która uczyła, się na pamięć encyklopedii większej Orgelbranda.

Około kwadransa panował ruch i gwar. Uczestniczki przechodziły z jednego końca sali na drugi, przesiadały się, naradzały po kątach. Młode panny rozmawiając głośno, śmiały się, najczęściej bez powodu; starsze i ubogo ubrane szeptały. Ogół nie zwracał uwagi na Madzię i Adę, tylko panna Papuzińska w rozmaity sposób usiłowała okazać, że lekceważy Adę, a pani Kanarkiewiczowa co chwilę zbliżała się do framugi okna, jakby pragnęła bliżej poznać bogatą pannę.

Przez ten czas panna Howard porządkowała papiery na stole, na którym gospodyni domu ustawiła karafkę wody, cukiernicę, parę szklanek i dzwonek ze szklaną rączką.

— Proszę członków o zajęcie miejsc — odezwała się panna Howard — i przypominam, że członek bez upoważnienia zabierający głos płaci złotówkę kary. Raz nareszcie musimy się nauczyć parlamentaryzmu...

Kilka ubogo ubranych pań chrząknęło, jedna westchnęła, jedna z młodych parsknęła śmiechem, lecz w tej chwili zatkała sobie usta chustką, a panna Papuzińska siadając tyłem do Ady rzekła:

— Proszę na mnie zapisać złotówkę, a jednocześnie po raz już nie wiem który zapytuję pannę Howard: dlaczego ona sama kar nie płaci?

— Bo ja kieruję dyskusją, więc muszę się odzywać.

— Rozumie się — nieustannie. Bardzo wygodny przywilej...

— Członkowi Papuzińskiej odbieram głos — przerwała chłodno panna Howard.

— Nie dzieląc przekonań panny Papuzińskiej protestuję przeciw dyktatorskiemu tonowi panny Howard — wtrąciła pani czy panna Kanarkiewicz.

— I płaci pani karę — dodała w dalszym ciągu panna Howard zapisując.

Potem zadzwoniła i w sali zrobiło się cicho.

— Czytam protokół sesji poprzedniej — mówiła panna Howard. — Na ostatniej sesji członek Papuzińska przedstawiła zebraniu wyjątki ze swej pracy: *Czy dla społeczeństwa nie byłoby korzystniej zastąpić dzisiejsze małżeństwa wolną miłością...*

Czytanie tych interesujących wyjątków — rzekła w nawiasie panna Howard — zostało przerwane... naturalnie z powodu braku czasu...

— Zbyteczne objaśnienie — syknęła panna Papuzińska.

— W dyskusji powstałej stąd — mówiła panna Howard — członek Kanarkiewiczowa postawiła wniosek (żądając uznania go za niecierpiący zwłoki), ażeby dziewczęta uwiedzione pobierały dożywotnią pensję. Przy głosowaniu wniosek został odrzucony trzydzieści jedną gawkami przeciw jednej...

— A że wszystkich nas było trzydzieści, więc któraś uczestniczka rzuciła dwa głosy zamiast jednego — rzekła błada z gniewu pani Kanarkiewiczowa.

— Członek Czerwińska — czytała panna Howard — postawiła wniosek o otwarciu domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek motywując go, że w tej chwili są trzy nauczycielki potrzebujące przytułku. Zgromadzone jednomyślnie uchwały na głos wnioskowi, a członek-założycielka Howard zaleciła agitację między nauczycielkami w celu zebrania funduszków, rachując, że gdyby każda płaciła tylko po rublu miesięcznie, towarzystwo posiadałoby co najmniej sześć tysięcy rubli rocznie.

Członek Papuzińska zaproponowała wysłanie kilku młodych kobiet do uniwersytetów zagranicznych...

W jednym z okien szeptało. Nagle odezwała się Madzia:

— A cóż dzieje się z tymi trzema nauczycielkami?

— Nic — odparła panna Howard. I bystro popatrzwszy na framugę dodała:

— Członek Brzeska płaci karę.

— Dlaczego nic? — nalegała Madzia. — Więc one są bez opieki...

— Opiekują się nimi po trochu każda z nas. Ażeby im jednak zapewnić byt nieco pewniejszy, potrzeba z dziesięćset rubli rocznie, a takiej sumy obecnie nie posiadamy...

— Owszem, taka suma będzie — odezwał się głosik zmieniony i drżący.

— Skąd?... co?... — zaszemrano w sali.

— Jest osoba, która dostarczy dziesięćset rubli rocznie — już płacziwym tonem dodał ten sam głosik.

— Panna Solska płaci złoty za karę — odezwała się ze złością panna Papuzińska.

— Członek Solska płaci karę — szybko powtórzyła panna Howard. — My zaś, szanowne uczestniczki, uczcijmy jej szlachetny dar przez powstanie...

Rozległ się hałas rozsuwanych krzeseł i wszystkie panie (z wyjątkiem panny Papuzińskiej i pani Kanarkiewiczowej) powstały kłaniając się i uśmiechając w kierunku okna, gdzie kryła się za firanką panna Solska.

— To nie ja... to mój brat... — protestowała Ada.

— Niech się członek nie zapiera — zgromiła ją panna Howard. — Wreszcie nasze towarzystwo nie przyjmuje darów od mężczyzn...

— Proszę o głos — nieśmiało odezwano się w sąsiedztwie manekina do upinania sukien.

— Dyskusja zamknięta! — odparła panna Howard nie chcąc powiększać zakłopotania Ady. I czytała dalej:

— Członek Papuzińska zaproponowała wysłanie kilku młodych panien do uniwersytetów zagranicznych...

— Tego wymaga honor społeczeństwa!... — wykrzyknęła panna Papuzińska. — Bo podczas gdy w Ameryce kobiety już są lekarzami, adwokatami, pastorami, u nas nie ma nawet kobiety-lekarza...

— Ani funduszów na wykształcenie — wtrąciła panna Howard.

— Więc zamknijcie waszą bankrutującą pracownię kaftaników trykotowych — zawołała panna Papuzińska.

— Zapewne!... I wypędźmy na bruk dwadzieścia dziewcząt, które wydarłyśmy rozpuście, ażeby im dać pracę — rzekła panna Howard.

— Kosztują nas trzydzieści rubli tygodniowo...

— Ale mamy już gotowych trzysta pięćdziesiąt kaftaników, co znaczy siedemset rubli kapitału.

— Kaftaników, których nikt nie kupuje...

— Jak to nikt?... — wybuchnęła panna Howard. — Niech powie członek Wysoczyńska, ile w tym tygodniu sprzedaliśmy kaftaników?...

— Dwa — cicho odezwała się spod ściany osoba w średnim wieku.

Panna Howard zapaliła się.

— Nie sprzedajemy kaftaników, bo w naszych kobietach nie wzbudziło się jeszcze poczucie solidarności ani nawet godności... Bo uczestniczki tego towarzystwa, zamiast propagować ideę, szkodzą jej złośliwymi krytykami. Jak to, w kraju mającym siedem milionów ludności nie może rozejść się kilkaset kaftaników trykotowych?...

— Proszę o głos — odezwano się znowu spod manekina.

— Czy w tej kwestii?

— Nie.

— No, niech więc członek nie zabiera nam czasu — opryskliwie odpowiedziała panna Howard.

— Ja zawsze twierdzić będę — rzekła panna Papuzińska — że ważniejszym dla sprawy naszej jest wysłanie kilku kobiet do uniwersytetu aniżeli utrzymywanie jakiejś dobroczynnej pracowni...

Wisząca lampa rzucała na salę krwawe blaski, ale nikt na to nie zważał.

— Protestuję przeciw uniwersytetowi — odparła pani Kanarkiewiczowa — bo każda kobieta sama może kształcić się jak najwyżej...

— Ucząc się na pamięć encyklopedii — wtrąciła panna Papuzińska.

— Lepsze to aniżeli gra na fortepianie bez taktu albo śpiewanie, kiedy się nie ma głosu — rzekła pani Kanarkiewiczowa. — Ważniejszym od uniwersytetu jest zawiązać stosunki z kobietami wyższej cywilizacji. Dlatego proponuję, ażebyśmy wysłali kilka delegatek do różnych krajów Europy i Ameryki...

— Słyszałyśmy już o tym — sucho przerwała panna Howard. — Członek Brzeska ma nam zakomunikować jakiś projekt praktyczny. Członek Brzeska ma głos.

Kilka ubogich pań spod pieca zaczęło szeptać między sobą.

Spozna franki wysunęła się Madzia zarumieniona jak wisienka.

— Proszę pań — mówiła jękając się — znam jedną nauczycielkę w Iksinowie, pannę Cecylię... Panna Cecylia skończyła Instytut, nawet dostała cyfrę... Jest bardzo zdolna, ale... jest zniechęcona do świata.

— I ja mam prawo być zniechęcona — rzekła półgłosem panna Papuzińska.

— Więc, proszę pań, panna Cecylia chciałaby zostać nauczycielką pensji w Jazłowcu... I dlatego zwracam się do towarzystwa, ażeby towarzystwo przez swoje stosunki wyrobiło miejsce pannie Cecylii (nazwisko powiem kiedy indziej) w Jazłowcu.

— Dzika pretensja! — zawołała panna Papuzińska. — Cóż my, kobiety postępowe, możemy mieć wspólnego z klasztorными pensjami?...

— Jestem jak najbardziej przeciwna podobnym pensjom — rzekła panna Howard.

— Gdzie hołdują się przesady! — dodała panna Papuzińska.

— Należałoby raz na zawsze usunąć z naszych zebrań wnioski dotyczące metafizycznych hipotez!... — dodała pani Kanarkiewiczowa.

Zawstydzona Madzia cofnęła się w głąb framugi.

— Ach, ty niedobra!... — szepnęła do niej Ada. — Dlaczegożes mnie nic nie powiedziała o tej pannie Cecylii?

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — odparła zmartwiona Madzia.

— Wracając do funduszów naszej bankrutującej pracowni kaftaników trykotowych... — mówiła panna Papuzińska.

— Chyba dlatego nazywasz ją pani bankrutującą, że powstała z mojej inicjatywy?... — ostro odparła panna Howard.

— Mało zajmują mnie instytucje pani — ciągnęła panna Papuzińska — a nierównie więcej fundusze... Otóż po raz nie wiem który radzę podnieść miesięczną składkę członków...

— Nigdy! — zawołała panna Howard. — Złoty na miesiąc może płacić każda kobieta, a przecież jesteśmy towarzystwem demokratycznym...

— I posiadamy około trzydziestu złotych miesięcznie...

— Ale gdyby wszystkie nasze kobiety należały do stowarzyszenia, miałybyśmy trzy miliony pięćset tysięcy złotych miesięcznie, czyli... zaraz, dwa razy trzydzieści pięć jest siedemdziesiąt, tak, miałybyśmy siedemdziesiąt siedem milionów rocznie...

Nastała chwila ciszy.

— Co?... co?... co?... — zawołała pani Kanarkiewiczowa przerabiając cyfry na papierze. — Miałybyśmy ledwie czterdzieści dwa miliony rocznie...

— Cóż znowu pani pleciesz? Dwa razy trzydzieści pięć jest siedemdziesiąt i dwa razy...

— Ależ panno Howard, pani nie umiesz mnożyć...

— Ja nie umiem?... — zawołała panna Howard zrywając się od stołu.

— Proszę, tu jest rachunek!...

— Co mi tam pani rachunek!

— Tak... tak... tylko czterdzieści dwa miliony... — odezwały się głosy z rozmaitych kątów sali.

Panna Howard upadła na krzesło przygryzając wargi.

— Pani chciałabyś narzucić swoją wolę nawet tabliczce mnożenia — wtrąciła panna Papuzińska.

— Proszę o głos!... — odezwano się jeszcze raz spod modelu do upinania sukien.

— Członek Siekierzyńska ma głos.

— Lampa strasznie kopci — odparła cicho członek Siekierzyńska.

Istotnie, krwawy płomień wiszącej lampy sięgał do połowy kominka, którego grzbiet ozdobił się aksamitnym grzybem. W całej sali unosiły się płatki sadzy podobne do czarnych muszek.

— Ach, moja nowa suknia!...

— Wyglądamy jak kominiarze!...

— Pyszna rzecz te sesje!... Właśnie miałam wstąpić na raut...

— Dlaczego pani nie powiedziała o tym wcześniej? — rzekła z gniewem panna Papuzińska do wystraszonego członka Siekierzyńskiej.

— Regulamin zabrania.

— Co mi tam jakiś niedorzeczny regulamin, przez który zniszczyłam nowe rękawiczki.

— Członek Siekierzyńska — wtrąciła z mocą panna Howard — zasługuje na pochwałę, złożyła bowiem dowód, że zaczynamy uczyć się porządku...

Kilka panien roześmiało się, inne uczestniczki zaprotestowały.

— Ależ pani swoim pojęciem o porządku przerobi nas na gromadę pomywaczek!...  
— zawołała pani Kanarkiewiczowa.

Tymczasem gospodyni przykręciła lampę, ale uczestniczki zaczęły się rozchodzić.

— Za pozwoleniem — odezwała się skromnie panna Czerwińska — jakże będzie z naszymi pracownikami? Bo już na przyszły tydzień nie mamy dla nich ani na żywność, ani na dzienną płacę.

— Cóż wielkiego — odparła panna Howard. — Na żywność wychodzi dwa ruble dziennie, a na płacę trzy. Złożmy zaraz, co która może, a resztę zbierzemy w ciągu tygodnia u znajomych. Oto pięć rubli... Przecież kiedyś zaczną kupować kaftaniki.

Panna Howard położyła na stole papierek, inne uczestniczki z rezygnacją zaczęły sięgać do portmonetek albo szeptać gospodyni:

— Ja przyszlę jutro rubla...

— Ja przyniosę pięć złotych we środę...

Niektóre kładły na stole złotówki; było jednak widoczne, że ciężko rozstawać się im nawet i z tym małym grosikiem.

Ada nieśmiało zbliżyła się do panny Howard i zarumieniona coś szepnęła jej do ucha.

— Niech członek Solska mówi głośno — zawołała panna Howard. — Moje panie, możecie cofnąć składki, ponieważ członek Solska zakupuje wszystkie gotowe kaftaniki... Jest to wysoce pocieszający fakt, który dowodzi, że naszym kobietom nareszcie zaczynają się otwierać oczy...

— Ciekawam, co panna Solska zrobi z trzystu pięćdziesięcioma kaftanikami? — zapytała drwiącym tonem panna Papuzińska.

— Zapłaci siedemset rubli i na pół roku zapewni byt naszym pracownikom — odpowiedziała wyniośle panna Howard.

— A sprzedaż kaftaników zajmie się sama?

— Kaftaniki mogą zostać na składzie — cicho odezwała się Ada.

— Wierzę pani, że wolałabyś dodać jeszcze siedemset rubli, byle cię nie obdarowano tym stosem rupieci, który nas do rozpaczy doprowadza — odparła zgryźliwie panna Papuzińska.

Uczestniczki zaczęły zbierać ze stołu swoje pieniądze. Im zaś która miała mniej do wzięcia, tym większą radość było widać na jej twarzy. Tylko panna Howard nie tknęła swoich pięciu rubli, a gdy jedna z pań podała jej papierek, panna Howard rzekła obojętnie:

— Niech to zostanie w kasie.

Znalazłszy się z Madzią na ulicy Ada była zachwycona.

— Ach, droga Madziu — mówiła ściskając ją za ręce — jakżem ci wdzięczna!... Bo gdyby nie ty, nigdy bym się tu nie wpisała, nawet nigdy by mi to na myśl nie przyszło... Dziś dopiero zaczynam żyć... widzę jakiś cel... jakąś uczciwą pracę. Cóż to za zacne kobiety, z wyjątkiem paru krzykaczek...

— Nie podoba ci się panna Howard? — zapytała Madzia.

— Ależ przeciwnie. Ona zawsze była dziwaczką, ale w gruncie dobra kobieta. Tylko te jej dwie pomocnice. Boże!... Ale, ale — dodała nagle — wiesz, Madziu, że gniewam się na ciebie? Jak mogłaś prosić obcych pań o poparcie dla twojej przyjaciółki nie wspomniawszy mi o niej ani słówka? Przecież my mamy w Jazłowcu takie stosunki, że ją natychmiast przyjmą. A tu, słyszałaś, jak ci odpowiedziiano...

— Nie śmiałam nadużywać twojej dobroci — odparła zmieszana Madzia.

— Ach, nie śmiałaś nadużywać dobroci!... Więc w taki sposób przemawiasz do mnie?... Dajesz nam co dzień i co godzinę jałmużnę ze swej osoby, wniosłaś radość do naszego domu, a sama nie przyjmujesz najmniejszej usługi nawet dla twoich znajomych. Więc to tak?...

— No, nie gniewaj się, Adziuś, już nigdy tego nie zrobię.

Wsiadły w dorożkę, która lekkim truchtem odwiozła je do domu.

— Pamiętaj, Madziu, pamiętaj i już nie rób z nami tak źle — mówiła Ada. — Ty nawet nie przeczuwasz, jaką to dla mnie było przykrością... Pamiętaj, że nasz dom to twój dom i że każdy człowiek, który ciebie obchodzi, nas obchodzi... Zapamiętaj to sobie, Magduś, bo inaczej krzywdę wyrządzisz ludziom, którzy wiele ci zawdzięczają i bardzo kochają.

Uściskały się w dorożce i powróciła zgoda.



— A do tej panny... jakże ona?...

— Cecylia.

— Do panny Cecylii napisz, że miejsce ma i tylko musi poczekać parę tygodni...

— A jeżeli nie wakuje teraz posada nauczycielki? — zapytała Madzia.

— Moja droga — odparła Ada ze smutnym uśmiechem — wszędzie i zawsze znajdziesz się miejsce dla tego, za kim przemawia Solski. Ja dopiero dziś zaczynam rozumieć potęgę stosunków i pieniędzy. Ach, straszna to siła!... A jeszcze Stefek mówi, że znajdują się ludzie gotowi padać na twarz przed każdym workiem pieniędzy, choćby z nich nie odnieśli pożytku.

Madzia ze zdumieniem przysłuchiwała się przyjaciółce. Nigdy Ada nie była tak ożywiona, nigdy w jej głosie nie było tego tonu pewności, co dziś. Widać, że sesja otworzyła przed nią nowe horyzonty, a może tylko dała jej sposobność zakosztowania potęgi majątku.

„Tysiąc sześćset rubli rzuciła w ciągu jednego wieczora... Stworzyła schronienie dla trzech starych nauczycielek i utrzymanie dla dwudziestu ubogich dziewcząt” — myślała Madzia i patrząc boku na twarz Ady, co chwilę oświetlaną błyskami latarni ulicznych, pierwszy raz wobec niej doznała uczucia bojaźni czy wstydu.

„To naprawdę jest wielka pani... Ja naprawdę znam wielką damę, której jedno słówko zapewnia byt kilkudziesięciu osobom!... Ale co ja robię przy niej? Po co ja się tu dostałam, nauczycielka, córka lekarza?... Ha, zapewne po to, ażeby służyć innym... Chociaż wolałabym, ażeby to już się skończyło...”

Dotychczas Madzia w wyobraźni swojej stała na jednym poziomie z panną Solską: były przyjaciółkami od szkolnej ławy. Dziś uczuła, że ów grunt wspólny pomiędzy nią i Adą zaczyna pękać, a ich stanowiska rozchodzą się.

„Może ona myśli — mówiła do siebie stroskana Madzia — że i ja upadnę na twarz przed workiem pieniędzy?...”

Dorożką stanęła obok bramy pałacu, do którego Ada weszła uradowana, Madzia smutna. Jeszcze nigdy ten gmach nie przygniatał jej, jak dziś, swoim ogromem; nigdy piękne pokoje nie wydały się bardziej obcymi; nigdy nie czuła tego wstydu wobec wygalowanej służby, co dziś.

„Lokaje, pokojówki, salony ze złoconymi ścianami, palisandrowe sprzęty!... To nie mój świat, nie mój... nie mój...” — myślała Madzia.

Na drugi dzień w południe ciocia Gabriela zaprosiła do siebie Madzię. Ady nie było, ale był pan Stefan.

— Czy wie pani, co w tej chwili robi moja siostra? — zapytał.

— Zdaje mi się, że wyjechała do miasta... — odparła Madzia.

— Tak. Pojechała między naszych kuzynów i znajomych zbierać podpisy na założenie instytucji opiekującej się starymi nauczycielkami.

Solski zająknął się, lecz po chwili mówił dalej:

— Jeżeli projekt ten uda się, moja siostra będzie miała udział w utworzeniu szlachetnej instytucji... Spełni dobry czyn obywatelski... Ona to rozumie i czuje się bardzo szczęśliwą... Ani ciotka, ani ja nigdy nie widzieliśmy jej tak uradowanej.

Wszystko to zawdzięczamy pani — ciągnął Solski. — Za granicą lekarze przepowiadali Adzie ciężką chorobę nerwową, jeżeli nie znajdzie celu w życiu... No i pani wprowadziła ją na tę drogę... Ada będzie szczęśliwa, a my — spokojni o nią. Wszystko to dzięki pani, która stajesz się opiekuńczym aniołem tego domu...

Madzia słuchała bez tchu nie śmiejąc spojrzeć na niego.

— Dziękuję pani, dziękuję... — rzekł, mocno ściskając jej rękę.

— Ale nie przypuszczałam, że panna Brzeska jest tak gorącą apostołką emancypacji — wtrąciła ciotka Gabriela.

— Ja?... — spytała Madzia.

— Ludzie mówili to zawsze, a fakta choćby dziś... Powiedz, Edyto — zwróciła się ciotka do swej panny do towarzystwa — czy nie słyszeliśmy, że panna Brzeska jest zapaaloną emancypantką?

— Ależ tak — potwierdziła panna. — Tak utrzymuje cała Warszawa...

— Mniejsza o to — przerwał Solski. — Jeżeli takimi są emancypantki, a choćby tylko trzecia część ich, zapisują się do ich stronnictwa. Mam jednak z panią inny rachunek —

zwrócił się do Madzi. — Wczoraj zrobiła pani przykrość mojej siostrze... Pani wie, o czym mówię... Otóż mamy prośbę do pani. Ile razy ktoś z bliskich albo choćby tylko znajomych pani będzie potrzebował zajęcia czy poparcia, niech pani zrobi nam zaszczyt i najpierwej — zwraca się z żądaniem o pomoc do siostry albo do mnie...

— Proszę pana, czy ja mogę robić coś podobnego?... — odparła Madzia. — Ja przede wszystkim za mało znam ludzi... A po wtóre — dom państwa nie może być przytułkiem moich znajomych...

— Szlachetna duma!... — szepnęła panna Edyta, z zachwytem patrząc na Madzię.

Solski niecierpliwie machnął ręką.

— Zaraz pani wytłumaczę moją prośbę ze stanowiska kapitalisty. My, ludzie majątni, nie zawsze mamy rozum, ale jedno wiemy, że gdy otaczają nas uczciwi, nasze majątki są pewniejsze i dają większy procent. Czy uznaje pani tę zasadę?

— Zapewne... Zresztą nie znam się na tym — odpowiedziała Madzia.

— Otóż widzi pani... Ja dzisiaj potrzebuję wielu ludzi do cukrowni, może nie zawsze fachowych, ale uczciwych. A wierzę niezachwianie, że jeżeli pani zarekomendowałaby mi kogoś ze swoich znajomych, byłby to z pewnością człowiek uczciwy, bo przed hultajem ostrzegłby dobry instynkt, który pani posiada w wysokim stopniu. Panno Magdaleno — kończył biorąc ją za rękę — mam parę... nawet kilka niezłych posad... Gdyby więc ktoś bliski pani potrzebował, zrób nam tę łaskę... i rozporządzaj nami...

Madzi przyszedł na myśl własny ojciec lekarz i brat technolog. Ale jednocześnie uczuła, że tych ludzi nie może zalecać Solskiemu.

Więc podziękowawszy za obietnicę odpowiedziała, że gdyby kto z jej znajomych zgłosił się z prośbą, nie omieszka zawiadomić Solskiego.

Pożegnała ciotkę Gabriellę, pana Stefana i starą damę i wróciła do siebie. W pół godziny później wpadła do niej zawinięta w szal z miną tajemniczą panna Edyta i oglądając się na wszystkie strony rzekła dramatycznym szeptem:

— Nie ma nikogo?

— Nie — odpowiedziała Madzia.

Panna Edyta schwyciła ją w objęcia i tuląc do serca mówiła cicho, ciszej aniżeli szelest skrzydeł motyli:

— Wybornie... cudownie postawiłaś się, drogie dziecko, wobec pana Stefana i ich wszystkich... Oszałeje... straci rozum!... Tak ciągle postępuj: niczego nie żądaj, wszystko przyjmuj chłodno, obojętnie, jakbyś robiła łaskę... Tym sposobem zdobędziesz niezachwiane stanowisko...

Dajże mi twego rozkosznego buziaka i... pamiętaj o moich radach!...

To powiedziawszy dama do towarzystwa wymknęła się z pokoju w sposób równie tajemniczy, jak do niego weszła.

## 15. ODGŁOSY Z INNEGO ŚWIATA

Proszę pani, przyszła pani Arnold.

— Dawno?

— Czeka z kwadrans.

Taką wiadomość na schodach udzieliła pokojówka Madzi powracającej z miasta.

— A panna Ada jest?

— Nie. Pani wyszła o jedenastej do tych tam robotnic...

Madzia szybko wbiegła do swego mieszkania, ale ani w saloniku, ani w gabinecie nie zastała pani Arnoldowej. Dopiero gdy zajrzała do pokoju Ady, którego drzwi były otwarte, za portierą spostrzegła panią Arnold z notatnikiem i ołówkiem w ręku. Amerykanka przypatrywała się portretom rodziców Ady zawieszonym naprzeciw łóżka i — jak zdawało się Madzi — przerysowywała je.

„Ci Amerykanie mają zwyczaj wszystko notować!” — pomyślała Madzia.

Na szelest jej kroków pani Arnold odwróciła się i szybko zamknęła notatnik.

Potem nie tłumacząc się z obecności w pokoju Ady przeszła do saloniku Madzi.

— Chciałam z panią rozmówić się o ważnych rzeczach — rzekła pani Arnold po francusku. — Ale proszę nie szydzić ze mnie, co zresztą byłoby naturalne w kraju, gdzie ludzie nie wierzą w świat duchów albo wcale nie zajmują się nim.

Madzia słuchała usiłując zapanować nad zdziwieniem. Pani Arnold usiadła na kanapce, schowała notatnik i mówiła dalej:

— Od pewnego czasu weszłam w stosunki z nieboszczką... z matką Heleny i pana Kazimierza...

Madzia otworzyła oczy. Wiedziała, że pani Arnoldową jest spirytystką; głośne to było w Warszawie. Ale dotychczas nie prowadziła z nią rozmowy o tych kwestiach.

— Przykry to dla mnie stosunek duchowy — ciągnęła pani Arnold — nie dlatego, ażebym była zazdrosna o przeszłość mego męża, o nie!... Ale ta nieszczęśliwa bardzo cierpi i żąda czegoś ode mnie, czego zrozumieć nie mogę...

— Cierpi?... — powtórzyła Madzia.

Pani Arnold machnęła ręką.

— Ach, jest to jeden z najokropniejszych stanów, w jakim może znaleźć się dusza... Wyobraź sobie pani: ona, biedaczka, nie zdaje sobie sprawy z tego, że umarła...

Madzię dreszcz przebiegł.

— Jak to?... Więc coś może jej się zdawać?...

— Zdaje się jej, że jest w domu zdrowia, gdzie nie tylko gwałtem ją zatrzymują, ale nawet nie przepuszczają wiadomości o dzieciach. Stąd wyrodził się w niej nadzwyczajny niepokój.

Madzia przeżegnała się. Zdania przed chwilą wypowiedziane były tak nowe dla niej, że mogła posądzać panią Arnold o mistyfikację albo o obłąkanie. Lecz Amerykanka mówiła w sposób naturalny z odcieniem współczucia, jak osoba, która opisuje fakt nie mający w sobie nic dziwnego.

— Pani odwoziłaś nieboszczkę w dniu opuszczenia przez nią pensji?... — spytała pani Arnold.

— Ja... Ale tylko przez jedną ulicę... Mówiła, że wyjeżdża na parę dni... — Zresztą wszyscy o tym odprowadzeniu wiedzieli, nie kryłam się... — tłumaczyła się wylęknięta Madzia.

— Nieboszczka uważała panią jakby za drugą córkę, kochała panią...

— Tak... dosyć lubiła mnie.

— Nie wiem, czy nawet nie wspomniała kiedy, że pragnie, ażeby jej syn ożenił się z panią?

Madzia zaczerwieniła się i zbladła. Tchu jej zabrakło.

— Nigdy... nigdy!... — odparła zduszonym głosem.

Pani Arnold przypatrzyła się jej z uwagą i mówiła dalej spokojnie:

— Nie zrobiłaby pani świetnej kariery, ale mniejsza o to. Jak duży majątek zostawiła nieboszczka?

— Żadnego... — odpowiedziała Madzia.

— Czy tylko nie mylisz się, pani? Helena ma kilka tysięcy rubli złożonych w banku, a pan Kazimierz nie ma wprawdzie nic, bo stracił, ale znowu spodziewa się jakiejś sumy po matce. Tak przynajmniej mówi memu mężowi, od którego pożycza pieniądze. Więc majątek został...

— Proszę pani, nic nie zostało — zaprzeczyła Madzia. — W jesieni zaprzeszłego roku pani Latter pożyczyła od Ady sześć tysięcy rubli... Wreszcie zdaje mi się, iż opuściła pensję z tego powodu, że brakło jej pieniędzy. Pozostałe długi uregulował pan Solski albo Ada...

Pani Arnold spojęła.

— W takim razie — rzekła półgłosem — i mój mąż musiał im coś dać... No, dzieci jego żony...

Potem biorąc Madzię za rękę rzekła podniecona:

— Na moją wiarę zapewniam panią, że nie żałuję ani tego, co mąż zrobił dla nich, ani tego, że Helena mieszka u nas. Gdzież ma mieszkać — u brata?... Dochody nasze w tym kraju są tak znaczne, że możemy wiele wydawać, i jeszcze coś zostanie dla mego Henrysia. Ale rozumiem przyczynę niepokojów nieboszczki: jej dzieci są na łaskawym chlebie, a to musi ranić serce matki.

Madzia uczyła na twarzy rumieniec.

— I niech pani doda — mówiła Amerykanka — że nie widać końca tego stanu rzeczy. Pan Kazimierz jest próżniak i hulaka, nad którym wisi jakaś przykrość czy niebezpieczeństwo (ostrzegły mnie o tym duchy), a Helena mogąc zrobić świetną karierę burzy ją własnymi rękoma. Proszę pani, pan Solski, choć niedowiarek, ale człowiek nie-tuzinkowy. Bogaty, wysoka inteligencja (ma nawet zdolności do interesów, jak zapewnia mąż), a nade wszystko szalenie kochał Helę. Patrzyłam na to... wulkan!... Ale dziś widzę zmianę. Jeszcze i dziś, kiedy znajduje się przy niej, poszedłby za nią do piekła, niemniej — nie jest to już tamta miłość.

— Hela niepotrzebnie drażni go kokietując innych panów — wtrąciła zmartwiona Madzia.

— To jeszcze byłoby mniejsze — mówiła pani Arnold. — Ale pan Solski ma za dużo rozumu i uczucia, ażeby od swej żony nie żądał jakiejś wiary, miłości dla ludzi, ideału... Tymczasem dla Heleny podnioslejsze sprawy nie istnieją, ona drwi z nich. A ponieważ jest za dumna, ażeby chciała udawać, więc z panem Solskim postępuje nieledwie w cyniczny sposób. „Ja dam ci moją piękność, a ty mi dasz twój majątek i nazwisko” — oto jej dewiza!... Pan Solski niezupełnie wierzy w to, posądza ją o pozowanie, niemniej zniechęca się i może całkiem opuścić.

— Pani nie zwracała jej uwagi na to? — zapytała Madzia.

— Próbowalam, ale bez skutku. Zresztą nie śmiem przynaglać do małżeństwa, ażeby nie sądziła, że żaluję jej domu. A tu czas płynie i swoje robi. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa i pan Solski, który dziś, odpowiednio zachęcony, może by się ożenił, jutro straci do niej sympatię.

— Oni już byli narzeczonymi i zerwali — rzekła Madzia.

— Takie zerwanie nic nie znaczy. Piękne kobiety mogą się drożyć; na mężczyzn działa to zbawiennie. Tylko — nie należy przeciągać struny.

Madzia patrzyła na nią pytającym wzrokiem. Pani Arnold spostrzegłszy to rzekła:

— Otóż na czym polega moja prośba do pani. Ja Heli nie mogę mówić ani o zamążpójściu, ani o niepokojach jej matki. Niech więc pani rozmówi się z nią jako przyjaciółka...

— Pani Latter bardzo życzyła sobie tego związku i bardzo cierpiała dowiedziawszy się o zerwaniu.

— Otóż to. Może nawet zerwanie stało się jedną z pobudek jej śmierci... Zwracam nareszcie uwagę, że pani w delikatnej formie może Heli wspomnieć o tym, co Solscy zrobili dla nieboszczki... Gdy w sercu Heleny obudzi się wdzięczność i nieco obawy o jutro, wówczas inaczej zacznie traktować pana Stefana...

Temat rozmowy został wyczerpany i pani Arnoldowa wróciła do kwestii spirytyzmu. Ubolewała, że w tym kraju klasy oświecone i majątne za mało dbają o świat duchów, a jako przykład postawiła Adę, która więcej zajmuje się rzeczą tak materialną, jak mikroskop, albo tak doczesną, jak stowarzyszenie kobiet, aniżeli przyszłością własnej duszy i obecnym położeniem swoich rodziców.

— Niech ją pani przekona, a będzie z niej gorliwa apostołka — rzekła Madzia.

Pani Arnold patrzyła w jakiś nieokreślony punkt i kiwała głową.

— Droga pani — odparła — wiele ja myślałam, ażeby bodaj tę jedną rodzinę nawrócić do prawdziwej wiary, bo ludzie majątni, światli i wpływowi dużo dobrego mogliby zrobić bliźnim. Ale — jak ich przekonać?... Duchy nie są naszymi sługami i nie przychodzą na każde zawołanie. My, pośrednicy między tym a tamtym światem, nie zawsze rozumiemy ich głos, więc możemy się mylić. Nieraz potrzebne nam są środki czysto ziemskie, pomoc ludzi, a ci nie zawsze, o! nie zawsze godni są zaufania... Wierz mi, pani, że gdyby nie poczucie obowiązku, gdyby nie nadzieja, że religia nasza zmieni świat do gruntu, poprawi go i uszczęśliwi, wierz mi, pani, wyrzekłabym się mego powołania. Jakież ono ciężkie!... Same stosunki z duchami zadają dużo cierpień. Gdy zaś, jako istoty niedoskonałe, potkniemy się, ileż spada na nas drwin i obelg?... A jak to przeszkadza rozszerzaniu się wiary pomimo jej prawdziwości!

Żegnając się pani Arnold zapytała Madzi:

— Pani dawniej zna pana Zgierskiego: czy to jest dobry człowiek?

— Czy ja wiem?... Zdaje się, że tak...

— Człowiek zręczny i umiałby być użytecznym, ale... on tak prędko nawrócił się, że aż się waham... A pani Edyta, która mieszka u ciotki państwa Solskich, czy nie jest osobą interesowną?

— Tego nie wiem.

— Można ufać temu, co ona mówi?

— Prawie że nie znam jej — odparła zakłopotana Madzia.

— Oto widzi pani, jak trudno zebrać między ludźmi najprostszymi informacji! — westchnęła pani Arnold. — A przecież nie mogę zapytywać ducha Cezara o opinię o Zgierskim albo Marii Antoniny o panią Edytę...

No, do widzenia — rzekła, mocno ściskając Madzię za rękę. — Sądzę, że nie mam potrzeby prosić panią o oględne posługiwanie się wiadomościami, których udzieliłam. Dzieciom nie wszystko można mówić o ich matce ani profanom o trudnościach, z jakimi musimy walczyć my, pośrednicy. Nie tracę też nadziei, że wkrótce i panią zobaczymy między poświęconymi. Duchy nieraz dawały mi to do zrozumienia. No — *adieu!*...

Po odejściu gadatliwej Amerykanki Madzi przez kilka chwil zdawało się, że ona jeszcze mówi. Pokój krążył jej przed oczyma i zaczęła się lękać, sama nie wiedząc, czy duchów, czy pustych salonów, które ją ze wszystkich stron otaczały.

„Boże!... — myślała chwytając się za głowę. — Dusza, która nie wie o tym, że już opuściła ciało, i wyobraża sobie, iż jest w domu zdrowia!...”

Przypomniała sobie postawę i fizjognomię pani Arnoldowej. Obląkana czy mistyfikatorka? Ale gdzież tam! Zwyczajna dobra kobieta, trochę wielomówna, która z najgłębszą wiarą opowiadała swoje przywidzenia czy widzenia...

„Skąd znowu przyszło jej do głowy, że pani Latter chciała mnie wydać za swego syna?... Druga córka!... No, mogła jej coś powiedzieć Hela... W każdym razie dziwna ta apostołka przypomniała mi mój obowiązek. Hela musi... musi wyjść za pana Stefana...”

Gdy tak myślała, stanął jej w pamięci pan Stefan prawie piękny mimo swej brzydoty, a imponujący naturą energiczną, szlachetnością, zresztą uprzejmością dla niej.

„Arnoldowa ma słuszość mówiąc, że gdy pan Stefan jest przy Heli, wówczas znajduje się pod jej wpływem. Ile razy sama to widziałam... Ach, nieznośny kobieciarz... Jak on nawet na mnie spogląda!... Zresztą Ada nie ukrywa tego, że on wybucha wobec każdej kobiety... Rozumie się, że gdy Hela zechce, będzie go miała. I tak stanie się najlepiej...”

Cicho westchnęła i usiłowała nie myśleć o panu Stefanie. Cóż ją obchodził pan Stefan? Szanuje go, podziwia i na tym koniec. Ale jaki on szlachetny, jaki wspaniały w swoich porywach, a jaki dobry, gdy hamuje się, ażeby nie umizgać się do Madzi, która jest przeciw gościem jego siostry. Nie dziw, że arystokratyczne panny rade by go odciągnąć od Heleny. Ale on musi zostać mężem Heleny... Niczym, tylko Heleny, na przekór wszystkim pannom z towarzystwa... Ona przecież także arystokratka z upodobań, z postawy, a nade wszystko z piękności. Któża jej dorówna, choćby najbardziej utytułowana?

## 16. PAN ZGIERSKI WCHODZI

W kilka dni na rogu ulicy Marszałkowskiej i Królewskiej z ciężkiego szafirowego tramwaju wyskoczył pan Zgierski i jak duża piłka zatoczył się prawie pod nogi Madzi. Kłaniał się szeroko, ocierał pot z łsyiny i mówił:

— Jakie szczęście, że panią tu spotykam!... Już nawet chciałem złożyć pani w jej mieszkaniu najgłębsze uszanowanie... Czy nie idzie pani przez Saski Ogród?...

— Owszem, mogę pójść.

— Zawsze ta sama dobroć. Co za gorący dzień!... Nie chce się wierzyć, że dopiero jesteśmy w kwietniu. Ogród wydaje mi się chłodniejszym niż ulica; wreszcie wiosenny krajobraz jest dla pani najwłaściwszym otoczeniem. Czy uważa pani, że tu i owdzie już przezierają jasnozielone listki trawy?... I pączki... słowo honoru!... malutkie, zaledwie pączusiami nazwać je można, ale już są. A niebo?... Proszę pani — taki błękit... I tych kilka obłoków białych jak łabędzi puszek, którym panie zasłaniają szyjki podczas balów... Cudownie pani dziś wygląda, tak... jak zwykle, bo trudno mi o ściślejsze porównanie. Nie wiem, czy to wpływ wiosny, czy widok pani, ale czuję się odrodzonym...

— Pan ma do mnie interes? — przerwała Madzia.

— A zawsze ta sama skromność — mówił Zgierski, słodko uśmiechając się i pieszcząc ją bystrymi oczkami. — Tak, interes, i to niejeden...

— Zaciekawia mnie pan.

— Przede wszystkim osobisty. Ile razy widzę panią, choćby w przelocie, w pierwszej chwili doznaję czegoś przykrego, jakby uczucia wstydu, że jednak ja jestem zły... Ale wynagradzają mi to chwile następne: czuję bowiem, że stałem się jakby lepszy.

Mówił tak gorąco a delikatnie, z tak głębokim przekonaniem, że zakłopotana Madzia nie mogła się na niego gniewać.

— A ten drugi interes? — spytała z lekkim uśmiechem, dodając w myśli:

„Zabawny komplimencista!...”

— Drugi interes jest nie mój i dlatego poważniejszy — odparł zmieniając ton. — Chodzi o kogoś, kto panią interesuje...

— Domyślam się, o Helę... O, pan może przypuszcza, że ja zapomniałam naszej umowy!... Wtedy u państwa Korkowiczów.

— Naszej umowy?... — zdziwił się Zgierski.

— Mieliśmy pracować nad ustaleniem jej przyszłości, a ja zaraz zgadłam, że chodzi o nawiązanie małżeństwa z panem Stefanem, które Hela tak niebacznie potargowała... Ale mam nadzieję, że to się zrobi...

— Co?... małżeństwo panny Heleny... Z jakim panem Stefanem?... bo i ja jestem Stefan. Ale jeżeli mówi pani o małżeństwie panny Heleny z panem S... to wybaczy pani, ale ja o tym nie myślałem.

— Ależ pamiętam słowa pańskie: „musimy zająć się przyszłością tych dwojga dzieci, to jest Helenki i jej brata...”

— Ja?... — pytał zdumiony Zgierski stając w alei i kładąc rękę na piersi. — Z tych dwojga dzieci, jak pani je nazywa, panna Helena interesuje się teraz, naturalnie po swojemu, młodym Korkowiczem. A zaś pan Kazimierz jest to utracjusz, który potrzebuje tylko pieniędzy, i impertynent, który za przyjacielskie uwagi płaci... najniewłaściwszymi odpowiedziami. Ja do tego planu, o którym pani mówi, ani myślę należeć... Chciałem zaś zakomunikować pani wiadomość ważną dotyczącą naszego szlachetnego pana Stefana.

— Prawda, jaki szlachetny!... — powtórzyła Madzia z zachwytem.

— Ależ to nadzwyczajny człowiek!... To, pani, geniusz inteligencji, charakteru, energii... To człowiek, który — po prostu — robi uszczerbek ludzkości przez to, że nie zajmuje jak najwyższego stanowiska. Umysł — serce — wola, a wszystko w wielkiej potędze — to jest, moim zdaniem, pan Solski...

Zdawało się, że Zgierski, mówiąc to, z nadmiaru uniesienia wzleci ponad Saski Ogród.

— Ach, jak pan dobrze go ocenia!...

— Ale ile ja walk muszę staczać o niego — odparł Zgierski, wymownie spoglądając na Madzię. — Jakie się to pod nim doły kopią... Jakie intrygi...

— Co pan mówi?... — zawołała wylękniona Madzia. — W tej chwili — prawil Zgierski zniżonym głosem — tworzy się spółka kapitalistów, która chce użyć wszelkich środków, ażeby pana S... odsunąć od cukrowni, na której zbudowanie już kazał zwozić materiały... Powiadają, że zabrał im pomysł, gdyż to oni mieli zamiar budować w roku przyszłym cukrownię w tej okolicy, a z panem S... zrobić kontrakt o dostawę buraków...

— Któż to są ci panowie?

— Kapitałiści, no... i zależna od nich arystokracja. Ludzie tacy nie znoszą, aby im kto wchodził w drogę, i nie cofają się przed niczym!... — dodał ciszej.

— Ależ to okropne — szepnęła Madzia, z przerażeniem wpatrując się w bystre oczki Zgierskiego, które w tej chwili skromnie przysłonił rękami.

— Ja, choć obcy panu Solskiemu, zapobiegam i będę zapobiegał katastrofie, o ile mogę...

— A cóż oni mu zrobią?

— Będą psuli roboty, buntowali robotników, podstawiali złe materiały, burzyli przeciw niemu sąsiadów i w rezultacie — doprowadzą go do bankructwa. Niech więc pani ostrzeże pana Solskiego, zresztą... nie wspominając mu o mnie...

— Co też pan mówi! — oburzyła się Madzia. — A któż lepiej może go informować aniżeli pan?

— Jak się pani podoba — odparł lodowatym tonem pan Zgierski, ale czarne oczki jeszcze głębiej przysłonił rzęsami. — Pan Solski — dodał — o jednym nie powinien wątpić: że ma we mnie poświęconego człowieka, który choć nie znany, będzie czuwał nad jego interesami i doniesie o każdej intrydze.

— Okropność! — westchnęła Madzia, zarówno przejęta niebezpieczeństwami grozącymi Solskiemu, jak i poświęceniem Zgierskiego.

— Otóż i jesteśmy u kresu — rzekł jej towarzysz, znowu jak najniżej zdejmując kapelusz i schylając się do ziemi, o ile mu na ten wybryk pozwalały okrągłe formy. — Dziękuję pani za udzieloną mi chwilę szczęścia — westchnął — i polecam interes pana Solskiego.

Potem biorąc ją za rękę i miłośnie patrząc w oczy dodał:

— Panno Magdaleno, połączmy wspólne usiłowania, a nasz ukochany geniusz pokona wszystkie przeszkody...

Jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze jeden ukłon, jeszcze jedno odwrócenie głowy i — pan Zgierski potoczył się jak bilardowa kula gdzieś w nieznaną przestrzeń. Gdy zaś Madzia zniknęła mu z oczu, zawrócił w przeciwnym kierunku i filuternie oglądając się za damami poszedł na kawę do pewnej cukierni. Tam co dzień zgromadzali się panowie czuwający jak on nad cudzymi interesami, pośrednicy w kupnie i sprzedaży, w udzielaniu pożyczek, robieniu nowych znajomości i zbieraniu informacji o wszystkim i o wszystkich, co tylko mogło przynieść dochód człowiekowi mającemu skromne fundusze.

Wróciwszy do domu wzburzona Madzia wpadła do pokoju Ady i zażądała, ażeby przyszedł pan Stefan. Gdy wezwany ukazał się, opowiedziała mu rozmowę ze Zgierskim.

— Ale czego pani taka wzruszona?... — odparł Solski patrząc na nią z uśmiechem.

— Przecież grozi panu niebezpieczeństwo...

— I panią to obeszło?... — spytał Solski.

Madzia umilkła i zawstydzona się.

Brat i siostra przelotnie spojrzeli po sobie.

— Uspokój się, Madziuś — rzekła Ada. — Panowie ci nic nie zrobią Stefkowi... O ich pretensjach wiemy od dawna, zaś pan Zgierski widocznie ma do Stefana interes i dlatego cię nastraszył.

— Ale on jest bardzo życzliwy dla pana Solskiego — żywo odpowiedziała Madzia. — On bardzo trafnie scharakteryzował twego brata i mówił, że choć nie znany i obcy, jednak będzie czuwał... Bo go obchodzi człowiek niepospolity...

— Ach, ach!... — zawołał Solski klaszcząc w ręce. — Pan Zgierski doskonale trafił. Muszę się z nim zapoznać.

— Czymże on jest? — spytała Ada.

— Zręcznym aferzystą, może trochę lepszym od innych — odparł brat. — Będzie mi znośił plotki, z których może się coś przyda, a ja — dam mu z pięćdziesiąt rubli na miesiąc. Tyle, ile brał procentów od nieboszczki Latterowej, co mu się niestety urwało!

Madzia słuchała nadąsana.

— Czy to gniewa panią?... — zwrócił się do niej Solski.

— Bo... pan nie ufa człowiekowi, który mówi o panu z największym uwielbieniem...

— Ależ ufam, ufam! — odparł Solski. — Jeżeli zapewni mnie pani, że Zgierski ma skrzydełka cherubina, gotów jestem nawet i w to uwierzyć. — Zresztą — kiedyś poznamy go bliżej.

Pożegnał obie panny i nucąc poszedł do swego gabinetu.

Ada jakiś czas przypatrywała się Madzi. Potem usiadła przy niej i objąwszy ją w pół spytała:

— Powiedz mi, ale szczerze, jak najszczerzej: co myślisz o Stefanie?

— Myślę to, co dziś słyszałam od Zgierskiego, że twój brat posiada wszystkie zalety w najwyższym stopniu: umysł — serce — wolę... I jeszcze, że jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam — odpowiedziała Madzia tonem głębokiego przekonania.

Ada ucałowała ją.

— Dobrze, bardzo dobrze, że tak myślisz — rzekła tłumiąc westchnienie.

— I dlatego powiem ci — prawda Madzia — taki człowiek powinien być szczęśliwym... My wszyscy mamy obowiązek pracować nad jego szczęściem... I powiem ci, że on — powinien się ożenić...

— Masz słuszość — rzekła cicho Ada.

— I my obie, a z nami pani Arnold, musimy zrobić to, ażeby oni pogodzili się z Helą... Ona ma wady, ale któż jest bez wad?... Tymczasem panu Stefanowi taka właśnie żona potrzebna.

Ada cofnęła się i głęboko spojrzała w oczy Madzi.

— Ty to mówisz?... — spytała.

— Bo mam słuszość. Pan Stefan jest niepospolity człowiek, a i Helenka jest niepospolitą kobietą... Jaka ona piękna, zdolna, a jaka dumna!... Ja, powiem ci, nie kocham jej nawet tak jak Cecylię, tę, której wyrabiasz posadę w Jazłowcu. Ale mówię ci, że kiedy patrzę na Helenę, korzę się przed nią, bo czuję, że w tej kobiecie jest coś królewskiego. Prawda, że ona ceni tylko siebie, ale widocznie zna swoją wartość i ten czar, który bije od jej istoty.

Ada wstrząsnęła głową. W słowach i oczach Madzi było tyle szczerości, że niepodobna było wątpić o tym, co mówi.

— I nie przypuszczasz, że mogą być doskonalsze kobiety niż Hela? — spytała Ada.

— Może w wyższych towarzystwach albo za granicą — naiwnie odpowiedziała Madzia.

Panna Solska roześmiała się.

— Oj ty, ty!... — rzekła i ucałowała ją po kilka razy.

Potem zaczęła jej opowiadać o sprawach towarzystwa kobiet. Że zapewne będzie ufundowane schronienie dla nauczycielek, a może kiedy i przytułek dla biednych matek. Że w pracowni trykotowych kaftaników jest trzydzieści pracownic i że damy z towarzystwa, zachęczone przez nią, kupiły szesnaście kaftaników. Że nareszcie ją, Adę, dziś zajmują tylko pracujące kobiety i biedne dziewczęta i że ona doznaje niekiedy wyrzutów sumienia z tego powodu, iż nieco zaniedbała swoje mchy i porosty.

— Wyobraź sobie, teraz nie robię nawet czwartej części obserwacji co dawniej — zakończyła zmartwiona panna Solska.

Minęły wielkanocne święta, pamiętne dla Madzi, bo w tym czasie poznała kilka osób z rodziny Solskich. Wszyscy panowie, starzy i w średnim wieku, więcej i mniej utytułowani, byli dla Madzi uprzedzająco grzeczni. Ale wiał od nich taki chłód, że dla biednej dziewczyny rozmowa z nimi była męką. Wyrzekłaby się bogactw i stanowiska, uciekłaby na pustynię, gdyby jej przyszło częściej widywać tych czcigodnych panów, którzy każdym słowem, spojrzeniem i ruchem okazywali, że jest im obcą, a nawet niechętną.

Młodsze damy z towarzystwa udawały, że nie spostrzegają Madzi; zaś witając się z nią lub żegnając patrzyły na ścianę lub sufit. Tylko jakaś wiekowa pani rozmawiała z nią dość łaskawie przez parę minut, ale po to, ażeby powiedzieć z uśmiechem, że przekonania jej, Madzi, mają wielki wpływ na Adę, gdyż panna Solska żadną miarą nie dała się namówić na przyjęcie udziału w wielkotygodniowej kweście.

Trzeciego dnia Madzia powiedziała sobie, że jeżeli te wizyty i znajomości pociągną się dłużej, ona pomimo całego przywiązania do Solskich opuści ich dom. Jednocześnie przyszło jej na myśl: czy ci państwo w taki sam sposób postępowaliby z Heleną Norską i czy ona wytrzymałaby w ich towarzystwie? Wytłomaczyła sobie jednak, że panna Helena potrafi traktować ich z góry i właśnie między tak wyniosłymi ludźmi znajdzie się w swoim żywiole.

— O, Helenka to nie ja!...

Ale święta minęły, wizyty wielkich dam i panów skończyły się. Madzia wróciła do zajęć na pensji, gdzie ją otaczano coraz większym szacunkiem; Ada do towarzystwa kobiet, które dzięki jej wzrosło w liczbę członków i fundusze; pan Stefan do swoich narad nad cukrownią z przedsiębiorcami i technikami.

Tymczasem słońce coraz wcześniej wschodziło, później zachodziło, coraz wyżej podnosząc się na niebie. Miasto obeszło, ludzie włożyli wiosenną odzież; na ulicach zaczęto sprzedawać niebieskie przylaszczki posypywane korzeniem fiołkowym; ogród Solskich pokrył się młodą trawą, a jego odwieczne drzewa pączkami, które tylko czekały na deszcz, ażeby się rozwinąć.

Pewnego dnia Solski wszedł do pokoju siostry i zastawszy Madzię rzekł wesolo:

— Nareszcie zrobiliśmy układ z wielbicielem panny Magdaleny.

— Któż to taki? — spytała zarumieniona Madzia.



— Nie jedyny, ale jeden z gorętszych. Pan Zgierski.

— Jakież robi wrażenie? — wtrąciła Ada.

— Salonowiec, gładki i do znudzenia grzeczny. Wreszcie jest to człowiek, któremu nie potrzeba otwierać drzwi, bo sam otworzy, gdzie zechce.

Kręcił się po pokoju i strzelał z palców.

— Jesteś zadowolony? — spytała Ada.

— Jestem. To, zdaje mi się, gracz!... Wolę go mieć za sobą niż przeciw sobie... To jest — za sobą nierad bym go mieć; raczej obok siebie... W każdym razie rekomendacja panny Magdaleny jest bardzo szczęśliwa. I jeżeli pani ma jeszcze kogo do zalecenia mi, a nawet kilku czy kilkunastu, będę wdzięcznym.

— Nie... Pan już coś musiał słyszeć... Jestem pewna, że pan słyszał!...

— O kim? — spytał ciekawie.

— O panu Fajkowskim...

— Fajkowski?... Pyszne nazwisko. Czy ma skład tytoniu?...

— Ale gdzież tam, to aptekarz... prowizor apteczny...

— Niechże nam pani opowie o Fajkowskim, który tak chybił powołania — nalegał Solski.

— Ach, to cała historia — mówiła Madzia. — Pana Fajkowskiego poznałam w Iksinowie, gdzie był w aptece. To jest, poznałam o tyle, że on kłaniał mi się, a ja jemu... Kłaniałam się, bo był dobry dla tej biednej Stelli, kiedy do nas przyjechała z koncertem, pamiętasz Ada?... (Ach, Boże, co się z nią dzieje... Pewnie biedaczka umarła...).

— Nowa historia — wtrącił Solski. — Ale cóż z tym panem Fajkowskim?

— Otóż — prawda Madzia — pan Fajkowski przyjechał tu do apteki. (Wiesz, Ada, stracił tam miejsce, gdyż był lunatykiem i wyobraź sobie, na pierwsze piętro łaził po rynnie do kuchni!)

— Aha — rzekł Solski — ale w Warszawie już nie jest lunatykiem?

— Nie wiem. Ale tu poznał się z nauczycielką od panny Malinowskiej, znasz ją, Ada, z Żanetą...

— Ona ma taką smutną minkę? — rzekła Ada.

— Już nie... A raczej — była jakiś czas wesoła, ale teraz jest jeszcze smutniejsza. Bo, wyobraź sobie, że poznali się z panem Fajkowskim, no — i pokochali się...

— To: no — jest paradne! Czy każda znajomość prowadzi do miłości, czy też tylko aptekarze mają taki przywilej?...

— Nie przeszkadzaj, Stefek! — zgromiła go siostra.

— Więc — mówiła Madzia — kochają się, ale pobrać się nie mogą, dopóki on nie będzie miał własnej apteki albo lepszego miejsca, które wystarczyłoby dla dwojga. Zresztą Żaneta mówi, że gotowa jest dawać lekcje, byle się to już raz skończyło...

— Bah!... — wtrącił Solski.

— Ach, Stefek, nie przerywaj...

— Tymczasem, wyobraź sobie, co się dzieje. Onegdaj zaczepia mnie Żaneta zapłakana i mówi: „Moja Madziu, podobno pan Solski przy swojej cukrowni będzie miał doktora i aptekę. Spytaj się więc, czy biedny Fajkowski nie dostałby tam miejsca? To ogromnie zdolny aptekarz (mówiła Żaneta), on sam robi analizy. A jaki cichy, pracowity...”.

— Oczywiście już wyleczył się z lunatyzmu — mruknął Solski. — Rozumiem — dodał głośno — więc pani chce uszczęśliwić tę kochającą się parę?...

— Cóż ja mogę? — odparła zmartwiona Madzia wzruszając ramionami.

— A ja mam temu panu Fajkowskiemu (dlaczego on się nie nazywa — na przykład: Retortowski?), a ja temu panu mam oddać aptekę przy fabryce?

— Ach, gdyby pan to zrobił! — zawołała Madzia. — Oni tacy smutni, tak się kochają...

— Ada, siostrzo moja — rzekł uroczyście Solski stając na środku pokoju — Ada, powiedz pannie Magdalenie, że jej protegowany, pan Fajkowski, już ma aptekę przy naszej fabryce. Ale pod warunkiem, ażeby poślubił zapłakaną pannę Żanetę... No, i rozumie się, ażeby mnie nie wyrzucili stamtąd nasi antagoniści...

Madzia zamiast odpowiedzi schwyciła Adę w objęcia i zaczęła całować ją po twarzy i rękach.

— Ada — rzekła półgłosem — powiedz twemu bratu, że jest aniołem...

I łzy zakręciły się w jej oczach, gdy spojrzała na pana Stefana. Solski zbliżył się i pocałował Madzię w rękę.

— Pani to jesteś aniołem — odpowiedział — bo nie tylko dajesz nam możliwość przyczynić się do szczęścia ludzi, ale jeszcze myślisz, że robimy im łaskę. A tymczasem jest odwrotnie... Tak, tak — dodał — niech pobierają się zakochani, a my im pomagajmy...

— Właśnie Madzia i tobie chce pomóc do szczęścia — odezwała się Ada. — Przed świętami wciągnęła mnie do spisku, ażeby pogodzić cię z Heleną i naturalnie połączyć was...

— Ach, Ada!... — zawołała przerażona Madzia zasłaniając oczy. — Jak mogłaś powiedzieć coś podobnego?...

Na twarzy pana Stefana ukazał się wyraz przykrego zdziwienia.

— Pani tak radzi? — spytał po chwili namysłu. — Ha, może pani usłucham i w tym wypadku...

— Jakby to było dobrze! — szepnęła Madzia.

— Może, może... — odparł Solski. — Zobaczymy, o ile rada pani jest słuszną... Tymczasem, pan Fajkowski dostanie aptekę przy fabryce.

Kręcił się jeszcze po pokoju i wyszedł chmurny.

— Czy pan Stefan obraził się na mnie?... — spytała Ady wylękniona Madzia.

— Cóż znowu?... Tylko widać przyszedł mu na myśl jego stosunek z Heleną i zasepił go. Ale to minie — odparła Ada.

— Jaki on dobry... jaki on szlachetny... jaki on święty!... — mówiła Madzia tuląc głowę na ramieniu Ady.

## 17. BRAT I SIOSTRA

W domu Arnoldów panna Helena zajmowała duży, wesoły pokój urządzone jak niegdyś u matki. W oknach wisiały te same firanki, u sufitu ta sama lampa z niebieskim kloszem, na podłodze stały te same sprzęty i sprzęciki, między którymi najokazalej wyglądało lustro cieszące się największą sympatią właścicielki.

Na schyłku kwietnia po południu w pokoju tym znajdowała się panna Helena z bratem. Ona, posępna, siedziała na niebieskiej kanapce przypatrując się swemu buciukowi, pan Kazimierz chodził rozgorączkowany.

— Więc ojczym — rzekła siostra — nie chce pożyczyć ci pieniędzy?

— Dałby mi, ale sam potrzebuje.

Panna Helena smutnie uśmiechnęła się kiwając głową.

— I sądzisz, że ja nigdy nie będę potrzebowała pieniędzy — odparła. — Mam wielki majątek i częścią jego dochodów mogę pokrywać twoje szalone wydatki?...

— Daję ci słowo, Hela, że to ostatni raz. Przyjąłem miejsce na kolei i będę pracował... Niech лихо porwie znajomości, które mnie kosztowały tyle czasu i pieniędzy, a nie przyniosły nic. Ale ten ostatni dług muszę spłacić dla przecięcia stosunków.

— Tysiąc rubli — mówiła panna Helena. — Ja tyle nie wydałam za granicą.

— No, już, moja droga!... — przerwał brat. — Wydałaś więcej choć nie potrzebowałaś niczego.

Na pięknej twarzy panny Heleny zapłonął rumieniec.

— Kiedy obejmujesz posiadłość? — spytała.

— W przyszłym tygodniu.

— A pensja?

— Tysiąc pięćset.

— Za cóż oni będą ci tyle płacić?

— A to dobre! — wybuchnął pan Kazimierz. — Będą płacić za moją znajomość języków, za wiadomości ekonomiczne, wreszcie za stosunki...

Pan Kazimierz musiał być mocno rozdrażniony, stanął bowiem przed siostrą i prawie drżącym głosem odparł:

— Nie moja wina. Traciłem pieniądze, bo szedłem do czegoś lepszego. I z pewnością inaczej miałbym się dzisiaj, wszystko byłoby odzyskane z lichwą, gdyby — nie twój kaprys... Zrywając z Solskim mnie podstawiałaś nogę... Szwagier Solskiego inaczej byłby traktowany.

— Byłeś przecie jego — przyszłym szwagrem — i cóżes zyskał oprócz długów? Zresztą, o ile wiem, Solski trzyma się z daleka od tych panów, którzy rozdają posady...

— On sam byłby coś dla mnie obmyślił, bo niejednokrotnie robił wzmianki o mojej przyszłości. Teraz zakłada cukrownię... Mógłbym zostać administratorem z pensją czterech... pięciu tysięcy...

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się panna Helena. — Ty administratorem i w dodatku — Solskiego!...

— Tak, śmieję się, kiedyś mi zwichnęła karierę. Ja doprawdy pytam się nieraz: czy ciebie w życiu kto obchodził? Bo chyba nie ja, a nawet i nie matka...

Panna Helena spoważniała i surowo patrząc na brata odparła:

— Jak tobie nie wstyd rzucać podobne frazesy? A ciebie kto obchodzi? Czy matka, dla której o tyle byłeś sentymentalnym, o ileś potrzebował pieniędzy? Czy może ja, która zamiast mieć w tobie opiekuna, muszę przyjmować dom od ludzi obcych?

— Ojczym nie jest obcym. Wreszcie on ma rodzinę, a ja jestem kawalerem.

— Więc żęń się, zostań porządnym człowiekiem, a ułatwisz mi życie. Kto wie, czy to raczej ja nie straciłam kariery przez ciebie.

W przedpokoju rozległ się głos dzwonka. Panna Helena umilkła, a pan Kazimierz, który gotował się do odpowiedzi, przygryzł usta.

— Zdaje się, że któryś z twoich wielbicieli — mruknął.

— Poproście go o posadę administratora — odparła panna Helena.

Weszła Madzia.

Na jej widok po obliczu panny Heleny przemknął wyraz niechęci, a pan Kazimierz zmienił się. Nieśmiało przywitał Madzię, a w jego gniewnych przed chwilą oczach błysnęło tkliwe uczucie.

Madzia również zmieszkała się. Nie spodziewała się spotkać pana Kazimierza.

— Jak się masz, Madziu — rzekła panna Helena oddając jej chłodny pocałunek. — Oto widzisz — zwróciła się do brata — jej poproś o posadę, a będzie lepsza niż ta na kolei.

— Mnie?... — spytała Madzia.

— No, droga Madziu, tylko nie udawaj — mówiła panna Helena. — Wszyscy wiedzą, że wyprotegowalaś Zgierskiego, potem narzeczonego Żanety... Aha... i jeszcze jakąś guwernantkę z prowincji...

W tej chwili wbiegł w podskokach śliczny chłopczyk i zawoławszy po francusku:

— Helenko, papa cię prosi...

Schwycił ją za rękę i gwałtem wyciągnął z pokoju.

— Nie przywitałeś się, Henryku — ostrzegła go panna Helena.

— Ach, prawda, przepraszam! — odparł śmiejąc się.

Podał rękę Madzi i znowu zaczął ciągnąć pannę Helenę.

Gdy w dalszych pokojach ucichnął odgłos śmiechu chłopca i kroków panny Heleny, Madzia odezwała się do pana Kazimierza:

— Czy Helenka jest na mnie rozgniewana?

— Rozgniewana — tak, ale nie na panią, tylko na mnie — odpowiedział pan Kazimierz. — Trudno jej pogodzić się z myślą, że po takich nadziejach i tylu wydatkach zdecydowałem się objąć posadę, naturalnie biurową, na kolei żelaznej. Wyobrażam sobie — mówił z goryczą — jak zdziwią się moi wczorajsi przyjaciele, kiedy dojdzie ich nieprawdopodobna wiadomość, że Norski został kolejowym urzędnikiem za tysiąc pięćset rubli!

Biedna moja matka — dodał po chwili — nie takiej spodziewała się przyszłości. A i ja sam, ledwie rok minął, uznałem za konieczne pożegnać się ze złudzeniem. Nie pod tym tylko względem...

— Po cóż pan tak spieszy się z wyborem zawodu? — spytała Madzia patrząc na niego ze współczuciem.

— Raczej spóźniłem się, proszę pani — odparł siadając obok niej. — Gdybym to samo zrobił przed rokiem, nie straciłbym pieniędzy na te obrzydłe stosunki — miałbym już ze dwa lub trzy tysiące pensji i... mógłbym pomyśleć o szczęściu rodzinnym — dodał ciszej, spuszczać oczy.

— Ale skąd ten nagły zamiar?... Po co to? — mówiła zmieszana Madzia cofając rękę, którą ujął pan Kazimierz. — Dopiero wchodzi pan w świat, więc skąd to rozczarowanie?

— Nie rozczarowanie, tylko logiczny wniosek. Całą moją zasługą, że pomimo młodości spostrzegłem, iż na nic się nie zdało walczyć z losem.

— Alboż los pana prześladuje?... Ja myślałabym przeciwnie — zaprotestowała Madzia. Potrząsnął głową.

— Kiedym był dzieckiem — mówił jakby marząc, a piękne jego oczy pociemniały — matka roiła dla mnie o karierze dyplomatycznej. Mówiła mi o tym często, kazała uczyć języków, gry na fortepianie, tańca, ukłonów i — bardzo obszernie historii powszechnej. Mając szesnaście lat prawie na pamięć umiałem Mommsena nie licząc mnóstwa dzieł ekonomicznych i prawnych.

Bardzo prędko matka przekonała się, że o karierze dyplomatycznej nie mogę myśleć z powodu okoliczności zewnętrznych. Ale we mnie cel już był zasiany. Więc gdy musiałem pożegnać się z przyszłym tytułem ekscelencji, powiedziałem sobie: będę trybunem.

Jak mi szło w tym kierunku, może pani słyszała. Gdziekolwiek byłem, młodzież widziała we mnie swego kierownika, a starsi nadzieję. „Ten coś zrobi...” — mówili. Wszedłem między arystokrację i plutokratów, raz — ażeby zdobyć odpowiednie stanowisko, drugi raz — ażeby poznać ich bliżej i wybrać między nimi narzędzia do mych celów. Bawiłem się z nimi, wydawałem pieniądze — prawda! — Ale nie robiłem tego na ślepo, lecz z zamiarem. To były szczeble dla mojej kariery, nie ideały.

Madzia słuchała go jak proroka; pan Kazimierz zapalał się i z każdą chwilą piękniał.

— Ale tam — ciągnął — w złoconych salonach, spotkało mnie najcięższe rozczarowanie. Byli tacy, którzy chętnie korzystali z mojej hojności, ale nie było takich, którzy potrafiliby mnie zrozumieć. Bawiono się moimi zaletami towarzyskimi i pod każdym względem wyciskano jak gąbkę.

Muszę dodać, że nie tylko mitry i korony szlacheckie mają przywilej osłaniania tępych głów. Pod frygijską czapką demokracji jest nierównie więcej głupców, w dodatku źle wychowanych, wrzaskliwych i ambitnych. Młodzież demokratyczna, z którą wreszcie nie robiłem ceremonij, widząc że żyję wśród wyższego świata, w którym ich ojcowie zapełniali przedpokoje, ta młodzież — opuściła mnie. Niezdolni pojąć moich planów sądzili, iż zdradziłem ich sprawę, tym bardziej że nie mam zwyczaju spowiadać się z moich zasad przy piwie i kielbaskach. Niemało także — dodał w nawiasie — u tych sankiulotów zaszkodziła mi wiadomość, że Helena wychodzi za Solskiego.

Tak skończyła się moja kariera trybuna — mówił z ironią, z którą mu było bardzo do twarzy. — A ponieważ nie mam majątku, więc... cóż lepszego mogę zrobić, jeżeli nie dobijać się stanowiska w biurach kolejowych... Nie wątpię, że tam wypłynę, ale jest to nadzieja rozbitka, który z potężnego okrętu znalazł się na pustym brzegu, pewny, że choć nie umrze z głodu.

Z dalszych pokojów doleciał głos panny Heleny, która po chwili weszła.

— Kaziu — rzekła do brata, już stojącego w oknie — ojczym na ciebie czeka. Podziękuj!... — dodała wyciągając rękę.

— Dajesz?... — spytał. — Ach, jakaś ty pocziwa... — i gorąco kilka razy pocałował ją w rękę, a potem w usta.

— Ojczym daje pieniądze, ja tylko poręczam — odparła. Gdy zaś brat wybiegł z pokoju, panna Helena zwróciła się do Madzi.

— Czymżeś tak zeszołowana? — zapytała patrząc na nią z ironią. — Mielście jaką wzruszającą rozmowę z moim bratem?

— Z tobą chciałam pomówić o ważnych rzeczach — odpowiedziała Madzia tonem, który ją samą zadziwił.

— O, to coś musi być!... — rzekła panna Helena.

Wygodnie zasiadła na kanapie i zaczęła przypatrywać się swej nóżce. Madzia zajęła miejsce obok na foteliku.

— Wiesz — zaczęła Madzia — że ostatnią osobą, z którą przed śmiercią rozmawiała twoja matka, byłam ja...

— No... no... no!... Cóż to za wstęp?... a jaki ton?... Przypomina mi się panna Howard!... — przerwała panna Helena.

Ale Madzia z niezwykłym u niej chłodem mówiła dalej:

— Posiadałam trochę zaufania u twojej matki...  
 — Aaa!...  
 — Często od niej słyszałam o tobie. I powiem ci: nie masz pojęcia, jak matka pragnęła twego małżeństwa z panem Stefanem, a nie domyślasz się, jaki to był dla niej cios, gdy dowiedziała się o nieporozumieniach między wami... Wtedy... we Włoszech...  
 — Cóż dalej? — spytała panna Helena. — Bo po takim prologu muszę spodziewać się dramatycznego zakończenia.  
 — Nie mam prawa mówić ci wszystkiego, o czym wiem — ciągnęła Madzia. — Ale o jedno cię proszę: ażebyś do moich słów przywiązywała więcej znaczenia aniżeli do mojej osoby. Otóż — pogódź się z panem Stefanem i spełnij wolę matki.  
 Panna Helena zaczęła dłonią uderzać się w ucho.  
 — Czy ja dobrze słyszę?... — spytała patrząc na Madzię. — Ty, Magdalena Brzeska, grobowym głosem zalecasz mi w imieniu zmarłej matki, ażebym wyszła za Solskiego?... Wiesz, moja droga, że na tak zabawnej komedii jeszcze nie byłam!...  
 — Któż z nas gra komedię?... — spytała obrażona Madzia.  
 Panna Helena skrzyżowała ręce na piersiach i płomiennym wzrokiem patrząc na Madzię odparła:  
 — Ty przychodzisz swatać mnie z Solskim, ty, która od kilku miesięcy kokietujesz go z całej siły?...  
 — Ja... pana Stefana?... Ja kokietuję kogokolwiek?... — zapytała więcej zdumiona aniżeli rozgniewana Madzia.  
 Panna Helena zmieszała się.  
 — Tak mówią... — rzekła.  
 — Tak mówią!... Przebacz mi, ale... cóż mówią o tobie, o twoim bracie?... Co wreszcie mówiono o...  
 Tu Madzia zamilkła, jakby przestraszyła się własnych słów.  
 — Solski kocha się w tobie... I mówią, że się z tobą ożeni... Widocznie w jego sercu nadszedł twój sezon — rzekła panna Helena.  
 Madzia roześmiała się tak szczerze, iż ten śmiech więcej przekonał pannę Helenę aniżeli wszelkie objaśnienia.  
 — Może go nie kokietujesz — odparła coraz więcej zmieszana. — Ale jeżeli on zechce się z tobą ożenić, wyjdiesz z pocałowaniem ręki...  
 — Ja?... Ależ o tym nigdy nie było mowy... Nigdy nie pomyślałam o tym i nie myślę, a nawet gdyby pan Stefan dostał (czego Boże broń!) bzika i oświadczył mi się, nigdy bym za niego nie wyszła. Ja ci się nawet nie tłumaczę — mówiła Madzia — bo nie rozumiem, jak można wierzyć w podobne brednie, będąc przy zdrowych zmysłach. Przecież gdyby był cień czegoś podobnego, nie mieszkałabym w ich domu. A tak — mieszkam teraz i będę mieszkała choćby dla zamknięcia ust plotkarzom, którymi doprawdy pogardzam. Jest to samo, co gdyby powiedziano, że w tobie kocha się pan Arnold i że ty masz wyjść za niego!...  
 — To inna rzecz. Za Solskiego wyjść możesz.  
 — Nigdy! — zawołała Madzia.  
 — Wybacz, ale nie rozumiem powodów — odparła panna Helena. — Nie jesteś przecie jego siostrą.  
 — Szanuję pana Stefana, podziwiam go, życzę mu szczęścia, bo to najszlachetniejszy człowiek — mówiła Madzia z zapałem. — Ale wszystkie przymioty, jakie posiada, nie zasypałyby przepaści leżącej między nami. Boże!... — tu otrząsnęła się — a toż dla ubogiej dziewczyny lepszą jest śmierć aniżeli wdzieranie się do towarzystwa, które już dziś odwraca się ode mnie.  
 Ja także mam dumę — zakończyła z uniesieniem Madzia. — I wolałabym być służką w domu biedaków aniżeli członkiem rodziny, która traktowałaby mnie jak przybłądę.  
 Panna Helena słuchała ze spuszczonej oczyma, a na jej twarz wystąpił rumieniec.  
 — No, w dzisiejszych czasach — rzekła — ukształcenie i wychowanie zaciera między ludźmi różnice majątkowe...  
 — I dlatego ty możesz zostać żoną pana Stefana — pochwyciła Madzia. — Twój ojciec był bogatym obywatelem, miał wie... Matka od stóp do głów była wielką damą... A i ty sama pomimo braku majątku jesteś wielką damą i możesz imponować rodzinie

męża. Ale ja, córka lekarza w małym miasteczku, której najwyższym marzeniem jest mieć kilkuklasową pensję!... Naturalnie, że jestem przywiązaną do Solskich, boć oni obiecali mi dać szkołę przy swojej cukrowni. Będę uczyła dzieci oficjalistów i robotników, oto moja rola w ich domu...

Zasepione dotychczas oblicze panny Heleny rozjaśniło się jak piękny krajobraz, kiedy spoza chmur wyrzy słońce.

— Przepraszam cię... — rzekła i pochyliwszy się do Madzi serdecznie ją ucałowała.

— A widzisz... a widzisz, niedobra!... — mówiła Madzia tuląc ją. — Za wszystkie niesprawiedliwości, jakimi mnie obrzuciłaś, musisz... musisz pogodzić się z panem Stefanem. Pamiętaj — dodała ciszej — tego chce biedna matka twoja...

— Przecież pierwszego kroku zrobić nie mogę — odparła zamyślając się panna Helena.

— On zrobi... tylko go już nie odpychaj. O, ja coś o tym wiem... wiem!... — szepnęła Madzia.

W drugim pokoju rozległo się ciche skrzypienie butów i na progu stanął pan Kazimierz. Był rozpromieniony: śmiały mu się usta, oczy, twarz, cała postawa... Ale na widok Madzi radosne objawy znikły, na czole ukazała się delikatna zmarszczka, a w oczach cień melancholii. Z takim wyrazem bywał najpiękniejszy, osobliwie, kiedy mu się włosy nieco powichrzyły.

Panna Helena była tak zajęta sobą, że nie pytając brata o rezultat konferencji z ojczymem zawołała:

— Wiesz, że to są plotki o Madzi i Solskim?...

Pan Kazimierz wyglądał w tej chwili jak człowiek zbudzony ze snu. Patrzył na Madzię.

— Ona pod słowem mówi — ciągnęła siostra — że nigdy nie wyszłaby za Solskiego i że zresztą Stefek ani myśli kochać się w niej...

Madzia doznała jakby ułknięcia w serce.

— Przy tym — mówiła panna Helena — pocziwe Madzisko wybornie określiła swoją rolę w ich domu. Stefek obiecał oddać jej szkołę przy cukrowni, a ona mówi: będę uczyła dzieci ich służby i oficjalistów i dlatego jestem przywiązana do Solskich...

Każde słowo pięknej panny, wypowiedane z drwiącym śmiechem, szarpało duszę Madzi.

„Ach, jaka ona nielitościwa, jaka niedelikatna!...” — myślała.

— Nic nie rozumiem — odezwał się pan Kazimierz.

— Zrozumiesz, gdy ci dodam — rzekła poważniej — że Brzeska namawia mnie, ażebym najpierwej pogodziła się ze Stefkim, a po wtóre wyszła za niego... Słyszysz: tak mi radzi Brzeska, przed którą oni prawie nie mają sekretów...

— Wiwat!... — zawołał pan Kazimierz i zaczął skakać po pokoju. Jego melancholia pierzchnęła jak wystraszony zając z bruzdy. — W takim razie, moja Helu, nie zechcesz chyba upominać się o te tysiąc rubli...

— Bądź spokojny — odparła z postawą triumfatorki — oddam ci i to, co mi jeszcze zostało.

Madzia nigdy nie mogła zdać sobie sprawy z uczuć doświadczonych w tej chwili. Zdawało jej się, że wpadła w odmet, z którego trzeba się wydrzeć.

Podniosła się i podała rękę Helenie.

— Idziesz? — spytała panna Norska nie uważając ani na milczenie Madzi, ani na jej bladość.

— Do widzenia z panią — rzekł pan Kazimierz tonem, który przyniosłby zaszczyt najdumniejszemu kuzynowi Solskiego.

„Co się to dzieje?...” — myślała Madzia, powoli zstępując ze schodów.

W żaden sposób nie mogła pogodzić głębokich rozczarowań pana Kazimierza ze skokami ani czułości, jaką okazywał jej przed chwilą — z lekceważącym pożegnaniem. A ta Hela, która już nazywa ją Brzeską...

Gdy jednak przeszła się po ulicy, na świeżym powietrzu, wśród wiosennego dnia i wesołych przechodniów, myśli jej przybrały inny kierunek.

„Przecież ja sama, gdy ucieszę się, zapominam o obecnych. A jeżeli im to tak wielką sprawiło radość, mam dowód, że robię dobrze. Biedny pan Kazimierz nie będzie już

potrzebował zabijać zdolności biurową pracą i prędeż urzeczywistni swoje wielkie zamiary... A Hela? — cóż?... Taka jak wszystkie damy z towarzystwa... Ona właśnie da sobie z nimi radę i pan Stefan będzie szczęśliwy.

Kochana pani Latter gdyby mogła widzieć ich radość, niezawodnie powiedziałaby mi: „Madziu, jesteś dobrą dziewczyną, jestem z ciebie zadowolona... I dom Solskich ożywi się, do czego tak wdycha Ada. I pan Stefan, ten szlachetny człowiek...”.

Tu urwał się dalszy bieg myśli. Zabrakło jej odwagi do zastanawiania się nad przyszłym szczęściem pana Stefana.

## 18. CO ZROBIŁ SPIRYTYZM, A CO ATEIZM?

W końcu kwietnia państwo Arnoldowie zaprosili Solskich i Madzię na wieczór mający odbyć się w rocznicę ich ślubu. Oznajmili, że zgromadzi się nieliczne kółko znajomych, między którymi i znajdował się profesor Dębicki.

Istotnie jedną z pierwszych osób, które spotkała na wieczorze Madzia, był Dębicki. Stał ze zmartwioną miną przy drzwiach wchodowych, tuż obok gospodarza. Można by go wziąć za lokaja, gdyby nie wytarty frak, który w dodatku nie pasował mu do figury.

— Dlaczego profesor nie przyjechał z nami? — zawołał Solski, przywitawszy się z Arnoldem.

— Ja tu już jestem od siódmej — mruknął skrzywiony Dębicki kłaniając się wszystkim wchodzącym, którzy go nie znali. Chciał pokazać, że nie są mu obcymi światowe zwyczaje.

Na szczęście Ada Solska schwyciła go pod rękę szepcząc:

— Mój profesorze, musi mi pan cały wieczór dotrzymać towarzystwa, nawet przy kolacji...

— Doskonale! — odparł z dobrodusznym uśmiechem — bo nawet nie wiedziałbym, co robić w tym chaosie.

Usiedli w kąciku rozmawiając. Niebawem jednak Dębicki utkwiał niebieskie oczy w przestrzeń i zapomniał o panie Solskiej, co zresztą w jego życiu nie należało do niespodzianek.

Tymczasem Madzia, wprowadzona przez Solskiego, oglądała się między zebranymi. Pomagał jej w tym zajęciu pan Kazimierz, który dziś był tak uprzejmy, jakby chciał zatrzeć w jej pamięci ślady ostatniego spotkania.

„Jaki on dobry!... — myślała zachwycona Madzia. — Choć myli się, jeżeli przypuszcza, że byłam wtedy obrażona. Ja przecież widziałam, że radość zrobiła ich tak rozrztargnionymi...”.

— Niech pani uważa, jacy tu są ludzie — mówił pan Kazimierz. — Ci panowie tędy, w średnim wieku, to rozmaiti przedsiębiorcy, którzy z moim ojczymem robią wielkie interesa. A ten między nimi Niemiec, z rudawym zarostem, będzie ustawiał maszyny w cukrowni pana Stefana.

— Aha!... — szepnęła Madzia na znak, że ją bardzo interesuje Niemiec ustawiający maszyny.

— Ci młodzi panowie, o ten blondynek ze znaczkiem przy kłapie fraka, inżynier, tamten piękny brunecik, doktor, o... i znajomy pani — Bronisław Korkowicz, który wygląda, jakby czytał się roli Otella do teatryku na Pradze — to wszystko wielbiciele mojej siostry. Mogę panią zapewnić, że każdy ubóstwia ją bezinteresownie, gdyż każdy jest majątnym. Hela innych nie toleruje przy sobie.

— Czy to potrzebne, proszę pana? — spytała Madzia.

— Czy majątek potrzebny zakochanym?... Ja myślę, że tak; szczególnie przy pannach pięknych a wymagających.

— Nie... Czy potrzebni są tu ci panowie przy panu Stefanie — rzekła Madzia ciszej.

— A to już taktyka mojej siostry i w ogóle pań — odpowiedział pan Kazimierz. — Panie odkryłyście, że najsilniejszymi okowami dla mężczyzn jest zazdrość. Prawda?...

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziała Madzia.

Pan Kazimierz lekko przygryzł usta i objaśniał dalej:

— A teraz niech pani uważa najciekawszą grupę. Te damy niemłode i nieładne, ten pan z siwymi faworytami i ten drugi z błędnymi oczyma... Widzi pani, jacy oni wszyscy

poważni?... To są adepci spirytyzmu, uczniowie i uczennice pani Arnoldowej. Ruchliwa kobiecina!... Niedawno mieszka w Warszawie, a już w kilkunastu domach stołowe nogi i ekierki głoszą nadziejską mądrość. Gdybym nie wiedział, że moja macocha drugiego stopnia jest w najwyższym stopniu bezinteresowna, wróżyłbym jej, że zrobi majątek. Na nieszczęście zdaje się, że mój autentyczny ojczym grubo dokłada do stosunków z duchami. Pani, lepiej wydać bal na sto osób, aniżeli jeden pomyślny seans spirytystyczny!...

— Pan żartuje z tego?... — zapytała Madzia.

— Jeszcze jak!...

Nagle ktoś odwołał pana Kazimierza i Madzia przysiadła się do panny Solskiej.

Ada, zarumieniona, gorączkowo bawiła się wachlarzem.

— Mówią, że pan Norski — rzekła do Madzi — jest wielki bałamut. Czy i do ciebie się umizga?

— Nie — odparła Madzia czując, że dopuszcza się połowicznego kłamstwa. — W tej chwili opisywał mi zebrane towarzystwo i Nielitościwie drwił ze spirytyzmu.

— Kto wie, czy nie ma słuszności... Prawda, profesorze? — zwróciła się Ada do Dębickiego.

— A o czym pani mówi? — spytał jak przebudzony.

W tej chwili ubrana w białą suknię przybiegła do nich panna Norska i po raz drugi jak najczulej powitała Adę i Madzię. Potem wyciągając rękę do Dębickiego rzekła z filuternym uśmiechem:

— Ja czuję, że u profesora nie mam łaski jeszcze od nieszczęsnego dwumianu Newtona... Jeżeli naprawdę gniewa się pan, to przepraszam... Dziś nie zrobiłabym tego, jestem inna — dodała z westchnieniem. — Własne cierpienia uczą, że nikomu nie trzeba robić przykrości...

Była czarująca. Zbliżyła się tak, że Dębicki czuł zapach jej ciała, i patrzyła w niego wielkimi, ciemnymi oczyma. Ale stary matematyk odparł z kamiennym spokojem:

— Proszę pani... bo i na co przydałby się pani dwumian Newtona?... Dobrze to jako wstęp do szeregu Taylora, ale tak!...

— Ach, potworze! — zawołała Ada. — Mówi do pana kobieta jak niebiańskie widzenie, a pan, zamiast wpatrywać się w jej oczy, myślisz o Taylorze?...

Zmieszany Dębicki rozłożył ręce nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zastąpił go Solski, który przysłuchiwał się rozmowie.

— On cały swój zapał dla piękności panny Heleny mnie odstąpił — rzekł pan Stefan. — I dlatego ja mam przyjemność zachwycać się podwójnie....

— Na dzisiaj?... — zapytała panna Helena podnosząc oczy.

— Niekoniecznie — odparł Solski. — Pani Arnold prosi panią na gospodarską rozmowę.

Podał jej rękę, na której z pełnym wdziękiem zaniedbaniem oparła się panna Helena, i odszedł, przelotnie spoglądając na Madzię.

Ale Madzia tego nie spostrzegła. Siedziała ze spuszczonymi oczyma wsłuchując się w ostry ból, który przeniknął jej serce.

— Prześlicznie wygląda Helenka!... — szepnęła do Ady.

— Jeżeli mam być szczerą — odparła tym samym głosem panna Solska — to... nie!... Jest w niej coś sztucznego...

Madzię jeszcze mocniej zabolęło serce.

„Jak prędko zapominają o swych sympatiach wielcy panowie...” — pomyślała.

Zbliżył się pan Kazimierz i zaczął bardzo elegancką rozmowę z Adą, tkliwie patrząc na nią, a ukradkiem rzucając spojrzenia na Madzię. Ale panna Solska bawiła się wachlarzem, odpowiadała obojętnie i skorzystawszy z pierwszej okazji odeszła z Dębickim poszukując chłodniejszego pokoju.

— Nie rozumiem, co się stało pannie Adzie — rzekł zaniepokojony pan Kazimierz. — W Szwajcarii była dla mnie taka łaskawa...

— Za rzadko odwiedza ją pan — odpowiedziała Madzia.

— Bo już od pewnego czasu spostrzegłem w niej zmianę. A że nie cieszę się względami i pana Solskiego, więc... Wie pani, co stąd wynika?... Że zbyt rzadko na moje nieszczęście widuję panią...



Gdy to mówił, twarz i oczy pały mu. Madzia naprawdę wyglądała prześlicznie, a kilku panów zastanawiało się nad pytaniem, która piękniejsza: czy posągowa panna Helena, w której każdym ruchu było widać, że zna się na swojej wartości, czy łagodna i cicha Madzia, która myślała, że jest brzydką?

W zebraniu powstał szmer. Szpakowaty adept pani Arnoldowej z wielkim przejęciem dowodził, że medium jest dziś usposobione jak nigdy i że należy ją poprosić, aby urządziła seans.

— Założyłbym się — mówił do pana z błędnymi oczyma — że zobaczylibyśmy coś niezwykłego. Pani Arnold znajduje się w tym stopniu podniecenia, w którym wola mediów podnosi stoły, a nawet zmusza duchy do ukazania się w materialnej postaci.

Na to pan z błędnymi oczyma odpowiedział, że w interesie nowej nauki leży, aby profani zobaczyli bodajby stół latający w powietrzu. Zaś pan Zgierski, który jak spod ziemi znalazł się obok nich, oświadczył gotowość poproszenia szanownej gospodyni o seans.

— No — rzekł pan Kazimierz do Madzi — jeżeli pan Zgierski wmieszał się do tego, widowisko jest pewne... Przejdźmy tymczasem do dalszych pokojów...

Przeszli i prawie otarli się o pana Bronisława Korkowicza, który ukrywając się za futrynę drzwi, blady, z pobielającymi ustami wpatrywał się w pannę Helenę nie na żarty kokietującą Solskiego.

— Oto, widzi pani — mówił pan Kazimierz do Madzi, gdy znaleźli się w zacisznym gabinecie — dziś można sprawdzić, w jaki sposób tworzą się religie. Znajduje się medium, o którym Charcot miałby dużo do powiedzenia; znajduje się kilku fanatyków, którzy tak muszą w coś wierzyć, jak po obiedzie wypijać czarną kawę; jest jakiś pan Zgierski gotów do pośrednictwa dla utrzymania swej pozycji, no — i jest gromada słabych głów, czyli ogół, który jeżeli przestanie myśleć o Bogu i życiu przyszłym, matychmiast oddaje się pijaństwu, kradzieży, rozbojom albo grze w winta...

— Więc pan nie wierzy w duchy? — ciekawie spytała Madzia.

— Ja?...

— Ale w nieśmiertelność duszy...

— Jakiej duszy i w jaką nieśmiertelność?

— No, ale już w Boga musi pan wierzyć... — rzekła prawie z desperacją Madzia.

Pan Kazimierz uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Musiałbym tu — odparł — wyłożyć pani cały kurs filozofii, jaki wykladałem kołegom uniwersyteckim, między którymi bywało wielu pobożnych. Nie łudźmy się, panno Magdaleno... Biermy życie, jakim jest, i troszczmy się przede wszystkim o to, ażeby nic nie tracić z jego rozkoszy... O goryczach pomyślą za nas ludzie... A gdy przyjdzie ostatni moment, będziemy mieli tę przynajmniej pociechę, żeśmy nie zmarnowali cennego daru natury...

Madzia zaczęła się naprawdę niepokoić.

— Ależ, proszę pana, jak można wątpić o duszy?... — mówiła. — Ja przecież czuję, ja myślę i... no, jestem pewna życia przyszłego...

— Gdzie ona jest, ta dusza? — spytał pan Kazimierz. — Uczni odkryli w mózgu tłuszcz, krew, fosfor, miliony komórek i włókien, ale duszy nie spostrzegli. A gdzie owa dusza kryje się podczas twardego snu albo zemdlenia i dlaczego przestaje wiedzieć o wszystkim, nawet o sobie, jeżeli do mózgu przyplynie o kilka kropel mniej krwi niż w stanie czuwania? Gdzie była nasza dusza przed naszym urodzeniem? Dlaczego nie było jej wówczas, gdy mieliśmy miękkie ciemiona; dlaczego dusze nasze rosły i dojrzewały razem z ciałem; dlaczego dosięgają szczytu w wieku dojrzałym, a słabną w starości? I czy owa dusza nie jest podobna do płomienia świecy, który w pierwszej chwili po zapaleniu ledwie błyszczący, potem rośnie, a gdy zabraknie stearyny, poczyna gasnąć? Mówić o nieśmiertelnej duszy jest to samo, co twierdzić że płomień trwa, choć świeca się wypali. Płomień jest tylko palącą się świecą, a dusza żyjącym ciałem.

— Więc nie ma życia przyszłego?...

— Gdzież by ono istniało? W grobie czy w tak zwanym niebie, które jest międzygwiazdową pustynią, zimniejszą i ciemniejszą aniżeli sam grób? Skąd zresztą te dzikie pretensje do wiecznego bytu? Czy nie byłaby komiczną iskra, która błyszcząc przez kilka chwil zakładałaby sobie życie stuletnie? Wszystko, co miało początek, musi mieć koniec...

— Straszne to!... — szepnęła Madzia.

— Dla chorej wyobraźni — mówił pan Kazimierz. — Ale człowiek normalny jest o tyle pochłonięty życiem, iż nie ma czasu myśleć o śmierci. Gdy zaś jej ulegnie, nawet nie wie, że go spotkała; śpi bez marzeń i zapewne bardzo by się gniewał, gdybyśmy go chcieli rozbudzić.

— Co pan mówi... — zaprzeczyła Madzia wstrząsając głową. — Wiem, co jest ludzki organizm tak mądrze zbudowany. Lecz skądże on się wziął, kto go stworzył i w jakim celu? Jeżeli śmierć jest snem, to po co było budzić nas z niego? Przecież to niesprawiedliwość.

— Znowu złudzenie — odpowiedział pan Kazimierz — bo nie możemy pozbyć się myśli, że natura została stworzona przez siłę podobną do człowieka, który ma jakieś cele, lubi swoje dzieła i lituje się nad ich zagładą.

W naturze nie ma miejsca na żadną siłę tego rodzaju. Ziemia krąży naokoło słońca, bo pcha ją naprzód siła rzutu, a utrzymuje przy słońcu siła ciężenia. Tlen łączy się z wodorem i daje wodę nie dlatego, że ludziom chce się pić, lecz na mocy powinowactwa chemicznego; ziarno rzucone w ziemię wydaje roślinę nie dlatego, że tak chce jakiś anioł, ale pod wpływem ciepła, wilgoci i ciał chemicznych znajdujących się w gruncie...

— Dobrze, ale... po co to?... po co?... — nalegała Madzia.

Pan Kazimierz znowu z uśmiechem wzruszył ramionami.

— A po co nad naszą głową chmury układają się niekiedy w formy wysp, drzew, zwierząt i ludzi? Czy i tamte kształty istniejące po kilka minut robią się w jakimś celu, czy i one chcą żyć wiecznie?...

Madzia, rozgorączkowana, przestraszona, szarpała chusteczkę. Pan Kazimierz był dla niej genialnym człowiekiem i wątpić o prawdzie jego słów nie potrafiłaby; przynajmniej teraz, kiedy patrzy w jego cudowne oczy, głęboko rozumne a tak smutne.

On, widać, już pogodził się ze strasznym losem człowieka, więc dlaczegoż by ona miała oburzać się przeciw nieugiętemu prawu?

Ale jak jej było żal tych wszystkich, którzy pomarli, a których już nigdy nie zobaczy; jak było żal własnej duszy, która musi zgasnąć, pomimo że cały świat kocha!... I nikt nie ulituje się nad nią, nikt nie wyciągnie ręki z międzygwiazdowej pustyni okropniejszej od grobu.

Ach, ciężki to był wieczór dla Madzi. Zdawało jej się, że pan Kazimierz w ciągu półgodzinnej gawędki prowadzonej wesołym tonem rozwalil niebo i ziemię, jej przeszłą wiarę i przyszłe nadzieje. I z całego tego pięknego świata nie zostało nic... nic; tylko — ich dwoje skazańców.

Milczała nie wiedząc, co się dzieje dokoła niej, zasluchana w burzę, która wybuchła tak nagle i tyle spustoszeń porobiła w biednej duszy. Wewnętrzna istota człowieka doznaje niekiedy wzruszeń podobnych do trzęsienia ziemi.

Pan Kazimierz w tej chwili nie myślał o Madzi: patrzył na młodego Korkowicza, którego zachowanie zaczęło go niepokoić. Spostrzegłszy to pan Bronisław zbliżył się do nich, stanął przed Madzią i rzekł zmienionym głosem:

— Dobry wieczór pani...

Madzia zatrzęsała się, jakby koło niej runęło coś ciężkiego. Podniosła oczy i zobaczyła nad sobą bladą twarz pana Bronisława, okrytą potem i — włosy rozczochrane jak konopie.

— Jak się masz, Kazik... — mówił Korkowicz nie patrząc na Madzię. — Ale z twojej siostry amazonka!... Nie wystarczy jej jeden koń, musi mieć całą stajnię i jeszcze lubi wracać do wyranżerowanych... Cha!... cha!... gust...

Madzi zdawało się, że młody Korkowicz jest pijany. Ale on był zazdrosny.

— Nie awanturujże się!... — szepnął do niego pan Kazimierz.

— A... bo panna Helena tak się przypila do tego Solskiego...

— Przepraszam panią — rzekł do Madzi pan Kazimierz wstając.

Wziął pod rękę Korkowicza, chwilę rozmawiał z ożywieniem, a następnie wyprowadził go do dalszych pokojów.

„Może będzie pojedynek!...” — pomyślała Madzia i serce jej zaczęło bić niespokojnie.

Lecz w tej chwili zrobił się ruch między gośćmi, a do Madzi zbliżyła się Ada z Dębickim.

— Siądźmy razem — rzekła — będzie doświadczenie spirytystyczne. — O czymżeście tak gorąco rozmawiali z panem Norskim?

— Ach, nieszczęśliwy on — szybko odparła Madzia. — Wyobraź sobie, przez cały czas tłumaczył mi, że nie ma duszy...

Panna Solska przygryzła usta.

— Tyle już razy wykladał to rozmaitym pannom — odpowiedziała — że mógłby wymyślić coś nowszego.

— Dla mnie było to strasznie nowe!... — rzekła Madzia.

Tłum gości rozdzielił ich i na chwilę zbliżył Madzię do stolika, przy którym stał Korkowicz i panna Helena z bratem.

— Pan Bronisław musi być grzeczny — mówiła panna Norska wymownie patrząc na swego wielbiciela.

— Dziś łatwiej na świecie o grzeczność aniżeli o uczciwość — odparł gniewnie Korkowicz.

— Pan Bronisław musi i... powinien być spokojny — dodała panna Helena.

Lekko uderzyła Korkowicza wachlarzem po rękę i rzucając mu jeszcze jedno spojrzenie odeszła szukać Solskiego.

Korkowicz parę chwil patrzył za nią odurzony. Nagle twarz jego zmieniła się: gniew zniknął, a ukazała się radość.

— Przepraszam cię, Kazik!... — zawołał pokazując w szerokim uśmiechu białe zęby. — Jak Boga kocham, że twoja siostra anioł... Ale ma ostre pazurki... Czasami tak drapie, aż serce się krwawi...

W wielkim salonie Madzia znowu połączyła się z Adą i Dębickim, a jednocześnie cały tłum zebranych począł wychodzić do obocznego pokoju; ktoś bowiem powiedział, że tam odbędzie się posiedzenie. Na parę minut salon opustoszał.

Wnet jednak wpadł Zgierski i jegomość z błędnymi oczyma, który zdawał się być zupełnie nieprzytomny. We dwu schwycili okrągły stoliczek i zaczęli ustawiać go na środku spoglądając kolejno na podłogę i sufit, jakby upatrywali szczelin, przez które duchy mają odwiedzić uprzejmy dom państwa Arnoldów.

Ruch gości zaczął się na nowo. Weszły najpierwej, umieszczając się blisko drzwi, damy bardzo ciekawe duchów, gotowe natychmiast uwierzyć w nie, lecz — strasznie lękające się ich przybycia. Wnet jednak zostały popchnięte naprzód i rozmieszczone wzdłuż ścian przez falę już wtajemniczonych spirytystów i spirytystek. Gdy ci usiedli na miejscach, ukazała się promieniejąca panna Helena z Solskim pod rękę i wesoło rozmawiając zajęli miejsce tuż obok stolika.

— Spójrz, Madziu — szepnęła z ironicznym uśmiechem Ada — czy Stefek i Helena nie wyglądają na państwa młodych?

— Ślicznie im razem — odparła Madzia czując ściskanie w gardle.

Potem zaczęli się przekradać przez tłum gości — wielbicieli panny Heleny: blondyn inżynier, brunet lekarz i młody Korkowicz. Na twarzy dwu pierwszych widać było jednakową troskę, obaj też z jednakową niechęcią patrzyli na Solskiego. Lecz nawet wspólna niedola nie zdołała ich zbliżyć i każdy umieścił się jak najdalej od rywala.

W sali ucichło. Z bocznego pokoju wyszła pani Arnold wsparta na rękę siwego jegomości z orderem. Na jej bladej twarzy i w całej postaci uwydatniało się znużenie, jak gdyby ciężko chorą wydobyto z łóżka. Tylko w oczach niekiedy zatliła się iskra.

Powstał szmer, który ciągle rosł. Zebrani pobudzali się do uwagi, uspakajali się wzajemnie, mówili: „Prosimy!” lub „Dziękujemy!”, nawet ktoś klasnął, a ktoś drugi zawtórował mu. Ale ich uciszono.

Pani Arnold usiadła przed stolikiem na drewnianym krześle. Natychmiast przybiegł do niej niezbędny Zgierski i spirytysta z błędnymi oczyma, a jegomość z orderem przeszedł między widzów z taką miną, jakby to on stworzył duchy i swoją władzę nad nimi przekazał pani Arnoldowej.

Tymczasem gospodarz, wynalazłszy pod ścianą Adę z jej dwojgiem towarzyszy, przeprowadził ich na środek i usadowił obok Heleny i Solskiego. Tym sposobem Madzia znalazła się o parę kroków od medium.

— Zdaje mi się — szepnął Solski do Arnolda — że te posiedzenia niezbyt korzystnie oddziałują na zdrowie pani. Wygląda na kompletnie chorą.

Arnold wzruszył brwiami i rękoma i odparł tym samym tonem:

— Cóż ja poradzę, kiedy ona widzi w tym swoje szczęście?...

Pani Arnold musiała coś usłyszeć, podniosła bowiem głowę i przelotnie spojrzała na Solskiego.

Nowy szmer w sali; dwaj służący wnieśli parawan i postawili go obok stolika.

Teraz pan siwy zbliżył się do Arnolda i zawiązała się krótka rozmowa. Jegomość nalegał, Arnold z widoczną niechęcią opierał się; w końcu jegomość ustąpił, zaś pan Arnold cofnął się w najdalszy od stolika kąt sali.

Z kolei pan z obłąkanymi oczyma zwrócił się do medium i o coś zapytał po angielsku. Odpowiedziała głosem cichym i bezdźwięcznym, a jegomość położył jej rękę na czole i rzekł głośno:

— Czy szanowni państwo są przygotowani do ujżenia duchów, czy też wolą poprze-  
stać na drugorzędnych objawach spirytystycznych?

— Prosimy o duchy!... Nie!... Nie!... Nigdy!... Umarłabym!... — wołali zgromadzeni.

Ogromna większość nie życzyła sobie widzieć duchów.

— Muszę objaśnić — dodał jegomość — że moje śmiałe pytanie bynajmniej nie dowodzi, ażeby duchy koniecznie miały się ukazać. Znaczy ono tylko, że nasze szanowne medium jest dziś wyjątkowo dobrze usposobione.

— To prawda!... — mruknął Solski spoglądając na Dębickiego, który założył ręce na brzuchu, wysunął dolną wargę i patrzył przed siebie tak obojętnie, jak gdyby zamiast świata duchów miał zobaczyć ser szwajcarski, którego nie jadał.

Twarz medium zaczęła ulegać dziwnym zmianom. Z początku zdawało się, że pani Arnold zapadła w spokojny sen, w ciągu którego chorowita bladeść ustąpiła miejsca zwykłej cerze, a na ustach ukazał się łagodny uśmiech. Potem otworzyła oczy, w których malowało się wzrastające zdziwienie. Nagle spostrzegła Solskiego i włosy jej zaczęły się jeżyć, twarz przybrała wyraz grozy, a wielkie oczy zamigotały żółtawą barwą jak u rozniewanej lwicy.

— Podajcie mi papier!... — rzekła po angielsku głosem silnym i metalicznym jak dzwon, nie spuszczać z oczu Solskiego.

Jej spojrzenie było tak przejmujące, że Ada zaczęła drżeć, panna Helena cofnęła się z krzesłem do drugiego rzędu, a Madzia spuściła głowę, ażeby nie patrzeć. Solski sposepniał, a Dębicki wyprostował się zaciekawiony.

Tymczasem pan Arnold wybiegł do gabinetu żony i po chwili z zakłopotaną miną przyniósł ołówek i kilka niedużych kartek brystolu, które podał jegomościowi z błędnymi oczyma.

— Pani raczy wybrać jedną z nich — rzekł jegomość zbliżając się do Madzi.

Wybrała. On kartkę i ołówek położył na stoliku obok medium, a resztę papieru zwrócił jej mężowi.

— Zwiążcie mi ręce... — rzekła tym samym co pierwszej potężnym kontraltem pani Arnold.

Przyniesiono długą tasiemkę i lak.

— Może panowie raczą związać i opieczętować medium — i zwrócił się jegomość o błędnych oczach do Dębickiego i Solskiego, który miał na palcu herbowy pierścień.

Wezwani zbliżyli się do stolika.

— Mogą panowie wiązać, jak im się podoba — rzekł jegomość.

Dębicki złożył pani Arnoldowej ręce w tył, a Solski omotał ją we wszystkich kierunkach. Potem przywiązali medium do krzesła i przypieczętowali końce tasiemki do poręczy.

Wtedy jegomość poprosił obu panów, ażeby pomogli mu otoczyć medium parawanem. Po chwili pani Arnoldowa była jak w szafie, ze wszystkich stron zasłonięta od widzów.

— Proszę przygasić lampy — zakomenderował jegomość z błędnymi oczyma.

Kilku panów rzuciło się do przykręcenia lamp gazowych, w których pozostały tylko niebieskie płomyki.

— Panowie strasznie mocno wiązali... — szepnęła do Dębickiego wylękciona Madzia.  
— Cóż to będzie?...

— Znana sztuka amerykańskich spirytystów — odpowiedział Dębicki.

— Ach!... — krzyknęła w głębi salonu jedna z dam, obok której siedział pan Norwski.

Zaczęto odwracać głowy, pytać, lecz wnet ucichło. Za parawanem bowiem wyraźnie słychać było szelest piszącego ołówka. Po upływie paru minut ołówek zastukał o stół, a jegomość dyrygujący posiedzeniem kazał rozświetlić lampy i zaczął odsuwać parawan.

Pani Arnoldowa spała z głową opartą na poręczy krzesła, ręce jej znajdowały się w dawniejszej pozycji. Kiedy zaś Solski z Dębickim zbliżyli się, ażeby ją rozpętać, znaleźli pieczęcie nienaruszone, a na tasie nie brakło ani jednego węzła.

— Rozumiesz pan co? — spytał Solski profesora.

Ten wzruszył ramionami.

— W czwartym wymiarze można by się tak rozwiązać albo...

W tej chwili Solski spojrzął na kartkę leżącą na stoliku, poblądł i rzekł zmienionym głosem:

— Ależ to rysy mojej matki!... Patrz, profesorze.

Na kartce był napis po francusku:

„Pragnę, ażeby dzieci moje częściej myślały o rzeczach wiekuistych...”

A zamiast podpisu znajdował się nakreślony także ołówkiem szkic bardzo wyrazistej twarzy kobiecej, otoczonej obłokami.

Pan z błędnymi oczami zbudził panią Arnold, która wstała z krzesła uśmiechnięta. Wszyscy goście ruszyli się z miejsc pragnąc obejrzyć pisaną przez duchów kartkę, którą medium ofiarowało na pamiątkę panie Solskiej.

Ada w osłupieniu przyglądała się rysom swej matki. Wtem zwróciła się do brata:

— Czy wiesz — rzekła — że to jest pismo naszej mamy?...

— Czy nie zdaje ci się? — spytał pan Stefan.

— Jakże!... Mam w książce do nabożeństwa modlitwę pisaną ręką mamy... Ależ tak... ten sam charakter...

Obecni po raz drugi zaczęli oglądać kartkę, która wreszcie dostała się do rąk Madzi.

Na kartce były rysy zmarłej matki Solskich zupełnie podobne do portretu, który wisiał w pokoju Ady. Nadto zdawało się Madzi, że kartka papieru jest inna. Na tamtej, którą wybrała, był w jedynym rogu ledwie dający się dojrzeć ciemny punkcik.

„Może pan Kazimierz ma słuszość mówiąc, że ani dusza, ani duchy nie istnieją?...” — przemknęło jej przez myśl.

Ale nikomu nie wspomniała o swym spostrzeżeniu. Mogła się mylić. Cóż wreszcie stracą Ada i pan Stefan, jeżeli będą wierzyć, że matka ich żyje i troszczy się o nich tak samo jak wówczas, gdy byli małymi dziećmi?

Towarzystwo było wzburzone. Jedni otwarcie głosili się stronnikiem spirytyzmu, inni po kątach usiłovali wytłomaczyć fakt magnetyzmem zwierzęcym, elektrycznością lub sztuką magiczną. Solski był zamyślony, Ada zirytowana, a Dębicki znowu obojętny. Niemniej jednak, gdy około północy zaproszono do kolacji, wszyscy znaleźli się na stanowisku i bodaj czy nie z większym zapalem i aniżeli podczas wywołania duchów.

Madzia usiadła przy stole tuż obok Solskich mając z jednej strony Dębickiego, z drugiej jakiegoś spirytystę, który we wszystkich językach nawracał swoją dalszą sąsiadkę. Naprzeciw zaś miała starego pana z miną urzędową, który zawiąawszy serwetę na szyi brał na talerz wielkie porcje każdej potrawy i niszczył ją do ostatniego okruszka, od czasu do czasu potrząsając głową i jakby prowadził z kimś dysputę i nie zgadzał się na jego zdanie. Przykład ten, a może i głód tak oddział na Madzię, że i ona jadła wszystko, co jej podano: ryby, zwierzynę, kurczęta, lody... zapijając różnymi gatunkami wina, które ciągle nalewał jej Dębicki. Przy czym taka między nimi toczyła się rozmowa:

— Może pani nalać wina? — pytał Dębicki.

— Proszę — odpowiedziała Madzia.

— A w który kieliszek?

— Wszystko jedno.

Dębicki nalewał w największy, zamyślał się i po krótkiej pauzie powtarzał pytanie:

— Może pani nalać wina?

W głowie Madzi szumiało jak pod wodospadem wezbranej rzeki, która zniszczywszy okolicę ciskała w odmęt szczątki rzeczy niegdyś pięknych i użytecznych, będących obecnie rupieciami. Co się przesunęło na rozshukanych falach jej duszy!... Pan Stefan z Heleną, całe posiedzenie spirytystyczne i portrety rodziców Solskich, wieczność i życie przyszłe podarte na milion komórek i włókien mózgowych, starte na bezkształtną masę tłuszczu,

fosforu, nawet żelaza w postaci zardzewiałych blach, gwoździ i zawiasów, które kiedyś widziała na Pocięgowie.

A na dnie tego chaosu wciąż uporczywie powtarzała się zwrotka: używać życia, bo przyjdzie długi sen!... używać życia, bo przyjdzie długi sen!...

Więc Madzia jadła zwierzynę, ryby, kurczęta i piła różnych gatunków wina z jednego wielkiego kieliszka. Co jej tam nieboszczka pani Latter... już przecie śpi zamieniona na tłuszcz, fosfor i żelazo. Co białowłosy proboszcz, który kiedyś stojąc nad nią z opłatkiem mówił: „Panie, nie jestem godzien, abys wszedł do przybytku mego...”. Co major, a nawet ojciec, skoro oni wszyscy prędzej lub później przemienią się w tłuszcz, fosfor i stare żelastwo!...

— Podano kawę.

— Może pani nalać likieru? — spytał Dębicki.

— Owszem.

— A w który kieliszek?

W tej chwili Madzia uczuła brak tchu. Zdawało jej się, że umiera. Wstała od stołu, chwiejnym krokiem przeszła do dalszych pokojów i upadłszy na małą kanapkę zasłoniętą oleandrami wybuchnęła płaczem.

Zaniepokojona Ada wyszła za nią, a ponieważ był już koniec kolacji, więc i Solski przeprosiwszy Helenę wybiegł za siostrą. Spotkał ją na progu pokoju, do którego nie dała mu wejść, i grożąc palcem szepnęła:

— Widzisz, Stefek, ostrzegalam cię...

Solski spojrzął w głąb pokoju. Zdawało mu się, że między drżącymi oleandrami słyszy ciche szlochanie. Odsunął siostrę, przypadł do kanapki i schwywszy za rękę płaczącą Madzię rzekł:

— Więc to ja jestem winien?...

Madzia podniosła na niego zdumione oczy.

— Pan?... — spytała. — Pan za szlachetny jest na to, ażeby kto płakał z jego winy...

A potem oprzytomniawszy dodała prędko:

— To nic... Tyle dziś widziałam i słyszałam nadzwyczajności, że mnie to rozdrażniło... Jestem dziecinna!... — dodała śmiejąc się.

Ada z uwagą przypatrywała się bratu, który stał obok Madzi wzruszony, z fizjognomią człowieka zdecydowanego na jakiś krok stanowczy. Już chciał przemówić, gdy wtem ukazał się pan Karzimirz i wesoło zapytał Madzi:

— Cóż to, chce nam pani zemdleć?...

— Ach, nie! jestem tylko rozdrażniona... Za dużo spadło na mnie wrażeń — odpowiedziała Madzia rumieniąc się i spuszczać oczy.

— Może i naszą dzisiejszą rozmowę zalicza pani do tych wrażeń?... — spytał pan Kazimiera ze spojrzaniem triumfatora.

— Do pewnego stopnia... tak...

Solski usunął się z Adą do sąsiedniego pokoju i rzekł gniewnie:

— Ciekawym, o czym rozmawiali?

— Dałbyś wiarę, że o nieśmiertelności duszy — odparła Ada. — Pan Kazimierz dowdził, że dusza nie istnieje...

— Nieśmiertelność duszy!... — powtórzył Solski. — Gdyby pod tym tytułem był jakiś nowy balet albo nowy rodzaj preferans uwierzyłbym, że pan Norski zajmuje się nieśmiertelnością duszy.

— Trzeba zawsze wierzyć temu, co mówi Madzia — rzekła Ada. — Ona mówi prawdę...

— Zobaczymy... zobaczymy...

— A jednak przed chwilą miałeś minę, jakbyś chciał się jej oświadczyć.

— I może zrobiłbym to... za wcześniej albo za późno...

— O, widzisz — odparła Ada — tego zawsze bałam się w tobie... Jesteś gotów zbyt szybko działać i równie szybko porzucać...

Weszła panna Helena z wymówką, że ją Solski na tak długo opuścił. Ale pan Stefan wytłomaczył się dość obojętnie. Więcej niż panna Helena zajmowała go myśl, że on, chcąc obudzić zazdrość w Madzi, sam pada ofiarą zazdrości. I to jeszcze o pana Kazimierza!

Była blisko druga w nocy; goście państwa Arnoldów zaczęli się rozchodzić i rozjeżdżać.

Wracając do domu Madzia znowu wpadła w chaos nieśmiertelności, nicości, żelaza, fosforu i tłuszczów; Ada przysłuchiwała się rozmowie brata z Dębickim.

— Cóż profesor mówi o tym, na cośmy patrzyli? — spytał pan Stefan.

— Takie węzły — odparł Dębicki — rozwiązywał podobno Slade, amerykański spirytysta, twierdząc, że robi to w czwartym wymiarze.

— Rzecz możliwa?...

— Moim zdaniem — mówił profesor — czwarty wymiar o tyle jest dostępny dla człowieka, o ile wysyłanie i odbieranie depeš telegraficznych dla ostrygi...

— A rysunek naszej matki?

— Jużci pani Arnold widywała w waszym domu portrety rodziców... W zwykłym stanie może ich nie pamiętać; podobno jednak są takie nerwowe podniecenia, w czasie których człowiek najdokładniej odtwarza sobie rzeczy mało znane lub zapomniane.

— A szybkość, z jaką zrobiony został rysunek? — nalegał Solski.

— Może w takim podnieceniu powstają i szybsze odruchy... Czy ja zresztą wiem? — odparł Dębicki.

„Mówcie wy sobie, co chcecie — przemknęła Madzi myśl — ja, co wiem, to wiem... Portret nieboszeczki przerysowała pani Arnold i nawet nie na tym papierze, który położono jej na stoliku...”

Była w tej chwili pod wpływem zupełnego sceptycyzmu, a raczej — wierzyła w świeżo upieczony dogmat, że duch ludzki jest produktem tłuszczu, fosforu, żelaza...

## 19. BOGACZ, KTÓRY SZUKAŁ PRACY

Gdy Stefan Solski był dzieckiem, dom jego rodziców odznaczał się pewną oryginalnością. Niekiedy we wszystkich pokojach i salonach głównego korpusu tudzież prawego i lewego skrzydła otwierały się drzwi na oścież, a zdziwiony gość słyszał odległy, lecz szybko zbliżający się tętent, następnie spostrzegł zadyszanego chłopczyka, który przebiegał salon jak żrebak. Po chwili znowu było słycać zbliżający się tętent, ale ze strony przeciwnej. Znowu otwartymi drzwiami wpadał chłopczyk, biegł nie zważając na gościa i niknął za drugimi drzwiami, gdzie stopniowo uciszały się jego kroki, ażeby znowu odezwać się w tym samym co pierwszej porządku.

Wówczas ojciec, a najczęściej matka, zarumieniona, ze spuszczonej oczyma, mówiła do gości:

— Państwo przebaczą, ale naszemu Stefkowi doktorzy zalecili ruch... A że do miasta nie możemy go posyłać, więc...

Dzięki temu dom Solskich cieszył się rozgłosem niespokojnego, a mały Stefek opinią rozhukanego dzieciaka, którym Pan Bóg skarał rodzinę. Naprawdę Stefek był chłopcem chorym na nadmiar sił; a ponieważ krępowano go w najprostszych zabawach, więc wymyślał sobie nadzwyczajne.

Gdy zaś wdrapał się na drzewo w ogrodzie, ojciec, matka, ciotka, bona i dwu guwernerów przez cały dzień tłumaczyli mu, że — łażąc po drzewach naraża się na wstyd, bo na drzewa wlażą tylko dzieci najniższej klasy. Od tej pory Stefek omijał drzewa, ale za to laził po żelaznych sztachetach, na widok czego truchleli uliczni przechodnie.

Raz widząc, że syn lokaja zjeżdża z poręczy schodów na dół, zjechał i Stefek. Wnet jednak dowiedziano się o tym, a ojciec, matka, ciotka, bona i dwu guwernerów znowu zaczęli mu tłumaczyć, że plami nazwisko Solskich, gdyż po poręczy schodów zsuwać się mają prawo tylko dzieci lokajskie. Od tej pory Stefek nigdy nie zjeżdżał z poręczy, ale pewnego dnia uwiesił się rękoma na poręczy balkonu na drugim piętrze i w ten sposób z zewnątrz okrążył go dokoła.

Gdy wybiegł na podwórze albo do ogrodu, lubił mocować się z dziećmi służby. Wytłumaczono mu, że hańbi się tego rodzaju stosunkami. Więc Stefek przestał bawić się ze służbą, a zaczął próbować swoich niezwykłych sił na hrabiątkach i baroniątkach.

— Spróbujmy się!... — wołał spotkawszy takiego biedaka. Potem chwycił w pól (chłopczyka czy dziewczynkę, wszystko jedno!) i walił nim czy nią o ziemię. Jeżeli trafił na mocniejszego, wówczas wypuściwszy go z rąk odsadzał się na kilka kroków, schylał głowę i uderzał nią w brzuch zdumionego współzapaśnika, który najczęściej nie rozumiał, o co chodzi Solskiemu...

Skutek był ten, że jeszcze za życia jego rodziców unikali Stefka dobrze urodzeni panicze i pięknie wychowane panienki. Nazywali go ulicznikiem, a on płacił im pogardą i rósł samotny nie wiedząc, ani za co nie lubią go panicze, ani dlaczego jemu nie wolno lubić lokajczuków w mieście, a pastuchów na wsi.

Kiedy miał lat trzynaście i już żaden guwerner nie chciał podjąć się jego dalszej edukacji, ojciec oddał Stefka do szkół do trzeciej klasy. Ledwie tam pokazał się, mały, żółty, z ogromną głową i skośnymi oczyma, wybiegła naprzeciw niemu gromada chłopców wrzeszcząc:

— Patrzcie, patrzcie... a to małpa japońska!...

Solskiemu zaszumiało w głowie; rzucił się w tłum, zaczął wywijać pięściami, uczył we włosach czyjeś ręce, na plecach kułaki i — rozhulał się na dobre.

Nagle wszystko ucichło i rozbiegło się, a Stefek podniósłszy oczy spostrzegł, że jego pięść leży na brzuchu jakiegoś pana z nalaną twarzą i niebieskimi oczyma.

— Za co ich tak rozbijasz?... — zapytał pan spokojnym głosem.

— Niech pan zapyta się ich, jak mnie nazywają... — odparł zuchwały berbec, gotów rzucić się i na starszego.

Pan popatrzył na niego łagodnymi oczyma i rzekł:

— Idź na miejsce. Masz dobre instynkta, ale nie uporządkowane.

Był to nauczyciel matematyki, Dębicki. Stefek odurzony poszedł do ławki, ale — coś w nim drgnęło. Jemu nikt jeszcze nie powiedział, że ma dobre instynkta!...

Od tej pory między nauczycielem i uczniem zawiązała się cicha sympatia. Stefek na lekcjach Dębickiego zachowywał się najspokojniej i uczył się najpilniej, a Dębicki niejednokrotnie ratował go od różnych nieprzyjemności w szkole.

W piątej klasie (było to już po śmierci rodziców) Stefkowi strzelił do głowy projekt wypróbowania swojej wytrzymałości. Zamiast tedy do szkoły poszedł za miasto i — parę dni włóczył się nie jedząc i nie śpiąc. Wrócił nie bardzo zmizerowany, ale za tę próbę wyleciałby ze szkoły, gdyby nie gorące wstawiennictwo Dębickiego.

W tydzień później główny opiekun Stefka przyszedł prosić Dębickiego, ażeby sprowadził się do pałacu Solskich i zajął się edukacją chłopca, nad którym on jeden ze wszystkich ludzi ma wpływ. Ale Dębicki odmówił, natomiast prosił Stefka, ażeby go niekiedy odwiedzał.

Między kolegami szkolnymi młody Solski nie miał sympatii, chociaż wiedziano, że za niektórych płaci wpisy, a kilku zawdzięcza mu utrzymanie. Nie miał sympatii, ponieważ był szorstki i ambitny. Parę razy trafiło mu się grać z nimi w piłkę i grał doskonale. Na nieszczęście, jako „dusza” nikogo nie chciał słuchać: gdy zaś wybrano go na „matkę”, tak narzucał innym swoją wolę, że obrażeni — opuszczali zabawę.

Po ukończeniu szóstej klasy zaproponował kilku kolegom na czas wakacyj pieszą wycieczkę do Ojcowa i Gór Świętokrzyskich. Większą część kosztów podróży wziął na siebie, zaopatrzył towarzyszy w laski i lornety, wynajdywał im najlepsze noclegi, zabrał dwie furmanki z żywnością tudzież kucharza i lokaja, słowem — był nieocenionym gospodarzem. Ale gdy nie słuchając żadnych przedstawień, zaczął wybierać najgorsze drogi, wymyślać marsze w nocy lub podczas deszczu i burzy, towarzysze pewnego poranku znikli bez pożegnania zostawiając mu lornety i laski na wozie.

Dla ambicji Stefka był to cios tak bolesny, że chłopak nie wrócił do siódmej klasy, lecz wyjechał za granicę, z duszą pełną gniewu.

Dębicki rozbudził w nim ciekawość wiedzy, ale młodzieniec, pozbawiony kierunku w życiu zapragnął poznać wszystko. Uczył się to filozofii i nauk społecznych, to fizyki i chemii; zaważał o szkołę politechniczną i o akademię rolniczą nie troszcząc się, co mu przyjdzie z wysłuchania tyłu kursów i zwiedzania tyłu uniwersytetów, które objeżdżał przez dziesięć lat, gorączkowo szukając mądrości.

Pod względem umysłowym dojrzał prędko i szeroko, ale sercem odsuwał się od ludzi. Gardził arystokracją przez pamięć o swoich młodych latach, a może i dlatego, że nie znosił obok siebie równych. Czuł pociąg do klas niższych i ubogich, bo tym można było rozkazywać; ale ci znowu nie chcieli uznać jego władzy nad sobą, a nawet nie zawsze przyjmowali ofiary, których nie umiał dawać. Czas, rapiry burszów, kufle i pięści filistrów pohamowały nieco jego gwałtowny charakter potęgując gorycz.



On przecież chciał robić dobrze! On przecież gotów był oddać majątek potrzebującym! A jeżeli narzucał swoją wolę, to z pewnością umiałby poświęcić życie za tych, którzy by go słuchali. Tymczasem nikt nie domyślał się jego uczuć. Owszem, niejednokrotnie przenoszono nad niego takich, którzy z ukłonem i uśmiechem ofiarowali swoje usługi, ażeby potem wyzyskać łatwowierność.

Solski kłaniać się, uśmiechać ani wpraszać nie umiał, toteż między jego szorstką i posępną figurą a ludźmi wznosił się coraz wyższy mur nieufności. Nie odczuwano w nim gorącego serca, tylko ambicję; a gdy ofiarował komu skuteczną pomoc, czyn taki nazywano kaprysem.

Kiedy raz wobec pruskich oficerów ujął się za podchmielonym burszem i z tego powodu miał ostry pojedynek, koledzy chcąc to uczcić wybrali go prezesem komitetu, który miał urządzić jubileusz jednemu z profesorów. Solski sypnął pieniędzmi na dar dla jubilate i ucztę dla kolegów, co jeszcze bardziej wzmocniło jego świeżą popularność.

Przez parę dni noszono go na rękach, ale gdy przyszło do narad w komitecie, okazało się, że z Solskim nie można radzić, tylko — trzeba go słuchać. W tak szorstki sposób narzucał swoje poglądy, że na trzeciej sesji młody baron Stolberg cisnął o ziemię fajkę i uderzając pięścią w stół zawołał:

— Ty, Solski, możesz być albo dyktatorem, albo pastuchem!... Ale na zwyczajnego prezesa nie posiadasz kwalifikacji...

Komitet jubileuszowy rozwiązał się, Solski znowu miał pojedynek i od tej pory zerwał stosunki koleżeńskie. Kielkująca w nim gorycz tym silniej rozwinęła się, że czuł swoją winę, ale nie chciał jej uznać nawet przed samym sobą.

Nadeszła epoka, która niezwykle siły Solskiego zwróciła w innym kierunku: zaczął interesować się kobietami.

Ale i w stosunku do kobiet zachowywał się szorstko i despotycznie. Traktował je z wyraźną niechęcią, ponieważ od dziecka mówiono mu, że jest brzydki. Za wzajemność ofiarowywał pieniądze albo kosztowne prezenta, a gdy poskutkowały pieniądze, pragnął miłości bezinteresownej. Porzucał swoje kochanki bez skrępowania, ale gdy sam został zdradzony, wpadał we wściekły gniew na cały rodzaj żeński i robił impertynencje najniewinniejszym kobietom.

Pewną młodą magazynierkę, która okazywała mu dużo przywiązania, posądzal o interesowność i zniechęcił ją do siebie szyderstwem. Pewnej pannie z towarzystwa, która nim się zajęła, powiedział, że cnotliwe panny dzielą się na dwie kategorie: jedne chcą wyjść dobrze za męża, a drugie chcą jakkolwiek wyjść za męża. Pewna bogata wdowa kochała go bezinteresownie, ale wobec niej oświadczył, że najstarszymi są starzejące się damy. Nareszcie, gdy jakaś drugorzędna śpiewaczka opuściła go dla ubogiego, ale pięknego malarza, zdecydował, że wszystkie kobiety są podłe.

Wtedy rzucił się w awanturnicze podróże. Był na Mont-Blanc, w Egipcie, w Algierii i na Saharze szukając przygód. Chciał popłynąć do Ameryki i Australii ale powstrzymał go wzgląd na siostrę Adę, która skończywszy pensję potrzebowała jego opieki. Widział burzę morską, słyszał ryk lwa w pustyni, puszczał się w krater Wezuwiusza i w rezultacie zaczął się nudzić, a nawet myśleć o samobójstwie, od którego znowu powstrzymała go pamięć o siostrze.

Postanowił oddać się nauce. W tym celu pojechał do Anglii i złożył wizytę jednemu z najznakomitszych filozofów celem zapytania go o wskazówki.

Mędrzec przyjął go uprzejmie, czym zachęcony Solski począł zasypywać go pytaniami: czym jest szczęście? jakie jest przeznaczenie człowieka i świata? — wynurzając przy tym mnóstwo wątpliwości i pesymistycznych poglądów.

Anglik słuchał go gładząc faworyty. Nagle zapytał:

— Mój panie, co pan właściwie robisz?... Jesteś uczonym czy artystą?...

— Chcę poświęcić się filozofii — odparł Solski.

— No, to dopiero kiedyś. Ale co pan dziś robisz? Pracujesz w przemyśle, w handlu czy w rolnictwie?...

— Mam majątek...

— Dobrze — majątek, on pozwala panu żyć wygodnie. Ale co pan robisz, ażeby mieć własny byt poza obrębem majątku. Może pan jesteś urzędnikiem albo posłem?...

Ponieważ Solski milczał zdziwiony, więc Anglik podniósł się z fotelu i rzekł chłodno:

— W takim razie wybacz pan, ale... ja nie mogę mu więcej czasu poświęcać, ponieważ mam zajęcie.

Gdyby sufit upadł na biurko, nie zmieszałby więcej Solskiego aniżeli opryskliwi odpowiedź filozofa. Pan Stefan wyszedł upokorzony i pierwszy raz w życiu zawstydził się, że niczym nie jest i nic nie robi.

Od tej pory na co spojrzął, wszystko przypominało mu jego upokarzającą rolę w świecie, na którym każdy coś robił. Woźnice przewozili podróżnych, tragarze dźwigali ciężary, policmeni strzegli porządku, kwiaciarki dostarczały ludziom kwiatów, kupcy towarów, restauratorzy jadła. Tylko on, Solski, nie robił nic i dlatego czuł się niezadowolonym.

W pierwszej chwili uniesienia i skruchy chciał zostać tragarzem przy dokach londyńskich; ale gdy stanął na miejscu, opuścił go projekt zmniejszenia zarobku ludziom ubogim, którzy w dodatku spoglądali na niego niezbyt życzliwie. Potem umyślił wejść do spółki z jakim kupcem lub fabrykantem; lecz każdy z zaczepionych wymiarkowawszy, o co chodzi, nie chciał z nim dłużej gadać tłumacząc się brakiem czasu.

Nareszcie po kilku miesiącach snucia fantastycznych projektów przyszła mu szczęśliwa idea, że trzeba wrócić do kraju i szukać zajęcia we własnych dobrach.

I wrócił. Ale na wstępie ciotka Gabriela przypomniała mu, że Ada od dawna skończyła pensję, że mieszka w domu kobiety obcej, pani Latter, że on, Stefan, powinien zaopiekować się siostrą i wywieźć ją za granicę, ażeby biedne dziecko zobaczyło trochę świata.

Projekt podobał się Solskiemu: przecież opieka nad siostrą była jakimś zajęciem! Uprosił ciotkę, ażeby im towarzyszyła w podróży, zapowiedział siostrze, że w ciągu tygodnia wywiezie ją za granicę i — pozwolił jej wziąć ze sobą pannę Helenę Norstką, którą Ada w owej epoce ubóstwiała.

Z początku Solski mało robił sobie z pięknej Heleny z góry posadzając ją, że chce się bogato wydać za mąż. Ale gdy w Wenecji otoczył pannę Helenę rój wielbicieli: Włochów, Francuzów, Anglików i Niemców, a wszystko ludzi dobrze urodzonych i majątnych, Solski zwrócił na nią uwagę. Wtedy spostrzegł, o czym inni głośno mówili, że panna Helena ma pyszne blond włosy, śliczną postawę, niezrównanej piękności rysy i elektryzujące spojrzenie. Imponowała mu jej duma w traktowaniu wielbicieli i pochlebiali, że niekiedy patrzy łaskawie na niego.

Wnet jednak z tłumu wielbicieli zaczął wyróżniać się staraniami jakiś wicehrabia Francuz i hrabia Włoch, którym też panna Helena okazywała więcej życzliwości aniżeli innym. Wtedy Solski nie chcąc zdradzić się, że szarpie go zazdrość, wyjechał z Wenecji.

Wiadomość o samobójstwie pani Latter silnie wstrząsnęła jej córką. Panna Helena przestała ukazywać się w towarzystwach, a gdy pierzchli jej najgorętsi wielbiciele, osiadła na parę miesięcy w klasztorze.

Tu zobaczył ją Solski w czarnej sukni, białą jak marmur, z wyrazem smutku w oczach i — wspólnie z Adą namówił do nowej przejażdżki po Włoszech i po Szwajcarii.

W tej epoce panna Helena unikała świeżych znajomości, całe dni spędzając z Solskimi. Wówczas pan Stefan odkrył w niej ważne zalety: miała umysł bystry i logiczny, dużo czytania i niezwykłą odwagę. Kiedy we troje wybrali się na Wezuwiusz, Ada widząc prawie u stóp szafirowe morze cofnęła się od połowy drogi, ale panna Helena weszła na szczyt piekielnej góry. A gdy brnąc po kolana w popiołach wdrapali się na brzeg krateru, gdy ziemia drżała pod ich nogami, dusił zapach siarki i cały świat zniknął za tumanami pary, wówczas panna Helena po raz pierwszy od kilku miesięcy uśmiechnęła się, a Solski uznał, że nie jest to zwyczajna kobieta.

Odtąd zawiązała się między nimi bliższa zażyłość. Solski nie ukrywał się ze swoimi uczuciami, a panna Helena mówiła, że on musi mieć w sobie diabła. Całe dni spędzali razem. Gdy zaś pewnego wieczora podczas morskiej przejażdżki zaskoczył ich wicher, który o mało nie zatopił czółna, a panna Helena zaczęła śpiewać, Solski — oświadczył się jej.

Dowiedziawszy się o tym Ada posmutniała, a ciotka Gabriela chciała porzucić ich i wracać do kraju. Ulegając jednak prośbom siostrzeńców została, pod tym wszakże warunkiem, że znowu zaczną prowadzić dom otwarty.

Starowina była dyplomatką. Wnet bowiem dookoła panny Heleny znalazł się tłum wielbicieli, wypłynął i wicehrabia Francuz, a niedługo Solski zaczął swojej narzeczonej robić takie sceny zazdrości, że panna Helena zaproponowała mu zerwanie umowy.

— Za mało znamy się — powiedziała. — Pan nie znosi męskiego towarzystwa, a ja wolałabym śmierć aniżeli zazdrosnego męża.

— Nie jestem zazdrosny! — oburzył się Solski.

— W takim razie nie ufa mi pan.

— Więc zrywa pani stanowczo?...

Ostatni wyraz zastanowił pannę Helenę.

— No, stanowczo!... — odparła drażniąc go spojrzeniem. — Pierwej przypatrzmy się sobie jako ludzie wolni, jak przyjaciele, a później... zobaczymy. Kobiętę trzeba zdobywać nie tylko siłą, a pan jeszcze nie nauczył się tej sztuki.

— A czy zechce pani być moją nauczycielką? — zapytał całując ją w rękę.

— Owszem!... — odpowiedziała po namyśle. — Powinien pan dostać żonę elegancją... więc z chęcią pomogę panu w tej pracy. Ale będę surową nauczycielką...

— Szykowniejszej od pani nie znajdę...

— Zobaczymy.

Panna Helena okazała dużo rozumu i taktu zrywając z Solskim. W owej bowiem epoce pan Stefan zaczął dostrzegać plamy na swoim słońcu. Jeszcze kochał ją, gdyż była piękna, uwielbiana, dumna, odważna i pełna niespodzianek; ale zaczął go razić egoizm i kokieteria. „Czy ona myśli — rzekł do siebie — że wychodzi za mój majątek osłoniony parawanem nazwiska?... I że mój dom stanie się zbiegowiskiem jej adoratorów?...”

Dopóki patrzył na narzeczoną i miał sposobność dotknąć ustami jej ręki, namiętność odurzała go. Ale gdy znalazł się bez niej, budził się krytycyzm, a nawet podejrzliwość.

„Czy ja nie jestem dla niej narzeczonym od biedy?... — myślał. — Paradna historia! uciekać przed nimfami, które polują na mężów, i trafić na samą Dianę!...”

Ale panna Helena uwolniła go bez dramatycznych scen, owszem w żartobliwy sposób, nie cofając nadziei pod warunkiem, ażeby ją drugi raz zdobył. Była więc bezinteresowną, miała szlachetną dumę i jeżeli okazywała mu kiedyś uczucie, to szczerę, bez wyrachowań.

„A w takim razie, kto wie, czy nie należy zdobyć ją po raz drugi?... — myślał pan Stefan. — Dała mi lekcję w niewinnej formie i ja potrafię skorzystać... W tej kobiecie kryje się dużo skarbów, które dopiero odsłania konieczność; więc kto wie, co tam jest jeszcze?...”

I od tej pory wzrósł szacunek Solskiego dla Heleny. Wielki pan zrobił się przy niej pokornym, gwałtownik zaczął panować nad sobą i uczył się delikatności.

Ciocia Gabriela i Ada były wdzięczne pannie Helenie, że tak zręcznie rozplątała węzeł, który im dużo robił zmartwienia. Ada nawet zaczęła żałować, że tak się stało, ale ciotka była sceptyczką.

— Zobaczysz — mówiła do siostrzenicy — że to jest zręczna kokietka, która na Stefana zagieła parol!...

— Więc cóż by było złego, ciociu, gdyby Stefek naprawdę z nią się ożenił?

— Ach, dajże pokój, moja kochana!... — przerwała ciotka. — Dziewczyna uboga, żadne nazwisko i jeszcze córka guwernantki... Cóż by robiły panny dobrych rodów, gdyby ludzie z towarzystwa żenili się z takimi?...

Tymczasem panna Helena nie rozpaczała. Znadto ufała w swoją piękność, aby nie wyobrażać sobie, że Solski wróci do niej, kiedy ona zechce. W tej zaś chwili jeszcze nie chciała — z kilku powodów. Naprzód, miał do niej przyjechać i wziąć ją w nową podróż po Europie jej ojczym, pan Arnold, o którym, jako o Amerykaninie, chodziły wieści, że jest bardzo bogaty. Po wtóre, panna Helena sądziła, że ma prawo do najświetniejszej partii, a ponieważ obok wicehrabiego Francuza znowu znalazł się hrabia Włoch i jakiś baron niemiecki, i jeszcze jakiś dystyngowany Anglik, więc miała w czym wybierać.

W Zurychu zdecydowały się losy wszystkich. Ciotka Gabriela wybierała się do Warszawy, Ada zaczęła chodzić na uniwersytet, pan Arnold przyjechał, ażeby zabrać Helenę, a pierwsze jego słowa były, że jej brat, Kazimierz, robi wrażenie lekkoducha i utracjusza.

Kilka dni posiedzieli razem w Zurychu i przez ten czas zawiązały się bliższe stosunki między Solskim i Arnoldem, który nasunął panu Stefanowi myśl wybudowania cukrowni

w majątku. Potem Solski wyjechał do Paryża, Arnold z Heleną do Wiednia, a wicehrabiowie, hrabiowie, baronowie i kandydaci na lordów przekonawszy się własnymi oczyma, że panna Helena ma rodzinę, znikli jak mgły w górach. Widocznie żaden nie myślał o sakramencie, co pannę Helenę trochę rozczarowało do mężczyzn, ale nie zmieniło opinii o sobie.

Od tej chwili aż do powrotu do Warszawy Solski korespondował z panną Heleną i odwiedził ją, gdy była w Peszcie, znowu otoczona wielbicielami. Ale we wzajemnym ich stosunku nic się nie zmieniło. Pan Stefan z przyjemnością odczytywał jej listy, gdy byli razem, tracił głowę, ale stygnął, gdy się rozdzielili. Już wówczas nie był przywiązany do panny Norskiej, tylko — imponowała mu jej wiara w swoją wartość.

— Mąż mój — mówiła — musi mi się oddać cały jak ja jemu. Wysłałbym za wyrobnika, który by mnie tak kochał, ale wolałabym umrzeć aniżeli zostać zabawką choćby najpotężniejszego człowieka.

A Solski słuchając myślał:

„Taką kobietę zdobyć!... To trudniejsze aniżeli podróż na Mont-Blanc...”.

I dopóki patrzył na nią, myślał, ażeby ją zdobyć.

Tak stały rzeczy, kiedy Solski w mieszkaniu siostry spotkał Madzię — i zdumiał się. Madzia była bardzo ładna, ale doświadczonym okiem poza wdziękami dostrzegł w jej rysach jakiś niezwykle wyraz.

Była to dobroć, niewinność, radość czy miłosierdzie?... Nie umiał określić. W każdym razie było coś nadludzkiego, czego nie widział w żadnej kobiecie, chyba w obrazach albo posągach mistrzów.

Ponieważ Ada kochała i chwaliła Madzię, więc w Solskim zagrał duch opozycji.

„Taka jak inne... — myślał. — Pewnie zechce zrobić interes na życzliwości mojej siostry...”.

Wnet jednak zdarzył się cały szereg drobnych faktów, które zdumiały Solskiego.

Madzia nigdy o nic nie prosiła Ady; owszem, nie chciała przyjmować usług. Madzia z powodu znajomości z Adą była prześladowana w domu Korkowiczów, lecz nawet nie wspominała o tym. Nie chciała porzucić swoich prześladowców, płakała za uczennicami i nie zrywała z nimi stosunków.

Mogąc nie pracować wystarała się o lekcje u panny Malinowskiej i nie ulegało żadnej wątpliwości, że przyjmując mieszkanie w pałacu Solskich, robi to z pewnym poświęceniem, przez miłość dla Ady...

Pobył jej stał się prawdziwym błogosławieństwem dla ich domu. Madzia nie tylko leczyła migreny ciotki Gabrieli i obmyślała rozrywki czy zajęcia dla Ady, ale zajmowała się służbą i jej dziećmi: odwiedzała ich w razie choroby, wyjednywała dla pokrzywdzonych lepszą pensję.

Nawet podwórzowe psy, wałęsające się koty i głodne podczas zimy wróble znalazły w niej opiekunkę. Nawet zaniedbane kwiaty budziły w niej współczucie.

Za to — sama Madzia zdawała się nie mieć żadnych potrzeb, a raczej jedną, ale nienasyconą: dbać o innych, służyć innym. Przy tym ani cienia kokieterii, a raczej zupełna niewiadomość o tym, że jest ładna i że się może podobać.

„Nieprawdopodobne!...” — myślał Solski.

Madzię od razu oceniał każdy, kto się z nią zetknął: była to natura kryształowej przejrzystości. Ale dokładnie sformułował ją dopiero Solski, bystry i znający się na charakterach. W jego wyobraźni ludzkość przedstawiała się jako zbiór szarych kamieni, między którymi raz na tysiąc, jeżeli nie rzadziej, trafiał się klejnot. Zaś ponad tymi chłodnymi i beświeltnymi bytami ukazywały się istoty nadzwyczajne, podobne do zapalonych lamp, które szarym kamieniom nadają fizjognomię, a klejnotom — blask, barwę i przezroczystość.

Te nadzwyczajne istoty były to geniusze: rozumu, woli lub serca, i Madzia w oczach Solskiego była albo niesłychanie zręczną obłudnicą, albo — geniuszem uczuć.

Solskiego dziwiło przede wszystkim, że Madzia wcale, ale to wcale nie spostrzegła, że on się nią zajął. Służba domowa wiedziała o tym, ciotka Gabriela robiła wymówki i zastrzeżenia, panna Helena okazywała jakby zazdrość, pan Zgierski rozplątywał się w pochwałach dla Madzi, ludzie obcy szukali u niej protekcji, a tymczasem ona sama,

z wyrafinowaną obłudą czy niepojętą naiwnością, jego — Solskiego — swatała z panną Heleną!...

„A może ona kocha się w tym błagierze Norskim?” — myślał pan Stefan po spirytystycznym posiedzeniu, na którym asystował pannie Helenie, ażeby rozbudzić zazdrość w Madzi.

Lecz zaprzeczył mu rozsądek. Madzia była wówczas rozdrażniona, nawet rozplakała się, ale ani z miłości do pana Kazimierza, ani z zazdrości o Solskiego. Ją wcale nie zajmowali rzeczywiści czy domniemani wielbiciel; ją wzruszyły owe piszące i rysujące duchy, a nade wszystko traktat o nieistnieniu duszy, wypowiedziany przez pana Norskiego!

Tak było naprawdę. Madzia przez cały tydzień nie mogła się uspokoić: rozmawiała o tym z Adą, nie sypiała po nocach, zmizerniała, a nareszcie wydobyła z Dębickiego słowo honoru, że — on wierzy w Boga i nieśmiertelność duszy.

Uroczyście zapewnienie Dębickiego trochę uspokoiło Madzię. Niemniej Solski widział, że posiew ateizmu już był rzucony w niewinną duszę, i tym bardziej zainteresował się Madzią, a znienawidził pana Kazimierza, który zresztą nigdy nie cieszył się jego względami.

„Jakim trzeba być bydlęciem — myślał — ażeby okradać z wiary, a choćby tylko ze złudzeń, biedne dziecko, które nic innego nie pragnie!... I czym on jej to wynagrodzi? On, a nawet cały świat, któremu to biedactwo poświęca wszystko, żądając dla siebie tylko Boga i nadziei?...”

Sam Solski miał różne wątpliwości i dużą skłonność do pesymizmu. Ale ateuszem nie był dzięki wpływowi Dębickiego, który od czasu do czasu ukazywał mu nowe, olśniewające horyzonty.

Spokojny, wiecznie roztargniony matematyk stworzył sobie jakiś system filozoficzny. Ale dotychczas rozmawiał o nim tylko z Solskim, i to bardzo ogólnie.

## 20. MAŁE FUNDAMENTA DUŻYCH CELÓW

W tej epoce Solski miał prawo nazywać się szczęśliwym. Gdyby ów angielski filozof, któremu w Londynie złożył niefortunna wizytę, zapytał go dzisiaj: „Co pan robisz?”, Solski odpowiedziałby z dumą: „Buduję cukrownię, którą będę prowadził sam”.

Solski z lekceważącym uśmiechem przypominał sobie czasy, kiedy ziewając odbywał awanturyczne podróże bez celu albo kiedy pod wpływem nagłego wstydu, że nic nie robi, chciał zostać tragarzem w londyńskich dokach, lub kiedy gotów był prosić pierwszego lepszego fabrykanta o przyjęcie go do spółki.

On sam jest dziś fabrykantem, i jeszcze jakim!... U niego pracuje kilkuset tragarzy, do niego jedni modlą się o posady, inni zebrzą go o tytuł współników. I on rozdaje posady, ale współników nie przyjmuje.

Bo na co mu współnicy?... Ażeby go krępowali czy ażeby część gotówki jego leżała w banku? Solski pomocy nie potrzebuje; co posiada sam, wystarczy aż nadto; w razie zaś nieprzewidzianego wypadku ma do dyspozycji majątek siostry i — kapitały krewnych, którzy bez wahania pożyczą mu, ile zechce. Sama ciotka Gabriela w każdej chwili da sto tysięcy rubli nie pytając, co z nimi robi, byle miała dożywni procent.

Cukrownia w dobrach Solskiego była poważnym interesem. Naprzód, cukrownie przynosiły akcjonariuszom po kilkadziesiąt procentów rocznie, po wtóre, Solski miał doskonałą ziemię, z której setki morgów mógł obrócić na plantację buraków. Odpadkami cukrowni można było karmić wielką ilość bydła, co także wzięto w rachubę. Nareszcie — ażeby już nic nie brakowało temu dziecku szczęścia, Solski miał w majątku ogromny spadek wody, czyli — motor darmo, podczas gdy inne cukrownie wydawały sporą sumę na opalanie parowych machin.

W rezultacie dla ludzi jako tako obeznanych z interesami było widoczne, że gdyby Solski po kilku kampaniach nawet spalił swoją cukrownię nie ubezpieczając jej, to jeszcze wyszedłby z majątkiem. Ale Solski palić jej nie myślał, owszem, zapowiadał, że pod każdym względem będzie wzorową.

Poza tym budująca się fabryka stworzyła mu mnóstwo zajęć, musiał bowiem, choć w najogólniejszych zarysach, poznać kilka gałęzi pracy: uprawę buraków, hodowlę inwen-

tarza, procesy cukrowarskie i handel cukrem. Zajmowały go także rozmaite urzędnictwa dla robotników, które miał zamiar wprowadzić przy fabryce.

Nareszcie — i tu był szczyt jego marzeń: Solski rozkazywał... Rozkazywał takim, którzy go słuchali, a jego rozkazy przyoblekały się w żelazne i kamienne ciało. On decydował o rozmiarach i położeniu cukrowni; on na sesji rolniczej wskazał pola, które na przyszły rok miały pójść pod buraki; on wyznaczył liczbę sztuk opasowego bydła; on wysłuchawszy objaśnień Arnolda wybrał angielską fabrykę, która miała dostarczyć kotłów i mechanizmów wykonawczych.

Był tak upojony władzą że, szczególnie w początkach, popełniał dzieciństwa wybierając na przykład projekta kosztowniejsze dlatego, ażeby przeciwważyć głosy fachowych jednym i niefachowym głosem, ale — swoim.

Później Solski w naradach stosował się do głosów większości; wypróbował swojej władzy, więc mógł zostać praktycznym.

Zapałyły go też zewnętrzne oznaki czynności i panowania. Jego gabinet był zawieszony, założony i zastawiony planami budynków i maszyn, podręcznikami, próbami cukru, a jedno z głównych miejsc zajmowały słoiki z nasionami buraków i sacharymetr, który ciotka Gabriela uważała za nową broń albo za rodzaj lornety.

Prócz tego w przedpokoju zawsze siedział na służbie lokaj zmieniający się co dwie godziny, w bramie stało kilku posłańców, którzy odnosili listy i depesze. Nareszcie Solski przez pewien czas co dzień odbywał sesje z adwokatami, rolnikami, technikami i agentami handlowymi, wyznaczał im godziny, wzywał ich nagle do siebie albo sam do nich jeździł.

Później i to mu się sprzykrzyło i zwoływał sesje tylko w razie potrzeby. A jeszcze później brzydło mu niekiedy wszystko; nie mógł patrzeć na plany i próbki, odwracał się od sacharymetra. Wówczas po całych dniach czytywał francuskie romanse, pobudzał do szczekania Cezara albo tarzał się z nim na szerokiej sofie.

Myśl o cukrowni już nie zapełniała mu życia. Owszem, niekiedy wydawała mu się nowożytną donkiszoterią, a on sam błędnym rycerzem, który mając byt aż nadto zabezpieczony, rwie się do pracy.

„Po co to?... ażeby innym wydierać chleb albo majątek?...” — myślał.

Lecz do wydobycia go z podobnej apatii wystarczała niewielka pobudka. Niech tylko kto powiedział: to nie dla Solskiego interes! albo: zobaczcie, że on wszystko straci!... Niech który z kuzynów zrobił uwagę, że to niewłaściwe zajęcie albo — rozeszła się pogłoska, że powstaje towarzystwo akcyjne, które chce budować cukrownię w tej samej okolicy — natychmiast Solski budził się. Znowu czytał fachowe książki, badał plany, zwoływał sesje lub wyjeżdżał na wieś przypatrywać się robotom.

Dzięki temu w majątku Solskiego w połowie maja urządzono wielki zbiornik wody, a jak na drożdżach rosły mury kilkunastu budynków. Cofać się było za późno, tym bardziej że robota toczyła się sama jak kamień pchnięty z góry. Nawet antagoniści Solskiego już nie mówili o budowaniu drugiej cukrowni, lecz naradzali się, czy nie można by odkupić obiecującej fabryki.

Dowiedziawszy się o tym pan Zgierski (który ciągle kręcił się przy Solskim) słodko przymrużył oczki i odpowiedział:

— Nikt nie zmusi Solskiego do sprzedaży, nikt pod słońcem, choćby mu dał tyle złota, ile pomieści się w kotłach cukrowni. Inna kwestia — dodał również poufnie — gdyby on sam znudził się tym interesem... Taką chwilę wypatrzeć, uderzyć w słabą stronę i natychmiast położyć na stół gotówkę, to co innego...

— Sądysz pan, że jest to możliwe?... — spytał ktoś.

— Mój Boże — odparł skromnie Zgierski — na świecie wszystko jest możliwe... Ale z Solskim trudna sprawa...

— Gdyby pan jednak chciał nam pomóc, bodajby... w upatrzaniu podobnej chwili... — wtrącił interesowany w tej sprawie.

— Co też pan mówi! — oburzył się z przyjemnym uśmiechem pan Zgierski. — Jestem oddany Solskiemu do śmierci... A że widzę, iż zajęcie się cukrownią robi mu dużo satysfakcji, więc nigdy nie doradziłbym sprzedania jej...

Interlokutor sposepniał, zaś pan Zgierski wyczekawszy chwilę dodał z surową miną:

— Inna rzecz, gdyby Solskiego zaczęło męczyć zajmowanie się cukrownią, psuć mu humor, podkopywać zdrowie... Ha, wówczas — bodaj położyłbym się na progu miesz-

kania i powiedziałbym: zabij mnie, ale porzuć nieszczęsną fabrykę, która skraca ci życie. To bym zrobił, jak honor kocham!... Bo ja, panie, dla tych, którzy mi nieograniczenie ufają...

Interlokutorowi rozjaśniło się oblicze.

— Więc przypuszcza pan taką ewentualność? — rzekł. — My ją ciągle widzimy jak na dłoni. Solski zamęczy się tą cukrownią... To nie dla niego praca... Prawda, kochany panie Zgierski?...

— A zaraz, czy prawda? — wybuchnął Zgierski. — Co to jest, panie, prawda? — mówił podnosząc w górę palec. — Jeżeli sam Jezus Chrystus umilkł wobec podobnego pytania, więc jak można zadawać go nam, śmiertelnikom? Spytaj mnie pan: czy to jest możliwe lub niemożliwe?... Aaa... wtedy odpowiem: wszystko jest na świecie możliwym...

Rozeszli się obaj pełni otuchy. Jeden z kandydatów do kupna jeszcze nie dokończonych cukrowni miał przekonanie, że w Zgierskim znalazł życzliwego orędownika swej sprawy; Zgierski zaś miał pewność, że jest najwierniejszym przyjacielem Solskiego, jak niegdyś był nim dla pani Latter.

Uśmiechał się. W tej chwili w swojej ruchliwej wyobraźni widział siebie jako dyrektora dziwnej opery, w której Solski był tenorem, jego cukrowniani antagoniści orkiestrą, wszyscy zaś grali i śpiewali arię kompozycji jego, Zgierskiego.

Tymczasem, czego nie przeczuł pan Zgierski, w duszy Solskiego, obok ambicji i — znudzenia, znudzenia i — ambicji, które jak dzień i noc kolejno następowały po sobie, zaczęła kielkować całkiem nowa pobudka.

Solski, hojny i szlachetny, miał jednak wstręt do filantropii. Na samą myśl o wyszukiwaniu nieszczęśliwych, pomaganiu potrzebującym, ocieraniu łez cierpiącym, na sam dźwięk podobnego frazesu Solski doznawał obrzydzenia. On, który ograniczał własne potrzeby, miałby jak miłosierna baba czuwać nad potrzebami innych?... On, który szukał cierpień, ażeby je pokonywać, miałby rozczulać się nad cierpieniami innych?... On, który chciał być człowiekiem ze stali i granitu, miałby przykładać się do ucierania nosów dzieciom albo łatania watówek ich matkom?... Cóż to za śmieszność!...

Solski mógł rzucić dziesięć... sto tysięcy rubli na jakiś cel zgodny z jego wyobrażeniami, ale nie potrafiłby suszyć pieluszek. Do spełniania takich czynów są litościwe dusze, pięknie chowane panienki, goniący za popularnością aferzyści, nigdy on...

W dniu jednak, w którym do ich domu sprowadziła się Madzia, Solski mimo woli zaczął troszczyć się o innych.

Jego siostra ot tak sobie obiecała Madzi posadę nauczycielki w szkole, którą miano urządzić przy fabryce. Madzia przyjęła propozycję, a Solski ją zatwierdził.

W parę dni później spadł na pana Stefana zwykły paroksyzm zniechęcenia. Solski nie mógł patrzeć na plany, nie chciał rozmawiać z technikami, lecz chodząc po gabinecie albo patrząc na kartki zaczętego romansu myślał:

„Na co mi, u licha, ta cukrownia?... Niech budują cukrownie ci, którzy łakną trzydziestu procentów na rok, ale ja?... Oczywiście, jest to donkiszoteria!...”

Nagle przypomniał sobie, że obiecał Madzi posadę nauczycielki i — jego myśli przyjęły inny kierunek.

„Jeżeli nie będzie fabryki, nie będzie szkoły, i ta pocziwa dziewczyna zawiedzie się... A jaka ona ładna!... — dodał odgrzebując w pamięci rysy Madzi. — Jakie ma szlachetne instynkta...”

Rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że jeżeli Solski otrząsnął się z apatii, zrobił to pod wpływem obawy, ażeby Madzi nie narazić na zawód! Z jakim zdziwieniem ona spojrzalaby na niego dowiedziawszy się, że już nie dba o fabrykę, i — co by odpowiedział, gdyby go zapytała: „Więc pan już nie chce mieć cukrowni, dlaczego?...”

W jakiś czas później Madzia ulegając prośbom swojej koleżanki Żanety uprosiła pana Stefana, ażeby aptekę przy fabryce oddał Fajkowskiemu. Solski nie myślał o aptece, lecz — uznał jej potrzebę i obiecał posadę Fajkowskiemu.

I otóż znowu przybył człowiek, z którym Solski rachował się w chwilach zniechęcenia. Sprzedać ledwie budującą się fabrykę — nic łatwiejszego. Ale co on odpowie Fajkowskiemu, gdyby ten go zapytał:

„Dlaczego pan wyrzekłeś się cukrowni?... Przecież od niej zależy mój byt i małżeństwo z panną Żanetą, z którą sam powiedziałeś, ażebym się ożenił...”

Setki ludzi już pracujących przy budowie, zamówionych do przyszłej cukrowni lub starających się o posady, nic nie obchodziły Solskiego. Widział ich w wyobraźni jak niekształtną mgłę i zarówno nie dbał o ich opinię, jak o ich zawód. Ale nauczycielka Madzia i aptekarz Fajkowski byli osobami żywymi, które go obchodziły, wprawdzie można było znaleźć dla nich odszkodowanie ale — jak im wytłumaczyć, dlaczego on rzucił fabrykę...

Potem Solski przestał wyobrażać sobie Madzię jako nauczycielkę dzieci jego oficjalistów, nawet wstrząsnął się na myśl, ażeby mogła zajmować podobne stanowisko. Natomiast oczekiwał, że Madzia poprosi go o jakąś techniczną posadę dla swego brata i o miejsce lekarza dla ojca. Naturalnie, że dałby im doskonałe warunki!

Ale Madzia napomknęła mu, że nie myśli prosić za swoją rodziną, a Solski uczuł do niej za to pretensję. Zdawało mu się, że usunięto dwa filary, na których miała oprzeć się jeżeli nie cukrownia, to przynajmniej zapal Solskiego dla niej.

Później uspokoił się. Znowu bowiem, nie wiadomo dlaczego, przyszło mu na myśl, że — ojcu Madzi nie odpowiadałoby tak skromne stanowisko i że jej brat powinien by co najmniej zostać dyrektorem cukrowni obeznawszy się z fabrykacją. A swoją drogą niecierpliwie czekał, ażeby Madzia znowu kogoś zaleciła mu na posadę. Miał bowiem przesąd, że każdy, kogo ona zarekomenduje, stanie się węzłem przymocowującym go do realnej działalności.

Solski zaczął odgadywać w sobie brak zdolności, która by zbliżała go do ludzi. Zaczął rozumieć, że on sam jest istotą niekompletną i że Madzia w wysokim stopniu posiada te przymioty, których jemu nie dostaje. Wiedział, że tu chodzi o sferę uczucia, ale jeszcze nie zdawał sobie jasno sprawy, co to jest.

## 21. CUKROWNIA WIDZIANA Z GÓRY

Pewnego wieczora Solski z Dębickim przyszedł do siostry na herbatę. Czas był pogodny, więc usiedli na dużym balkonie, wychodzącym na ogród. Ada z zapalem mówiła o jasnowidzeniach pani Arnoldowej i o własnych postępach w spirytyzmie, już bowiem duchy zaczęły rozmawiać z nią za pomocą abecadła i ekierki przytrzymywanej ręką. Z nie mniejszym ogniem Madzia opowiadała o ostatniej sesji kobiecego towarzystwa, na której panna Howard zaprojektowała zbudowanie wielkiego domu dla samotnych kobiet.

— Ciekawam, skąd wezmą na to pieniądze — odpowiedziała Ada. — Bo mnie już nudzą projekta, na wykonanie których trzeba milionów...

— Rodzona moja siostra!... — zawołał śmiejąc się Solski. — Przypominam ci jednak, że nie wypada dla stosunków z duchami zaniedbywać stowarzyszenia, które ma cele uczciwe, a niekiedy praktyczne.

— Naprzód — odparła zarumieniona Ada — proszę nie żartować z duchów. A po wtóre... dlaczego mam chodzić na wszystkie sesje tych pań?

— Co byś jednak powiedziała, gdybym ja również dla jakiegoś ...izmu rzucił cukrownię?

— Aniby się odezwała — rzekła Ada.

— Pan rzuciłby cukrownię?... — zawołała Madzia patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Czy tylko damom wolno mieć upodobania?... Jeżeli moją siostrę po paru tygodniach znudziły sesje, dlaczego mnie po tylu miesiącach nie miałyby znudzić cukrownia? Upewniam — dodał śmiejąc się — że na waszych sesjach macie, panie, więcej rozmaitości.

— Nigdy w to nie uwierzę!... — rzekła Madzia z przekonaniem.

— Że moje zajęcia nie są zabawne?...

— Nie, ale ażeby pan opuścił sposobność uszczęśliwienia kilkuset ludzi!...

— Ależ ci ludzie nic mnie nie obchodzą, nie znam ich. Zresztą kto kiedy uszczęśliwił człowieka?

— Ach, mówi pan tak, bo pan nie widział biedy i biednych — odparła Madzia z zapalem. — Gdyby pan zobaczył rodzinę nauczyciela w Iksinowie, którego żona jest w domu kucharką i praczką, a dzieci chodzą w starych sukienkach... Gdyby pan poznał stolarza, który żyje z robienia trumien, ma zapadnięte piersi i chyba dlatego nie umiera, że jemu nikt trumny nie robi... A gdyby pan kiedy usłyszał w brudnej izbie domu zajezdneho



placz kobiety, która przyjechała z koncertem, lęka się niepowodzenia i w dodatku jest głodna...

Zatchnęła się ze wzruszenia, lecz po chwili mówiła dalej:

— Łatwo panu wyrzec się cukrowni, bo pan nie widywał podobnych ludzi. Gdyby pan ich spotkał, jestem pewna, że nie zaznałby pan spokojności, dopóki nie wydobyłby ich z nędzy... Cudza nędza boli nas, chodzi za nami, nie pozwala usnąć... Jest jak rana, która dopóty nie zagoi się, aż pomożemy biedakowi wedle naszych sił...

— Chyba nie przypuszcza pani, że będę zbierał niedołączków i zapełniał nimi fabrykę — odparł rozdrażniony Solski. — Tam potrzeba pracowników...

— I im należy się życzliwa opieka...

— Przepraszam panią, ale w żadnej fabryce robotnik nie umiera z głodu!... — przerwał Solski.

— Mój Boże, wiem coś o tym (prawda, Adziuś?); bo do naszego stowarzyszenia zgłaszają się rozmaite kobiety z prośbą o przyjęcie ich córek do roboty. Zwiedzałam mieszkania tych ludzi na strychach lub w suterynach, gdzie w jednym dusznym pokoju siedzą trzy małżeństwa i ze sześcioro dzieci... Kosztowałam krupnik, który parę razy tygodniowo gotują na obiad, przez resztę dni żywiąc się nieocukrzoną kawą i chlebem... Nawet widziałam w jednym łóżku dwoje dzieci, które nie mając odzienia muszą leżeć zamiast biegać po ulicy...

— Pozwoli pani objaśnić sobie — rzekł cierpko Solski — że przy naszej fabryce już budują domy dla robotników, którzy mam nadzieję, nie będą żywili się kawą ani pakowali do łóżek nagich dzieci...

— Bo właścicielem cukrowni będzie pan — odparła Madzia tonem przekonania. — I dlatego nie przypuszczam, ażeby pan rzucił fabrykę mogąc w niej robić tyle dobrego...

— Jak ona zapala się!... — wtrąciła Ada, życzliwie patrząc na przyjaciółkę. — Bądź spokojna, Stefek nie wyrzeknie się swego dziecka...

— Cukrownia nie jest moim dzieckiem — z niechęcią odpowiedział Solski. — To pomysł Arnolda, świetny, ani słowa, ale nie mój... Nie urodził się w moim mózgu, a dziś, gdy stał się faktem, czuję, że nie jestem do niego dopasowany... Naturalnie będę robił wszystko, co potrzeba, ale bez zapalu... Nic mnie tam nie ciągnie — dodał ciszej — chyba te szarytkowskie obrazy, które tak wymownie przedstawiła panna Magdalena.

Zaczął pogwizdywać i patrzył w niebo usiane gwiazdami. Madzia posmutniała, Ada rzekła:

— Zwyczajny to paroksyzm u Stefka. Jak inni muszą przespać się po pracy, tak Stefek musi ponudzić się trochę i pomelancholizować dla nabrania sił. Ale jutro... pojutrze... przejdzie!...

— Więc nie wierzysz, że mnie nie zajmuje cukrownia, a upokarza rola kandydata do kilkudziesięciu procentów rocznie?... — spytał rozdrażniony Solski. — Praca społeczna... ja ją rozumiem!... W pracy społecznej potrzeba być artystą i jak rzeźbiarz wyciosywać z ludzkich gromad — posągi... Waszyngton, Napoleon I, Cavour, Bismarck to artyści społeczni, to praca... Ale budowanie cukrowni i wyciskanie buraczanego soku... brr!...

— Dziwna rzecz — odezwał się milczący do tej pory Dębicki. — Bismarck jest artystą, ponieważ należał do tych, co budowali państwo niemieckie; ale organizator fabryki nie jest artystą, ponieważ tworzy tylko — fabrykę. Wypadłoby stąd, że większy honor — złapać wieloryba aniżeli — stworzyć wróbla. Mnie się zaś zdaje, że drugie zadanie jest trudniejsze i że ten, kto zbudowałby porządnego wróbla, byłby artystą godniejszym podziwu aniżeli łowca wielorybów...

Solski oparłszy się plecami o poręcz krzesła wyciągnął nogi i patrzył w niebo. Był obrażony, ale Dębicki nie zważając na to mówił dalej:

— Tymczasem u nas nikt nie chce rozwijać swojej siły twórczej za pomocą budowania wróbelków, lecz koniecznie życzy sobie konstruować wieloryby, dla których tutaj nie ma ani miejsca, ani czasu, ani materiału. Ludziom zdaje się, że świat potrzebuje tylko — dzieł nadzwyczajnych, a choćby tylko — rojeń o nich; świat zaś przede wszystkim potrzebuje — twórców. Wynalazca nowego sztyfta do butów jest wart więcej niż stu marzycieli o perpetuum mobile; organizator rzeczywistej cukrowni wywołuje większy ruch między ludźmi aniżeli stu chronicznych kandydatów na Bismarcka.

Spróbujcie stworzyć wzorową rodzinę, sklep, spółkę, warsztat, fabrykę, a przekonacie się, że i to jest posąg ułożony z ludzkich jednostek... Co to posąg!... raczej pełen życia organizm wyższego rzędu... Kto takie dzieła buduje z planem i świadomością, ten wznosi się ponad Fidaszów i Michałów Aniołów i nie ma czego zazdrościć Bismarckowi.

— A sens moralny tej prelekcji? — spytał Solski.

— Ten, że — jeżeli naprawdę posiadasz instynkt organizatorski, to stworzenie tak skomplikowanej fabryki jak cukrownia powinno by cię zadowolić — odparł Dębicki.

— Jak to znać, że profesor nie dotknął się tej rzeczy praktycznie!... — zawołał Solski. — Gdybyś słuchał narad o cenie i dobroci wapna i cegły, o głębokości fundamentów, wyborze machin, wynagrodzeniu mularzy i gatunkach buraków, zapomniałbyś pan o swoich ideałach. A gdyby ci jeszcze dzień po dniu kładziono w głowę, że korzystniej zachęcić sąsiadów do plantacji buraków aniżeli uprawiać je samemu; gdyby ci skakano do oczu, że chcesz psuć robotników płacąc im lepiej; gdyby w kontraktach z przedsiębiorcą mularskim, ciesielskim i tak dalej podsuwano kruczki, przez które ludzie ci musieliby pójść z torbami, dopiero poznałbyś, co to jest interes przemysłowy... To nie jest żyjący posąg, ale machina do wyciskania dywidendy z buraków, robotników i rolników... To nie organizm, ale młyn, w którym miały się ludzkie istnienia...

Dębicki spokojnie wysłuchał mowy wypowiedzianej z ogniem, a gdy Solski umilkł, on zaczął:

— Tysiączne szczegóły fabryki zasłaniają ci jej całość. Jesteś jak człowiek w lesie, który widzi tylko drzewa, a wcale nie myśli o tym, jaką ma formę sam las...

Otóż jest pora, ażebyś zamiast zniechęcać się, spojrział na te rzeczy z wysoka. Przez jakiś czas nie myśl o burakach i dywidendzie, ale raczej o tym, że z całą świadomością, wbrew przeszkodom, masz stworzyć organizm żywy, czujący i myślący, organizm z cegły, żelaza, buraków i — ludzi. Masz stworzyć istotę zdrową lub chorą, która będzie rosła i rozwijała się albo umrze i która będzie miała zupełną samowiedzę swojej pomyślności lub cierpień, swego rozwoju albo konania. I to nie jedną samowiedzę, ale kilkaset, kilka tysięcy; tyle samowiedz, ilu jest ludzi zainteresowanych w twojej cukrowni...

— No... no... no!... — przerwał Solski. — Siada profesor na wysokiego konia.

— Przypominam, że są tu jeszcze dwie skromne słuchaczki, które także chciałyby coś zrozumieć — wtrąciła Ada.

Dębicki machnął ręką w sposób wyrażający małe uszanowanie dla słuchaczek i mówił do Solskiego:

— Przede wszystkim czy wierzysz, że twoja cukrownia będzie istotą żyjącą, ultraorganizmem?...

— Zwietrzałe porównanie — rzekł Solski.

— Ale my o nim nic nie wiemy... — zawołała Ada.

— Przepraszam cię — odparł Dębicki — to nie alegoria, lecz — ten rodzaj podobieństw, które prowadzą do odkryć!...

— No, no!...

— Zacznijmy od dołu. Cukrownia będzie przekształcała materiały prawie tak samo, jak robią to zwierzęta i rośliny. Przez jedną bramę będziecie do niej wozić: buraki, węgiel, wapno i tak dalej. Te buraki opłuczecie wodą jak śliną, rozetrzecie je na miazgę żelaznymi zębami, wyciśniesz z nich sok... W innym aparacie, który, mówiąc nawiasowo, jak nasze płuca będzie pochłaniał mnóstwo tlenu, poddadacie sok buraczany podniesionej temperaturze... Potem będziecie go łączyli z wapnem, węglem, będziecie przeciskali przez walce centryfugalne, a nareszcie odparujecie i odlejecie w formy cukier, który — wyjedzie na świat drugą bramą.

Powiedz: czy cały szereg tych procesów nie jest podobny do — odżywiania się zwierząt i roślin? I czy twoja cukrownia nie przypomni ci — na przykład — wiśniowego drzewa, które wchłania kwas, węglany, tlen, wodę, amoniak, sole wapienne, przerabia je, rozprzadza po różnych zakątkach swego organizmu i w rezultacie wyrzuca na powierzchnię kory — klej wiśniowy poszukiwany przez dzieci.

— Jadłam to — szepnęła Madzia.

— I ja... — dodała Ada.

— Dodam jeszcze — ciągnął Dębicki — że gdy w cukrowni znajdzie się za mało lub za dużo buraków, gdy w składach okaże się nadmiar cukru albo gdy w którym

z budynków fabrycznych będą niedokładnie odbywały się właściwe procesy, cukrownia zacznie chorować. Robotnicy zmizemieją, liczba ich zmniejszy się, tętno ruchu osłabnie; potem mogą nawet opustoszeć budynki, pękać ściany i w końcu walić się jak konary spróchniałego drzewa. Możliwość śmierci jest także dowodem życia.

— Ależ, kochany profesorze, mnie nic nie obchodzi takie życie, które polega na trawieniu i wydzielinach, w razie zaś najefektowniejszym — na śmierci... Ja, jeżeli mam być działaczem społecznym, chcę mieć do czynienia z duszą, i to duszą zbiorową. Słyszysz?... — nalegał Solski.

— Z duszą? — powtórzył Dębicki. — Właśnie o niej będę mówił i przekonam cię, że nawet w dzisiejszych fabrykach już istnieją dwie kapitalne władze duszy: wola i myśl.

Wola na najniższym szczeblu objawia się odruchami odsiebnyimi i dosiebnyimi, które już spotykamy u wymoczków. Czy zaś nie zgodzisz się na to, że — owi furmani i ich wozy, które będą zwozić buraki, a wywozić cukier, że oni przy twojej fabryce będą spełniali rolę tych rzęs i macek, które wyrastają z ciała pierwotniaka i schwyciwszy zdobycz znikają?... —

Wyższym szczeblem woli są nałogi. No, ale te muszą istnieć w każdej fabryce, gdzie mnóstwo ludzi spełnia swoje czynności nałogowo i gdzie jednostajne działanie machin również przypomina nałogi.

Następnym piętrem woli jest praca twórcza, w której odruchy i nałogi porządkują się według pewnego celu. W fabryce przedstawicielami takich celów są specjaliści majstrowie, pod których kierunkiem oddziały robotników płuczą buraki, rozcierają, wyciskają...

Szczytem nareszcie woli jest cel fabryki, który streszcza się w jej dyrektorze technicznym.

Przechodzę do myśli. Jej fundamentem są wrażenia świata zewnętrznego, a organami tych wrażeń dla was są: agenci dowiadujący się o cenach cukru, buraków, węgla, drzewa, robocizny... Wyżej wznosi się: pamięć, jej zaś organem będą w cukrowni spisy inwentarza, płacy roboczej, wydatków na materiały, wpływów za towar... Pracę twórczą myśli chyba pomieścisz w laboratorium, w biurze technicznym i administracyjno-handlowym. A nareszcie ideę panującą, która ogarnia całe życie fabryki, jej rozwój i wahania — może reprezentowałbyś ty sam, gdybyś w swojej cukrowni widział nie prasę do wyciskania dywidend, ale organizm, który ma spełniać jakieś cele na świecie.

Dodaj, że każda z istniejących fabryk ma swoją indywidualność. Są fabryki logiczne i głupie, rzetelne i szachrajskie, wolne i spętane przez wierzycieli, moralne i niemoralne. Pomyśl o tym wszystkim i powiedz: czy poza burakami, wytłocznymi, melasą i dywidendą nie dostrzegasz konturów — ducha, który tym tylko różni się od ludzkiego, że zamiast jednej świadomości ma ich kilkaset?...

— Stefku, profesor ma słuszość — rzekła Ada. — W fabryce istnieje duch zbiorowy...

— Ale nie ma w niej miejsca na współczucie i litość panny Magdaleny — odparł Solski.

— Mylisz się — wtrącił Dębicki. — Teraźniejsze fabryki są jeszcze bardzo niskimi organizacjami. Czy jednak nie sądzisz, że dzisiejsze zamęty w świecie pracy może nie istniałyby, gdyby w fabrykach tętniło żywe uczucie? Gdyby smutek spotykający jednego pracownika udzielał się innym; gdyby kierownicy troszczyli się o usuwanie przykrości, a nasuwanie przyjemności wykonawcom?

Żyjemy zresztą w epoce, kiedy w fabrykach zaczyna kiełkować ów uczuciowy element. Bo czymże innym wytłomaczysz: szpitale, szkółki i ochrony dla dzieci, doroczne i tygodniowe zabawy, kasy zapomóg, nawet orkiestry?... — Żadne z tych urządzeń nie pomnoży ilości wydobytego cukru ani powiększy dywidendy; do czegoż więc je odnieść, jeżeli nie — do budzącego się uczucia w tym zbiorowym duchu, który unosi się nad robotnikami i machinami.

Solski uderzył się w czoło.

— Masz, profesor, rację!... — zawołał podniecony. — W tej chwili dopiero zrozumiałem pannę Magdaleny i... siebie... Ja mógłbym być rozumem i wolą organizmu fabrycznego, a ona — jego uczuciem...

Madzia drgnęła na krześle, Ada i Dębicki spojrzeli. Solski opanował się i wzięwszy Madzię za rękę rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam za zestawienie pani i siebie... Ale w tej chwili przyszły mi na myśl szlachetne poglądy pani i moje odpowiedzi... Tak, pani ma słuszność; ja zaś nie miałem jej...

Pożegnał obecnych i wyszedł. Z progu jeszcze odezwał się:

— Tylko, profesorze, nie zbalamuc mi siostry i... panny Magdaleny.

— Złoty, kochany profesorze! — zawołała Ada ściskając obie ręce Dębickiemu. — Znowu ożywiłeś Stefka...

## 22. *Spiritus fiat, ubi vult*

Każdemu człowiekowi zdarza się podczas zimowego dnia patrzeć na zapotniałe szyby. W widoku tym nie ma nic, na czym warto by zatrzymać uwagę: jest przezroczysta tafla, która dzięki parze wygląda jak muślin, a zresztą nic do zapamiętania, nic, co by poruszyło ciekawość.

Wtem na dworze wionął wiatr chłodniejszy, temperatura spada o kilka stopni i — spotniała szyba zmienia się w jednej chwili. Muślin wilgoci zaczyna pokrywać się bogatym haftem, przedstawiającym liście dziwnych roślin albo pióra nieznanymi ptaków; z mgły powstaje wyrazistość, z jednostajności różnaitość i formy.

Podobne zjawisko zaszło w duszy Solskiego. Od dzieciństwa patrzył na swój pałac wypełniony służbą, na folwarki rojące się ludźmi i bydłem, a od kilku miesięcy na budującą się cukrownię. Miał wyobrażenie: co każdy z tych ludzi robi w pokojach, w polu, na murarskim rusztowaniu; ile go kosztuje, a ile mu przynosi zysku? Wszystko to jednak wydawało mu się jak szara mgła, która nużyła go jednostajnością i gdzie niepodobna było dopatrzeć duszy ani fizjognomii. Dopiero dzisiejszego wieczora nagle zmieniło się to wszystko: skryształizowało się jak rosa na szybach.

Z początku na herbacie u Ady Solskiej był rozdrażniony na Madzię: jej litość nad stolarzami, bakalarzami, wędrownymi aktorkami wydawała mu się ślamazarnym sentymentalizmem, którego nie cierpiał. Działo to na niego jak wygrywanie na fleciku czułych i nudnych melodyj.

„Gdybym ja raz mógł nie słyszeć o bladeściach, łzach i niedolach!...” — pomyślał zniecierpliwiony.

Potem zabrał głos Dębicki i jednostajnym, profesorskim tonem zaczął wykladać rzeczy, które Solski znał, setki razy czytał o nich i rozmyślał, lecz które nic go nie nauczyły. Rodzina, warsztat, praca w małym kółku, organizm społeczny, ach!... jakież to oklepane frazesy...

Było jednak w tej prelekcji coś niezwykłego: oto — pewność, z jaką przemawiał Dębicki. Zdawało się, że ten człowiek, wpatrzony w próżnię, naprawdę widzi — duchy unoszące się nad pracującymi machinami i nad każdym ludzkim zbiorowiskiem, które skupia się w jakimś celu.

„Gdzie dwu albo trzech zjeździe się w imię Moje — Ja tam będę...” — przemknęło Solskiemu przez myśl.

I nagle w jego duszy zbiegły się: jego folwarki i cukrownia, wykład Dębickiego i opowiadania Madzi. Błyskawica rozświetliła jego wnętrze i zobaczył rzeczy, których dawniej nie widywał nigdy.

Zdawało mu się, że jego pałacowa służba, złożona z kilkudziesięciu osób, stopiła się w jakimś cudownym kotle, skąd niebawem wyszedł jeden tylko, ale olbrzym. Każda jego ręka była odlana z kilkudziesięciu rąk, pierś — z kilkudziesięciu piersi, głowa — z kilkudziesięciu głów. Olbrzym ten, nieźle odziany i syty, siedział przed bramą pałacu, od czasu do czasu jednym palcem przesuwał sprząty albo oddechem zdmuchiwał pyły z pokojów. Niekiedy spoglądał na Solskiego i spełniał rozkazy bez wahania, ale i bez zapału.

Na wsi zdarzyło się to samo. Parobcy ze wszystkich folwarków spłynęli się w jednego parobka, którego żołądek wart był kilkaset zwyczajnych żołądków, ręka — kilkaset rąk, wzrost — kilkaset wzrostów. Tylko głowa wydawała się nieproporcjonalnie drobną na postaci ogromnej jak skała.

Olbrzym ten, trochę bosy i trochę obdarty, powoli odrabiał swoje zajęcia, miał ociężałe ruchy, apatyczną twarz i nieufne spojrzenie.

Szybko chodząc po gabinecie Solski wpatrywał się w te wizerunki własnej wyobraźni i poczuł dumę. Nie dość, że zrozumiał teorię Dębickiego, ale nawet — przyoblekł ją w ciało! Od tej pory już nie tylko będzie wiedział, że dom, folwark i fabryka są — organizmami, ale będzie — widział te organizmy w ich prawdziwym kształcie i rozmiarach.

Teraz dopiero Solski rozumie, że jest władcą i czarodziejem, który przywiązał do siebie wielkoludy za pomocą talizmanu... klucza od kasy!... Tym kluczem porusza z miejsca, budzi ze snu, zachęca do pracy, wywołuje radość albo smutek w swoich ogromnych niewolnikach. Wprawdzie inni panowie robią to samo; ale oni nawet nie domyślają się tego, co robią, nie widzą — olbrzymów, lecz — drobne ich okruchy, niewarte spojrzenia.

Solski wciąż chodzi po swoim gabinecie spoglądając od czasu do czasu za okno, gdzie widać księżyc w ostatniej kwadrze powoli wznoszący się nad dachami.

Nareszcie!... Nareszcie znalazł to, czego pragnął: władzę nad czymś wielkim. Jeden wielkolud czuwa nad jego wygodami, drugi wielkolud uprawia pola, trzeci będzie pracował w fabryce. Każdy z nich może jeszcze urosnąć, nabrać lepszej cery i humoru, jeżeli tak podoba się jemu — Solskiemu; albo może zniknąć z powierzchni ziemi, gdy tak zechce on, Solski.

Lecz któż by marnował takie istoty: chyba wariat albo człowiek, który ich nie widzi i nie cieszy się władzą nad nimi. Owszem, niech rosną i nabierają sił, niech będą dobrze odziani, syci i zadowoleni, niechaj leniwe ich ruchy nabiorą zręczności, apatyczne twarze — wyrazu. A nade wszystko niechaj porosną im zbyt drobne głowy, oni zaś sami niechaj — kochają Solskiego.

Oto są żyjące posagi, które on ma kształtować! Oto praca, jakiej od tylu lat pożądał! Teraz dopiero zrozumiał, że folwarki i fabryki warte są jego zdolności i zajęcia.

Ponieważ szczęście nie chodzi samotnie, więc w tym dniu Solskiemu trafił się jeszcze jeden pomysłny wypadek, może najpomysłniejszy. Te jego olbrzymy — mają jakieś potrzeby, które on nie zawsze odczuwa; nadto zaś, jeżeli pojmują ludzki język, to chyba język serca, którego Solski nie posiada. Ma on energię, ma twórczą myśl, ale... sentymentalnym być nie potrafi, to darmo!...

I otóż w takiej chwili znajduje się pod jego dachem Madzia, istota wrażliwa, jakby utkana ze współczucia i miłości. Ona chwyta w lot każdą cudzą potrzebę, odczuwa ją i znajduje natychmiastową odpowiedź. Ona jedna potrafi rozmówić się nawet z tym wielkoludem, który obok żołądka złożonego z kilkuset żołądków posiada głowę wartą ledwie kilkanaście głów.

Jest tedy trzy rzeczy: materiał na żywe posagi — rzeźbiarz, który chce je ciosać, i — pomost między materiałem a rzeźbiarzem — Madzia...

Solski rzucił się na kanapę ściskając rozpalone czoło.

„Uboga — myślał — ale na co mi pieniądze?... Żadne nazwisko, ale będzie miała moje... Żadne stosunki!... Nie, to nie są żadne stosunki... to są te, o które najwięcej chodzi mi w życiu... A gdzie ja znajdę podobną wrażliwość i taki bezmiar uczucia?... Przecież to posag, jakiego nie dostałbym za miliony!...”

Odgrzebywał w pamięci wszystkie kobiety, które kochał albo podziwiał. Były to osoby rozumne, dowcipne, piękne, eleganckie, oryginalne, ale — żadna taka!... Były to brylanty, szmaragdy, szafiry, które warto posiadać, ale żadna nie była tym, czym Madzia: promieniem światła, bez którego nawet klejnoty nie mają piękności.

„Czy ożeniwszy się z nią — myślał Solski — nigdy bym jej nie zdradził?... Naturalnie, sto razy zdradziłbym ją dla każdej, która by mi się podobała... A czy mógłbym ją porzucić?... Nigdy!... jak nie mógłbym rzucić własnego serca...”

A może ona kocha Norskiego?... — przeleciało mu przez głowę. — Jej płacz u Arnoldów... rumieńce... unikanie jego spojrzeń...”

Solski zerwał się z kanapy.

„Czyby to być mogło?... — szepnął. — Ależ to całe moje życie zrujnowane...”

Wyszedł do przedpokoju, włożył palto i wybiegł na pustą ulicę. Wrócił do domu, kiedy księżyc zaczął pochylać się ku zachodowi, a na wschodzie świtało.

„Muszę to wyjaśnić i zakończyć — mówił rozbierając się. — Ada zgodzi się natychmiast, ciotka Gabriela podąsa się, ale także ustąpi. No — a w naszej rodzinie nie wszyscy przecież są tak źli, ażeby nie potrafili ocenić Magdaleny”.

O tej samej godzinie, kiedy w duszy Solskiego rozegrywała się jej przyszłość, Madzia nie mogła zasnąć.

Nagle przerzucenie się Ady z towarzystwa kobiet pracujących do spirytyzmu przstraszyło Madzię. Cierpki zaś ton, jakim parę razy odezwał się do niej Solski, zranił jej dumę.

„Wielcy panowie — myślała — łatwo zmieniają upodobania i... lekceważą ludzi!... Wolę stąd usunąć się pierwej, zanim mnie wypędzą...”.

Potem zrobiło jej się żal Ady, która mogłaby sądzić, że Madzia porzuca ją przez kaprys, a nareszcie postanowiła — poczekać parę tygodni, może parę dni...

„Prawda, że pan Stefan odchodząc uznał swój błąd. Ale jakim tonem on mówił, że nie będzie zbierał niedołęgów, ażeby zapelnąć nimi fabrykę!... A w jaki sposób odpowiadał Dębickiemu?...”.

„To nie mój świat... nie mój... nie mój!... Trzeba stąd uciekać...” — myślała Madzia patrząc, że już świta na dworze.

## 23. ZNOWU ECHO PRZESZŁOŚCI

Od kilku dni Ada Solska spostrzegła w bracie niepokój.

Czytał i załatwiał majątkowe interesa, ale — nie miał apetytu, przesiadywał w nocy, unikał Madzi albo rozmawiał z nią krótko i oschle. Niekiedy wpadał do pokoju siostry i chodził milcząc, jak człowiek, który chce zwierzyć się z czymś, ale nie ma odwagi.

Pewnego popołudnia, kiedy Solski o zwykłej porze nie przyszedł do siostry, Ada wzięwszy kłębek włóczki i szydełko udała się do gabinetu brata. Pan Stefan chodził bardziej rozgorączkowany niż zwykle. Ada siadła na skórzanej sofie i rozwinięta włóczkę zaczęła robić szalik dla ciotki, w czym zresztą nie okazywała wielkiej biegłości. Cezar powitał ją skokami i machaniem ogona; widząc jednak, że pani nie zajmuje się nim, legł na tygrysięj skórze i zasnął.

Przez otwarte okna wpadały potoki słoneczne dzieląc gabinet na ciemne i jaskrawe pasy. Ile razy Solski chodząc ukazał się w oświetleniu, Ada widziała, że ma mizerną twarz i podsiniałe oczy; gdy wszedł w cień, wydawał się szary.

— Dobrze, żeś przyszła — odezwał się pan Stefan.

— Uważam to — odparła Ada nie odwracając oczu od roboty.

— Domyślasz się, o czym chcę z tobą mówić? — spytał.

— Nawet nie potrzebuję domyślać się. Widziałam to samo w roku zeszłym we Włoszech...

— Zupełnie co innego...

— I o Helenie mówiłeś, że jest inna aniżeli wszystkie kobiety.

Solski zatrzymał się przed siostrą.

— Czy to ma znaczyć, że stałaś się stronniczką panny Heleny?... — spytał.

Ada złożyła ręce na kolanach i podniosła oczy.

— Nie gniewaj się, mój kochany — rzekła — ale już nigdy wobec ciebie nie chciała-bym odgrywać roli swatki... Idzie mi o co innego. Wiele osób z naszej rodziny są pewne, że ożenisz się z Heleną, choć po mieście krążą w tej chwili inne pogłoski...

— Daj mi spokój z Heleną! — wybuchnął pan Stefan. — Sama zerwała i wszyscy o tym wiedzą...

— Nie wszyscy, nie wyłączając jej samej i jej rodziny. W tych dniach Helena odrzuciła jakiegoś inżyniera, który oświadczył się... Pani Arnold, mimo że duchy powiedziały, iż Helena nie wyjdzie za ciebie, czasami wspomina mi o waszym małżeństwie. Zaś brat Heli...

Tu głos panny Solskiej załamał się.

— Zaś pan Kazimierz Norski — mówiła siłąc się na spokój — nie przyjął ofiarowanej mu posady na kolei widocznie licząc na to, że... że zostanie twoim szwagrem... — zakończyła cicho Ada.

Solski patrząc na siostrę nie stracił ani jednej zmiany na jej twarzy, ani jednego od-cienia głosu. Oczy zatliły mu się, lecz po chwili zgasły i tylko niecierpliwie wzruszył ra-mionami.

— Z panną Heleną — rzekł — moje rachunki skończyły się. Gdyby na świecie były tylko dwie kobiety do wyboru: ona i jakaś inna, wybrałbym tę inną...

— Godna podziwu stałość... — szepnęła Ada.

— Może ty potrafisz być stała!... — syknął brat i zaiskrzyły mu się oczy.

Twarz panny Solskiej pociemniała.

— Więc dlaczego umizgasz się do niej? — zapytała łagodnie.

— Dlatego, że ona mnie kokietuje — odparł śmiejąc się. — Należysz do emancy-pantek, więc chyba uznajesz równe prawa...

Ada przyciągnęła brata i pocałowała w rękę; potem objąwszy go za szyję pocałowała w czoło.

— Rób, co chcesz, żeń się, z kim chcesz... ja cię kochać nie przestanę — szepnęła.

— Ani ja ciebie... — odparł. — I dlatego nie powiem ci: rób, co chcesz... Zrobisz zawsze tylko to, co powinna zrobić kobieta twego dostojęstwa.

— Zostanę starą panną, prawda? — spytała Ada z uśmiechem.

— Zostaniesz starą panną Solską.

— Wiem, wiem... — powtórzyła. — Mówmy o tobie: postanowiłeś ożenić się z Madzią... Przynajmniej tak myślisz dzisiaj...

— Tak — i ty musisz mi pomóc — rzekł Solski.

— Nigdy!... — zawołała Ada. — Wreszcie — na co tobie moja pomoc? Oświadczyć się sam.

— A jeżeli ona mnie nie kocha?

— Na to ja nie poradzę. Jak również i na to, ażebyś ty jej nie rzucił, gdy ci się sprzykrzy.

Solski usiadł obok siostry i wziął ją za rękę.

— Słuchaj — zaczął.

— Wiem, co powiesz — przerwała siostra. — Ona jest różna od innych kobiet... słyszałam to nieraz!...

— Nie — rzekł — ale ja ją kocham inaczej. Dawniej, kiedy podobała mi się kobieta, budziło się we mnie zwierzę: żarłbym ją... Prawie czułem rozkosz kęśania... Ale z tą jest inaczej...

— Prawda!... Ileż to razy, kiedy rozmawiałeś z Madzią, a choćbyś tylko patrzył na nią, wstydziałam się za ciebie... Ach, jacyż wy jesteście wstrętni z waszą miłością...

— Bądź cierpliwa — mówił pan Stefan błagalnym tonem — czy wiesz, gdybyś mi kazała opisać jej rysy, przysięgam, nie potrafiłbym. Tak dalece w moich uczuciach dla niej nie ma nic zmysłowego. Wiem, że ma prześliczne ręce... nóżkę... szyję jak utoczoną z kości słoniowej... biust bogiń... Otacza ją szczególna woń... Ale rysów jej prawie nie pamiętam. Moje nerwy nie grają tu żadnej roli... Ale jak ja znam jej duszę!... A tego nie mógłbym powiedzieć o żadnej z kobiet, które mi się podobały.

Ada wzruszyła ramionami.

— Nie wierzysz, że to nie jest miłość zmysłowa, ale jakieś niezemskie przywiązanie?... Słuchaj... Wiem, że to jest dziecko naiwne, nie zna życia; ale przy tym ma wielki rozsądek, a umysł jej rozwija się z dnia na dzień. Dziś jest dojrzała niż wówczas, kiedy sprowadziła się do nas.

— Prawda.

— Widzisz. Jest także bardzo energiczna, jest uosobieniem działalności i siły...

— Prawda — wtrąciła Ada.

— Ale to nie jest siła stali czy granitu, który albo łamie wszystko, albo druzgocze się sam. To raczej giętka siła płomienia, który faluje, ogarnia ze wszystkich stron, znika i ukazuje się w innym miejscu... A zawsze pełen wdzięku!...

— Bardzo trafne porównanie.

— Z tego powodu — mówił półgłosem Solski — przedstawia mi się ona jak duch w formie kobiety; działa, ale nie można jej schwycić. Więcej nawet: skutkiem braku egoizmu to dziecko wydaje się pozbawione cech ziemskich. Czy ona prosiła cię kiedy o co?... Dla innych tak, ale nigdy dla siebie. Jej nie potrzeba ani stanowiska, ani pieniędzy, niczego, za czym ubiegają się śmiertelni. A nawet, Ada, czyś ty uważała: w jaki sposób ona je?

— Bardzo ładnie...

— Bo robi to w taki sposób, jakby nigdy nie czuła głodu, nawet nie wiedziała, że potrawy mają smak. Ona jada tylko dlatego, ażeby ukryć swoje niebiańskie pochodzenie; ona udaje, że jada, jak udaje, że ma kształt ludzki, bez którego nie moglibyśmy wiedzieć o jej istnieniu.

— Znowu poezja! — wtrąciła Ada.

— Nazwijmy to poezją. Ale... przypomnij sobie jej humor. Czy to nie jest obraz pogodnego nieba?... Czy kiedy ona wejdzie do nas, nie robi się jaśniej i cieplej?... Czasami bywa smutna; ale i wtedy jest bożym słońcem chwilowo zasnutym chmurami... A jej łzy... bo widziałem i łzy u niej... Czy one nie są podobne do majowego deszczu, który spada na ziemię, ażeby rośliny zasypać brylantami, w których przegląda się niebo...

Siostra patrzyła na niego zdziwiona.

— Mój drogi — rzekła — powtórz jej to, coś mnie mówił, i proś o rękę...

Solski zerwał się z sofy i zaczął chodzić po gabinecie.

— Cóż to znaczy?... — spytała Ada.

— Nie wiem... — odparł. — Zresztą... nie znam jej przeszłości ani rodziny!... — dodał gwałtownie.

— Przeszłość Madzi?... — zawołała panna Solska śledząc oczyma brata. — Mój Stefku — przeżegnaj się!... Madzia nie ma żadnej przeszłości, którą można by się niepokoić. A co do jej rodziny... Pochodzi ze Strusiów, o tym wiesz... Jej rodzice pracują, ale nie potrzebują niczyjej łaski; mają zaś tak skromne wymagania, że kilkadziesiąt tysięcy rubli zabezpieczy ich do końca życia. Matka, zdaje się, trochę despotyczna, zrzędzi w listach na Madzię; ale ojciec przypomina Dębickiego... Przynajmniej pisząc do Madzi uroni od czasu do czasu taki frazes, jak gdyby podsłuchał profesora. No, a Dębickiego chyba przyjąłbyś na teścia?... Ostrzegam cię, że z tym ojcem musisz się rachować: bo choć to prowincjonalny lekarz, ale człowiek nietuzinkowy... On może postawić warunki co do szczęścia swego dziecka.

Solski milczał. Nagle zatrzymał się przed Adą i rzekł:

— A jeśli ona mnie nie kocha?...

— Staraj się pozyskać jej serce. To chyba potrafisz — odpowiedziała siostra z dumą.

— A jeżeli... a jeżeli ona — kocha innego... In-nego... — powtórzył pan Stefan.

— Kogo?... — szeptem zapytała Ada.

Solski pochylił się nad nią i również szepnął do ucha: — Pana Ka-zi-mie-rza... — słyszałaś?...

Parma Solska spuściła oczy. Ręce jej opadły, twarz pociemniała, a potem pożółkła.

Brat patrzył na nią... patrzył... nagle wyrzucił nad głowę zaciśnięte pięści i zawołał chrapliwym głosem:

— Podlec!... Zdepczę...

Panna Solska podniosła się z kanapy i spokojnie patrząc na rozjuszonego rzekła:

— Stefek... ty mu nic nie zrobisz.

I wyszła z pokoju zostawiając brata, który pienieł się, ale czuł, że nic nie zrobi Nor-skiemu, bo — tak chce jego siostra.

Madzia wróciła z lekcji około czwartej. Na jej oczach znać było ślady łez, a w twarzy taki smutek, że panna Solska zdziwiła się.

„Czy znowu mieli jaką rozmowę z Kazimierzem?...” — pomyślała i gniew zakipiał w niej. Chciała udać, że ma ból głowy, byle nie rozmawiać z Madzią; lecz po chwili szlachetne serce wzięło górę nad podejrzeniami i Ada tuląc do siebie przyjaciółkę spytała:

— Co tobie jest?... Czy znów wysłuchałaś traktatu o duszy?...

Madzia spojrzała na nią i wrzuciła ramionami. Ten ruch rozproszył niepokoje Ady. Jeszcze serdeczniej ucałowała Madzię i rzekła z naleganiem:

— Tobie stało się coś przykrego?... Powiedz: co ci jest?

— Nie mnie!... — odparła Madzia siadając na kanapie... — Znasz Manię Lewińską, w której jeszcze na pensji kochał się ten student Kotowski?

— Porzucił ją?

— Przeciwnie, od roku są narzeczonymi... Ale nie!... Opowiem ci od początku. Nie masz pojęcia, jaka to smutna historia.

— Zaczekaj — przerwała Ada. Dotknęła dzwonka, a gdy ukazał się lokaj, rzekła:

— Poproś do nas pana.



— Ada, co robisz?... — zawołała Madzia ukrywając twarz w rękach. — Chociaż... czy ja wiem... Może będzie lepiej, jeżeli dowie się o tym pan Stefan.

Solski przyszedł natychmiast. Wyglądał tak mizernie, że Madzia spojrzawszy na niego krzyknęła:

— Pan chory?...

Ale w tej chwili zmieszała się i spuściła oczy.

— Nic mi nie jest — odparł Solski odzyskując dobry humor. — Z bezsenności bolała mnie głowa, ale to przechodzi.

A ponieważ Madzia milczała zakłopotana, więc dodał:

— Porozmawiam z paniami i będę zdrów.

— Właśnie Madzia chce nam coś powiedzieć — wtrąciła Ada.

— Ja tylko tobie chciałam opowiedzieć...

— Zobaczysz, że będzie lepiej, gdy usłyszysz Stefek — rzekła Ada. — My oboje bardzo jesteśmy ciekawi wszystkiego, co cię wzrusza.

— Niedobra!... — szepnęła Madzia.

Solski usiadł patrząc na siostrę, a Madzia zaczęła:

W godzinę później przy obiedzie, na którym nie pokazał się Solski, ciotka Gabriela była bardzo sztywna: z góry patrzyła na Madzię, nie pytała jej o nic, a zaczepiona przez nią, odpowiadała niechętnie.

„Pani Gabriela — myślała przestraszona Madzia — zapewne ma już kogoś na posadę lekarza cukrowni i obraziła się na mnie... Ale niech tam, byle im, biedakom, co z tego przyszło!... W każdym razie za długo tu mieszkam... Wkrótce cały świat zechce, ażebym prosiła Solskiego o posady, i w końcu obrzydnę mu tak, jak już dziś jego ciotce... Trzeba stąd uciekać czym prędzej...”

## 2.4. STUDENT, KTÓRY JUŻ ZOSTAŁ LEKARZEM

Tymczasem Solski, wysławszy naglące wezwanie do Kotowskiego, z niecierpliwością oczekiwał młodego lekarza.

Okolo siódmej zameldowano go.

Wiele rzeczy zmieniło się od czasu, kiedy pan Władysław, jako student, pośredniczył w drukowaniu artykułów panny Howard o specjalnej opiece nad nieprawymi dziećmi. Przede wszystkim sama panna Howard zasadniczo zmieniła pogląd na kwestię nieprawych dzieci od chwili, gdy jej antagonistka, członek Kanarkiewiczowa, zajęła się protegowaniem uwiedzionych dziewcząt.

Ale pan Władysław Kotowski zmienił się niewiele. Był to ten sam, co i przed półtora rokiem, młody człowiek z zapadłymi policzkami, głową nastroszoną jak jeżozwierz, zamknięty w sobie, niemowny, pochmurny. Tylko zamiast wytartego mundura miał czarny tużurek wytarty na szwach; ale spodnie były jak i wówczas wygniecione na kolanach.

Do gabinetu pana Stefana Kotowski wszedł z głową zadartą, zaczesując włosy, z miną, którą miała oznaczać pewność siebie wobec magnata. Ale wielki pan jednym rzutem oka ocenił, że butny parweniuz jest mocno zmieszany i że serce w nim drży, miotane nieokreśloną nadzieją.

— Pan hrabia raczył... Otrzymałem list od hrabiego... — zaczął Kotowski i zmieszał się jeszcze bardziej, gdy przypatrzył się tatarskiej twarzy, od której biła energia.

— Kochany panie — rzekł Solski ściskając go za rękę — przede wszystkim nie tytułuj mnie hrabią... Siadaj pan — dodał podsuwając fotel — i pogadajmy.

Kotowski upadł na fotel, a oczy zaszyły mu mgłą.

„Czego ode mnie chce ten diabeł?...” — myślał patrząc na małą figurkę Solskiego, która coraz potężniejsze robiła na nim wrażenie.

Solski spostrzegł to. Odgadł, że młody lekarz podziwia go bezinteresownie, i — poczuł dla niego sympatię.

„Podoba mi się ten kandydat na Brutusa...” — pomyślał, a głośno rzekł:

— Panie Kotowski, słyszałem o panu wiele dobrego.

— O mnie?... — zapytał tonem obrazy młody człowiek.

— Od panny Magdaleny Brzeskiej...

— Aaa!...

— A ponieważ buduję cukrownię i chciałbym robotników otoczyć uczciwymi opiekunami, więc — proponuję panu miejsce lekarza przy fabryce.

Kotowski nie podziękował za propozycję: patrzył na Solskiego nie wierząc własnym uszom.

— Warunki są następujące: murowany dom z ogrodem, kilka morgów ziemi, konie, dla nich obrok, i tysiąc pięćset rubli rocznej pensji. Przyjmuje pan?...

Kotowski był oszołomiony. Zaczął gestykulować rękoma, ale milczał.

— A więc przyjmuje pan — rzekł Solski.

— Za pozwoleniem!... — odparł młody człowiek podnosząc się z fotelu. — Bardzo... bardzo jestem wdzięczny... nigdy nie myślałem... Ale...

— Ale co? — zapytał Solski i na czole zarysowała mu się zmarszczka.

— Czy... czy pan Kazimierz Norski należy... czy należy do pańskiej cukrowni?...

Solski cofnął się.

— Nie należy — odparł szybko — i nigdy nie będzie należał... Z jakiego jednak powodu zadaje pan to pytanie?

— Bo gdyby pan Norski był przy cukrowni, ja nie przyjąłbym tam miejsca — odparł Kotowski.

Usłyszawszy to Solski doznał tak spotęgowanej sympatii dla młodego człowieka, że uściskałby go. Opanował się jednak i zrobiwszy poważną minę rzekł:

— Daruje pan, że będę prosił o bliższe wyjaśnienia. Dlaczego nie przyjąłby pan miejsca w instytucji, do której należałby pan Norski?

— Bo to jest, proszę pana, szubrawiec — odparł Kotowski i mocno zwichrzył sobie włosy. Nie był fizjognomistą, więc zdawało mu się, że wypowiadając tak ostry sąd o panu Kazimierzem ryzykuje posadę.

— Użył pan silnego określenia, a teraz proszę o fakta...

— Uważa pan, jest taka awantura arabska — mówił Kotowski, jeszcze nie mogąc zapomnieć knajpowego słownika. Niejaki szlachcic Mielnicki, wuj mojej narzeczonej, kiedy utopiła się pani Latter, zapisał dla jej syna, Kazimierza, cztery tysiące rubli na hipotecę w Warszawie. Była to najpewniejsza suma, jaką posiadał stary... Płacono od niej regularnie procenta, których bardzo potrzebuje w tych czasach...

Kotowski kręcił się na krześle, stękał, targał włosy, lecz mówił dalej:

— I cóż się dzieje. Oto pan Norski na Nowy Rok wymówił dłużnikowi ofiarowaną mu sumę, a w kwietniu odebrał ją. Daremnie prosiliśmy, ażeby pan Norski wziął cztery tysiące rubli umieszczone na innej hipotecie, skąd dopiero w jesieni będziemy mogli podnieść należność... Daremnie przedstawialiśmy, że stary Mielnicki, sparaliżowany, idiota, nie będzie miał co jeść... Nie chcieliśmy cofać darowizny, tylko przenieść ją... Ale pan Norski uparł się twierdząc, że ma długi honorowe... No, i zabrał pieniądze, a stary biedę klepie...

Gdyby kto dał tysiące Solskiemu, nie zrobiłby mu tyle przyjemności, co Kotowski opowiedzeniem tej historii. Ale panował nad sobą i rzekł spokojnie:

— Czy oprócz państwa wie jeszcze kto o tym wypadku?

— Rejent... zresztą nasz dłużnik... Mielnicki nie ma dziś przyjaciół, którzy by interesowali się nim. Wreszcie... nie tylko akt darowizny był w porządku, ale nadto stary, ile razy odzyska przytomność, pyta się o zdrowie pana Norskiego i o to, czy już odebrał darowaną sumę. Mielnicki nie ma pojęcia o swoim położeniu: ciągle myśli, że jest majątnym i że wyzyskuje go — moja narzeczonej.

— Czy pan upoważnia mnie — spytał Solski — ażebym zrobił kiedy użytek z tej wiadomości? Może nigdy nie zrobię, ale... może trafić się taki wypadek.

— Owszem. Mnie w rezultacie wszystko jedno. Wreszcie ten pan miał za sobą prawo...

— Mniejsza o to — rzekł Solski. — Ale oświadczam, że pan Norski nie jest i nigdy nie będzie w żadnej instytucji, z którą ja jestem związany. A teraz — czy przyjmuje pan posadę lekarza przy cukrowni?

— Oj... oj...

— Do czasu puszczenia w ruch fabryki będzie pan naszym lekarzem tu, w Warszawie. Ktokolwiek z naszego domu zwróci się o poradę, jest pan obowiązany udzielić jej. Pensję ma pan tę samą i — pięćset rubli na mieszkanie. Obowiązki obejmie pan od pierwszego maja...

— To już koniec maja — szepnął Kotowski.

— Potrzebny mi jest ten termin do ujednostajnienia rachunków. Ale... ale!... — dodał Solski. — Naturalnie, ma pan długi: ile one mogą wynosić?

— Z pięć... z pięćset rubli — odpowiedział przestraszony Kotowski.

— Administracja cukrowni spłaci pańskie długi i będzie strącać z pensji... No, i z gratyfikacji... Jutro około południa zechce pan zgłosić się do kancelarii zarządu i kasa załatwi z panem rachunki. A teraz dziękuję i do widzenia...

Kotowski wstał, uściśnął podaną sobie rękę, znowu usiadł... Mruknął: „aha!”, i znowu podniósłszy się, zamiast do drzwi właściwych poszedł w stronę sypialni... Solski musiał go odprowadzić do przedpokoju.

Tu młody człowiek nieco ochłonął i przypomniał sobie, że może wypadałoby trochę serdeczniej podziękować osobliwemu opiekunowi. Widząc jednak, że drzwi gabinetu już zamknięto, zeszedł na dół chwijając się.

Dopiero na dziedzińcu, gdy owionęło go chłodne wieczorne powietrze, uczuł ściśnięcie w piersiach i rozplakał się.

Miał w tej chwili czterdzieści groszy majątku, a jego narzeczona — pół rubla.

„Czy mi się śni... czym oszalał?... — myślał obcierając oczy podartą chustką. — Ale jeżeli to sen, o Boże, nie budź mnie z niego, bo już nie dam sobie rady z rzeczywistością...”

Ukryty za filarem podjazdu szwajcar zauważył nadzwyczajne zachowanie się młodego człowieka, a usłyszawszy jego płacz nie wierzył własnym uszom. Sceptycyzm nie przeszkodził mu jednak zawiadomić o tym wypadku kamerdynera, który natychmiast zameldował panu.

Solski zrozumiał, co musiało zajść w duszy młodego lekarza. Zrozumiał jego ciężką biedę, nagłe przejście do lepszego bytu, łzy... I pierwszy raz doznał tak wielkiego, tak niezgłębionego szczęścia, że ono jedno mogłoby mu wypełnić całe życie.

Majątek, pojedynki, pływanie po morzu, wdrapywanie się na góry, czymże to jest, co to warte wobec jednego człowieka, który zapłakał z radości...

„Wszystko to jej zawdzięczam. A ile jeszcze mogę mieć podobnych dni?... — myślał Solski. — Ona i tylko ona... zawsze ona; przy każdym szlachetniejszym uczuciu!...”

Tu nasunęła mu się uwaga: jeżeli Madzia poleciała Kotowskiego, musi też wiedzieć o Norskim. A jeżeli wie, trudno, ażeby nim nie pogardzała!... Więc nie kocha go i on, Solski, bez potrzeby niepokoi się takim rywalem!...

Chodził po gabinecie, wreszcie rzekł do siebie:

„Czego ja się waham?... Trzeba raz skończyć, i to natychmiast...”

Zadzwoił na służącego.

— Czy panna Brzeska jeszcze nie śpi?

— Nie śpi, proszę jaśnie pana, czyta w swoim pokoju.

— Idź do panny Ady i zapytaj, czy mogę ją odwiedzić.

— Jaśnie pani położyła się... Głowa boli jaśnie panią...

— Aaa!... — syknął Solski i dodał w duchu: „Znowu spóźnię się o kilkanaście godzin...”

Po namyśle jednak uznał, że takie obcesowe oświadczenia nie miałyby sensu. Trzeba przygotować Madzię, a z drugiej strony — własną rodzinę, z którą czuł, że stoczy ciężką walkę.

„Stanowczo — ale powoli!...” — rzekł do siebie.

Tymczasem Madzia, przy świetle lampy siedząc nad książką, od czasu do czasu przerwywała czytanie i myślała:

„Czy też pan Stefan da posadę Kotowskiemu?... Może mu się, biedak, nie podoba?... Bo u wielkich panów wszystko zależy od chwili i gustu...”

Potem przypomniała sobie zapał, z jakim Solski słuchał jej opowiadania, i — jego dziwne wyrazy...

„Za co on tak całował mnie w rękę?... Ot, tak sobie... kaprys...”

Nagle zbudził się w niej gniew na samą siebie i wyrzucała sobie, że jest niewdzięczną względem Solskich. Ale uczucie to prędko zgasło ustępując miejsca podejrzeniom.

Od pamiętnej rozmowy z panem Kazimierzem w duszy jej coraz częściej zrywały się lodowate podmuchy niewiary. Wszystko wydawało się jej niepewnym i podejrzanym, nawet to, co sama robiła, nawet jej własne życie.

Cały świat stracił w jej oczach dotychczasowe znaczenie; wszystko w nim było tylko tłuszczem, fosforem i żelazem; wszędzie poczęła dopatrywać oznak trupiej zgnilizny...

## 25. NIEBEZPIECZNE STRONY WDZIĘCZNOŚCI

Nazajutrz na pensji około pierwszej przełożona wezwwała Madzię do kancelarii. Tam, obok uśmiechniętej panny Malinowskiej, stała płacząca Mania Lewińska, która na widok Madzi złożyła ręce i — upadła jej do nóg łkając:

— Ach, Madziu... ach, pani... tyle łaski!... Władek będzie miał ogród... dom murywany i tysiąc pięćset rubli... Niech panią Bóg błogosławi...

Madzia w osłupieniu spojrzała na uśmiechającą się pannę Malinowską. Dopiero gdy Mania Lewińska zaczęła całować jej ręce, Madzia oprzytomniawszy podniosła ją.

— Co tobie jest, Maniu?... — spytała. — Więc Kotowski dostał posadę? Chwała Bogu... Ale za co dziękujesz w tak dziwny sposób?...

— Bo wszystko zawdzięczamy pani...

— Pani?... — powtórzyła Madzia. — Dlaczego tak mówisz do mnie?...

Lewińska, zmieszana, umilkła. Wyręczyła ją panna Malinowska:

— No, panno Mario, choć będziesz tylko żoną lekarza, jestem pewna, że pani Solska nie zapomni o związkach koleżeńskich...

Madzi rozszerzyły się źrenice; schwyła się za czoło i kolejno spoglądała to na pannę Malinowską, to na Manię Lewińską widząc je jak przez mgłę.

— Co wy mówicie?... — szepnęła.

— Droga pani — rzekła panna Malinowska — przecie wobec nas nie potrzebujesz wypierać się stosunku, jaki cię łączy...

— Stosunku, jaki mnie łączy?... Z kim?... — pytała Madzia.

— Jesteś pani narzeczoną pana Solskiego...

— Boże miłosierny... — zawołała Madzia łamiąc ręce. — I pani to mówi?... — zwróciła się do przełożonej. — Ależ to kłamstwo... potwarz!... Oni oboje, Ada i pan Stefan, obiecali mi dać szkołę przy swojej cukrowni... Moje stanowisko jest tam nieskończenie mniejsze aniżeli Mani Lewińskiej... Boże mój, co wy ze mną robicie!... Boże mój...

Przerażenie Madzi zastanowiło pannę Malinowską.

— Jak to... — spytała — więc nie jesteście jeszcze zaręczeni z Solskim?...

— Ja?... ależ co pani mówi?... Ja mam być nauczycielką ich szkoły przy cukrowni... Któż ogłasza tak niegodziwe plotki?...

— Słyszałam to od pana Zgierskiego — odparła obrażona panna Malinowska. — On przecież jest prawą ręką Solskiego.

— Aaa... pan Zgierski? — powtórzyła Madzia. — Ależ to kłamstwo, które mnie naraża wobec państwa Solskich i ich rodziny... Mieszkam u Ady... rzadko widuję pana Stefana... mam być nauczycielką w ich szkole... O Boże, co wy mi robicie!... Nigdy o niczym podobnym mowy między nami nie było i nie będzie...

— Moja droga, nie mów: nie będzie! — rzekła panna Malinowska obejmując Madzię.

— Nie będzie!... — z mocą powtórzyła Madzia. — Pan Stefan powinien ożenić się z Heleną Norską... To było najgorętsze życzenie jej matki, a ja namawiam Helę do tego... Pomyślcie więc, panie, jak musiałabym być podłą, gdybym przyjmowała jakies objawy — ze strony pana Solskiego...

Mania Lewińska patrzyła na nią z przestraszeniem, panna Malinowska ze zdziwieniem. Wreszcie rzekła zakłopotana:

— Kochana panno Magdaleno... wróć do klasy... Zaszło tu coś niejasnego, więc lepiej nie mówmy...

Madzia chłodno pożegnała obie panie i wróciła do klasy; ale w niecały kwadrans wyszła czując, że nie panuje nad sobą. Każdy szept, każdy ruch, nawet widok siedzących w ławkach dziewczynek tak ją drażnił, iż zaczęła lękać się ataku szaleństwa. Widziała przed sobą kłęczącą Manię, która mówiła jej „pani”, i uśmiechniętą pannę Malinowską, która nazwała ją „panią Solską”...

— Otóż spełniły się złe przecucia!... — szepnęła Madzia zbiegając ze schodów. — Co ja teraz pocznę?

Na ulicy zaczęła odzyskiwać równowagę, więc postanowiła przejść się czując, że ją to uspakaja.

Już ludzić się nie było można: publiczne plotkarstwo robi z niej albo kochankę, albo narzeczoną Solskiego!...

Mniejsza o tytuł kochanki; Madzia była pewną, że każdy, kto ją zna, nie będzie wierzył temu. Nikt zresztą nie przypuści, ażeby panna Solska przyjaźniła się i dzieliła mieszkanie z kochanką brata.

Ale co robić, jeżeli ją, Madzię, posądzają, że jest narzeczoną Solskiego, i to posądzają od dawna? Bo czym wytłumaczyć względy, jakimi otoczono ją na pensji, albo nadzwyczajną uprzejmość Zgierskiego dla niej, albo rozmowy z panem Arnoldem, który polecał — jej — maszyny z fabryk amerykańskich i angielskich!... Wreszcie dzisiejsza scena z Manią Lewińską i słowa panny Malinowskiej czy nie dowiodły, że nawet najbliżsi widzą w niej przyszłą panią Solską?

Pomimo kojącego wpływu przechadzki Madzia uczuła zawrót w głowie. Co o niej pomyśli pan Stefan, który na jej prośby tyle dobrodziejstw wyświadczył obcym sobie ludziom?... Czy dla niej, która zalecała mu małżeństwo z Helą Norską, nie uczuje pogardy?... Bo naturalnie będzie miał prawo przypuszczać, że to ona jakimś nietaktownym odezwaniami się wywołała plotki. Tym bardziej że uwierzyli im najpierw ci ludzie, za którymi wstawiała się do Solskiego.

„Co robić?... co robić?...” — z rozpaczą myślała Madzia.

Do Iksinowa nie ma po co wracać; już od kilku miesięcy napisała rodzicom, że pensji tam nie otworzy, ponieważ dostanie szkołę przy cukrowni. Teraz więc musi znaleźć miejsce w Warszawie, o co przy nadchodzących wakacjach nie będzie łatwo. Mniejsza jednak o miejsce, ma jeszcze kilkaset rubli gotówką, ale jak powiedzieć Adzie: wyprowadzam się od was!... Dlaczego?... Dlatego, że ludzie zrobili mnie narzeczoną pana Stefana...

Jedno z dwojga: albo Ada roześmieje się z plotek, albo obrazi się. Czy zresztą Madzi wypada z kimkolwiek mówić o tej kwestii nie narażając się na podejrzenia; czy nawet wypada jej choćby tylko myśleć o pogłosce? Przecież dla Solskich, a nawet dla niej samej, jest to tak potworna niedorzeczność, że nie można zwracać na nią uwagi. Przecież to samo plotkarstwo, które ją dziś wydaje za pana Stefana, jutro może ogłosić, że zabrała komuś pieniądze.

Dawneż to czasy, kiedy w Iksinowie przez chwilę mówiono, że Cynadrowski zabił się dla niej?... Zaś pani podsejdkowa może i dziś twierdzi, że Madzia popychała pannę Eufemię do Cynadrowskiego, a przynajmniej — ułatwiała im schadzki.

Trochę mimo woli, trochę świadomie Madzia skierowała się w stronę mieszkania państwa Arnoldów, a znalazłszy się przed bramą weszła na górę. Coś ciągnęło ją, ażeby w tej właśnie chwili zobaczyć pannę Helenę.

Zastała ją w salonie, wesoło rozmawiającą z panią Arnoldową i panem Bronisławem Korkowiczem. Madzię zmieszał ten widok, ale panna Helena nie okazała ani śladu zakłopotania i przywitawszy się rzekła do Madzi:

— Dobrze, że jesteś, moja droga, bo mam do ciebie interes.

Przeprosiła pana Bronisława i wyszła z Madzią do gabinetu.

— Zapewne wiesz — rzekła bez wstępu — że Kazio nie ma posady na kolei, o której mówił z tobą...

— Cóż się stało?

— Zwykła rzecz: pożyczyłam mu pieniędzy, a on stracił ochotę do pracy. Zatruje mi życie ten chłopak!... — zawołała panna Helena i dodała:

— Moja Madziu, ty częściej widzisz Stefana, więc napomknij mu: czyby dla Kazia nie znalazł jakiego zajęcia? Jest to lekkoduch, ale chłopak ambitny i szanuje Solskiego. Założyłabym się, że gdyby Solski umieścił go przy sobie, Kazio weźmie się do roboty.

„I ona to samo!” — pomyślała już z gniewem Madzia, a głośno rzekła:

— Moja kochana, zdaje mi się, że właściwiej byłoby tobie wstawiać się za bratem...

— Ja też pomówię z Solskim — przerwała panna Helena — ale że on nie lubi Kazia, więc chciałabym utorować sobie drogę... Moja Madziu, zrób mi to... Ty częściej widzisz się ze Stefkiem, zresztą tak lubisz Kazia...

— Ja? — spytała zarumieniona Madzia.

— No, nie zapieraj się... coś o tym wiemy!... — rzekła panna Helena całując ją. — Tylko załatw się prędko, bo chcę pomówić ze Stefkiem w tych dniach.

„Więc przynajmniej ona nie przypuszcza, że jestem narzeczoną Solskiego!...” — pomyślała Madzia i odetchnęła.

Już wracając do salonu pannę Helenę Madzia zatrzymała.

— Słuchaj, Helu... Przepraszam, że mówię ci o tym...

— O czym?...

— Czy sądzisz — ciągnęła Madzia — że pan Solski chętniej spełni twoją prośbę widując tu pana Bronisława?

— Eh, moja droga!... — roześmiała się Helena. — Jesteś jeszcze bardzo naiwna...

Popchnęła ją ku drzwiom i obie weszły do sali.

Madzia posiedziała w towarzystwie akurat tak długo, ile było potrzeba, ażeby dowiedzieć się od pani Arnold, że Ada robi wielkie postępy w spirytyzmie, i — ażeby przekonać się na własne oczy, jak zakochany jest w Helenie pan Korkowicz i w jaki sposób ona podnieca go. Wyszła oburzona na Helenę, ale spokojniejsza o siebie.

„Widocznie — myślała — plotki o panu Stefanie i o mnie nie muszą być tak głośne... Inaczej doszłyby do Helenki, która dałaby mi to uczuć... A może... i ona po raz drugi słyszała coś, ale uważa to za niedorzeczność, którą nie warto się zajmować...”

Wstyd ogarnął Madzię.

„Jakaż ja jestem zarozumiała... nie mam rozumu!... — mówiła do siebie. — Jeżeli to — nawet Helence wydaje się nieprawdopodobnym, czy więc ja mogłam przypuszczać, ażeby Ada albo pan Stefan przywiązywali znaczenie do takich głupstw? Może i słyszeli o tym, ale z pogardą wzruszyli ramionami, podczas gdy ja robię dramat... chcę uciekać od nich!...”

Wśród tych uwag serce Madzi ścisnęło się boleśnie, ale już spokojniejsza wróciła do domu. Pomyślała na zakończenie, że Solski tyle robi sobie z pogłosek, ile robiłaby ona, gdyby kto mówił, że wychodzi — na przykład — za żonatego nauczyciela w Iksinowie.

Jeszcze bardziej uspokoiła się przy obiedzie.

Sztywniej ciotki Gabrieli nie było, a pan Stefan, od pewnego czasu rozdrażniony i pochmurny, znajdował się dziś w wyjątkowo dobrym humorze.

Opowiadał Madzi o Kotowskim, który jak najprzyjemniejsze zrobił na nim wrażenie. Pod koniec obiadu kazał podać butelkę wina i zmusił panie do wypicia za zdrowie Mani Lewińskiej i jej narzeczonego.

Gdy spełniły duszkiem, rzekł:

— A teraz, Ada, za zdrowie protektorki zakochanych, panny Magdaleny... Pani zaś musi wypić na podziękowanie...

Gdyby w sercu Madzi była jeszcze jakaś troska, ten drugi kieliszek odpędziłby ją. W tej chwili rozmowa z Manią Lewińską i przełożoną wydawała jej się komicznym nieporozumieniem, a własna irytacja dzieciństwem.

„Czy można było niepokoić się taką bagatelą?... Myśleć o opuszczeniu Solskich... o wyrzeczeniu się szkoły przy cukrowni?... Ach, ja już nigdy nie będę miała rozumu!...” — mówiła do siebie Madzia śmiejąc się jak za pensjonarskich czasów.

Kiedy Solski ucałował Madzi ręce (na podziękowanie za znajomość z Kotowskim) poszedł do siebie, a obie panny znalazły się w gabinecie Ady, Madzia pod wpływem wesołego nastroju rzekła do przyjaciółki:

— Wiesz, byłam dziś u Heleny... Powiedziała mi, że pan Kazimierz już nie ma posady na kolei, i prosiła... Ani domyślisz się!... Prosiła, ażeby twój brat dał panu Kazimierzowi u siebie jakie zajęcie.

Panna Solska spojrzała na Madzię chłodno.

— Któż ma mówić o tym Stefanowi? — spytała.

— Naturalnie, że sama Helenka. Ale ona chce, ażeby utorować jej drogę...

— A tego kto się podejmie?...

— Może ty, Adziuś — zechcesz...

— Ja... nie!...

— W takim razie muszę chyba ja... — zawołała ze śmiechem Madzia.

Ale w tej chwili zmroziło ją spojrzenie panny Solskiej. Ada poblądła, zarumieniła się i utkwivszy skośne oczy w wylęknionej Madzi rzekła:

— Ty?... A cóż ciebie obchodzi pan Kazimierz?...

„Co to znaczy?... — przemknęło przez myśl Madzi. — Ona jeszcze nigdy taką nie była...”.

Ale panna Solska opamiętała się. Schwyciła Madzię w objęcia, zaczęła całować jej usta, oczy, ręce i szeptać:

— Nie gniewaj się, Madzius... wino mnie tak rozstraja... Ale proszę cię, nie mów nigdy ze Stefkiem o panu Kazimierzu, nigdy, słyszysz... A tym bardziej nie wstawiaj się za nim... Stefan nie lubi go...

„Już za nikim nie przemówię ani słówka” — pomyślała Madzia. Palił ją wstyd. Spojrzenie Ady i ton, jakim przemówiła do niej, odczuła jak obelgę. I znowu (jak wówczas, kiedy obie wracały z posiedzenia kobiet) między sobą i panną Solską Madzia zobaczyła przepaść.

Ten drobny wypadek na tle poprzednich stał się punktem zwrotnym w życiu Madzi. W usposobieniu jej zaczęła się jakaś zmiana, z początku niedostrzegalna, która jednak szybko rosła.

Madzia w ciągu kilku dni straciła humor; uśmiechała się coraz rzadziej i smutniej; w stosunkach z Adą i Solskim zaczęła ją ogarniać lękliwość. Rzadko kiedy wchodziła do pokojów Ady, w swoim zaś mieszkaniu przesiadywała tylko w gabinecie nie zaglądając do saloniku. Obiady u wspólnego stołu męczyły ją, zaczęła tracić apetyt.

Sypiała gorzej, a gdy zaniepokojona Ada weszła raz do niej w nocy, znalazła Madzię ubraną, siedzącą przy biurku bez światła.

Na próżno Ada, może poczuwając się do drobnej winy, spotęgowała czułość dla Madzi. Całowała ją po rękach, wieczorami czytywała książki przy jej łóżku, obmyślała rozrywki. Madzia okazywała jej serdeczną wdzięczność, robiła sobie wyrzuty, ale — nie mogła odzyskać dawnego humoru: była zakłopotaną i nieśmiałą.

„Kocha się w Stefku... — pomyślała Ada wyczerpawszy cały zasób środków, które mogły rozweselić Madzię. — Ach, żeby się to już skończyło!...”.

Z bratem jednak nie rozmawiała odgadując, że i on spostrzegł zmianę w Madzi i że robi jakieś kroki między familią. Czuła, że gotuje się w ich domu coś ważnego. Świadczyło o tym rozdrażnienie Solskiego, gniew ciotki Gabrieli i częste wizyty Stefana u rozmaitych krewnych, którzy nawzajem rewizytowali go, spędzając długie godziny na rozmowach.

Ada domyślała się wszystkiego, lecz nie zdradziła się przed bratem ze swych przypuszczeń. Bała się odzywać w tej chwili.

A tymczasem w Madzi już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę rozrastało się uczucie zgnębienia. Traciła wiarę. Wiarę w to, że Solscy ją kochają i szanują, wiarę w to, że ona może być komukolwiek potrzebna, a nareszcie — wiarę w ład i sprawiedliwość na świecie.

W duszy jej snuły się najczarniejsze wspomnienia i wnioski. Zginęła pani Latter, kobieta pełna rozumu i energii; zginął Cynadrowsid, człowiek szlachetny, i biedna Cecylia, uosobienie miłości i dobroci, porzuciła świat, aby ukryć się za kratami klasztoru!...

Jeżeli tacy ludzie upadli w walkach z życiem, cóż ją może spotkać, ją, dziewczynę słabą, głupią i złą?... Przecież знаła swoją wartość, a raczej nicwartość!... I przecie ona także zbliżała się krok za krokiem do jakiejś sytuacji bez wyjścia.

Kiedyś zdawało się jej, że ma potężnych przyjaciół — Solskich. Przez pewien czas dom ich wydawał się nieprzebitą tarczą, a ich życzliwość opoką, na której z ufnością mogła oprzeć swoje drobne istnienie. Dziś na ten dom (z jej przyczyny!...) padają zatrute strzały plotek, a życzliwość... Co za życzliwość mogą mieć Solscy, magnaci, dla nędznej istoty jak ona?... Chyba litość, którą jej okazywali przez pół roku, i... pogardę, z którą mimo woli zdradziła się panna Solska.

Zgnębienie i smutek nie przeszkadzały Madzi pełnić obowiązków. Co wieczór poprawiała kajety uczennic, co dzień odrabiała lekcje na pensji. Lecz stosunki z ludźmi, zamiast łagodzić, potęgowały jej rozdrażnienie.

Gdy uczennice w klasie były spokojne, gdy przełożona serdeczniej powitała Madzię, gdy który z profesorów powiedział jej komplement, myślała:

„Pewnie znowu rozchodzą się plotki, że jestem narzeczoną...”

Lecz gdy jakaś pensjonarka roześmiała się głośniej albo który profesor odezwał się żartem do Madzi, albo wiecznie zajęta panna Malinowska w przelocie kiwnęła jej głową, zamiast uściśnąć rękę, Madzi zdawało się, że już wszyscy wiedzą o jej ciężkim położeniu w domu Solskich. Wówczas przypominała sobie dumne spojrzenie panny Solskiej i ton, jakim przemówiono do niej.

„Ty?... A cóż cię obchodzi pan Kazimierz?...”

„Zapewne, że mnie obchodzi pan Kazimierz — odpowiadała Madzia w duchu — ponieważ tak samo jak i ja, jest przez was lekceważony...”

Była w takim nastroju czy rozstroju, że zatruwały jej spokój nie tylko stosunki z żywymi ludźmi, ale nawet filozoficzne rozumowania Dębickiego, jedyne go człowieka, któremu ufała i którego wzniosłe poglądy rozświeślały jej duszę.

## 26. LETNI WIECZÓR

W początkach czerwca Ada zaprosiła na wieczór Dębickiego, ażeby porozmawiać z nim o świecie duchów. Przyszedł i pan Stefan spokojniejszy aniżeli w ciągu ostatnich dni i we troje usiedli na balkonie. Madzi spodziewano się, miała bowiem wrócić z sesji towarzystwa kobiet.

Kiedy Ada ze srebrnego samowaru nalewała herbatę, brat zapytał:

— Cóż, nie znudziły cię jeszcze posiedzenia spirytystyczne?

Panna Solska o mało nie oblała sobie ręki gorącą wodą.

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego! — zawołała. — Zresztą... nie dziwię się twoim żartom... ale jestem pewna, że gdybyś przynajmniej w tym stopniu co ja poznał spirytyzm, rozpocząłbyś nową epokę w życiu. I ty, i profesor, i cały świat...

— Uważacie, profesorze — wtrącił Solski — to mówi uczennica Haeckla... Ach, kobiety...

Dębicki potarł ręką szyję i patrzył w ogród.

Ada zarumieniła się. Podała obu panom filiżanki, naląła herbatę sobie i rzekła siłąc się na filozoficzny spokój:

— Moi panowie, czy nie uważacie rozdźwięku, jaki co najmniej od stu lat panuje między religią i wiedzą?

— Uważamy — rzekł brat.

— Pochodzi on stąd — mówiła Ada — że nauka nie może objaśnić pytań dotyczących ducha, a tradycje religijne nie godzą się z odkryciami naukowymi. Tymczasem spirytyzm dzięki swoim komunikacjom zniósł przyczyny nieporozumień. Z jednej strony, dowodzi faktami, że dusze istnieją po rozłączeniu się z ciałem, a z drugiej również dzięki komunikacjom z istotami nadmysłowymi prostuje mnóstwo błędnych czy źle rozumianych tradycji religijnych.

— Oho!... — wtrącił Solski.

— Ależ tak, mój kochany — prawila zapalając się Ada. — Czytaj na przykład książkę Allana Kardeca o Genezie, cudach i przepowiedniach... To już nie Biblia!... to wykład astronomii, geologii, biologii i psychologii. Z jaką bystrością tłumaczy on cuda Nowego Testamentu... A jak pobłażliwym jest dla legend Starego Testamentu, które w dzisiejszym człowieku budzą uśmiech politowania.

Ponieważ Dębicki zrobił ruch ręką, jakby chciał ukryć ziewanie, więc podrażniona Ada zwróciła się do niego:

— Pan profesor nie zgadza się?... Więc dam panu Kardeca...

— Proszę pani — odparł Dębicki — cały Kardec leży w naszej bibliotece, z której mówiąc nawiasem najrzadziej korzystają jej właściciele. Książkę, którą pani wymieniła, znam. Autor jest człowiekiem zdolnym i odczytany. W rozdziałach poświęconych duchowi widać mieszanie: metempsychozy, wierzeń chrześcijańskich i — ździebelko poglądów, jakie można wyprowadzić z nauk ścisłych. Cała część dotycząca Genesis jest popularnym wykładem dzisiejszej astronomii i geologii. Krytyka sześciu dni stworzenia jest... ot, taka sobie... Kardec niby to wskazuje podobieństwa między legendą biblijną i nowożytnymi badaniami, ale nie dostrzega w legendzie punktów ważnych, co zresztą trafiało się i jego poprzednikom.

— Chyba ważnych niedorzeczności!... — zawołała Ada.



— Kobiety zawsze są krańcowe!... — wtrącił Solski.

Dębicki skrzywił się, znowu potarł kark i spytał:

— Cóż pani nazywa niedorzecznościami w Genesis?...

— Choćby to, że w drugim dniu było stworzone sklepienie niebieskie... Słyszysz, Stefek?... Rodzaj sufitu!... Choćby to, że słońce i księżyc urodziły się dopiero w dniu czwartym, podczas gdy — światło mieliśmy już w dniu pierwszym... — mówiła Ada ze wzrastającym zapalem. — Wreszcie to nie jest moje zdanie, ale wszystkich uczonych...

Dębicki kiwał się na krześle i patrzył na czarne drzewa ogrodu, które światło lampy z balkonu malowało gdzieś zielonymi plamami. Wreszcie rzekł:

— Rzecz szczególna, że to, co uczeni z obozu panny Ady uważają za niedorzeczność w Genesis, mnie najbardziej zadziwia.

— Jako niedorzeczność?... — spytała Ada.

— Nie, pani. Jako ciekawy, a nade wszystko niespodziewany komentarz do teorii Laplace'a o utworzeniu się naszej planety.

— No, profesorze?... Chyba i ja zacznę się dziwić... — wtrącił Solski.

— Według Laplace'a — mówił Dębicki — cały system planetarny formował kiedyś olbrzymią mgławicę, rodzaj subtelnego obłoku, który miał formę okrągłej bułki chleba o średnicy przechodzącej tysiąc dwieście milionów mil. Mgławica ta obracała się około swego środka w ciągu mniej więcej dwustu lat. Zaś od czasu do czasu odrywały się od niej mniejsze obłoczki, z których skutkiem zgęszczenia się powstawały planety: Neptun, Uran, Saturn i tak dalej...

Według teorii Laplace'a ziemia przy swoich narodzinach była również takim obłokiem mniej więcej w formie kuli mającej przeszło sto tysięcy mil średnicy. Cóż zaś Biblia mówi o jej ówczesnej postaci?... Że — ziemia była pusta i próżna, a ciemność unosiła się nad przepaścią... Nic więcej.

Wyobraź sobie, Stefku, że stoisz na powierzchni owej kuli gazowej i patrzysz ku jej środkowi odległemu od ciebie na pięćdziesiąt tysięcy mil... Zdaje się, że widziałbyś straszną przepaść pod nogami...

— Spodziewam się!... — mruknął Solski.

— W tamtym więc punkcie nie ma niedorzeczności, ale teraz zaczynają się rzeczy ciekawe — mówił Dębicki — Biblia nazywa ziemię w jej początkach „ciemną”, skąd można by wnosić, że nasza planeta nie była rozpaloną aż do świecenia, jak sądził Laplace i geologowie. Według nich, był czas, że ziemia miała przeszło dwa tysiące stopni temperatury, tymczasem według Biblii temperatura była niższą od pięciuset stopni... Można się z tym spierać, ale — trzeba dowieść, że było inaczej. W tym punkcie Genesis niby wskazuje geologom pole do badań...

Dalej mówi Biblia, że już wówczas zaczęły się dla ziemi dnie i noce, czyli — według Laplace'a — mgławica ziemską zaczęła obracać się naokoło swej osi...

— A światło?... — spytała Ada.

— I to jest ciekawe — rzekł Dębicki — że według Biblii dopiero po utworzeniu się ziemi — mgławica słoneczna zaczęła świecić. To, co dziś nazywamy słońcem, owa kula rozpalona do białości, jeszcze wówczas nie istniała. Była tylko słabo świecąca mgławica w formie płaskiej bułki chleba, szeroka na kilkadziesiąt milionów mil. Widziana z ziemi musiała wyglądać jak olbrzymie wrzeciono zajmujące pół nieba. Gdy prawy koniec tego wrzeciona dosięgnął południka, lewy dopiero wschodził; gdy prawy zaczynał zachodzić, lewy ledwie zbliżał się do południka. Było więc jakieś blade światło w przestrzeni międzyplanetarnej, ale nie było słońca.

— A sklepienie niebieskie, a ów sufit starożytny, który jest tylko dowodem ograniczonego naszego wzroku?... — nalegała Ada.

— Będzie i sufit. Według Laplace'a, planety i satelity odrywając się od mgławicy centralnej miały z początku formę pierścieni. Pierścien tego rodzaju do dziś dnia otacza Saturna, a i nasz księżyc, gdy oderwał się od ziemi, miał formę pierścieniowatego obłoku... Czy sądzi pani, że gdyby ten kształt utrzymał się do naszych czasów, nie mielibyśmy prawa (mieszkając na przykład pod równikiem) mówić o sklepieniu zawieszonym nad głowami?... I czy to sklepienie w owych czasach nie rozciągało się od równika w stronę obu biegunów?...

— No, mówi profesor jak adwokat teologów! — rzekł Solski.

— Wcale nim nie jestem. Tylko bez uprzedzeń zestawiam teorię Laplace'a z Biblią, w której są jeszcze dwa orzeczenia ciekawe.

Biblia twierdzi, że słońce — w dzisiejszym sensie: jako rozżarzona kula — i księżyc, jako ciało świecące, powstały w jednej epoce, przy czym słońce było większe niż księżyc. Dziś pozorne średnice obu tych ciał są prawie równe, ale że niegdyś średnica słońca była większą, to wynika z teorii Laplace'a. Co jednak bardziej zastanawia, że według Biblii lądy, morza i świat roślinny powstały wprzód, nim utworzył się księżyc i słońce!...

— Jednym słowem — rzekła Ada — profesor utrzymuje, że między Biblią i nauką nie ma zbyt rażących odskoków?

— Owszem — odparł Dębicki — nawet sędzę, że Biblia dzisiejszej astronomii i geologii stawia kilka ważnych pytań do rozwiązania. Czy prawda, że słońce i księżyc w tym znaczeniu, jak powiedziałem wyżej, powstały w jednej epoce? Czy prawda, że na ziemi już wcześniej istniała roślinność, i czy prawda, że ziemia nie była nigdy ciałem rozgrzanym aż do punktu świecenia?...

— No — wtrącił Solski — przejście gazu w stan stały wywołuje podniesienie temperatury...

— Tak, ale wysoka temperatura może zniżyć się skutkiem promieniowania. Jest to kwestia ciekawa — mówił Dębicki — od niej zależy pojęcie o wieku ziemi. Gdyby ziemia w chwili utworzenia się miała temperaturę dwa tysiące stopni, to według Bischoffa, zanim ochłodziła do dwustu stopni, musiało upłynąć trzysta pięćdziesiąt milionów lat, którym należałoby dodać ze trzydzieści pięć milionów lat na ostygnięcie ziemi do zera. Gdyby zaś w początkach ciepło ziemi wynosiło tylko pięćset stopni, na ochłodzenie jej obecne wystarczyłoby sto milionów lat. W tym zapewne stosunku można by zmniejszyć i długość okresów geologicznych i w rezultacie — przypuszczalny wiek ziemi i całego systemu planetarnego zniżyć o kilkaset milionów lat.

— Nie myślałam, że profesor jest aż tak prawowierny! — rzekła półgłosem Ada.

— Tylko ostrożny... — odparł Dębicki. — Nie lubię przenosić się ze starego domu do pałaców, z których dopiero istnieją plany, i to — niedokładne. Biblia jest starym domem, w którym wyhodowało się kilkadziesiąt pokoleń europejskich, no — i źle na tym nie wyszły... Ten odwieczny budynek ma swoje szczeliny, ale jest pewniejszym — na przykład — od legend indyjskich, według których płaska ziemia leży na słoniu, słoń stoi na żółwiu, a żółw pływa po mlecznym morzu. Jest również Biblia wyższą od mitologii greckiej, według której olbrzym Atlas podpierał niebo, a ród ludzki narodził się z kamieni rzuconych za plecy przez Deukaliona i Pyrrę.

Dziś mamy nową mitologię — spirytyzm, który wchłonął w siebie astronomię i geologię, ale nie posuwa ich naprzód. Tymczasem prastara Biblia, choć także nie posuwa nauki, lecz — stawia jej zagadnienia wcale dorzeczne.

Z wypiekami na twarzy słuchała panna Solska tych, jej zdaniem, bluźnierstw przeciw spirytyzmowi i nauce. Nagle rzekła:

— Więc może pan profesor umiałby wytłumaczyć naukowo legendę o potopie...

— Dziwna rzecz! — odparł z uśmiechem Dębicki. — Ojcowie i doktorowie spirytyzmu wyjaśniają wszystkie podania dawnych religij, a przede wszystkim biblijne; a tymczasem ich najmłodszy uczniowie już przeciwstawiają owym tradycjom nowożytnie niedowiarstwo... Allan Kardec wierzył w kilka potopów, z których jeden zniszczył mamuta i mastodonta, a zostawił po sobie głązy narzutowe...

— No — wtrąciła Ada, niedbale machając ręką — właściwie to nie był potop, ale epoka lodowcowa... Skorupa ziemska formowała się nie za pomocą gwałtownych kataklizmów, ale — stopniowego rozwoju, który dokonywał się w ciągu setek tysięcy i milionów lat.

— Zatem nie wierzy pani nie tylko Biblii, ale nawet Kardecowi?...

— Nie wierzę w kataklizmy! — odpowiedziała rozdrażniona Ada. — Nauka nie zna przyczyn, które w jednej chwili na całej powierzchni ziemi mogłyby tak wzburzyć wodę, ażeby wdarła się na najwyższe szczyty gór...

— Nauka, proszę pani, pojmuje przyczyny zdolne do podniesienia wody bardzo wysoko...

— Zastanów się, Ada — dorzucił Solski — że zdarzają się i dziś olbrzymie wylewy albo zapadanie całych terytoriów skutkiem wybuchów wulkanicznych.

— To są drobne zjawiska — rzekł Dębicki. — W naturze istnieją czynniki mogące wywołać potop mniej więcej taki, jak opisuje Biblia...

W tej chwili w saloniku rozległ się szelest i na balkon weszła Madzia. I teraz jej łagodna twarz miała wyraz nieśmiałości czy nieufności, który od kilku dni niepokoił Solskich.

— Wracasz z sesji? — spytała Ada.

— Tak.

— Gniewają się na mnie, że nie przychodzę?

— Przeciwnie, wspominają cię z wdzięcznością.

— Cóż to jest, Madziuś?... W jaki sposób odpowiadasz?... dlaczego nie siadasz?... — zawołała panna Solska. Zaczęła całować przyjaciółkę, posadziła ją na krześle obok brata i zajęła się przygotowaniem dla niej herbaty.

Madzia zdawała się być zakłopotana bliskim sąsiedztwem Solskiego i co chwilę przysłaniała długimi rękami oczy, jakby ją raził blask. Solski był także wzruszony, więc ażeby nie zdradzić się, zaczął mówić:

— Czy wie pani, czym się bawimy? Ada z profesorem kłóć się o to, co jest wyższe: podania biblijne czy objawienia spirytystyczne?...

— Ach, ten spirytyzm... — rzekła Madzia.

— Co?... — zawołał Solski — pani nie wierzy w spirytyzm?...

Madzia delikatnie uniosła ramiona.

— W co dziś można wierzyć?... — szepnęła. I w tej chwili strach ją ogarnął, ażeby Solscy nie wzięli tego za przymówkę.

„Boże mój — pomyślała — jak mi tu źle... Jak ja tu nie chcę mieszkać...”

Wrażliwe jej ucho pochwyliło nienaturalny ton w głosie Solskiego, który wysiłał się, ażeby być sobą, a czuł się zmieszany wobec Madzi.

Dębicki spostrzegł, że między trojgiem tych ludzi, bardzo sobie życzliwych, rodzi się jakiś zatarg. Więc skorzystawszy z chwilowego milczenia odezwał się:

— Panna Ada nie wierzy w możliwość biblijnego potopu, ja zaś twierdzę, że istnieją potęgi mogące go wywołać...

Madzia otrząsnęła się.

— Tobie zimno?... Może podać ci szal, a może przeniesiemy się do pokoju?... — troskliwie zapytała Ada.

— Nie, kochanko. Wieczór jest ciepły... Tylko śmierć zajrzała mi w oczy...

— A może niemiło pani słuchać o potopie?... — spytał Dębicki.

— Ależ owszem... taki ciekawy temat — rzekła Madzia.

— Zresztą wypadek, o którym opowiem, może zdarzyć się raz na trzysta trzydzieści miliardów lat!... Ziemia nasza z pewnością go nie doczeka, tym bardziej że jakoby raz już trafił się jej za czasów Noego. W naturze nie powtarzają się niespodzianki.

— Ale niechże pan zaprezentuje nam nareszcie tę potęgę, która przenosi morza na szczyty gór!... — zawołała Ada śmiejąc się.

Dębicki podniósł rękę i wskazał granatowy płat nieba zawieszony nad sylwetkami drzew.

— Stamtąd mogłaby przyjść — rzekł.

Obie panny doznały uczucia chłodu. Solski podniósł głowę i wpatrywał się w Koronę Północną stojącą naprzeciw balkonowi. Dębicki mówił:

— Wyobraźmy sobie, że kiedyś pisma przyniosą następujący telegram: „W tych dniach astronom taki a taki dojrzał w konstelacji Byka, tuż obok Słońca, nowe ciało niebieskie, które zrobiło na nim wrażenie planety. Obserwacje w tej chwili są przerwane z powodu ukrycia się gwiazdy poza tarczą słoneczną”.

W parę tygodni, gdy publiczność już zapomniała o zjawisku, telegram ogłosił o nim nieco pełniejsze wiadomości. „Nowe ciało niebieskie jest kometą, a raczej olbrzymim uranolitem, równym ziemi lub większym od niej; znajduje się poza orbitą Jowisza, ale szybko zbliża się ku słońcu w linii prostej. Co najważniejsze: droga jego zdaje się leżeć na płaszczyźnie ekliptyki. To ciało niebieskie można już widzieć gołym okiem na godzinę przed wschodem słońca”.

Wiadomość ta, obojętna dla ogółu, od tygodnia zajmowała astronomów, a obecnie zaniepokoiła ludzi obeznanych z astronomią. Mówili oni: jeżeli ów uranolit toczy się ku

słońcu po płaszczyźnie ekliptyki, więc koniecznie musi przeciąć drogę ziemi. Otóż kiedy on ją przetnie?

Jeżeli kometa, właściwie uranolit, przetnie drogę ziemską przed grudniem albo po grudniu, możemy bezpiecznie przypatrywać się nadzwyczajnemu widokowi: Ale jeżeli przecięcie nastąpi w grudniu, sprawa stanie się straszną. Może bowiem trafić się zderzenie dwu ogromnych mas, z których jedna leci z prędkością trzydziestu wiorst na sekundę, a druga — nie powolniej. Łatwo zrozumieć, że obie masy przemieniłyby się w kłęb ognia.

Nie trzeba wspominać, że w ciągu następnych tygodni posypałoby się mnóstwo artykułów i broszur roztrząsających kwestię: w którym dniu uranolit przetnie drogę ziemską? Naturalnie autorzy twierdzili, że o zetknięciu się ziemi z niespodziewanym wędrowcem nie ma mowy, choć już wszystkim było wiadomo, że przecięcie orbity ziemskiej nastąpi w grudniu. Przy czym optymiści twierdzili, że wówczas ziemia od przybłądy będzie oddalona na dziesięć milionów mil, a pesymiści przypuszczali, że będzie odległa na milion mil.

„Ale i w tym wypadku — pisali pesymiści — tylko zobaczymy gwiazdkę kilka razy większą od Jowisza, która szybko przesunie się po niebie od zachodu na wschód”.

„To jeszcze można wytrzymać!” — powiedziała sobie publiczność przechodząc do codziennych kłopotów.

Roztropniejszych jednak uderzył fakt, że astronomowie nie zabierają głosu w tej kwestii, ale że w obserwatoriach trafiają się dziwne rzeczy. Rachmistrze ciągle mylili się w rachunkach: panowała bowiem niepewność co do prędkości biegu owego ciała niebieskiego. W końcu, co już ukrywano przed publicznością, jeden z astronomów powiesił się, drugi się otrul, a trzeci palnął sobie w łeb. Gdy zaś przejrzano ich rachunki, okazało się, że każdemu z nich wypadło, iż jeżeli uranolit pędzi z szybkością trzydziestu kilometrów i dwustu pięćdziesięciu metrów na sekundę, musi bezwarunkowo zetknąć się z ziemią.

Nareszcie rządy ucywilizowane zabroniły pisać o nadchodzącym zjawisku, ponieważ wielu ludzi ze strachu wpadało w obłąkanie. Ogłoszono tylko notę kilku obserwatorów, że w połowie grudnia ukaże się podczas nocy ciało niebieskie podobne do księżyca w pełni, które w kilka godzin przybierze nieco większe rozmiary, lecz przed wschodem słońca zniknie.

Była to prawda. Astronomowie jednak, którzy pisali ową notę, nie znając dokładnie szybkości uranolitu nie byli w stanie obrachować, jak wielkich rozmiarów dosięgnie ów chwilowy księżyc, czyli — w jakiej odległości przesunie się obok ziemi.

Od czerwca do września nowa gwiazda przesunęła się do konstelacji Bliźniąt, wschodziła po północy i była tak duża jak Mars. W październiku wyglądała jak Saturn, a jeszcze w listopadzie była mniej świetną aniżeli Jowisz. Wschodziła coraz wcześniej przed północą, rosła nieprędko, ale ciągle, i zbliżała się do konstelacji Raka.

W tej epoce niebieski przybysz już zaczął oddziaływać na ziemię; wprawdzie nie na jej wody lub atmosferę, lecz na jej najbardziej wzniesione punkta, jakimi są — szczyty cywilizacji.

Europejski chłop, wyrobnik, drobny mieszczanin słyszał coś o nowym zjawisku, lecz nie miał czasu zajmować się nim, pochłonięty troską o chleb, odzież i opał, czego mu ciągle brakowało. Czerwonoskórzy Amerykanie, Indusi i Chińczycy, wreszcie różne odmiany Murzynów nawet nie zwracali uwagi na drobne światełko sądząc, że jest to jedna z planet, które przez pewien czas błyszczą na niebie, potem znikają i znowu ukazują się w innych gwiazdozbiorach.

Ale inaczej było z ucywilizowanymi a zdenerwowanymi klasami Europy. Miały one rozum, ażeby pojąć nadciągające niebezpieczeństwo, lecz nie były zdolne zapanować nad strachem, bo zabrakło im wiary. Wszyscy niby to drwili ze zbliżającego się końca świata, rozchwytywali odnośne karykatury, biegali na farsy i operetki skomponowane na ten temat; ale myśleli i mówili — tylko o komecie, a każdy dzień powiększał ich beznadziejność. Przy migotaniu złowrogiej gwiazdy widzieli pustkę życia i nicość swoich wierzeń.

Opadły ręce genialnym przedsiębiorcom, którzy łączyli oceany i przekopywali góry: cała ich mądrość, wszystkie maszyny nie mogły ani przyśpieszyć biegu ziemi, ani pohamować nadlatującej z boku komety. Struchleli mocarze giełdowi, gdy wytłomaczono im, że wobec możliwej katastrofy miliard nie jest lepszym zabezpieczeniem aniżeli łańcuch nędzarza. Rozpacz ogarnęła filozofów wykładających, że jedynym Bogiem jest ludzkość;

widzieli bowiem własnymi oczyma, jak łatwo ludzkość traci głowę i jak łatwo zetrzeć ją może lada pyłek nieskończoności.

Mędracy szaleli, głupcy odurzali się ze strachu; alkohol, morfina i chloral były pochłaniane w nieprawdopodobnych ilościach.

Skutkiem naturalnej reakcji ludzie, którzy rok temu reklamowali potęgę nauki, dziś odtrącaли ją z pogardą przeklinając oświatę i zazdroszcząc prostakom. Największą popularnością cieszyła się broszura, w której jakiś obłąkaniec dowodził, że astronomia jest oszustwem, a ciała niebieskie iskrami, które ziemi zaszkodzić nie mogą, choćby wszystkie na nią spadły.

Zaczęto odgrzebywać legendy o końcu świata, a bardzo uczeni mężowie dowodzili, że nic w roku bieżącym nie grozi nam, ponieważ — według Talmudu — jeszcze nie upłynęło sześć tysięcy lat od czasu stworzenia. Wyrodził się szczególny obłęd — podróżowania. Miliony ludzi zamożnych jeździło z pośpiechem bez kierunku i celu szukając bezpiecznego miejsca. Lecz gdziekolwiek zatrzymali się, nad morzem czy między górami, wszędzie przyswiecała im straszna gwiazda, jaśniejsza aniżeli Jowisz.

W początkach grudnia trwoga panująca między klasami oświeconymi udzieliła się ludowi. Ale chłop bez względu, czy się lękał, czy nie lękał, musiał młócić zboże, rąbać drwa, gotować jadlo i karmić inwentarz. O ile mu zaś zbywało czasu, szedł gromadą pod kościół lub figurę i modlił się. On od dzieciństwa wiedział i wierzył, iż kiedyś musi nastąpić koniec świata; więc gdy nadszedł termin, prostacy bali się — nie zniszczenia, ale sądu. Toteż między ludem panował smutek, wzrosła pobożność, prawie znikły występki. Człowiek, dbał o zbawienie duszy, nie pił i nie awanturował się; nie potrzebował też kraść, bo zamożniejsi sąsiedzi oddawali mu swój nadmiar.

Wśród powszechnego rozkołysania umysłów tylko dwie istoty pozostały spokojne: żołnierz pod bronią i szarytka. Tamten wiedział, że każdą śmierć powinien spotkać odważnie; ta poleciwszy ducha Bogu nie miała czasu myśleć o sobie, zajęta łagodzeniem cudzych cierpień, których liczba zwiększała się co dzień.

Dębicki odpoczął, wypił herbatę, którą podsunęła mu Ada, i mówił dalej:

— Wyobraźmy sobie na półkuli północnej kraj górzysty, wzniesiony o jakiś kilometr nad poziom, odległy o kilkaset mil od morza. Przypuśćmy, że w tym szczęśliwym miejscu chwila przejścia uranolitu czy komety przez drogę ziemi przypadłaby w nocy, i pomyślny, co widzieliby tamtejsi mieszkańcy?

Około ósmej wieczór, w połowie grudnia, razem z konstelacją Raka ukazałby się na wschodzie jasny krąg podobny do księżyca w pełni, tylko — większy. Oryginalny ten księżyc miałby dziwne własności.

Przed wszystkim robiłby wrażenie, że — nie rusza się razem ze sklepem niebieskim, lecz ciągle stoi niezbyt wysoko nad wschodnim widnokresem, gdy poza nim przesuwały się konstelacje: Raka, potem Lwa, wreszcie Panny. Nieruchomy ten jednakże krąg wzrastałby bardzo szybko. O dziewiątej średnica jego byłaby dwa razy większą, o dziesiątej — cztery razy, a o północy — osiem razy większą niż średnica księżyca w pełni. W tej ostatniej porze byłby tak ogromny, że równałby się pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu księżycom w pełni, gdyby jednocześnie nie zachodziły w nim szybkie zmiany lunacji. Nowy ten księżyc, który o ósmej był w pełni, już o dziewiątej wyszedłby z pełni, a o dwunastej byłby w kwadrze. W tej postaci jego połowa równałaby się dwudziestu lub trzydziestu księżycom. Wnet jednak kwadra zaczęłaby się zmniejszać tak szybko, że już o pierwszej widać by było na niebie ogromny sierp, który w kilkanaście minut później zgasłby.

Zjawiska te oznaczałyby, że uranolit przeciął o północy drogę ziemską i poleciał dalej ku słońcu.

Gdyby między mieszkańcami tego błogosławionego kraju znajdował się astronom, mógłby na mocy powyższych obserwacji zrobić rachunek. I wypadłoby mu, że ów uranolit, wielki i ciężki jak ziemia, przeleciał obok niej w odległości — dwa razy mniejszej aniżeli księżyca.

Mieszkańcy szczęśliwego kraju, a sąsiedzi astronoma, zobaczywszy, że potwór niebieski znikł i nie zrobił im szkody, zapewne oddaliby się radości. Ale astronom nie cieszyłby się, lecz z niepokojem odczytywałby depesze nadchodzące co kilka minut z innych obserwatoriów, położonych bliżej morza. Jego bowiem rachunki powiedziały mu, że to nie koniec, ale dopiero początek zjawiska, i że kometa, której zniknięcie tak uradowało

współobywateli, przeszedłszy obok ziemi wywarła na jej powierzchnię wpływ siedemset razy większy aniżeli księżyc. Księżyc zaś, jak wiadomo, jest motorem przyprawów i odpływów morskich.

Otóż między depeszami przychodzącymi z punktów nadbrzeżnych najliczniejsze donosiłyby, że od szóstej wieczór spostrzeżono nagły i silny odpływ morza. Astronom wiedziałby, co to znaczy. Znaczący, że na oceanach Atlantyckim i Spokojnym zaczynają tworzyć się dwie góry wodne, które o północy wzniosą się do trzystu pięćdziesięciu metrów wysokości na podstawach mających przeszło po dziesięć tysięcy mil kwadratowych powierzchni.

W kilka godzin po północy zaczęłyby nadchodzić depesze zawiadamiające o równie szybkim i niezwykłym przyprawie mór, zaś nad ranem... wcale nie przychodziłyby depesze!...

Przyczynę tego zrozumie pani — mówił Dębicki zwracając się do Ady — jeżeli dodam objaśnienie, że w niektórych portach europejskich zwykły przypraw dosięga dziesięciu metrów wysokości. A ponieważ wpływ uranolitu na morze byłby siedemset razy większy niż księżyc, wnosić by można, że w portach tych woda miałaby siłę do utworzenia wału równego mniej więcej górze Mont-Blanc.

Niech pani pomyśli, że wybrzeża morskie w najlepszym razie dosięgają paruset metrów wysokości. Niech pani doda, że to niesłychane rozkołysanie wód trwałoby nie kilka godzin, ale kilka tygodni — że towarzyszyłoby mu parowanie wody, o którego sile nie mamy pojęcia, i — niech pani odpowie, czy te niezmierne dcszcze i zalewy nie byłyby potopem, o którym mówi Biblia.

Co wówczas stałoby się z Ameryką środkową, z Afryką od Gwinei Wyższej do Niższej, z północną Australią, z wyspami Oceanu Indyjskiego?... Po co wreszcie daleko szukać: czy sądzi pani, że resztki góry wodnej, która powstałaby na Oceanie Atlantyckim, nie zmyłyby Hiszpanii, Francji, Belgii z Holandią, a nade wszystko Wielkiej Brytanii?...

Gdyby kto w rok po uspokojeniu się rozprawianych żywiołów zwiedził zachodnią Europę, zdumiałby się znalazłszy tylko szczątki niegdyś pełnych życia łądów. Ale ani miast, ani dróg, ani pól i lasów, ani ludzi...

I czy po tym, fantastycznym zresztą opowiadaniu zechce pani twierdzić, że w naturze nie ma siły, która — mogłaby stworzyć powszechny potop i rzucić wodę na szczyty gór?...

— Awantura arabska!... — mruknął Solski przypominając sobie wykrzyknik Kotowski.

— Z tego widzę — odezwała się Ada — że profesor albo już jest spirytystą, albo nim zostanie. Bo właśnie spirytyzm zaleca nie negować dawnych tradycy, ale — tłumaczyć je za pomocą faktów naukowych.

Dębicki milcząc potarł sobie ucho, a jednocześnie Solski zapytał Madzię:

— Może i pani jest już spirytystką?

— Albo ja wiem, czym jestem! — odparła Madzia.

W głowie jej panował zamęt. Nie pomyślała, w jakim celu Dębicki miał swój wykład o możliwości potopu, nie zwróciła uwagi na to, że według poglądu filozofa wiara robi ludzi odporniejszymi wobec niebezpieczeństw. Ją uderzyły inne strony opowiadania: niepewność życia i nietrwałość świata.

Kiedy pożegnawszy się z towarzystwem przeszła do swojej sypialni, czuła pod stopami chwanie podłogi i przeraził ją blask latarni ulicznej wpadający przez okno do pokoju. Zdawało się jej, że już zagłada złowrogie widziadło niebieskie, które ma wydrzeć oceany ze starych łożysk i zalać ziemię.

„Po cóż było wszystko to wydobywać z nicości!...” — pomyślała.

## 27. CZEGO POTRZEBA DO ZERWANIA STOSUNKÓW?

Jak młode drzewo co roku wypuszcza gałązkę, która z biegiem lat staje się konarem i rodzi nowe gałązki, tak z młodej duszy co pewien czas wytryska nowa siła i staje się źródłem mnóstwa uczuć, uzdolnień i czynów. A jak na podciętych konarze usychają kwiaty i liście, tak w chorej duszy gorzknieją uczucia, słabnie energia i myśl rozwija się chaotycznie.

Madzia doskonale pamiętała swój rozkwit duchowy; wywołał go pospolity wypadek: pieniężne kłopoty pani Latter.

Do owej chwili świat przedstawiał się jej w sposób bardzo prosty. Niebo, niby tło Madonny Rafaela, było utkane ze skrzydeł i głów anielskich; na ziemi ludzie, jak na odpuszcie, tworzyli jeden tłum pogrążony w pracy i modlitwie. Że tam ktoś był lepiej czy gorzej odziany, że ktoś kogo mimo woli potrącił, że inny zapłakał — to drobiazg... Według ówczesnych przekonań Madzi były to tylko wypadki i pozory. W rzeczywistości — serca ludzkie przepełniała modlitwa i dobroć, a nad całym tłumem rozlewał się blask Bóży czyniący podobnymi do siebie wszystkie pochylone głowy i zamyślane twarze.

Wśród jednostajnej jasności osoba pani Latter stała się jakby nowym ogniskiem, z którego na duchowy widnokrąg Madzi padły dwa nie znane dotychczas promienie: purpurowy i czarny. Od tej pory w oczach Madzi ludzie zaczęli różnić się między sobą. Zrozpaczona pani Latter, wygnany przez uczennice Dębicki, stolarz, ubogi nauczyciel i jego rodzice, samobójca Cynadrowski, wszyscy cierpiący, stroskani i opuszczeni — przedstawiali się jej niby odziani w purpurę. Zaś na Joasię i pannę Howard, które martwiły panią Latter, na pannę Eufemię, która unieszczęśliwiła Cynadrowskiego, na aptekarza i rejenta, którzy obgadywali Stellę — w oczach Madzi padał cień więcej albo mniej czarny.

Niebo jednak, pełne głów i skrzydeł anielskich, a na ziemi tłum modlący się o zbawienie zostały na swoich miejscach. Tylko na tle złotej jasności, która oblewała ziemię, widać było tu i owdzie czerwoną plamkę cierpienia albo czarną — krzywdy.

W owym okresie czasu mądrość Madzi i jej dążenia streszczały się w słowach: pomagać potrzebującym, nieść pociechę strapionym. Hasło to, raz posiane w sercu, rozrastało się stopniowo, ogarniając ludzkość, cały świat żyjący i martwy.

Stosunki z Solskimi, mianowicie w początkach, wzmocniły ekstazę Madzi. Ada była dla niej tęskniącym aniołem, a pan Stefan geniuszem dobrego, który dlatego jeszcze nie uszczęśliwił wszystkich cierpiących i nie pozenił wszystkich zakochanych, że — cukrownia nie była wykończoną. Z chwilą jednak odlania pierwszej głowy cukru w jego fabryce, na ziemi powinna obeschnąć ostatnia łąka.

Z biegiem czasu wiara Madzi w potęgę i poświęcenie Solskich dla ludzkości poczęła słabnąć. Ale obraz świata odbity w jej duszy w ogólnych zarysach pozostał ten sam: w górze chóry aniołów, na dole rozmodlony tłum; tu i owdzie cierpiący albo mniej dobry człowiek, zesłani po to, ażeby ludzie mieli kogo pocieszać i komu przebaczać.

Ten rozwój duszy pełnej litości i marzeń przerwano w sposób tak brutalny, że porównać by go można z morderstwem. Z Madzią stało się jak z podróżnym, który pogrążony w myślach, czuje nagle cios topora, a po nim drugi. Gdy zaś potknął się zboczony krwią, na biedną głowę spadają mu nowe ciosy.

Pewnego wieczora na raucie u Arnoldów przyszła panu Kazimierzowi fantazja wyłożyć Madzi jego własny system filozoficzny, który nie był ani własnym, ani systemem. Wykład był tak zwięzły i jasny, wiara Madzi w geniusz pana Kazimierza tak wielka, że pod tym rozmachem jej idealny obraz świata popękał jak lód w chwili puszczenia rzeki. Nim zaś Madzia miała czas oprzytomnieć, spadł na nią drugi cios: mistyfikacja pani Arnoldowej z rysunkiem niby wykonanym przez duchy.

I otóż w ciągu jednej godziny w tym samym salonie zaszły dwa wypadki wprost przeciwnie. Ada Solska, sceptyczna uczennica Haeckla, uwierzyła w duchy rysujące, a pełna naiwnej wiary Madzia — przestała wierzyć nawet we własną duszę.

Jej niebo wypełnione główkami i skrzydełkami aniołów w jednej chwili znikło jak teatralna dekoracja, odsłaniając pustynię okropniejszą aniżeli sam grób. Jasność padająca z góry na ziemię zgasła i świat okrył się kirem, na tle którego tym jaskrawiej płonęły ognie ludzkich cierpień.

Od tej chwili dusza Madzi była jak zmiążdżone zwierciadło; wszystko odbijało się w kształtach potwornych mnożąc się i potęgując za każdym nowym wstrząśnięciem. Już w oczach Madzi Ada z anioła smutku stała się wielką damą znudzoną, która dziś bawi się duchami, wczoraj stowarzyszeniem kobiet, a onegdaj nią samą... Już pan Stefan z dobrego geniusza przerobił się w kapryśnego magnata, który nie tylko nie myśli wypełniać swojej fabryki niedołączami, ale nawet — tolerować poglądów niezgodnych z jego chwilowym usposobieniem.

Świat ducha zgasł dla Madzi, gorzej, bo rozplynął się w nicość. Została ziemia kirem okryta, a na niej tłum ludzi cierpiących nie wiadomo za co.

A ponieważ człowiek musi mieć jakiś cel, musi na czymś zahaczyć swoją uwagę, więc Madzia z energią rozpaczy poczęła zastanawiać się nad modnym hasłem: pracy dla przyszłych pokoleń.

„Nam jest źle, więc niech przynajmniej im będzie dobrze — myślała. — My albo nie mamy środków do nasycenia się życiem, albo trujemy się widziadłami przesądów; niech więc choć oni znajdą środki, których nam brakuje, i niech nie spotykają się z przesądami”.

Ale dziwnym zbiegiem wydarzeń, zanim idea ta mogła dojrzeć w duszy Madzi, już obalił ją mimo woli Dębicki fantastyczną opowieścią o potopie. I znowu stanęło przed nią pytanie: co warta ludzkość razem ze swą kruchą podstawą? Nie jestże ona leśnym mrowiskiem, które może rozbić przebiegające zwierzę albo spróchniała gałąź?

W tej chwili z dawnych ideałów Madzia już nie posiadała żadnego: ani nieba, ani ziemi, ani wiary w bohaterów, ani modlitwy. Duszę jej rozbito, poszarpano i trzeba było długiego czasu, nim się to wszystko zblizni. Tymczasem w Madzi potęgowało się rozdrażnienie i zaczął kielkować egoizm cierpiących, których nic nie obchodzi prócz własnego cierpienia.

Patrząc na nią w tym nastroju Ada Solska była pewna, że Madzia kocha się w Stefanie i — gniew ją chwytając na brata. Patrząc na Madzię Helena Norska posądzała ją o miłość dla pana Kazimierza, uśmiechała się i mówiła w duchu:

„Cóż to za głupie stworzenie!...”

Żadnej z tych pań nie przyszło na myśl, że nieszczęśliwa miłość nie posiada wyłącznego przywileju do szarpania serc ludzkich i że w człowieku może wybuchnąć niszcząca burza z powodów nie erotycznych, ale raczej metafizycznych...

Madzi potrzebny był odpoczynek, odpoczynek za wszelką cenę, odpoczynek w jakimś odludnym kącie, gdzie nie widywałyby panny Malinowskiej ani profesorów. Odpoczynek w takiej pustyni, gdzie nie mogłaby spotkać Mani Lewińskiej, która dziękując upadła jej do nóg; gdzie nie potrzebowałaby po kilka razy na dzień widywać sztywnej i zimnej pani Gabrieli, niespokojnych spojrzeń Ady, nade wszystko zaś — pana Stefana. Madzia czuła, że człowiek ten jest rozdrażniony, lecz wobec niej usiłuje nad sobą panować, i z największą trwogą domyślała się, że ona jest przyczyną tego stanu. Ona, ale dlaczego?... Więc plotki i tutaj sięgały!...

„Ach, gdyby już nadeszły wakacje!...” — mówiła Madzia.

Widok Solskiego stawał się dla niej nieznośnym. Zaczęła bać się go jak chory człowiek śmierci. Chwilami zdawało się jej, że gdyby zostawiono ją z nim w pokoju sam na sam, wyskoczyłaby oknem.

Parę tygodni ciszy i samotności przywróciłoby równowagę w jej duszy. Ale ciszy nie było i być nie mogło. Nikt bowiem nie domyślał się nastroju Madzi, ona nie miała się przed kim zwierzyć, a fala życia toczyła się naprzód ze wszystkimi drobnymi niespodziankami i powikłaniami. Człowiek zdrowy i zadowolony nawet nie spostrzega tych codziennych wirów, wobec których rozstrojeni tracą głowę, a nieszczęśliwi toną.

Pewnej niedzieli w połowie czerwca do pokoju Madzi przyszła Ada, a wkrótce po niej Solski. Witając się z nim Madzia spuściła oczy i zbladła; pan Stefan uważnie przypatrzył się jej i rzekł serdecznym tonem:

— Niedobrze pani wygląda, panno Magdaleno...

— Jestem trochę zmęczona.

— Więc niech pani rzuci pensję!... — wybuchnął Solski.

Ale opanowawszy się dodał:

— Wreszcie... może być, że pani jest zmęczona, ale czasem wydaje mi się, że obok zmęczenia dostrzegam w pani coś innego... Aż boję się pomyśleć, że pani jest źle z nami...

W głosie jego był tak wielki żal, że w Madzi drgnęło serce.

— Gdzież mogłoby mi być lepiej?... — szepnęła rumieniąc się.

— Więc może pani czuje się niezdrową? — nalegał Solski. — Nie godzi się kryć przed nami, panno Magdaleno... Co powiedzieliby rodzice pani dowiedziawszy się, że nie umieliśmy ustrzec cię... Co wreszcie ja sam byłbym wart — znowu wybuchnął — gdyby w naszym domu taki ukochany gość... cierpiał bez pomocy... Jeżeli pani pozwoli, Ada dziś jeszcze poprosi Chałubińskiego...



Madzia podniosła na niego zdziwione oczy. Szorstki, ale namiętny ton Solskiego zrobił na niej wrażenie. Zdawało się, że zaczyna opuszczać ją nieufność...

Nagle w przedpokoju zadzwoniono. Solski puścił rękę Madzi. Po chwili wszedł lokaj i podał Madzi bilet mówiąc:

— Ten pan prosi... czy może się widzieć...

Madzia spojrzawszy na bilet zmieszała się tak, że oboje Solscy zdziwili się. Następnie podała pannie Solskiej kartkę, na której olbrzymimi literami było napisane: Miętlewicz.

— Któż to? — spytała Ada.

— Mój... to jest znajomy moich rodziców z Iksinowa...

— Wypada go przyjąć — rzekła Ada.

— Gdybyśmy przeszkadzali... — wtrącił Solski gotując się do wyjścia i z ciekawą niespokojnością patrząc na Madzię.

W jego zgorzkniałym sercu zbudziło się podejrzenie.

— W czym państwo możecie mi przeszkadzać? — odpowiedziała Madzia. — Ale z góry przepraszam, jeżeli mój znajomy nie zrobi przyjemnego wrażenia. Jest to człowiek dobry, tylko... trochę znać na nim prowincję...

Na znak Ady lokaj wyszedł, a po chwili ukazał się pan Miętlewicz. Był tak samo, jak niegdyś, krótko ostrzyżony, miał sterczące wąsiki, piękny garnitur wizytowy i zamaszyste ruchy.

— Całuję rączki pani dobrodziejce!... — zawołał od progu, szastając się. — Uściśnienia od rodziców, ukłony od całego Iksinowa... Pani doktorowa dobrodziejka miała zamiar przysłać kopę szparagów...

— Pan Miętlewicz — rzekła Madzia prezentując nowo przybyłego.

— Solski — rzekł pan Stefan i podał mu rękę.

Zrozumiał przyczynę zmieszania Madzi, tym bardziej że gość usłysawszy jego nazwisko zeszytywniał i stracił zdolność mówienia.

— Jakże się pan miewa? — spytała Madzia ściskając Miętlewicza za rękę. — Cóż nowego w Iksinowie?

Miętlewicz rzucił się na wskazane krzesło i kilka razy głęboko odetchnął. Potem ze spotęgowaną energią zaczął mówić jednym tchem:

— Ha, cóż?... Czcigodni państwo doktorostwo oboje zdrowi, proboszcz i major także... Pan Zdzisław przysłał szanownym rodzicom dwa tysiące rubli...

— Doprawdy?... — spytała uradowana Madzia.

— Słowo honoru! — prawil Miętlewicz. — Pan Zdzisław ma doskonałą posadę pod Moskwą: dziesięć tysięcy rubli rocznie... Był trochę niezdrów, ale to już minęło...

— Wiem, pisał do mnie. A jakże panu idą interesy?

— Wcale nieźle. Jestem narzeczonym panny Eufemii...

— Eufemii?... — powtórzyła Madzia.

— Tak. Nawet przyjechaliśmy tu we troje: pani sędzina dobrodziejka, moja narzeczona i ja...

— Czy tak?...

— Robimy wyprawę. Moje panie miały zamiar złożyć dziś wizytę szanownej pani, ale że właśnie musimy być wszyscy na obiedzie u państwa Korkowiczów...

— Korkowiczów?...

— Tak — prawil Miętlewicz — bo to ja zorganizowałem panu Korkowiczowi sprzedaż jego piwa na całej naszej kolei, zatem...

— Ach, tak... A cóż więcej w Iksinowie?

— Wszystko stare, proszę pani dobrodziejki. Panna Cecylia w lipcu ma przejeżdżać do Jazłowca...

— Niech pan będzie łaskaw przypomnieć jej, że obiecała zatrzymać się u nas — wtrąciła Ada.

— Z całą przyjemnością — odparł Miętlewicz kłaniając się. — Cóż by tu więcej powiedzieć państwu?... Aha!... Stary Cynadrowski umarł...

— Umarł?... — powtórzyła Madzia tak szczególnym tonem, że Solski znowu zaczął zwracać na nią uwagę.

— Umarł podobno i ten aktor Sataniello — ciągnął Miętlewicz. — Zaś pan Krukowski — dodał patrząc na Madzię z figlarnym uśmiechem — mieszka z siostrą w Wiedniu i podobno pisuje do tutejszych gazet na pociechę...

— Mówi pan o panu Ludwiku Krukowskim? — rzekł nagle Solski.

— Tak jest — odparł zrywając się z krzesła Miętlewicz. — Miałem zaszczyt być znajomym szanownego pana Ludwika i pochlebiam sobie...

— A rodzice spodziewają się mnie na wakacje?... — spytała Madzia z rosnącym zakłopotaniem.

— Wcale nie!... — odpowiedział pan Miętlewicz z jeszcze miłszym uśmiechem i miną, która wprost przeraziła Madzię, tym bardziej że Solski wciąż przypatrywał się jej z uwagą.

Miętlewicz, któremu Madzia już nie zadawała pytań, ośmielony zachowaniem się Solskich, zaczął opowiadać o swym szczęściu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zakochał się na śmierć i życie w pannie Eufemii i przekonał się, że ona od dawna go kochała. W końcu zrobił wzmiankę, że interes z Korkowiczem przyniesie mu kilkaset rubli rocznie, że pani Korkowiczowa jest damą prawie tak dystygowaną jak jego przyszła teściowa, pani sędzina, a nareszcie pożegnał naprzód Solskiego, potem Madzię, a potem Adę obiecując, że jego panie nie omieszkają złożyć jutro swego uszanowania.

Gdy gość wyszedł wśród zamasztych i niskich ukłonów, Solski nagle zapytał Madzię:

— Pani znała Ludwika Krukowskiego?... Jest to trochę nasz kuzyn. Nie widziałem go od kilku lat, tylko... słyszałem o jakiejś jego miłosnej tragedii, gdzieś na prowincji... może nawet w Iksinowie?...

Madzia patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. W jej umyśle mieszały się wspomnienia panny Eufemii, śmierci Cynadrowskiego, oświadczyn pana Ludwika z dzisiejszą wizytą Miętlewicza i jej obecnym rozdrażnieniem...

— Pani znała Krukowskiego?... — nalegał Solski.

— Znałam go bardzo krótko — odparła Madzia.

— Cóż to za dramat zdarzył mu się... zapewne w Iksinowie? — pytał Solski nie spuszczać oka z Madzi.

— Jakieś... nieporozumienia... — cicho odparła Madzia wstydząc się za pannę Eufemię.

— Jakież on na pani zrobił wrażenie?

— Mnie się zdaje, że jest to dobry człowiek... szlachetny... Wiesz, Adzius — zwróciła się do panny Solskiej — to właśnie od siostry pana Ludwika mam tę bransoletę z szafirem... Dała mi ją w dzień wyjazdu, ale gdzie ja się w nią ubiorę!...

Dotychczas rozdrażniony Solski nagle ochłonął. Jeżeli jego kuzyn miał jakiś miłosny dramat w Iksinowie, to nie z Madzią. Inaczej siostra pana Krukowskiego (którą znał jako osobę surową) nie ofiarowałaby Madzi prezentu.

Odzyskał dobry humor i zaczął żartować, że Madzia skazana jest na spędzenie z nimi całego lata, ponieważ rodzice wyrzekli się jej na wakacje. Żegnając się zaś z paniami dodał (za co siostra zgromiła go wzrokiem), że pojedzie do Iksinowa i taką zrobi intrygę, iż rodzice wyrzekną się Madzi na zawsze.

— O, to się panu nie uda — odparła Madzia również nieco weselsza.

— Zobaczymy!... — rzekł Solski całując ją w rękę.

— Mój Stefku — przerwała żywo Ada — idź już do siebie i... myśl o załatwieniu spraw bieżących — dodała z naciskiem.

Solski wróciwszy do siebie schwyił się oburącz za włosy.

„Ależ ja szaleję!... — myślał. — Jeżeli kogo, to chyba jej nie powinien bym podejrzewać... Nie, to musi się skończyć!... Nasi krewni albo będą mieli mnie z nią, albo wcale nie będą mnie mieli...”

Podobne myśli nasunęły się i pannie Solskiej, gdyż po wyjściu brata rzekła:

— Albo mnie psuje się coś w głowie, albo nasz dom składa się z samych bzików...

Potem schwyłszy Madzię za szyję zaczęła ją całować i szeptać z niezwykłą czułością:

— Madzius, ja widzę, że ciebie coś trapi... Otóż, jako doświadczona, mówię ci, że... nie trzeba nigdy upadać na duchu... Nieraz człowiek sądzi, że jest w położeniu bez wyjścia, a tymczasem po kilku dniach rzecz wyjaśnia się i przybiera jak najlepszy obrót...

Madzia patrzyła na nią zdziwiona. Ale panna Solska, zamiast wytłumaczyć zagadkowe słowa, prędko wyszła unikając jej spojrzeń.

„Czego oni chcą?... Co oni ze mną robią?...” — pomyślała Madzia. Znowu ogarnął ją niepokój i nieprzeparła chęć opuszczenia domu Solskich.

Przy obiedzie nie było ani pana Stefana, ani ciotki Gabrieli, tylko Madzia z Adą. Obie panny rozmawiały monosylabami, a służba odnosiła ze stołu nietknięte półmiski.

Po kawie Ada znowu uściskała Madzię z jakąś gorączkową tkliwością i poszła na górę do ciotki Gabrieli. Spędziła z nią sam na sam godzinę, w ciągu której do uszu zawsze czujnej Edyty dochodził podniesiony głos jednej lub drugiej damy. Potem ciotka i siostrzenica rozplakały się. Potem pani Gabriela kazawszy zapuścić rolety położyła się na szezlongu i opryskliwym tonem powiedziała Edycie, że chce być samą; Ada zaś z zaczerwienionymi oczyma, ale uśmiechnięta, wyjechała do miasta.

Był to sądny dzień w pałacu. Służba szeptała kryjąc się po kątach. Rozdrażniona Madzia dla uspokojenia się zaczęła przeglądać stare kajety uczennic i poprawiać już poprawione ćwiczenia.

Okolo siódmej w przedpokoju odezwał się niecierpliwy dzwonek elektryczny, potem szelest, rozmowa i — wbiegła panna Eufemia w jedwabnej sukni z długim ogonem. Była obwieszona mnóstwem bransolet i łańcuszków, z których przynajmniej połowa robiła wrażenie talmigoldu.

Zdawało się Madzi, że panna Eufemia wypiękniała a przynajmniej utyla i urosła; tylko w kątach oczu ukazały się zmarszczki, ale bardzo delikatne.

— Jak się masz, najdroższa Madziu!... — zawołała panna podsędkówna tonem, który nieco przypominał jej matkę.

Kilka razy ucałowała Madzię z wielką czułością i upadłszy na kanapkę zaczęła mówić:

— Cóż to, nie ma pana Solskiego... (tu obejrzała się po pokoju i rzuciła okiem na drzwi sąsiednie). Podobno ma być fatalnie brzydki, ale to nic nie szkodzi... Wyobraź sobie, zostawiłam mamę u pani Korkowiczowej (bardzo się te panie pokochały), a sama przyfrunęłam do ciebie na skrzydłach niecierpliwości... Wiesz, wychodzę za Miętlewicza... Nieszczęśliwa partia, ale dobry chłopak i tak mnie kocha, że beze mnie żyć nie może. Ach, ci mężczyźni! formalnie tracą głowy wobec nas... Wyobraź sobie, że i u państwa Korkowiczów trafiliśmy na sercową epidemię... Ten młody pan Korkowicz, jakże mu tam?...

— Bronisław — wtrąciła Madzia.

— Tak, Bronisław, powiedział, że się zastrzeli, jeżeli ojciec nie oświadczy się w jego imieniu o rękę jakiejś panny...

— Czy nie Heleny? — spytała Madzia.

— Tak, tak właśnie. Pani Korkowiczowa jest zrozpaczona i nawet z tego powodu ma do ciebie pretensję...

— O co?

— Czy ja wiem?... — odparła panna Eufemia. — Tłumaczyła to obszernie mamie, ale Miętlewicz trzyma mię w takim oblężeniu, że nie mogę brać udziału w rozmowie. Ale... ale, moja Madziu, mam do ciebie prośbę...

— Słucham cię.

— Moja złota, może wyrobiłabyś Miętlewiczowi jaką dobrą posadę w cukrowni. Bo on wprawdzie ma dochody, ale ani wielkie, ani zbyt pewne... A nade wszystko musieliśmy mieszkać tak daleko od Warszawy, no... i od was.

— Jakimże ja sposobem mogę wyrobić posadę panu Miętlewiczowi?... — spytała trochę niecierpliwie Madzia.

Panna Eufemia spojrzała na nią obrażona.

— Przecież wyjednałaś miejsce Fajkowskiemu... Cecylii i jeszcze tam komuś...

— Przypadkiem — rzekła Madzia.

— Aaa... wiesz — odparła z godnością panna Eufemia — nigdy nie spodziewałam się, że mi odmówisz tej drobnostki... Byłybyśmy razem... No, ale widać nie życzysz sobie utrzymywać z nami stosunków dawnej przyjaźni... Szczęście ludzi zmienia... Zresztą nie mówmy o tym... Ja też mam dumę i wolałabym umrzeć aniżeli narzucać się...

Madzia przygryzła usta; gadanina panny Eufemii sprawiała jej nieledwie ból fizyczny. Panna Eufemia także spostrzegła, że nie robi przyjemności swoją osobą, więc posiedziawszy kilka minut, ze źle ukrywanym gniewem pożegnała Madzię.

— Boże, wyrwij mnie stąd... — szepnęła Madzia po jej odejściu.

Zdawało jej się, że z odmetu wielkich zwątpień zaczyna spadać w błotnisty wir intryg i zawiści.

„Już i do Iksinowa doszły plotki, że jestem narzeczoną Solskiego — myślała z rozpaczą Madzia. — Trzeba stąd uciekać... uciekać jak najprędzej...”.

Gdy jednak przypomniała sobie, że o tym postanowieniu musi rozmówić się z Adą i objaśnić przyczyny, dla których opuszcza ich dom — znowu straciła odwagę. Siły jej już wyczerpały się i była jak listek na wodzie, który płynie tam, gdzie niosą go fale.

Na drugi dzień Madzia od rana nie widziała Ady; gdy zaś około pierwszej wróciła z pensji, pokojówka przyniosła jej od pani Gabrieli list zapraszający na chwilkę rozmowy.

Madzię oblały ognie, a potem chłód. Koniecznie zdawało jej się, że ta rozmowa dotyczyć będzie plotek, jakie krążą o niej i o panu Solskim, i że dziś — skończy się wszystko. Poszła na górę ze ściśniętym sercem, ale zdecydowana.

Zastała ciotkę Gabrielę w towarzystwie tej samej wiekowej pani, która w czasie świąt wielkanocnych zrobiła jej słodkokwaśną wymówkę o to, że Ada nie chciała należeć do kwesty. Staruszka była w czarnej wełnianej sukni; przywitała Madzię z wielką powagą. Za to ciotka Gabriela, nie wiadomo z jakiej racji, pocałowała Madzię w czoło ustami zimnymi jak marmur.

Kiedy Madzia usiadła naprzeciw obu pań, jak oskarżony naprzeciw sędziów, ciotka Gabriela zaczęła:

— Chciałyśmy...

— To jest, ja prosiłam... — przerwała staruszka.

— Tak — poprawiła się pani Gabriela — hrabina chciała pomówić z panią o pewnej drażliwej kwestii...

Madzi zaćmiło się w oczach, ale wnet odzyskała przytomność. Staruszka utkwiała w niej okrągłe oczy i skubiąc czarną suknię mówiła powoli:

— Pani zna pannę Helenę... Helenę...

— Norską... — odpowiedziała ciotka Gabriela.

— Tak, Norską — ciągnęła staruszka. — Zna pani jej stosunek do naszego Stefana?...

— Tak... — szepnęła Madzia.

— I zapewne słyszała pani, że rodzina Stefana, a właściwie — ja, nie życzymy sobie, ażeby Solski żenił się... z panną Norską...

Madzia milczała.

— Otóż, droga pani — mówiła staruszka nieco łagodniejszym tonem — czuję potrzebę usprawiedliwić się przed panią, dlaczego byłam przeciwna wprowadzeniu do naszej rodziny panny Norskiej...

— Czy pani życzy sobie, ażebym jej to powtórzyła?... — spytała zaniepokojona Madzia nie rozumiejąc powodu osobliwych zwierzeń.

— Nic mi nie zależy... Znam tę panienkę tylko z fotografii, no... i z reputacji — odparła staruszka. — Chcę się tylko przed panią usprawiedliwić...

— Ażebyś, drogie dziecko, nie miała fałszywego wyobrażenia o naszych stosunkach rodzinnych — wtrąciła ciotka Gabriela.

Jakaś błyskawica rozświetliła umysł Madzi i przez chwilę zdawało się jej, że te kobiety nie mają względem niej nieprzyjaznych zamiarów. Objawienie to jednak minęło szybko, pograżając Madzię w pomroce jeszcze głębszej. Nic nie rozumiała... nic — czego od niej chcą obie damy. Owszem, zaczęła lękać się, że z powodu owych plotek wyrządzą jej jakąś obelgę.

— Pozwoli pani — mówiła staruszka, a sinawe usta niekiedy drgały jej i palce coraz szybciej skubały wełnianą suknię. — Pozwoli pani, że będę zupełnie szczerą... Szczerłość, moim zdaniem, winna być podstawą ludzkich stosunków...

— Proszę panią hrabinę — odparła Madzia, śmiało patrząc w okrągłe oczy, które mroziły jej serce.

— Stefan — ciągnęła dama — jest dobrą partią. Nawet gdyby nie miał tego nazwiska i majątku, jaki posiada, jeszcze byłby mile widziany w naszym towarzystwie i mógłby tu

znaleźć żonę. Bo i my także znamy się na zaletach rozumu i serca, których nieszczęściem jest zbyt mało...

Otóż, panno Magdaleno, jeżeli Stefan zasługiwałby na nasz szacunek nawet będąc biednym i nieznanym, jeżeli nawet w tym wypadku miałby prawo znaleźć żonę w sferze właściwej, to chyba nie zdziwisz się, panno Magdaleno, że dla takiego, jakim jest dziś, chcielibyśmy znaleźć żonę niepowszednią...

— Majątek nic nie znaczy — wtrąciła pani Gabriela.

— Nie mów tak, Gabrielo, nie trzeba nikogo w błąd wprowadzać, nawet przez grzeszność — odparła staruszka. — Majątek, nazwisko i stosunki znaczą bardzo wiele. Jeżeli więc wybrana przez Solskiego kobieta nie posiada tych warunków bytu, musi je wynagrodzić zaletami osobistymi: rozumem, sercem, a nade wszystko — miłością i poświęceniem...

— Toteż, która je posiada... — odezwała się pani Gabriela.

— Ale panna Norską nie posiadała ich. O ile wiem, jest to egoistka, która chce zrobić karierę za pomocą piękności i kokieterii... Sama przecież mówiłaś mi, że nawet już zaręczysz się ze Stefanem przyjmowała hołdy innych mężczyzn, co w ogóle jest nieprzyzwoite, a w tym wypadku było niegodziwe.

— Och!... — westchnęła pani Gabriela.

— Więc kończę — mówiła staruszka, wciąż patrząc na Magdalene, a sine usta drgały jej coraz częściej. — Byłam przeciwną tej... pannie Helenie nie tylko dlatego, że nie miała majątku ani nazwiska, ale dlatego, że — nie kochała Stefana, lecz siebie. Żona Stefana, pojęta przez niego w tych warunkach, zawdzięczałaby mu wszystko, więc i wszystko powinna mu poświęcić... Wszystko — nie wyłączając własnej rodziny... Tylko taką kobietę moglibyśmy przyjąć...

— No, to byłoby zbyt surowe żądanie — zaprotestowała pani Gabriela. — Stefan nie stawiałby takiego...

— Ale my możemy — odparła energicznie staruszka. — Mielibyśmy prawo przyjmować u siebie panią Helenę Solską, a nie przyjmować jej brata, ojczyma i matki, gdyby żyła...

Madzia nie zdawała sobie sprawy, w jakim celu mówią to do niej. Przeczowała czy podejrzewała osobistą zniewagę i w jej gołęmbim sercu zakiepał gniew.

— Czy więc uznaje pani moje powody, dla których... — spytała staruszka.

— Uznaję, pani!... — przerwała Madzia. — Był czas, że radziłam Helence, ażeby wyszła za pana Solskiego... Zdawało mi się, że oboje znajdą w tym szczęście... Ale gdybym dziś miała prawo mówić z nią o tej kwestii, powiedziałabym: słuchaj, Heleno, dla ubogiej panny lepszą jest śmierć aniżeli świetne małżeństwo... Bo najgorszego człowieka, kiedy leży w trumnie, otacza szacunek... a tu... spotka cię tylko pogarda...

Madzia wstała z krzesła i ukloniła się obu paniom. Staruszka spojrzała na nią z niepokojem, a ciotka Gabriela zawołała:

— Nie zrozumiała nas pani, panno Magdaleno... Moja kuzynka nie...

— Owszem — odparła Madzia i wyszła z pokoju.

Kiedy wzburzona znalazła się w swoich gabinecie, wybiegła do niej Ada mówiąc z uśmiechem:

— Cóż, poznałaś bliżej naszą cioteczną babcię?... Prawda, — jaki to oryginalny zabytek!... Ale co tobie, Madzius?...

Madzia schwyła ją za rękę i ściskając konwulsyjnie, rzekła:

— Daj mi słowo, że nie rozgniewasz się. Daj słowo, to cię o coś poproszę...

— Ależ daję ci słowo, że wszystko zrobię, co zechcesz — odparła zdziwiona panna Solska.

— Adzius... ja wyprowadzę się stąd... — szepnęła Madzia.

Słowa te w pierwszej chwili nie zrobiły wrażenia na Adzie.

Wzruszyła lekko ramionami i pociągnawszy Magdalene do kanapki, na której usiadły, zapytała spokojnie:

— Co to znaczy?... Bo nie przypuszczam, ażeby kto obraził cię w naszym domu.

— Nikt mnie nie obraził — mówiła gorączkowo Madzia — ale ja muszę... muszę stąd wyjść... Już dawno chciałam ci to powiedzieć, lecz brakło mi odwagi... Dziś jednak czuję, że dłużej...

— Ależ, co to jest?... Ja ciebie nie rozumiem i... prawie nie poznaję... — odparła Ada, z niepokojem przypatrując się Madzi.

— Czy myślisz, że ja sama siebie poznaję?... Coś się ze mną stało... Wszystko w mojej duszy połamane, poprzestawiane, zniszczone... Doprawdy, że nieraz budzę się w nocy i pytam: czy to ja jestem?...

— Więc jesteś rozdrażniona albo chora... Ale cóżemy temu winni?

— Wy — nic... Byliście dla mnie dobrzy jak nikt na świecie — mówiła Madzia klękając i opierając się na kolanach Ady... — Ale ty nie wiesz, ile ja tu przeżyłam, ile tu strasznych wspomnień zostało. Kiedy jestem w mieście, jestem spokojna... kiedy wrócę tu, zdaje mi się, że w każdym pokoju, w każdym zakątku widzę moje myśli, które mnie ranią jak sztylety...

Więc pozwól mi stąd odejść, Adziuś... — szepnęła ze łzami. — Pomyśl, że błaga cię człowiek rozciągnięty na łożu ognistym...

Panna Solska wstrząsnęła się.

— Pozwól przynajmniej, ażebym cię odwiozła do rodziców — rzekła.

— Po co? Mam tu robotę, której nie mogę porzucić... Zresztą, czy wzięłaś mnie od rodziców?... Przyszłam do was z miasta i powrócę do miasta.

Ada zamyśliła się.

— Nie rozumiem... nic nie rozumiem!... — mówiła. — Wskażże mi jakiś rozsądny powód twojej ucieczki...

— Czy ja wiem? — odparła Madzia. — Zapytaj leśnego zwierzęcia: dlaczego ucieka z parku, albo sosnę, dlaczego usycha w oranżerii? Nie jestem w swoim otoczeniu, więc boli mnie każdy drobiazg... każda plotka...

— Ach, plotka!... — przerwała Ada. — Moja droga, nie mamy prawa więzić cię, ale... musisz chyba pogadać jeszcze ze Stefanem...

Madzia zakryła twarz rękoma.

— Nie masz pojęcia, jakbym chciała uniknąć tej rozmowy... Ale wiem, że tak być musi...

Panna Solska patrząc na Madzię pokiwała głową.

— Zaraz ci go tutaj przyszlę — rzekła wychodząc.

Była jednak spokojniejsza.

W kilka minut ukazał się pan Stefan. Usiadł obok Madzi, która płakała, i zapytał łagodnym tonem:

— Gdzież pani chce zamieszkać?

— U panny Malinowskiej albo u której z pań należących do naszego stowarzyszenia — odparła Madzia obcierając oczy.

— W tym tygodniu — mówił zniżonym głosem Solski — pojedę do rodziców pani prosić o jej rękę.

Madzi oczy obeschły. Przytuliła się do kanapki i zawołała drżąc:

— O... niech pan tego nie robi!... na miłość boską...

Solski zaczął wpatrywać się w nią.

— Chcę prosić o rękę pani — powtórzył.

— To być nie może!... — odparła z przestachem.

— Nie chce pani zostać moją żoną?... Wiem, że jestem brzydki, mam wiele wad...

— Jest pan najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam — przerwała Madzia. — Tyle mi pan zrobił dobrego... tylem panu winna...

— Ale żoną moją...

— Nigdy!... — zawołała Madzia z wybuchem rozpaczliwej energii.

— Więc chyba kocha pani innego? — spytał Solski ani na chwilę nie podnosząc głosu.

Madzia oddychała prędko, szarpała chustkę w rękach, wreszcie rzuciwszy ją na kanapkę odparła:

— Tak.

Solski podniósł się.

— W takim razie — rzekł zawsze tym samym tonem — przepraszam... Nigdy nie śmiałybym wdzierać się w cudze prawa...

Uklonił się i wyszedł spokojnie, równym krokiem, tylko pociemniały mu oczy i pobladły usta.

Gdy stanął w swoim gabinecie, wybiegł naprzeciw niego Cezar; podskoczył i oparł mu potężne łapy na piersiach. Solski usunął się i kopnął psa.

— Won!...

Cezarowi zaiskrzyły się oczy, błysnęły zęby i groźnie warknął na pana. Solski stracił władzę nad sobą: porwał z biurka stalowy metr i z całej siły uderzył psa w głowę.

Cezar upadł na dywan. Dreszcze wstrząsnęły ogromnym jego ciałem, z nozdrzy popłynęło nieco krwi. Skurczył łapy, wyprostował się i skonał.

Solski zadzwonił. We drzwiach ukazał się dyżurny lokaj i na widok leżącego psa osłupiał.

— Co się stało, jaśnie panie?... — wyjąknął.

— Wynieś go stąd!...

Blady ze strachu służący ujął za przednie nogi jeszcze ciepłego trupa i wyciągnął na schody, a potem na dół.

W parę minut weszła do brata Ada.

— Już rozumiem wszystko!... — rzekła zirytowana. — Wracam od ciotki Gabrieli, gdzie dowiedziałam się, że hrabina wyłożyła Madzi traktat o obowiązkach młodej panny, która wychodzi za Solskiego... No, i mówi ciotka, że było to za jaskrawe... Cóż, widziałeś się z Madzią?...

Solski trzymając ręce w kieszeniach patrzył w okno. Na pytanie zaś siostry odparł po chwili.

— Już widziałem się i... dostałem kosza...

— Ty?

— Ja. Od panny Brzeskiej — dodał ciszej.

— To jakieś nieporozumienie...

— Wszystko jest jasne — odparł. — Ona kocha innego...

— Kogo?

— Nie namyślaj się, a zgadniesz.

Panna Solska zatchnęła się i spuściła oczy...

— Cóż to jest?... — spytała zmienionym głosem, spostrzegłszy krew na dywanie.

— Zabiłem Cezara.

— Ty zabiłeś?... — krzyknęła Ada.

— Szczeknął na mnie.

— Zabiłeś... za to, że szczeknął?... — powtórzyła Ada, z wolna zbliżając się do brata.

Na chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia. W oczach Solskiego tliła się jeszcze nieukożona wściekłość; w oczach Ady zapaliło się coś jak bunt.

Pan Stefan odwrócił głowę i znowu patrzył w okno.

— Wyjeżdżam dziś na wieś — rzekł. — Może i ty chcesz?...

— Nie — odparła krótko i opuściła gabinet.

Kiedy panna Solska wróciła do Madzi, zastała ją skuloną na kanapie w tym samym miejscu, gdzie pożegnał ją pan Stefan. Była bardzo blada, a z oczu wyglądał żal i trwoga.

— Puścisz mnie, Adziuś?... — szepnęła Madzia, błagalnie patrząc na przybyłą.

— Nie mam prawa sprzeciwić się — odparła Ada. — Ale przynajmniej zostań u nas, dopóki nie znajdziesz mieszkania.

— Dziś znajdę... jest dopiero trzecia...

— Rób, jak chcesz — rzekła panna Solska nie podnosząc oczu.

Madzia rzuciła się przed nią na kolana i całując jej ręce szepnęła:

— Gniewasz się?... pogardzasz mną?... O, gdybyś wiedziała, jak jestem nieszczęśliwa!...

Panna Solska pocałowała ją w czoło i podniosła z klęczek.

— Jestem tak odurzona — mówiła do Madzi — że nie mogę zebrać myśli. Nie śmiem w tej chwili robić ci żadnych propozycji... Gdybyś jednak kiedy potrzebowała moich usług... pamiętaj...

Rozpląkały się obie. Potem Madzia przemyśla oczy i ubrała się z zamiarem wyjścia do miasta.

Kiedy jeszcze raz pożegnawszy Adę stanęła u drzwi, panna Solska, jak przebudzona, zapytała:

— Powiedz mi... U Korkowiczów było ci bardzo źle, a jednak żałowałaś ich...

— Tak... U Korkowiczów było mi źle, ale — tamto mogłam znieść... U ciebie było mi lepiej niż w domu, ale... już mi sił brakuje...

Ukloniły się sobie i Madzia znikła w przedpokoju.

Około szóstej wieczór, kiedy karetka Solskiego wyjechała na ulicę, Madzia wróciła na swoje dawne mieszkanie. Spakowała rzeczy i opuściła dom Solskich z tą samą starą walizką, którą przywiozła z Iksinowa.

Nikt jej nie pożegnał, służba ukryła się. Tylko stróż zawołał dorożkę, a szwajcar zniósł jej walizkę z taką miną, jakby nigdy nie widywał Madzi.

O ósmej wieczór do gabinetu Ady przyszła ciotka Gabriela ze staruszką hrabiną.

— Cóż to — rzekła staruszka usiadłszy na fotelu — słyszę, że macie do mnie pretensję z powodu panny Brzeskiej?

— Pretensji nie!... Ale nie stało się tak, jak być mogło, a mogło być dobrze — odparła Ada.

— Moja Adziu — mówiła staruszka z miną spokojną, nawet zadowoloną. — Ty jesteś emancypantka, Stefan poeta, a Gabriela kocha was aż do słabości, więc we troje ułożyliście projekt, może bardzo ładny dla teatru, ale niepraktyczny w życiu. Pomyśl sama: czy miałyby sens małżeństwo — Solskiego z guwernantką?... Przez miodowy miesiąc byłoby im doskonale, potem — on znudziłby się nią, ona byłaby nieszczęśliwą, a na wasz dom spadłaby nowa rodzina, o której nie macie pojęcia...

— Są to, o ile wiem, uczciwi ludzie — wtrąciła Ada.

— Ależ, co to za odpowiedź... — mówiła staruszka. — Co innego uczciwi ludzie, a co innego sfera towarzyska, która nigdy by ich nie przyjęła do siebie. Tak, jak się stało, jest najlepiej i wiesz — sobie, że byłam szczerą, a tej pani, że okazała tyle ambicji... Jeżeli naturalnie poza tym wszystkim nie ukrywa się coś trzeciego.

— Krzywdzi babcia podejrzeniami niewinną dziewczynę — zaprotestowała Ada.

— Wcale nie, moje dziecko. Ale jestem już tak stara, że nie ufam ludziom, których nie znam od dzieciństwa. Wy zaś na przyszłość będziecie mieli naukę, że nie należy szukać nawet znajomości nie we właściwej sferze.

I tak dalej prawiała staruszka, ale Ada nie słuchała. Z goryczą myślała, że jej brat zabił Cezara, a później... o tym człowieku, dla miłości którego Madzia wyrzekła się małżeństwa z Solskim!...

„Jak ona go musi kochać...” — powtarzała w duchu.

## 28. CO ROBI MĘDRZEC, A CO PLOTKARZ?

W ciągu tygodnia Solski wrócił ze wsi. Służba zebrała się na powitanie w przedsiönku, kamerdyner wprowadził pana do pokojów.

Przebiegając się Solski pytał:

— Panna Ada w domu?

— Jest, jaśnie panie, w laboratorium.

— A ciotka.

— Panią hrabinę głowa boli.

— Migrena?...

— Tak, jaśnie panie.

Solski pomyślał, że jednak ciotka musi żałować cudownej lekarki, która dotknięciem rąk usuwała migrenę.

Ubrawszy się posiedział w kwadrans w gabinecie czekając na Adę. Ale ponieważ siostra nie pokazywała się, poszedł do niej.

Schylona nad mikroskopem, panna Solska przerysowywała jakiś egzemplarz porostu. Zobaczywszy brata podniosła się i przywitała go, ale bez zwykłych uniesień.

— Jakże się miewasz? — spytała robiąc w duchu uwagę, że brat opalił się i nabrał zdrowszej cery.

— Doskonale — odparł. — Dziesięć godzin na dobę spałem, a przez czternaście nie zsiadałem z konia. Zrobiło mi to bardzo dobrze.



— Dzięki Bogu.

— Ale ty wyglądasz mizernie — mówił pan Stefan. — Wróciłaś, widzę, do dawnych robót... Zdaje mi się jednak, że twoje laboratorium jest jakby obdarte?... Aha, usunięto kwiaty... A gdzie kanarki?... — dodał z uśmiechem.

Siostra surowo spojrzała na niego i wróciła do mikroskopu.

— Słuchaj, Ada — rzekł Solski — nie rób takich min!... Wiem, o co ci idzie: o Cezara... Zrobiłem podle głupstwo i dużo bym dał, ażeby wskrzesić hardego psa, ale... już za późno...

Twarz Ady złagodniała.

— Widzisz — rzekła siostra — jak to niedobrze unosić się!... Przecież ty byłbyś zdolny w gniewie zabić człowieka...

— Oh... no!... Istotnie przez chwilę zdawało mi się, że zwariowałam!... Ale trzeba mieć moje szczęście... Odrażony... odrażony przez takiego gołąbka jak panna Magdalena... I jeszcze dla kogo?... Dla takiego hultaja jak pan Kazimierz. Kobiety stanowczo mają nienormalne mózgi...

Pannie Solskiej upadł na ziemię ołówek. Podniosła go i rzekła:

— Czy wiesz nowinę?... Hela Norska wychodzi za młodego Korkowicza.

— Przecież za starego wyjść nie może, bo jeszcze żonaty — spokojnie odparł Solski. — Młody Korkowicz?... Wcale trafny wybór. Blondyn, tęgi chłop i ma głupią minę; powinien być dobrym mężem.

— Cieszę się, że cię to nie wzruszyło.

— Ani odrobiny. Powiadam ci: koń i świeże powietrze wywołują cudowne skutki. Wyjeżdżając byłem zdenerwowany jak histeryczka, a dziś tak jestem spokojny, że wszystko mnie bawi. Najgłośniejszym śmiałym się usłyszawszy, że — na przykład — panna Magdalena wychodzi za Norskiego, który po odbyciu świętej spowiedzi nawrócił się i obiecał nie grywać w karty...

Ada tak pilnie zajęła się swoim rysunkiem, że nie odpowiadała bratu. Pan Stefan okrążył stół, spojrzawszy w oczy i chmurny wysunął się z pracowni.

Obszedł pokoje Ady, jakby szukając czegoś; na chwilę zatrzymał się przede drzwiami, za którymi tydzień temu mieszkała Madzia. Nawet dotknął klamki, ale cofnął się, a potem zbiegł na dół do biblioteki.

Obok okna siedział w fotelu Dębicki nad notatkami.

— Dzień dobry, profesorze!... Cóż nowego?...

Matematyk podniósł niebieskie oczy, potarł czoło i po namyśle odparł:

— Mam nowy transport książek...

— Ach!... — przerwał Solski, niecierpliwie machając ręką. — Jeżeli profesor zawsze takie będziesz miał nowości, to niedługo na tym fotelu zasnują cię porosty pielęgnowane przez moją siostrę!

Cóż to za szczególnie kryminał, ten nasz dom!... — mówił pan Stefan chodząc. — Jedno stęka na migrenę, drugie rozmyśla nad nowym transportem książek, a trzecia, najlepsza, bo dwudziestoletnia dziewczyna, zdobywa zeza przy mikroskopie w oranżerii, która w tej chwili przypomina piec ognisty...

Ach, te baby... te baby!... Czy i za czasów profesora grasowała między nimi jaka epidemia podobna do emancypacji?...

— Nie przypominam sobie — odpowiedział Dębicki. — Za moich czasów łatwiej było o mężów i o chleb; kobiety nie potrzebowały uganiać się za pracą zewnątrz domu; mniejsza liczba ich prowadziła życie nienormalne, więc rzadziej dopuszczały się ekscentryczności.

— Zawsze były głupie i złe!... — mruknął Solski.

— Trafiały się, trafiały!... — potakiwał Dębicki.

— Ale nie trafiały się, tylko wiecznie i wszystkie były głupimi i złymi! — wybuchnął Solski. — Cóż to za podła rola na świecie! — mówił z rosnącą goryczą. — Handlarz, który chwytą cię za poły, obiecuje złote góry, byleś wszedł do jego kramiku, a gdy chcesz wejść — słyszane rzeczy? — zaczyna się drożyć!... Robi takie miny, jakby wyświadczał ci łaskę, każe na kolanach błagać o swój towar, nakłada bajeczne ceny... A ledwie cię złapał na dobre, już zaczyna oglądać się za drugim nabywcą... To jest kobieta; nigdy nie

zapelniona beczka Danaid, w której topią się szlachetne uczucia, wielkie rozumy, no — i grube pieniądze...

Dębicki machnął ręką.

— Wy także licha warci! — rzekł. — Jednego dnia jesteście najszczęśliwsi, gdy kobieta pozwoli wam całować nogi, a drugiego narzekacie, że pochłania wam rozum i pieniądze. Biegacie jak psy za mięsem i każdy chce ją posiadać, a gdy nareszcie odda się jednemu, warczycie na nią wszyscy.

— Kochany profesorze — przerwał Solski — znasz się na formułach jak nikt inny, ale pozwól, że ja — lepiej znam się na kobietach. Widziałem dumne, które lekcewały księżąt, a sprzedawały się piwowarczykom... Patrzyłem na dobre i bogate, które, zamiast oddać serce i majątek oplakiwanej przez siebie cierpiącej ludzkości, marnują pieniądze na doświadczenia naukowe, którymi uczony nie połata słomianki do butów... Znałem anioły niewinności i geniusze rozsądku, które zamiast podać rękę człowiekowi uczciwemu — wołały pójść za błaznem, który nie zdobędzie się nawet na tytuł kryminalisty... Natura stawia pełno zasadzek na człowieka, a jedną z nich jest kobieta; w chwili kiedy zdaje ci się, że znalazł lepszą połowę własnej duszy, spada ci zasłona i widzisz — co?... Manekin, któremu błyszczą oczy i śmieją się wilgotne usta... To już nie pańskie formuły, profesorze, którym można ufać jak słowu Bożemu... To wiecznie żywy fałsz, spowity w blaski i kolory mydlanych baniek. Zamiast klękać przed cudownym widzeniem, pluń, a poznasz, jaka robi się z tego rzeczywistość.

— Nie rzucalbyś się tak — odparł Dębicki — gdybyś zamiast na niefortunnych doświadczeniach oparł się na faktach ogólnych. Wariatki i wariaci, kokietki i donżuanowie, handlarki wdzięków i handlarze honoru — wszystko to są przygodne zbrocenia, nie zaś — prawo...

— Ciekawym?...

— Kobieta — mówił Dębicki — przede wszystkim jest i musi być matką. Jeżeli chce być czymś innym: mędrcom, za którym szeleści jedwabny ogon, reformatorem z obnażonymi ramionami, aniołem, który uszczęśliwia całą ludzkość, klejnotem domagającym się złotej oprawy, wówczas — wychodzi ze swej roli i kończy na potworności albo na błażeństwie. Dopiero gdy występuje w roli matki, a nawet wówczas, gdy dąży do tego celu, kobieta staje się siłą równą nam albo i wyższą od nas. Jeżeli cywilizacja jest godnym podziwu gmachem, kobieta jest wapnem, które spaja pojedyncze cegły i robi z nich masę jednolitą. Jeżeli ludzkość jest siecią, która wylawia ducha z natury, kobiety są w tej sieci węzłami. Jeżeli życie jest cudem, kobieta jest ołtarzem, na którym spełnia się cud.

— Za naszą pomocą — wtrącił Solski.

— Nie ma się czym chwalić!... Gdzie jak gdzie, ale w tej sprawie jesteście aroganckimi dodatkami, które nawet nie rozumieją swojej roli. Kiedy trzeba wkopywać się o tysiąc metrów pod ziemię, żeglować o tysiące mil od lądu, kuć żelazne belki, pod deszczem kul wydzierać z gardła zwycięstwo, błąkać się jak sęp ponad zawrotnymi przepaściami natury i ducha — mężczyzna jest w swoim żywiole. Ale tam, gdzie chodzi o rodzenie, karmienie i wychowanie: górników, żeglarzy, wojowników i myślicieli, tam jednej delikatnej kobiety nie zastąpi legion pracowników, bohaterów i mędrców. Jej łono mędrsze od was wszystkich.

Tu zaczyna się nieporozumienie, które byłoby komicznym, gdyby z jego powodu nie popełniono tylu krzywd. Od kilkuset lat nie ma sztubaka, który by wierzył, że — ziemia jest środkiem świata; ale jeszcze dziś najukształceńsi mężczyźni wyobrażają sobie, że — ich rozmaite apetyty są środkiem społeczeństwa.

Mężczyzna — powiedział Dębicki jednostajnym głosem — który zaprzął ogień do swoich wozów, ujarzmił wołu, a z dzika zrobił domową świnię, idąc za rozpędem triumfów, wierzy w to, że i kobieta — powinna być jego własnością. Że jej myśl to nie — czyjaś myśl, ale — moja myśl; że serce kobiety to nie jakieś inne serce, ale — moje serce, które wolno mi ranić i deptać, ponieważ mam drugie na zapas — we własnej piersi.

Dziecinne złudzenie!... Kobieta nigdy nie należała, nie należy i należeć nie będzie do mężczyzny; nigdy nie będzie oddaną mu całkowicie, czego od niej wymagamy; nigdy nie będzie jego własnością. Kobieta i mężczyzna to dwa światy, jak Wenus i Mars, które widzą się nawzajem, ciągną ku sobie, ale nigdy się nie przenikną. Wenus dla Marsa nie opuści swej drogi ani kobieta dla mężczyzny nie wyrzeknie się swoich przeznaczeń. I jeżeli kobiety

są czyją własnością, to bynajmniej nie naszą; one należą do swoich rzeczywistych czy możliwych potomków.

Gdyby świat męski zrozumiał, że kobieta nie jest dopełnieniem męczyzny, ale — odrębną i samodzielną potęgą, która niekiedy łączy się z nim dla spełnienia odległych przeznaczeń, nie słyszeliśmyby wybuchów męskiej pretensji. Kobieta, mówiłeś, jest to kupiec, który ciągnie nas za poły do swego kramiku, a potem drogo każe sobie płacić... Mylisz się. Kobieta jest to siła, która posługuje się tobą do wyższych celów, no... i ma prawo żądać, ażebyś na spółkę z nią ponosił kosztą skutków...

Obłąd wasz — mówił po namyśle Dębicki — jest tak wielki, że nie tylko uważacie kobietę za rodzaj domowego zwierzęcia przeznaczonego do specjalnych waszych uciech; obłąd ten sięga dalej. Jest w kobietach siła, która pozbawia was rozumu, woli, godności osobistej... Siłą tą jest wdzięk wytryskający z natury kobiecej jak kwiat z drzewa albo światło z ognia. Wdzięk kobiecy jest jednym z najbardziej skomplikowanych zjawisk natury i obok mnóstwa warunków zewnętrznych wymaga przede wszystkim swobodnego rozwoju natury kobiecej.

Wam się ten cud podoba; więc pomimo że żaden z was nie potrafi stworzyć tęczy ani kwiatu, macie jednak beczelność wymagać, ażeby kobieta — była dla was pełną wdzięku w każdej chwili. Czy jest biedną aż do zimna i głodu, czy jest smutną aż do łez, czy jest chora, skrzepowana, wylękniona — was to nie obchodzi, bo ona dla was zawsze powinna być pełną wdzięku!...

A ponieważ łatwiej oszukać męską głupotę aniżeli zmusić naturę, więc stworzyliście sobie całe kategorie, całe dziedziny sztucznych wdzięków i mistyfikacyj. Gdy zaś kiedy przez niezręczność kobiet na chwilę odzyskujecie rozsądek, zaczynacie wrzeszczeć wniebogłosy: to manekin!... to mydlana bańka, na którą trzeba plunąć!...

A ja, Stefku — kończył Dębicki grożąc palcem — radzę ci: nie pluj!... Bo, widzisz, między mydlanymi bańkami może naprawdę zdarzyć się promień tęczy, którego ślina nie dosięgnie...

Solski chodził po bibliotece rozgorączkowany. Nagle zatrzymał się przed Dębickim i zapytał:

— Profesor widziałeś się z panną Brzeską?...

— Widziałem.

— I cóż?

— Nic. Mieszka tymczasem na trzecim piętrze, gdzie ledwom się wdrapał i dostałem bicia serca. Ale wygląda przytomniej aniżeli u was na pierwszym...

— Dlaczego ona wyprowadziła się od nas? — spytał Solski.

— Mój kochany, ja dziwię się, że ona tu tak długo siedziała — odparł profesor. — Przecież ta kobieta opuściła rodziców, ażeby darmo nie mieszkać i nie jadać u nich... Z jakiejże więc racji od was miałyby przyjmować dobrodziejstwa? Zresztą — nie znam powodu, tylko się domyślam... Mogę się mylić...

— Przypuszczasz pan — mówił coraz więcej podniecony Solski — że dlatego bywała zirytowana w ostatnich czasach?...

— I tego nie wiem, ale to jest prawdopodobne. Zdaje się też, że pewien wpływ na jej usposobienie wywarł ten... Norski swoim wykładem ateizmu...

— Podlec!...

— Nie ma się o co gniewać... Tacy apostołowie bywają niekiedy użyteczni jak proszek na wymioty.

Solski kręcił się, strzelał z palców, pogwizdywał...

Wtem znowu stanął przed Dębickim i rzekł:

— A profesor wiesz, że oświadczyłem się pannie Brzeskiej?

— Coś słyszałem od twojej siostry.

— Odrzuciła mnie, wiesz pan o tym?

— W podobnych wypadkach pannie służy prawo: albo przyjąć oświadczyzny, albo odwlec z odpowiedzią albo odrzucić. Czwartej kombinacji nie widzę — odparł Dębicki.

— Owszem, jest czwarta!... — wybuchnął Solski. — Mogła jeszcze kazać memu lokajowi, ażeby wyrzucił mnie za drzwi...

— To byłaby forma nieprzyjęcia.

— Paradny jest profesor ze swymi kategoriami!... Ja mówię, że mnie sponiewierano dla szulera i błazna, a on — wylicza, która to może być kombinacja!...

— Co to za błazen? — spytał profesor.

— Naturalnie, że Norški... Panna kocha się w nim do szaleństwa...

Dębicki wzruszył ramionami.

— Czy i o tym wątpi profesor?

— Nie wątpię, ja wcale się tym nie zajmuję. Tylko — znam pannę Brzeską dwa lata i dotychczas nie spostrzegłem w niej warunków do zakochania się. Przypuszczam, że inni kochają się w niej. Ale ona!...

Solski tarł czoło w zamyśleniu.

— Ona nie kocha się w nikim?... — rzekł. — Istotnie byłoby to ciekawe! Ale na czym profesor opiera swoje przypuszczenie?

— Na prostych faktach. Będąc pensjonarką, notabene wzorową uczennicą, panna Brzeska musiała pracować osiem do dziesięciu godzin na dobę. Ledwie skończyła pensję, została damą klasową, co odpowiada dziesięciu godzinom pracy umysłowej na dobę nie licząc zajęć obowiązkowych. Obecnie mieszkając w waszym domu pracowała na pensji albo dla pensji znowu z dziesięć godzin; prócz tego mocno interesowały ją sprawy towarzysstwa kobiet, mnóstwo cudzych interesów, wreszcie... kwestia nieśmiertelności duszy. Młoda panna, która tak dużo pracuje, nie może rozwijać się pod względem erotycznym. A tym bardziej musi być zacofaną, jeżeli zajmuje się, a nawet martwi kwestiami religijno-filozoficznymi.

— Cóż to przeszkadza?...

— Bardzo przeszkadza. Siły ludzkie, fizyczne i duchowe, podobne są do kapitału, który możemy stale wydawać na rozmaite potrzeby. Jeżeli ktoś posiada trzydzieści rubli miesięcznie i wydaje takowe na żywność, mieszkanie, odzież, książki i wspieranie innych, to już nie ma na muzykę i teatr. Jeżeli więc młoda kobieta cały zasób rozporządzanej energii zużywa na wyczerpującą pracę umysłową, na troszczenie się o bliźnich, a nawet o systemy filozoficzne, więc skąd może mieć siły na kochanie się do szaleństwa?... Choćby ten ktoś był nie panem Norškim, ale aniołem.

— Nie przyszło mi to na myśl!... — rzekł jakby do siebie Solski tonem żalu.

— Muszę dodać — wtrącił Dębicki — że mój sąd odpowiada tym faktom z życia panny Brzeskiej, które znam. Kto inny, znający ją mniej dokładnie albo dokładniej aniżeli ja, mógłby wyrobić sobie inną opinię. W zjawiskach bardzo złożonych, jakimi są: biologiczne, psychiczne i społeczne, dziesięć punktów, czyli faktów, wyznacza zupełnie innego typu krzywą aniżeli pięć faktów. Z tego powodu w wymienionych naukach trzeba ciągle odwoływać się do obserwacji, gdyż czysta dedukcja prowadzi do fałszywych rezultatów.

— Ach, coż to za pedanteria!... — oburzył się Solski. — Kiedy we mnie serce zamiera z trwogi, że potępiłem niewinną, on wyklada logikę!... Bywaj zdrów, profesorze... Twoja mądrość robi wrażenie piły, która piłuje żywego człowieka.

Uściskał Dębickiemu obie ręce i wrócił do siebie rozdrażniony w wysokim stopniu. Profesor zaś poprawiwszy się na fotelu znowu zaczął przeglądać notatki.

Od tej pory Solski nie zajmował się cukrownią: nie zwoływał sesyj, nie odbierał i nie wysyłał listów i depeš, nie rozmawiał z technikami. W przedpokoju pana Stefana drzemali lokaje, na próżno oczekując rozkazów; a tymczasem ich władca chodził tam i na powrót po wszystkich pokojach domu i — tęsknił.

Dawniej kilka razy widział Madzię powracającą z pensji; więc teraz, między pierwszą i trzecią w południe, nie mógł oprzeć się manii spoglądania przez okna na podwórze. Co dzień o tej porze ogarniał go niepokój i zdawało mu się, że lada chwilę zobaczy Madzię, która może choć przez pomyłkę wbiegnie do dawnego mieszkania.

Niekiedy zakradał się do pokoiów, które niegdyś zajmowała; siadał na fotelu przed jej biurkiem, patrzył na drzwi wchodowe i słuchał: czy nie odezwie się dzwonek? Ale dzwonek milczał i Madzia nie ukazywała się na pałacowym dziedzińcu.

„Dlaczego ona nie przychodzi do nas?” — myślał i natychmiast dawał sobie odpowiedź. Nie przychodzi — ponieważ w tym domu obrażono ją. Jego krewna, najpoważniejsza osoba w rodzinie, zamiast przygarnąć Madzię, o co ją prosił, zapowiedziała pannie, że dla związku z Solskim musi wyrzec się własnej rodziny!...

A on sam czy lepiej postąpił? Żyd z chłopem o konia targują się godzinę, a tymczasem on chciał wytargować żonę, duszę ludzką — w ciągu paru minut. Bo dłużej nie trwała rozmowa z Madzią; a jakim on tonem przemawiał?...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!... — powtarzał Solski chwytając się za głowę.

Raz około drugiej po południu zerwał się i pobiegł w stronę domu, w którym mieściła się pensja panny Malinowskiej. Chodził z kwadrans po ulicy, minął gromadę pensjonarek powracających z lekcji, ale Madzi nie zobaczył.

„Oszalałem? — myślał. — Żaden paż nie krążył tak nieśmiało około córki królewskiej jak ja około guwernantki!...”

Zakipiała w nim duma i przez jeden dzień znowu zajmował się cukrownią. Zwołał sesję, wysłał kilka listów, ale wieczorem — wymknął się pod dom, gdzie mieszkała Madzia.

Pokój jej na trzecim piętrze był oświetlony, okno otwarte. W chwili gdy Solski patrzył tam z drugiej strony ulicy, muslinowa firanka wydeła się jak żagiel, w który wiatr uderzył.

— Ktoś do niej wszedł — rzekł do siebie. — Ale kto?...

I zazdrość szarpnęła go za serce.

Nazajutrz cały ranek rozmyślał: dlaczego Ada nie była u Madzi? Posprzeczały się? Chyba nie. Więc co?... Były przecie najserdeczniejszymi przyjaciółkami...

Nagle stanął na środku pokoju, zaciskając pięści.

„Może Ada naprawdę kocha się w tym Norskim?... Kilka miesięcy mieszkali razem w Zurychu... Norski odwiedzał Adę prawie co dzień... Razem odbywali wycieczki... Potem coś zaszło między nimi...”

— Aaa!... — jęknął Solski.

Na myśl, że jego siostra kocha się w panu Kazimierzu i może być rywalką Madzi, Solski uczuł, że chce bić głową o ścianę, wybiec na ulicę, krzyknąć... Wściekłość uderzała mu na mózg.

Ten Norski... blagier... i karciarz zabierał mu i siostrę, i Madzię!...

Po gwałtownym wybuchu równie nagle ogarnął pana Stefana spokój.

— Zdaje się, że temu kawalerowi strzelę kiedyś w łeb — rzekł do siebie.

Nad wieczorem zebrała się sesja techników i plenipotentów po to tylko, ażeby zaznaczyć, że budowa cukrowni idzie dobrze. Na murach lada dzień trzeba stawiać dachy; kotły i maszyny już odpłynęły z Gdańska do Warszawy; koła wodne są gotowe i nie było nieprzewidzianych wydatków.

Solski słuchał roztargniony, a gdy członkowie sesji zaczęli rozchodzić się, dał znak Zgierskiemu, ażeby został.

Pulchny człowieczek uśmiechnął się zgadując, że będzie miał poufną konferencję. A jako dyplomata począł zastanawiać się, o co może być zapytany. O pannę Helenę Nor-ską?... O Madzię?... Może o sprzedaż cukrowni?... Może o to, co w mieście mówią o Solskim?... Może o to, co mówią o przyczynach wyprowadzenia się Madzi z ich domu?... A może też o to, co publiczność sądzi o panie Adzie Solskiej, która niedawno — była emancypantką, potem została spirytystką, a dzisiaj jest mizantropką i nie pokazuje się nikomu?...

Solski usiadł na fotelu i podsunął gościowi pudełko z cygarami. Pan Zgierski wziął jedno, ugniótł w palcach, obciął, a spod oka wciąż patrzył na drzwi. Drżało w nim serce na myśl, że mogą przynieść cudowne wino Solskich, które pan Zgierski nadzwyczajnie lubił, i — bał się go. Lubiał, gdyż było dobre, a bał się, gdyż bardzo rozwiązywało mu język, nawet za bardzo.

Gdy tak wahał się między nadzieją i trwogą, Solski zapytał:

— Cóż nowego?...

Zgierskiemu czarne oczki zmniejszyły się do rozmiaru iskierek. Z miodowym uśmiechem pochylił głowę do ziemi i rzekł:

— Panna Norska wychodzi za Bronisława Korkowicza... ślub ma odbyć się w Częstochowie za parę tygodni... Skutkiem tego pan Kazimierz zerwał z siostrą...

— Ciekawym, czy panna Helena zaprosi mnie na wesele? Jest to jedyny wypadek, z powodu którego mógłbym ubawić się parę godzin w salonach pani Korkowiczowej.

— Czy mogę jej o tym powiedzieć? — spytał z rozkoszną minką Zgierski. — Chociaż nie! — dodał. — Znadto zmartwiłaby się panna Helena usłyszawszy, że jej mściwy cios tak mały zrobił efekt...

— A za cóż ona się mści? — rzekł Solski ziewając.

— Nieszczęsna pomyłka! — westchnął Zgierski. — Mówiono, że panna Helena wierzyla, do chwili wyprowadzenia się stąd panny Brzeskiej, że...

— Że co?

— Że pan odwrócił swoje względy od niej, to jest od panny Heleny, a zaszczycił... pannę Magdalenę...

— Aaa!... — mruknął Solski, obojętnie wytrzymując migotliwe spojrzenia Zgierskiego. Po chwili zaś dodał:

— Ambitne dziecko z panny Brzeskiej. Nie sypiała po nocach i chudła wyobrażając sobie, że moja siostra wyświadcza jej łaskę.

Umilkł i znowu odezwał się:

— Ambitne, ale dobre dziecko. Rozweselało nasz dom, nawiasowo mówiąc, nudny... Leczyło migrenę mojej ciotki... Miła dziewczyna... Szczerze byłbym zadowolony, gdyby moja siostra potrafiła w sposób możliwy do przyjęcia zabezpieczyć jej przyszłość... Bo i cóż to za los biednych nauczycielek!...

Zgierski stropił się.

— Panna Magdalena — rzekł szybko — nie potrzebuje lękać się o przyszłość. Jej brat, dyrygujący kilkoma dużymi farbiarniami pod Moskwą, ma znaczne dochody i robi majątek. Ona zaś otrzymała zapis w Iksinowie wynoszący kilka tysięcy rubli...

— Od kogo?...

— Od jakiegoś majora...

— Od majora?... — powtórzył Solski. — Za co?...

Pan Zgierski podniósł brwi, spuścił oczy i wzruszył ramionami.

Solski doznał uczucia, jakby mu ktoś odwrócił głowę i wskazał nowy widnokrąg. Prawie — zabolalo go w szyi.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Solski.

— Bawiła tu jakaś pani sędzina z Iksinowa z córką i przyszłym zięciem.

— Ach!... — szepnął Solski.

— Poznałem te damy u państwa Korkowiczów i dowiedziałem się kilku szczegółów...

— Ciekawe! — rzekł Solski. — Cóż jej mogły zarzucić?

— Dzieciństwa!... Obie panie, no i pani Korkowiczowa, nie mogą darować pannie Brzeskiej niewinnej kokieterii...

— Kokieterii?...

— Och, któraż kobieta jej nie posiada!... — uśmiechnął się Zgierski. — W każdym razie z tego powodu panna Brzeska musiała opuścić dom państwa Korkowiczów...

— Myśmy ją stamtąd siłą zabrali — wtrącił Solski.

— Tak... tak... ale... Z tego też jakoby powodu panna Brzeska wyjechała z Iksinowa...

— Aż takie szerzyła spustoszenia!... — roześmiał się Solski.

— Naturalnie dzieciństwa... parafianstwy... — mówił Zgierski. — Bądź jak bądź trafiło się, że jakiś urzędnik pocztowy w Iksinowie zastrzelił się... Nazywał się oryginalnie: Cynadrowski...

— Cynadrowski?... Cynadrowski?... — powtórzył Solski już nie ukrywając wzruszenia. Oparł łokcie na poręczach fotelu, zasłonił rękoma oczy i szepnął: — Cynadrowski?... Aha!... aha!...

Przypomniał sobie pomieszanie Madzi wówczas, kiedy zameldowano Miętlewicza. Przypomniał sobie ich rozmowę, w ciągu której gość z Iksinowa wspomniał i o majorze, i o śmierci jakiegoś Cynadrowskiego, co bardzo zmieszało Madzię...

— Aha!... aha!... — powtórzył Solski odgrzebuując w pamięci wizytę Miętlewicza, która już wówczas robiła na nim podejrzaną wrażenie.

Zgierski spostrzegł, że jego wiadomości może zbyt silnie podziałały na Solskiego. Ukłonił się nisko i na króciutkich nóżkach potoczył się za drzwi.

„Więc panna Magdalena już ma przeszłość?... — myślał Solski. — Bah!... i nawet dramatyczną... Więc już było i strzelanie sobie w łeb?... To tak w rzeczywistości wygląda niewinne dziewczątko, które według Dębickiego nie miało czasu myśleć o sprawach

erotycznych!... A to kochany profesor zna się na kobietach... Chociaż... Dlaczego on zakończył swój wyczerpujący odczyt frazesem, że kto by znał dokładnie pannę Brzeską, mógłby wyrobić sobie o niej inną opinię?... — Aha!... Sprytny staruszek...”

Solski zerwał się z fotelu i zaczął chodzić po gabinecie prawie wesoły. Niekiedy na mgnienie oka błysnęła mu myśl, że to, co Zgierski opowiadał o Madzi, wygląda niewyraźnie i może być plotką. Była nawet krótka chwila, że chciał to sprawdzić... Wnet jednak nasunął mu się cały szereg uczuć i powodów zagłuszających te zachcenia.

Przede wszystkim jakim on sposobem sprawdzi i po co? Może ma zaprosić na pogawędkę pana Fajkowskiego, prowizora z Iksinowa, i klepiąc go po ramieniu, przy kieliszku wina ostrożnie wypytywać: jak to tam było z zapisem majora dla panny Brzeskiej?... Nie, pan Stefan Solski tego nie robi. On tego ani potrafi, ani chce rozszerzać koła demokratycznych znajomości, które już stanęły mu kością w gardle.

Dzisiaj wszystko jest jasne. Uroczą Madzia jak wszystkie kobietki oszukiwała ród męski bądź dla wyzyskania go, bądź — ot tak sobie. Dzięki temu zakłóciła spokój browarów pana Korkowicza, a w Iksinowie pchnęła kogoś do samobójstwa (zapewne bez zamiaru), no — i zdobyła kilka tysięcy rubli może już z zamiarem...

Zamieszawszy u Solskich wyprzegowała do cukrowni pana Fajkowskiego, który mógł zaszkodzić jej wzmiankami o iksinowskich historiach. Widząc zaś, że jej filantropia robi dobre wrażenie, zaczęła kokietować jego, Solskiego, litością i współczuciem. Praca na pensji, przywiązanie do Ady, leczenie migren ciotki, zajmowanie się służbą pałacową — wszystko to było kokieterią!...

Nagle wpadł do Warszawy jakiś pan Miętlewicz, jego narzeczona z matką i — panna Brzeska poznawszy, że może być zdemaskowana — dramatycznie usuwa się z ich domu!... Czyn roztropny, gdyż w tydzień później może dano by jej do zrozumienia, że — powinna się usunąć.

Solski chodząc przygryzał wargi i uśmiechał się. Świeża teoria o charakterze Madzi wprawdzie szwankowała na pewnych punktach, ale za to była jasna i odpowiadała jego poglądom, że — kobiety są podłe.

Więc uwierzył w nową teorię; zamykał oczy na wątpliwe szczegóły i wierzył. Za swoją miłość idealną, za zranioną dumę, za wszystkie dzieciństwa, jakich dopuścił się dla panny Brzeskiej, za tęsknotę, która żarła mu serce, musiał przecie mieć satysfakcję. Więc uwierzył, że Madzia — jest przewrotną kokietką.

Nazajutrz poszedł do mieszkania siostry zmizerowany, ale i zdecydowany.

— Ada — rzekł — pojedziesz ze mną za granicę?

— Po co? — spytała siostra.

— Rozerwać się... odetchnąć świeżym powietrzem... Już denerwują mnie warszawskie upały, no — i ludzie...

— Gdzie chcesz jechać?

— Wstąpię na kilka tygodni do Winternitzu, potem w góry... potem do morza... Jedź ze mną, Ada, bo i tobie dobrze zrobi hydropatia...

— Ja wyjadę na wieś — chłodno odpowiedziała siostra.

W parę dni później, a we dwa tygodnie po wyprowadzeniu się Madzi, pałac Solskich opustoszał. Ada z ciotką Gabrielą tudzież z kolekcją mchów i porostów przeniosła się na wieś, a pan Stefan wyjechał za granicę.

Służba odetchnęła. W ostatnich dniach życie w pałacu było nieznośne. Państwo prawie nie widywali się ze sobą, a pan tak był rozdrażniony, że nawet stary kamerdyner drżał na jego widok.

## 29. W NOWYM GNIEŹDZIE

W pewnym domu przy ulicy drugorzędnej, ale ruchliwej, bezdzietna wdowa, pani Burakowska, utrzymywała rodzaj pensjonatu dla kobiet. Zająła połowę trzeciego piętra, na którym znajdowało się jedno większe mieszkanie złożone z kilku pokojów i kuchni tudzież kilku pokoików z osobnymi wejściami.

Pani Burakowska pokoiki te wraz z usługą wynajmowała sublokatorom, które stołowały się u niej. A ponieważ znała się na gospodarstwie i miała dużą kuchnię, więc jeszcze kilka osób z miasta przychodziło do niej na obiady.

Tych lokatorek, stołowniczek i stołowników było razem ze dwadzieścia osób. Pani Burakowska miała ciężką pracę, ale miałaby też i niezły byt przy nich, gdyby nie drobna okoliczność. Oto Opatrzność pobłogosławiła panią Burakowską bratem, starszym o rok, i siostrą, młodszą o kilkanaście lat.

Siostra, panna Klotylda Pasternakiewiczówna, posiadała sto jeden przemysłów. Umiała szewctwo, introligatorstwo, haft, malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków, wieńce ze skóry i — szyla bieliznę. Wszystkie te jednakże kunszta pomimo gorliwej pracy przynosiły jej ledwie dziesięć rubli na miesiąc.

Znacznie starszy brat, pan Wacław, był praktyczniejszy: nie robił nic, ale za to ciągle szukał zajęcia, co zmuszało go do przepędzania czasu w cukierniach i restauracjach.

Mąż pani Burakowskiej, obywatel ziemski, zmarł przed pięcioma laty i pozostawił dobra, z których wdowa otrzymała trzy tysiące rubli gotówką.

Gdyby nie siostra posiadająca sto jeden kunsztów i nie brat, który znał tylko jeden kunszt: próżnowania, może pani Burakowska przy swoim pensjonacie utrzymałaby w całości owe trzy tysiące rubli, a może dołożyłaby coś do nich.

Ale przy obowiązkach, jakie na nią spadły, majątek pani Burakowskiej nie powiększył się. Owszem, starannie prowadzone rachunki dowodziły, że w ciągu czterech lat samodzielnej pracy pani Burakowska utraciła ze swego kapitaliku tysiąc dwieście rubli. Pozostałe tysiąc osiemset rubli powinna była stracić w ciągu następnych sześciu lat, po czym...

Potem — myślała, że dobry Bóg zeszele na nią śmierć, a sam zaopiekuje się młodszą siostrą, arcypracowitą i posiadającą sto jeden kunsztów, tudzież starszym bratem, który poszukiwał zajęcia.

Gdyby kto wszedł do pokoju tej kobiety wówczas, gdy robiła wieczorny rachunek, gdyby zajrzał w jej mózg przepełniony gospodarskimi kombinacjami i w serce pełne trwogi, może pomyślałby:

„O jakież to nędzny los kobiety samodzielnej i w jak bezceremonialny sposób pleć zwana słabą jest wyzyskiwana przez mężczyzn...”.

Ale ponieważ nikt nie robił rachunków z panią Burakowską i nikt nie widział jej zalekniętego serca, więc wyobrażano sobie, że damie tej jest rozkosznie na świecie. Miała dobry humor, wynajdywała co tydzień inne potrawy na obiad, kręciła się po mieszkaniu, po kuchni i po pokojach z oddzielnymi wchodami od szóstej rano do północy, więc — czegoż było jej potrzeba?...

U pani Burakowskiej od dwu lat mieszkała kasjerka ze składu aptecznego, która miała czterdzieści rubli miesięcznej pensji i pracę od ósmej rano do ósmej wieczór z wyjątkiem godziny na obiad. Po dziesięciu latach zajęcia, przy którym nie było czasu myśleć osobie, panienka ta jednego dnia uczuła, że jest jej jakoś niedobrze i...

I kiedy otrzeźwiono ją (w pokoju za składem aptecznym), zobaczyła nad sobą jegomością z siwymi wąsami, który tłumaczył jej, że musi na parę miesięcy wyjechać na świeże powietrze.

Była zdziwiona tym, że zamiast przy kasie znalazła się w pokoju za składem aptecznym, że sam właściciel składu aptecznego prosił ją, aby wyjechała na świeże powietrze. A ponieważ dano jej urlop i obietnicę, że posady nikt nie zajmie, więc w początkach czerwca przeniosła się na wieś do swojej ciotecznej siostry, której nie widziała od jedenastu lat.

Tam przyjęto ją życzliwie i oświadczone, że przed końcem lata nie wypuszczą jej do Warszawy. Kasjerka ze składu aptecznego nie mogła wydziwić się, że przez ten czas, kiedy ona za kantorkiem odbierała kwity i pieniądze lub wydawała reszty, cioteczna jej siostra nie tylko wyszła za mąż, nie tylko miała ośmio- i dziewięcioletnie dzieci, ale nawet — jakby postarzała się...

Kasjerce zajętej od ósmej rano do ósmej wieczór przyjmowaniem pieniędzy i wydawaniem reszty podobne zmiany w życiu nigdy nie przychodziły na myśl. Nie mogła wykombinować: jakim sposobem tak nagle starzeją się ludzie i wyrastają dzieci? Chociaż od dziesięciu lat była kobietą samodzielną, a nawet urzędnikiem składu aptecznego!

Skutkiem wyjazdu kasjerki na wieś, u pani Burakowskiej był w korytarzu jeden wolny pokój z osobnym wchodem. A ponieważ kobiety należące do stowarzyszenia panny Howard popierały się wzajemnie jak Żydzi, więc w kilka godzin po opuszczeniu Solskich Madzia za pośrednictwem pani Zetnickiej osiedliła się pod skrzydłami pani Burakowskiej.



Z bijącym sercem nie ze zmęczenia, ale ze strachu, Madzia wdrapała się na trzecie piętro nowego mieszkania. W korytarzu uderzył ją zapach kuchennych przypraw; w przedpokoju usłyszała turkot maszyny do szycia, a w salonie będącym zarazem jadalnią zobaczyła — szczupłą szatynkę, samą panią Burakowską, której wręczyła kartkę pani Zetnickiej.

— Pani chce u nas zamieszkać? — spytała pani Burakowska wycierając grubym fartuchem zatłuszczone ręce.

— Tak, proszę pani.

— Mamy tu jeden pokoik z osobnym wchodem, a także z usługą i całodziennym utrzymaniem za 33 ruble na miesiąc.

— Owszem, proszę pani, jeszcze dziś zapłacę.

— Doprawdy?... Co za szkoda!... — westchnęła pani Burakowska. — Bo ten pokoik (z meblami) będzie wolny tylko do sierpnia...

— Trudno, proszę pani — rzekła Madzia.

Maszyna do szycia nie przestawała warczeć.

W tej chwili do salonu (który był zarazem pokojem jadalnym) wszedł przystojny brunet mogący mieć około czterdziestu kilku lat. Spojrzał na Madzię okiem znawcy i rzekł półgłosem do pani Burakowskiej:

— Moja droga, nie masz pół rubla drobnych?... Bo ja mam sturublówkę, a muszę spotkać się w Saskim Ogrodzie...

— Mój brat... Pasternakiewicz, panna Brzeska... — zaprezentowała ich pani Burakowska wydobywając ze starej portmonetki pół rubla małymi dziesiątkami i wielkimi miedziakami.

Madzia zarumieniła się, pan Pasternakiewicz uklonił się z miną człowieka, który idzie zmienić sturublówkę. W drugim pokoju maszyna do szycia wciąż warczała, a po mieszkaniu rozchodził się zapach kuchennych sosów.

Madzia tego samego dnia sprowadziła się do pokoju z osobnym wejściem, a gdy otworzyła okno na ulicę, doleciał ją z sąsiedniego pokoju stłumiony szmer maszyny do szycia.

Położyła się na krótkim łóżku, ale nie mogła zasnąć do drugiej w nocy. Skoro świt usłyszała, że pan Pasternakiewicz już wrócił z Saskiego Ogrodu do domu, choć z jego stąpania nie można było odgadnąć, czy zmienił sturublówkę.

Wkrótce potem w sąsiednim oknie znowu zerwał się warkot maszyny do szycia, przy której panna Pasternakiewiczówna zarabiała dziesięć rubli miesięcznie, pomimo że znane jej było szewctwo, introligatorstwo i haft, że malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków tudzież wieńce ze skóry.

Przez parę następnych dni Madzia była odurzona, ale w sposób przyjemny. Zdawało jej się, że wróciła z dalekiej podróży i że jej pobyt u Solskich skończył się bardzo, o! bardzo dawno. Nowy lokal, trochę ciasny, robił na niej wrażenie bezpieczniejszego. W pokoiku, za którego drzwiami biegali ludzie, dokąd z okna dolatywał szmer uliczny, Madzia mniej bała się komety, o której mówił Dębicki, i nie miała czasu myśleć o wiekuistym nicestwie.

Pokoik ten leżał jakby w ognisku powszedniego życia. Od rana po korytarzu kręciły się służące albo przekupnie z koszami mięsa i jarzyn. Słychać było śwąd samowaru, czyszczenie garderoby, roznoszenie kawy i herbaty. Potem lokatorki pani Burakowskiej wybiegały do swoich zajęć na miasto, a służące porządkowały ich mieszkania. Potem pani Burakowska krzyczała na kucharkę lub urywanymi zdaniem rozmawiała z nią o tym, co będzie na obiad.

Na korytarzu zaczęły rozchodzić się śwędy przedobiadowe, a od pierwszej do trzeciej zbierali się stołownicy i stołowniczkę i znowu rozbiegali się do swych zajęć. Tymczasem o trzy piętra poniżej okna, na ulicy, słychać było nieustający szmer nóg, turkot dorożek, powozów, wozów piekarskich, rzeźniczych, transportowych... Czasem rozległ się głośniejszy okrzyk, czasami przejechał karawan, ale tak prędko, jak gdyby nieboszczyk nie był zimnym trupem i nicością, lecz interesantem, który spieszy na cmentarz.

Co za różnica pomiędzy tym gwarnym zakątkiem a samotnymi salonami Solskich, gdzie milcząca służba ukazywała się i znikwała jak cienie, gdzie człowiek lękał się szelestu własnych kroków i ze wszech stron obłany pustką, odczuwał śmierć i nicość.

Trzeciego dnia Madzia będąc na pensji spostrzegła, że tym razem uczennice są bardzo zajęte jej osobą, a nauczycielki i profesorowie witają się i rozmawiają z nią w sposób niezwykajny. Nawet panna Malinowska, w czasie pauzy, zabrała Madzię do swego pokoju i rzekła:

— Cóż to, wyprowadziła się pani od Solskich?

— Tak.

— I odrzuciła pani oświadczenia Solskiego?...

Madzia milczała.

Panna Malinowska wzruszyła ramionami i dodała:

— Jakiż ma pani zamiar na wakacje?

— Zostanę w Warszawie.

— Chce pani kilka dobrych lekcji?

— Bardzo byłabym wdzięczna...

— Dam je pani... No, no!... nie każda kobieta zdobyłaby się na podobny heroizm...

Odrzucić Solskiego... Doprawdy wygląda to jak sen... — mówiła panna Malinowska.

Gdy około drugiej Madzia wracała do domu, na schodach zabiegła jej drogę panna Żaneta. Obejrzała się na wszystkie strony i schwyciwszy się za poręcz szepnęła z minką bardziej niż kiedykolwiek wystraszoną:

— Coś ty, Madziu, zrobiła najlepszego?... Biedny Fajkowski teraz już z pewnością nie dostanie miejsca przy cukrowni!...

— Dlaczego?... — spytała Madzia widząc, że pannie Żanecie zbiera się na płacz. — Czy za to, że ja wyprowadziłam się od Ady, ma pokutować twój naręczony?... Zastanów się... Pan Solski jest tak szlachetny, że danego słowa nigdy nie cofnie.

— Tak myślisz? — odparła cicho panna Żaneta i na jej wylęknionej twarzyczce ukazał się odblask radości. — Ale zrobiłaś głupstwo... Jak można nie wyjść za Solskiego!...

„Nie mówiłabyś tak — pomyślała Madzia — gdybyś знаła jego ciotkę, a nade wszystko babkę. Brr!... umarłabym między tymi kobietami...”

Na ulicy jednak ogarnął ją strach. Czy Solski nie zechce mścić się nad osobami, którym ona wyjednała posady?

„Nie zrobi tego” — rzekła do siebie. I przyszło jej na myśl, że Solski jest naprawdę dobrym człowiekiem. A w takim razie, czy powinna była odrzucić go, jeszcze w taki szorstki sposób?...

Obiad jadła Madzia u pani Burakowskiej z drugą serią stołowników. Było tam kilka nauczycielek, jedna buchalterka, stary urzędnik, wreszcie student, który kończył zdawać egzamina. Wszyscy ci ludzie jedli pełnymi łyżkami, a rozmawiali półgębkiem, każdy bowiem spieszył się do roboty. Tylko student, który z powodu braku pieniędzy poprzestawał na półobiedzie, jadł powoli usiłując wielkimi ilościami chleba wynagrodzić małe porcje. Jego zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy odbierały Madzi apetyt. Nie mogła opędzić się przed myślą, że los biednego chłopca byłby może innym, gdyby ona nie zerwała stosunków z Solskimi!

Madzia piła czarną kawę, gdy doniesiono, że w jej mieszkaniu czeka jakaś dama.

„Ada...” — przebiegło jej przez głowę.

Z biciem serca weszła do swego pokoju i zastała — pannę Howard, która na widok Madzi zerwawszy się z krzesła, szeroko otworzyła ramiona. Była podobna do krzyża przy drodze.

— Witam!... — zawołała panna Howard — witam podwójną bohaterkę...

Potem schwyciwszy Madzię w objęcia mówiła z wybuchem zapału:

— Uwielbiam cię, panno Magdaleno... — Jednym zamachem zdeptałaś magnata i — mężczyznę... Tak, gdyby wszystkie kobiety postępowały w podobny sposób, sprowadziłybyśmy mężczyzn do właściwego poziomu... Zarozumiałe zwierzęta!... Twój piękny czyn godny jest demokratki i kobiety samodzielnej...

Następnie uspokoiwszy się panna Howard opowiedziała Madzi, że Solski po jej odmowie wpadł w taką wściekłość, że zabił swego psa.

— Zabił Cezara? — powtórzyła Madzia błędąc. — Skąd pani wie o tym?...

— Był u mnie wczoraj plenipotent Solskiego... wie pani... Bardzo przyjemny człowiek, w średnim wieku...

— On ma trochę nogi... — wtrąciła Madzia.

— Tak — przerwała panna Howard — ma nieco... ekscentryczne nogi, ale — bardzo miły człowiek... Przyniósł dla naszego towarzystwa miesięczną składkę panny Solskiej, sto rubli...

Przyznam ci się, panno Magdaleno — dodała po chwili widząc cień na twarzy Madzi — że sturublówki panny Solskiej upakarzają mnie... Szczególniej dziś, po twoim pięknym czynie... I powiem ci, że nigdy tak nie pogardzam magnatami jak wówczas, kiedy muszę przyjmować ich ofiary... Ale cóż zrobię?... Wydatki towarzystwa rosną...

Panna Howard zamyśliła się posępnie. Po chwili jednak czoło jej zaczęło się rozchmurzać i mówiła dalej z uśmiechem.

— Szczególny człowiek ten plenipotent Solskich... Pięknym nie można go nazwać, ale — ma coś w oczach... Jest wdowcem... Kiedy do mnie przyjdzie, przesiaduje po kilka godzin. Zaprowadził mi książki rachunkowe i udziela pożytecznych wskazówek. Myślę, że jeżeli nad nami, kobietami, ciąży klątwa, ażebyśmy wychodziły za mąż, to powinnyśmy wychodzić tylko za takich...

Ale ci dumni panowie, ci władcy świata — prawła panna Howard podniesionym głosem — oni nie powinni nigdy zaznać słodczy małżeńskiego pożycia... Ach, panno Magdaleno, doskonale zrobiłaś odtrącając Solskiego którego widok napępiał mnie obawą i wstrętem... Jakie to musi być zwierzę namiętne i ponure... Czysty inkwizytor!... Cha! cha! cha! Chciał zjeść ładną kobietę jak ostrygę, a tu — klap!... i dostał po łapkach... Zdawało mu się, że skromna nauczycielka wobec jego bogactw zapomni o godności kobiecej...

Panno Magdaleno — zawołała zrywając się — postąpiłaś jak Joanna d'Arc z tym... nienasyconym triumfatorom. No, bądź zdrowa!... Jeżeli będziesz kiedy potrzebowała lekcji, daj mi znać i pamiętaj, że masz przyjaciółkę, która cię podziwia... Podli mężczyźni!...

Długo jeszcze po odejściu panny Howard Madzia czuła zamęt w głowie. Zdawało jej się, że gorliwa apostołka praw kobiecych składa się z dwu osób. Jedna nienawidzi magnatów, druga przyjmuje od nich ofiary; jedna pogardza mężczyznami i małżeństwem, druga — bodaj czy nie wyszłaby za mąż.

„Cóż to za okrutnik ten Solski!... — rzekła do siebie Madzia. — Zabił Cezara...”

Potem przyszło jej na myśl, że jeżeli na pannie Howard krzywonoży plenipotent Solskich wywarł tak potężny wpływ, iż gotowa była wyjść za niego, to z jakiej racji Solski nie miałby zasługiwać na przywiązanie kobiety?

„Nigdy nie powiedział, że mnie kocha!...” — szepnęła rozdrażniona Madzia.

Lecz wnet przypomniała sobie, że Solski robił więcej, gdyż spełniał każde jej życzenie. A jak on z nią rozmawiał, jak patrzył na nią, jak całował ją w rękę...

Teraz dopiero w sposób niejasny zaczęło budzić się w duszy Madzi pytanie: czy dobrze zrobiła odrzucając Solskiego?... Ale stłumiła je, oburzona sama na siebie.

W korytarzu rozlegały się stapania: trzecia seria stołowników pani Burakowskiej wracała z obiadu. W obocznym pokoju maszyna do szycia zaczęła warczeć, zapach przypalonego tłuszczu wzmocnił się, a jednocześnie Madzia usłyszała głos pani Burakowskiej lamentujący:

— Patrzcie, kot zjadł cielęcy kotlet!... Mój Boże, mój Boże... czy tu podobna dojsć do czego?... Gość stłukł talerz, Marianna złamała warząchew, kot zjadł mięso... Ach, nieszczęście... ach, nieszczęście z wami!...

Madzi przyszło na myśl, że w tym domu wszystko obraca się naokoło cielęcego kotleta. Za tym kotletem biegają służące do miasta, na ten kotlet spieszą stołownicy, dla tego kotleta maszyna panny Pasternakiewiczówny warczy przez szesnaście godzin na dobę, na ten kotlet polują głodne koty, wreszcie z powodu tego kotleta pani Burakowska wpadła w rozpacz.

Nic — tylko cielęce kotlety!... One tu panują, one zaprzatają wszystkie rozumy i wypełniają serca.

Nie tak było u Solskich, gdzie wcale nie zajmowano się jedzeniem. Troszczono się o danie pracy ludziom potrzebującym, rozmawiano o duchach, o tym, czy fabryka jest istotą żywą, która myśli i czuje, rozprawiano o towarzystwie kobiet albo o możliwości powszechnego potopu...

I stała się rzecz dziwna. Dom Solskich, z którego Madzia wydarła się jak z łoża tortur, po kilku dniach zaczął budzić w niej tęsknotę.

Cicho tam było, przez okna zagłądały drzewa ogrodowe... A nade wszystko poza obrębem zajęć na pensji Madzia miała kogo otaczać swoją opieką. Przecież Ada, ta wielka pani, tuliła się do niej, szukała jej towarzystwa i pieszczot jak dziecko, które potrzebuje kochać i być kochanym...

„Co ja zrobiłam?...” — szepnęła Madzia załamując ręce.

A ten Solski, szorstki, dziwak, ale kipiący nadmiarem sił... Burza w ludzkiej postaci, która jednak łagodniała wobec niej... Prawda, że rozniecał trwogę zupełnie jak burza, kiedy człowiek dostanie się między jej wichry i pomroki... Jakież to jednak wydaje się piękne dziś, kiedy przeszło na zawsze!...

W tej chwili Madzia jasno rozumiała, czym dla niej był dom Solskich. Był to świat, w którym nie istniały materialne interesa. Tam po raz pierwszy spotkała ludzi poważnie zajmujących się kwestiami społecznymi, zagadnieniami ducha i natury. Tam znalazła serdeczną przyjaciółkę w kobiecie i mężczyznę, który lubił ją naprawdę bezinteresownie. Tam nareszcie miała wyraźny cel na przyszłość: szkołę przy fabryce.

I pomyśleć, że ona sama własnymi rękoma rozwalila taki gmach szczęścia, odrzuciła los trafiający się jednemu człowiekowi na miliony.

Po wylewie tęsknoty za tym, co minęło, w Madzi zbudziła się refleksja. Czy Solski, gdyby do niej wrócił, nie przejmowałby ją trwogą, której nie mogła opanować? Czy potrafiłby lepiej i wyraźniej przemówić do jej uczuć i przykuć ją do siebie nie tylko podziwem i wdzięcznością? Czy Ada nigdy nie obrzuciłaby jej spojrzeniem wielkiej damy, nigdy nie powtórzyłaby słów, których sam ton ranił serce Madzi? A ciotka Gabriela i starszuszka hrabina, i ci wszyscy krewni Solskich, których poznała w czasie Wielkiejnocy, czy inaczej traktowałiby ją niż dotychczas?

Nie. A więc nie mogła żyć w tym zaczarowanym świecie, który karmił ją goryczą, choć zostawił żal po sobie.

Powoli zapadł wieczór; śwędy, bieganie po korytarzu, turkot na ulicy osłabły. Madzia przymknęła okno, zapaliła lampę i zaczęła pisać list do ojca. Opowiadała mu wszystko, co trafiło się jej, pytając o zdanie i radę. Skończywszy doznała ulgi.

Przygoda panny Brzeskiej w domu Solskich głośną stała się w Warszawie, a przez kilka następnych dni Madzia odebrała mnóstwo wizyt. Odwiedzały ją pojedynczo i parami ubogie panie z towarzystwa kobiet dopytując się nieśmiało: czy nie ma jakich potrzeb?... czy nie brak jej pieniędzy?... i ofiarowując swoje usługi. Odwiedzały ją nieznane, czasem bardzo eleganckie damy oświadczając, że pragnęłyby mieć w niej nauczycielkę dla swych córek czy kuzynek. Przy czym w sposób nie zawsze zręczny kierowały rozmowę na stosunki Madzi z Solskimi, a nie odebrawszy odpowiedzi wychodziły obrażone.

Był i Dębicki. Przepraszał Madzię, że nie złożył jej dotychczas wizyty; ale w tych czasach miał znowu atak sercowy i musiał unikać schodów. Następnie z miną zakłopotaną zapytał, czy Madzia nie chciałaby przez wakacje udzielać lekcji jego siostrzenicy, Zosi, godzinę na dzień za dwadzieścia rubli miesięcznie.

Madzia przyjęła profesora z radością i nawzajem prosiła go, ażeby pozwolił jej dawać lekcje Zosi, ale darmo. Po rozprawach i błaganiach Dębicki zgodził się na projekt Madzi; widocznie chciał z nią utrzymać stosunki.

Ale o tym, co się dzieje z Solskimi, nie wspomniał i wyszedł powtarzając obietnicę, że o ile pozwolą mu siły, będzie ją odwiedzał. Po jego odejściu smutek opanował Madzię: rozumiała, że jej przyjaźń z Solskimi już zerwana.

Na drugi dzień po Dębickim wsunął się do pokoju Madzi pan Zgierski. Kręcił się, uśmiechał, strzelał oczkami po pokoju, niby od niechcienia wypytywał Madzię, kto obok niej mieszka i kto ją odwiedza? Lecz żadnym ruchem, żadnym słówkiem nie zdradził się z tym, że swoją posadę przy Solskim zawdzięcza Madzi.

Owszem, pod koniec wizyty zrobił minę protekcyjną i czule ściskając rękę Madzi, a wymownie patrząc w oczy oświadczył gotowość — wspierania jej radami i stosunkami.

— Będę panią częściej odwiedzał... Myślę, że najlepiej wieczorkiem, nieprawdaż?... Możemy kiedy pójść albo pojechać na spacer...

Mówiąc to, w tak dziwny sposób manewrował swoją aksamitną ręką i tklivymi spojrzeniami, że w Madzi zakiepał gniew. Odpowiedziała, że nie chce go fatygować w żadnej porze dnia i — odwróciła się do okna.

Zgierski wydał jej się wstrętnym. Nie mogła mu przebaczyć ani plotek, jakie o niej rozgłaszał, ani dowodów czułości, którymi chciał ją uszczęśliwić.

Pan Zgierski szybko opuścił mieszkanie Madzi. Miał zaś tak wzniosły umysł, że nie tylko nie rozgniewał się na nią, ale nawet nie stracił zimnej krwi w ocenianiu jej wartości.

„Ładna dziewczyna — myślał, ostrożnie tocząc się ze schodów. — Obraża się po królewsku, no... i nie wiadomo jeszcze, co z niej będzie”.

Wprawdzie w kilka dni później złożył o niej bardzo niekorzystny raport Solskiemu, lecz w istocie opowiedział tylko to, co słyszał w domu państwa Korkowiczów od pani podsędkowej. W ogóle w stosunkach z Solskim pan Zgierski pod pewnymi względami odznaczał się nieposzlakowaną prawdowością.

Ze wszystkich objawów współczucia, jakie w owej epoce spotkały Madzię, najważniejszą była propozycja panny Malinowskiej. Przełożona nie tylko wyszukała jej wyborne lekcje na czas wakacji, ale oświadczyła, że po wakacjach przyjmie ją do siebie na stałą nauczycielkę.

Madzi spadł ciężar z serca: miała spokój przynajmniej na kilka lat.

Prawie jednocześnie pani Burakowska wspomniała Madzi, że może lokować się i stołować u niej bodaj do września. Powiedziano jej bowiem w składzie aptecznym, że kasjerka prosiła o dłuższy urlop.

Wobec tylu dowodów życzliwości ludzkiej Madzia zaczęła odzyskiwać swój radosny humor. Postanowiła nie myśleć ani o Solskich, ani o śmierci i nicości, tylko — żyć z dnia na dzień pracując i wsłuchując się w to życie codzienne, które dokoła niej biegało, warczało, turkotało i śwędziło.

Wprawdzie niekiedy budziły się w niej wspomnienia wielkich komnat, gwiaździstego nieba nad ogrodem, wykładów Dębickiego, pieszczot Ady. Wprawdzie snuł się przed jej oczyma półdziki, szlachetny człowiek, który kochał ją w tak oryginalny sposób... Ale Madzia rozumiała, że te widziadła są tylko widziadłami, których nic nie wskrzesi, a czas zatrze. Byłe prędzej!

Moda interesowania się Madzią trwała około tygodnia. Stopniowo mniej składano jej wizyt, rzadziej ofiarowywano usługi, rzadziej pytano o stosunki z Solskimi. Nareszcie wszystko wróciło do zwykłego stanu, a na korytarzu, jeżeli rozlegały się czyjeś kroki, to chyba pani Burakowskiej albo jej służących i stołowników.

Ale pewnego dnia ktoś energicznie zapukał do drzwi Madzi. Zaszleściły jedwabie i do ciasnego pokoiku weszła strojna, wesoła i piękniejsza niż kiedykolwiek panna Helena Norska.

— No, jak się masz, bohaterko! — zawołała ściskając Madzię z niezwykłą serdecznością. — Spóźniłam się z wizytą, bo nie lubię mieszać się z tłumem. Za to przychodzę dziś, ażeby oświadczyć ci, że popisałaś się doskonale... Powiem ci nawet, że zrobiłaś mi niespodziankę...

— Czym? — spytała Madzia chłodno.

— Naturalnie, że arbuзем, którego dałaś Solskiemu — mówiła panna Helena nie zważając na obojętne zachowanie się Madzi. — Ach, jakże on się złapał, ten Don Juan w skórce Satyra... Cha! cha! cha!... Chciał mnie upokorzyć i upadł nosem w błoto...

— Wiesz, Helenko, że nic nie rozumiem... — przerwała Madzia rumieniąc się.

— Zaraz zrozumiesz — ciągnęła panna Helena zawsze zajęta tylko sobą. — Na parę dni przed twoim wyprowadzeniem się od Solskich przyszedł do mnie pan Stefan...

— Oświadczyć się?... — cicho spytała Madzia.

— Nie dopuściłam do tego! — odparła panna Helena marszcząc brwi. — Chciałam załatwić interes Kazia i prosiłam Solskiego o jakąś posadę. Sądziłam, że jeżeli umieścić kilku twoich protegowanych...

I wiesz, co mnie spotkało?... — prawila z gniewem. — Pan Solski odmówił mi w tak szorstki sposób, że... Wiem, co wart mój braciszek, ale nigdy nie pozwoliłabym, ażeby pan Solski wypowiadał o nim opinie, których nie chcę słuchać...

Policzki jej pały.

— Naturalnie pożegnałam go na zawsze. A gdy wieczorem, jak zwykle, oświadczył mi się pan Bronisław, przyjął go. Myślałam, że biedny chłopak oszaleje!... Zbladł, skamieniał... potem upadł mi do nóg jak długi i szlochając wyznał, że gdybym nie wyszła

za niego, odebrałby sobie życie... Siedział u nas do drugiej po północy, a choć pani Arnoldowa kilka razy przypominała mu, że czas powiedzieć nam dobranoc, nie ruszył się z miejsca, do znużenia patrząc mi w oczy. Nie miał odwagi odejść; lękał się, ażeby jaki czarnoksiężnik nie wykradł mu jego skarbu... Ach, ci mężczyźni!

— Nie powinna być z nich szydzić... — wtrąciła Madzia.

— A któż ma do tego większe prawo ode mnie? — spytała ze śmiechem panna Helena. — Dosyć napatrzyłam się na te okazy!... Jeden brutal czy wariat, który gotów był mnie zabić albo leżeć u moich nóg — pan Stefan. Drugi od rana do wieczora powtarzał, że beze mnie żyć nie może — mój narzeczony. Nareszcie trzeci, najlepszy, gniewa się na mnie, że zwichnęłam mu karierę odtrącając Solskiego, a przyjmując Korkowicza!... Słyszałaś?... To mój braciszek ma do mnie taką pretensję... Po prostu zagroził, że zerwie ze mną stosunki!... Kazałam mu wyjść za drzwi i nie pokazywać się, aż po naszym powrocie z zagranicy. Ale pyszni są ci panowie świata, nieprawda?

— Kiedyż twój ślub?

— Za parę tygodni w Częstochowie. Ale kochany Kazio nie będzie na nim. Raz musi zrozumieć, że po śmierci matki głową rodziny jestem ja, która mu pożyczam pieniądze, ja, która płacę długi, i w rezultacie ja — która potrafię zmusić go, ażeby pracował.

— Będziecie państwo mieszkali za granicą? — spytała Madzia.

Panna Helena spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Wiesz, Madziu — odparła — nie przypuszczałam, że tak dalece nie znasz mnie... Będziemy mieszkali na wsi, w Korkowie, gdzie mój przyszły mąż musi prowadzić browar i robić majątek jak jego ojciec. Jeżeli interesa będą szły dobrze, wpadniemy na karnawał do Warszawy, a w lecie na parę miesięcy za granicę, rozumie się, żyjąc najoszczędniej. Ja nie chcę, jak moja matka, topić się dla paru tysięcy rubli i zostawić córkę na łasce obcych... Ja muszę mieć byt zapewniony, no i doprowadzić do porządku mego braciszka... On tobie zapewne złoży wizytę (obecnie siedzi na wsi u jakiegoś bankiera). Otóż, bądź łaskawa, powtórz mu, co słyszysz ode mnie... Mama nieboszczka rozpuściła mu cugle, ale ja ukróć...

Madzia uczuła żywą sympatię dla pana Kazimierza. Nie był on w jej przekonaniu doskonałością, ale wobec egoizmu siostry zasługiwał na współczucie.

Panna Helena podniosła się i rzekła:

— Rozumiesz teraz plan Solskiego?... Pożegnany przeze mnie, chciał mnie upokorzyć i — oświadczył się tobie... Tymczasem tyś go się także pozbyła, a ja... No, chyba już pojął, że w moich oczach więcej znaczy Korkowicz, który mnie ubóstwia, niż Solski, który mi chce imponować...

Panna Helena wyszła, a serce Madzi opanował wielki ból.

„Więc on oświadczył mi się, ażeby dokuczyć Helenie?... To tak robią ludzie szlachetni?...”

Przed wieczorem złożył wizytę Madzi pan Pasternakiewicz, brat pani Burakowskiej. Był ubrany ze skromną elegancją, głaskał wonną brodę i rozmawiając z Madzią przypatrywał jej się przez monokl, co według jego zdania, wywierało duży wpływ na płeć piękną.

Wypytywał Madzię, czy smakują jej obiady, czy poznała się już z lokatorami i stółnikami siostry. Opowiedział w krótkości swoje życie, które zaczęło się pięknym urodzeniem, płynęło w najlepszych towarzystwach i odznaczało się doskonałymi manierami. W końcu oświadczył gotowość chodzenia z Madzią na spacerory lub do teatru.

Na Madzi zrobił wrażenie człowieka, który mógłby być tak dobrym oryginałem jak pan Krukowski w Iksinowie, gdyby chwilami nie przypominał pana Zgierskiego. Słuchała go roztargniona, odpowiadała krótko i — w bardzo stanowczy sposób podziękowała za spacerory i teatr.

Pan Pasternakiewicz pożegnał ją obrażony.

— Jakaś prowincjonalna gąska!... — mruknął znalazłszy się w korytarzu.

A Madzia wciąż myślała:

„Więc takimi są wielcy panowie? Ażeby zemścić się nad jedną kobietą, oświadczać się drugiej?... I ja przy panu Solskim odegrałabym taką rolę jak przy Helence Korkowicz?...”

### 30. PAN KAZIMIERZ

Znowu upłynęło kilka dni. Na pensji zaczęły się wakacje; panna Malinowska wyjechała na wieś. Madzia dostawszy obiecane lekcje u osób prywatnych biegała z domu do domu, na szczęście niezbyt daleko od swego mieszkania. Przed obiadem miała zajęcie od godziny dziewiątej do drugiej; potem od godziny czwartej do piątej przychodziła do niej siostrzenica Dębickiego. Przez resztę czasu była swobodna i samotna. Prawie nikt jej nie odwiedzał. Tylko raz późnym wieczorem wpadła do niej wystraszona Mania Lewińska, ażeby dowiedzieć się, czy Solski utrzyma pana Kotowskiego na posadzie lekarza, czy może da dymisję...

— Byłby to straszny cios — mówiła Mania Lewińska. — Bo gdyby pan Kotowski został na posadzie lekarza fabrycznego, pobraliby się w jesieni, lecz gdyby stracił to doskonale miejsce, musieliby wszyscy zginąć. Mielnickiemu dłużnicy wcale nie płacą procentów, ona z powodu wakacyj nie ma żadnego zajęcia, a cały ich dom przez parę miesięcy musi żyć z pensji pana Kotowskiego. Gdyby więc ta pensja przepadła!... Rozumiesz, Madziu, co by się z nami stało!... — zakończyła z westchnieniem Mania Lewińska.

Madzia pocieszała ją tłumacząc (jak niedawno pannie Żanecie), że Solski jest zbyt szlachetny, ażeby miał bez powodu rujnować ich szczęście. Do pewnego stopnia uspokoiła Manię: ale w niej samej odwiedziły te spotęgowały gorycz.

„Ileż osób mogłoby mnie przeklinać — myślała Madzia — gdyby Solski naprawdę był mściwym...”.

Lecz on mścić się nie będzie. I ta właśnie wiara w charakter Solskiego stała się dla niej nową zgrzyzotą. Bo gdyby był mniej szlachetny, Madzia mniej odczuwałaby zniewagę, jaką wyrządził jej prosząc o rękę dlatego, że Helena postanowiła wyjść za Korkowicza!

„Jakie to szczęście, że powiedziałam, iż kocham innego...” — myślała Madzia.

Odmowa jej zapobiegła dalszym upokorzeniom, ale nie zmieniła faktu, że Solski ją lekcewał, i chcąc pokazać Helenie, że o nią nie dba, ją, Madzię, gotów był wybrać za żonę!

„Patrzenie — mówił tym czynem — piękna panna Helena tak mało była mi potrzebna, że jej miejsce może zająć byle kto... jej koleżanka, panna Brzeska...”.

Za co on ją skrzywdził, ten człowiek taki niezwykły, mądry, taki dobry?... Czyliż nie odceniała jego przymiotów, czy zrobiła mu kiedy przykrość, czy nie uwielbiała go, choć napęlniał ją przerażeniem?...

I otóż stał się cud, jaki czasami dokonywa się w sercu kobiety. Solski mądry, Solski szlachetny, Solski, który spełniał wszystkie życzenia Madzi, który korzył się wobec niej, był dla niej obcym i budził tylko uczucie podziwu pomieszanego ze strachem. Ale ten Solski, który w przekonaniu Madzi dał jej dowód lekceważenia, ten — zaczął ją interesować.

Zadając ból posiał uczucie.

W ciągu kilku minionych tygodni we wspomnieniach Madzi stopniowo zacierały się ogromne milczące pokoje, stary ogród napęlniony zielonością i świergotem ptaków, wykłady Dębickiego, pieszcoty Ady... Wszystko zacierało się, ale na gasnącym tle tym wyraźniej rysował się dziki i brzydki magnat z gwałtownymi ruchami, z pałającymi oczyma, który jednych uszczęśliwiał, a innych deptał.

Przechodząc z lekcji na lekcję Madzia z początku nakładała drogi, ażeby ominąć pałac Solskich. Lecz później, gdy zakiełkowało w niej uczucie krzywdy, naumyślnie chodziła tamtędy. Jakiś straszny i słodki żal budził się w jej sercu na widok zamkniętych drzwi i zapuszczonych rolet w oknach, jakby w tym domu kto umarł. I lży cisnęły się jej do oczu, gdy słyszała radosny krzyk dzieci w ogrodzie.

Gdyby on ją przeprosił, gdyby choć powiedział: znieważylem panią, ażeby dokuczyć innej kobiecie... przebaczyłaby mu. Miałaby dowód, że jednak w oczach tego człowieka coś znaczy. A gdyby się teraz oświadczył?... Ach, o tym Madzia nie mogła myśleć. Odmówiłaby mu... odmówiłaby i umarła, usłyszawszy od niego odpowiedź tylko na jedno pytanie: czy teraz naprawdę mnie kochasz?...

„Kochasz... kochasz?...”.

Madzia kilka razy powtórzyła ten wyraz i ogarnęło ją zdumienie. Dotychczas wyraz ten wywoływał w niej zdziwienie i kłopot. Wiedziała, że w podobnym wypadku trzeba coś odpowiedzieć i jakoś zachować się... Ale co i jak?...

Lecz dzisiaj na myśl, że Solski mógłby jej powiedzieć: Kocham... wyraz ten nabierał uroczystego znaczenia. Zdawało jej się, że słowo takie w jego ustach stałoby się wielkim wypadkiem w naturze, spadłoby na nią jak śmierć. Przy tej błyskawicy — zbladłyby wszystkie jej zamiary, trwogi, ukochania. Ziemia i niebo odleciałyby gdzieś w nieskończoność popchnięte przez tego człowieka.

Ale ona tego nie usłyszy. Solski nigdy jej tego nie powie, jak nie powiedział dotychczas; łatwiej mu było zaproponować małżeństwo — dla upokorzenia Heleny!...

Pewnego dnia wracając z lekcji na obiad Niecałą ulicą Madzia zobaczyła o kilka kroków przed sobą młodego człowieka ze zwieszoną głową, w cylindrze nasuniętym na oczy. Młody człowiek szedł kiwając się w sposób, który oznaczał lekceważenie świata, i od czasu do czasu cieniutką laseczką uderzał się po jasnych spodniach, co mogło wyrażać podniecenie nerwowe.

Zanim Madzia zdążyła sformułować, że melancholijnie rozkołysanym młodzieńcem jest pan Kazimierz Norski, już on pomimo głębokiego zamyślenia spostrzegł ją i przywitał. Madzia podała mu rękę, co skłoniło pana Kazimierza, że ofiarował się przeprowadzić ją przez ogród.

Madzia nie lubiła męskiego towarzystwa na ulicy i umiała pozbywać się niepotrzebnych towarzyszy. Ale propozycję pana Kazimierza przyjęła. Zawsze był w jej oczach synem ubóstwianej przelóżonej, niepoznanym geniuszem... Zajmował w jej marzeniach wyodrębnione stanowisko, prawie jak Solski. Tylko że w Solskim Madzia czuła potężnego władcę, któremu niepodobna oprzeć się, zaś w Norskim — pięknego demona, który swoim zuchwalstwem zasiał w niej niepokój, a teorią ateistyczną rozbił duszę.

Gdy Madzia i towarzyszący jej demon w jasnopopielatych spodniach wszedłszy do Saskiego Ogrodu skręcili w boczną aleję, pan Kazimierz nagle zawołał wciąż machając laseczką:

— Więc pani odrzuciła Solskiego!...

A ponieważ Madzia milczała zmieszana, mówił dalej:

— Nie śmiem odgadywać pobudek tej szlachetnej stanowczości, ale... muszę powinnować... Bo pomijam drobiazgi, które dla każdej kobiety robiłyby pana Stefana nieznośnym mężem, ale... proszę pani, Solski to wariat... Całe życie schodzi mu na awanturach, ponieważ gwałtem chce pozować na wyższość...

— To rozumny i szlachetny człowiek! — przerwała Madzia.

— Zasypywał pani oczy filantropią, ale kiedy od pani dostał odkosza, ze złości zabił ulubionego psa... Wreszcie, w jego rodzinie od dawna panuje obłąd... O śmierci ojca kursują niejasne wspomnienia... Panna Ada, kobieta skądinąd niepospolita, ma skłonność do melancholii... Jakiś stryj zastrzelił się...

— Chociaż — dodał po chwili z westchnieniem pan Kazimierz — na to, ażeby pałnąć sobie w łeb, nie potrzeba wariata.

Madzia ukradkiem spojrzała na niego i spostrzegła, że zapuścił niewielką, jasnoblonde brodę, której niedbałe utrzymywanie znamionowało cichą rozpacz. Chcąc mu dać do zrozumienia, że znane jej są przynajmniej niektóre źródła jego samobójczych aspiracji, szepnęła:

— Widziałam się z Helenką...

— Ach, tak?... — zawołał obrzucając ją spojrzeniem pełnym goryczy i rezygnacji. — Więc już wie pani wszystko!...

— Podobno poróżnił się pan z nią o to, że wychodzi za Korkowicza?...

— Cha! cha! cha!... — sucho zaśmiał się pan Kazimierz. — Czy dlatego, że Korkowicz jest tylko piwowarczykiem?... Ależ, panno Magdaleno — mówił wzburzony — niechby wyszła za furmana piwowarskiego... niechby została kochanką stróża, byle — z miłości, byłbym dla niej najlepszym bratem... Broniłbym jej honoru wobec głupców...

Madzia spojrzała na niego zdziwiona.

— Upewniam panią — prawil pan Kazimierz — że nie byłoby to nawet ofiarą z mojej strony. Bo moją siostrę potępiałyby tylko osobniki o ciasnych głowach... Ale każdy szla-



chetny i inteligentny człowiek uchyliłby przed nią czoła rozumiejąc, że ta kobieta walczy z zaśniedziałymi przesądami, że... ma serce...

Ale mojej siostry nikt, niestety! nie posądzi o posiadanie serca...

— Więc dlaczego wychodziłaby za Korkowicza? — wtrąciła Madzia.

— Bo Solski był niepewny jak każdy półwariat, a nade wszystko — bo chciała mnie zmiażdżyć... Jej było wiadomo, że moja przyszłość i stosunki opierają się na jej małżeństwie z Solskim. Dobra siostra, tak obojętna dla miłości, jak ona, wybrałaby Solskiego, ażeby poprzeć moje zamiary... Trochę gorsza siostra przynajmniej nie zrobiłaby skandalu w tych czasach, kiedy miałem dostać świetną posadę... Ale ta... moja siostra, właśnie dlatego dziś przyjęła Korkowicza, ażeby raz na zawsze pogrzebać moje plany.

— Ona z przyczyny pana zerwała z panem Solskim...

Pan Kazimierz nieco zarumienił się.

— Słyszałem tę bajkę — odparł z lekceważeniem — ale nie ja jej uwierzę... Zrobiła niegodziwość, a teraz chce pozować na ofiarę... Paradna!... Alboż nie pamiętam, że ona zazdrościła mi nawet pieśczoł matki... Czy to raz dostrzegłem w błysku jej oka... w ruchach... nienawiść dla mnie...

— Ach, panie Kazimierzu...

Pan Kazimierz umilkł, lecz wściekle machał laseczką.

— Proszę pani... — zaczął po chwili. — Parę tygodni temu pewien bankier, mój znajomy, gotów był dać mi posadę korespondenta z pensją dwa tysiące rubli rocznie na początek. W tych dniach zaś, kiedy zażądałem posady... dał mi, ale z pensją sześciuset rubli. A jakie robił miny!...

Na chwilę stanął w alei, odrzucił głowę w tył, lecz znowu pochylił ją i idąc mówił jakby do siebie:

— Czy warto żyć na świecie, w którym znaczy tylko przypadek albo szachrajstwo?... Gdzie moje ideały... moje cele?... Biedna matka!... Ach, czuję, że mi coś po niej zostało w spadku: pożądanie, aby już rozsypać się w proch — jak mówi Leopardi. Ostatni nędzarz, jeżeli ma siostrę, to — ją ma... Nie pomoże mu, ale przynajmniej rozmawia, pocieszy go, popieści... A ja co?... Mam siostrę, którą muszę pogardzać...

— Najniższe uszanowanie!... — odezwał się w tej chwili głos donośny i słodki.

To pan Zgierski przebiegł około nich uśmiechnięty, okrągły, z kapeluszem w ręku.

Pan Kazimierz ponuro obejrzał się za nim.

— Jestem pewien — rzekł — że śledzi nas ten jegomość...

— W jakim celu? — odparła Madzia wzruszając ramionami.

— On lubi wszystko wiedzieć, bo to przynosi procent.

— Ha, niech wie...

Wyszli z ogrodu. Pan Kazimierz jeszcze wylewał z siebie fontannę pesymizmu, wreszcie stanąwszy przed domem Madzi pożegnał ją.

— Czy mogę odwiedzić panią czasem?... — zapytał.

— Proszę... — odpowiedziała Madzia.

— W godzinach?...

— Od szóstej bywam wolna.

Przeciągle uściśnął jej rękę i spojrzął, jakby chcąc powiedzieć: „Ty jedna zostałaś mi na świecie...”

Przynajmniej w taki sposób zrozumiała to Madzia. Nim zaś weszła na trzecie piętro, już w jej głowie sformułowało się to, co uważała za święty obowiązek.

Ona nie dopuści, ażeby pan Kazimierz wpadł w rozpacz. Ona wydzwignie go z otchłani zwątpienia. Ona zachęci go do pracy, wynajdzie słowa pociechy, rozdmucha gasnące iskry wielkich celów...

Obowiązki są trudne, ale ona znajdzie siły. Bo czuje, że w jej piersi ocknął się duch zmarłej pani Latter, która niekiedy nazywała ją drugą córką.

Naturalnie, że Madzia musi przyjmować wizyty pana Kazimierza, bo gdzież dowie się o jego troskach; gdzie pocieszy go, podźwignie i zachęci?... A ludzie niech mówią, co chcą. Czyliż nie jest kobietą samodzielną? Czyliż każdy człowiek szlachetny nie schyli przed nią głowy za to, że została siostrą, prawie matką człowieka genialnego, prześladowanego przez los i ludzi?...

Bóg będzie świadkiem, że jej uczucia są braterskie, tym śmieiej może je objawiać. Tylko że według filozofii pana Kazimierza Bóg...

Ale co tam! Dwaj ludzie uwierzą jej: Dębicki i ojciec. O nich jej tylko chodziło, Zgierski widział ich?... Tym lepiej. Narobi plotek, a w takim razie ofiara Madzi będzie zupełniejsza. Tym goręcej błogosławiłaby ją dusza zmarłej matki, dusza pani Latter, gdyby na nieszczęście — już nie rozsypała się na atomy żelaza, fosforu i jeszcze jakies.

A może plotka dojdzie i do Solskich?... Otóż to będzie najlepsze. Niechże pan Sol-ski myśli, że ona kocha się w Norskim, skoro miał odwagę prosić ją o rękę na przekór Helenie, która go odrzuciła...

Madzia przy stole mało jadła, nie rozmawiała z towarzyszami, nawet nie dokończyła obiadu. Gdy wyszła do swego pokoju, stołownicy pani Burakowskiej jednomyślnie odezwali się, że pannę Brzeską musiało znowu spotkać coś ważnego, gdyż wydawała się rozgorączkowaną.

Istotnie była podniecona. W jej duszy zapłonął nowy a piękny cel: zastąpić matkę i siostrę opuszczonemu człowiekowi — zbudzić geniusz do lotów... Madzia nawet przypomniała sobie kilka romansów i kilka poezyj, których treścią było to, że kobieta może albo natchnąć, albo zamordować geniusza.

Jeszcze nigdy stanowisko kobiety nie wydawało się Madzi tak wysokim i nigdy tak dumną nie była z siebie jak w tej chwili. Co tam stowarzyszenie kobiet, pensja w Iksinowie albo szkoła przy cukrowni!... Geniusza uratować dla ludzkości to cel!... A jak rzadko podobne zagadnienie nastęrcza się kobietom!

Kiedy po południu skończywszy lekcję z siostrzenicą Dębickiego układała plan, w jaki sposób najpierwej — pocieszyć, po wtóre — podźwignąć, a po trzecie — natchnąć pana Kazimierza, przyniesiono jej list z poczty. Na kopercie poznała rękę ojca.

Stary doktor rozpiisał się obszernie, co nie było w jego zwyczaju. Donosił Madzi, że o oświadczeniach Solskiego i jej odmowie już wiedział od Miętlewicza i podsędków, że jej zerwanie z Solskimi wywołało w Iksinowie najdziwaczniejsze plotki, że wreszcie matka skutkiem tego jest bardzo na Madzię rozżalona.

„Ale to nic — pisał ojciec — plotki mnie nie obchodzą, gdyż znam ciebie, a matka, a raczej jej zawiedziona ambicja, uspokoi się za parę miesięcy”.

„Jak mama chce!...” — szepnęła Madzia czując, że chyba nigdy nie dojdzie do tej serdeczności z matką, jaka łączyła ją z ojcem.

„Pytasz — mówił doktor w liście — jak uważam odrzucenie przez ciebie świetnej partii? Moja droga, najważniejszymi rzeczami, które łączą lub dzielą ludzi, są: wiara, wspólne lub różne sympatie i cele. A ponieważ te różnice moralne towarzyszą zazwyczaj różnicom majątkowym i stanowiskowym, więc — nigdy nie radziłbym kojarzyć się w małżeństwie ludziom, których stanowiska czy majątki zanadto oddzielają od siebie...”.

„Nie wiedziałam, że papuś tak wierzy w różnice klasowe!...” — pomyślała Madzia.

„Ty widać nie jesteś stworzona na wielką damę...”.

„Na wielką damę — tak, ale na żonę pana Stefana, dlaczego by nie?...” — rzekła do siebie Madzia.

„Czułaś się nieszczęśliwą w pałacu, więc — nie godzisz się z bogatym otoczeniem; upakarzały cię babka, ciotka i cała rodzina państwa Solskich, więc — muszą istnieć między wami ogromne różnice moralne. Wreszcie bałaś się pana Solskiego, co może być objawem wstrętu...”.

„To nie był wstręt!...” — szepnęła prawie ze łzami Madzia.

„W rezultacie stało się najlepiej, jak się stało. Człowiek musi mieć troski i pracę, jak chleb i wodę, marniejże zaś wśród ciągłych rozrywek, jak zmarniałby karmiąc się wyłącznie cukierkami. A że masz zdrową duszę, więc instynkt odepchnął cię od tych pokus i stało się dobrze...”.

Madzia odłożyła na chwilę list; uczuła żal do ojca za to, że pochwałal jej zerwanie z Solskim. Zdawało jej się, że tym razem ma większą słuszność matka, która oburzyła się na nią.

Dalej pisał ojciec o bracie:

„Wyobraź sobie, że Zdzisław robi majątek i na wielki mój wstyd przysłał nam dwa tysiące rubli; pięćset rubli odłożyliśmy dla ciebie, którą to sumę możesz wziąć w każdej chwili. Szkoda mi tylko, że biegnąc po tych swoich fabrykach (a kieruje aż trzema!)

chłopak naraża się. Miał nawet zapalenie płuc, które, dzięki Bogu, przeszło. W każdym razie radziłem mu wyjechać na parumiesięczny odpoczynek w góry, bo z następstwami zapalenia płuc żartować nie można.

Pisał mi też Zdzisław, że rad by mieć ciebie w swoim domu, któremu na gwałt potrzeba gospodyni, bo i wydatki dziś większe, i on sam marnuje się bez kobiecej opieki. Gdybyś tam pojechała, zrobiłabyś Zdzisławowi i nam wielką łaskę. On za parę lat zebrawszy mająteczek chce wrócić do kraju i tu założyć fabrykę farb. Byłabyś wtedy panią u siebie i mogłabyś uczyć dzieci — własnych, nie cudzych robotników...”

W końcu donosił doktor, że panna Cecylia otrzymała list od panny Solskiej i że w tych czasach wyjeżdża do Jazłowca.

Wiadomość o chorobie brata wstrząsnęła Madzią, a propozycja ojca otworzyła przed nią nowe horyzonty. Więc ona ma kim opiekować się i to kimś bliskim i potrzebującym troskliwej ręki... Więc ona może mieć swoją szkołę, naprawdę swoją... Może uczyć dzieci i czuwać nad bytem ich rodziców... Ileż dobrego jeszcze uczyni w życiu!

Chciała natychmiast pisać do ojca i do Zdzisława, że zgadza się na ich projekt. Zbliżyła się do stolika, zaczęła szukać papieru, lecz — przyszło jej na myśl, że pośpiech jest zbyteczny. Musi przecież do końca wakacji zostać w Warszawie, ponieważ ma terminowe lekcje; nie może też zrywać umowy z panną Malinowską bez uprzedzenia jej...

„Napiszę do Zdzisława jutro... za parę dni... a jednocześnie do panny Malinowskiej, że już nie będę u niej damą klasową. To taka zacna kobieta, tak poczciwie ze mną postępuje...” — mówiła sobie Madzia.

Zaś przez ten czas, jaki jeszcze przepędzi w Warszawie, będzie mogła pocieszyć, podźwignąć i natchnąć swego drugiego brata — pana Kazimierza.

„Tak, muszę mu dodać otuchy!...” — myślała Madzia czując, że w tej chwili geniusz pana Norskiego nieco blednie w jej oczach. Zdzisław nie jest geniuszem, a mimo to przysłała rodzicom pieniądze i myśli założyć własną fabrykę jak Solski... Tymczasem pan Kazimierz okropnie stacza ze sobą walki, ażeby — wstąpić do bankierskiego kantoru!

Blado, bardzo blado wyglądał w jej oczach pan Kazimierz. Madzia aż oburzyła się na siebie, że porównywa geniusza ze zwykłym człowiekiem, jakim jest jej brat. I tym silniej odezwało się w niej poczucie obowiązku dla pana Kazimierza, któremu w południe miała zastąpić siostrę i matkę, a już nad wieczorem myśli zostawić go własnym losom.

Przez kilka następnych dni Madzia nie odpisała bratu ani ojcu i nie widziała pana Kazimierza. Uwaga jej była zaprzątnięta lekcjami, które stopniowo rozrastały się z jednogodzinnych na półtoragodzinne, choć wynagrodzenie pozostało takie same. Ale musiała spieszyć się. Jej pupilki miały egzamina po wakacjach, a rodzice ich i opiekunowie z najśladzszymi minami przypominali Madzi, że czas ucieka i że panienki najwięcej korzystają z tych przedmiotów, które Madzia sama odrabia z nimi podczas lekcji.

Raz około siódmej wieczór, kiedy Madzia wróciwszy do domu zmęczona siedziała z głową opartą o poręcz kanapy, patrząc w sufit i przysłuchując się warczeniu maszyny do szycia, wszedł pan Kazimierz.

Podał jej z uśmiechem prześliczną różę i pocałował w rękę rzekł:

— Na podziękowanie...

— Za co? Niech pan siada — odparła Madzia rumieniąc się, że jej pokoił był tak ciasny i żaden sprzącznik nie należał do niej.

— Za co? — powtórzył pan Kazimierz. — Oto już jestem u mego bankiera... dzięki pani.

— Aaa... bardzo ładnie pan zrobił!

Pan Kazimierz wstrząsnął głową.

— Jest to tak ładny czyn, że nim spotkaliśmy się z panią około Saskiego Ogrodu, namyślałem się: co lepiej?... Zostać korespondentem bankierskim czy — strzelić sobie w łeb. Miałem nawet przygotowany rewolwer...

Madzi przemknęło wspomnienie pana Krukowskiego, który zapowiedział, że na jej ślubie zastrzeli się z rewolweru. Koniecznie z rewolweru...

— Widzi pan — odezwała się — że do wszystkiego można przywyknąć.

— Nawet do tytułu kantorowicza, ale pod warunkiem...

— Że?...

— Że do ohydnej jaskini nazywającej się bankierskim biurem człowiek przyniesie niebo w sobie...

— Pan teraz wierzy w niebo?

— Uwierzyłem.

Madzia była zadowolona z wizyty pana Kazimierza; ale pod tłem radości nurtował w niej niepokój. Czy to była bezświadoma troska o brata, który o setki mil pędził życie samotne? Czy może po jasnych ścianach pokoiku przesunął się cień Solskiego?...

Pan Kazimierz tymczasem mówił:

— W tych dniach przekonałem się, że niebo moglibyśmy mieć na ziemi. Wczoraj pokazano mi naszą kasę główną... Słyszysz pani?... Już mówię: naszą kasę! Widywałem w życiu pieniądze, ale pierwszy raz zobaczyłem milion... Ile tam woreczków złota... o, tej wielkości, ile worków srebra... o, takich... A jakie stopy banknotów!... Te paczki rublówek, dziesięciurublówek, sturublówek, ułożone jedne na drugich, robią dziwne wrażenie: obojętnieją. Patrząc na to mnóstwo trzeba prawie powiedzieć sobie: oto są pieniądze, cel zabiegów, źródło szczęścia, nici, które spajają ludzi między sobą... Odurzał mnie ten widok...

Madzia w tej chwili myślała o człowieku, który mógł rozporządzać mnóstwem pieniędzy, lecz którego one nie odurzały, lecz jak przywiązane zwierzęta słuchały jego rozkazów.

— Kiedym wyszedł ze skarbca — ciągnął pan Kazimierz — zobaczyłem przez okno na drugiej stronie ulicy biedną kobietę z dwojgiem dzieci. Kto wie, myślałem, czy ta uboga nie ma szlachetniejszych uczuć i instynktów aniżeli mój pan szef? I co to za ład świata, gdzie jeden człowiek nudzi się na szczycie ziemskiej potęgi, a inny, nie gorszy od niego, płacze nad sobą i dziećmi...

Jakże łatwo można by temu zapobiec!... W jak prosty sposób mój bankier nie chorowałby z nadmiaru, a tamta biedaczka z nędzy... Potrzeba tylko jednej drobnej rzeczy...

— Reformy społecznej?... — wtrąciła Madzia.

— Tylko miłości... — odpowiedział pan Kazimierz.

— Och!...

— Tak, pani. W naturze każdy byt jest egoistycznym... Człowiek, rozpędzony do swego celu, tak dobrze rozbija bliźnich jak kula wyrzucona z działa... Ale gdyby kochał tych bliźnich, powstrzymałby się...

Ach, miłość!... Gdyby miłość rządziła światem, ten wichur, który łamie gałęzie, składałby na nich pocałunki... Ten piorun, który druzgocze drzewa, ześlizgiwałby się po nich i ogrzewał zziębniętą swoją ognistą wstęgą. Gdyby miłość... ordynarna cegła nabrałaby blasków diamentu, kwiaty tuliłyby się do ludzkiej piersi, a ludzie... ludzie byłiby szczęśliwi!... Szpital, więzienie, nawet... podły kantor bankierski staje się rajem, gdy ten słodki gość uwije w nim gniazdo...

Madzia słuchając pana Kazimierza myślała:

„Dlaczego on nigdy tak nie mówił?... A może mówił, ale do Heleny!...”

Nagle ocknęła się i cofnęła rękę, którą pan Kazimierz namiętnie całował.

— Nie wolno?... — spytał.

— Nie trzeba.

— A gdyby człowiek umierający z pragnienia prosił panią o kroplę wody?...

Madzia milczała zamyślona; pan Kazimierz znowu delikatnie ujął ją za rękę i całował.

— Taka pani rozmarzona... — szeptał. — O czym tak... o czym?...

— Myślałam o mamie pańskiej...

Młody człowiek drgnął jak obłąany zimną wodą.

„Szczególny rodzaj sentymentalizmu!...” — rzekł do siebie i — stracił humor.

W tej chwili do pokoju wsunęła głowę pani Burakowska.

— Przepraszam... czy nie przeszkadzam?... Może tu podać samowar?... A może posłać po szynkę?...

— Ach, jeżeli dla mnie — odezwał się pan Kazimierz zupełnie otrzeźwiony — to dziękuję... Muszę widzieć się z kimś...

Wziął kapeluszy i pożegnał Madzię. Pani Burakowska znikła za drzwiami.

— Ale na weselu Helenki będzie pan?... — zapytała Madzia.

— Upewniam panią, że wolałbym nie doczekać wesela... żadnej z moich sióstr... — odpowiedział pan Kazimierz tonem ironii.

Gdy wyszedł, Madzia czuła tylko zmęczenie całodziennymi lekcjami i rodzaj żalu do siebie, że prawie wcale nie podźwignęła dziś pana Kazimierza ani rozbudziła jego geniuszu.

„W każdym razie — myślała — już wie, że mu zastąpię siostrę i matkę... Siostrę on sam we mnie odgadł, a matkę przypominałam mu”.

### 31. ZNOWU ECHA PRZESZŁOŚCI

Kilka dni upłynęło Madzi spokojnie: nikt jej nie odwiedzał, oswoiła się z nowymi uczennicami, hałasy w domu przestały ją razić. Te same osoby, te same swędy, ten sam turkot na ulicy, a w obszernym pokoju warczenie maszyny do szycia tak już opanowały Madzię, że robiły wrażenie ciszy.

Mogła zebrać myśli, wejrzeć w siebie. I gdy podczas samotnych wieczorów rozpatrywała siebie, spostrzegła, że z chaosu zmian, osób i uczuć, jakie ją napełniły, wynurza się coś, niby na dalekim horyzoncie blade światło.

Nie był to nowy pogląd na świat i duszę ludzką ani nowy cel w życiu, ale coś zupełnie innego: oczekiwanie i trwożna ciekawość.

Miewała dziwne marzenia. Raz zdawało jej się, że ją ściga tłum mężczyzn podobnych do Zgierskiego i Pasternakiewicza, z których każdy chce z nią iść do teatru lub na spacer. Propozycje te były oburzające i niedorzeczne, niemniej Madzia mówiła sobie, że musi być bardzo zabawny taki spacer lub teatr sam na sam z mężczyzną. Gdyby był w Warszawie Zdzisław, z pewnością poszłaby z nim gdzieś daleko, ażeby przekonać się, jakie to robi wrażenie.

Innym razem wyobrażała sobie, że jest panną Howard, z którą rozmawia krzywonogi plenipotent Solskiego. I zapytywała się: o czym oni mówią przepędzając kilka godzin razem i w jaki sposób on uczy pannę Howard prowadzenia ksiąg rachunkowych, jeżeli zdecydowana nieprzyjaciółka mężczyzn jego, plenipotenta, nazywa miłym człowiekiem?

To znowu majaczyło jej, że jest narzeczoną jak panna Żaneta albo Mania Lewińska. Nie знаła swego narzeczonego, lecz mimo to serce jej zalewały uczucia pełne tkliwości. Kim jest wybrany? o to mniejsza, dość, że jest nim mężczyzna, do którego ona musi należeć ciałem i duszą na wieki. Dziwił ją, ale i zaciekawiał ten rodzaj niewoli i zdawało się jej, że właśnie w takiej niewoli, w całkowitym zapomnieniu o sobie, leży nieznanne szczęście.

Wtedy na tle nieokreślonych pragnień ukazywała się jej sylwetka Solskiego. Innym razem słyszała namiętne słowa pana Kazimierza i czuła na rękach jego drażniące pocałunki. Potem zdawało jej się, że każdy mężczyzna, nawet przechodzący ulicą, patrzy na nią w szczególny sposób, jakby chciał narzucić jej swoją wolę i przykuć do siebie na zawsze.

Zaden z nich nic ją dziś nie obchodził. Lecz przeczuwała, że ten, który zostałby jej narzeczoną, byłby droższym nad wszystko w świecie.

„Co za dzieciństwa roją mi się po głowie...” — myślała Madzia.

Lecz zarazem przypomina sobie, że taki niepokój i — zapewne — chorobliwe marzenia już kiedyś przesładowały ją. Było to jeszcze za życia pani Latter, w zimie. Madzia pamięta, że wówczas każdy spacer sprawiał jej mękę; widziała bowiem, nawet mając spuszczone oczy, że mężczyźni przypatrują się jej w szczególny sposób, co ją zaciekawiało i drażniło.

Ówczesny jednak nastrój jej duszy prędko rozchwiał się pod wpływem kłopotów pani Latter, zamętu na pensji, wreszcie wyjazdu do rodziców. A gdy przyszła do zdrowia po tyfusie, wszystkie te dziwactwa wygasły, tak, że nie pozostało po nich śladu. W Iksinowie Madzia wprost dziwiła się, gdy pan Miętlewicz albo Krukowski mówili jej o miłości, albo gdy panna Eufemia starała się wdziękami usidłać mężczyzn.

„Do czego to podobne?...” — mówiła sobie wówczas. Jak w tej chwili rozpatrując się we własnych uczuciach mówi:

„Czy znowu grozi mi ciężka choroba?... Bo skąd ten niepokój, co za osobliwe przywidzenia?...”

Takich ciekawości doznawać musi pisklę, kiedy rosną mu skrzydła; takie niepokoje czuć musi na wiosnę konwalia, kiedy jej gałązki zaczynają okrywać się pączkami.

Przez cały ten czas nie pokazał się pan Kazimierz.

„Obraził się na mnie?... — myślała Madzia. — A może porzucił kantor?...”

Chwilami robiła sobie wyrzuty, że nie dość serdecznie rozmawiała z nim, gdy był u niej; lecz czy to jej wina, że nie mogła zdobyć się na większą serdeczność?

„Zawsze byłam zimna... zawsze za mało miałam serca!...” — mówiła sobie.

Na tle nowego nastroju duszy, przy którym każdy mężczyzna robił na niej wrażenie, dwu zarysowało się wyraźniej: pan Kazimierz i Solski. Ukazywali się oni kolejno w myślach, tworzyli jedną całość, lecz — dzielili się jej uczuciami. Wspomnienie o panu Kazimierzu pobudzało nieokreślone oczekiwania i ciekawość; obraz Solskiego łączył się z niepokojami i bezprzyczynowym zawstydzeniem.

Przeczuwała, że pan Kazimierz jeszcze za życia swej matki zaczął wprowadzać ją w świat nieznanych uczuć, a i nadal ofiarowywał się na przewodnika. Był to piękny i wymowny przewodnik! Wejść z nim — tak... Ale pozostać w nowym świecie mogłaby tylko — z Solskim. Przeczuwała, że otwierająca się przed nią kraina jest ojczyzną wielkich burz, gdzie potrzeba silnego i zdecydowanego opiekuna, jakim był Solski. Nad ciemnymi przepaściami, z których ziała trwoga, tylko przy Solskim można było zamknąć oczy i poddać mu się całkowicie.

Takie powikłane marzenia wstrząsały duszą Madzi. Wyraźnie określić ich nie umiała, czuła tylko ich nowość i urok, z którym niepodobna było walczyć.

W połowie lipca, kiedy Madzia wróciła z lekcji na obiad, powiedziano jej, że jakaś pani od paru godzin czeka w jej pokoju.

Była to panna Cecylia. Z okrzykiem pochwytyły się w objęcia.

— Jakaś ty dobra, że nareszcie jesteś!...

— Jakaś ty piękna, Madziu!... Boże, wyjechałaś z Iksinowa prawie dzieckiem, a dziś widzę skończoną kobietę... Jesteś trochę mizerniejsza, ale to nie szkodzi — mówiła panna Cecylia.

— Zestarzałam się o rok...

— I tyle przeżyłaś, biedaczko!...

— Cóż tam w Iksinowie?... — Jak się mają rodzice?... — spytała Madzia.

Panna Cecylia niewiele zmieniła się. Ta sama twarz alabastrowa, te same ruchy pełne wdzięku. Tylko włosy jej bardziej posiwiały, ale za to w oczach błyskała niekiedy radość.

Zacząła tedy panna Cecylia opowiadać, że matka trochę gniewa się na Madzię, że ojciec, major i proboszcz kazali ją po tysiąc razy uściskać, że pan Miętlewicz naprawdę żeni się z panną podsędkówną.

— Gdzież twoje rzeczy, Cesi? — przerwała Madzia.

— Dawno na kolei. Dziś wieczór wyjeżdżam do Krakowa.

— Zjesz ze mną obiad...

— Już sama się rozporządziłam — odparła panna Cecylia. — Twoja gospodyni jest nawet tak dobrą, że obiecała nam tu przysłać...

Istotnie po chwili nie odznaczająca się czystością pokojówka nakryła stół i przyniosła dwa obiady.

— Kiedy wyjechałaś z Iksinowa?

— Wyobraź sobie, że we wtorek. Aż dwa dni przepędziłam na wsi u panny Solskiej — odpowiedziała zakłopotana panna Cecylia. — Do śmierci będę jej dłużniczką za to miejsce w Jazłowcu...

— Jakież wrażenie zrobiła na tobie Ada?

— Wiesz, że... nie mogę go nazwać przyjemnym — mówiła panna Cecylia. — Wydaje się dumną, zamkniętą w sobie, rozdrażnioną...

— Cóż się z nią stało? — szepnęła Madzia. — Mówiła ci co o mnie?...

— Nie opowiadała nic, ale za to wypytywała się o najdrobniejsze szczegóły o tobie. Czy dasz wiarę, że ona skądś wie o zapisie majora, o tym koncercie Stelli, o śmierci Cynadrowskiego... Ale wie w taki sposób, jakby nie od ciebie o tym słyszała...

— Domyślam się — odparła Madzia z goryczą. — Pani podsędkowa poznała się tu z niejaką panią Korkowiczową, u której znowu bywa niejaki pan Zgierski... Ach, moja Cesi, jak mi się teraz inaczej świat przedstawiał!... Zaczynam wierzyć, że jest w nim dużo ludzi złych... Naprawdę złych...

Umilkła i spytała po chwili.

— Ada pewnie ma żal do mnie?...

Panna Cecylia, machinalnie obejrzawszy się, rzekła zniżonym głosem:

— Żalu nie... Owszem, zdaje mi się, że ona cię bardzo kocha... Ale wiesz, jakie myśli niekiedy przychodziły mi do głowy, kiedy rozmawialiśmy o tobie?... Wiesz, że ona... ona jest... ona jakby była zazdrosna o ciebie...

— O mnie?... Aaa... tak!... — zawołała Madzia. — Pamiętam... Byliśmy jeszcze u pani Latter, kiedy przyjechał jej brat i zwrócił uwagę na Helenę Norską. Wtedy właśnie Ada powiedziała mi, że jest zazdrosna o Helenę. Bo — mówiła Ada — jeżeli mój brat zakocha się w Helenie, to już mnie przestanie kochać...

— Aha! — powtórzyła panna Cecylia. — Zapewne, że musi być to... Niezawodnie to...

Po obiedzie panna Cecylia wyszła do miasta, a gdy wróciła, nie rozstały się z Madzią do wieczora.

O dziewiątej Madzia odwiozła przyjaciółkę na kolej, gdzie pożegnały się płacząc i obiecując jak najczęściej pisywać do siebie.

— Nie mogę pogodzić się z myślą — mówiła Madzia — że dobrowolnie zamykasz się w klasztorze... w więzieniu...

— Bo nie wiesz, jak świat może zmęczyć, i nie pojmujesz, jaką ulgę sprawia uczucie, że się jest bliższym wieczności...

— Gdybyż choć ona była, ta wieczność! — szepnęła Madzia.

— Nie wierzysz?... — spytała zdziwiona panna Cecylia. — A jednak ona jest...

Konduktorzy naglili do wsiadania i z trzaskiem zamykali drzwi wagonów.

— Bądź zdrowa, Cesiul!...

Panna Cecylia wychyliła się z wagonu i rzekła:

— Jest, Madziu, jest!...

Dzwonek — świstawka... pociąg ruszył.

— Bądź zdrowa, Cesiul! — zawołała jeszcze raz Madzia.

— Jest!... jest!... — odpowiedział słodki głos na tle zgielku odlatujących wozów.

„Jest... jest... fosfor, tuszcz, żelazo i — nicość!... — myślała Madzia. — Ale co tam... wszystko jedno, byle w tym życiu zakosztować szczęścia...”

Nazajutrz, prawie w chwili kiedy Madzia myślała, co się też dzieje z panem Kazimierzem — przyszedł on sam. Punkt o szóstej wieczór zapukał do drzwi, przywitał się nieśmiało i znowu ofiarował Madzi amarantową różę.

Madzia zarumieniała się spostrzegłszy dopiero teraz, że na stoliku jeszcze stoi pierwsza róża, bardzo zwiędła, bladej barwy. Gdyby kto inny obdarzał ją tak gwałtownie potęgującymi się barwami, może zerwałaby z nim stosunki. Ale pan Kazimierz, posiadający całkowite zaufanie, tylko zaciekawiał ją.

„Co to będzie?...” — myślała śmiejąc się w duchu.

Była pewna, że będzie to coś niewinnego i poetycznego. Czyliż nie zastępowała mu siostry i matki? A ponieważ sama miała plan zastąpienia mu siostry i matki, więc zdawało jej się, że cały świat powinien to zrozumieć, a najpierwej pan Kazimierz.

— Myślałam, że pan wyjechał z Warszawy — rzekła Madzia.

Panu Kazimierzowi lekko drgnęły usta; myślano tu o nim!...

— Nie — odparł — ja powiem, co pani przypuszczała: że porzuciłem bank.

Madzia spojrzała na niego zdziwiona.

— Skąd pan wie o tym?

— W pewnych warunkach budzą się w człowieku zdolności prorocze — odpowiedział unikając spojrzenia Madzi. — Ale niech pani uspokoi się, już nie rzucę banku. Znalazłem tam nowe pole do obserwacji... nowy świat! I chwilami zdaje mi się, że los na pozór zrobił mnie kantorowiczem, jak Fouriera agentem handlowym; naprawdę zaś postawił mnie w samym środku tej drogi, która była moim powołaniem.

Madzia słuchała go z zajęciem. To już nie był mężczyzna, który ją zaciekawiał, to był rozbudzony geniusz, nie przez nią, niestety!

Z piersi jej wydobyło się stłumione westchnienie: pan Kazimierz mówił przysunąwszy się do Madzi tak, że dotykał jej sukienki.

— Wstąpiwszy do naszego biura znalazłem się, jakby powiedzieli poeci, w ognisku mroków świata, w laboratorium dzisiejszych chorób społecznych.

Niech pani wyobrazi sobie, że mój pryncypał, dzięki stosunkom z zagranicą, no i telegramom, na kilkanaście albo i na kilkadziesiąt godzin wcześniej niżli reszta śmiertelników

wie o spadaniu lub wnoszeniu się rozmaitych wartości pieniężnych. To pozwala mu kupować z zyskiem jedne papiery i sprzedawać z zyskiem, a przynajmniej bez straty, inne rozmaitym biedakom czy naiwnym, którzy nie otrzymują depesz z zagranicy.

Niech pani doda, że w specjalnej kancelarii mego pryncypała roją się jak muchy w jacie: lichwiarze, kupcy zbożowi, leśni, okowiciani, cukrowi i mnóstwo niewyraźnych figur, między którymi nie brak nawet pana Zgierskiego. Wszyscy ci ludzie działający niby to samoistnie i na własny rachunek są tylko agentami naszego banku. Tam dostają instrukcje, według których kupują i sprzedają zboże, wełnę, domy, place, sumy spadkowe — wszystko, co pani chce. Nie zdziwiłbym się, gdyby w naszym biurze sprzedawano nawet kobiety do tureckich haremów albo niewolników południowoamerykańskim plantatorom.

U nas wszystko: kupione, sprzedane, wynajęte czy pożyczone, musi przynosić zysk, i to nie byle jaki...

W tym miejscu opowiadania pan Kazimierz delikatnie ujął rękę Madzi zasłuchanej i zdumionej.

— Ten bankier musi być zdolnym człowiekiem... — wtrąciła Madzia. — Więc ciągnie zysk ze swoich nadzwyczajnych zdolności...

— Nie, pani, on wcale nie potrzebuje być zdolnym. On zarabia za to, że jego biuro jest zbiegowiskiem głupców, których kieszenie oporzędzają lotry. To biuro jest podobne do lasu, do którego zwabia się zwierzynę, ześwistuje się gończe psy i zawiadamia myśliwych. Myśliwi strzelają zające i dudki, psy dostają ochłapy, a mój pryncypał pobiera myto — od zwierzyny za las, od myśliwych za polowanie, no i coś jeszcze oszczędza na ochłapach wydawanych gończym...

To, proszę pani, nazywa się prowadzeniem interesów na wielką skalę. I to jest punkt — dodał z wybuchem — od którego zacznę, jako reformator społeczny.

Madzia patrzyła na niego z uwielbieniem nie śmiejąc usunąć ręki, którą pan Kazimierz ścisnął coraz czulej.

— Spostrzegłem — mówił dalej — jeszcze drugą kwestię społeczną w naszym biurze. Pracuje tam w pokoikach jak najdalej odsuniętych od frontu kilka kobiet. Coś kleją, piszą, ekspediują, rachują... Czy ja wiem zresztą, co one robią?...

Otóż jest rzecz ciekawa. Nasze koleżanki, jak to wiem od starszych urzędników, najwcześniej przychodzą, najpóźniej wychodzą z biura, pracują jak mrówki, są punktualne, potulne i — w ogóle są wzorowymi oficjalistami. Za to owe panie mają... daleko mniejsze pensje aniżeli ich poprzednicy, mężczyźni, i biorą na przykład piętnaście rubli zamiast trzydziestu albo dwadzieścia pięć zamiast czterdziestu.

— Cóż to za niesprawiedliwość! — zawołała Madzia.

— Właśnie i tę sprawę podniosę kiedyś i wytłomaczę społeczeństwu: w jaki sposób wyzyskiwane, krzywdzone i okradane są kobiety...

— I do tej pory nikt nie zwrócił na to uwagi?... — pytała rozplómięta Madzia.

Pan Kazimierz zawahał się i skromnie spuścił oczy.

— No... w Europie mówi się coś o operacjach bankierskich, zresztą... i o wyzysku kobiet...

— Tak... Mill o niewoli kobiet — wtrąciła Madzia.

— Ale u nas nikt nie marzy...

— Aaa... owszem!... Panna Howard często wspomina o tym... Trzeba koniecznie, ażeby pan zbliżył się do niej... Ona właśnie zajmuje się takimi niesprawiedliwościami...

Pan Kazimierz, zamiast odpowiedzieć, delikatnie dotknął kolaniem sukni Madzi, ale suknia szybko cofnęła się, a z nią i ręka.

Pan Kazimierz nie zraził się tym; wiedział że w podobnych wypadkach brutalna gwałtowność wszystko psuje, delikatna wytrwałość wszystko zdobywa. Kobieta jest jak wybrzeże, które woda podmywa cał po cał subtelnymi dotknięciami i cofaniem się po to, ażeby znów powrócić.

— Cieszę się bardzo — rzekła lodowatym głosem Madzia — że pana tak zajmuje praca biurowa. Wyobrażam sobie jak szczęśliwą byłaby mama pana słuchając tych pięknych spostrzeżeń...

„Obojętność!... Już nawet i mama wjeżdża na scenę!... — myślał pan Kazimierz. — Szkoda, że biedactwo nie może jeszcze powołać się na honor męża i na swoją wierność dla niego!...”



— Bardzo... cieszę się!... — powtarzała Madzia, którą uparte milczenie pana Kazimierza wprowadzało w kłopot.

Nerwowym ruchem podniosła się z kanapki i wyjrzała oknem.

— Już słońce zachodzi — rzekła. — Jak też czas leci...

Było to pokazanie drzwi, nawet niezbyt delikatne. Ale pan Kazimierz, zamiast martwić się słowami Madzi, patrzył na jej błyszczące oczy i rozognioną twarzyczkę i — powstawszy życzył jej dobrej nocy.

Chciał ją pocałować w rękę, ale nie pozwoliła.

„Oho!... — myślał zbiegając ze schodów. — Wyrzuca za drzwi... nie pozwala całować się w rączkę... Prędko idziemy naprzód...”

Na drugim piętrze pan Kazimierz minął idącego na górę pana Pasternakiewicza, który zatrzymawszy się na schodach wyjrzał za nim przez poręcz i mruknął:

— Fiu!... Już pan Norski tu krąży?... Czy jest do odebrania jaka sukcesja?...

Kiedy pan Kazimierz wyszedł, Madzia odwróciła się do drzwi. Tętna mocno były jej w skroniach, bolały ją oczy, paliła twarz, ale — serce było spokojne.

Madzia zrozumiała, że pan Kazimierz chce ją wprowadzić do tego nieznanego kraju, który od kilku dni ukazywał się jej w chaotycznych marzeniach, ale — była raczej zdziwiona aniżeli wzruszona. Gdyby Solski otwierając przed nią tajniki duszy tak mimo woli ścisnął ją za rękę, tak machinalnie dotykał jej sukni, chyba — zemdłaby...

Ale Solski nigdy nie zwierzał się ani wykradał uścisków i dotknięć. I w tej chwili zdawało się Madzi, że ten Solski odleciał od niej gdzieś bardzo wysoko nad poziom, na którym została ona z panem Kazimierzem tulącym się do jej sukni.

„Ale to genialny człowiek!... — pomyślała Madzia o panu Kazimierzu. — Jaki genialny!... Jakie nadzwyczajne odkrycia porobił w kantorze...”

Całą noc śnił się jej Solski i pan Kazimierz. Pan Kazimierz ścisnął ją za rękę, trącał kolanem i opowiadał o nadzwyczajnych swoich odkryciach; Solski stał na boku i trzymając ręce w kieszeniach patrzył z litością na pana Kazimierza.

Madzia obudziła się rozgniewana na Solskiego. Bo że ktoś ma pieniądze, to jeszcze nie powód, ażeby drwił z ludzi ubogich, lecz genialnych, którzy myślą o zdemaskowaniu operacyj bankierskich i wynagrodzeniu krzywd pracującym kobietom. Lecz gdy wyszła na lekcje, zapomniała i o złośliwości Solskiego, i o przyszłych reformach pana Kazimierza.

Po obiedzie, na którym pan Pasternakiewicz obrzucał Madzię spojrzzeniami nieokreślonego znaczenia, pani Burakowska wybiegła na korytarz za swoją stołowniczką i wiskając jej do ręki jakiś bilet rzekła:

— Szukała tu dziś pani ta kobieta i zostawiła swój adres.

— Cóż to za jedna? — spytała Madzia przeczytawszy adres: Nikodema Turkawiec, ulica... numer...

— Jakaś ordynarna kobieta — mówiła pani Burakowska. — Szafirowa suknia, szal żółty w pąsowe i zielone kwiaty, kapelusz z piórem, a przy tym parasolka płócienna!... Można by przypuszczać, że dla zdobycia takiej garderoby obdarła kilka majątnych pań... Tłusta, grube rysy...

— Ale kto ona jest i czego chce? — spytała Madzia. — Ja nigdy nie słyszałam podobnego nazwiska.

— Mówi — ciągnęła pani Burakowska — że u niej od maja mieszka jakaś... panna, bardzo biedna...

— Może Stella?... — wykrzyknęła Madzia uderzając się w czoło.

— Właśnie mieszka u niej panna Stella — mówiła pani Burakowska szczególnym tonem. — Mieszka, ale już od dwóch tygodni nie płaci i jest prawie konającą. Ta pani Turkawiec chciała ją oddać do szpitala... Wówczas jej lokatorka i pacjentka bojąc się szpitala wysłała ją do pani do pałacu Solskich...

— Muszę natychmiast pójść... — rzekła Madzia.

— Sama?... — spytała gospodyni. — Pani Turkawiec jest... akuszerką — dodała cicho.

— Ach, wszystko mi jedno! — odparła rozgorączkowana Madzia. — Więc ona taka chora... więc tam taka bieda!... Ileż winna tej pani?...

— Winna jest osiem rubli, a bieda taka, że już nie ma za co kupić pół kwarty mleka ani usmażyć kawałka polędwicy. Felczer, który z litości leczy chorą, kazał jej pić wino...

— Idę natychmiast — przerwała Madzia. — Może mi pani zmieni dwadzieścia pięć rubli na drobne... Mój Boże! skąd ja dostanę wina dla tej biedaczki?...

W tej chwili otworzyły się uchylone drzwi i na korytarz wszedł pan Pasternakiewicz.

— Czystego wina — rzekł — dostanie pani u Fukiera, u Krzymińskiego, u Lesisza... Jeżeli jednak pani pozwoli, ja tymczasem mogę służyć butelką i.... odprowadzę panią tam...

— Owszem — prędko odparła Madzia. — O wino, jeżeli pan łaskaw, proszę, ale tam — pójść sama... Jest to blisko od nas i chora może krępowałaby się...

Wnet pani Burakowska zmieniła dwadzieścia pięć rubli, a pan Pasternakiewicz z eleganckim ukłonem wręczył Madzi butelkę dobrego wina, które ocenił na trzy ruble i jako człowiek pięknie wychowany przyjął zapłatę.

W kwadrans później Madzia znalazła się w ulicy wskazanej na bilecie pani Turkawiec.

Był to pusty zakątek, w którym najwięcej ruchu sprawiała goniące się psy. Przeważały tu parkany, gdzieśgdzie opatrzone napisem: „Plac do sprzedania”. Wznosiło się jednak i parę kamienic otoczony zębatym murem pałacyk w stylu warszawskiego renesansu.

Pani Turkawiec mieściła się na facjatce drewnianego domku, który miał ściany czekoladowe, ramy okien białe, brudnożółtą bramę i zielone okiennice. Na dole był sklepik, mieszkał szewc i dorozkarz; przy bramie jaśniała tablica z napisem: „Akuszka na pierwszym piętrze”.

Z wielkim strachem, po schodach przypominających zepsutą drabinę, Madzia wdrapała się na facjatkę i oko w oko spotkała się z damą, ubraną w krótką spódniczkę i lekki kaftanik.

— Czy zastałam panią Turkawiec?

— Ja jestem... A do kogo panienka?... Bo u nas przede wszystkim sekret...

— Pani szukała mnie dzisiaj... Zdaje się, że tu mieszka panna Stella?...

— Tu... tu!... Mieszka, ale nie płaci... do szpitala iść nie chce, a lada dzień zamrze mi... — mówiła pani Turkawiec. — Takie są moje zarobki!... Piętnaście rubli miesięcznie, wszelkie wygody, sekret, jak na świętej spowiedzi, i jeszcze nie płacą...

— Ileż ona winna pani?... — spytała Madzia.

— Proszę pani, osiem rubli... A za umieszczenie dziecka, a felczerowi, który wart jest dziesięciu doktorów, a moja fatyga, co latam za panią już dwa dni...

Lamentująca w ten sposób pani Turkawiec nie wyglądała na złą kobietę. Madzia wręczyła jej dziesięć rubli, za co czcigodna specjalistka pocałowała ją w rękę i oświadczyła gotowość spełniania wszelkich rozkazów.

— Gdzie jest chora, panna Stella?... — spytała Madzia.

— Tu... zaraz... dałam jej osobny pokoik... Bo ja, panunciu, jak widzę osobę z edukacją, to bym jej nieba przychyliła... Kaśka albo Maryśka, proszę panunci, to może gdziekolwiek... i na drugi dzień pójdzie do roboty. Ale dama z edukacją... ach, panunciu!... U mnie, panunciu, to czasami i hrabiny mieszkają... Co dziwnego? Księżę, nawet biskup, może nogę złamać. Tak i z tym... O tu, paniusiu... Ależ że też Pan Bóg zlitował się nad biedaczką choć w ostatniej chwili!...

— Ona taka chora?

— Proszę panunci, co tu dużo gadać!... Dziś albo jutro stanie do miary! Gdyby tak chorował bogaty człowiek, już byliby tu panowie z trzech kantorów pogrzebowych i mówiliby: moja pani Turkawiec, jak tam tego... ten... niech pani da zaraz znać, a nie będzie pani żałowała! Ale że kona biedactwo, to nawet karawaniarz wołałby stanąć do wożenia śmieci niż tu... Ach, panunciu — prawila jejmość, znowu całując Madzię w rękę — biednego nawet święta ziemia płyciej bierze i w kilka lat oddaje kości na cukier. Ja też, mówię panunci, od kiedy dowiedziałam się o tym, pijam herbatę bez cukru...

Pani Turkawiec wypowiadała swoje nieskończone długie traktaty przy spadzistych schodach nie spiesząc się z otwieraniem drzwi do apartamentów. Wreszcie otworzyła.

Mrok, brud, ciasnota i zaduch były pierwszymi wrażeniami Madzi przy wejściu do tego szczególnego zakładu. Jednym rzutem oka spostrzegła, że znajduje się na poddaszu wypełnionym przez dwa szeregi kłetek przypominających żydowskie kuczki.

W tej chwili pani Turkawiec, schwywszy za kolek, szarpnęła go i otworzyła drzwiczki, które odsuwały się jak w korytarzowych wagonach.

Madzia ujrzała kletkę o tyle długą, że mieściło się w niej łóżko, a o tyle wąską, że ledwie można było przejść między łóżkiem i przeciwległą ścianą. Znajdowało się tu tylko pół okna (druga połowa należała do sąsiedniej kletki), stolik zastawiony fiolkami po lekarstwach (które miały zapach spirytusu) i proste krzeselko. Ze ściany nad łóżkiem zwisały się strzępy papierowego obicia, zaś przepierzenie było oklejone gazetami i rysunkami wyciętymi z pism ilustrowanych. Na łóżku leżała chora zwrócona głową do okna.

— To pani?... — spytała chora. — Ach, jaka pani dobra!...

Gorąco i mdły zapach pieluszek odurzyły Madzię. Widziała ona nędzę, ale w formach nie tak wstrętnych. Zaduch, stękanie dolatujące nie wiadomo skąd, ciche mlaskanie, obok śmiechy i jedzenie naprzeciw... A wśród tego wszystkiego kobieta przezroczysta jak bielony wosk, w brudnym czepku i koszuli, pod podartą kołdrą, z której wylała wata nabita kurzem.

Opanowawszy pierwsze wrażenie Madzia przypatrywała się chorej. Rzeczywiście była to Stella.

— Co się z panią dzieje?... — rzekła nareszcie Madzia.

— Chora jestem... Ach, jaka pani dobra!... Ach, jaką ja mam prośbę do pani... Co to za fiolka?... Wino?... Czy to dla mnie?...

Stella opadła na poduszkę wyciągając przed siebie alabastrowe ręce.

Madzia odkorkowała butelkę i podała chorej trochę wina w kubku od dawna nie mytym.

— Jeszcze odrobinę!...

Madzia dolą.

— Jeszcze... jeszcze... niech pani naleje z pół kubeczka... Taki malutki... Aaa... Cóż to za wino... Życie mi wraca... — Mówiąc to Stella podniosła się i usiadła na łóżku, które skrzypiało za każdym ruchem. Biała twarz chorej pokryła się delikatną barwą róży, oczy nabrały połysku, a spieczona usta — koralowego koloru. Była prawie piękna wśród zaduchu i brudów.

W dalszej kletce rozlegały się rozdzierające jęki.

— Zaraz... zaraz... — zawołała pani Turkawiec i pobiegła w tamtą stronę ode drzwi Stelli.

— To nic!... — rzekła z uśmiechem Stella patrząc na przerażoną Madzię. Potem schwyciwszy ją za rękę zaczęła szeptać do ucha:

— Ja nie jestem taka chora... Ja tylko udaję, ażeby stara nie odesłała mnie do szpitala...

— W szpitalu byłoby pani lepiej — rzekła Madzia.

— Gdybym mogła płacić!...

— Zapłaci pani... Dadzą pani osobny pokój... Ja wreszcie mam znajome zakonnice...

— A jeżeli tak... — odparła Stella wciąż uśmiechając się. — Ale w takim razie niech mnie odeszła do Dzieciątka Jezus... Tam jest moja córeczka...

Madzia wstrząsnęła się, oburzona naiwnym bezwstydem chorej, która mówiła prawie wesoło:

— Właśnie o nią chciałam prosić, o moją córeczkę... Czyby państwo Solscy, tacy bogaci, nie przeznaczyci coś na jej wychowanie?... W takim razie można by ją odebrać od Dzieciątka Jezus... Ach, pani, nie dla siebie proszę... dla niej... Przecież ona niewinna temu, że nieszczęśliwa matka nie może jej dać opieki... Niech pani to zrobi... Pani podobno ma taki wpływ na Solskich...

— Ale jakże ja ją poznam? — odparła Madzia, której nagle przyszła do głowy nowa myśl.

— Poznać łatwo... — szepnęła Sella. — Oddano ją tam przed miesiącem... Ach, przez dwa dni myślałam, że oszaleję nie mając o niej wiadomości!... Niech pani zapyta o dziewczynkę, którą miesiąc temu znalazł stójkowy obok poczty... Miała na szyi krzyżyk ze złotego druciku... przy sobie fiolczkę mleka ze smoczką, a do koszulki przypiętą kartkę: „Ochrzczona z wody, nazywa się Magdalena...”. Na pamiątkę pani tak ją nazwałam... Kiedy ją stąd wynieśli, zaczęłam gryźć palce, bić głową o ścianę i krzyczeć jak tamta...

Jęk w dalszym kącie wzmagął się i modulował; we wszystkich kletkach słychać było zaniepokojenie. Madzi zimny pot wystąpił na twarzy.

— Proszę jeszcze wina... można?... O, gdybym ja stąd wyszła!... — mówiła Stella. — Ale cóż, jestem winna osiem rubli...

— Już zapłacone — przerwała Madzia — a oto... tymczasem...

I wsunęła chorej pod poduszkę trzynaście rubli.

— Droga!... Święta!... — zawołała chora z płaczem i zaczęła całować ręce Madzi. — Ale ja tylko pożyczam... zwrócę... przysięgam, że zwrócę... i to... i tamto, co pani wyda na malutką...

Znowu upadła na poduszkę i zaczęła dyszeć chwytając się za piersi i z trwogą patrząc w oczy Madzi. Po chwili atak przeszedł, chora uspokoiła się i mówiła dalej.

— W szpitalu nie chcę być długo... O, gdybym ja mogła na wieś!... Jestem pewna, że w tydzień odzyskałabym siły i zrobiłabym furorę w świecie... Dobijałyby się o mnie wszystkie sceny... bo nie ma pani pojęcia, co się stało z moim głosem... Kiedy tu raz zaśpiewałam parę taktów: „Gdyby rannym słonkiem...” — stara i jej pacjentki zrobiły mi owację... Cóż to za głos cudowny!... rozplakałam się jak dziecko...

— Ale niech pani nie męczy się... — nieśmiało wtrąciła Madzia.

— Mnie to nie męczy... nic, ale to nic!... — prawila rozgorączkowana Stella, na której twarz wystąpiły ceglaste wypieki, a usta przybrały barwę karminu. — Tydzień na wsi i... zobaczycie... Za każdego rubla, który winnam komu, oddam sto... Europę... Europę oblecę... i znowu będę szczęśliwa, jak niegdyś...

— Była pani szczęśliwa?... — spytała zdziwiona Madzia.

— O, i jak!... Czyliż mogłabym tu wyżyć, gdyby wspomnienia nie ozlacały mi tej okropnej nory... Ale ja tu nie widzę obrzydliwych ścian ani drzwi jak w pułapce... Widzę pełne sale słuchaczy... przelatujące bukiety... zachwycone twarze mężczyzn... grymasy kobiet, które mi zazdroszczą... A te oklaski... bis!... bis!... Stella, brawo!... A ten mój tyran, który zawsze zazdrościł mi powodzenia... Ach, pani, ty nie wiesz, co to znaczy być artystką!... To jest taki piękny świat, takie niebo... że gdy człowiek raz je zobaczy, może później — dźwigać całe lata niedoli... Ach, jeden rok powodzenia na wielkich scenach i potem... niech już umrę... w ostatnim akcie... pod bukietami...

Rzuciła się na łóżko i nagle rzekła:

— Pani!... niech pani słucha... usłyszysz coś, za co obsypano by mnie złotem.

I zaczęła nucić bardzo słabym, ale i dziwnie miłym głosem:

„Raz od swej lubej... pewien król... Za to... że jej wiernym... został... szczerozłoty puchar...”.

Zamknęła oczy i ucichła. Jednocześnie ciężko odsunęły się drzwi i weszła pani Turkawiec mówiąc:

— Niech no pani nie wyrabia krzyków...

— Ależ ona zemdlą!... — rzekła przestraszona Madzia.

Pani Turkawiec pochyliła się nad chorą i odparła:

— I i i... nie... Zasnęła. Ona mi tu lada dzień zaśnie na fajn...

— Trzeba ją odwieźć do szpitala — szepnęła Madzia. — Niech pani zajmie się tym... ja koszta zwrócę...

Pani Turkawiec patrząc na Madzię kiwała głową.

— Najpierwej — mówiła wcale nie niższym głosem — żaden szpital jej nie weźmie. Po drugie... nie dojedzie, a po trzecie ona i tu umrze lada godzinę...

Madzia nie mogąc opanować żalu wysunęła się z kletki na schody, a za nią pani Turkawiec.

— Ona czuje się niezłe — rzekła Madzia odpocząwszy chwilę.

— Co to warta taka niezłość, proszę panunci — odparła gospodyni zakładu. — Przecie ona nie ma już ani kawałka płuc!... Człowiek podtrzymuje ją swoją sztuką, ale już mi i żal takiego męczeństwa... Ona tygodnia nie wytrzyma...

Ponieważ Madzia uczuła lekki dreszcz, więc pożegnała gospodynię obiecując powrócić nazajutrz. Na znak głębokiego szacunku pani Turkawiec, wzięwszy ją pod rękę, ostrożnie zaczęła sprowadzać ze schodów.

— To na nic interes, panunciu!... — mówiła gospodyni. — Kiedy ona śpiewa, to już jest całkiem nieprzytomna, a kiedy jest przytomna, to także nie ma pełna rozumu... Ty-

dzień, dziesięć dni i po wszystkim... Polecam się łaskawej pamięci... Od świętego Michała przeniosę się do tej oto kamienicy... Całuję litościwe rączki!...

Madzia czuła tak straszne zgnębienie, że znalazłszy się na ulicy postanowiła wcale nie myśleć ani o Stelli, ani o zakładzie pani Turkawiec.

Podczas rozmowy ze Stellą przysła Madzi na pamięć staruszka szarytka, którą poznała w domu państwa Korkowiczów — matka Apolonia. Nie odwiedziła jej wtedy pomimo serdecznych zaprosin, więc odwiedzi ją dziś i zaklnie na pamięć swojej babki Wiktorii, ażeby zakonnice zaopiekowały się Stellą i jej córeczką.

Pieniądzy dostarczy ona sama, Madzia... Sto, choćby dwieście rubli... choćby nawet całą sumę, jaką dla niej przeznaczył ojciec. Ale ani wydobyć chorej z tej jaskini, ani opiekować się nią i jej dzieckiem — nie potrafi.

Madzia pierwszy raz w życiu spotkała się z zagadnieniem przechodzącym jej siły, rozum i odwagę. Serce zawsze ciągnęło ją do biednych i opuszczonych, ale ten rodzaj niedoli, jaki spotkała u pani Turkawiec, obudził nieopisaną odrazę.

Jeżeli gdzie, to tam, wśród zaduchu, jęków nieznannej kobiety i bredzenia dogorywającej śpiewaczki, zrozumiała w całej pełni filozofię pana Kazimierza, że człowiek jest zbiegowiskiem cząstek tłuszczu, fosforu i żelaza, które rozsypią się w nicość. Muszą rozsypać się w nicość! Kto chce to zrozumieć, niech nie szuka ludzkości zdrowej, pracującej i uśmiechniętej, ale niech patrzy na tę ludzkość, która daje początek nowemu życiu wśród jęków albo kona śpiewając w gorączce i marząc o triumfach.

Z rozmyślań obudził Madzię znajomy głos:

— Moje uszanowanie!... Dzień dobry! Jakże się miewa droga pani?... Cóż sprowadziło panią na to odludzie, do ubogich i pochylonych domków?... Domyślam się, domyślam... O, święte uczucie miłosierdzia!...

Madzia otrzeźwiała. Przed nią z odkrytą głową stał Zgierski i czule ścisnął jej rękę.

— Byłam tu u jednej ciężko chorej, a teraz jadę do Świętego Kazimierza — odparła Madzia. — Jakby się tam dostać najkrótszą drogą?...

— Odprowadzę panią... — mówił Zgierski. — Któż jest ta chora?... Może moje stosunki...

Na rogu ulicy stała dorożka. Madzia spostrzegłszy ją podziękowała Zgierskiemu za chęć odprowadzenia jej i — kazała wieźć się na Tamkę.

Pan Zgierski chwilę postać, popatrzył za odjeżdżającą i — zawrócił w stronę domku, z którego wyszła Madzia.

Lubił być dokładnie informowanym nawet w drobiazgach.

### 32. SPACER

Po kilkunastominutowej podróży, która wydawała się Madzi nieskończoną, dorożka zaczęła zjeżdżać na dół Tamki. Minęli gmach Konserwatorium i zatrzymali się naprzeciw krótkiej uliczki zakończonej bramą, na szczycie której wznosił się żelazny krzyżyk.

— Tu — rzekł dorożkarz.

Madzia wysiadła, a minąwszy nieforemny dziedziniec weszła do gmachu o powierchowności więziennie-szpitalnej.

„Straszne tu musi być życie!...” — pomyślała.

W sieni wyszła naprzeciw niej młoda szarytka pytając, czego sobie życzy.

— Chciałabym zobaczyć się z matką Apolonią.

— Czy ma pani... jaką prośbę?

— Nazywam się Brzeska, jestem znajomą matki Apolonii — odpowiedziała Madzia rozdrażnionym tonem, spostrzegłszy, iż gotowi posądzić ją, że przyszła po wsparcie.

— W poczekalni jest w tej chwili kilka osób — odparła szarytka. — Ale jeżeli pani jest znajomą matki Apolonii, to możemy pójść do niej.

Poszła prędko naprzód. Madzia za nią, przez korytarze, na schody i ze schodów. Wstępowały do kilku sal, lecz matki Apolonii nie było. Przez ten czas Madzia oglądała się w nowym otoczeniu. Uderzyła ją zadziwiająca czystość, obrazy na ścianach, małe ołtarzyki w salach i napisy nad niektórymi drzwiami:

„Bóg na nas patrzy!”

— Musimy zajrzeć do ogródka — rzekła zakonnica. A gdy znalazły się tam, prosiła Madzię, że ją na chwilę opuści.

Ogródek wydawał się niezbyt wielkim ani zasobnym, ale jakież kontrast tworzył z lokalem pani Turkawcowej! Tam gorąco i zaduch, tu — chłodne powiewy nasycone wonią roślin; tam ciasnota, tu zieloność, na tle której nie raziły nawet budynki w stylu szpitalnym. Tam śpiew Stelli albo jęki nieznannej chorej, tu cisza... Nie, słychać świergotanie ptaków i wesoły śmiech dzieci płynący nie wiadomo skąd.

Przy łóżku śpiewaczki Madzia widziała na lewo od siebie brudny drzeworyt przedstawiający nimfy w kąpeli. Lecz gdy tu spojrzała w lewo, spostrzegła krzyż, który wyrastał z pagórka zasianego kwiatami i prawie na obłokach opierał ciemne ramiona.

Spokojny ten obraz jak błyskawica rozświetlił wspomnienia Madzi. Zdawało jej się, że widzi swoje dzieciństwo i że ona, ta, która jest tu, nie jest dalszym ciągiem dziecka, które zegnało się na widok klasztornych murów i klękało pod krzyżami. Przyszło jej na myśl, że tamto pobożne dziecko już umarło — i uczuła ciężar, który powoli zsunął się jej na serce.

W tej chwili ukazała się młoda zakonnica.

— Niech pani będzie łaskawa ze mną do poczekalni — rzekła nie podnosząc oczu. — Matka Apolonia zaraz przyjdzie.

Znowu wróciły na korytarz, po czym zakonnica wprowadziła Madzię do niewielkiej sali.

Zostawszy sama uczuła Madzia nieokreśloną trwożę, Przerzął ją sklepiony sufit, grube mury, białe ściany sali, a nade wszystko Chrystus, który z małego krzyża patrzył na nią i rozmyślał. Rozdrażnionej Madzi zdawało się, że usłyszy łoskot ciężkiej furty klasztornej, która na zawsze odetnie ją od świata. Zbliżyła się do okna, a w tej chwili cicho otworzyły się drzwi i odezwał się za nią głos łagodny:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Przypomniałaś sobie nareszcie, ażeby mnie odwiedzić, niedobra? A ja od pół roku spodziewałam się twojej wizyty.

Madzia ucałowała ręce czerstwej staruszki i dość niezręcznie tłumaczyła się z zapomnienia.

— No, no, nie gniewam się — uspokoiła ją matka Apolonia. — Siadajże. Wy, kobiety światowe, zbyt wiele macie interesów, ażebyście mogły pamiętać o przyjaciółkach waszych babek. Cóż cię do nas sprowadza?...

Madzia opowiedziała o Stelli, jej chorobie, o dziecku, obecnym miejscu zamieszkania i — prosiła dla niej o pomoc.

Szarytka zacierała ręce potrząsając niekiedy wielkim kapeluszem.

— Oj ty... ty!... — rzekła grożąc palcem Madzi. — Nie darmo doszły nawet do nas pogłoski, że jesteś emancypantką. Co za szczególne masz znajomości! Naturalnie, że musimy zaopiekować się tą nieszczęśliwą i owocem jej grzechu, ale cóż to za kobieta!... Pewnie Bóg wie od kiedy nie spowiadała się. A ty, zamiast pomyśleć o jej duszy, zaniósłaś wino nie pytając nawet lekarza o zdanie.

— Przypuszczalam... — wtrąciła Madzia.

— Że umierającemu bardziej przyda się wino niż pojednanie z Bogiem — przerwała szarytka, a cień padł na jej twarz łagodną. — Te panie z waszego obozu — ciągnęła — wiele mówią o prawach kobiet, ale całkiem zapomniały o prawach boskich. Potem dzieci oddają do szpitala, a same umierają w domach kobiet wątpliwej wartości.

— Pani gniewa się na mnie...

— Gdzieżby znowu! — odparła szarytka ściskając Madzię. — Masz rysy twojej babki, Felicissimy, a to mi wystarczy. Choćbyś nawet i poszła kilka kroków za nowym prądem, powrócisz.

— Pani sądzi, że takie powroty są możliwe?...

Szarytka podniosła głowę i z uwagą spojrzała na Madzię. Zamyśliła się i odparła:

— Gdy człowiek nie umie sam powrócić, Bóg zastępuje mu drogę...

Madzię przebiegł dreszcz i pobladła.

— No, ale co tam — rzekła szarytka łagodniej, spostrzegłszy zmianę w twarzy Madzi. — Do tej nieszczęśliwej zgłosi się kto jeszcze dzisiaj i przekona się, co można zrobić. Zostaw mi jej adres. Jeżeli zaś chcesz zobaczyć to biedne dzieciątko, dam ci bilet.

Madzia powiedziała adres Stelli; szarytka wyszła i niebawem wróciła z kartką.

— Oddaj to siostrze Marii u Dzieciątka Jezus, a ona cię poinformuje.

Madzia ucałowała ręce staruszki.

— Przychodźże tu czasem — mówiła szarytka. — Już nie będę cię strofować za nieostrożne słowa. Ale widzisz, jestem stara i choć mniszka, jednak trochę widziałam na świecie. Mój kornet nie zasłaniał mi oczu. Niejedna uwaga może ci się przydać, tym bardziej że, biedaczko, pracujesz z dala od matki... Do widzenia.

Ucałowała Madzię, przeżegnała i wyprowadziła do sieni.

— Przyjdź tu czasem...

„Dziwny... cóż to za dziwny świat” — myślała Madzia biegnąc do furtki. Była tak rozdrażniona, że lękała się, ażeby wedle słów szarytki krzyż stojący za murem ogrodu nie zeszedł z kwiecistego pagórka i — nie zastąpił jej drogi.

Kiedy zmęczona wróciła do swego mieszkania, nie mogła nadziwić się, że jest u siebie i że wybiła piąta... Więc dopiero dwie godziny, jak ona wyszła z domu do Stelli?... Nie, to chyba miesiąc już upłynął, a może rok!... Bo czy podobna w ciągu dwu godzin napotkać tyle kontrastów, tyle odczuć i tyle przeżyć, co ona?...

Właściwie nawet nie widziała ani zbyt wielu, ani nadzwyczajnych rzeczy. Chorą i — szarytkę, zakład pani Turkawiec i — ogródek klasztorny, nimfy między wyblakłymi gazetami i — krzyż wśród zieloności. Jakim sposobem kilka tych przedmiotów zbudziło w niej tyle wrażeń, jakby każdy był całym światem?... I czy podobna, ażeby parę godzin podzieliło się na mnóstwo kawałków czasu, z których każdy rozrósł się w stulecia? Rozmowa z panią Turkawcową na schodach — jedno stulecie... Pobyt u Stelli — tysiące lat... Podróż dorożką — znowu stulecie... Dziedziniec, poczekalnia w klasztorze, rozmowa z matką Apolonią — chyba wieczność!...

Siedząc na twardej kanapce Madzia marzyła. Przed oczyma jej duszy przesuwaly się kolejno dwa obrazy: alabastrowa twarz chorej na tle brudnego posłania i — dobroduszne oblicze zakonniczy w sklepionym pokoju; jęki nieznanym kobiety za szeregiem przepierzni i śmiech dzieci ukrytych w ogrodzie. W obrazach tych zdarzały się jakieś przemiany: raz widać było na dziedzińcu klasztornym Stellę, to znowu, w lokalu pani Turkawcowej szarytkę. Stella w nowym otoczeniu była smutniejsza, lecz wyglądała szlachetniej; ale zakład pani Turkawcowej, w obecności szarytki, rozpląwał się jak mgła. Cichnął jęk, nie było słyhać mlaskania, znikaly obrzydliwe ściany, a na miejscu kąpiących się nimf ukazywał się krzyż oparty stopami na kwiatach, ramionami w obłokach.

Potem nie wiadomo skąd pojawił się cień Solskiego. On także był litościwy, ale i surowy jak zakonnicza; w jego mieszkaniu także panowała klasztorna cisza, a z okien widać było ciemne pnie drzew uwieńczonych zielonością.

A ona, a Madzia, czymże jest? Czy jej ciasny pokoik nie przypomina komórki, w której leży Stella?... Upał taki sam, kuchenne śwędy warte tamtejszego zaduchu, a warczenie niewidzialnej maszyny do szycia czy mniej ją drażni aniżeli jęki chorej?...

„Co ja zrobiłam... co ja zrobiłam?... — myśli Madzia i dodaje z rozpaczą: — Po co ja wyjechałam z Iksinowa?...”

Ach, gdyby z dusznej Warszawy można było uciec na wieś... Gdyby można zasnąć i nie obudzić się, a przynajmniej — zapomnieć o tych męczących widziadłach.

Po szóstej zapukano do drzwi i ukazał się pan Kazimierz. Na jego widok Madzia krzyknęła z radości. Znalazł się nareszcie człowiek rzeczywisty, nie widmo. Był tak nieoczekiwany, tak nowy na tle jej marzeń, a nade wszystko niczym nie przypominał ani Stelli, ani szarytki...

— Byłbym szczęśliwy z powitania — rzekł pan Kazimierz — gdyby nie dziwny wyraz, jaki dostrzegam w oczach pani... Co to i znaczy?... Miała pani zmartwienie?...

— Czy ja wiem, jak to nazwać! — odparła Madzia. — Chyba jestem zdenerwowana...

— Najmilszymi są kobiety zdenerwowane.

— Tak?... Ale niech pan zgadnie, gdzie byłam!...

— Na lekcji?... Ba, może u panny Ady?...

— U szarytek — odparła Madzia. — Do tej pory nie mogę się uspokoić...

— Cóż panią tak wzruszyło? Nie przypuszczam, ażeby chciano panią gwałtem zamknąć w klasztorze.

— Wzruszył mnie sam klasztor: jego krzyże, cisza... Panie Kazimierzu — mówiła Madzia z zapalem — w tym coś jest... Jest jakaś nieokreślona siła, którą nazwałabym świętością... Bo czymże innym wytłumaczy pan wpływ, jaki na nas wywiera klasztor?

— jak na kogo — odparł pan Kazimierz. — Widziałem we Włoszech kilka klasztorów, mówiąc nawiasem, prześlicznych jako budowle. I wyznaję, że mnie rozmarzyły...

— A widzi pan!... Jest w nich coś nadziemskiego...

— Nie, pani, nic nadziemskiego, ale jest coś — niewspółczesnego. Klasztor z potężnymi murami, gęstym okratowaniem okien, celami, w których surowe mnichy śpią na deskach, uprzytomnia opokę stalowych pancerzy, zamków otoczonych zębatymi ścianami, zakapturzonych biczowników i narzędzi średniowiecznych tortur. Na widok tego rodzaju zabytków w umyśle widza powstaje wątpliwość: gdzie ja jestem i czym jestem?... Powstaje wrażenie dwoistości; człowiek czuje się na granicy dwu światów, z których jeden jest rzeczywistym, drugi fantazją obleczoną w dotykalne formy. Ta uzmysłowiona legenda rozmarza nas, a obraz rzeczy dawno zmarłych, mających pozory życia, napawa melancholią. Ale poza melancholijnymi marzeniami, które mogą zdenerwować osobę wrażliwą, nie ma tam nic: żadnej nadziemkości, żadnej świętości.

Madzia, słuchając, obu rękoma ścisnęła sobie czoło.

— Ależ pani naprawdę jest cierpiąca!... — zawołał pan Kazimierz.

— Bo mi tu duszno... Zupełnie jak...

— Jak w klasztorze?

— O, nie!... Tam odetchnęłam... tam jest trochę zieloności.

— Wie pani co? — rzekł pan Kazimierz stanowczo. — Musimy wyjść, i to zaraz. Zabiorę panią do Botanicznego Ogrodu, choćby i gwałtem...

— Już późno.

— Jeszcze nie ma siódmej. A godzinka spaceru na świeżym powietrzu orzeźwi panią...

— Ha, niech i tak będzie!... — odparła Madzia. — Może spacer naprawdę mnie uspokoi.

Ubrała się i wyszli na ulicę. Pan Kazimierz skinął na dorożkę, ale Madzia nie zgodziła się. Więc doszli do Nowego Światu i siedli w jeden z omnibusów kursujących między Placem Zygmunta i Belwedere.

Podróż ciągnęła się powoli; słońce zachodziło, na południowej stronie nieba ukazały się ciemne obłoki z czerwonym odbłaskiem. Nareszcie dotarli do Ogrodu Botanicznego i weszli.

Pomimo pięknego wieczora ogród wyludnił się; groził deszcz. Pan Kazimierz jednak spotkał kilka znajomych pań i mężczyzn, którym musiał kłaniać się, a którzy widząc z nim piękną kobietę obrzucali go ciekawymi spojrzeniami.

Pan Kazimierz był zakłopotany i od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na Madzię. Ale ona nie widziała ani ludzi, ani ich spojrzeń. Szła zapatrzona w swoje obrazy, zaśluchana w niedosłyszalne głosy.

Ażeby uniknąć tłumu, pan Kazimierz wybierał najmniej uczęszczane aleje. Istotnie spotykali coraz mniej przechodniów.

— Jak tu dobrze! — zawołała Madzia zatrzymując się w alei.

— Widzi pani, że miałem rację...

— Tak. Czuję, że czegoś mi potrzeba, a było mi potrzeba widoku trawy i gęstych drzew. W tym półmroku zdaje mi się, że widzę las... duży las... Czy także powie pan — dodała z naciskiem — że w lesie, jak i w klasztorze, nie ma nic... nic!... Żadnej nadziemskiej siły, która bez pomocy zmysłów przemawia do naszej duszy?

— Skąd w pani dziś obudził się taki pociąg do kwestyj metafizycznych, jeżeli nie mistycznych — odparł pan Kazimierz. — Co się stało?... Pani taka trzeźwa!...

— Bo chcę raz dowiedzieć się prawdy; czy człowiek umierający ginie... czy te, które zamykają się w klasztorach, oszukują się dobrowolnie?... Jeżeli na świecie są tylko pierwiastki chemiczne, to dlaczego ten pozór lasu robi na mnie inne, duchowe wrażenie?... O, niech pan tam spojrzysz!... — mówiła rzucając się na ławkę. — Co to jest? kilkanaście drzew okrytych chmurą liści... A przecież ja tam coś dostrzegam, coś stamtąd na mnie woła... Ach, tak woła, że płakałabym... że... serce mi pęka wyrывая się do czegoś... Więc cóż to jest?...



— Bezświadome, a odziedziczone wspomnienia — odpowiedział pan Kazimierz. — Nasi przedhistoryczni przodkowie żyli kiedyś w lasach. Tam znajdowali pokarm, ochronę przed klimatem i wrogiem; tam odnosili zwycięstwa nad olbrzymimi zwierzętami, co wszystko razem głęboko wstrząsało ich systemem nerwowym.

Po owych odległych przodkach — ciągnął pan Kazimierz przysuwając się do Madzi — pozostała w naszym mózgu jakaś grupa już zanikających komórek. Szczątki te wśród ucywilizowanego życia milczą, lecz wobec lasów, gór, jaskiń zaczynają dźwięczeć dawno zgasłymi pieśniami: bólu, obawy, nadziei, radości, triumfu... Te prastare echa są owym głosem, który woła na panią, owym czymś tajemniczym i nadziemskim. Poza nimi — nie ma nic...

Mrok zapadał i zgromadziły się chmury. W ogrodzie było pusto. Ale kwiaty pachniały coraz mocniej, drzewa szemrały głośniej, w powietrzu unosiły się tchnienia namiętne.

Pan Kazimierz uczył lekki dreszcz i zaczęły płątać mu się myśli.

„Jednak dziwny jest ten wieczór” — rzekł do siebie.

— Okropne są pańskie objaśnienia! — odezwała się Madzia. — Gdyby wszyscy tak wierzyli, szczęście uciekłoby ze świata — dodała ciszej.

Panu Kazimierzowi biły tętna w skroniach, dławił oddech, paliło go własne ciało. Zaczęło braknąć mu wyrazów, lecz jeszcze raz wysilił uwagę i mówił stłumionym głosem:

— Szczęście ucieka nie ze świata, ale z nas samych jak wino z pękniętych butelek. Świat!... co on winien temu, że ludzie pobudowali sobie żelazne klatki i tortury?...

Znowu myśli mu się splątały. Chciał Madzię wziąć za rękę, ale... przetarł sobie czoło.

— Jechała pani w nocy koleją? — spytał nagle. — Widziała pani smugę iskier wylatujących z lokomotywy? Każda błyszczy, unosi się w powietrzu, potem spada między polne ziola i po chwili gaśnie. Ta jaskrawa smuga to ludzkość, pojedyncze iskry to nasze życie... Lecz co by pani powiedziała, gdyby owe iskry, zamiast latać, płonąć i błyszczeć przez ciąg sekundowego istnienia, raczej zakopywały się w ziemię albo dobrowolnie przygaszały własne światło... własną radość... Co by pani powiedziała?... Śmierć, która pogrąży nas w zapomnieniu, nie jest nieszczęściem. Ale odtrącanie prostych a potężnych rozkoszy, odsuwanie spragnionych ust od czystej wody to jest udrczeniem i samobójstwem.

Oparł rękę na ławce tak, że dotknął palców Madzi i uczył, że były równie gorące jak jego. Na mgnienie oka zapomniał, gdzie się znajduje i czy dookoła nich jest widno czy ciemno. W rękach i nogach czuł mrowienie; głos przytłumiał mu się coraz bardziej. Przynął się do Madzi. Jej ramię dotykało jego ramienia. Zaczął szeptać:

— Niekiedy dwie iskry padają tuż obok siebie... Wówczas ich blask... ogień, który je trawi, potęguje się... Dwa istnienia wyrastają na tysiąc istnień... dwie iskry błyszczą jak najjaśniejsza gwiazda... Czy nie byłoby nikczemnością rozdzielać te dwa byty?... A czy nie byłoby szaleństwem, gdyby jedna z nich zdużyła własne światło i... swej sąsiadki?...

Robiło się coraz ciemniej i wzmagał się szum. Nad ogrodem kolejno przelatowały dwa powiewy: ciepły od miasta, chłodniejszy od strony Łazienek. Po alejach nikt już nie chodził, tylko rozkołysane drzewa gięły się ku ziemi albo odsuwały od siebie wierzchołki odsłaniając granatowe chmury. Czasem w górze zatrzeszczała gałąź albo oderwała się gałązka i w fantastycznych podskokach spadała na trawnik.

— Straszne to, ale piękne! — rzekła Madzia opierając głowę na poręczu ławki.

— Jak moja miłość dla ciebie... — szepnął pan Kazimierz.

Schwycił Madzię wpół i przycisnąwszy usta do jej ust zaczął całować bez pamięci.

Przez chwilę Madzia siedziała martwa. Nagle wydarła się z objęć pana Kazimierza, a gdy wyciągnął rękę, odtrąciła go, jakby ją chciał uderzyć.

— Ach!... — zawołała z gniewem. — Gdyby pan wiedział, o czym myślałam, nie zrobiłby pan tego...

Stała na środku alei i zaczęła poprawiać włosy. W tej chwili spadła pierwsza kropla deszczu.

Pan Kazimierz podniósł się z ławki pijany, ale otrzeźwiał. W głosie Madzi usłyszał taką odrazę do siebie, że pożałował nie tylko pocałunków, ale nawet namiętnej wymowy i samego spaceru.

„Głupio to wygląda...” — pomyślał czując, że ta kobieta, zamiast być pobratymczą mu iskierką, jest dla niego zupełnie obca.

Z góry zaczęły sypać się z początku rzadkie, stopniowo coraz gęstsze krople.

— Nie wiem, gdzie mam iść — nagle odezwała się Madzia głosem, w którym drgało oburzenie. — Niechże mnie pan stąd wyprowadzi...

— Służę pani...

Poszli w stronę obserwatorium, ale tam żelazna furtka była zamknięta. Wtedy pan Kazimierz zaproponował powrót w głąb ogrodu aż do furtki powyżej obserwatorium.

Deszcz padał coraz gęstszy, z daleka odezwał się grzmot. Madzia skrzyżowała ręce na piersiach i szybko biegła nieznanymi ścieżkami. Pan Kazimierz podniósłszy kołnierz żakietu szedł za nią i myślał:

„Bodaj to diabli wzięli... co za głupia pozycja!...”

Zdawało się, że jego namiętność, rozbita zachowaniem Madzi, roztapia się obecnie w strugach deszczu, które spływały mu z kapelusza, ramion i łopatek.

W końcu wydostali się w Aleję; ale ponieważ nie było dorożki, więc biegli pod rzęsy deszczem bez parasolów do placu Aleksandra. Madzia, wciąż wysunięta naprzód, milczała, pan Kazimierz podążał za nią mówiąc do siebie:

„Komiczna sytuacja i obrzydliwa!... Ciekawym, co ona myśli?...”

Madzia tymczasem myślała z gniewem, że moknie i że późno wróci do domu. Chwilami przypominała sobie scenę na ławce i zdawało jej się, że to był sen czy może — taki dziwny początek deszczu?...

„Więc tak wygląda miłość?... no, no!... Więc dlatego kobiety umierają u pani Turkawcowej?... Ach, tego nie mogłaby żądać ode mnie pani Latter... nie miałyby prawa!...”

Jeszcze przed kilkoma godzinami pan Kazimierz wydawał się Madzi genialnym, interesującym, sympatycznym. Obecnie wszystkie czary znikły i został tylko człowiek, który bez racji schwycił ją w pół i całował w usta jak wariat.

„Ciekawam — myślała — czy on będzie miał odwagę spojrzeć mi w oczy?”

Sama czuła, że śmiało może mu patrzeć w oczy, a raczej mogłaby patrzeć, gdyby jej nie obrzydł. Namiętne pocałunki pana Kazimierza robiły na niej takie wrażenie, jakby na przykład podczas spaceru wytargał ją za ucho!...

Nareszcie spotkali dorożkę, w którą Madzia rzuciła się nie patrząc na pana Kazimierza.

— Czy mogę panią odwiedzić? — zapytał.

— Jak pan chce.

Wlazł pod budę zmoknięty, nieszczęśliwy i zajął miejsce na brzegu siedzenia. Madzia nawet nie odsunęła się od niego, tylko wyglądała jedną stroną dorożki, a pan Kazimierz drugą.

Nareszcie zajechali. Madzia dała dorożkarzowi dwa złote i nie odpowiedziawszy na ukłon swego towarzysza wbiegła w bramę; pan Kazimierz pojechał do domu mrucząc:

— Bodaj to najjaśniejsze!...

Pan Kazimierz znał swoją sztukę i wiedział, że najprzyzwoiciej jest całować kobiety wówczas, gdy one same tego chcą, niby broniąc się. Wiedział, że można pocałować kobietę niespodzianie, gdy da się to obrócić w żart, po którym niekiedy zawiązują się życzliwsze stosunki.

Ale dziś wrodzone poczucie estetyczne ostrzegło go, że sprawa wygląda niesmacznie, jak gdyby zamiast pocałować Madzię w usta, wyciągnął jej portmonetkę z kieszeni.

„Nie lubię tego!” — myślał, nie wskutek wyrzutów sumienia albo wstydu, bo wstydzic się nie miał czego, ale że to było takie... ni przypiął, ni przyłatał. Bądź co bądź, jak z kucharką postąpił z osobą, o której rękę prosił Solski!

Gdy przemoczona Madzia weszła na swój korytarz, otworzyło się po kolei troje drzwi. Z jednych wyrzwał pan Pasternakiewicz, z drugich jakaś współlokatorka, z trzecich wbiegła sama pani Burakowska mówiąc:

— Cóż się z panią dzieje?... Dopiero musiała pani zmoknąć!... Gdzież panią ten straszny deszcz zaskoczył?...

— Byłam w Ogrodzie Botanicznym... ze znajomymi — odparła Madzia i weszła do swego pokoju przebrać się.

Twarz jej pałała ze wstydu. Więc już doszło do tego, że ona, Madzia, musi kłamać?...

Wypiła herbatę, położyła się do łóżka i słuchając szumiącego deszczu rozpamiętywała przygodę panny Joanny. Tak to już dawno było, a przecież takie świeże wspomnienie!... Wówczas także lał deszcz, na Joannę tak samo oczekiwała pani Latter jak dziś na nią pani

Burakowska... Joanna tak samo, jak ona dziś, przepędziła czas z panem Kazimierzem, który zapewne i tamtą, jak ją dzisiaj, całował w usta.

Ona i... Joanna!... Oto do czego doszła w ciągu dwu lat.

Zgasiła lampę, przymknęła oczy. Znowu ukazał się jej kwiecisty ogród szarytek z krzyżem, a jakby w dalszym ciągu — kletka umierającej Stelli. Zdawało się Madzi, że ową nieznaną kobietą, której jęki dolatywały ją, jest Joanna i że za rok... dwa... „Polecam się pamięci pani — usłyszała wyraźnie głos pani Turkawcowej. — Od świętego Michała będę już mieszkać nie tu, ale tam, o!...”.

Ojciec... brat... Ada... Solski... wszystkie te wizerunki mieszały się w głowie Madzi.

„Co ja zrobiłam?... co ja zrobiłam?...”.

Wtoczyła sobie chustkę w usta, ażeby nie krzyknąć, i przycisnąwszy twarz do poduszki szlochała... szlochała zupełnie tak jak na pensji w lazarecie panna Joanna...

Przez następny dzień Madzia nie jadła i nie wychodziła z domu. Po południu odrobiła lekcje z siostrzenicą Dębickiego i za poradą gospodyni wypila parę szklanek herbaty z cytryną.

— Zaziębiła się panna Magdalena na tym spacerze — rzekła pani Burakowska do brata, kiedy wrócił do domu wieczorem.

— Żeby się tylko zaziębiła — odparł pan Pasternakiewicz. — Ty wiesz, kto ją odwiózł? Norski!...

— Któż ci o tym powiedział?

— Stróż. Poznał go, kiedy wychylił się z dorożki.

— No, cóż to szkodzi — uspakajała brata pani Burakowska. — Przecież u Magdaleny była z wizytą panna Norska... Wreszcie któż kobietę odwiezie w deszcz, jeżeli nie mężczyzna? Ty sam odwoziłeś niejedną damę.

— Co innego ja, co innego Norski. Bałamut i obibok, który bierze spadki po żyjących... Jeżeli mógł buchnąć kilka tysięcy rubli sparaliżowanemu Mielnickiemu, nie będzie robił ceremonii z niewinnością panny Brzeskiej.

Tak mówił pan Pasternakiewicz, a siostra słuchała z uwagą.

Na drugi dzień Madzia wyszła do miasta. Godzinę dłużej odsiedziała u swoich uczennic i około trzeciej po południu poszła do Dzieciątka Jezus boczną bramą od ulicy Szpitalnej.

W dziedzińcu Madzia spostrzegła dwu ludzi w drelichowych szlafrokach i perkalowych czapkach na głowie, jak kucharze. Jeden miał obandażowaną twarz i ten wskazał Madzię drugiemu, który nosił rękę na temblaku i zobaczywszy ładną pannę zaczął się śmiać. Prerażona Madzia myśląc, że to są wariaci, rzuciła się w pierwszą sień i na szczęście spotkała szarytkę.

— Sieroty są w tamtym skrzydle — rzekła szarytka wysłuchawszy objaśnienia Madzi. — Zaprowadzę panią do siostry Marii.

Prędko weszła na pierwsze piętro i na korytarz, który zadziwił Madzię długością. Mijały jedne za drugimi drzwi ponumerowane i zamknięte, za którymi Madzia domyślała się chorych. Powietrze było przesycone zapachem karbolu i ciszą. Raz spotkały posługacza śpieszącego z kubłem, drugi raz pacjenta w drelichowym szlafroku i kucharskiej czapce, potem lekarza, który w grubym fartuchu wyglądał jak rzeźnik.

Madzię ogarniał niepokój i coraz więcej intrygowały drzwi ponumerowane.

„Gdzież tu są chorzy?...” — myślała.

Wtem na lewo zobaczyła wielkie okno, a za oknem gdzieś w dole olbrzymią salę wypełnioną dwoma szeregami łóżek, z których każde było zajęte. Między łózkami snuło się parę posługaczek i zakonnica.

— Co to jest, proszę pani?... — zapytała Madzia swej przewodniczki.

— Sala gorączkowych — odparła szarytka biegnąc naprzód.

— Wieluż tam chorych?...

— Sześćdziesiąt łóżek.

„Sześćdziesiąt!... — pomyślała Madzia. — Czy podobna, ażeby tylu chorych było w Warszawie!... A jeszcze na innych salach...”.

Skręciły na lewo; zapach karbolu ciągle im towarzyszył. Po chwili Madzia usłyszała szczególny krzyk, jaki wydają zabawki mechaniczne... Znowu drugi i trzeci podobny...

Jednocześnie wyszła z pokoju inna zakonnica, której przewodniczka Madzi wręczyła kartkę.

— Ach, to pani — rzekła zakonnica i przedstawiła się jako siostra Maria. — Już wczoraj zapytywała mnie matka Apolonia o dziewczynkę Magdalenę, która ma krzyżyk ze złotego drutu, a nastąpiła do nas przed miesiącem. Jest taka dziewczynka.

— Mogę ją zobaczyć? — szepnęła Madzia.

— Proszę panią — rzekła siostra Maria otwierając inne drzwi.

Madzia na progu zawahała się, lecz weszła. Zobaczyła obszerny pokój z otwartymi oknami, które wychodziły na ogród. Było tu widno, nawet słonecznie, lecz ciasno z powodu nagromadzenia łóżek i łóżeczek. Siedziało tu lub spacerowało siedem czy osiem kobiet o zwiędłej cerze, które karmiły dzieci, poprawiały je w łóżeczkach albo rozmawiały ze sobą. Jedna mamka trzymała na rękach dwoje niemowląt.

— Dwoje karmi?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Czasem troje — odparła szarytka.

Kilkoro dzieci płakało głosami lalek; jedno siedzące na rękach u mamki zastanowiło Madzię niezwykle mądrym spojrzeniem. Nie miało jeszcze roku, a można było sądzić, że przemówi i o coś zapyta. Wszystkie były mizerne.

— Oto dziewczynka — rzekła zakonnica wskazując na łóżeczko, w którym leżał twój o pomarszczonej skórze sinawego koloru, z nóżkami cienkimi jak palec dorosłego człowieka.

— Boże! jakież ono chude... — zawołała Madzia. — Czy chore?...

— Coraz słabsze... Kwestia kilku dni — odparła szarytka.

— Ależ trzeba ją leczyć... Ja mam dla tej dziewczynki pieniądze... — mówiła Madzia drżącym głosem.

Szarytka wzruszyła ramionami.

— Robi się, co można. Maleństwo to ma nawet osobną mamkę, ale...

— Może jej czego brak? — nalegała Madzia.

— Wszystko ma, czym rozporządzamy. Brak jej matki i — sił, które tylko Bóg może przywrócić.

— Więc nic?... więc nic?... — powtarzała rozżalona Madzia nie śmiejąc dotknąć nieszczęśliwego dziecka.

Szarytka milczała.

Madzia pożegnawszy siostrę Marię prawie uciekła ze szpitala. Dusił ją zapach karbolu, a rozdzierał serce widok sierot i ich głosy nie mające w sobie nic ludzkiego.

Na placu Wareckim wzięła dorożkę i pojechała do pani Turkawcowej. Właścicielka domu zdrowia dla kobiet jak za pierwszą wizytą Madzi tak i teraz stała w przedsionku swojej instytucji i rozmawiała ze służką piorącą bieliznę pacjentek i ich dzieci. Zobaczywszy Madzię pani Turkawiec przerwała konferencję pralnianą i zawołała:

— Oho już!... Nie ma się panuncia po co fatygować...

— Jak to?... co?... — spytała Madzia zatrzymując się w połowie schodów.

— Już wynieśli znajomą pani...

— Do szpitala?

— Nie, na cmentarz. Umarła wczoraj w południe, ale wypila wszystko wino...

— Dlaczego pani nie zawiadomiła mnie o tym?

— Bo były tu onegdaj i wczoraj dwie zakonnice, obejrzały ją, przysłały doktora... A kiedy zrobił się ten interes, zabroniły donosić panunci.

Madzia pożegnała sumienną gospodynię i cofnęła się na ulicę.

„Śmierć... wszędzie śmierć... — myślała. — Ktokolwiek zbliży się do mnie, umiera...”

Nie żałowała Stelli; owszem, zdawało się jej, że nieszczęśliwa śpiewaczka nic lepszego nie mogła zrobić na tym świecie.

Wróciwszy do domu Madzia zjadła obiad z apetytem; później odbyła lekcję z Zosią. Ogarnął ją spokój, jakby jej osobiste cierpienia rozplynęły się w szpitalnych zapachach, w klasztornej ciszy, w bezdusznym krzyku opuszczonych dzieci i w całym tym bezmiarze nędzy i ludzkich poświęceń, na które patrzyła od kilku dni.

„Śmierć... wszędzie śmierć... dokoła mnie śmierć...” — powtarzała.

Nie wiadomo skąd przyszedł jej na pamięć Solski i — uczuła ściśnienie serca.

„No, teraz wszystko skończone — mówiła sobie. — Mój Boże, jeden... jedyny spacer!... Nawet nie przypuszczałabym, że w tak prosty sposób można zabezpieczyć się od pana Stefana...”

Widać jeszcze kilka dni temu w sercu Madzi tliła jakaś nadzieja, że Solski może do niej wrócić, i obawa, że ona ulegnie ponownym prośbom. Było to ostatnie echo niedawnej przeszłości, cień, który oddalający się Solski rzucał na jej wspomnienia. Ale dziś wszystko skończyło się: pan Kazimierz zdusił echa i odpędził cień. Nie ma już nic!...

Wieczorem napisała obszerny list do brata i do ojca. Bratu ofiarowała się, że do niego pojedzie na kilka lat, choćby do końca życia. Ojcu doniosła o propozycji zrobionej Zdzisławowi.

„Przed samym wyjazdem — myślała — pójdę do Ady podziękować za wszystko, co zrobiła dla mnie i dla Cecylii. Jestem pewna, że pożegna mnie życzliwie. Już przecie nie pozbawię jej miłości brata...”

Upłynął tydzień, nadszedł początek sierpnia.

Pani Burakowska, jej lokatorki i stołowniczkę coraz chłodniej traktowały Madzię le-dwie odpowiadając: „dzień dobry” i „dobry wieczór”. Ale ona nie zważała na te objawy obojętności; myślała o swoim bracie: w jaki sposób urządzić mu gospodarstwo? i niecierpliwie oczekiwała wezwania od niego.

Pewnego dnia, zaraz po lekcji z Zosią, złożył Madzi wizytę nieoczekiwany pan Mięt-lewicz. Szastał się, kłaniał, opowiadał, że jego ślub z panną Eufemią odbędzie się w po-łowie sierpnia, że rodzice i major zasyłają Madzi ukłony, że w Iksinowie odnawiają bruk na rynku... Ale miał spuszczone oczy i taką minę, że Madzia zaniepokoiła się.

— Pan ma dla mnie jakąś przykrą wiadomość — przerwała nagle, chwytając go za rękę.

— Wiadomość... wiadomość?... — powtórzył. — Ech, nie... Chciałem się tylko za-ptać pani, bo jutro wracam do domu, a tu tak plotą...

— Co plotą?... — spytała Madzia błędąc.

„Może o spacerze do Botanicznego Ogrodu?” — dodała w myśli.

— Bo... proszę pani... Eh! co mam owijać w bawełnę, kiedy to pewnie głupstwo... — prawil zakłopotany Miętlewicz. — Oto, co mówią, proszę pani... Że pani chodzi do jakichś akuserek i do szpitala podrzutków...

— Byłam tam.

— Pani?...

— Byłam u pani Turkawcowej odwiedzić Stellę, która tam umarła, a w szpitalu — zobaczyć jej dziecko, które umiera...

— U Stelli?... Więc umarła biedaczka!... — zawołał Miętlewicz. — I pani ją odwiedzała?...

Podniósł się z kanapki i ciągle szastając nogami ucałował Madzi obie ręce.

— Pani to chyba jest święta — szepnął.

— Cóż w tym dziwnego?...

— Ale ludzie — ciągnął Miętlewicz — ludzie, proszę pani, to są... nierogate świnię z przeproszeniem. Tylko tyle powiem...

Otarł oczy, znowu ucałował ręce Madzi i ukłoniwszy się wybiegł z pokoju.

„Prawdziwy prowincjonalista — myślała Madzia wzruszając ramionami. — Jego dzi-wią plotki!...”

W chwili kiedy Miętlewicz wyszedł z bramy, wszedł w nią pan Kazimierz zmierza-jąc do mieszkania Madzi. Miał minę rozszalonego triumfatora i wstępując na schody powtarzał w duchu:

„Takaś ty, panienko?... Gniewasz się jak królowa, a pisujesz listy bezimienne, ażeby swego wielbiciela zmusić do ożenku... I ja się na nią złapałem!...”

Zapukał do drzwi, wszedł do pokoju Madzi z twarzą zuchwałą i dopiero na progu zdjął kapelusz.

Na widok pana Kazimierza Madzia zmarszczyła brwi. W tej chwili elegancki młody człowiek zrobił na niej marne wrażenie; już nie tylko przestała wierzyć w jego geniusz, ale nawet jego wdzięki wydawały się pospolitymi.

„Cóż to za porównanie z Solskim?” — pomyślała.

Pogardliwe myśli tak wyraźnie odbiły się na fizjonomii Madzi, że pana Kazimierza opuściła energia, z jaką tu wszedł. Przywitał się nieśmiało i nieśmiało usiadł przy piecu na krześle, tym nieśmielej, że Madzia nie prosiła go siedzieć.

Po chwili jednak opanował się, a gdy Madzia obojętnym głosem zapytała:

— Cóż pana do mnie sprowadza?

Pan Kazimierz uczył gniew i odparł, zuchwale patrząc jej w oczy:

— Chciałem się zapytać... co to za pogłoski krążą o pani?...

— O mnie?... — spytała, a oczy jej błysnęły. — Czy nie o tym spacerze, na którym pan był moim przewodnikiem?

— Nie, proszę pani... O tym ode mnie nikt nie będzie wiedział... Natomiast dużo mówią o wizytach pani w szpitalu, to znowu u... jakiejś...

Panno Magdaleno, któż jest tak nieogłędny... — dodał pan Kazimierz miększym tonem.

Ale w Madzi burzył się gniew.

— O wizytach w szpitalu i u tej pani już wiedzą moi rodzice i brat i z pewnością nie potępią mnie za to.

Pan Kazimierz umilkł i otarł spocone czoło.

— Czy to miał mi pan do powiedzenia? — odezwała się po chwili Madzia.

— Nie tylko, proszę pani... — odparł rozdrażniony. — Chciałem jeszcze zapytać, czy pani nie zna tego pisma... Chociaż zdaje się być zmienione...

Sięgnął do kieszeni i ostro patrząc w oczy, podał Madzi list, którego dolna połowa była odcięta.

Madzia spokojnie wzięła papier i czytała:

„Człowiek uczciwy, jeżeli wywabia niewinną i niedoświadczoną dziewczynę na spacer samotne, powinien znać obowiązki, jakie na niego spadają. Bo choć zapewne nie pierwszy raz zdarza mu się spacerować z niedoświadczonymi dziewczętami, dla tej jednak należałoby zrobić wyjątek bądź ze względu na jej piękność i szlachetny charakter, bądź — że oprócz dobrego imienia nie posiada nic więcej...”

Madzia czytała list zdziwiona. Nagle uderzając się w czoło szepnęła:

— Ada!... Ach, więc to — ta zazdrość?...

Pan Kazimierz zerwał się z krzesła.

— Co pani mówi?... — zawołał. — To jest pismo panny Ady?...

Wydarł list z rąk Madzi i wpatrując się mówił:

— Tak... pismo zmienione, ale jej... Aha... aha!... A ja ślepy...

— Zdaje się, że już pan przejrzał... — odezwała się Madzia z drwiącym uśmiechem.

Pan Kazimierz patrzył to na list, to na Madzię. Nigdy jej taką nie widział; nawet nie przypuszczał, ażeby pokorne i naiwne dziecko mogło podobnym tonem przemawiać i uśmiechać się tak ironicznie.

„Co się z niej zrobiło?... Ależ to inna kobieta!...” — myślał.

Schowal list, pochylił głowę i złożony przed Madzią ręce rzekł wzruszonym głosem:

— Panno Magdaleno... nie zrozumiałem pani... Była pani dla mnie najlepszą, najszlachetniejszą siostrą... Więcej nawet, była pani głosem mojej nieszczęśliwej matki... Czy przebaczy mi pani kiedy?

Czekał, czy poda mu rękę. Ale Madzia nie podając ręki odparła:

— Niedługo wyjeżdżam do mego brata... Bardzo daleko. Ponieważ nie zobaczymy się nigdy, więc mogę powiedzieć, że... nie obchodzi mnie to, co pan zrobił...

Pan Kazimierz postął chwilę. Wreszcie uklonił się i wyszedł.

„Pójdzie do Ady — myślała Madzia — wytłumaczy jej, że był dla mnie najszlachetniejszym bratem, no... i pobiorą się... Ach, Ada!... ona o to była zazdrosna?...”

Patrzyła na drzwi i śmiała się cicho. Nie z pana Kazimierza, ale z tego, że czuła się inną, zupełnie inną osobą. Dawnej Madzi, pełnej radości, różowo patrzącej na świat — już nie było.

### 33. PAN KAZIMIERZ ZOSTAJE BOHATEREM

Pan Kazimierz, długi czas dziecko szczęścia, od paru miesięcy zaczął doznawać niepowodzeń. Panna Ada Solska była na niego obrażona, pan Stefan Solski okazywał mu wzgardę;

w salonach przyjmowano go chłodno, wykwinni przyjaciele odsuwali się od niego, ludzie wpływowi już nie ofiarowywali mu świetnych posad. Nareszcie jego kredyt zachwiał się tak, że nawet lichwiarze zaczęli mu odmawiać większych pożyczek.

Wszystkie te gorycze życia pan Kazimierz przypisywał niegodziwości siostry, Heleny, która zamiast oddać rękę Solskiemu, kokietowała mężczyzn na prawo i na lewo i wyszła za mąż za Bronisława Korkowicza, piwowarczyka!...

„Helena temu winna” — myślał pan Kazimierz, ile razy spotkała go nowa przykrość. I niechęcią do siostry, niby parasolem, zasłaniał się przeciw wichrom niepowodzeń, które od czasu do czasu zasypywały mu oczy.

Lecz wicher niebawem zamienił się na burzę.

Na trzeci dzień po spacerze z Madzią w Ogrodzie Botanicznym pan Kazimierz otrzymał list podpisany przez Piotra Korkowicza, który wzywał go na rozmowę w ważnym interesie.

„Czego chce ode mnie ten browarnik?” — myślał pan Kazimierz. W pierwszej chwili miał zamiar wyzwać na pojedynek Bronisława Korkowicza za nie dość elegancki list jego ojca. Potem chciał odpisać Korkowiczowi ojcu, że — kto ma do niego, do pana Norskiego, interes, powinien przyjść sam. W końcu, tknięty przeczuciem, zdecydował się pójść do starego Korkowicza, no i dać mu lekcję grzeczności.

Nazajutrz około drugiej po południu poszedł do piwowara, który przywitał go w gabinecie — bez surduta i kamizelki, gdyż i dzień był gorący. Za tak lekceważące przyjęcie pan Kazimierz gotów był zrobić Korkowiczowi awanturę, uspokoił się jednak spojrzawszy na jego potężne ręce i tylko rzekł do siebie: „A to niedźwiedzisko!... Ciekawym, czego on chce?”.

Stary piwowar nie trzymał go w niepewności. Szeroko zasiadł na fotelu, gościami wskazał miejsce na szeszlony i rzekł:

— Pan wie, że od wtorku siostra pańska jest moją synową?... Wzięli ślub w Częstochowie i wyjechali na miesiąc za granicę...

Pan Kazimierz obojętnie kiwnął głową.

— Tym sposobem — ciągnął Korkowicz motając brodę — pan od wtorku należysz do naszej rodziny...

— Bardzo mi to pochlebia — odparł zimno pan Kazimierz.

— Mnie nie bardzo — pochwycił stary piwowar — ale mam nadzieję...

— Czy wezwał mnie pan po to, ażeby mówić impertynencje?... — spytał pan Kazimierz.

— Wcale nie. Wezwałem pana, ażeby po naradzie z nim uregulować jeden brzydki interes. Pan wziąłeś od niejakiego Mielnickiego, paralityka, cztery tysiące rubli... Tymczasem szlachcic nie ma z czego żyć... Musimy to załatwić...

— Cóż pana to obchodzi?... — wybuchnął pan Kazimierz.

— Proszę pana — mówił czerwieniąc się Korkowicz — ja nie znam się na szlacheckich wyobrażeniach o godziwym i niegodziwym... Ale mój piwowarski rozum uczy mnie, że nie wolno obdzierać niedołęgów, którzy nie mają co jeść... A Mielnickiego obdarłeś pan podnosząc cztery tysiące rubli, których gwałtownie sam potrzebował.

— Mielnicki te pieniądze winien był mojej matce... Pożyczył od niej...

— Eh! — odparł Korkowicz machając ręką. — Żyjesz pan złudzeniami. Świętej pamięci wasza matka nie mogła pożyczać innym, bo oprócz długów nic nie miała.

— To nieprawda...

— Ja nie kłamię!... — krzyknął Korkowicz uderzając pięścią w biurko. — Pytaj pana Zgierskiego... pytaj gospodarza domu, gdzie mieszkała... Spytaj wreszcie Fiszmana, który na kilka dni przed śmiercią odmówił jej kilkuset rubli pożyczki...

— Fiszman?... — szepnął pan Kazimierz i pobladł.

— A tak, Fiszman... który niejednokrotnie pożyczał nieboszczce pieniędzy na pański podpis, no... i jej...

Mówiąc to stary piwowar szkaradnie przymrużył lewe oko, a pan Kazimierz spuścił głowę.

— Znam ja was, młodzi!... — prawil Korkowicz. — Mam przecie synka, który w knajpach przesiadywał z panem... Dziś żona weźmie go w kluby, podleca, a że weźmie,

jestem pewny... Pozna teraz, że babski pantofel twardszy od ojcowskiej pięści... Psi syn!... Ale nie o to chodzi. Cztery tysiące rubli trzeba oddać Mielnickiemu, bo stary zdechnie z głodu.

— Ktoś pana w błąd wprowadził — odpowiedział znacznie łagodniej pan Kazimierz. — Matka nasza miała majątek... Nie zostawiła przecie długów, owszem, gotówkę...

— Nieboszczka nic nie zostawiła prócz długów! — przerwał mu Korkowicz. — Pieniądze, które otrzymaliście po jej śmierci, pochodziły — primo od Arnolda, secundo od Solskich. Jeżeli pan nie wierzysz, spytaj ich plenipotentą, Mydelkę, tego z krzywymi nogami, który, osioł, żeni się z tą wariatką Howardówną...

— Z panną Howard?... — szepnął mimo woli pan Kazimierz, ale wnet umilkł.

— Wreszcie — powiedział Korkowicz — nic mi do majątku waszej matki. Ale chodzi o to, ażeby zwrócić cztery tysiące rubli Mielnickiemu. Szoruj więc pan do mego adwokata, załatw formalności prawne z Mielnickim, a cztery tysiące rubli i procent od kwietnia ja zapłacę.

Pan Kazimierz siedział jak skamieniały. Korkowicz ciągnął dalej.

— A panu radzę tak: ciśnij bankiera, idź na praktykę do mego browaru... Potem wysłę cię za granicę, a gdy nauczysz się warzyć piwa (nie takiego jak dotychczas!), znajdę ci porządny browar, na którym będziesz miał być niezależny...

No i cóż?... — zakończył stary klepiąc po ramieniu pana Kazimierza.

— Do piwowni nie mam ochoty — odparł Norski — a cztery tysiące rubli pan Mielnicki musiał być dłużnym naszej matce, ponieważ sam mi to powiedział.

Korkowicz ciężko podniósł się z fotelu.

— Jeżeli robi ci to przyjemność — rzekł — to wyobraź sobie, że Mielnicki był winien matce... Ja zwrócę mu, co się należy, i bez twego udziału, bo nie chcę, ażeby ludzie wycierali sobie zęby bratem mojej synowej. Upadam do nóg, panie Norski...

Pan Kazimierz, wzburzony, zerwał się z szezlonga, ledwie kiwnął głową Korkowiczowi i wybiegł z mieszkania.

W kilka godzin jednak odzyskał jasny pogląd na rzeczy.

„Jeżeli — myślał — ten słodownik chce zrobić prezent Mielnickiemu, niech robi... Cóż mnie to obchodzi?... Mielnicki jest człowiek uczciwy, który przyznał dług mojej matce... Ale przecież nie tak głupi, ażeby darowywać cztery tysiące rubli, których nie był winien...”

Rozumowaniem tym uspokoił się pan Kazimierz. Na nieszczęście w parę dni później otrzymał bezimienny list tej treści:

„Człowiek uczciwy, jeżeli wyciąga niewinną i niedoświadczoną dziewczynę na spacer samotne, powinien znać obowiązki, jakie na niego spadają. Bo choć zapewne nie pierwszy raz zdarza mu się spacerować z niedoświadczonymi dziewczętami, dla tej jednak należałoby zrobić wyjątek bądź ze względu na jej piękność i szlachetny charakter, bądź — że oprócz dobrego imienia nie posiada nic więcej.

Należy się jednak obawiać, że ten, kto nie poczuł skrupułów wobec sparaliżowanego starca, nie zawaha się wobec naiwnej dziewczyny!”

Wściekły gniew opanował pana Kazimierza po przeczytaniu listu. Więc o sprawie z Mielnickim wiedziano i mówiono w mieście?... Ale — kto mógł być autorem anonimu?... Chyba panna Magdalena Brzeska, która w ten sposób ciągnęła go do małżeństwa ze sobą.

Pod wpływem tych rozważań pan Kazimierz pobiegł do Madzi. Jeżeli ona pisała, demaskuje ją, no — i będzie miał prawo dla zrobienia sobie honorowej satysfakcji zostać nawet jej kochankiem. Na wszelki jednakże wypadek pan Kazimierz odciął zakończenie listu. Bo jeżeli autorką nie jest Madzia, więc po co ona ma dowiadywać się o Mielnickim?

Ale Madzia przeczytała bezimienny list obojętnie, jak osoba, która nie ma zamiaru wydać się za pana Kazimierza. Co ważniejsze: mimo woli zdradziła się, że poznaje rękę Ady.

„Ależ tak!... — myślał pan Kazimierz, po raz dziesiąty odczytując anonim. — Ależ tak!... I że ja od razu tego poznałem...”

Wróciwszy do domu wydobył z biurka parę listów Ady, pisanych dawniej, jeszcze w Szwajcarii... Charakter był prawie ten sam; autorka anonimu nawet nie bardzo chciała się ukryć...



Jak do cyklonu ze wszystkich stron zlatują się wichry, tak do listu Ady zbiegło się mnóstwo wspomnień w duszy pana Kazimierza. Ile wieczorów spędził on w mieszkaniu Ady w Zurychu!... Ile wycieczek odbyli razem po jeziorach; ile godzin zeszło im sam na sam w dolinach zasypanych odłamami skał, przetrzętych bystrym potokiem, przeładowanych roślinnością o woni odurzającej.

Z jaką uwagą Ada słuchała jego filozoficznych i społecznych teoryj... Jak rumieniała się, gdy ją witała, a smutniała, gdy po kilku godzinach odchodził... I przez cały ten czas ani jednym wyrazem, najłżejszym znakiem nie zdradziła się, że ona i brat popłacili długi jego matki.

Więc Ada kochała go już wówczas. Ale dlaczego później ostygła? Może pod wpływem niechęci do Heleny, która tak drażniła Solskiego?...

Najpewniej jednak do Ady i jej brata doszły plotki o sprawie z Mielnickim...

Pan Kazimierz rozgorączkowany chodził po pokoju bez światła, choć już mrok zapadł. Tak, ta nieszczęsna sprawa z Mielnickim zwichnęła jego karierę!... Wieść o niej obiegła wszystkich znajomych, wcisnęła się do salonów, w których niedawno tak życzliwie był przyjmowany pan Kazimierz.

„Ale kto ją rozpuścił?... Chyba Zgierski. Aha, wiem...”

Pan Kazimierz uderzył się w czoło: przypomniał sobie Kotowskiego.

On miał w tym największy interes, bo przecie żenił się z siostrzenicą paralityka, z panną Lewińską... On doniósł Solskiemu, bo przecie był jego lekarzem... On mówił o sprawie z każdym, kto go chciał słuchać, a słuchaczy mogło być mnóstwo, gdyż pan Kazimierz miał wielu niechętnych.

„Pan Kotowski!...” — powtarzał i zdawało mu się, że widzi przed sobą mizerną twarz i rozczochrane włosy młodego medyka, z którym niegdyś spotkali się w pokoiku panny Howard i starli się w dyspacie. Potem pan Kazimierz przypomniał sobie, że nawet matka przy jakiejś okazji postawiła mu za wzór pana Kotowskiego, brutalą i zarozumiałca...

„Zawsze miałem do niego antypatię!... — pomyślał pan Kazimierz. — No, ale zapłacę mu... On złamał moje, ja złamię jego życie...”

Od czasu, kiedy został lekarzem Solskich, Kotowskiemu zaczęło się powodzić w Warszawie. Mieszkał na jednej z głównych ulic na pierwszym piętrze; miał salonik do przyjmowania chorych i zaczynał mieć praktykę między ludźmi zamożniejszymi. Z początku gorszono się jego niedopasowanym ubraniem i szorstkością wobec pacjentów. Lecz gdy kilka razy udała mu się kuracja, zaczęto mówić, że ponieważ jest nadzwyczajnie zdolny, więc — musi być oryginalnym.

Pewnego dnia przed południem do mieszkania doktora Kotowskiego zgłosiło się dwóch panów: Pałaszewicz i Rozbijalski. Oddali bilety czysto ubranej staruszce słudze i oświadczyli, że mają do pana interes osobisty.

Doktor wytrzymał w saloniku obu panów przez kilka minut, jak przystało na szanującego się lekarza, wreszcie wyszedł i niedbale ukloniwszy się na progu gabinetu, zapytał:

— Który z panów życzy sobie pierwej?...

— Obaj życzymy sobie jednocześnie pomówić z panem — odparł grzecznie wykwiintny pan Rozbijalski zaczesując rudawe faworyty.

— W interesie pana Norskiego — dodał ostro niemniej elegancki pan Pałaszewicz ze sterzącymi wąsikami.

— Norskiego? — powtórzył młody doktor. — Cóż jemu jest?...

— Pan Norskci cieszy się jak najlepszym zdrowiem... — odpowiedział prześlicznie wychowany pan Rozbijalski.

— Pozwoli doktor, że siądziemy — przerwał swemu towarzyszowi równie dobrze wychowany, ale mniej serdeczny pan Pałaszewicz.

— Przychodzimy zaś — ciągnął delikatnym tonem pan Rozbijalski — w sprawie pogłosek, które jakoby szanowny pan rozpowszechnia o szanownym panu Norskim, a które uwłaczają jego honorowi.

— Honorowi?... — powtórzył zdziwiony Kotowski.

— Chodzi o to, czy pan komukolwiek opowiadał, że szanowny pan Norskci wyłudził cztery tysiące rubli od niejakiego Mielnickiego, człowieka sparaliżowanego i słabego na umyśle? — odezwał się pan Pałaszewicz.

— Pieniądze te wczoraj Mielnickiemu zostały zwrócone... Więc ani ja, ani moja narzeczona nie mamy pretensji do pana Norskiego — odparł zmieszany Kotowski.

— Ale czy pan opowiadał o tej sprawie? — nalegał Pałaszewicz.

— Mówiłem kilku osobom, bo przecież tak było...

— Czy i z panem Solskim rozmawiał pan o tej przykrej sprawie? — zapytał łagodny Rozbijalski.

— Rozmawiałem.

— Informacje pańskie — wtrącił Pałaszewicz — nie były dokładne i zrzędziły panu Norskiemu wiele szkód moralnych. Z tego powodu pan Norski żąda od pana satysfakcji honorowej.

— Jak to?... — spytał coraz mocniej zdziwiony Kotowski.

— Proszę pana — tak, że pan raczy przysłać nam swoich świadków, a my ułożymy z nimi warunki albo odwołania pogłosek, albo spotkania — rzekł Rozbijalski.

— Więc to pojedynek?... — zawołał Kotowski.

— Prawdopodobnie.

— A jeżeli ja nie przyjmę pojedynku?... Przecież ja mówiłem prawdę...

— W takim razie pan Norski będzie miał zaszczyt zmusić pana — odpowiedział pan Pałaszewicz.

— Zmusić?... — powtórzył Kotowski.

Obaj panowie powstali, a pan Rozbijalski rzekł:

— Sądziłbym, że najlepszą rzeczą, jaką pan ma do zrobienia, jest — przysłać nam świadków. Jutro o godzinie pierwszej w południe będziemy czekać na nich w mieszkaniu pana Pałaszewicza, którego adres pan ma.

Uklonili się i znikli tak szybko, że Kotowski przetarł oczy.

„Zwariowali?... — rzekł do siebie. — Po cóż ja miałbym się pojedykować z takim cymbałem?...”

Tego dnia lekarz ani myślał o chorych, lecz pojechał do swego przyjaciela, adwokata Menaszki. Opowiedział mu o awanturze radząc się: czy Norskiemu i jego świadkom nie należałoby wytoczyć procesu o pogróżki?

— Ale dajże spokój! — odparł chudy i wysoki adwokat, nie posiadający na szczęście klientów. — Jedźmy lepiej do Wałęckiego, to pojedykarski, on poprowadzi interes...

— Jak to? — spytał oburzony Kotowski. — Więc ty, człowiek postępowy, zgodziłbyś się na pojedynek... zgnili zabytek wieków średnich?... i jeszcze z takim cymbałem?...

Postępowy jednak Menaszko okazał się nadzwyczajnym konserwatystą, gdy chodziło o skórę jego przyjaciela. Rad tedy nierad Kotowski, wzięwszy ze sobą adwokata, pełen trosk pojechał do Wałęckiego mruczając przez drogę:

— Słyszane rzeczy, ażeby ja z takim cymbałem!...

Wałęcki, człowiek mały i krępy, ale z ognistymi oczyma, był w domu. Gdy mu opowiedziano, o co chodzi, zapytał Kotowskiego:

— Dobrze pan strzelasz?...

— Ja?... Skądże znowu!...

— Więc kup pan sobie flower i strzelaj od rana do wieczora w kartę. Już ja potrafię przeciągnąć sprawę na kilka dni.

— Ależ ja ani myślę się pojedykować!... — wrzasnął Kotowski.

— To po cóż pan do mnie przychodzisz? — odparł Wałęcki. — Najmij sobie dwu posłańców i niech oni bronią cię, jeżeli Norskiemu przyjdzie fantazja wytłuc pana kijem.

— Tak?... — odparł Kotowski. — Dobrze, będę się strzelał, jeżeli wy jesteście przeciw mnie...

— Nie jesteśmy przeciw panu, ale co robić? — odparł Wałęcki z westchnieniem.

— Mam przecie narzeczoną... w jesieni ślub... A tamten cymbał Norski...

— Jeżeli panu przeszkadza narzeczona, to zwróć jej słowo, bo nie ma innego wyjścia — prawil Wałęcki.

— Jak to nie ma wyjścia?

— Po pierwsze — Norski może pana wytłuc. Po drugie — stracisz praktykę i miejsce u Solskiego, który nie ścierpi u siebie tchórza. Po trzecie — nikt panu nie zechce podawać ręki, a ja najpierwszy. Po czwarte — sama narzeczona porzuci pana, jeżeli się ośmieszysz.

Szukanie na gwałt pojedynku jest błażństwem, ale odmawianie go jest niepraktycznością, bo od tej chwili lada osioł będzie jeździć na panu jak na burej suce. Dlatego ucz się strzelać.

— Więc ja mam ginąć z ręki takiego cymbała?...

— Dopóki nie dowiedziesz pan, że Norski postępuje niehonorowo, nie masz prawa odmawiać mu satysfakcji.

— A niech diabli porwą wasze honorowe satysfakcje!... — jęczał Kotowski chwytając się za głowę. — Oto przyjaciele!... a bodaj to pioruny!... Ginąć przez takiego osła!...

W końcu jednak upoważnił swoich przyjaciół, Wałęckiego i Menaszkę, do zrobienia z jego ciałem, co im się podoba. W następstwie tej decyzji panowie Wałęcki i Menaszko zawiadomili panów: Rozbijalskiego i Pałaszewicza, że — są do ich dyspozycji.

Układy trwały trzy dni, w ciągu których nieszczęśliwy Kotowski kupiwszy flower, zamiast przyjmować i odwiedzać chorych, od rana do wieczora strzelał z przedpokoju do karty przybitej na ścianie w sypialni. Wypoczywał w tej pracy o tyle, o ile był na obiedzie u panny Lewińskiej, która natychmiast poznała, że jej narzeczony ma jakąś zgryzotę, i w ciągu pół godziny dowiedziała się od niego, że ma zatarg z Norskim. Narzeczony jednak był tyle ostrożnym, że nie powiedział o pojedynku.

Nadszedł wreszcie fatalny termin, a było to w piątek. O szóstej z rana panowie Wałęcki i Menaszko zbudzili Kotowskiego nalegając, ażeby prędko ubierał się, ponieważ w karecie czeka na nich doktor.

— Na diabła doktor? — spytał myjąc się Kotowski.

— Możesz być ranionym...

— Tak?... — zawołał Kotowski. — Więc mam być raniony, a może nawet i zabity?... W takim razie wolę od razu nie jechać... Niech diabli porwą takie rozprawy honorowe.

Mimo to opłukał się z mydła, ubrał się i o wpół do siódmej wszedł do karety uściskawszy kolegę doktora, który miał taką minę, jakby chciał wypytywać Kotowskiego o adresy jego pacjentów.

Bohater zbliżającego się dramatu przez całą podróż wyglądał oknem, lecz nie poznawał ulic, którymi przejeżdżali. Nie wypytywał również, dokąd jadą, czuł bowiem pewną ulgę wyobrażając sobie, że plac walki znajduje się gdzieś bardzo daleko. Byłby nawet zupełnie szczęśliwy w swym oplakany położeniu, gdyby nie zachowanie się jego towarzyszków, którzy z zimną krwią rozmawiali o teatrzykach ogródkowych, upałach, nawet o dawno minionych wyścigach, wcale nie zajmując się tym, co jego od kilku dni interesowało najbardziej.

Nagle odezwał się Wałęcki:

— Chwała Bogu, już dojeżdżamy.

„Chwała Bogu!...” — pomyślał Kotowski, przytomniej spoglądając dookoła.

Jechali brzegiem Wisły i zbliżali się do jakiegoś lasu.

Nieszczęsny Kotowski doznał w tej chwili bardzo rozmaitych uczuć: zniechęcił się do Kazimierza, a nawet Wisłę i las; gardził swoimi towarzyszami, ale nade wszystko żałował siebie i litował się nad sobą.

— Hola... stójcie! — zawołał.

— Czego chcesz? — zapytał go Menaszko.

— Wsiadam... Niech diabli wezmą pojedynek.

Doktor uśmiechnął się, Wałęcki chwycił Kotowskiego za ramię.

— Oszalałeś pan? — rzekł patrząc na niego ogromnymi oczyma, w których płonęło piekło.

— Co ja mam narażać się dla takiego cymbała? — prawił Kotowski. — Mam narzeczoną... mam pacjentów... jestem człowiek postępowych przekonań i nie myślę popierać zabytków zgnilej średniowieczyny...

— Dobrze — odparł zniecierpliwiony Wałęcki — wsiadaj pan i... powieś się! Bo po takim skandalu nie masz po wracać do Warszawy.

— Tak. Dobrze... Więc pojedę na ten podły pojedynek. Ale pamiętajcie, że moja krew spadnie na wasze głowy.

Byli już w lasku bielańskim. Kareta zatrzymała się, wysiedli, a Kotowski spostrzegł, że jego towarzysze (Wałęcki niósł w rękach skórzaną zawiniątko) zaczynają okazywać mu wielką troskliwość. Wszyscy trzej rozmawiali z nim na wyścigi, ale on nie słuchał żadnego, bardziej zajmując się skórzanym zawiniątkiem aniżeli dowcipami przyjaciół.

Przyszła mu szczęśliwa myśl do głowy.

„Co za szkoda — mówił w duchu — że nie ma w Warszawie Solskiego!... On, majętny, kawaler, któremu dwie panny odmówiły, a przy tym amator pojedynków, z pewnością nie oddałby mnie na łup temu rozbójnikowi... Sam by się strzelał, bo wiem, że go nie lubi... Wtedy zobaczylibyśmy, kto by potniał: Solski czy pan Norski?... W każdym razie nie ja...”

Tak myślał wodząc smętnym wzrokiem po Wiśle, która wydawała się bardzo szeroką, po drzewach — bardzo wysokich, nawet po niebie, które jakby zbliżyło się do ziemi, choć nie przyniosło nieszczęśliwemu otuchy.

Przeciwników jeszcze nie było na miejscu. Lecz zanim Kotowski miał czas pomyśleć: może wcale nie przyjdą?... już ukazali się między drzewami idąc tak szybko, że to nawet rozniewało młodego lekarza.

Wymiana ukłonów — świadkowie schodzą się razem. „Może nie będzie pojedynku?” — spytał w duszy mimowolny bohater i — w chwilę później usłyszał stukanie stempli w pistoletach.

Od tego momentu biedny Kotowski już nic nie widział i nie rozumiał, o czym mówiono. Dopiero gdy Wałęcki postawił go naprzeciw pana Kazimierza, szepnął:

— Może... może pan powiesz mowę?...

— Jaką?

— Ażebyśmy się pogodzili...

— Więc pan chyba odwołasz?...

— Cóż ja mam odwoływać, kiedy mówiłem prawdę — odparł Kotowski.

— W takim razie — mówił cicho Wałęcki — celuj w łeb, zniżaj pistolet do biodra i nie szarp za cyngiel, tylko przyciskaj powoli. A na komendę ruszaj z miejsca...

Wałęcki cofnął się do grupy świadków, a Kotowski zobaczył naprzeciw siebie nieco bladą, ale uśmiechniętą twarz pana Kazimierza.

— Marsz!

Kotowski ruszył z miejsca, lecz widząc pistolet przeciwnika skierowany ku sobie, przymknął lewe oko, a przed prawym umieścił broń w taki sposób, ażeby widzieć jak najmniej.

„O, dlaczego pistolety nie są tak grube jak sosny!...” — myślał.

W tej chwili pan Kazimierz strzelił, a Wałęcki zaczął komenderować:

— Raz — dwa — trzy!... Halt!... Pan Kotowski traci strzał... Halt!

Tak wrzeszcząc troskliwy sekundant przybiegł do Kotowskiego i odprowadził go na metę.

— Więc już po pojedynku? — spytał Kotowski i odetchnął.

— Cóż, u diabła, nie słyszałeś pan, że macie strzelać do trzech razy?... Ale za drugim strzałem przerwiemy, bo obaj zachowujecie się dobrze.

— Przemówże pan co... Może byśmy się pogodzili? — szepnął Kotowski.

— Celuj w łeb, zniżaj do biodra i powoli naciskaj cyngiel... — odparł Wałęcki.

I odszedł do sekundantów, a przez ten czas panu Kazimierzowi podano świeżo nabity pistolet.

Teraz Kotowski spostrzegł, że lekarze rozłożyli na trawie błyszczące narzędzia i że sekundanci stoją od niego bardzo daleko.

— Więc to tak?... — mruknął widząc, że nawet urzędowi przyjaciele opuścili go i oddali na łaskę i niełaskę wściekłości przeciwnika, który przestał się uśmiechać i miał złą minę.

— Marsz!

Kotowskiego opanowała rozpacz i gniew. Zrozumiał, że Norski dybie na jego skórę, a może i na życie. W oka mgnieniu uczył w duszy lodowaty spokój. Zmierzył w głowę, zaczął zniżać lufę do biodra przeciwnika, powoli naciskając cyngiel... Strzał padł całkiem niespodzianie, a gdy w jednej chwili rozwiął się dym, Kotowski nie zobaczył naprzeciw siebie nikogo...

Jego przeciwnik leżał na ziemi na prawym boku. Miał podkulone nogi i twarz bladą.

„Co, u diabła?...” — pomyślał zdumiony Kotowski nie pojmując, co się stało.

Obaj lekarze i wszyscy świadkowie pobiegli do pana Kazimierza. Kotowski stał na miejscu i patrzył. Po upływie kilku chwil przybiegł Wałęcki.

- No, uczestwowałeś go pan — rzekł.
- Jak to?... — spytał Kotowski.
- Prawe płuco przejechane na wylot.
- Głupstwa pan gadasz!...
- Więc idź i zobacz.
- Ależ ja tego nie chciałem!... — jęknął Kotowski targając sobie włosy.
- Nie o to chodzi, czegoś chciał, ale coś zrobił.
- A bodaj to najjaśniejsze pioruny!... — rozpaczał Kotowski.

Zbliżył się do nich Menaszko i obaj z Wałęckim, wzięwszy pod ręce nieszczęsnego triumfatora, gwałtem odprowadzili go do karety.

— Ja nie chciałem... nie chciałem!...

Za chwilę kareta odjechała w stronę Warszawy.

Wyzwawszy Kotowskiego na pojedynek pan Kazimierz przypuszczał rozmaite wypadki: że jego przeciwnik padnie na miejscu, że będzie miał przestrzeloną rękę lub nogę, a nawet, że wystraszony i nieoswojony z bronią młody doktorek postrzeli którego z sekundantów. Słowem, pan Kazimierz spodziewał się wszystkiego z wyjątkiem tej ewentualności, że — on sam może być raniony.

Upadając pan Kazimierz nie doznał żadnego uczucia, nie wiedział: kiedy upadł, w jaki sposób i dlaczego? Ale raz znalazłszy się na ziemi spostrzegł, że jest to zupełnie wygodna pozycja, której ani myśli zmieniać, tym bardziej, że równie nagle owładnęła nim głęboka obojętność dla świata.

Gdyby można było sformułować jego ówczesne myśli, wyglądałyby one tak:

„Leżę tu (zresztą nie wiem: gdzie?) i będę leżał, dopóki mi się podoba, bo tak mi się podoba”.

Kiedy lekarze usadowiwszy go na ziemi zaczęli rozpinać surdut, zdejmować kamizelkę i koszulę, pan Kazimierz postanowił im zrobić figła i udawać, że naprawdę coś mu się stało. Przymknął oczy, oparł na kimś głowę, lecz z trudnością powstrzymywał się od śmiechu. Dopiero gdy uczył ból pod prawą łopatką i usłyszał wyraz: „kula”, rzekł w duchu:

„Powariowali ci doktorzy?...”.

Już nie chciało mu się otwierać oczu. Dotykano mu prawej piersi i okolicy pod prawą łopatką, a on w tych miejscach czuł ból piekący. Doznawał nieokreślonego wrażenia wewnątrz; nie był to ból, ale jakaś zawada i obcość. Chciało mu się kaszlać, zaczęło mdlić, uczył gorąco, zimny pot na całym ciele i w tej chwili był bardzo nieszczęśliwy. Ale przytomności nie tracił; nie chciał tylko okazywać, że ją posiada, ponieważ było mu wszystko jedno.

Przez ten czas, który ciągnął się blisko godzinę, lekarze podtrzymywali pana Kazimierza, a jego przyjaciele pobiegli w stronę klasztoru. Znaleźli jakiś dom, w którym można było wynająć pokój dla chorego, i wrócili do lasu z tapczanem, który niosło dwóch ludzi.

Teraz pan Kazimierz otworzył oczy i rzekł:

— Po co to?...

Chciał dodać: „ja sam pójdę...”, ale ostry ból w prawym płucu nie pozwolił mu dokończyć. Ogarnęło go przerażenie i półsen, podczas którego zdawało mu się, że się huśta i że go mdli. Niewielkie te przykrości były tak drażniące, że pan Kazimierz uczył na twarzy dwa strumienie łez, po czym — znowu było mu wszystko jedno.

Kiedy ocknął się, zobaczył wybieloną izbę, w której przy prostym stole siedzieli obaj lekarze. Okno naprzeciw pana Kazimierza było zasłonięte płachtą. Później (chory stracił zdolność oznaczania czasu) jakiś nieznaną człowiek przy pomocy starej kobiety kładł mu pęcherze z lodem: jeden pod łopatkę, drugi na piersi.

Pan Kazimierz chciał się o coś pytać; zamiast tego odkaszlnął i uczył tak przykry ból, że postanowił już nigdy nie kaszlać. Spostrzegł też, że ów ból nieznośny przesywa mu pierś za każdym śmielszym odetchnięciem, więc postanowił wcale nie oddychać albo oddychać jak najostrożniej.

Od tej chwili najważniejszym zajęciem pana Kazimierza stało się oddychanie, źródło wielkich bólów, obaw, ale i przyjemności. Zdawało mu się, że na jego piersiach leży cierpienie w postaci węża. Chłodny potwór spał; lecz ile razy pan Kazimierz spróbował odetchnąć pełniej, wąż zapuszczał mu w ciało kły podobne do rozpalonego gwoźdźca. Na samą myśl o denerwującym bólu pan Kazimierz truchlał i cały dowcip wysiłał na to, ażeby

nie odetchnąć głębiej. Przygryzał wargi z radości, ile razy udało mu się oszukać śpiącego węża, a o mało nie wyskoczył z pościeli, gdy wynalazł sposób oddychania dolną częścią płuc. Nie było to oddychanie porządne, ale — nie wywoływało bólu.

Tymczasem nieznajomy człowiek i kobieta zmieniali mu pęcherze z lodem: jeden pod łopatką, drugi na piersiach. Niekiedy widywał pan Kazimierz pochyloną nad sobą twarz lekarza, który z jego strony asystował przy pojedynku.

Później ogarnął chorego półsen z marzeniami. Zdawało mu się, że jest uczennicą na pensji swojej matki, której profesor (czy nie Dębicki?...) każe wydać lekcję o Kotowskim. „Kotowski?... Kotowski?...” — powtarza zakłopotany pan Kazimierz myśląc, że coś wie o tym przedmiocie, tylko nie może sobie przypomnieć: czy to jest człowiek, czy maszyna, czy może jaka część świata?...

„Kotowski?... Kotowski?...” — powtarza pan Kazimierz czując w całym ciele upał ze strachu, że dostanie zły stopień.

Raz usłyszał rozmowę:

— Pluje krwią? — pytał gruby głos.

— Ledwie parę razy.

— A gorączka?

— Bardzo mała i już przechodzi.

Pan Kazimierz otworzył oczy i zobaczył tęgiego mężczyznę z brodą. Był to Korkowicz. Chory poznał go, ale nie pamiętał nazwiska. Natomiast rozumiał doskonale, że gdyby mógł przypomnieć sobie nazwisko tego pana, wówczas bez błędu wydałby lekcję o Kotowskim i może dostałby piątkę.

Był bardzo zmartwiony swoją niepamięcią tudzież nadzwyczajnymi powikłaniami, które napelniały całą izbę, siadały na oknach, na stołkach, na piecu, a nawet włożyły mu pod koldrę.

Później — pan Kazimierz przestał martwić się lekcją o Kotowskim, nie wyobrażał sobie, że jest uczennicą, nawet nie marzył, tylko spał.

Kiedy pojono go mlekiem albo winem, czuł niesmak w ustach; kiedy go poprawiano na łóżku, zdawało mu się, że jego ręce i nogi są z ołowiu, a trzymają się tylko na nitkach. Był bardzo zmęczony i zniechęcony, a chciał tylko spać. Miał nawet zamiar powiedzieć, ażeby mu nie przeszkadzano; dał jednak spokój przekonawszy się, że otwarcie ust i obrócenie językiem jest zbyt wielką pracą.

Dopiero w ósmym dniu choroby, ku wieczorowi, ocknął się. Uczuł rzeźwość, a postrzegłszy w izbie nieznajomego człowieka nagle odezwał się.

— Cóż tu, u diabła, tak cicho?...

— O... to pan mówi?... — odparł nieznajomy tonem zdziwienia.

— Kto pan jesteś?... — mówił pan Kazimierz poprawiając się na poduszce. — Czy nie ma tu nikogo ze znajomych?... Co się to dzieje?...

— Ja jestem felczer — odparł tajemniczy nieznajomy. — Ale na dworze jest pani, która już trzeci dzień przyjeżdża dowiadywać się o pana.

— Pewnie moja siostra... Puśćcie ją...

Felczer wyszedł, a panu Kazimierzowi zdawało się, że zbyt długo nie wraca. Wtem otworzyły się drzwi i wbiegła jakaś osoba w czarnym okryciu, zasłonięta gęstym woalem. Prędko zbliżyła się do łóżka, upadła na kolana i odsunawszy woal zaczęła całować zwieszoną rękę pana Kazimierza.

— Już myślałam — szepnęła — że nas pochowają w jednym grobie...

To była Ada Solska.

### 34. ODSŁANIA SIĘ NOWY HORYZONT

Spacer w Ogrodzie Botanicznym przekonał Madzię, że pan Kazimierz potrafi być niesmacznym i że ona nigdy naprawdę nie kochała syna swej przełożonej.

Ale ostatnia wizyta pana Kazimierza u Madzi ukazała charakter wielbiciela w nowym świetle. Pan Kazimierz był egoistą; tak głębokim, tak naiwnym egoistą, iż nawet nie ukrywał swej uciechy, gdy z anonimu domyślił się, że kocha go bogata panna Solska.

Raz już widziała go Madzia tak szczerze zadowolonym, gdy w domu państwa Arnol-dów zapewniła Helenę, że nie wyjdzie za Solskiego. Jak on się wtedy cieszył, jak tańczył, jak inaczej zaczął traktować Madzię...

Egoista! Słótko to setki razy obilo się Madzi o uszy, ale dziś dopiero odczuła jego znaczenie. Egoista to kamień, który tylko wówczas ożywia się i pięknieje, gdy sam cierpi albo gdy może kogo wyzyskać. Ale dla cudzej niedoli jest głuchy, ślepy, nawet okrutny.

„Jak on gniewał się na mnie, że odwiedziłam Stellę i jej dziecko — pomyślała Madzia. — Lichy to człowiek...”

W tej chwili Madzia poczuła gorycz i chłód. Zaczęła przypuszczać, że wszyscy ludzie są egoistami i że w tej pustyni kamiennych serc zaledwie parę osób z Iksinowa, Solscy i gromadka szarytek były oazami.

Panna Eufemia, jej matka, pani Korkowiczowa, Żaneta, Helena, Zgierski i mnóstwo, mnóstwo innych osób czyliż to nie egoiści?

„Ach, gdyby Zdzisław już odpisał...” — rzekła do siebie.

Niebawem zaszły drobne wypadki, które utwierdziły Madzię w przekonaniu, że egoizm jest prawem świata.

Nazajutrz po wizycie pana Kazimierza, w domu, w którym Madzia miała zajęcie od godziny dwunastej do drugiej, po lekcji weszła do pokoju uczennic ich matka, osoba dowcipna i przyjemna w kółku znajomych, ale opryskliwa i nieubłagana dla służby i nauczycielek. Pani ta, ubrana szykownie, kazała odejść panienkom i rzekła do Madzi patrzac na nią w sposób impertynencki:

— Namysliłam się. Córki moje może nie będą teraz zdawały egzaminu. Więc... żegnaj panią, a oto należność...

Podala Madzi zwitek papierków i kiwnąwszy głową odeszła.

Madzia ledwie nie wybuchnęła płaczem. Na szczęście uratował ją nowy pogląd, że światem rządzi egoizm, i — opanowała się. Wyszła do przedpokoju, gdzie nikt nie podał jej okrycia, a znalazwszy się na schodach policzyła dane jej pieniądze!...

Brakowało dwóch rubli; ale Madzia, zamiast martwić się, roześmiała się. Dziwny postępek dystyngowanej damy był dla niej jasny.

Egzamina miały odbyć się za tydzień; Madzia z uczennicami już przeszła kurs i — powtarzała. Usuwając guwernantkę w tak brutalny sposób chlebobawczym chciała zrobić oszczędność i zrobiła podwójną. Nie potrzebowała płacić za ostatni tydzień i — nie dopłaciła dwóch rubli za lekcje już odrobione!

Madzia dużo słyszała o tej pani, u której po kilkadziesiąt osób bywało na przyjęciach, lecz której zlorzeczyły szwaczki, służba i nauczycielki: każdej urywała choćby kilka złotych.

Wszystko to było prawdą. Ale jeszcze tydzień temu Madzi nie przyszłyby podobne myśli. Gdyby ją przed tygodniem pożegnano w taki sposób, przypisywałyby winę sobie, zalałyby się łzami, wpadłyby w rozpacz.

Dziś śmiała się z ludzkiego egoizmu, który, jeżeli nie ma sposobności konkurować o krociovą pannę, przynajmniej w porę wyzbywa się nauczycielek i oszczędza na nich dwa ruble.

„Ach, gdyby Zdzisław odpisał!... — myślała. — Może tam, gdzie on mieszka, ludzie są inni... Wreszcie są to biedaki, a ci umieją być wdzięcznymi”.

Przypomniała sobie rodzinę nauczyciela w Iksinowie, Cecylię, Stellę, prачkę z domu Korkowiczów... Wszyscy oni okazywali jej miłość, bo też *tylko ona* była im życzliwa, im, opuszczonym albo cierpiącym.

I otóż zaszła w niej wielka zmiana, a stało się to nagle, wśród pełnego dnia, na ruchliwej ulicy. Serce jej odwróciło się od zamożnych i zadowolonych, a zwróciło do opuszczonych i cierpiących. W tej chwili zrozumiała (o czym instynkt ostrzegał ją od dzieciństwa), że dopiero wówczas będzie naprawdę szczęśliwą, gdy potrafi poświęcić życie opuszczonym i cierpiącym. Wiedziała, że jeżeli do którego z nich los uśmiechnie się, porzuci ją bez podziękowania i zapomni bez żalu. Ale cóż to szkodzi? Przecież samotnych i zbolących nie zabraknie nigdy, a ona tym tylko chce służyć.

„Ach, gdyby Zdzisław prędzej odpisał!... — mówiła do siebie. — Za kilka lat wróciłibyśmy tutaj. Byłabym opiekunką, lekarką, nauczycielką jego robotników; a gdyby oni mnie nie potrzebowali, gdzież jest taka okolica, w której brakłoby nieszczęśliwych? Ten

głodny, ten obdarty, tamten chory, inny nie może zająć się własnymi dziećmi... Oto moje królestwo, nie salony, w których hoduje się egoizm...”

Upłynęła doba spokojnie, ale w Madzi z godziny na godzinę wzrastała gorycz. Chwilami zdawało się jej, że i w drugim domu wymówią jej lekcje. Nie wymówiono jednak; owszem, witano i żegnano uprzejmie. Ten dom był niebogaty, nie odbywały się w nim przyjęcia na kilkadziesiąt osób i nie było możliwości przerzucać nauczycielek.

Lecz następnego dnia o dziewiątej rano wpadła do Madzi zmęczona i zgorączkowana Mania Lewińska.

— Ach, moja droga, moja jedyna — zawołała Mania rzucając się Madzi na szyję — ty tylko możesz nas uratować...

— Cóż się stało? — spytała Madzia spokojnie, a w duchu rzekła:

„Może Kotowski dostał dymisję, a ta biedaczka, dla uratowania go, każe mi wyjść za Solskiego?”

— Wyobraź sobie, moja droga — mówiła Mania Lewińska — że Władek Kotowski ma jakieś nieporozumienie z tym nieznośnym panem Norskim...

Jakże daleko odsunęły się czasy, kiedy Mania Lewińska klęcząc przed Madzią nie śmiała nazywać jej inaczej, tylko panią!

— Jakieś ważne nieporozumienie — ciągnęła Mania.

Madzia spojrzała na nią zdziwiona. Panna Lewińska prawiała dalej:

— Władek nie chce mi nic powiedzieć... ale ja jestem bardzo, bardzo niespokojna... Ty jesteś serdeczną przyjaciółką pana Norskiego, więc wybadaj go, o co to chodzi... no, i ulagóźdz!... Przecież my niedługo mamy pobrać się z Władkiem, więc gdyby, broń Boże, pojedynek...

W tym miejscu panna Lewińska zaniosła się od płaczu. Ale Madzię nie wzruszyła jej rozpacz, a rozdrażniło żądanie.

— Zmiłuj się, Maniu — odparła — nie tak dawno prosiłaś mnie o protekcję dla pana Władysława u Solskiego, który miał być moim narzeczonym... Dziś wysyłasz mnie znowu do pana Norskiego... Z jakiej racji?...

— Wy tak dobrze z sobą żyjecie... — szlochała Mania. — Jesteś jego przyjaciółką... on bywa u ciebie... chodzisz z nim na spacer...

Płakała tak, że Madzi żal się zrobiło.

— Słuchaj, Maniu — rzekła tuląc zrozpaczoną. — Pan Norski już nie bywa u mnie... obraził się... Ale nie płacz. On w tej chwili raczej myśli o ożenieniu się aniżeli o pojedynkach... Bądź zatem spokojna.

Mani Lewińskiej od razu obeschły śliczne oczy.

— Tak?... — rzekła. — Więc i on się żeni?... A, chwała Bogu!... chwała Bogu!... Kto myśli żenić się, temu nie przychodzą do głowy takie straszne zamiary jak pojedynek...

— Wreszcie, moja droga, z jakiego powodu miałby być pojedynek między tymi panami, kiedy oni bodaj że się nie znają? — spytała Madzia.

Wówczas Mania Lewińska zaczęła opowiadać, że jej wuj, Mielnicki, uznał się dłużnikiem nieboszczki pani Latter, co nie zdaje się być prawdą, że skutkiem tego przeznaczył dzieciom nieboszczki cztery tysiące rubli, które w najkrytyczniejszej chwili podniósł pan Kazimierz. Dodała jednak, że owe cztery tysiące rubli z procentami zwrócił im w imieniu pana Kazimierza pan Korkowicz i że Helena Norska już wyszła za mąż za młodego Korkowicza.

Madzia słuchając uczuła dla pana Kazimierza litość i pogardę. Ona wiedziała, że Mielnicki nie był dłużnikiem pani Latter.

Po tej rozmowie obie panny pożegnały się serdecznie. We wspomnieniach Madzi pan Kazimierz był zagrzebany na wieki. Mania Lewińska wróciła do domu uspokojona, słusznie rozumując, że jeżeli pan Kazimierz myśli się żenić, to nie może narażać się na pojedynek z Kotowskim, który zresztą, jako lekarz, postępowiec i człowiek pełen energii, mógłby narobić swemu przeciwnikowi wielkiego nieszczęścia.

„Także miałam się czego martwić! — myślała Mania Lewińska idąc ulicą, gdzie wszyscy panowie oglądali się za nią. — Chyba oszalałby ten Norski, gdyby wyzwiał Władka na pojedynek... Władka, którego nawet ja boję się niekiedy...”

Upłynęło znowu parę dni spokojnie.



W sobotę, kiedy Madzia skręcała z Marszałkowskiej na Królewską, zajechał jej drogę lekki powozik, z powozu wyskoczył pan Korkowicz ojciec i schwyciwszy ją za rękę zaczął mówić:

— Jakże się pani ma!... Jak to dobrze, że panią spotkałem... Jestem w takim kłopotcie...

„Czy znowu chce, ażeby u nich była nauczycielką?...” — pomyślała zdumiona Madzia.

— Wyobraź sobie, pani — prawil zadyszany — że ten osioł Norski miał wczoraj pojedynek z doktorem Kotowskim, no i dostał kulą w piersi... na wylot!...

— Kto?... — zawołała Madzia.

— Naturalnie, że Norski. Ten Kotowski to wściekle zwierzę... Darował mu pierwszy strzał, a za drugim tak kropnął Kazieczka, że leży, bestia, bez przytomności w chałupie na Bielanych... Ale... ale... mój Broniek już ożenił się z panną Heleną Norską. Ona mu dopiero da!... ona mu dopiero pokaże!... — wołał, aż ludzie oglądali się na ulicy. — Majestatyczna kobieta. Jak Boga kocham, sam bym się z nią ożenił... Za rok już by mnie nie było na świecie, ale co bym użył...

— Ale... — wtrąciła Madzia.

— Przepraszam. Otóż ranny, choć to gałgan większy od mego Bronka, zawsze jednak jest dystygowanym człowiekiem, naszym kuzynem i jeżeli nie mają go diabli wziąć, potrzebuje pilnego dozoru... macierzyńskiego!... Felczer i baba, która jest przy nim, nie wystarczą... A że pani podobno znasz się z zakonnicami od Świętego Kazimierza (tak przynajmniej twierdziła moja żona), więc, kochana panno Magdaleno...

— Cóż ja mogę zrobić?...

— Idź do tych zakonnic i poproś, ażeby wydelegowały jedną czy dwie do pilnowania tego osła... Zapłacę, ile zechcą: trzysta, pięćset rubli... Przecie chłopca nie można tak zostawić, boć to szlacheckie dziecko... z wielkich panów... A z takim, to jak z angielskim prosięciem: jeżeli natychmiast nie dasz weterynarza, lepiej dorznąć... No i cóż?...

— Owszem, pójdę do Świętego Kazimierza — odparła Madzia.

— Niech cię Bóg błogosławi, panno Magdaleno! — zawołał stary piwowar. — Odwiozłbym cię tam, ale muszę gnać do chirurga, a z nim na Bielany... Zaś mojej synowej nie zawiadomię o nieszczęściu, bo zepsułbym Bronkowi miódowy miesiąc, a to taka bestia, że ze zmartwienia narobiłby nowych długów... Bądź pani zdrowa... całuję rączki!

Uściskał Madzię za rękę i wskoczył do powoziku, który ugiął się pod jego ciężarem. Niecierpliwe konie przysiadłszy na zadach ruszyły z miejsca.

Madzia była tak przerażona, że zamiast do Krakowskiego Przedmieścia poszła w stronę ulicy Granicznej. Dopiero po kilkuset krokach ocknęła się i zawróciła.

„Miał pojedynek?... więc niesłusznie posądziłam go, że poluje na bogatą pannę. Prze-strzelili mu pierś jak Cynadrowskiemu... Może i on umrze?... śmierć, dokoła śmierć!... Przestrogi tym straszniejsze, że nie wiem, skąd pochodzą...”

Serce gwałtownie jej biło, uczuła zawrót głowy, więc na rogu placu Ewangelickiego napiła się wody sodowej u przekupki utrzymującej syfon pod gołym niebem. Woda uspokoiła ją.

„Ciężko raniony — myślała Madzia — leży na Bielanych pod opieką felczera i baby... Cierpi i jest opuszczony, prawie jak Stella!... Gdyby tu była Helenka, czuwałabym razem z nią... Chociaż... Może pomyślałby, że kocham się w nim i chcę wydać się za mąż?...”

Była tak osłabioną, że wsiadła w dorożkę i kazała jechać do Świętego Kazimierza. W kilka minut później czekała na matkę Apolonię w parlatorium, które dziś nie robiło na niej przykrego wrażenia. Może mniej zwracała uwagi.

W sieni rozległy się posuwiste kroki i weszła starszuszka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... Jak się masz, moje dziecko? Widzę, że nie zapomniałaś o mnie; a może znowu masz jaką śpiewaczkę... O, ale jesteś mizerna — mówiła zakonnica ściskając Madzię.

— Jestem zmartwiona — odparła Madzia i opowiedziała starszuszce cel swojej wizyty.

Matka Apolonia słuchała z uwagą; ale twarz jej sposępniała, a wielki kapelusz zaczął się chwiać pospiesznie.

— Moje dziecko — rzekła zakonnica po chwili — wprawdzie człowiek raniony w pojedynku jest jak samobójca... No, ale za to Pan Bóg będzie go sądził... Otóż nie śmiały-

byśmy odmówić państwu Korkowiczom podobnej usługi, gdyby nie brak siostr. Mamy ich tak mało, że nie możemy delegować do osób prywatnych bez uszczerbku dla szpitala. Niech tego przewiozą do szpitala. Ale ty źle wyglądasz?...

— Przeraził mnie ten wypadek... Pani pewnie widywała rannych: czy człowiek z przestreloną piersią może żyć?...

— Wszystko zależy od Boga. Gdy Bóg chce kogo ocalić, ocali mimo najcięższych okaleczeń. Zresztą mężczyźni są jak koty: przestrelą mu głowę, szyję, piersi, a on przychodzi do zdrowia, jeżeli się tak Bogu podoba. Nie potrzebujecie się państwo niepokoić.

Staruszka pilnie przypatrywała się Madzi, nagle rzekła biorąc ją za rękę:

— Eee... moje dziecko... Tylko już mi się ocknij... Chodź ze mną, pokażę ci nasz instytut... Nie można tak przejmować się wypadkami, które lekkomyślny człowiek dobrowolnie ściąga na swoją głowę... Ale prawda, wy, świeckie damy, śmiałyście w salonowych rozmowach, tracicie głowę przy chorych...

Tak mówiąc matka Apolonia zaczęła oprowadzać Madzię po gmachu. Pokazała jej skromną kapliczkę, przed której drzwiami szarytki padały na kolana schylając białe kapelusze. Potem obeszły duże sypialnie sierot, małe pokoiki zakonnic, gdzie stało kilka łóżek zasłoniętych firankami. Następnie przeszły do sali, gdzie sieroty dobrze wyglądające uczyły się szyć i latać bieliznę.

Wszędzie uderzała Madzię olśniewająca czystość i spokój, dziwny spokój, który koł jej wstrząśniętą duszę. Zdawało się jej, że wszystkie gorycze i bóle zostawiła za progiem tego szczególnego domu, którego mieszkanki robiły wrażenie krzątających się mrówek.

— Tu nasz refektarz — mówiła matka Apolonia otwierając pokój o dwu oknach. — Przy tym stole siedzą: matka wizytatorka, matka asystentka, siostra ekonomka i podekonomka. Przy tamtych dwu stołach mieszczą się siostry kornetowe, a za tym pulpitem jedna z nich w czasie obiadu czyta przypadające na dzień rozmyślenia...

— Panie nie rozmawiają przy obiedzie?

— Ależ do czego byłoby to podobne! — odparła zgorziona matka Apolonia. — My w ogóle mało rozmawiamy, bo nie ma czasu. A tu, widzisz, jest kapliczka do odprawiania modlitw wieczornych...

— Cóż panie robią w instytucie?... przepraszam, że zapytuję...

— Wszystko. Dozorujemy kuchni, pierzemy, myjemy podłogi, szyjemy bieliznę, suknie, pościel... Wszystko, co nam potrzeba, robimy same.

— A kiedyż panie wstają?

— Kładziemy się o dziewiątej wieczór, wstajemy o czwartej rano. Potem msza święta i — do pracy...

— A młodsze siostry i kandydatki robią to samo?

— Jeżeli nie więcej — mówiła siostra Apolonia. — Chcemy, ażeby przekonały się, że życie nasze nie jest łatwe. Toteż zostają tylko te, które naprawdę mają powołanie.

— Piękne powołanie, ale ciężkie... Czy żadna z tych pań nie żałuje wejścia tutaj?... Niektóre takie ładne... Może niejedna wolałaby zostać żoną i matką, nie zaś opiekunką cudzych dzieci?...

— Alboż my zatrzymujemy te, którym trafia się wyjść za mąż?... — odparła zdziwiona matka Apolonia. — Owszem, z naszych nowicjuszek, nawet siostr kornetowych, bywają dobre żony. Ale nie każdą wabi świat... Niejedna woli być siostrą cierpiących, matką sierot i oblubienicą Chrystusa...

Madzia cofnęła się.

— Oblubienicą Chrystusa!... — powtórzyła zdławionym głosem.

— Co tobie, dziecko?... — zawołała matka Apolonia chwytając ją za rękę.

Madzia oparła się o ścianę i przetarła oczy. Po chwili odpowiedziała z uśmiechem:

— Śmiałam się z osób nerwowych... Ale dziś widzę, że i ja mam nerwy...

Zaniepokojona szarytka wprowadziła Madzię do jakiegoś pokoiku, usadowiła na kanapie i wybiegła na korytarz. Wkrótce powróciła niosąc kieliszek cienkiego wina i parę sucharków...

— Napij się, dziecko — mówiła — zjedz trochę... Może ci czczo?... Tobie coś jest... Bój się Boga, powiedz wszystko jak matce...

Wino i sucharek przywróciło energię Madzi. Odzyskała humor i naturalnym głosem zaczęła mówić:

— Proszę pani, to nic strasznego... Tylko było tak. Raz weszłam na posiedzenie pewnej jasnowidzącej w chwili, kiedy spała. Gdy weszłam, ona zwróciła się w moją stronę i powiedziała mniej więcej te słowa: „Oto oblubienica... ale oblubienca nie widzę, choć jest wielki i potężny”. Więc teraz, kiedy pani wspomniała o oblubienicach Chrystusa, zrobiło mi się coś dziwnego...

— Złękłaś się, ażebyśmy cię nie zatrzymały u siebie, a może i nie zamurowały w jakiej komórce! — odparła śmiejąc się staruszka. — Bądź spokojna. Tyle zgłasza się do nas kandydatek, że ledwie mogłybyśmy przyjąć czwartą część, gdyby były miejsca. Nie my wciągamy, ale nas proszą.

— To i mnie nie przyjęłybyście panie, gdybym kiedy namyśliła się wejść? — wesoło zapytała Madzia.

— Takich, które dopiero muszą namyślać się, wcale nie przyjmujemy.

— A jakież?

Staruszka zadumała się.

— Widzisz — zaczęła po pauzie — my, szarytki, jesteśmy ułomne istoty, zwyczajnie jak ludzie; może nawet gorsze i z pewnością gorsze od innych ludzi. Ale wszystkie osoby należące do tego zgromadzenia mają jedną wspólną cechę: nie wiem, czy to instynkt, czy niezasłużona łaska Boża... Oto w każdej z siostr nad jej osobistymi skłonnościami góruje chęć służenia — bliźnim, opuszczonym i cierpiącym. Wiem, że panie światowe mają więcej serca aniżeli my; że są lepsze, ukształcześnie, delikatniejsze i czulsze od nas. My jesteśmy proste kobiety oswojone z niedolą, niekiedy zmęczone; więc to, co u światowych osób jest naprawdę poświęceniem, dla nas jest potrzebą istnienia, prawie egoizmem. Z tego powodu nasze niby zasługi wobec bliźnich nie są zasługami, jak całoroczna zieloność sosny nie jest jej cnotą w porównaniu z drzewami, które na zimę tracą liście. Z tego powodu człowiek światowy jednym dobrym uczynkiem może zdobyć Królestwo Niebieskie, którego my nie zdobędziemy nosząc całe życie habit i pielęgnując chorych. Jak ptak rodzi się do latania, tak osoba mająca kiedyś za łaską Bożą zostać szarytką rodzi się do służenia cierpiącym. Kto tego powołania nie ma w duszy, nie będzie zakonnikiem, choćby go zamurowano w klasztorze. I ty, moja droga, choć jesteś dobra i miłosierna dla biednych, nie zostaniesz szarytką.

Madzia zarumieniła się i spuściła oczy. Ona nie ma powołania na szarytkę!... Ależ jej dotychczasowe życie było ciągłym rwaniem się do tego, ażeby służyć nieszczęśliwym...

— Ty, kochanko, zostaniesz na świecie — mówiła staruszka — a tam więcej zrobisz dobrego ludziom i łatwiej uzyskasz Królestwo Niebieskie aniżeli my tutaj.

— Więc tylko tego trzeba, ażeby wejść do klasztoru?... — szepnęła Madzia.

— Przede wszystkim to nie jest klasztor, tylko zgromadzenie, z którego nawet występują siostry — wyjaśniła matka Apolonia. — Po wtóre, odpowiem ci na pytanie.

Ażeby zostać szarytką, nie wystarcza potrzeba służenia bliźnim. Poświęcać się można i na świecie nie wyrzekając się swobody i godziwych rozrywek. Tymczasem u nas życie jest zamknięte i surowe, praca duża i brak swobody, za którą tak bardzo tęsknicie. Z tego powodu tylko dwie kategorie osób zgłaszają się do nas i znajdują szczęście: albo takie, które świat zniechęcił karmiąc je zbyt wielką goryczą, albo te, które ciągle myśląc o Bogu i życiu wiecznym nic nie znajdują dla siebie między rzeczami doczesnymi.

— Gdyby tamten świat istniał!... — mimo woli szepnęła Madzia.

Staruszka cofnęła się, przeżegnała, lecz po chwili rzekła łagodnie:

— Biednaś ty, moje dziecko. Ale zdaje mi się, jesteś tak dobra i niewinna, że Bóg nie odmówi ci swej łaski.

Madzię znowu na mgnienie oka przeniknął strach. Przypomniały jej się groźne słowa matki Apolonii, że niekiedy sam Bóg zastępuje drogę ludziom, ażeby ich nawrócić.

Wypocząwszy i orzeźwiwszy się Madzia pożegnała staruszkę. Szarytka serdecznie ucałowała ją, ale w jej fizjonomii i tonie czuć było, że ma żal do Madzi.

— A przychodźcie do nas... nie zapominaj!... — rzekła matka Apolonia.

Kiedy Madzia wyszła na ulicę, uczuła jakby cień tęsknoty za pocziwą zakonnicą, za spokojnym gmachem, za czystością jego korytarzy, za gromadą sierot, za zielonością ogrodu i ciszą. Ciszą, której tam tak było pełno, że strumieniami wlała się w duszę Madzi.

Gdyby szarytki wynajmowały mieszkania w instytucie, sprowadziłyby się do nich natychmiast.

„Gdybym była szarytką — rzekła do siebie Madzia — mogłabym dozorować pana Kazimierza bez obawy podejrzeń i plotek...”

I może nie myślałaby o Solskim, z którego chwilowymi, lecz natrętnymi wspomnieniami coraz częściej przychodziło jej walczyć.

„Ach, niech już Zdzisław odpisze!... — myślała. — Przecie mógłby odpisać do tej pory...”

Reszta dnia upłynęła Madzi na męczącym oczekiwaniu jakichś złych nowin; zdawało się jej, że lada chwilę doniosą jej o śmierci pana Kazimierza, o nowym pojedynku, może o chorobie ojca...

Czekała i czekała rozgorączkowana; serce jej biło, ile razy wchodził kto na schody szybszym krokiem... Ale złych nowin nie było.

„Jestem rozdrażniona — mówiła do siebie. — Ach, gdyby można wyjechać na wieś!... Gdyby mi poczciwe zakonnice pozwoliły co dzień przez kilka godzin posiedzieć w ich ogródku — już byłabym zdrowsza...”

Tej nocy Madzia nie spała, tylko drzemiąc marzyła. Zdawało jej się, że ogląda jakąś panoramę, w której poza szklami przesuwają się cienie nadnaturalnej wielkości: pan Kazimierz, Cynadrowski, Stella i pani Latter. Jednocześnie jakiś głos monotony i znudzony prawił w formie objaśnień:

„Oto, co jest warte życie ludzkie!... Pani Latter, podziwiana przez wszystkich, jest garścią prochu... Na mogile Cynadrowskiego już zwiędły kwiaty posadzone ręką Cecylii... Stella, w której kochała się młodzież iksinowska, a panny zazdrościły jej oklasków i bukietów, leży w bezimiennym grobie... Kazimierz Norski, taki piękny, zdolny i szczęśliwy, wkrótce zamieni się w tlen, wodór, tłuszcz i żelazo... Oto jest życie ludzkie!...”

Madzia budziła się, patrzyła na ścianę, na którą z okna padały blaski gwiazdzistej nocy, i myślała:

„Czy jest na świecie panna w moim wieku, której sen płoszą takie dziwaczne widzenia?...”

Ale że już zobojętniało jej cierpienie, więc znowu przymykała oczy, ażeby zobaczyć inne cmentarne sceny i usłyszeć znudzony i smutny głos, który mówił o nędzy życia, a później — nawet nie wiadomo o czym.

„Jeżeli Zdzisław nie odpisze, oszaleję!...” — myślała Madzia.

Nazajutrz w południe Madzia poszła do panny Malinowskiej, która już wróciła ze wsi. Pomimo niedzieli na pensji było gwarno; na korytarzach snuły się panienki z matkami, biegali nauczyciele i damy klasowe.

Już Madzia, ażeby nie zabierać czasu przełożonej, chciała cofnąć się i wrócić później, gdy ukazała się panna Malinowska i zaprowadziła ją do swego pokoju.

— Głowa mi pęka!... — mówiła zafrasowana przełożona. — Od dwóch dni wróciłam ze wsi i od razu wpadłam jak do młyna... Jakże się pani ma, panno Magdaleno?...

Była zmieszana i zakłopotana, ale Madzia przypisała to nadmiarowi zajęć powakacyjnych. Aby nie zabierać czasu przełożonej, rzekła:

— Przychodzę przeprosić panią, że nie będę mogła być tu damą klasową...

— Doprawdy?... — przerwała panna Malinowska i twarz jej rozjaśniła się. — Jakież pani ma zamiary?

— Chcę jechać do brata, który jest dyrektorem fabryk pod Moskwą. A za parę lat wrócimy tu... Brat założy fabrykę, ja będę mu gospodarowała i otworzę szkółkę dla dzieci naszych robotników...

— Wyborne robisz, że jedziesz do brata! — zawołała z ożywieniem panna Malinowska. — Zamiast twardego chleba nauczycielki będziesz miała własny dom, możesz wyjść za mąż, a nade wszystko usuniesz się z Warszawy... Nieznośne miasto!... Kiedy chcesz jechać?

— Lada dzień czekam na list od brata. Może za tydzień wyjadę...

— Życzę ci powodzenia — mówiła przełożona całując Madzię. — Bardzo dobra myśl. A wstąpże do mnie przed wyjazdem i... uciekaj, uciekaj stąd jak najdalej!...

Panna Malinowska pobiegła do kancelarii; Madzia wracając do domu zastanawiała się:

„Co to znaczy?... Dlaczego ona każe mi uciekać z Warszawy?... Ach, rozumiem!... Już i ją męczy bakalarstwo, tym więcej dziś, kiedy ze wsi wpadła w chaos... Ale ma słuszność, że Warszawa jest nieznośna...”.

Teraz dla Madzi zaczęły się przykre czasy. Już i w drugim domu, z powodu wejścia panienek na pensję, skończyły się lekcje, tak że oprócz paru godzin z siostrzenicą Dębickiego Madzia nie miała zajęcia...

Każdego poranku trapiła ją chęć wyjścia, ale — po co i dokąd. Więc siedziała samotna w domu trwożąc się, że nic nie robi, i — czekając na list od Zdzisława.

„Dziś z pewnością przyjdzie — myślała. — Nie było z rana, więc będzie po południu... Nie było dziś, więc jutro...”.

Ile razy na trzecim piętrze pojawił się listonosz, którego kroki już poznawała, Madzia biegła rozgorączkowana do drzwi.

— A do mnie ma pan list? — pytała. — Do Brzeskiej?

— Nie ma, proszę pani — odpowiadał listonosz kłaniając się i uśmiechając.

— To nie może być!... Niech pan poszuka w torbie...

Listonosz wydobywał pakę listów i przerzucał je razem z Madzią. Do niej nie było nic.

— Niedobry Zdzisław!... — szeptała z żalem.

Pocieszała się, że może wyjechał na kilka dni, na parę tygodni i — byle wrócił do swoich fabryk — wezwie ją natychmiast. Niekiedy jednak przychodziło jej na myśl, że brat mógł wyjechać na wakacje, że będzie siedział jeszcze miesiąc... Wtedy ogarniała ją rozpacz.

„Co przez ten czas będę robić?...” — mówiła, z trwogą wyobrażając sobie noce bezsenne i upalne dni nieskończenie długie, bez pracy, bez znajomych, nawet bez możliwości wychodzenia z domu.

Raz postanowiła wyjechać bodaj na kilka dni do Iksinowa; ale wyrzekła się projektu. Przypomniała sobie plotki z powodu Stelli i jej dziecka i — straciła odwagę.

Bo jakby ją tam przyjęli dawni znajomi? Ilu pytań i uwag musiałaby wysłuchać za zerwanie z Solskim?... Wreszcie może nadejść list od Zdzisława...

Raz ukończywszy lekcje z Zosią wzięła ją do Łazienek. Spacerowały do wieczora, karmiły ląbędzie i wyobrażały sobie, jakby to było dobrze, gdyby im pozwolono pływać czółnem po sadzawce. Po tej przechadzce Madzia uczuła się rzeświejszą i weselszą. Lecz gdy odprowadziwszy Zosię do Dębickiego, do pałacu Solskich, zobaczyła oświetlone okna Ady, opanował ją straszny żal.

Ona już nigdy tu nie wróci... Już nigdy nie zobaczy Solskiego!... Wiele rzeczy mogłoby się jeszcze zmienić, gdyby nie ten nieszczęsny spacer z panem Kazimierzem. Po co ona z nim chodziła?... Po co on ją całował i stargał węzły, jakie łączyły ją z Solskim? Bo przecie po tym, co się stało, ona nie mogłaby zostać żoną Solskiego.

Pan Kazimierz odniósł karę za swój czyn; ale teraz co spotka ją?... Już ją spotkało, zaczęła bowiem rozumieć, że tylko Solski mógł pogodzić ją z życiem i otworzyć nieznane widnokręgi szczęścia. Przy nim znalazłaby spokój i cel, przy nim ukoiłaby się i rozwinęła jej dusza, dziś pełna zwątpień i rozterek, usychająca jak liść zerwany, który nie wie, gdzie nim los rzuci.

Jednego dnia po obiedzie (było to w tydzień po pojedynku pana Kazimierza) do Madzi przywłókl się zmęczony Dębicki. Przepraszał, że ją tak rzadko odwiedza, tłumacząc się trudnością wchodzenia na trzecie piętro, pytał, czy ma lekcje, czy jest zdrowa, rozcierał sobie głowę za uchem i — w końcu zaczął rozprawiać o pogodzie z miną człowieka, który nie może wybrnąć z kłopotu.

— Mój panie profesorze — przerwała Madzia z uśmiechem — chyba nie po to odwiedził mnie pan, ażeby mówić o upałach?... Domyślam się niemiłej wiadomości i chcę usłyszeć jak najprędzej...

— Owszem... bardzo miłej... Ale... ale, co ja mam się wdawać w dyplomację!... — rzekł Dębicki machając ręką.

— Właśnie, tak będzie lepiej.

— Otóż sprawa jest taka. Wie pani, że Norcki miał pojedynek...

— Umarł? — spytała zalekniona Madzia.

— Ależ do czego podobne! Pan Kazimierz zerwałby się z niedużej szubienicy, zaszkodzi mu dopiero wysoka... Otóż w interesie tegoż szczęśliwca była dziś u mnie panna Ada... Klęka przede mną i zaleciła, ażebym ja ukląkł przed panią, czego naturalnie nie zrobię, i — błagał... a wie pani o co?...

— Ani domyślam się.

— O to — prawil Dębicki — ażeby pani nie robiła sobie ceremonii i ażeby pan Norski nie robił sobie ceremonii, tylko — ażebyście oboje pobrali się również bez ceremonii. Pannie Adzie bowiem wiadomo, że pani kocha Norskiego, a Norski panią. Jeżeli więc krępujecie się względami materialnymi, to panna Ada będzie was błagać na klęczkach, ażebyście przyjęli od niej trzydzieści tysięcy rubli na zagospodarowanie się...

W tym punkcie mowy Dębickiego Madzia zaczęła się śmiać tak serdecznie, że matematyk otworzył usta niby do ziewania i wykonał kilka bezsensownych ruchów, które, według jego opinii, oznaczały szaloną wesołość.

— Więcej pani powiem — ciągnął Dębicki machając rękoma jak podskubana gęś, która myśli o lataniu. — Więcej powiem: panna Ada sama durzy się w tym Norskim (wczoraj jeździła na Bielany i dziś znowu wybiera się tam). Panna Ada ubóstwia biednego pana Kazimierza i jeżeli chce swatać z nim panią, to robi najwyższą ofiarę... Poświęca się dla niewdzięczników!

— Niechże się nie poświęca — odparła Madzia. — Przysięgam panu i gotowa jestem powtórzyć to wobec Ady i pana Kazimierza, że gdyby on był jeden na świecie, jeszcze nie wyszłabym za niego. Były chwile, kiedy zdawało mi się, że Kocham się w nim. Ale dziś poznawszy go bliżej przekonałam się, że jest dla mnie tak obojętny jak drzewo albo kamień — dodała rumieniąc się. — Rozumiem, że kobieta nawet dla złego mężczyzny może wszystko poświęcić, zgubić się, ale pod warunkiem, że wierzy w jego zdolności i charakter. Ale ja tę wiarę straciłam.

— Powtórzę Adzie — rzekł Dębicki — o tym, że pani nie Kochasz Norskiego. Ale o opiniach o nim zamilczę.

Madzia dała brawo profesorowi i znowu zaczęła się śmiać, jej zaś towarzysz pomagał jej, jak umiał, minami, które miały oznaczać gwałtowny wybuch ukontentowania, a właściwie nie oznaczały nic.

### 35. MROK I ŚWIATŁO

W chwili kiedy zarumienionej ze śmiechu Madzi oczy napelniły się łzami, a uczony matematyk robił takie grymasy jak ścięta głowa pod wpływem prądu elektrycznego, drzwi pokoiku otworzyły się i na progu stanął dziwny człowiek.

Był to mężczyzna młody, dość wysoki, ubrany w długie palto. Miał ciemny zarost, który w przykry sposób uwydatniał niezdrową błądź jego cery. Kiedy zdjął kapelusz, odsłonił duże szare oczy otoczone ciemną obwódka i — zakłęśnięte skronie.

Przybysz spojrział na Dębickiego, potem na Madzię, która przypatrując mu się, z gąsnącym uśmiechem na ustach, podniosła się z kanapki.

— Nie poznajesz mnie?... — zapytał gość chrypliwym głosem.

— Zdzisław?... — szepnęła przerażona Madzia.

— Widzisz, nie od razu mnie poznałaś... Musiałem się zmienić!...

Madzia pobiegła do niego z wyciągniętymi rękami. Ale gość odsunął ją.

— Nie dotykaj — rzekł — zarazisz się...

Madzia gwałtem rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

— Zdzisław!... Zdziś!... Kochany Zdziś!... Co ty mówisz?... co to znaczy?...

Gość nie bronil się, ale w taki sposób manewrował głową, ażeby Madzia nie mogła pocałować go w usta.

— No, dość już. Lepiej zapoznaj mnie z tym panem, który patrzy na nas jak na wariatów.

— Mój brat Zdzisław... Mój poczciwy przyjaciel, profesor Dębicki... — mówiła zdyszana Madzia.

Zdzisław podał rękę Dębickiemu i usiadłszy na kanapce rzekł sentencjonalnie:

— Nieprzyjaciele pójda za naszym pogrzebem, ażeby sprawdzić, czy naprawdę umarliśmy i czy nas dobrze zakopano. Zaś przyjaciele idą, ażeby się zabawić.

Madzia patrzyła na niego zdumiona.

— Skąd się tu wzięłeś?... Co się z tobą dzieje?... — pytała.

— Rzuciłem robotę — odparł brat — i szukam wygodnego miejsca, ażeby umrzeć. Cóż tak patrzysz na mnie?... Prosta rzecz. Mam galopujące suchoty i dogorywam. Gdyby nie strach przed śmiercią, który w niezrozumiały sposób potęguje resztkę moich sił, już bym nie żył... Od trzech tygodni spiam siedząc w fotelu. Gdybym się raz położył, w tej samej chwili spadłbym głową na dół w przepaść wiekuistej nocy, z którą borykam się, lecz która dziś czy jutro zwycięży... Co za potworna rzecz istnieć chwilę po to, ażeby na zawsze stać się nicością... Na zawsze!...

Madzia słuchała go blada, od czasu do czasu chwytając się za czoło. Dębicki utkwiał w nim łagodne spojrzenie. Chory, podniecony uwagą swoich słuchaczy, mówił dalej wzruszonym głosem:

— Wy, ludzie zdrowi, nie macie pojęcia, co to jest śmierć. Wam przedstawia się ona jak liryczny poemat, nie zaś jako ciemność, w której gnije i cuchnie trup opuszczony. Wy nie zadajecie sobie pytania, jakie sny mogą rodzić się w mózgu, w którym z wolna sączy się krew rozłożona... Jakich wrażeń doznaje resztką człowieka, gdy na jej twarz zamiast powietrza i słonecznych promieni spada piasek i robactwo...

— Boże miłosierny, jakież to straszne... — szepnęła Madzia zasłaniając oczy.

— A przede wszystkim obrzydliwe — wtrącił Dębicki.

— He?... — zapytał chory.

— I niedorzeczne — dodał Dębicki.

— Powiedz, Madziuś, temu staremu panu — rzekł gniewnie chory — że ja jestem chemik i dyrektor zakładów przemysłowych... Nie żak!...

— Wychowałem ze trzydziestu takich dyrektorów jak pan — mówił spokojnie Dębicki. — Dlatego powiem ci, że ani chemia nie nauczyła cię trzeźwo myśleć, ani dyrektorstwo — panować nad sobą.

Brzeski cofnął się i ze zdumieniem patrzył na profesora.

— A to oryginal!... — mruknął. — Jeszcze nie spotkałem podobnego impertynenta.

— Boś pan jeszcze nie miał okazji przerażać młodych panien wizjami, które im mogą wydawać się dramatyczne, ale rozważnego człowieka przyprawiają tylko o mdłości.

Brzeski zerwał się i wytrząsając pięściami mówił chrypliwym głosem:

— Ależ, mój panie, ja umieram... Ja dziś, jutro umrę... A pan jesteś zdrow jak byk...

— Od wielu lat jestem ciężko chory na serce — odparł Dębicki. — Nie ma takiej minuty, w ciągu której byłbym pewny życia. Mimo to nie straszę panien...

— Toś pan chory na serce?... — przerwał Brzeski. — Bardzo mi przyjemnie!... — dodał ściskając go za rękę. — Przyjemnie mi poznać kolegę... Może byś się pan otrul na spółkę ze mną, bo głupio tak czekać... Mam pyszny kwas pruski...

Madzia patrząc na nich załamywała ręce. Zaczęło jej się mącić w głowie.

— I pan ciągle myślisz o tego rodzaju tematach? — spytał Dębicki.

— Paradny!... A o czymże ja mam myśleć, o czym mogę?... W dzień, kiedy patrzę na ludzi i na ich gorączkę życia, czuję się obcy między nimi i wyobrażam sobie tę chwilę, w której cała mądrość, zbiorowy krzyk całej ludzkości nie zdoła obudzić mnie i przypomnieć, że byłem kiedyś takim jak oni. W nocy nie gaszę światła i ciągle spoglądam za siebie, bo zdaje mi się, że z lada szpary wysunie się niepochwytny cień, który w oka mgnieniu zapełni mój pokój, całą ziemię, cały wszechświat... I pogrąży mnie w tak bezdennej niepamięci, że gdyby mi jakaś nadludzka mądrość po raz drugi wlała świeżej krwi do żył, już nie przypomniałbym sobie, że kiedykolwiek istniałem. Wszystko byłoby mi obce, nawet nasz ogród w Iksinowie... Nic by mnie nie wzruszyło, nawet twoje zdziwienie, Madziu, i płacz naszych rodziców...

— Och, Zdzisiu... Zdzisiu, co ty mówisz? — szeptała Madzia zalewając się łzami.

— Jak na osobę konającą, wymowa pańska jest obfita — rzekł Dębicki. — Nie wiem, czy umrzesz pan na suchoty, ale że możesz dostać się do szpitala obłąkanych, to pewne...

— Jestem przytomny! — oburzył się Brzeski, którego słowa te dotknęły. — Każdy ma prawo mówić o tym, co go zajmuje; no, a chyba kres życia jest interesującym tematem dla tego, kto je traci...

Zaczął chodzić po pokoju, wzruszać ramionami i mruzczyć.

Madzia w osłupieniu przypatrywała mu się. I to jest jej brat, ten wesoły, ten rozhukany Zdzisław, z którym bawili się będąc dziećmi?... Tak niedawno huśtał się na wierzchołku lipy, a dziś mówi o śmierci w sposób, który wpędza ją w rozpacz!

Zarazem Madzia spostrzegła, że Dębicki wywarł na jej bracie silne wrażenie. Prawie odgadła, że w duszy chorego obok obawy śmierci pojawiła się jakaś inna obawa. Może obłąkania, o którym wspomniał profesor?... W każdym razie odwrócenie uwagi od jednego przedmiotu nie było złym.

„Ależ Dębicki... Skąd jemu wziął się ton ironiczny i zuchwały?... Nie miałam pojęcia, ażeby taki cichy człowiek zdobył się na coś podobnego...” — myślała Madzia.

Brat jej wciąż spacerował i mruczał coraz wyraźniej:

— Daję słowo, że pyszny jest ten jegomość!... Diabli wiedzą, po co włóczy się do mojej siostry i mnie, bratu, nie pozwala mówić z nią o tym, co mi dolega?... Za miesiąc, może za tydzień będę leżał w ciemnej trumnie, w chłodnym kościele, sam... Wtedy wszystkim zejść z drogi... Ale on już dzisiaj chciałby zrobić ze mnie trupa... Dla głupich konwenansów, wedle których nieprzyzwoicie jest narzekać, on dławi moją indywidualność i przerywa prąd myśli, może ostatni!...

— Pan stanowczo chcesz dostać bzika — odezwał się Dębicki.

— Idźże pan do licha ze swoją psychiatrią! Czyliż gadam od rzeczy?...

— Nie możesz wyjść poza obręb jednej myśli. To jest monomania.

— Ależ zastanów się pan — mówił zadyszany Brzeski trzęsąc mu pięściami koło nosa — zastanów się, że ta jedna myśl — to wielka myśl!... Przecież w dole, do którego rzucicie moje zwłoki, psuć się będzie już nie tylko człowiek, ale cały wszechświat... Wszechświat, który odbija się w moim mózgu, żyje i jeszcze dziś — jest... Ale jutro już go nie będzie... Dla was moja śmierć będzie tylko zniknięciem jednostki, ale dla mnie — unicestwieniem całego świata: wszystkich ludzi, jacy na nim żyją, wszystkich krajobrazów, słońca, gwiazd, całej przeszłości i przyszłości świata... Zrozumie pan: to, co dla was jest zwykłym wypadkiem (dopóki sami mu nie ulegniecie), dla mnie jest powszechną katastrofą; nic nie zostanie z tego, co widzę, com widział i o czym kiedykolwiek myślałem...

— Krótko mówiąc — rzekł Dębicki — panu zdaje się, że po tak zwanej śmierci następuje tak zwana nicość?

Brzeski z uwagą spojrział na profesora.

— Jak to... zdaje mi się? — odparł. — Nie zdaje mi się, tylko tak jest... A panu co się zdaje?...

— A ja jestem przekonany, że po śmierci następuje dalszy ciąg życia, które różni się od obecnego tylko tym, że jest pełniejsze.

— Pan kpi ze mnie?... — spytał Brzeski.

— Ani myślę. Jestem pewny tego, co utrzymuję. Dzięki czemu, będąc bardziej zagrożony aniżeli pan, mam ciągle dobry humor, podczas gdy pan jesteś w melodramatycznym nastroju.

Madzia słuchała z natężoną uwagą; jej brat osłupiał. Nagle zapytał Dębickiego:

— Przepraszam... Pan profesor jesteś teolog czy filolog?...

— Nie. Jestem matematyk.

— I mówi pan, a raczej — wierzy pan, że śmierć...

— Jest dalszym i pełniejszym ciągiem życia — dokończył Dębicki.

Brzeski odsunął się od niego i usiadł na kanapce. Madzia czuła, że w sercu brata toczy się walka niespodziewana i ciężka. Przemknęło jej przez myśl, że jest okrucieństwem ze strony Dębickiego budzić podobne nadzieje; lecz zarazem opanowała ją ciekawość: na jakiej zasadzie on to mówi? Prawda, że Dębicki już nieraz robił podobne wzmianki.

„Nicość i — życie wieczne... Życie wieczne...” — na samą myśl o tym w sercu Madzi zbudziła się taka szalona radość, że była gotowa nie tylko uspakajać brata, ale i umrzeć z nim, byle prędzej posiąść owo pełniejsze życie...

— I to pan mówi, pan... matematyk?... — odezwał się Brzeski. — Wbrew głosowi wiedzy, która na miejscu metafizycznych przywidzeń stawia dwa pewniki: siłę i materię... Obie one — mówił zamyślony — wytwarzają ciągły prąd bytu, na którym pojawiają się fale pojedyncze, trwają jakiś czas i — nikną, ażeby ustąpić miejsca innym falom... Jedną z takich fal jestem ja i... oto już dobiegam kresu!...

— A cóż to jest owa siła i materia? — spytał Dębicki.



— To, co oddziaływa na nasze zmysły, na odczynniki chemiczne, na wagę, termometr, manometr, galwanometr i tak dalej — odpowiedział Brzeski i znowu zamyślił się.

— Tyle panu powiedziała nauka i nic więcej?

— Nic.

— No, dla mnie była łaskawsza — mówił Dębicki. — Matematyka mówi mi o liczbach różnych typów, z których tylko jeden podpada pod zmysły, a także — o wymiarach i kształtach, których w żaden sposób nie możemy dostrzec zmysłami. Fizyka uczy, że energia wszechświata jest niezniszczalną, a chemia powiada, że to, co nazywamy materią, równie jest niezniszczalne i składa się z nie podpadających pod zmysły atomów. Biologia pokazuje mi nieskończone bogactwo form życia, którego początek i natura przechodzi nasze doświadczenie. Nareszcie psychologia wylicza całą litanię własności i zjawisk, które nie podpadają pod zmysły, lecz niemniej doskonale znane są każdemu człowiekowi z obserwacji nad sobą.

A teraz, proszę pana, gdzie jest dowód, że po śmierci następuje nicość?... — dodał po chwili Dębicki. — I czym mianowicie jest ta nicość?... Jaka zmysłowa obserwacja wykryła nicość we wszechświecie, którego najdrobniejszą szczelinę wypełnia albo ważka materia, albo nieważki, ale realny eter?

— Ja nie mówię o nicości w świecie materialnym, ale o unicestwieniu procesów psychicznych, które trwają pewien czas, a potem gasną na zawsze — odparł Brzeski.

— Skądże pan wie o tym, że procesy psychiczne gasną? W jaki sposób objawia się to zgaśnięcie?

Brzeski uśmiechnął się pierwszy raz.

— Paradny pan jesteś!... A twardy sen, zemdlenie, zachloroformowanie — cóż to jest?

— Jest to chwilowe zawieszenie nie samych procesów psychicznych, ale naszej świadomości o nich, po czym świadomość budzi się na powrót.

— Ale po śmierci nie nastąpi nowe przebudzenie, gdyż organizm nasz ulega rozkładowi — odparł Brzeski.

— I to mówi chemik!... Jeżeli panu chodzi o rozkład organizmu, toć on rozkłada się ciągle, w każdej sekundzie. Nie dość na tym; organizm nasz co najmniej raz na rok zmienia się całkowicie: ani jedna cząstka nie pozostaje w nim ta sama, chyba produkt obcy. Z czego wynika, że co najmniej raz na rok siedemdziesiąt kilogramów ludzkiego ciała staje się trupem i że pan, który masz około trzydziestu lat, już ze trzydzieści razy oddawałeś swój organizm powietrzu i ziemi. Żadna z owych trzydziestu śmierci nie unicestwiła pana, nawet nie zaniepokoiła cię, i dopiero na myśl o trzydziestej pierwszej robisz awanturę, rozczulasz się nad swymi zwłokami, ba! nawet grozisz końcem świata. Czym zaś te — najnowsze — zwłoki pańskie mają być lepszymi od kilkudziesięciu poprzednich?... dalibóg nie rozumiem.

— Eh! — zawołał Brzeski śmiejąc się, co zdziwiło jego siostrę — jeżeli profesor ma takie argumenta, to upadam do nóg... Opowiada stare bajdy teologiczne, z których żartują nawet księżę gospodynie, i myśli, że to filozofia.

— Może ja panu opowiem i nowsze bajdy... — zaczął Dębicki.

— O, niech pan mówi... niech pan mówi! — zawołała Madzia.

I zerwawszy się z kanapki pocałowała profesora w ramię, po czym — cofnęła się zawstydzona.

— Ta filozofia — ciągnął Dębicki — z której jesteś dumny, a która tak pięknie przygotowała cię do spotkania ze śmiercią, ta filozofia wierzy i twierdzi, że nie ma realnych skutków bez realnych przyczyn. Wszak prawda? Na tej zasadzie, jeżeli słup barometru podnosi się w górę, mówimy: zwiększyło się ciśnienie atmosfery, choć nie widzimy ani ciśnienia, ani atmosfery. Podobnie, jeżeli igielka galwanometru wprowadzonego w obwód odchyła się, mówimy: o, po tym obwodzie przebiega prąd elektryczny. Słowem, sądzimy, że zmiany zachodzące w bezmyślnym słupie rtęci i w bezmyślnej igle magnesowej muszą mieć przyczyny realne, choć ich nie widzimy, nie słyszymy, nie wachamy i tak dalej.

Zobaczymy teraz inny fakt. Od wielu wieków miliony i setki milionów ludzi czują instynktownie, że — życie ich nie kończy się wraz ze śmiercią. Równie dawno wiele potężnych umysłów, najznakomitszych geniuszów ludzkości, wierzy świadomie i formu-

luje sobie dość określone pojęcia: o duszy, życiu wiecznym, o świecie pozazmysłowym, wreszcie — o Bogu.

Mamy więc skutek, i to objawiający się w najdoskonalszych mechanizmach, bo w ludziach. A jeżeli ruchy igły magnesowej świadczą o przebiegającym prądzie, z jakiego powodu ruch umysłów ku niewidzialnym bytom miałby nie posiadać rzeczywistej przyczyny?...

— Także zwietrzały argument — odparł Brzeski. — Nie ma żadnych bytów pozamaterialnych, tylko w ludziach jest silne pragnienie życia, instynkt zachowawczy. I on to fantazjonuje na temat przyszłości.

— Chwała Bogu, mamy więc przykład nieużytecznego instynktu. Jeżeli bocian albo skowronek pod jesień odlatuje na południe, wiemy, że znajdzie tam kraj ciepły i zasobny; ale gdy człowiek tęskni do wieczności, wówczas mówimy, że jego nadzieje są urojeniami. Wyborny jest taki pozytywizm.

— Cóż robić, jeżeli tak jest?... Wreszcie ludzki instynkt zachowawczy jest użytecznym dla utrzymania naszego gatunku. Pozwala zdrowym jednostkom obmyślać daleko sięgające plany, które wykonywają inni; chorym zaś i konającym osładza chwile przedśmiertne.

— Aha! — odparł Dębicki. — Więc Bóg czy natura, a w każdym razie jakaś wyższa siła, której zawdzięczamy istnienie, wymyśliła cały szereg transcendentnych oszustw w tym celu, ażebyś pan nie nudził się czy nie martwił w ostatnich chwilach życia? Szczególny zamęt pojęć. Przecież według was, materialistów, natura jest samą prawdą, nigdy nie kłamie... I dopiero dziś dowiadujemy się, że kłamie w jednym wypadku: kiedy obdarza człowieka wstrętem do śmierci!...

Pozwolisz pan, że będę innego zdania. Wstręt do śmierci znaczy po prostu to, że między śmiercią i duszą istnieje głęboka dysharmonia. Ryba wyjęta z wody na powietrze albo ptak zanurzony pod wodę rzuca się i niepokoje w taki sam sposób, jak człowiek, który myśli o nicości. Nicość bowiem jest trucizną duszy. Pan karmisz się rozmyślaniami o niej i dlatego jesteś pełen trwogi, szalejesz; ja nie wierzę w nicość, ale w życie i dlatego żartuję ze śmierci. Pan jesteś chory, ja jestem zdrow moralnie.

Podniósł się i zaczął szukać kapelusza. Na dworze było już ciemno.

— Pan profesor wychodzi?... — zawołała Madzia chwytając go za rękę.

— Jestem zmęczony — odparł Dębicki zwykłym głosem. Zagaśł w nim mówca, a został człowiek stary i chory.

— Profesorze — odezwał się Brzeski — jedźcie państwo ze mną do hotelu, a zjemy razem kolację... Zafunduję wam szampana... Wiesz, Madziuś, mam przy sobie trzy tysiące rubli, a na dwadzieścia tysięcy jestem ubezpieczony. Będziecie mieli po mnie...

— Znowu wracasz do swego! — przerwała siostra. — Widzi pan profesor: dopóki pan mówił, on był weselszy, a teraz, kiedy pan chce odejść...

— Zwymyślał mnie profesor, bo zwymyślał — rzekł wesoło Brzeski. — Ale muszę przyznać, że mikstura poskutkowała.

— Już nawróciłeś się pan? — spytał z półśmiechem Dębicki.

— No, tego nie będzie. Ale zwrócił mi pan uwagę, że przed śmiercią mogę zwariować, i to... otrzeźwiło mnie. Nie dziwcie mi się — mówił Brzeski. — Od kilku tygodni jestem sam, wciąż oblegany przez myśl o śmierci... Tymczasem człowiek jest zwierzęciem towarzyskim, no — i nie może zajmować się ciągle jednym tematem.

— Zdzisiu — zawołała Madzia — ja ci przysięgam, że będziesz zdrow... Prawda, panie profesorze, że on nie ma suchot?...

— Być może.

— Ach, gdyby tak było... gdyby on chciał się leczyć i zaczął tak myśleć jak pan profesor, wie pan co?... Wysłałbym za pana! — rzekła Madzia z zapałem.

— Szkoda fatygi — odpowiedział Dębicki. — Ale zechciej tylko pani wyjść za mąż, a wyswatam cię, i to dobrze...

— Nigdy... — odparła ciszej, a na jej twarzy odmalował się taki żal, że Dębicki postanowił więcej nie poruszać tego przedmiotu.

Dębicki pożegnał siostrę i brata i wyszedł obiecując przyjść do Hotelu Europejskiego, gdzie mieszkał Brzeski. Gdy już był na schodach, wybiegła za nim Madzia i zapytała szeptem, mocno ściskając go za rękę:

— Cóż pan myśli o Zdzisławie?...

— Zdaje mi się, że on jest ciężko chory.

— Ależ chodzi... mówi...

Dębicki wzruszył ramionami i zaczął powoli złączyć ze schodów.

Gdy Madzia wróciła do pokoiku, brat odezwał się z oburzeniem:

— Zabawna jesteś z tymi sekretami na korytarzu. Wiem, że pytałaś o moje zdrowie.

Ale cokolwiek odpowiedziałby ci ten twój filozof, nie zmieni mego przekonania. Jestem skazany, to darmo... Umrę lada tydzień. Ale swoją drogą stary oddał mi przysługę. Już potrafię zapelnąć sobie resztę czasu rozmyślając o jego wierze w życie przyszłe... Szczęśliwy człowiek — idealista... optymista!... My, dzisiejsi, nie potrafimy być takimi.

— Więc ty nie wierzysz temu, co on mówił? — spytała zdziwiona Madzia.

— Moje dziecko, to są stare hipotezy, ale nie dowody, a jeszcze mniej — fakta. Wierzy się faktom, nie frazesom.

— Wiesz, Zdzisław — rzekła nagle Madzia — ja zatelegrafuję do tatki, że tu jesteś...

Brat porwał ją za rękę.

— Niech cię Bóg bronii!... — zawołał z wybuchem gniewu. — Ja uciekam za granicę, ażeby nie spotkać rodziców...

— Więc ja pojedę z tobą... Mam pieniądze...

— Nie po-je-dziesz!... — odparł stanowczo. — Pozwólcie mi przynajmniej umrzeć, jak mi się podoba. Nie chcę pożegnań... łez... awantur...

— Zdzisławie!...

— Słuchaj, Madziu... musimy rozciąć tę sprawę raz na zawsze. Gdybyś zawiadomiła ojca czy matkę, gdyby kto z nich tu przyjechał albo gdybyś uparła się jechać ze mną, przysięgam, że otruję się... Zrozumiałaś?

Madzia zaczęła cicho płakać.

— Pociaszaj mnie; jak chcesz — mówił w rozdrażnieniu — sprowadzaj Dębickiego (byle nie doktorów...), rób ze mną, co ci się podoba, ale — żadnych scen, żadnych czułości... Tak długo żyłem bez was, że śmierć między wami uważałbym za torturę dla siebie...

— Jakże, więc mamy cię opuścić?...

— Musicie... a ty przede wszystkim...

— Ach, co mówisz? — zawołała całując go po rękach.

— Dostyc... proszę cię... Nie dręcz mnie łzami, bo... wyskoczę oknem na ulicę. Powiedziałem ci, czego żądam i do czego możecie mnie popchnąć waszym sentymentalizmem...

A teraz, jeżeli chcesz, odwieź mnie do hotelu.

Mówił to z obląkanymi oczyma, zadyszany, wściekły. Madzia zrozumiała, że opierać się nie może. Otarła łzy, ubrała się tłumiąc łkanie, pomogła bratu włożyć palto i odwiozła go do hotelu.

Zdzisław przez całą drogę był rozdrażniony. Gdy znaleźli się w numerze, zaczął oglądać swój język w lustrze, rachować puls, następnie wydobyl z walizki termometr i włożył go pod pachę.

— Nie mogę uwierzyć, ażebyś naprawdę był ciężko chory — odezwała się Madzia. — Skąd ci to przyszło?...

— Zaziębiłem się... miałem zapalenie płuc... zaniedbałem i — dziś jest pasztet.

— Myśleliśmy, żeś zupełnie wyleczony.

— I ja tak myślałem z początku. A później już nie było sensu alarmować was... Nic byście nie pomogli.

Siedział zapatrzony w sufit, rozgorączkowany i co kilka minut badał puls. Ażeby odwrócić jego uwagę od myśli, które jak stado kruków unosiły się nad jego głową, Madzia zaczęła opowiadać swoją historię z dwu lat ostatnich. Dla niej samej był to rachunek sumienia, ale brat nie bardzo go słuchał. A gdy zapytała, co o niej myśli, odparł:

— Moja droga, albo człowiek stojący nad grobem może myśleć o czymkolwiek wyjąwszy grobu?... Reszta wszystko głupstwo!

— I ty tak mówisz po tym, co słyszałeś od Dębickiego?

— Frazesy!... — odpowiedział.

Umilkli oboje. On iskrzącymi oczyma patrzył na świecę, Madzia gryzła usta, ażeby nie wybuchnąć płaczem.

Okolo północy Madzia zapytała brata, czy nie chce mu się spać.

— Dajże spokój!... — odparł. — Alboż ja kiedy spiam w nocy?... Boję się, ażeby mnie śmierć nie zaskoczyła... Drzemię w dzień, bo wśród gwaru zdaje mi się, że jestem bezpieczniejszy.

— Połóż się teraz... kochany... — rzekła klękając przy nim.

— Oszalała?... Ja nigdy nie kładę się, bo może mnie krew zadusić...

— Spróbuj dziś... Przecież jestem przy tobie... To nie choroba, ale bezsenność i nieporządne życie wyczerpuje twoje siły. Gdybyś co noc spał w łóżku, wygodnie, przekonałbyś się, że nie jesteś tak chory.

Ścisnęła jego rękę wilgotną i gorącą. Zdzisław rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Tak... sen w łóżku uśmiecha mi się... Ale boję się...

— Spróbuj... Ja ci wysoko ustawię poduszki, będziesz jak na fotelu.

Brzeski patrzył na łóżko.

— Spróbowałbym. Ale... jeżeli skonam ci w rękach?...

— Nie bój się, syneczku... Ja będę czuwać przy tobie. Podłożę ci ręce pod plecy i gdybym spostrzegła, że ci niewygodnie, podniosę cię...

Brzeski uśmiechnął się, przeszedł do łóżka i usiadł. Próbował pochylić się na poduszki, ale strach go ogarniał.

Wówczas Madzia usadowiła go na środku pościeli i ostrożnie zaczęła układać nogi.

Zdzisław bronił się, drżał i mówił ze spazmatycznym śmiechem:

— No, już dosyć... Już siedzę na łóżku... Zrobiłem olbrzymi postęp, bo dawniej uciekałem od niego... Dajże spokój... Madziuś... złota, kochana... nie kładź mnie... Przecież ja ci w rękach umrę.

Ale Madzia już położyła go na poduszkach.

— Cóż, źle ci?... — spytała.

— Dobrze mi... tylko czy to na długo wystarczy?... Odsuń, kochanko, te świece ze stołu, bo patrzą mi prosto w oczy, jak gdybym już był trupem... Aa... tylko trzymaj mnie za rękę albo podnieś mnie...

Madzia wyrwała mu się i powstawszy, prędko przeniosła świecę ze stołu na komodę.

— Widzisz — rzekła siadając przy nim i znowu biorąc go za rękę. — Nic ci się nie stało, choć odeszłam...

— Ale jak mi serce bije... — szepnął.

Powoli jednak uspokoił się.

Madzia siedziała przy nim wsłuchując się w jego prędkie oddechy i wyczuwając bicie pulsu.

— Oryginał jest ten twój Dębicki — odezwał się. — Ciągłe go widzę... Co za fantazje!... Ale trochę zamaścił mi głowę.

Wyobraź sobie — zaczął po chwili — dawniej, gdy przyszła noc, widziałem u sufitu jakby czarną listwę... Była to właściwie czarna kurtyna, która powoli opuszczała się na pokój... Rozumiałem, że gdy opuści się na wysokość mego czoła, przestanę myśleć, bo poza tą zasłoną już nie ma nic, tylko czarność... Nieskończona czarność, sięgająca aż za granicę drogi mleczej, mgławic... a tak gęsta, tak gęsta jak żelazo. Okropny gąszcz otaczał mnie ze wszystkich stron i dusił...

Później zdawało mi się, że jestem punktem... niczym, i leżę w niezmiernej pustce, którą kiedyś zapełniał wszechświat. Wszechświat znikł razem z moim życiem, jak znika obraz człowieka na powierzchni zamaczonej wody... Wszechświat znikł i została po nim tylko pustka bez kształtu, bez barwy, bez kierunku... Ach, gdybyś wiedziała, jak mnie to dręczyło...

— Więc nie myśl o tym — szepnęła Madzia.

— Owszem, myślę nawet w tej chwili — odparł z uśmiechem — bo stało się coś dziwnego. Widzę i teraz czarną zasłonę, jak od sufitu zwiesza się nad moją głową... Ale wiesz co?... Dziś wydaje mi się, że ta czarność nie jest ani tak bardzo gruba, ani tak bardzo gęsta... Że byle światło rzucić na nią, ona ustąpi jak cień... I że poza nią jest jeszcze mnóstwo, ale to mnóstwo miejsca... cała nieskończoność, w której może coś być...

Odpoczął i mówił:

— Widzę i teraz ową pustkę bez koloru i bez kierunku, która mnie najokropniej przerażała... Ale wpatrując się w nią śmieiej, zaczynam dostrzegać jakieś zmaczone kształty... Nie jest to nic określonego, ale już nie ma tej zabijającej jednolitości, wśród której nic nie mogłoby się utworzyć...

Wszystko to są skutki gawęd twojego Dębickiego.

— Więc zaczynasz przekonywać się?... — wtrąciła siostra.

— Oh, nie!... — żywo zaprotestował. — Jest to bardzo naturalny proces. Na szare i puste tło moich rozmyślań on rzucił garść frazesów, które z konieczności muszą rysować się w mojej wyobraźni... Urządził mnie, stary lis!... Od tej pory nie będę mógł pomyśleć o nicości, jak się należy: ile razy zobaczę ją, muszę zarazem widzieć produkta jego bająn...

Chory uspakajał się.

— Madzius — rzekł stłumionym głosem — gdybym zasnął, zaraz mnie obudź, bo... widzisz... A gdybyś spostrzegła, że przestaję oddychać, schwyć mnie za ramiona i posadź na łóżku... Nawet pryśnij mi wodą na twarz... Jest tu woda?...

W parę minut później spał. Madzia patrząc na niego myślała, że niepodobna, ażeby ten człowiek naprawdę był śmiertelnie chory. Jest chory, ale przede wszystkim zdenerwowany i zmęczony nieregularnym życiem.

Otucha jej wzrosła, gdy Zdzisław zbudziwszy się około piątej rano powiedział, że nie pamięta nocy tak doskonale przespanej.

Trochę kaszłał, trochę czuł się znużonym, lecz Madzi to nie dziwiło.

„Jest lepiej, aniżeli myślałam w pierwszej chwili” — powiedziała sobie.

### 36. \*\*\*

Okolo dziesiątej z rana Zdzisław z porady Madzi przebrał się od stóp do głów w świeżą bieliznę i nowe ubranie. To wprowadziło go w tak doskonały humor, że zaczął nucić chrapliwym głosem, oświadczył, że ma wilczy apetyt, i kazał podać na śniadanie herbaty, jaj tudzież surowej szynki.

Lecz gdy numerowy przyniósł posiłek, Zdzisław wypił jedno jajko krzywiąc się, a kawałek szynki, który wziął do ust, wyplunął.

— Oto widzisz — rzekł do Madzi — takie jest moje życie. Organizm spala się z niernormalną prędkością, a apetyt nie wypełnia braków.

Zaczął oglądać w lustrze swoją twarz mizerną i zapadniętą, żółtawy język, spieczone usta; następnie z zegarkiem w rękę liczył puls i oddechy, a nareszcie — założył pod pachę termometr.

— Kochanie — rzekła Madzia wieszając mu się na szyi — wezwij doktorów... Mnie się zdaje, że ty jesteś więcej imaginacyjny aniżeli chory...

— Niech diabli porwą doktorów! — zawołał odsuwając ją. — Mam ich dosyć... Już opukali mnie i wysłuchali ze wszystkich stron...

— Cóż ci to szkodzi?...

— Drażnią mnie... Przemordowałem z dziesięć konsyliów, a kiedy myślę o jedena-stym, robi mi się tak, jakbym szedł na rusztowanie...

Dopóki mnie kładą na kanapie — dodał spokojnie — a sami nie kładą się na mnie, dopóki nie widzę ich głupich min, jeszcze mogę się ludzić... Dopiero ich auskultatory, młotki, podniesione brwi i katowska delikatność przypominają mi, że nieodwołalnie jestem skazany...

— Ależ, Zdzisiu, ty nie jesteś tak chory... Poproś więc kilku najlepszych i wprost zażądaj, ażeby powiedzieli prawdę...

— Niech diabli wezmą ich prawdę... Już próbowałem tego. W pierwszej chwili każdy mówi, że to nic; później, kiedy go nacisnę; przyznaje, że jestem śmiertelnie chory, a w końcu myśląc, że mnie zbyt przeraził, chce wszystko obrócić w żart.

Gdy to mówił, na twarzy wystąpiły mu silne wypieki. Zaczął chodzić po pokoju i prawie rozdrażnionym głosem:

— Na co mi lekarze?... Myślisz, że nie mam książek, że nie wystudiowałem suchot i nie badam siebie?... Nad wieczorem gorączka, nad ranem poty, brak apetytu, oddech przyśpieszony i nieregularny, puls to samo, ciągle strata na wadze...

— Ale mało kaszlesz... — wtrąciła Madzia.  
 — Co to znaczy!  
 — I przecie pomimo osłabienia jesteś silny...  
 — Chwilowa poprawa, po której znowu się pogorszy.  
 — Więc ty nie chcesz się leczyć! — zawołała Madzia z rozpaczą.  
 — Owszem — odparł — chcę. Kazali jechać do Meranu — jadę. Tam zbada mnie Tapeiner, jedyny znawca suchot, i powie zdanie, do którego się zastosuję.  
 Madzia złożyła ręce i patrząc na brata pełnymi łez oczyma rzekła błagalnym głosem:  
 — Ja z tobą pojedę do Meranu... Ja mam pieniądze...  
 Zdzisław zamyślił się.  
 — Owszem — odpowiedział. — Po konsultacji z Tapeinerem napiszę po ciebie.  
 — Po co?... Ja teraz chcę jechać... Ja...  
 Brat cofnął się od niej i uderzywszy się ręką w piersi odparł z gniewem:  
 — Słuchaj, Madziu. Jeżeli dasz znać rodzicom albo będziesz mi się narzucała ze swoim towarzystwem, przysięgam, że się otruję... Tu, w tym numerze!... Pozwólcieź mi przez tydzień... dwa tygodnie robić, co mnie się podoba...  
 Madzia zrozumiała, że musi spełnić wolę brata. Nie mogła jednak oprzeć się nadziei, że brat nie jest ciężko chory.  
 — Zobaczysz... — rzekła — przekonasz się, że będziesz zdrow...  
 — Jakaś ty zabawna! — odparł. — Czy myślisz, że i ja nie przypuszczam tego?... Nauka mówi mi, że mam suchoty płucne, gardlane, nawet kiszkowe... Ale nadzieja niekiedy ostrzega, że mogę się mylić i że istnieje jakaś tysięczna część prawdopodobieństwa, iż nie tylko odzyskam zdrowie, ale nawet będę mógł pracować...  
 — O, tak... mów tak zawsze!... — zawołała Madzia rzucając mu się na szyję. — Ale zaraz mnie wezwiesz, jak przyjedziesz do Meranu?  
 — Natychmiast po konsultacji z Tapeinerem.  
 — I już ciągle będę z tobą?...  
 — Do śmierci — odparł całując ją w czoło. — Gdybyś uciekła, pogonię za tobą. Wiem, że ty jedna możesz mnie pielęgnować... tylko... nie sprzeciwiaj mi się.  
 — No... więc jedź do Meranu! — rzekła Madzia stanowczo.  
 — Zaraz... cierpliwości!... Dajże mi parę dni odpocząć...  
 Roześmieli się oboje.  
 — Oj, ty... ty, hipokondryku... — gromiła go siostra.  
 — Może być, że to hipokondria.  
 — Wiesz — odezwała się po chwili — kiedy jesteś tak bogaty, to weź dorożkę i wyjedźmy na parę godzin na powietrze.  
 — Co tu u was za powietrze! — odparł. — W górach będę miał powietrze, a tu... wolę zaczekać na tego oryginała... Pierwszy raz w życiu widzę matematyka, który z zimną krwią utrzymuje, że wierzy w nieśmiertelność duszy...  
 — On naprawdę wierzy i musi mieć jakieś dowody.  
 — Szczęśliwy — westchnął Zdzisław.  
 W południe przyszedł do hotelu Dębicki ubrany w świąteczne szaty. Miał brązowy surdut, trochę ciasny w plecach, białą pikową kamizelkę, która odstawała z przodu, i jasnopopielate spodnie z niedużą plamką niżej prawego kolana. W jednej ręce trzymał kapelusz i laskę, w drugiej letni paltot, którego rękaw włókł się po podłozie.  
 Na widok pięknie odzianego profesora oboje Brzescy nie mogli powstrzymać się od śmiechu.  
 — Aha! — zawołał Dębicki — suchoty ustępują przy siostrze?...  
 — Wie pan profesor — rzekła Madzia witając go — że Zdzisław dzisiejszej nocy pierwszy raz spał w łóżku?... Ubrany, ale leżał...  
 — A co ciekawsze — dodał Brzeski — że na tle pośmiertnej nicości zaczęły pokazywać mi się jakieś kształty... ruch...  
 — Dostyc prędko — odparł Dębicki.  
 — Konieczny skutek wczorajszej rozmowy z panem. Zamknięte oczy w stanie normalnym widzą tylko ciemność; ale gdy podrażni je jaskrawe światło, wówczas na tle ciemności muszą ukazać się widziadła.  
 — Dobry znak — rzekł Dębicki. — Dowodzi, że nie zamarł w panu zmysł duchowy.

— Ach, jaki pan dobry!... — zawołała Madzia. — Niech pan jeszcze mówi jak wczoraj, a jestem pewna, że Zdzisław nawróci się...

Brzeski uśmiechnął się, Dębicki odparł chłodno:

— Po to przyszedłem, ażeby dokończyć wczorajszej rozmowy. Ale muszę ostrzec, moi państwo, że nie mam zamiaru nawracać was. Nie jestem apostołem ani wy zgubionymi owcami z mojej owczarni. Jesteście dla mnie tym, czym dla chemika odczynniki chemiczne, a dla fizyka — termometr, galwanometr... Do tego przyznaję się z góry...

Ton Dębickiego był tak oschły, że po obliczu Madzi przemknął cień niezadowolenia. Ale Zdzisław uściśnął rękę profesora.

— Znowu imponuje mi pan — rzekł. — Istotnie teoria nieśmiertelności duszy, wykładana w tym celu, ażeby pocieszyć chorego, byłaby... przepraszam... nędzną zabawką. Ja — niech pan nie nazwie tego zarozumiałością — już za wiele umiem, ażeby mógł mnie kto zmystyfikować frazesem; a pan jest zanadto uczciwy, ażeby dopuścić się tego.

Dębicki położył kapelusz na imbryku i maśle, w kącie postawił laskę, która upadła, a sam usiadł na fotelu i założywszy ręce, bez wstępu zapytał Zdzisława:

— Dlaczego nie wierzysz pan w istnienie duszy, różnej i odrębnej od ciała?

— Bo jej nigdy nikt nie widział — odparł Brzeski.

Madzia drgnęła. Dziwne przebiegło ją uczucie wobec tak prostego sformułowania kwestii.

— A dlaczego — mówił Dębicki — wierzysz pan, że zjawisko zwane światłem polega na czterystu do ośmiuset trylionów drgań na sekundę? Kto widział te drgania?

— Wiadomość o drganiach wynika z rachunku opartego na fakcie, że dwa promienie światła uderzając o siebie mogą się przygasić.

— A czy to, że ja, pan i wszyscy ludzie myślą i czują, nie jest faktem co najmniej równie dobrym jak wzajemne przygaszanie się promieni światła?

— Ale fakt myślenia wcale nie dowodzi, że dusza jest czymś odrębnym od ciała. Wszakże ona może być i jest na pewno ruchem cząstek mózgu. Bez mózgu nie ma myśli.

— A o tym skąd pan wie?... Do czasów Gilberta sądzono, że elektryczność istnieje tylko w bursztynie, dziś wiemy, że może istnieć w całym wszechświecie. Zwyczajni ludzie sądzą, że w tym miejscu, gdzie marznie woda, a jeszcze bardziej — merkuriusz, nie ma ciepła; fizycy zaś są pewni, że jeszcze o dwieście pięćdziesiąt i dwieście sześćdziesiąt stopni poniżej zamarzania wody — jest ciepło. Stąd wniosek, że aczkolwiek duszę dzisiaj upatrujemy tylko w mózgu, nasi następcy mogą dojrzeć ją w roślinie, w kamieniu, nawet w tym, co nazywa się — barometryczną próżnią.

— No — rzekł Zdzisław — to są dopiero przypuszczenia. Tymczasem fakt, że myśl jest funkcją mózgu.

— O... właśnie! Może pan zechce dowieść tego? — wtrącił Dębicki.

— Dowody pan zna — odparł Brzeski — więc wyliczę tylko ich nagłówki. Widzimy w świecie zwierzęcym, że większemu rozwojowi mózgu odpowiada większy rozwój umysłowości. Ze świata zaś ludzkiego wiemy, że nadmierny albo skąpy napływ krwi do mózgu osłabia lub unicestwia samo myślenie. Że alkohol, kawa, herbata, podniecając krążenie krwi, podniecają proces myślenia. Że gdy mózg więdnie na starość, słabną zarazem zdolności umysłowe...

Decydującymi są doświadczenia Flourensa, który niszczył świadomość w gołębiach wycinając im warstwy mózgu; lecz gdy mózg odrastał, gołąb odzyskiwał świadomość...

Zresztą — co mam więcej mówić?... Zna pan drugi tom Moleschotta pod tytułem: *Krążenie życia*. A ty, Madziu, możesz przeczytać bodaj osiemnasty list: *O myśli*.

— Teraz ja proszę pana — rzekł Dębicki — ażebyś nie posądził mnie o zarozumiałość. Otóż od bardzo dawna nie mogę wyjść z podziwu, że ludzie tej bystrości, co Moleschott albo Vogt, są tak naiwnymi w kwestii dowodów. Powiem krótko. Wszystkie doświadczenia robione nad mózgiem: badania produktów chemicznych, temperatury mózgu, jako prądów elektrycznych, wszystkie uszkodzenia mózgu, umyślne czy przypadkowe, dowiodły tylko jednej rzeczy, że — mózg jest organem ducha. Człowiek z uszkodzonym mózgiem źle myśli czy nie może objawiać, że myśli; jak człowiek z uszkodzonym okiem źle widzi lub wcale nie widzi, a człowiek z uszkodzoną nogą — źle chodzi lub wcale nie chodzi.

Tymczasem w naturze zjawisko ruchu bynajmniej nie jest związane z mięskami ani wrażliwość na światło — z okiem. Spadający kamień porusza się, choć nie ma mięsków ani nerwów; płytka fotograficzna i selen są wrażliwe na światło, choć nie posiadają nerwu optycznego...

Jeżeli więc ruch mechaniczny może istnieć poza granicami mięsków, a wrażliwość na światło poza granicami oka, dlaczegoż by myśl, uczucie, świadomość nie miały istnieć poza obrębem mózgu? Bez mózgu nie ma myśli... bez bursztynu nie ma elektryczności! Pomyśl pan, czy to nie dzieciństwo...

— Pysznie!... — zawołał Brzeski. — Teraz zostaje profesorowi tylko pokazać nam duszę w kamieniu i barometrycznej próżni...

— Nie, panie. Nie pokażę ci ani duszy, ani tego łańcucha, którym zmierzono odległość ziemi bodajby od księżycy, ani czterystu trylionów drgań na sekundę... Są to bowiem fakta nie podpadające pod zmysły... Ale zrobię — co innego: pokażę panu nowe zagadnienia dla myśli.

— Nie jest to wprawdzie to samo... — wtrącił Zdzisław.

— Znajdzie się i to samo. Tymczasem posłuchaj pan. Z górą przed stoma laty ktoś zapytywał Woltera: czy dusza ludzka może żyć po śmierci? Na to wielki satyryk odpowiedział: czy śpiew słowika zostaje po śmierci słowika?...

Jest to dowcip kryjący w sobie wielką prawdę. Ale wie pan, co się stało w niecałym wieku po tej genialnej odpowiedzi?... Przyszedł Hirn, Joule, Meyer i — dowiedli, że po śmierci słowika nie zostaje wprawdzie śpiew słowika, ale energia ukryta w tym śpiewie — zostaje i zostanie na całą wieczność. Innymi słowy, śpiew słowika, jako drganie powietrza działające na nasz słuch, znika; ale utajony w nim iloczyn z połowy kwadratu prędkości przez masę, czyli to, co stanowi duszę śpiewu, żyć będzie na wieki. W naturze nie ma potęgi, która mogłaby zniszczyć ten byt niewidzialny, a jednak rzeczywisty.

— No, to jeszcze nie jest nieśmiertelność duszy indywidualnej, czyjś ja... — przerwał Zdzisław.

— Zaczekaj pan!... To nie jest — to, ale zawsze — jest coś, a raczej dwa *cosie*: jakiś byt rzeczywisty, choć niewidzialny, i — jakaś wieczność, o której mówią nie baby pod kościołem, ale fizycy. Niech więc pan zapamięta, że są rzeczywistości nie podpadające pod zmysły i że jest nieśmiertelność dowiedziona w sposób naukowy...

— Ale nie dla mojej duszy...

— Przyjdzie i to; nie zaraz, ale przyjdzie. W tej chwili zwrócę uwagę pańską, że nieśmiertelność energii i materii, dowiedziona faktami i rachunkiem dopiero w naszych czasach, była przeczuwana od tysięcy lat. Przeczucia te wyraźnie formułowali greccy filozofowie, Spencer zaś mniema, że przecucie niezniszczalności materii i energii narzuca się każdemu umysłowi w sposób konieczny. Nauka więc pod tym względem nie zrobiła nowego odkrycia, lecz tylko — potwierdziła to, co ogół niejasno odczuwał.

Otóż nie zaprzeczysz pan, że ludzkość w nierównie wyższym stopniu posiada przecucie nieśmiertelności duszy. Nie widzi ona wyraźnie, ale spostrzega jakieś ogólne kontury tej prawdy; powszechność zaś przecucie stanowi ważną wskazówkę...

— Są jednak ludzie nie mający tych przecucie — wtrącił Brzeski.

— Są też ludzie niewrażliwi na światło, ślepi. Pociesz się pan jednak, że jak dla kompensaty istnieją ludzie obdarzeni wyjątkowo dobrym wzrokiem, którzy bez szkieł widzą księżycę Jowisza, tak również istnieją ludzie obdarowani wyjątkowo silnym zmysłem duchowym. Ci rozprawiają o duszy i o świecie nadzmysłowym jak my o Saskim Placu, na który w tej chwili patrzę.

Wstręt do nicości, wrodzony ludzkiej naturze, tym bardziej zastanawia, że nicość przedstawiamy sobie jako twarde sen. Otóż my z twardym snem jesteśmy oswojeni równie dobrze jak ze stanem czuwania. Więcej nawet — twarde sen jest bardzo przyjemnym zjawiskiem, a na odwrót: życie, czwanie bywa niekiedy pełne cierpień. Mimo to myśl o wiecznym śnie przeraża nas, a myśl o wiecznym czwaniu, choćby nawet nie wolnym od przykrości, napędza nas pociechą.

Nicość jest wstrętna ludzkiej naturze, pociąg do życia wiecznego prawie powszechny. Jeżeli więc istnieje szkoła filozoficzna, która wierzy i głosi nicość, to — powinna mieć jakieś potężne dowody. Nie ci bowiem dowodzą, którzy podzielają wiarę powszech-



ną, a raczej instynkt powszechny w pewnym kierunku, ale ci, którzy wskazują — nowy kierunek.

Otóż, jak się pan przekona, system dowodów materialistycznych nie tylko nie ma wartości naukowej, ale opiera się na tak rażących niedorzecznościach, że zdumiewają.

— Już zaczynam się zdumiewać — wtrącił Brzeski — ale... tym, co pan powiedział.

Madzia wpatrywała się w Dębickiego jak w dziwowisko. Prawie nie śmiała oddychać.

— Opowiem bajkę — ciągnął profesor. — Ktoś, uderzony faktem, że zwykli ludzie zachwycają się niknącymi obrazami, postanowił osobiście zbadać tę kwestię. W tym celu poszedł na przedstawienie niknących obrazów, ale ażeby nie poddawać się wrażeniom tłumów, które bardzo często są omylne, wie pan, co zrobił?... Zalepił sobie oba oczy...

— Puszczą się profesor!... — zawołał Brzeski.

— Zaczekaj pan. Siedzi tedy na przedstawieniu nasz filozof z zalepionymi oczyma, słyszy muzykę katarynki, brawa publiczności i robi wnioski.

„Uważam — mówi sobie — że ci państwo najczęściej biją brawa wówczas, gdy katarynka gra melodie smętne, a śmieją się, gdy gra skoczne. Widzowie z pierwszego rzędu są najbardziej ożywieni, gdyż — siedzą na wyscielanych krzesłach. Przy ostatniej zaś serii obrazów dlatego panowało tak uroczyste milczenie, ponieważ latarnia zaczęła kopcić i swąd nappełnił salę”.

Co byś pan powiedział o takim badaczu niknących obrazów?... — zapytał nagle Dębicki.

— Że jest głupiec — odparł Zdzisław.

— Masz pan słusność. Badacz ten jest głupcem, ponieważ do badania pewnej grupy zjawisk użył niewłaściwego zmysłu, a co gorsze: zapieczętował sobie właściwy zmysł.

Teraz opowiem drugą bajkę — ciągnął Dębicki. — Inny mędrzec chciał zbadać własności światła. W tym celu zapalił lampę naftową i wykonał na niej szereg doświadczeń, z których okazało się:

Że nafta nieczysta daje gorsze światło aniżeli czysta; że przy podniesieniu knota światło wzmacnia się, a przy znizaniu knota światło słabnie. Że światło również słabnie, gdy na knocie utworzy się grzybek albo gdy knot będziemy naciskać patykiem i — tak dalej.

Wreszcie skończył eksperymentu i na ich zasadzie ogłosił, że światło jest funkcją knota i nafty; poza knotem i naftą nie istnieje. Światło nie ma żadnych innych własności oprócz tych, które można zbadać na knocie za pomocą szrubki i patyka. Po spaleniu się knota światło ginie i — tak dalej.

Tymczasem ktoś, obeznany z optyką, odparł mu na to, że światło może istnieć poza swoim źródłem, czego dowodzą bodaj gwiazdy, które od wieków mogły zgasnąć, a niemniej światło od nich wciąż przepływa nieskończoność. Że światło ma własności inne aniżeli knot: odbija się, załamuje się, dzieli się na pojedyncze barwy, polaryzuje się i tak dalej. Że nareszcie potrzeba być głupcem, ażeby nie odróżniać światła od knota albo opierać optykę na produktach spalania nafty.

Otóż, kochany panie Zdzisławie, w człowieku są trzy różne rzeczy: organizm, który odpowiada knotowi, zjawiska fizjologiczne odpowiadające promieniowi, który powstaje ze spalania się nafty w powietrzu, i — dusza, która odpowiada światłu. Ta dusza ma swoje własności pozacielesne i swoje zjawiska pozafizjologiczne. Ta dusza nie jest produktem strawienia i utlenienia pokarmów, ale jest oryginalną formą energii czy ruchów, które odbywają się nie w substancji mózgowej, ale w jakiejś całkiem innej, może być w eterze wypełniającym wszechświat.

— Nie dość jasno chwytam cel pańskiego porównania — wtrącił Brzeski.

— Widzi pan, chciałem to powiedzieć, że materializm zyskał niby faktyczne podstawy od czasu, gdy za pomocą fizjologii chciano wytłomaczyć, a może i zastąpić psychologię. Cóż się pokazało? Oto, że kalecząc mózg można paraliżować ruchy, wywołać zapomnienie wyrazów, zakłócić uwagę, nawet przyćmić świadomość. Czyli: kalecząc knot można wywołać kopcenie lampy, nawet zgasić światło.

Czy jednak fizjologia objaśniła nam naturę duszy? Wcale nie. Nie ona bowiem odkryła, że zasadniczymi objawami duszy jest myśl, uczucie, wola; nie fizjologia też powiedziała, że posiadamy zdolności bierne, pamięć, twórczość, współczucie, cele... Zatem fizjologia z całym systemem swoich cięć, podwiązywań, elektryzowań, zatruć i tak dalej nie jest

organem właściwym do badania duszy, jak węch albo słuch nie są organami właściwymi do badania obrazów niknących.

Naturę duszy, czyli rozmaite jej zdolności i nieskończone łańcuchy duchowych zjawisk odkrył nam nie wzrok, nie *skalpel*, ale — wewnętrzna obserwacja, nasze *poczucie samych siebie*. Więc to *poczucie* jest właściwym zmysłem, jedynym zmysłem, którym *bezpośrednio* możemy badać naszą duszę.

Nie twierdzą, że anatomia i fizjologia na nic nie przydadzą się psychologii. Owszem: odkrycie prędkości wrażeń, ogrzewania się mózgu w czasie pracy, zużywanie się pewnych materiałów, elektryczne prądy mózgowe i mnóstwo innych odkryć mogą mieć olbrzymią doniosłość praktyczną. Dzięki anatomii i fizjologii poznajemy bliżej tę zdumiewającą fabrykę, w której dokonywają się najcudowniejsze działania w naturze. Może nadejść czas, że anatomia i fizjologia opiszą nam i wytłumaczą budowę każdego mechanizmu wykonawczego, z jakiego składa się nasz system nerwowy. Ale nigdy nie wytłumaczą i nie opiszą zasadniczej własności ducha, jaką jest — *czucie*.

Czuję kolor czerwony i zielony, tony wysokie i niskie, czuję twardość i miękkość, ciepło i zimno; czuję zapach octu i róży, głód i trudność w oddychaniu, ruchy moich rąk i nóg. Czuję radość i smutek, miłość i nienawiść, czuję, że czegoś pragnę, a czegoś lękam się, że pamiętam przeszłość. Czuję wreszcie, że jedne z moich kombinacji umysłowych odpowiadają faktom spostrzeżonym przez zmysły, a inne kombinacje są — moimi własnymi utworami.

Słowem — odkrywam cały świat zjawisk będących tylko rozmaitymi formami czucia, tego dziwnego czucia, które czuje nawet — samo siebie. A jednocześnie spostrzegam, że ani fizyka, ani chemia, ani teoria komórek, ani wszystkie razem wzięte doświadczenia fizjologiczne nie powiedzą mi: *czym jest czucie?* Jest to bowiem fakt elementarny i dla każdego człowieka jedyny.

Wiem, że w przestrzeni krążą i palą się miliony słońc, że dokoła mnie żyją miliony istot, że wszyscy ludzie — myślą, cieszą się, pragną, pamiętają. Ale również wiem, że czucie, które ja posiadam i którym ogarniam cały świat, że to moje czucie jest jedyne w naturze. Ja za nikogo czuć nie mogę i nikt za mnie; ja nikomu nie zajrzę w głąb jego czucia i nikt nie zajrzy w moje. Pod tym względem jestem istotą wyłączną i niezastąpioną. I z tego punktu miałeś pan rację twierdząc wczoraj, że gdyby zgasł twój duch, czyli twoje czucie, razem z nim zginąłby jeden wszechświat.

Otóż to *czucie*, *to moje czucie*, nie jest własnością tego, co nazywamy organizmem materialnym.

— To zaczyna być interesujące — odezwał się zamyślony Brzeski.

— Pozwolisz pan, że zrobię jeszcze jedno zboczenie — mówił profesor. — Poglądy materialistyczne popularyzują się dość łatwo, szczególnie między młodzieżą, która zaczyna studiować nauki przyrodnicze. Przyczyną tego jest małe ukształcenie filozoficzne, dalej — popęd do nowości, który cechuje wiek młody, wreszcie — jasność nauk przyrodniczych i porządek, jaki w nich panuje.

Są to jednak przyczyny drugorzędne. Ale wiesz pan, co stanowi fundament popularności materializmu?... Prawie niepodobna uwierzyć, a przecie tak jest: podstawą łatwości, z jaką ludzie przyjmują materialistyczne poglądy, jest.. Domyśl się pan, co... Oto — pewne gramatyczne skrócenie!...

Mówimy zwykle w ten sposób: „Ogień parzy — kamień jest ciężki — dwa a dwa jest cztery — słońce jest odległe od ziemi o dwadzieścia jeden milionów mil geograficznych”. Tymczasem są to skrócone formy mówienia; dokładnie bowiem należałoby mówić: „Ja czuję, że ogień parzy — ja czuję, że kamień jest ciężki — ja ciągle doświadczam, że dwa a dwa jest cztery — ja, na podstawie spostrzeżeń, czyli zmysłowych czuć, wynioskowałem, że słońce jest od nas odległe na dwadzieścia jeden milionów mil...”.

Różnica tych dwu form mówienia jest ogromna. Człowiek bowiem, nieukształcony filozoficznie, mówiąc krótko: „kamień jest ciężki”, wyobraża sobie, że głosi jakąś prawdę bezwarunkową, która istnieje poza nim. Lecz gdy powiemy: „Ja czuję, że kamień jest ciężki”, rozumiemy w tej samej chwili, że dla naszej wiedzy ciężkość kamienia nie jest żadnym objawieniem, ale tylko: sformulowaniem stanu naszego czucia.

Otóż wszystkie nasze sądy o świecie zewnętrznym, wszystkie tak hucznie reklamowane „obserwacje i eksperymenty” opierają się na tych zasadniczych faktach, że „ja coś czuję,

ja coś wiem i ja w coś wierzę”. Czy świat realny naprawdę istnieje? i czy on wygląda tak, jak my go widzimy? czyli też cała natura jest złudzeniem naszych zmysłów, niknącym obrazem, który trwa dopóty, dopóki żyjemy sami? tego nie jesteśmy pewni.

Ale jedno jest dla nas niewątpliwe, że czujemy samych siebie i — coś, co nie jest nami, czyli czujemy własną duszę, na którą działają jakieś wpływy zewnętrzne.

Z tego objaśnienia wynikają dwa ważne wnioski.

Pierwszy jest ten, że nielogicznie jest tłumaczyć zjawiska duchowe za pomocą zjawisk materialnych; nielogicznie jest objaśniać prawdę pewniejszą za pomocą prawdy mniej pewnej.

To, co nazywamy *naturą*, jest sumą naszych czuć: wzrokowych, dotykowych, muskułarnych, słuchowych, czyli *jest wyrobem* naszego ducha. Zatem — nie mamy prawa uważać siebie za wyrób natury, jak zegarmistrz nie ma prawa mówić, że sam został zbudowany przez swoje zegary. Tym mniej mamy prawa twierdzić, że nasza dusza jest wytworem komórek mózgowych albo: tlenu, azotu, węgla, wodoru, fosforu... Jeżeli bowiem to, co nazywamy np. fosforem, jest sumą wrażeń, które odczuwa nasza dusza, więc ta — odczuwająca dusza jest czymś innym aniżeli suma jej wrażeń, jest co najmniej plótnem, na którym odbijają się wrażenia.

Druga kwestia jest jeszcze ciekawsza. Materialiści mówią: „Natura składa się z sił i materii”, trzeba zaś mówić: „Natura składa się z sił i materii a przede wszystkim — z duszy, która ją odczuwa i określa”. To więc, co nazywamy *rzeczywistością*, nie jest *podwójne* (siła i materia), ale *potrójne* (duch, siła i materia), i pierwsza jednostka z tej trójki, mianowicie duch, jest dla nas pewniejszą aniżeli dwie inne: siła i materia.

Otóż z tej uwagi wypływa wniosek olbrzymiej doniosłości: jeżeli fizyka i chemia dowiodła niezniszczalności siły i materii, tym samym dowiodła — niezniszczalności ducha. Duch bowiem, siła i materia nie są trzema rzeczami niezależnymi od siebie, ale jakby trzema bokami tego samego trójkąta. Mój duch, który wznosił się tak wysoko, że dostrzegł nieśmiertelność swoich własnych utworów, sam również musi być nieśmiertelny, tylko pełniejszy, bogatszy od nich w chwale nieśmiertelności.

W tym miejscu Madzia rozplakała się.

— Czegóż beczysz?... — zapytał brat.

— Albo nie słyszysz... — odparła.

— Słyszę traktat, który mnie zadziwia. Ale jest to tylko system filozoficzny, kombinacja umysłowa...

— Ale ja ją lepiej rozumiem aniżeli wasze tłuszcze, fosfory i żelaza, które mi zatruiły życie... A i tobie, Zdzisiu, i... wielu innym!

Brzeskiemu błyszczały oczy i wystąpiły na twarz wypieki. Dębicki siedział na fotelu z rękoma opartymi na rozstawionych nogach, z wysuniętą wargą, spokojny, jakby nie widział tych ludzi wzruszonych, tylko łańcuchy swoich rozumowań.

— Jestem bardzo rozdrażniony... — szepnął Brzeski i zaczął chodzić po pokoju, od czasu do czasu pocierając czoło.

— He?... — spytał profesor. — Cóż to, gorzej panu?...

Przeciwnie, jest mi lepiej!... — odparł Zdzisław z uśmiechem — daleko lepiej!... Ale zmęczyłem się. Otwierasz pan nowy wszechświat; ale tak różny od tego, który znam, tak przytłaczający swoją fantastycznością, że... mąci mi się w głowie...

— Rozumiem... — rzekł Dębicki krzywiąc się. — Tyle się pan naczytałeś o swoich farbach, olejach, komórkach i atomach, że nie miałeś czasu na kwestie filozoficzne. Więc i męczysz się pan jak człowiek, który pierwszy raz wsiadł na konia.

### 37. \*\*\*

Oboje Brzescy uprosili Dębickiego, ażeby zjadł z nimi obiad. Zgodził się pod warunkiem, że pozwolą mu zajrzeć do domu, do Zosi.

W godzinę był z powrotem. Jedli obiad w numerze we troje, a przez ten czas Zdzisław z doskonałym humorem opowiadał im o swojej karierze przemysłowej, na której mógł zrobić duży majątek i zabezpieczyć przyszłość rodzicom i siostrze.

— Zrobisz jeszcze majątek!... — zawołała z przekonaniem Madzia.

— Phy... — odparł niedbale — może i tak będzie. Pierwej jednak muszę rozmówić się z Tapeinerem.

Madzia z wdzięcznością spojrzała na profesora.

Trudno było o lepszy dowód, że w usposobieniu jej brata zachodzi jakaś korzystna zmiana.

Po obiedzie na wniosek Madzi poszli we trójkę do Saskiego Ogrodu. Wlekli się jak dziady na odpust, a znalazłszy w alei od Marszałkowskiej ulicy pustą ławkę zasiedli.

Gdy Zdzisław trochę odsunął się od nich, Madzia szepnęła do Dębickiego:

— Wie pan, on już nie mówi o śmierci...

Brat usłyszał to i odparł:

— Nie tylko nie mówię, ale nawet nie myślę. Nie wiem, czy kiedy spotkamy się w innym świecie... Ale przyjemniej myśleć o kwestiach dotyczących choćby fantastycznej nieśmiertelności aniżeli o gniciu.

Pan Dębicki ma słuszość: my, młodzi, nie posiadamy ukształcenia filozoficznego, a nawet — mamy wstręt do metafizyki. Tymczasem metafizyka uczy, że na świat można patrzeć z innego punktu niż materialistyczny. I nic nie stracilibyśmy na nowym poglądzie. Bo jeżeli spotka nas nicość, przynajmniej nie martwilibyśmy się za wcześniej. Ale jeżeli naprawdę za wrotami śmierci jest jakiś świat doskonalszy, to filozofia materialistyczna złą usługę oddaje ludzkości...

Chociaż... wszystko to może być tylko marzenie!... — rzeki po chwili. — Mnie, rozdrażnionego, metafizyka może uspokoić na parę dni. Ale gdyby wszyscy ludzie zapomnieli o rzeczywistości!...

Dębicki uśmiechnął się.

— Jak to trudno — mówił — otrząsnąć się z nałogów. Dla pana dusza wobec materii wciąż zdaje się posiadać mniejszy stopień rzeczywistości aniżeli ciało. Tymczasem dusza jest bardziej rzeczywistą niż ciało, jest jedyną rzeczywistością. Boisz się pan, ażeby ludzkość nie utonąła w marzeniach, czyli w rozważaniu świata duchowego. Ależ tym światem musimy się zajmować, bo on jest nami i w nas, jest naszą istotą i przyszłością; zresztą — jest co najmniej zwierciadłem, w którym odbija się natura zmysłowa. O naturze zaś i o życiu realnym ludzie nie zapomną: głód, chłód, pragnienie i tysiące innych bodźców są doskonałymi środkami mnemonicznymi. Trzeba tylko zachować równowagę: nie topić się we własnym wnętrzu, nie rozpraszać w zmysłach, ale — chodząc po ziemi trzymać głowę w niebie, dopóki — nie przeniesiemy się tam całkowicie.

Co się tycze metafizyki, z której tak wytrząsa się materializm, ach, panie Brzeski, jak ten materializm nie zna nowożytnej nauki! Przecie to rzecz wiadoma, że wielka nauka stanowczo przekroczyła granice zmysłowości i wypłynęła na ocean metafizyki.

Weź pan astronomię, która mówi, że światło ubiegające trzysta tysięcy wiorst na sekundę musi lecieć do najbliższych gwiazd stałych przez cztery lata, dwadzieścia lat, pięćset lat i tysiące lat... Gdzie pan ma środki na uzmysłowienie tego rodzaju odległości?...

Weź pan fizykę, która chcąc objaśnić nam wymiary atomu daje taki przykład. W główce szpilki jest osiem sekstyliionów atomów. Gdybyśmy co sekundę odrzucali z tej główki po milionie atomów, w takim razie skończylibyśmy nasz rachunek w ciągu dwustu pięćdziesięciu trzech tysięcy lat... Nie dziw, że po tego rodzaju rachunku Clerk Maxwell powiedział: „To, co widzimy, zrobione jest z tego, czego się nie widzi”.

A przypomnij pan sobie te setki trylionów drgań eteru na sekundę?... Albo weź pan sam ów eter. Ma on być tysiąc kwadrylionów razy rzadszy od wody, ale nie jest ani gazem, ani płynem, raczej ciałem stałym i ciąglym, rodzajem galarety. Eter ma być miliard razy mniej sztywnym od stali, ale każdy cal angielski ugniata z siłą siedemnastu bilionów funtów. Powiedz pan, czy to nie jest najfantastyczniejsza metafizyka... A przecież jest ona tylko wnioskiem z obserwacji naukowych nad ciałami i zjawiskami materialnymi.

— Więc człowiek zawsze musi wątpić!... Nigdy nie pozna prawdy!... — zawołał z goryczą Zdzisław uderzając laską w ziemię.

— Palcem nie dotknie prawdy ani nie dojrzy jej okiem, ale znajdzie ją duchem i w duchu — odparł Dębicki.

Ponieważ zerwał się wiatr chłodny, więc opuścili ogród i wrócili do numeru. Dębicki zajął fotel, a Madzia usadowiła brata w pozycji półleżącej na kanapie.

— Należy nam się od profesora objaśnienie — zaczął Brzeski. — Powiedział pan, że czucie, owo moje czucie, nie jest własnością organizmu materialnego. Więc... czegoż...

— Wytłumaczę się — odparł Dębicki. — Ale pierwszej pan powiedz mi: w jaki sposób wyobrażasz sobie materialnie proces myślenia? Co tam robi się w mózgu?

— Kwestia ta nie jest jeszcze jasna dla anatomii i fizjologii, nie wiemy, jak się to robi, tylko odgadujemy...

— Mój Zdzisiu, daj temu spokój — przerwała Madzia — bo znowu zostaniesz materialistą...

Zdzisław uśmiechnął się i mówił:

— Trzeba pamiętać, że komórki nerwowe są machinami bardzo rozmaitego typu. Jedne przykładają się do kurczenia mięśni, inne są wrażliwymi: te wyłącznie na światło, tamte wyłącznie na dźwięk, owe na ciepło, jeszcze inne na zapachy. A ponieważ komórki nerwowe odznaczają się tak wielką różnorodnością uzdolnień, można więc przypuścić, że niektóre z nich posiadają w zawiązku — zdolność myślenia. Ile razy w komórce zajdzie jakaś zmiana, najpewniej chemiczna, której towarzyszy ciepło i elektryczność, tyle razy budzi się w owej komórce niby iskierka procesu umysłowego. A jak z pojedynczych iskier tworzy się wielki płomień, tak z elementarnych, niewyraźnych skutkiem swojej małości, procesów duchowych powstaje rozległa i wyraźna myśl o czymś...

— Ach, Zdzisławie!... — zawołała Madzia — nie mów tak... Zobaczysz, że ci to zaszkodzi...

— Jej wciąż zdaje się, że jest na pensji — odparł brat. — Muszę jednak przyznać — ciągnął dalej — że psychiczna strona myślenia nie przedstawia mi się jasno... Jakich zmian chemicznych potrzeba, ażeby w komórce obudziło się czucie? Czy każdy proces chemiczny jest czuciem, czy przywilej ten posiadają tylko komórki mózgowe?... nie umiałbym odpowiedzieć.

Trzeba dodać, że komórki mózgowe mają zdolność przechowywania jakby śladów — dawniejszych wrażeń, a ta ich zdolność jest podstawą pamięci. Skończyłem.

Madzia pytającym wzrokiem spojrzała na Dębickiego.

— Cóż — odparł profesor — zbijać ani dowodzić tego, co pan powiedział, nie potrzebuję. Wolę dowieść czego innego, że — *czucie* wraz ze swoimi rozgałęzieniami, które nazywamy: spostrzeganiem, wnioskowaniem, świadomością i w ogóle — myśleniem, że owo *czucie* w żaden sposób nie może być produktem mózgu.

*Moje czucie*, które każdy z nas posiada, jest faktem elementarnym. Jeżeli niepodobna dać ślepemu pojęcia o tym, co znaczy kolor, choćby za pomocą najzawilszych kombinacji: dźwięków, zapachów, dotykań, to jeszcze mniej podobna, za pomocą jakichkolwiek ruchów nerwowych, jakichkolwiek procesów fizycznych czy chemicznych — objaśnić zjawisko czucia. Czucie odsłania przed nami cały świat, ale milion takich widzialnych i dotykalnych światów nie objaśni czucia. Może kiedyś chemia rozłoży pierwiastki chemiczne, może kiedyś potrafi z ołowiu robić złoto. Ale nikt i nigdy nie rozłoży tego pierwiastku: *ja czuję*, i nikt z procesów chemicznych i fizycznych nie zrobi *czucia*.

A jeżeli zapytacie o dowód, odpowiem: takie jest nasze najgłębsze uczucie tej sprawy, takie jest przekonanie naszej duszy, władzy, która odczuwa całą naturę i sama jedna decyduje o prawdzie lub nieprawdzie. Toteż gdyby jaki fizjolog otworzył nam żywy i zdrowy mózg ludzki, gdyby pokazał jego mikroskopijne falowania i objaśnił, że to drgnienie znaczy gniew, tamto miłość, to kolor żółty, a tamto smak kwaśny, patrzylibyśmy, może nawet zapamiętalibyśmy formy tych drgań, lecz sami — nie odczulibyśmy ani kwasu, ani miłości, ani żółtości, słowem — niczego.

Z drugiej strony, gdyby to *moje czucie* było złudzeniem, w takim razie wszystko jest złudzeniem: natura i człowiek, siła i materia, życie i śmierć. Nie byłoby już o co troszczyć się, o czym rozmawiać i myśleć. Wtedy najwłaściwiej byłoby wziąć do łudzącej ręki złudzenie zwane pistoletem i rozsadzić nim inne złudzenie — zwane mózgiem.

Dębicki przerwał i spojrział na swoich słuchaczy: Zdzisław leżał na kanapie z przykniętymi oczyma; przy nim siedziała Madzia i trzymając brata za rękę wpatrywała się w profesora.

— Nie jesteście państwo zmęczeni? — pytał Dębicki.

— Ależ nie... — zawołała Madzia.

— Przeciwnie — dodał Zdzisław — jesteśmy zaciekawieni... Czuję, że pan zbliża się do jakichś stanowczych dowodów...

— Ma pan rację — rzekł Dębicki — zbliżam się do węzła kwestii. Czy dowody, jakie wam przytoczę, będą nowymi — nie wiem. W każdym razie są moimi i zapewne dlatego przypisuję im ważność.

A teraz kilka pytań.

Czy zgadzasz się pan, że w całym obszarze naszej wiedzy największą prawdą jest fakt, że — my czujemy, że mamy czucie?...

— Rozumie się — odparł Brzeski.

— Czy zgadzasz się pan, że nasze czucie jest faktem fundamentalnym? To znaczy, że czucie towarzyszy nie tylko naszym wyobrażeniom o istnieniu siły, materii, światła, praw, jakie nimi rządzą, ale nawet naszym wyobrażeniom o — nieistnieniu tych rzeczy? Wszak możemy myśleć o tym, że świat kiedyś zginie, że jego prawa zmieniają się, że pierwiastki chemiczne zostaną rozłożone; lecz myśląc o tych katastrofach nie możemy pozbyć się — poczucia naszych myśli. Nawet wyobrażając sobie własną śmierć i nicłość jeszcze robimy to na podstawie czucia; innymi słowy: nawet nicłość wyobrażamy sobie na tle czucia...

— No... juźci chyba tak... — mruknął Zdzisław. — Choć pytanie to wydaje mi się zawikłanym...

— Ależ, mój kochany — zgromiła go siostra — nie mów tak!... Cóż w tym jest zawikłanego?

— Dobrze, niech będzie proste.

— Niech pan to pilnie rozważy — nalegał Dębicki. — Ja bowiem wykładam fakt, że mechanizm naszego czucia jest rozleglejszy od mechanizmu tej części natury, którą widzimy i dotykamy. W naszym czuciu istnieją nie tylko zwierciadła do odbijania realnych zjawisk natury, ale istnieją także szufladki, w których wyrabiają się pojęcia niekiedy wręcz sprzeczne z doświadczeniem. My na przykład nie widzieliśmy wystygłego słońca, rozbitej ziemi, a choćby naszego własnego ciała w postaci rozkładających się zwłok. A jednak o wszystkich tych rzeczach możemy myśleć...

— Innymi słowy — przerwał Brzeski — profesor mówi o tym, że człowiek posiada zdolność fantazjowania?

— Tylko o tym. Ale istnienie fantazji dowodzi, że dusza nasza nie jest płytką fotograficzną, na której odbija się świat zmysłowy, lecz jest machiną, która przerabia spostrzeżenia pochodzące od świata.

— Rozumiem.

— Doskonale!... — prawił Dębicki. — A czy wierzy pan w dalszym ciągu, że dusza nasza, czyli rozwinięte czucie, jest — nieprzenikliwym? To znaczy, że ani ja nie mogę przeniknąć pańskiego czucia, ani pan mojego?

— Tak.

— Pysznie!... A czy zgadza się pan, że nasze czucie, czyli — dusza, jest czymś jednym i jednolitym pomimo rozgałęzień, jakimi są zmysły zewnętrzne, zmysły wewnętrzne, pamięć, wyobraźnia, pragnienia, radości, gniewy i tak dalej?...

— No, o tym można by pogadać...

— Ale bardzo krótko — odparł Dębicki. — Proszę pana, to, co nazywamy naturą, składa się z mnóstwa przedmiotów oddzielnych. Są oddzielne drzewa, oddzielne krowy, oddzielne muchy, oddzielne ziarenka piasku, oddzielnymi ludzie, oddzielne promienie światła i oddzielne zmiany, jakim ulegają te promienie. Tymczasem w duszy naszej istnieje tak potężny popęd do jedności, że tę jedność narzucamy naturze i mówimy: las, stado, rój, ława piaszczysta, społeczeństwo, optyka. Wszystkie teorie naukowe i wszystkie dzieła sztuki, wszystkie prace ludzkie i wyroby techniczne powstały stąd, że dusza nasza narzuca swoją jedność nieskończonej różnorodności, jaka istnieje w naturze.

Prawda, że są przedmioty na pozór jednolite, na przykład: stół, woda, ściana... Ale ta jednolitość opiera się na niedokładności zmysłów; w gruncie rzeczy bowiem stół, woda i ściana składają się z cząstek, a te cząstki z oddzielnych i nie przylegających do siebie atomów.

Krótko mówiąc: dusza nasza jest tak jednolita, że z największą siłą narzuca swoją jednolitość wszystkiemu. I dopiero wówczas uznaje różnorodność, gdy ją do tego gwałtem zmuszą zmysły, w każdej chwili przeszkadzając jej do utworzenia jedności.

— Istotnie, że to tak wygląda — mruknął Brzeski.

— A teraz dowiodę panu twierdzenia zasadniczego. Brzmi ono tak: „Materiałem, w którym odbywa się zjawisko czucia, nie może być to, co nazywamy materią w znaczeniu chemicznym”. A więc ani tłuszcz, ani fosfor, ani ich kombinacje, ani żadne komórki i włókna nerwowe...

— To pan chyba cud robi — szepnął Zdzisław.

— Gdyby mózg był substancją posiadającą władzę czucia (a wiemy z fizjologii, że mózg nie posiada czucia), w takim razie: primo — każdy atom tlenu, wodoru, fosforu itd., wchodzący w skład mózgu, musiałby posiadać czucie; secundo — musiałby istnieć jeden atom, do którego spływałyby doświadczenia innych atomów, i ten centralny atom stanowiłby naszą duszę. Rozumie się, duszę nieśmiertelną, gdyż atomy, według nauki, są niezniszczalne.

— Dlaczego pan nie przypuszcza, że z atomów nieczułych może wytworzyć się czujący agregat?... — wtrącił Brzeski.

— Zupełnie z tej samej przyczyny, dla której gromada ślepych nie utworzy agregatu, który by mógł widzieć.

— Ależ atomy zdolne są do tworzenia agregatów posiadających całkiem nowe własności. Kwas siarczany na przykład jest zupełnie różny od siarki, tlenu i wodoru, jest rzeczą nową i nie dającą się wyrozumować z własności jego pierwiastków...

— Nie, panie — odparł Dębicki — kwas siarczany nie jest rzeczą „nową”; on tylko ma nową postać energii chemicznej, w którą wsiąknęły energie chemiczne jego pierwiastków. Co ciekawsze, że kwas siarczany posiada mniejszą energię napiętą aniżeli suma składających go pierwiastków. Pod tym względem związki chemiczne są podobne do spółek finansowych. Pan A składa sto rubli, B dwieście, a C trzysta; razem złożyli sześćset rubli, ale z tej sumy jakaś część wsiąknie w lokal, sprzęty, księgi potrzebne do utrzymania spółki, a zaledwie sto — dwieście, może czterysta rubli będzie kapitałem obrotowym, czyli energią napiętą spółki.

Lecz gdyby panowie A, B i C pojedynczo nie mieli ani grosza, to i spółka ich także nie miałaby ani grosza, jakkolwiek ustawilibyśmy tych panów obok siebie.

Przypuśćmy jednak (co nie jest rzeczą niemożliwą), że atomy posiadają czucie, a nawet świadomość, to jeszcze zgromadzenie ich nie utworzy całości, która by miała jakieś gromadzkie czucie i gromadzkie *ja*. Przecież ludzie są istotami czującymi, świadomymi, rozumnymi i mogą nawzajem komunikować sobie uczucia i myśli. Lecz co z tego?... Gdyby zeszło się dwu ludzi czy milion ludzi, gdyby porozumiewali się wszelkimi sposobami, gdyby nawet w tej samej sekundzie doznawali podobnych uczuć: miłości, radości, gniewu — to jeszcze nie utworzą razem jakiegoś nowego bytu, który posiadałby zbiorowe czucie i mógłby powiedzieć: ja, gromada, czuję to a to... Każdy bowiem z tych ludzi będzie posiadał tylko swoje własne czucie, które nie spłynie się z żadnym innym i nie utworzy wyższego czucia, wyższego — *ja*.

Mógłby zajść jeden wypadek: oto gromada ludzi wybiera jakiegoś człowieka, komunikuje mu swoje myśli i tym sposobem wywołuje w nim coś na kształt umysłowości zbiorowej. Lecz i wtedy ów człowiek będzie czuł tylko sam — wywołane w nim myśli.

Podobnie z atomami mózgu. Może rozmaite atomy posiadają czucie, każdy własne; może nawet komunikują je jakiemuś jednemu atomowi, który tym sposobem łączyłby w sobie rozmaitość wrażeń z jednością czucia, czyli — byłby naszym *ja*, naszą duszą nieśmiertelną — jak on. Na nieszczęście fizjologia uczy nas, że atomy mózgu ciągle zmieniają się i choćby nawet istniał jakiś centralny atom, to i on wyleciałby z mózgu w ciągu kilku miesięcy, a wraz z nim i nasze *ja*, które przecież, z bardzo drobnymi zmianami, jest wciąż tym samym *ja*.

— No, tak!... — mruknął Brzeski po namyśle. — Ale dlaczego profesor rozumując o atomach zastępuje ich ludźmi, o których wiemy z góry, że mają czucie i świadomość?

— Dlatego, że nie jestem filozofem, który dla postawienia teorii światła nie zajmuje się światłem, ale knotem i naftą. Mówię o czuciu, chcę wytłumaczyć czucie, więc muszę szukać nie czego innego, tylko czucia, tam, gdzie ono jest, a więc — we mnie samym i w innych ludziach. Daj mi pan sposób obserwować czucie w zwierzęciu czy w roślinie, tak jak mogę je obserwować w sobie, a wówczas będę mówił o zwierzętach i roślinach a nawet o minerałach i pierwiastkach chemicznych.

— Widzi pan — odezwał się po chwili Brzeski — to, co pan mówił, niby jest dowodem, ale... nie robi wrażenia dowodu silnego...

— Cóż pan nazywasz dowodem silnym?

— Choćby mały rachunek...

— Dobrze. Dodaj pan, ile chcesz, bytów nieczujących, pomnóż byt nieczujący przez jaką chcesz liczbę, a ten rachunek przekona cię, że — nie otrzymasz czucia.

— Tak... No, a doświadczenie?... — wtrącił z uśmiechem Zdzisław.

— Weź pan gromadę czujących i świadomych ludzi, a przekonasz się, że łącząc ich w jakie zechcesz grupy, nie otrzymasz zbiorowego czucia ani świadomości.

— To będzie doświadczenie analogiczne, nie bezpośrednie...

— A gdzie pan masz doświadczenie bezpośrednie choćby w kwestii odległości ziemi od słońca?... — spytał Dębicki. — Mechanika, astronomia, fizyka w dziewięćdziesięciu dziewięciu zjawiskach na sto opierają się na dedukcji i analogii i — mimo to — nazywają się naukami pewnymi. Dlaczegoż więc dedukcje w dziedzinie psychologii mają nie być pewnymi?... Wszak opierają się na *czuciu*, a czucie jest większym pewnikiem aniżeli jakikolwiek inny fakt na świecie czy w nauce.

Brzeski leżąc oparł głowę na rękę, wpatrywał się w profesora, rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Ma pan słuszność, że nasze pokolenie nie jest oswojone z filozofią czy z dialektyką, i dlatego ja na przykład nie potrafię zbijać pańskich poglądów. Ale... co pan sądzi o Tainie?...

— To wielki myśliciel i stylist — odparł Dębicki.

— Widzi pan... — ciągnął Brzeski. — A przecież między tym wielkim myślicielem i panem jest olbrzymia niezgoda, bo pan mówi o jedności naszego *ja*, które nie może składać się z atomów, podczas gdy Taine dowodzi, że nasze *ja* właśnie składa się jakby z atomów, bo z nieskończenie małych wrażeń, które stoją tak blisko siebie, że zdają się tworzyć jedną istotę. Naprawdę więc nasze jednolite *ja* jest złudzeniem.

— Proszę pana — rzekł Dębicki — kto powołuje się na autora, musi pamiętać, o czym on mówi i czego chce dowieść. Otóż Taine, o ile go rozumiem, w książce *O inteligencji* chciał pokazać, w jaki sposób z drobnych wrażeń, pochodzących bądź ze świata zewnętrznego, bądź z naszego wnętrza — tworzą się umysłowe wizerunki tegoż świata i wnętrza. I objaśnił, że według niego owe wizerunki podobne są do mozaikowych obrazów, które z daleka wyglądają jak malowidło, z bliska zaś są zbiorem różnobarwnych kamyków.

Co jednak jest podstawą, do której przylepiają się owe kamyki? czym jest owa istota, ów byt czy niebyt, który *ludzi się* jednolitością swoich mozaikowych obrazów?... o tym nie mówi. Lecz przypominam panu, że w końcu swego dzieła Taine uznaje możliwość metafizyki i legalność jej badań. Dusza zaś należy tymczasem do zakresu metafizyki, chociaż moim zdaniem do takiej samej metafizyki należy cała dzisiejsza fizyka matematyczna z jej atomami, teorią gazów i optyką.

W chwili gdy mówimy, że atom ma wielkość dwumilionowej części milimetra, że cząstka wodoru w ciągu sekundy uderza się dziewięć miliardów razy o cząstki sąsiednie, że światło czerwone polega na trzystu osiemdziesięciu siedmiu trylionach drgań na sekundę, w tej chwili opuszczamy dziedzinę eksperymentu i przenosimy się na ocean metafizyki.

To darmo!... Albo trzeba wyrzec się szczytów, na jakich stanęła dzisiejsza wielka nauka, i zostać płytkimi sceptykami, którzy w to tylko wierzą, czego dotkną palcem, albo musimy pogodzić się z faktem, że „rzeczy widzialne są zrobione z rzeczy niewidzialnych” i że świat realny naprawdę zaczyna się poza granicami naszych zmysłów.

— Dziwny horyzont otwiera pan przede mną — odezwał się Brzeski. — No, ale... ta dusza... dusza nieśmiertelna!... O niej niech pan mówi...

— Dowiodłem — odpowiedział profesor — (o ile te rzeczy dadzą się podciągnąć pod rubrykę dowodów), że dusza nie może być wynikiem zjawisk zachodzących w materii podzielnej, czyli tej, która podpada pod zmysły. Spróbuję teraz wytłumaczyć, jaką powinna być ta substancja, w której mieści się nasze czucie — *moje czucie*.

Więc naprzód, substancja duchowa musi być ciągła, nie może składać się z oddzielnych cząstek jak ciała materialne, a w szczególności mózg... Po wtóre — pewna masa tej substancji musi być wyodrębniona od swego otoczenia, od innych mas duchowych; gdyż



inaczej moje czucie rozlewałoby się po jakichś niezmiernych obszarach, zamiast koncentrować się w moim *ja*; gdyż inaczej ja odczuwałbym wrażenie pańskie, a pan moje. Po trzecie — substancja ta musi być wrażliwą nie tylko na tak grube wpływy, jak na przykład dotknięcie albo dźwięk, ale i na tak subtelne, jak ciepło, światło i im podobne zjawiska. Po czwarte — w tej ograniczonej masie substancji duchowej musi być nagromadzona pewna stała ilość energii, o czym świadczy choćby nasza twórczość umysłowa, wybuchy uczuć i — wola. Wszystkie te wnioski wypływają bądź z naszych obserwacji nad *samym sobą*, bądź nad zewnętrznymi zjawiskami.

A teraz wyobraź pan sobie kulę czy sześcian, czy inną bryłę zbudowaną z substancji czującej i ciąglej. Gdyby na bryłę tę nic nie działało, wewnątrz jej odbywałyby się jakieś jednostajne ruchy, a jej czucie miałyby formę pólenną. W chwili jednak, gdyby bryła ta uległa dotknięciu, gdyby uderzył o nią dźwięk, promień ciepła lub światła, w masie jej powstałby nowy ruch i czucie. Ten punkt, na który działałby wpływ zewnętrzny, doznałby wrażenia, a reszta masy poczułaby, że w niej zaszła jakaś zmiana, i powiedziałyby w sobie: „ja czuję wrażenie”, jeżeli wolno użyć podobnego porównania.

Słowem: w masie jednolitej, posiadającej zdolność czucia, każda pobudka zewnętrzna wywołałaby dwa zjawiska. Jednym byłby ruch pochodzący z zewnątrz, któremu odpowiadałoby czucie zewnętrzności; drugim byłoby starcie nowego ruchu z ruchem już istniejącym, któremu odpowiadałoby poczucie własnej masy, czyli swojego *ja*.

— Ależ pan opisuje to, co zachodzi w masie mózgowej — zawołał Brzeski.

— Nie, panie — odparł profesor. — Ja mówię o tym, co może zachodzić w masie *jednolitej i czującej*. Mózg zaś nie jest ani jednym, ani drugim. Mózg jest tylko przewodnikiem, za pośrednictwem którego świat materialny działa na mechanizm zbudowany z substancji duchowej.

— W takim razie wymyślił pan jakąś substancję nie istniejącą...

— Pociesz się pan. Substancja podobna może istnieć, choć nie podpada pod zmysły. Odkryła ją nie psychologia i nie metafizyka, ale — fizyka. Jest nią *eter*, materiał nie mający wagi, przenikliwy dla materii ważkiej, delikatniejszy od najsubtelniejszych gazów, jednorodny, a zarazem *ciągły*, to jest nie składający się z oddzielnych cząstek. Eter ten wypełnia zarówno przestrzenie międzyplanetarne i międzygwiazdowe, jak i międzyatomowe. Jest on rezerwuarem takich form energii, jak ciepło, światło, elektryczność; jest zaś prawdopodobne, że to, co nazywamy „ciążeniem” i — „ruchem” ciał materialnych, zawdzięcza swój byt specjalnym falowaniom eteru.

Otóż ma pan substancję, której brakuje tylko czucia, ażeby mogła nazywać się duchową.

Ale jest jeszcze jeden szczegół ciekawy. Wiliam Thomson odkrył za pomocą rachunku następujące twierdzenie:

„Gdyby siła twórcza w jednolitej masie eteru wywołała »wiry pierścieniowe« (podobne do kólek z dymu tytoniowego, które wypuszczają z ust wprawni palacze), wówczas te »wiry pierścieniowe« byłyby nie tylko wyodrębnione z masy eteru, ale jeszcze — byłyby niezniszczalne, czyli nieśmiertelne”.

Zdaje mi się, że teoria eteru i twierdzenie Thomsona stanowią kładkę, która mogłaby połączyć fizykę z psychologią i — z powszechną wiarą ludzi w nieśmiertelność duszy.

Ponieważ Brzeski niekiedy chwycił się za głowę, więc profesor przerwał i posiedziawszy kilka minut pożegnał rodzeństwo.

— Ale jutro wstąpi pan do nas? — zapytała Madzia błagalnym tonem.

— Owszem — odparł, już stojąc we drzwiach.

### 38. \*\*\*

Drugą noc Zdzisław przespał w łóżku, a Madzia na fotelu. Dopiero o piątej zbudził ją kaszel brata. Przybiegła do niego i spojrzała; był spotniały, miał błyszczące oczy i wypieki na twarzy.

— Gorzej ci?... — spytała przestraszona Madzia.

— Skądże znowu?... — odparł spokojnie.

— Kaszlesz...

— Cóż to za kaszel!...

— Masz gorączkę...

— I to głupstwo. Owszem, tak wzmocnił mnie sen, że zaczynam przypuszczać... At, niedołążnieję, i tyle!

— Ależ, Zdzisiu — zawołała siostra ściskając go — właśnie uwierz w to, że musisz być zdrow, a wyzdrowiejesz...

— Może!... — odparł. — Pyszna rzecz leżeć na łóżku... — mówił dalej. — Gdybyś była ze mną w czasie tego podłego zapalenia płuc, nie miałbym dziś awantury...

— Dlaczegożes mnie nie wezwał?...

— Nie śmiałem. Tyle pisałaś o swojej samodzielnej pracy, tak byłaś szczęśliwą, że nie jesteś ciężarem i nadzwyczajnym dodatkiem w rodzinie (pamiętasz?...), iż byłoby podłością pozbawić cię tego zadowolenia... Wreszcie ja sam czułem się dumny z takiej siostry emancypantki...

— Nigdy nie byłam nią... — szepnęła Madzia.

— Byłaś, moje dziecko, byłaś!... — odparł z odcieniem smutku Brzeski. — Taki duch czasu, że wszyscy młodzi mężczyźni są pozytywistami, a kobiety emancypantkami...

Dziś — dodał po chwili — gdy stanąłem nad grobem, a nade wszystko, gdy słucham tego oryginała Dębickiego, żal mi... Ach, jak inaczej urządziłbym sobie życie, gdybym wierzył w nieśmiertelność!...

— I ja byłam nieszczęśliwa — wtrąciła Madzia. — Chociaż dziś nawet nie wyobrażam sobie, jak można nie wierzyć...

— Wam łatwiej przychodzi odzyskanie wiary — rzekł Zdzisław — mniej czytacie, mniej rozprawiacie... Ale nam!... Poza argumentami, które nawet wyglądają rozsądnie, widzimy znaki zapytania... Bo czyliż teoria Dębickiego jest czymś więcej aniżeli hipotezą, fantazją?... Chociaż... tym *czuciem* naprawdę zabił mi klina w głowę...

— Wiesz, co mi przyszło na myśl?... — zawołała nagle Madzia.

— No?...

— Jedź jak najprędzej do Meranu i... mnie zabierz.

Brzeski wzruszył ramionami i sposepniał. Madzia znowu zrozumiała po raz nie wiadomo który, że jej brat zaciął się w tej sprawie.

Przed jedenastą z rana zapukał do drzwi Dębicki. Madzia i jej brat przyjęli go okrzykami radości.

— Cóż tam, dobrze? — zapytał profesor.

— Niech pan sobie wyobrazi — odparła Madzia — że Zdzisław spał całą noc i jest pełen otuchy...

— Nie przesadzaj — wtrącił brat. — Po prostu zrozumiałem, że zarówno nicość wieczna, jak i moje suchoty nie są pewnikami...! Można o nich rozprawiać...

Dębicki wysunął dolną wargę.

— Uuu!... — mruknął. — Ależ pan naprawdę jesteś zdrowszy, aniżeli przypuszczasz, a nawet, aniżeli ja myślałem...

Roześmieli się wszystko troje.

— Wie profesor — odezwał się Zdzisław — że dziś wieczór wyjadę do Meranu...

— Bardzo dobrze.

— A mnie ze sobą nie chce wziąć... — wtrąciła Madzia.

— Tym lepiej.

— Więc i pan profesor przeciw mnie?... — zapytała z żalem.

— Ale pan profesor winien nam dokończenie swojej teorii — przerwał brat.

— Owszem, dokończę.

— O duszy, panie profesorze... o tej duszy, w którą chcę uwierzyć i... nie mogę!... — zawołał Zdzisław.

— Proszę pana — odparł Dębicki siadając na fotelu — zapewne słyszał pan o dwu nowych wynalazkach w dziedzinie akustyki. Jednym jest jakiś telefon, rodzaj telegrafu, który przenosi nie tylko szmery, ale tony, śpiew i ludzką mowę. Drugim ma być — fonograf — cudacka machina, która jakoby utrwała artykułowane dźwięki na cynfolii, przechowuje takowe i... odtwarza w razie potrzeby!... Wyznaję panu, że każda z tych wiadomości w pierwszej chwili rozśmieszyła mnie. Ale gdy przeczytałem opisy tych aparatów, zobaczyłem rysunki, zastanowiłem się... już nie zdumiewają mnie. I nie zdziwiłbym

się, gdybym zobaczył na własne oczy ów telefon przenoszący i fonograf — przechowujący mowę ludzką.

To samo z każdą nową prawdą. Z początku przeraża nas, odurza, zdumiewa... A w końcu przyzwyczajamy się do niej i nawet dziwimy się, że można było wątpić...

— Pan profesor ma zupełną rację — wtrąciła Madzia.

— Tak — odezwał się Zdzisław. — Ale jeżeli dusza różni się od materialnych zjawisk, w takim razie powinna posiadać jakieś niezwykle, niematerialne funkcje...

— Za pozwoleniem... Funkcje duszy są „zwykłe” — dla nas, ale zarazem są i niematerialne. Na przykład. Wie pan, że nasze oko podobne jest do kamery fotograficznej zamkniętej wrażliwą płytką. Na tej płytce malują się obrazy przedmiotów w ten sposób, że każdy przedmiot widzimy tylko z *jednej strony*. Pan widzisz mnie z frontu — nie z tyłu i nie z boku, a już wcale nie widzisz mego wnętrza. Otóż, proszę pana, wyobraźnia nasza posiada tę własność, że w jednej chwili możemy przedstawić sobie człowieka nie tylko z przodu, z tyłu, z boków, z góry i z dołu, ale nawet — jednocześnie możemy przedstawić sobie jego płuca, serce, żołądek, słowem — wnętrza. Innymi wyrazami: nasze oko materialne, w najlepszym razie, ogarnia tylko trzy ściany równoległoscianu, i to w skróceniu, nasza zaś wyobraźnia ogarnia — wszystkie jego ściany i — wnętrza.

— Ależ, profesorze, zjawisko to polega na kojarzeniu wyobrażeń!... — zawołał Brzeski.

— Daj pan spokój... Według teorii kojarzenia, która jest wybiegiem w psychologii, każda ściana i wnętrza bryły ma specjalną komórkę w mózgu, które to komórki w pewnej chwili grają razem. Lecz tu nie chodzi o możliwą czy niemożliwą „grę komórek”, ale o fakt, że ja — w jednej chwili — mogę czuć rzeczy, których natura nigdy nie pokazuje mi w jednej chwili... Mogę na przykład wyobrażać sobie, czyli — czuć w pamięci — nawet siebie samego w wieku dziecięcym, młodzieńczym, dojrzałym i obecnym, czego nikt nigdy nie widział i nie zobaczy, przynajmniej w tym życiu.

— Ależ to jest kojarzenie wspomnień... pamięć!... — wtrącił Brzeski.

— A co to jest pamięć?... Pamięć jest to X czy *alfa*, a wyobraźnia jest to Y czy *beta*... Czego mnie te wyrazy uczą?... Niczego. W całej naturze znajdujemy ślady pamięci. Na drzewach znać ślady siekier, na polu ślady deszczów, w skorupie ziemskiej ślady epok geologicznych. Może być, że i w mózgu są tego rodzaju ślady, ale one nie są pamięcią, czyli współczesnym czuciem wrażeń o całe lata oddalonych od siebie.

Wreszcie powiem panu, że owe ślady na mózgu wydają mi się bardzo wątpliwymi. Gdyby człowiek odbierał na godzinę tylko sześćdziesiąt wrażeń, miałby ich na dzień przeszło siedemset, na rok przeszło dwieście pięćdziesiąt tysięcy, a na pięćdziesiąt lat przeszło dwanaście milionów. Gdzie, u licha, pomieści się to wszystko, jeżeli najprostsze wrażenie (według waszej psychologii) potrzebuje kilkudziesięciu, a nawet kilkuset komórek?

— Mózg składa się z bilionów komórek...

— Wybornie. Ależ gdzie są komórki utrzymujące porządek w tej bilionowej orkiestrze?... I czyliż te rozmaite komórki, złożone z oddzielnych atomów, mogą wytworzyć jedność czucia?

Zresztą, kochany panie Zdzisławie, porównaj dwa poglądy. Ja mówię: dusza jest istotą prostą: wprawdzie nie rozumiem jej budowy, ale czuję jej prostotę. Zaś materializm uczy: mózg jest organem strasznie złożonym, którego nie rozumiesz, a czucia jednostki — wcale nie możesz pojąć. Która z tych teorii ma więcej sensu?

— Więc czymże jest mózg?

— Mózg jest niesłychanie ważnym organem duszy w jej życiu ziemskim. Jak w oku zbiegają się promienie światła, a w uchu dźwięki, tak w mózgu — zbiegają się wszystkie potrącenia przychodzące do nas z zewnątrz.

Mózg jest soczewką, która ogniskuje wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe, węchowe, muskularne, żołądkowe, płucne i tak dalej i dlatego — ma skomplikowaną budowę. Rozmaitość świata zewnętrznego wywołała w najwyższym stopniu zawiklaną architekturę mózgu, ale to właśnie bogactwo architektury stanowi namacalny dowód, że mózg nie wytwarza czucia. On wytwarza potrącenia, ruchy drobinowe, które — odczuwa niezłożona dusza.

— Mówi pan: niezłożona dusza. A czymże pan objaśni fakt, że w pewnych chorobach umysłowych ten sam człowiek uważa siebie za inną osobę? Czym pan wytłumaczy podwójną świadomość, o której mówią psychiatrzy i Taine?...

— Tej kwestii już nie będę rozwijał, bo mi zabraknie czasu — odparł Dębicki. — Więc powiem krótko, pod warunkiem, że nie ogłosisz mnie pan za wariata.

Nasza „materialna osoba” jest bryłą trójwymiarową, zaś duch jest bytem co najmniej czterowymiarowym, rozumie się, według mego pojmowania rzeczy. Otóż ów byt czterowymiarowy może przedstawiać się samemu sobie w postaci nie tylko dwu, ale nawet — czterech różnych osób trójwymiarowych. Zatem „zdwojona świadomość” stanowi nowy dowód różnicy, jaka istnieje między duchem i materią.

— Więc dlaczego chorzy na dwuosobowość w tej drugiej osobie nie poznają samych siebie? — spytał Brzeski.

— A czy pan poznałbyś siebie, gdybym nagle pokazał ci twoją fotografię zrobioną na przykład z tyłu?...

— W głowie mi się kręci!... — zawołał ze śmiechem Brzeski.

— Ja też nie myślę dalej wykladać tych stron psychologii, które są mniej jasne i wymagają długich przygotowań. Wierz mi na słowo, że dusza ludzka, mimo całej prostoty, jest pełną tajemnic, których bezpieczniej nie zaczepiać w tym życiu. Bóg na obecną fazę wiecznego rozwoju dał nam ciało materialne, trójwymiarowe i pozwolił badać trójwymiarową naturę. Tego się trzymajmy i w tych granicach spełniamy Jego wolę.

— A któż zna Jego wolę?...

— I pan ją poznasz, tylko wsłuchaj się w najgłębsze pragnienia, w najcichsze szepty własnej duszy. A jeżeli chodzi o hasło, to głoszą je wszystkie doskonalsze wyznania: przez ziemskie życie i prace do zaziemskiego, przez wieczne życie i prace — do Boga. W tym jest cała mądrość świata i światów, jakie kiedykolwiek istniały i istnieć będą.

— Musi pan jednak przyznać — odezwał się po chwili Zdzisław — że wszystko, cośmy słyszeli, są to dopiero hipotezy... Dusza eteryczna, cztery wymiary, wieczny rozwój!... Wszystko to może istnieć tylko w naszym umyśle, nie zaś w rzeczywistości...

Dębicki pokiwał głową.

— Kochany panie — odparł — nie wykopuj przepaści między duszą a duchowością powszechną, gdyż taka otchłań nie istnieje. Dusza nasza jest małym wszechświatem, małym zegarkiem wśród olbrzymiego zegaru. I tylko dlatego odczuwamy zjawiska natury, pojmujemy je i odgadujemy; tylko dlatego nasz rozwój indywidualny podobny jest do rozwoju, a nasza twórczość do twórczości całej natury.

Jak ziarno złota ma ten sam kolor, ciężar gatunkowy, ciągłość, co i centnar złota, tak nasz duch ma te same własności co i duch powszechny. Z tego powodu sędzę, że człowiek, choćby miał najdziwniejsze pomysły, nie wymyśli nic takiego, co by nie istniało w rzeczywistości, byle nie wychodził z granic logiki, czyli praw natury. A na dowód, przypomnij sobie choćby rozmaite formuły matematyczne, które z początku wydają się fantazjami, lecz prędzej czy później stają się wyrazem konkretnych zjawisk.

Wyobraź sobie maszynę rachunkową, która daje wypadki w dwudziestu cyfrach, i pomyśl: czy aby jedna z tych cyfr nie odpowiada jakimś ilościom rzeczywistym, jeżeli maszyna działa prawidłowo? Jedyną wadą maszyny nie to jest, że wydaje mnóstwo cyfr, ale raczej — że jej cyfry są zaledwie częścią rzeczywistości.

Toż samo nasz umysł. Jego najśmielsze teorie, byle logiczne, muszą odpowiadać jakimś zjawiskom rzeczywistym, choćby wymykającym się spod obserwacji. I nie w tym leży zło, że twórczość umysłowa nie zawsze godzi się ze zmysłowymi doświadczeniami, ale — że nasza twórczość jest zbyt ubogą do ogarnięcia rzeczywistości. Jest to kropla wody w oceanie, a my sami z całą naszą fantazją podobni jesteśmy do kretów nie domyślających się, że ich ciasne kretowiska leżą wśród cudownych parków, między posągami i osobliwymi roślinami.

My z kilkoma naszymi zmysłami tyle wiemy o otaczającej nas rzeczywistości, ile przyrośnięta do skały ostryga wie — o bitwie morskiej, która toczy się na jej wodach.

— Jakież cel tego wszystkiego?... Po co ta bogata rzeczywistość?... — szepnął chory.

Dębicki smutnie uśmiechnął się.

— Na to odpowiada każda wyżej rozwinięta religia, którymi, niestety! wy nie zajmujecie się, gdyż to nie jest modne...

Bóg jedyny, wszechmocny i nieskończony, pragnąc mieć dokoła siebie istoty swobodne, szczęśliwe, a pojmując go, stworzył substancje duchowe — jakieś etery... czy ja wiem zresztą co?... Dał tym substancjom zdolność czucia i niezmierną energię; lecz chcąc je zrobić, o ile można, samodzielnymi, a więc w najwyższym stopniu szczęśliwymi i doskonałymi, nie stworzył im gotowych mechanizmów wewnętrznych, lecz pozwolił im rozwijać się własną pracą. Stąd w naturze widzimy bezładną materię kosmiczną, potem określone pierwiastki chemiczne, potem związki chemiczne, dalej — kryształy, komórki i niższe organizmy. Wszystko to są indywidualności półświadome, które w stopniowym rozwoju osiągają zupełnej świadomości, coraz wyższej, coraz zdolniejszej do poznania Boga.

Z tego powodu przypuszczam, że ów duch powszechny nie tylko z biegiem czasu dzieli się na coraz większą liczbę świadomych osobników, ale sam uświadamia się coraz lepiej i nabiera doświadczenia. W epoce chaosu, o którym mówi zarówno nauka, jak i religie, duch powszechny działał na oślep. Toteż wówczas nie było praw natury, czyli zjawisk prawidłowych rozwijających się w kierunku najmniejszego oporu. Dopiero z biegiem czasu ukazał się regularny ruch falisty, rozchodzenie się sił po liniach prostych, prawo masy i odległości, równoważniki chemiczne i tak dalej.

Dziś żyjemy w epoce, kiedy ów duch powszechny już wybudował sobie tu i owdzie terytoria, na których mogło zakwitnąć życie indywidualne i świadome. Nie wątpię jednak, że przyjdzie czas, kiedy cały wszechświat zostanie uświadomiony, kiedy skończy się epoka prób i omyłek, a wszystko, co jest, utworzy doskonałą harmonię. Będzie to królestwo boże we wszechświecie.

Z tej teorii — ciągnął Dębicki — wynika proste objaśnienie złego na świecie.

„Jeżeli jest Bóg wszechdobry i wszechmocny — mówią pesymiści — to dlaczego nie stworzył świata doskonałym i szczęśliwym, lecz dopuścił zło i cierpienia?...”

Oto dlaczego. Bóg chciał nas stworzyć, o ile można, samodzielnymi, nawet wobec Niego; więc zamiast gotową doskonałością obdarzył nas i całą naturę przywilejem stopniowego, samodzielnego doskonalenia się. A że wszystko doskonalili się za pomocą szukania nowych dróg, błędzenia, więc i w naturze dzieją się błędy i one są *złem*, pierwotnym źródłem cierpień.

Z czasem jednak ów duch powszechny nabiera doświadczenia, zapamiętywa je i dzięki temu wstępuje na wyższy szczebel doskonałości.

— A jednak cierpienie to przykra rzecz! — wtrącił Brzeski.

— Przykra — tak, ale i nieoceniona. Cierpienie jest tym cieniem, który uwydatnia chwile przyjemne i wyraźniej określa naszą świadomość, naszą osobistość. Cierpienie i pragnienie są bodźcami, które podniecają twórczość, popychają nas do doskonalenia się. Cierpienie w końcu jest jednym z bardzo silnych węzłów zacieśniających solidarność między ludźmi. Szczęśliwy, kto zamiast narzekać na cierpienia, uczy się od nich.

— Co to znaczy jednak bliskość grobu!... — odezwał się po chwili Zdzisław. — Gdyby mi rok temu wykladał kto podobne teorie, roześmiałbym mu się w oczy. A dziś słucham ich z przyjemnością, a nawet zapełniam nimi pustkę śmierci, która mnie tak przerażała!

— Więc ty jeszcze nie wierzysz? — zawołała Madzia.

Chory wzruszył ramionami.

— Nic w tym złego — rzekł Dębicki. — Brat pani musi przemyśleć, przedyskutować z sobą samym to, co słyszy...

— A dlaczegoż ja nie dyskutuję?... — wtrąciła Madzia.

— Bo pomiędzy panią a wiarą, której uczono cię w dzieciństwie, nie przemknęło się tyle teorii i zwątpień, ile w życiu brata. On więcej stykał się ze sceptycznym duchem czasu aniżeli pani.

— Przeklęty ten sceptycyzm! — szepnęła Madzia.

— Proszę pani, sceptycyzm jest jednym z bodźców do szukania prawdy. Ja sam przez dziesiątki lat wątpilem o wszystkim, ba! nawet o logicznych i matematycznych pewnikach. I długą drogę przeszedłem, zanim zrozumiałem, że najważniejsze dogmaty religijne: Bóg i dusza, nie tylko godzą się z naukami ścisłymi, ale wprost są fundamentem filozofii. Człowiek z niepokonaną siłą szuka teorii, która by ogarniała i tłumaczyła nie tylko zjawiska tak zwane materialne, ale — i własną duszę, jej rozmaite a tak realne pragnienia i nadzieje. Otóż o ile Bóg, dusza i świat duchowy otwierają przed nami rozległy horyzont,

w którym mieści się wszystko, o czym myślimy i co czujemy, o tyle bez Boga i ducha nawet świat zmysłowy, pomimo swego porządku, staje się chaosem i piekłem. Niczego nie rozumiemy, dręczymy się własnym istnieniem.

Mamy więc dwie teorie: jedna wszystko wyjaśnia, wszystko uszlachetnia i w niesłychany sposób potęguje nasze siły; druga — wszystko upadła, zaciemnia, a nas psuje i paraliżuje. Któraż więc z tych hipotez może być prawdziwą... jeżeli dodamy, że w naturze prawda polega na harmonii, na wzajemnym wspieraniu się rozmaitych przedmiotów i zjawisk?

— Jakże pan sobie wyobraża życie wieczne? — nagle zapytał Brzeski.

— W sposób bardzo realny, choć niematerialny, który wymaga wstępnego objaśnienia. Głęboki matematyk Babbage zrobił kiedyś taką uwagę: „Gdybyśmy mogli obserwować najdrobniejsze zjawiska w naturze, każda cząstka materii opowiedziałaby nam wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło. Prześlizgująca się na powierzchni oceanu łódka zostawia bruzdę utrwaloną na wieki za pomocą ruchu cząstek wody, które wciąż napływają... Samo powietrze jest olbrzymią biblioteką, w której zapisano wszystko, co kiedykolwiek wypowiedział kto czy wyszeptał. Tu upamiętniono na wieki zmieniającymi się, ale niezatartymi głoskami pierwszy krzyk niemowlęcia, ostatnie tchnienie konającego, nie wykonane śluby, nie dotrzymane przysięgi...”

Słowem, według Babbage’a, żadne zjawisko ziemskie nie ginie, lecz utrwała się na zawsze bodaj w dwu tak niestałych elementach, jak woda i powietrze. Tym większe mamy prawo przypuszczać, że podobne zapisywanie i uwiecznianie zjawisk dokonywa się w masie eteru...

— Czego jednak nie widzimy... — wtrącił Brzeski.

— A czy widzisz pan drgania ultrafioletowe powyżej ośmiuset trylionów?... Albo drgania ciepłikowe od stu do czterystu trylionów, albo nieskończoną ilość mniej szybkich? Drgania eteru, zwane światłem, są tak dokładne i subtelne, że dzięki nim znamy kolory, kształty i wymiary przedmiotów. Czy zaś sądzisz pan, że drgania ciepłikowe są mniej subtelne i że gdybyśmy mieli odpowiedni zmysł, nie moglibyśmy za pośrednictwem promieni ciepła odróżniać form, wielkości, a zapewne i jakichś innych własności przedmiotów? Pamiętaj pan, że ruchy drgające są jak pędzle, rylce i dłuta, za pomocą których każdy przedmiot i każde zjawisko zapisuje się na wieki w przestrzeniach wszechświata, w masie eteru.

Ja w tej chwili mówię, głos mój niby znika, a właściwie — przekształca się w ciepłikową formę energii i — zapisuje się gdzieś... Płomień gaśnie, ale drgania świetlne i ciepłikowe, które wzbudził, już zapisały się na wieki... W podobny sposób zapisuje się gdzieś w przestrzeni każdy kryształ i komórka, każdy kamień, roślina i zwierzę, każdy ruch, dźwięk, uśmiech, łza, myśl, uczucie i pragnienie. A gdybyśmy mieli oko zdolne do chwytania promieni ciepłikowych i gdybyśmy mogli dostrzegać je w odległych przestrzeniach międzyplanetarnych, zobaczylibyśmy historię świata wszystkich wieków ubiegłych, wreszcie — historię naszego własnego życia w najdrobniejszych i najbardziej tajemnych szczegółach.

Madzia otrząsnęła się.

— Jakież to straszne! — szepnęła.

— Niejeden astronom — mówił Dębicki — dziwił się, dlaczego we wszechświecie jest tyle pustego miejsca? dlaczego wszystkie gwiazdy, razem wzięte, znaczą tyle, co kropla w oceanie wobec masy eteru? Tymczasem eter nie jest wcale pusty: on jest pełny zjawisk i życia płonącego na słońcach i planetach. Każde słońce, każda planeta, każda istota materialna są tylko wrzecionami, które w czującej masie eteru przędą nici wiecznych i świadomych istnień.

Weź pan naszą ziemię. Ona bynajmniej nie opisuje elipsy w przestrzeni, ale olbrzymią linię grajarkowatą, której każdy skręt ma około sto trzydzieści milionów mil jeograficznych długości. Rok więc nie jest pojęciem abstrakcyjnym, ale linią wykreśloną w eterze; zaś pięćdziesiąt lat życia ludzkiego to nie znaczy pięćdziesięciu złudzeń, lecz — pięćdziesiąt skrętów linii spiralnej długiej na siedem miliardów mil. Nasze więc akta osobiste zajmują dosyć miejsca we wszechświecie...

— Szczęściem eter jest tak subtelny, że nikt naszej historii w nim nie przeczyta... — uśmiechnął się Brzeski.

— Nie łudź się pan. Eter jest tak dziwną substancją, że z jednej strony, bryły materialne posuwają się w nim ze swobodą cieniów, lecz z drugiej strony, jest on substancją zbitą. Young rozważając zjawiska światła doszedł do wniosku, że ów eter może być twardy jak diament!...

W takim materiale dadzą się wykonywać piękne i trwałe rzeźby. Toteż nie dziw się pan, jeżeli kiedyś zobaczysz naszą planetę w pierwszych epokach jej istnienia; jeżeli spotkasz olbrzymie potwory, których dziś mamy tylko szczątki; jeżeli poznasz się z Peryklosem, Hannibalem, Cezarem... Gdyż oni tam są!... Ale nade wszystko myśl o tym, że w nowym życiu spotkasz siebie samego w niemowlęctwie, dzieciństwie, chłopięctwie... bo wszystko to zostało odfotografowane i wyrzeźbione. Pomyśl też, że każdy czyn, spełniony tu, na ziemi, może wpływać na szczęście lub nieszczęście w tamtym świecie.

— Bajki z tysiąca i jednej nocy! — zawołał Brzeski.

— W każdym razie — odparł profesor — bajki te w dziwny sposób godzą się z najnowszymi zdobyczami nauk ścisłych i objaśniają wiele zagadek świata materialnego. Co więcej: tłumaczą pewne wykrzykniki dusz natchnionych. „Oko nie widziało, ucho nie słyszało, rozum nie pojął — mówi jeden z Ojców Kościoła — co Bóg przeznaczył dla wiernych swoich”. A święta Teresa dodaje: „Przed życiem czuję, nie przed śmiercią, trwogę... Bo takie światy widzę tam, przed sobą, że mi ten ziemski grobową żalobą...”.

— Gdybyż tak było... — rzekł Zdzisław. — Zamiast bać się śmierci szukalibyśmy jej...

— Szukać nie ma powodu, gdyż w tym życiu zbieramy kapitał do życia przyszłego. Ale bać się!... Obawa śmierci tak skandaliczna, a tak pospolita wśród obecnego pokolenia jest chorobą wynikającą z zaniedbania higieny ducha. Zdrowie ducha wymaga, ażebyśmy równie często myśleli o Bogu i życiu wiecznym jak o jedzeniu i o rozrywkach; a że tego nie robimy, więc zamiera u nas zmysł duchowy i stajemy się gorszymi kalekami niż ślepcy. Stąd nasze życie nierówne i gorączkowe, stąd brudny egoizm, nurzanie się w drobiazgach, brak wysokich celów i osłabiona energia. Dzisiejsza cywilizacja, która zamiast Boga i duszy postawiła pierwiastki chemiczne i siły, wygląda marnie, a może skończyć bankructwem.

— No, tak oburza się pan przeciw ubóstwieniu siły i materii, a sam pan jest, zdaje się, panteistą — rzekł Zdzisław.

— Ja? — zawołał zdziwiony Dębicki.

— Przecież eter nazywa pan duchem powszechnym...

— Nie rozumiemy się. Widzi pan, według mojej hipotezy eter czujący jest substancją duchową, materiałem, z którego powstają dusze i który sam dąży do świadomości. Ale ten eter, ten ocean, w którym pływa sto milionów słońc, jest masą ograniczoną, może formy elipsoidalnej. Zaś poza obrębem tego oceanu, tego ducha, w którym żyjemy i którego jesteśmy częścią, może być miliony innych oceanów eterycznych zaludnionych przez miliardy innych słońc. Wśród owych oceanów może grają całkiem inne siły, rządzą inne prawa, o których nie mamy pojęcia.

Każdy taki ocean może być odrębnym wszechświatem duchów więcej lub mniej posuniętych w rozwoju. Ale wszystkie one są dziełem jednego Stwórcy, o którym wiemy tylko, że — jest — i jest Wszecchpotężny.

Nie stosują się do Niego pojęcia wielkości ani czasu, gdyż same Jego dzieła nie mają początku, końca ani granic w przestrzeni. Ten świat, w którym żyjemy i na który patrzymy, rozciąga się w trzech wymiarach i w jednym czasie... ale Bóg ogarnia nieskończoną ilość wymiarów i nieskończoną rozmaitość czasów. On z nicości tworzy przestrzeń i napełnia ją wszechświatem. On jest środkowym punktem i źródłem energii nie dla gwiazd i mgławic, bo gwiazdy to nędzny pył, ale dla tych eterycznych oceanów, w których unoszą się gwiazdy i mgławice.

I dziwna rzecz — ta bezmierna Moc wcale nas nie przeraża: myślimy o Niej bez trwogi, z ufnością i nadzieją, jak dzieci o ojcu. Choć między Nim i nami istnieje otchłań, której nie zapełnią wszystkie potęgi wieczności.

Czymże jest śmierć wobec Niego i czy można przypuszczać, ażeby w państwach tego Władcy najdrobniejsza rzecz obróciła się w nicłość? Przecież cokolwiek jest, jest w ostatecznym źródle dziełem Jego woli, a więc musi być wiekuistym. Nad pozornymi grobami ludzi, rzeczy i światów unosi się On, jak słońce nad zaoraną ziemią, w którą padły nasiona nie po to, aby zginąć, ale ażeby wydać nowe, bogatsze plony.

— Cóż, Zdzisiu?... — po chwilowej ciszy odezwała się Madzia.  
— Albo ja wiem co?!... — odparł. — Choć zaczyna mi się zdawać, że ludzki umysł, w którym możliwe są takie pojęcia, składa się nie tylko z fosforu i tłuszczu...  
— A teraz bałbyś się śmierci?... — szepnęła siostra biorąc go za rękę.  
— Nie. Pomyślałbym o wielkości Boga i rzekłbym: nie wiem, co ze mną zrobisz, Panie, ale cokolwiek zrobisz, będzie lepszym od moich teoryj.

### 39. ODJAZD

Po obiedzie, na którym był profesor, Brzeski oświadczył, że wyjeżdża wieczorem, i prosił siostrę, ażeby kupiła mu kilka sztuk bielizny.

Usłyszawszy to Madzia spojrzała na brata wzrokiem pytającym, a tak smutnym, że Dębickiemu żal jej się zrobiło. Ale Zdzisław sposepniał, odwrócił się od siostry i zaczął wyglądać oknem na Saski Plac.

Nie było rady i Madzia musiała wyrzec się projektu towarzyszenia choremu w podróży. Ale kiedy wyszła do miasta po sprawunki, profesor odezwał się:

— Dlaczego uparłeś się pan, ażeby nie wziąć ze sobą siostry?... I panu byłoby wygodniej, i ona mniej dręczyłaby się obawami...

— Tak pan sądzi?... — cierpko odpowiedział Brzeski. — A jeżeli za tydzień... dziesięć dni mnie już nie będzie?... Cóż ona zrobi między obcymi, gorzej niż sama, bo z trupem?...

— Nie możesz się pan otrząsnąć ze swoich przywidzeń...

— Eh, mój profesorze, nie grajmy komedii — odparł Brzeski. — Mam jakąś jedną setną prawdopodobieństwa, że moja choroba jest niegroźnym zakatarzeniem płuc i żołądka, z czego można wyleczyć się. Ale mam dziewięćdziesiąt dziewięć na sto szans, że to suchoty, które albo skończą się bardzo prędko, albo na rok czy na parę lat zrobią mnie niedołącznym, zatrują życie, zjedzą fundusz, jaki zebrałem... No, a ja na inwalidę nie posiadam kwalifikacyj.

Zdzisław mówiąc to machnął ręką. Dębicki przypatrywał mu się i milczał.

Brzeski poszedł do swej walizy, wydobył sporą kopertę i podając ją profesorowi rzekł:

— Mam do pana prośbę. Tu jest moje świadectwo ubezpieczenia na dwadzieścia tysięcy rubli i kwity. Niech pan to weźmie do siebie. Gdyby mnie spotkała w drodze jaka nieprzyjemność...

Dębicki schował kopertę do kieszeni.

— Te pieniądze będą dla rodziców i młodszej siostry. Prócz nich mam trzy tysiące rubli gotówką, które chciałbym zostawić Madzi. W razie wypadku przyszlę na ręce pańskie przekaz... Już niech ona to ma... przyda jej się... I niech jej pan radzi, ażeby wyszła za mąż...

— Gdyby tylko chciała! — odparł Dębicki.

— Śmieszne są dzisiejsze panny — mówił Brzeski. — Każdej zdaje się, że jest powołaną do wielkich rzeczy, a nie wiedzą o tym, że największą sztuką jest wychować — zdrowe dzieci. Nie chcę, ażeby moja siostra zestarzała się na propagowaniu emancypacji!...

Niedługo wróciła Madzia z miasta. Dębicki pożegnał ich obiecując przyjść wieczorem.

— Kupiłam ci — prawda Madzia — dwa trykotowe ubrania (ażebyś się nie zaziębił), sześć koszul, tuzin skarpetek i chustek...

Zdzisław uśmiechnął się.

— Zaraz wszystko to przyniosą z magazynu. A tu — dodała — masz tuzin kopert i papieru listowego.

Usiadła przy stole i zaczęła pisać na kopertach swój adres.

— Dostałaś bzika? — zapytał brat przypatrując się tej szczególnej robocie.

— Wcale nie — odparła. — Ale ponieważ musisz do mnie co dzień wysyłać list, więc ułatwiam ci robotę... Nawet nie list. Napisz tylko: jestem tu a tu, zdrów... i datę. A najwyżej za tydzień, no... dziesięć dni wyszlij telegram, ażeby do ciebie przyjechała. Ja tymczasem wystaram się o paszport. Pamiętaj, daję ci urlop tylko na dziesięć dni. Jestem pewna, że gdybyś natychmiast zobaczył się z tym Tapeinerem, wezwałbyś mnie prędkiej.

Brat usiadł obok niej i wyjmując jej pióro z ręki rzekł:

— Zostaw te koperty. Będziesz miała ode mnie co dzień kartę korespondencyjną...

— Ale co dzień!...

— Z pewnością. Swoją drogą, ponieważ wszyscy jesteśmy śmiertelni...



— Mój kochany, tylko mi tego nie mów — przerwała Madzia prawie z gniewem. — Przysięgam, że będziesz zdrow...

— Nie bądź dzieckiem, kochanko. Mogę być zdrow, ale może rozbić się pociąg...

— W takim razie ja z tobą jadę!... — zawołała zrywając się.

— Siadaj!... nie bądź śmieszna... Już i ja zrozumiałem, że życie nasze jest w ręku Boga i... może nie kończy się na tej ziemi... Śmierć to jakby wyjazd za granicę... zmysłów, do pięknego kraju, w którym wszyscy spotkamy się... Panuje tam wieczny dzień i wiosna ponad krajobrazami ze wszystkich części świata, ze wszystkich epok geologicznych, może nawet ze wszystkich planet...

— Dlaczego ty tak mówisz?... — spytała Madzia patrząc na niego zażawionymi oczyma.

— Mówię jak do kobiety rozumnej, która wierzy w życie przyszłe. Kiedyś modliliśmy się z jednej książeczki, dziś razem odzyskaliśmy nadzieję, więc — możemy pogadać o śmierci... Cóż w niej strasznego?... Jest to przejście jakby z pokoju do pokoju... Czy wątpisz, że tam wszyscy zobaczymy się, ażeby już nigdy nie rozdzielać się?... A gdyby cię zapytano, co wolisz: czy ażeby twój brat męczył się na ziemi jak kaleka, czy — odjechał do szczęśliwej krainy, miałabyś serce zatrzymywać mnie tutaj?...

Madzia oparła głowę na jego ramieniu i cicho płakała.

— Płacz... płacz... przez wdzięczność dla Boga, że otworzył nam oczy w chwili, która bywa przykrą... Wiem coś o tym!... Przemordowałem się kilka tygodni, ale to już minęło. Jeżeli między gwiazdami jest inny świat, ach, to jest on niepojętej piękności... Ja tak kochałem naturę, tak rwałem się do krajobrazów, które znam tylko z czytania.

— I ja... — szepnęła Madzia.

— Widzisz. Więc nie trzeba myśleć o śmierci, ale o tej radosnej epoce, kiedy zdrowi, na wieki młodzi, znowu spotkamy się na łąkach ze szmaragdu i złota i będziemy oglądać okolice, na poznanie których nie mieliśmy czasu ani środków...

Pomyśl, czy wyobrażasz sobie taki kraj? Gładka równina, a na niej sieć rozpadlin. Wchodzisz w jedno zagłębienie. Droga idzie w wąwóz, którego pionowe ściany rosną w oczach. Po kilkunastu minutach wąwóz rozszerza się w rozległą okolicę, o jakiej nawet we śnie nie marzyłaś.

Widzisz niby miasto olbrzymich budowli. Ostre i ścięte piramidy ułożone z warstw czarnych, żółtych, niebieskich; ciemnozielone pagody z jasnymi dachami; wysmukłe wieże, których każdy ganek ma inny kolor, świątynie indyjskie, fortece cyklopów, wielopiętrowe ściany w pasy szafirowe, złote i czerwone... A na placach i fantastycznie pociętych ulicach znienacka ukazują się kolumny, niedokończone posągi, skamieniałe wizerunki nieznanych stworzeń...

— Skąd ci to do głowy przychodzi? — spytała Madzia z uśmiechem.

— Czy ja mało o tym czytałem!... Albo taki widok. Stoisz na górze, obok której wznoszą się ściany okryte lasami. Z prawej strony masz wodospad, u stóp czarodziejską dolinę. Na całej długości przecina ją rzeczka pełna zagieć. W głębi widać las, a między lasem i tobą kilkanaście parków.

Co jest jednak najcudowniejsze, to — naturalne wodotryski, gejzery. Z jednych wzbuchają słupy wody gorącej, z innych kłęby pary; jedne mają kształt rozłożysty, inne wysmukły; niektóre są podobne do wachlarzy, a jeden do skrzyżowanych mieczów. Nad każdym unosi się welon mgły, na którym promienie słońca malują tęczę.

Gdybyś przeszła w całej długości tę fantastyczną dolinę, spotkałabyś niezliczone gejzery, dymiące jeziora, sadzawki gorącej wody. Słyszałabyś podziemne grzmoty, widziałabyś jedną górę czerwoną, drugą z szafirowego szkła... Gdyby zaś przyszła ci ochota wykąpać się, znalazłabyś szczególnego rodzaju łaźienkę. Składa się ona z kamiennych wanien, niby jaskółcze gniazda przyklepionych do skały, mających na każdym pięttrze inną temperaturę wody!

— Co ty opowiadasz?...

— Opisuję ci pusty kraj w Północnej Ameryce, nazywany Parkiem Narodowym. Jest to ziemia cudów, którą — tam — najpierw zwiedzę, a i ciebie oprowadzę, gdy połączymy się... Chciałabyś odbywać ze mną takie podróże? — spytał obejmując ją.

Madzia zarzuciła mu rękę na szyję.

— Ale i Dębicki będzie z nami — rzekła.  
 — Naturalnie. On nam otworzył drzwi do tych krajów.  
 — I... i wiesz, Zdzisław, kogo jeszcze weźmiemy?... — spytała kryjąc twarz na ramieniu brata. — Pana Solskiego... Szkoda, że go nie znasz...  
 — Ach, to ten magnat, który ci się oświadczył? Ciekawym, dlaczego nie przyjęłaś go.  
 — Byłam... obłąkana... Czy ja wiem zresztą!...  
 — Ale teraz wyszłabyś...  
 — Nigdy!... — zawołała. — Teraz myślę tylko o tym, ażeby być przy tobie.  
 Zdzisław wzruszył ramionami. Człowiek, który spogląda w twarz wieczności, traci instynkt do miłosnych powikłań, a przynajmniej mało go obchodzą.  
 — Kiedy wyjadę stąd — odezwał się po chwili — napisz do Iksinowa, ale nie do rodziców, tylko do majora... Powiedz, coś widziała... Major, człowiek doświadczony, zakomunikuje starym wiadomość w taki sposób, że nie będą trwożyli się bez potrzeby.  
 — Jak chcesz — odparła — ale pamiętaj, że masz co dzień przysyłać mi kilka słów: jestem zdrow, mieszkam tu a tu, i tyle...  
 — Dobrze, dobrze!... — przerwał niecierpliwym.  
 Potem zaczął ubierać się w drogę, a Madzia spakowała walizkę.  
 O ósmej wieczór przyszedł Dębicki, o dziewiątej pojechali na kolej. Kiedy Brzeski usiadł w przedziale, Madzia weszła za nim i całując mu głowę i ręce szepnęła:  
 — Mój ty kochany... mój złoty braciszku...  
 — No, no... tylko bez tkliwości!... — przerwał Zdzisław. — Bądź zdrowa, napisz do majora i... staraj się mieć rozum...  
 Prawie wypchnął ją z wagonu i zatrzaskał drzwiczki. Za chwilę pociąg ruszył. Madzia jeszcze raz zawołała: do widzenia!... ale Brzeski wtulił się w kąt i nawet nie wyjrzał oknem.  
 — Zawsze był dziwakiem!... — rzekła rozżalona Madzia do Dębickiego. — Nawet nie żegna się...  
 — A po ileż razy ma się żegnać?...  
 — Pan profesor jest taki sam jak on...  
 Dębicki odwiózł Madzię do domu. Ledwie weszła na trzecie piętro do swego pokoiku, prędko rozebrała się i zasnęła jak kamień. Była bardzo znużona.  
 Nazajutrz około jedenastej z rana sama pani Burakowska przyniosła jej herbatę. Gospodarna dama miała minę, w której zakłopotanie zdawało się toczyć walkę z ciekawością.  
 — Cóż — rzekła — już pani odwykła od swego łóżeczka?  
 — Jestem nim zachwycona... Nie spałam dwie noce.  
 — Pilnowała pani braciszka w Hotelu Europejskim... — mówiła dama. — Czy naprawdę tak chory, że pani musiała pielęgnować go w hotelu?...  
 — Albo ja wiem. On mówi, że jest ciężko chory, a ja myślę, że będzie zdrow po kilkumiesięcznym pobycie w górach.  
 — Szkoda, że pan Brzeski zamiast w hotelu nie stanął w mieszkaniu prywatnym...  
 — Czyliż on mógł szukać mieszkania na parę dni!... — odparła już zirytowana Madzia.  
 — A jeżeli taki chory — mówiła tonem łagodnym pani Burakowska — to szkoda, że pani nie towarzyszy mu za granicę...  
 — Wezwie mnie, kiedy mu wyznaczą miejsce kuracji.  
 — W podróży byłaby pani najpotrzebniejszą bratu...  
 Madzia odwróciła się do okna.  
 „Czego ode mnie chce ta baba?... — pomyślała z gniewem. — Przecież i ja wolałabym go odwiedzić...”  
 Ale po wyjściu pani Burakowskiej gniew Madzi równie prędko zgasł, jak zapłonął. Ogarnęła ją apatia połączona ze zdziwieniem.  
 „Czy naprawdę był tu Zdzisław, a ja przy nim?... Czy naprawdę Dębicki przekonywał go, że dusza jest nieśmiertelna?...”  
 Usiadła na kanapie i patrzyła w sufit. Zdawało jej się, że jest pogrążona w oceanie z twardego kryształu, wewnątrz którego lotem błyskawic przesuwają się postacie jakichś ludzi pięknych i pięknie ubranych. Ciało ich było ze światła, a odzież z tęczy. Byli oni żywi, o czymś rozmawiali między sobą, patrzyli na Madzię, tylko — nie mogli porozumieć się z nią ani ona z nimi.

Później między dwiema niebotycznymi górami zobaczyła szmaragdową dolinę ustrojoną bukietami ciemnozielonych parków i mnóstwem wodotrysków wybuchających w formie wachlarzy i kolumn. Ale te góry, dolina, parki, rzeka i wodospady były także zrobione z barw tęczy, a każde drzewo, skała i fontanna — miały własne życie i duszę. Patrzyły na siebie, kochały się, rozmawiały ze sobą szelestem wód i liści, tylko Madzia nie rozumiała ich języka.

Była przekonaną, że wszystko to już gdzieś widziała, że zna każdy zakątek doliny; ale kiedy to widziała?... gdzie?...

Po strasznych obrazach, jakie niedawno obudził w jej duszy materialistyczny wykład pana Kazimierza, dziś czuła się spokojną i szczęśliwą. Nic jej nie trwożyło; a nowy, nieznanym świat pociągał do siebie. Zdawało jej się, że w tych czasach powinna umrzeć, a raczej wsiąknąć w owe świetlane krajobrazy, które roztaczały się przed nią. A gdy pomyślała, że może ją kto żałować, zatrzymywać na szarym świecie, między ciężkimi domami, wśród kuchennych zapachów; gdy pomyślała, że kto zapłacze po niej, jakby zazdroszcząc wiecznego szczęścia, ogarniał ją niesmak.

„Czy ludzie byliby aż takimi egoistami?...” — rzekła do siebie.

Po obiedzie wydobyla z kuferka dawno nie otwieraną książkę nabożną i do wieczora czytała modlitwy — marząc na jawie. Każdy wyraz nabierał nowego znaczenia, każda kartka była pełna obietnic i słodkich nadziei.

Pokój napęlił się rojem duchów, które przez okno wlatywały i wylatywały bez szelestu, krążąc między spieczoną ziemią i niebem zadumanym o rzeczach wiekuistych.

Na drugi dzień o siódmej z rana wymknęła się z domu bez śniadania, z książką do nabożeństwa, a wróciła po dziesiątej rozmarzona.

Była u spowiedzi.

W mieszkaniu zastała list od brata wysłany z Granicy, napisany ołówkiem:

„Czuję się tak silnym, że jadę wprost do Wiednia. Całą noc spałem leżąc. Jestem stworzony na konduktora”.

Ale Madzi list ten nie pocieszył; przypomniał, że jej brat naprawdę był w Warszawie i że jest ciężko chory.

Zbudziło się w niej mnóstwo uczuć przykrych. Poczęła wyrzucać sobie, że Zdzisław wyjechał bez opieki; chciała gonić za nim i towarzyszyć mu ukryta w innym wagonie. To znowu przypomniawszy jej, że nic nie robi, i truchlała na myśl, że ma przed sobą kilka dni bez celu i zajęcia, długich, pustych, zatrutych niepokojem.

„Gdyby to można przespać albo gdzie wyjechać!...”

Około drugiej stróż przyniósł jej bilet wizytowy z napisem: „Klara z Howardów Mydelko”.

— Ta pani — rzekł stróż — pyta się, czy ma tu przyjść...

— Ależ proście... proście!...

„Mydelko?... — mówiła do siebie Madzia. — Wszakże to plenipotent Solskich... I panna Howard wyszła za niego?... Naturalnie! bo skądże by to drugie nazwisko?... Aha, prawda, ona go tak wychwalała... Rozumny człowiek, uczciwy, ale... te nogi krzywe!...”

Szeroko otworzyły się drzwi i weszła — niegdyś panna Howard. Miała czarną jedwabną suknię z długim ogonem, na szyi złoty łańcuch do zegarka, na twarzy tę samą jednostajną różowość, na płowych włosach mały koronkowy kapeluszek.

— Wybacz, panno Magdaleno — mówiła zmęczona — że przysłałam ci stróża. Ale ja teraz muszę wystrzegać się chodzenia... Jestem przecie mężatką...

— Winszuję... winszuję!... — zawołała Madzia całując ją i sadowiąc na kanapce. — Kiedyż to się stało?... Nikogo pani nie zawiadomiła.

— Już od czterech dni nie należę do siebie — odparła pani Klara. Spuściła jasne rzęsy i usiłowała jeszcze więcej zarumienić się, ale było to niepodobieństwem. — Braliśmy ślub u Wizytek, w najściślejszym incognito, o siódmej rano i... od tej chwili zaczęło się dla mnie nieprzerwane pasmo szczęścia... Mam męża, który ubóstwia mnie i którego najdumniejsza kobieta mogłaby obdarzyć uczuciem.

Wierz mi, panno Magdaleno — mówiła z zapalem — że kobieta dopiero wówczas staje się naprawdę człowiekiem, gdy wyjdzie za mąż. Pielęgnowanie rodziny, macierzyństwo — oto wzniosłe posłannictwo naszej płci... Nie mogę przeczyć — dodała skromnie

— że trafią się kłopotliwe sytuacje, nawet przykrości... Ale wszystko znika wobec przeświadczenia, że uszczęśliwiamy kogoś, kto na to zasługuje.

— Bardzo cieszę się, że pani jest zadowolona — wtrąciła Madzia.

— Zadowolona?... Powiedz: wniebowzięta!... Przeżyłam nie cztery... właściwie — nie trzy doby, ale trzy wieki, trzy tysiąclecia... Ach, pani nawet... nawet nie domyślasz się...

Młoda mężatka nagle przerwała i dodała tonem serdecznej rady:

— Ale ażeby zasłużyć na takie szczęście, kobieta przez całe życie musi być bardzo oględną. Dlatego... pozwól sobie powiedzieć, kochana panno Magdaleno, że czasami bywasz nieostrożną...

— Cóż ja robię?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Nic... ja wiem, że nic... wszyscy wiemy. Ale — niepotrzebne były te wizyty u pod-rzutek... u akuszerki... Albo i ten kilkudniowy pobyt w hotelu...

— Tam mieszkał mój brat chory... — przerwała Madzia z żalem.

— Wiemy!... wszystko wyjaśnił Dębicki. Ale swoją drogą pan Zgierski mówi o pani z półuśmieszkami, a wczoraj... Wczoraj ta bezwstydną Joanna zaczepiła mnie i wyobraź sobie, pani, co powiedziała:

„Cóż skromna Madzia?... Robiła cnotliwe minki i — spadła na głowę!”

Słyszałaś, panno Magdaleno?... Ta awanturnica... ta dwuznaczna kobieta śmiała coś podobnego powiedzieć!...

— Niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece! — odparła Madzia. — Zresztą za kilka dni wyjeżdżam do brata, więc plotki nic mnie nie obchodzą.

— Wyjeżdża pani? — zapytała młoda mężatka innym tonem. — Powiedz mi pani... ale powiedz szczerze: czy naprawdę gniewasz się na Adę Solską?...

— Ja?... — krzyknęła zdziwiona Madzia. — Ależ ja ją zawsze kocham...

— Domyślałam się tego znając serce pani. A... gdyby panna Ada przyszła tu?...

— Czy może pani pytać?...

— Rozumiem. Ada widocznie ma jakiś ważny interes do pani, ale ten safandula Dębicki nie chce w nim pośredniczyć... Nie wiem, o co chodzi... Jednak domyślam się, że Ada będzie żądała od pani jakiegoś załagodzenia stosunków między nią i bratem...

— Ja mam łagodzić stosunki między nimi?

— Nie wiem, nic nie wiem, droga panno Magdaleno, tylko — tak mi się wydaje... Ada zareczyła się z panem Norskim (co za szalone szczęście ma ten chłopak!), zawiadomiła pana Stefana, ale... zdaje mi się... że dotychczas nie otrzymała odpowiedzi i jest w strachu...

— Cóż ja na to poradzę?

— Nie wiem... nie rozumiem i proszę nic nie wspominać o moich domysłach. W każdym razie, czy mogę powtórzyć słowa pani pannie Solskiej?

— Ona zawsze wiedziała, że ją kocham — odparła Madzia.

Ponieważ w tej chwili wezwano Madzię na obiad, więc pani z Howardów Mydelko pożegnała ją bardzo czule, prosząc o sekret i — o nienarażanie się na ludzkie języki.

Rozmowy stołowników, biegania służby, kuchenne śwędy i lamenta pani Burakowskiej tak zmęczyły Madzię, że wyszła do Saskiego Ogrodu.

I tam snuły się tłumy i rozlegał szmer rozmów, ale przynajmniej było widać niebo, zieloność, drzewa. Zdawało jej się, że lepiej oddycha powietrzem ogrodu i że między nieruchomymi konarami i liśćmi, które już więdną, zobaczy spokój, płochliwego ptaka, który tak dawno odleciał z jej mieszkania.

W alei, gdzie przed paroma dniami przechadzali się z bratem i Dębickim, znalazła pustą ławkę i usiadłszy wlepiła oczy w kasztan. Spokój zaczął wracać. Powoli przestała widzieć przechodniów, szmer cichnął. Zdawało się, że ogarnia ją słodkie zapomnienie, a leniwe troski oglądając się za siebie opuszczają jej duszę.

Znowu zobaczyła ów kryształowy bezmiar, po którym jak barwne motyle snuły się postaci zrodzone ze światła i odziane tęczę.

— Czy pozwoli mi pani zapalić?...

Madzia drgnęła. Obok niej siedział młody człowiek, wyblakły, pretensjonalnie ubrany, i zapalał papierosa.

— Bo jeżeli dym szkodzi... — mówił sąsiad.

Madzia podniosła się z ławki, sąsiad też. Szedł obok niej i prawil:

— Co za przykra rzecz samotność dla tak pięknej panienki... Widzę, że pani nie musi być warszawianką, może nawet nie ma pani znajomych... W takim razie ofiaruję moje usługi...

Madzia skrzyła do bramy na Królewskiej, przyspieszyła kroku, ale młody człowiek szedł równo z nią i wciąż gadał.

Nagle zatrzymała się i patrząc w oczy swemu prześladowcy rzekła błagalnym głosem:

— Panie, jestem bardzo nieszczęśliwa... Niech mnie pan uwolni...

— Nieszczęśliwa?... — zawołał. — Ależ pocieszanie pięknych i nieszczęśliwych panienek jest moją specjalnością!... Pozwoli pani podać sobie...

I gwałtem pociągnął ją za rękę.

Madzia uczuła w gardle ściskanie, w oczach łzy. Nie chcąc robić widowiska zasłoniła twarz chustką, ale już nie mogła pohamować się i rozplakała się na ulicy.

Młody człowiek bynajmniej nie zraził się tym, kręcił się około niej, plótł bez sensu, śmiał się głupio. Dopiero widząc, że scena ta zaczyna interesować przechodniów, cofnął się i rzucił na pożegnanie jakieś ohydne słówko.

Madzia wpadła w wolną dorożkę i zanosząc się od płaczu wróciła do siebie. Ogarnął ją taki żal do okrucieństwa ludzkiego, taka bezdena rozpacz, że — chciała się oknem rzucić na ulicę.

Ale przyszło opamiętanie. Usiadła na kanapce, zamknęła oczy, zasłoniła rękoma uszy i powtarzała w duchu:

„Nie ma dla mnie odpoczynku... nie ma schronienia... nie ma ratunku... Boże, zmiłuj się... Boże, zmiłuj się nade mną!...”

Nagle podniosła głowę, przypomniała sobie matkę Apolonię i od razu zmienił się bieg jej myśli.

„Po co ja chodziłam do Saskiego Ogrodu?... Przecie mogę poprosić zakonnic, a one pozwolą mi całymi godzinami przesiadywać w swoim ogródku... Ach, ja już nigdy nie będę miała rozumu”.

Istotnie, co mogło być lepszego nad zamiar przepędzenia wolnych chwil w ogrodzie szarytek? Obiad i nocleg ma w domu, a resztę czasu przesiedzi na świeżym powietrzu, wśród ciszy. Chyba tego nie odmówi jej matka Apolonia, a za kilka dni — wezwie ją brat.

## 40. OCZEKIWANIE

Madzia nazajutrz poszła do Św. Kazimierza, gdzie matka Apolonia powitała ją wykrzyknikiem:

— Jak ty wyglądasz, moje dziecko?... Musisz być chora...

Wówczas Madzia opowiedziała staruszce swoją historię z kilku dni ostatnich. Kiedy opisywała nagle ukazanie się brata i jego rozpacz wobec bliskiej śmierci, usta zakonniczy przycięły się, a w fizjonomii odmalowało się gniewne niezadowolenie. Ale gdy Madzia przeszła do wykładów Dębickiego, które uspokoiły jej brata, na twarzy matki Apolonii ukazał się pobłażliwy uśmiech. Staruszka wysłuchała do końca i rzekła:

— Dobry to musi być człowiek ten profesor, ale po co on się tak męczył dowodzeniami?... Przecie to, że jest Bóg i życie wieczne, czuje każdy, byle miał odwagę rozmówić się z własnym rozsądkiem.

Potem opowiedziawszy swoją przygodę w Saskim Ogrodzie Madzia prosiła zakonnicę, ażeby jej pozwolono przesiadywać w ogrodzie zakładowym.

— To tylko parę dni — mówiła Madzia — bo Zdzisław wezwie mnie za granicę. Ale chciałabym się trochę wzmocnić.

— Moje dziecko — odparła staruszka całując Madzię — przychodź, ile razy chcesz i na jak długo chcesz. Tylko znużysz się, bo my jesteśmy zajęte. Nie ma nawet książek, które mogłyby cię rozerwać...

— Może mi pani pozwoli jaką pobożną książkę... — szepnęła i zarumieniona Madzia.

— Doprawdy?... — spytała matka Apolonia patrząc na nią. — W takim razie wiesz co, dam ci: *O naśladowaniu Chrystusa*...

Zaprowadziła Madzię do ogródka, przyniosła książkę, pobłogosławiła i — pobiegła do zajęć.

Zostawszy sama wśród upragnionej zieloności i ciszy Madzia uczuła taki spokój, taki zachwyt, że gotowa była obejmować drzewa, całować kwiaty i te święte mury, które jej dały przytułek. Obawiając się jednak, ażeby kto nie zobaczył jej egzaltacji, pohamowała się i zaczęła przerzucać książkę.

Wybierała na los szczęścia — i oto, co jej wpadło w oczy:

„Czego się troszczysz, jeżeli ci się nie powodzi, jakbyś chciała i żądała? Gdzie jest ten, co by miał wszystko podług woli swojej? Ani ja, ani ty, ani ktokolwiek z ludzi na ziemi...”.

„To prawda” — szepnęła Madzia.

„Życ na tej ziemi prawdziwą jest nędzą. Im bardziej człowiek chce się stać duchownym, tym bardziej mu to życie gorzkim się staje, bo tym mocniej czuje i jaśniej widzi przywarę ludzkiego zepsucia... Biada tym, którzy nie znają swojej nędzy, a jeszcze więcej biada tym, którzy to nędzne i znikome życie zamilowali”.

„To o mnie!...” — pomyślała Madzia, lecz znowu na następnej stronie znalazła:

„Nie trać, siostrze, ufności, abyś ku dobru duchownemu postąpić nie potrafiła; jeszcze nie upłynął dla ciebie czas i godzina. Po co chcesz odkładać do jutra przedsięwzięcie twoje?... Powstań, zaczynaj natychmiast i mów: teraz jest czas do działania, teraz czas do walki, teraz czas sposobny do poprawy...”.

Była tak rozdrażniona i rozegzaltowana, że każde słowo miało w jej oczach wartość upomnienia albo przepowiedni. Postanowiła ciągle czytać, gdzie się książka otworzy, i z tego, co znajdzie, wyciągnąć naukę czy wróżbę.

„Rzadko znajdzie się kto tak duchownym, aby był obnażony ze wszystkiego, co jest cielesne... Gdyby człowiek oddał cały swój majątek, jeszcze to jest niczym. Gdyby wielką odbył pokutę, jeszcze to jest mało. Gdyby ogarnął wszelką umiejętność, jeszcze mu daleko...”

Nikt jednak nie jest bogatszym, nikt potężniejszym, nikt wolniejszym od tego, który wszystko opuścić i siebie najniżej kłaść umie...”.

Madzia zastanowiła się. Czy ona potrafi najniżej kłaść siebie? Z pewnością — nie potrafi. Ale ze wszystkich cnót ludzkich ta chyba jest jej najbliższą.

Czytała w innym miejscu:

„Nie można wielkiej pokładać ufności w ułomnym i śmiertelnym człowieku, choćby był kochanym i użytecznym...”.

„Nawet w Zdzisławie?” — spytała.

„... ani się też zbyt smucić, jeżeli się czasem sprzeciwi i odwróci...”. „No, on mi się sprzeciwiał...”.

„Ci, co są dziś z tobą, jutro mogą być przeciw tobie i nawzajem: często się oni jak wiatr zmieniają...”.

„Ada... panna Howard!...” — pomyślała Madzia.

„Nie masz tu trwałego pobytu...”.

„Tak, ledwie parę dni!” — westchnęła.

„...gdziekolwiek obróciłabyś się, obcą będziesz i wędrownikiem...”.

„Ach, jaka prawda!... Szczególniej, kiedy wyjadę za granicę...”.

„...ani znajdziesz spoczynku, chyba że się z Chrystusem połączysz...”.

„Oblubienica Chrystusa?...” — rzekła Madzia prawie przerażona. Ale w trwodze tej nie było niechęci, raczej zdumienie.

Odwróciła kartkę i trwoga jej wzrosła, znalazła bowiem jakby wprost do niej skierowane zapytanie:

„Po co tu się oglądasz, gdy nie tu jest miejsce twojego spoczynku...”.

„A więc nie u szarytek...”.

„W niebieskich krainach powinno być mieszkanie twoje, a na wszystko, co jest ziemskim, tylko jak w przechodzie spoglądać należy. Mija wszystko i ty także...”.

„Mam umrzeć?... Wola Boska!...”.

Zaciekawiona, wyszukała rozdziału: *O rozpamiętywaniu śmierci.*

„Prędko tu bardzo koniec z tobą nastąpi, obacz, co z innych miar z tobą się dzieje: dziś jest człowiek, jutro go już nie widać. A gdy z oczu zniknie, mija rychło i w pamięci...”

W poranku mniemaj, że nie dożyjesz wieczora, wieczór zaś nie śmieć sobie obiecywać następnego poranka...”.

„Jak biedny Zdzisław!...”

„Zawsze więc bądź gotowa i żyj tak, aby cię znienacka śmierć zaskoczyć nie mogła...”

„On tak żyje... Czyliżby naprawdę odgadywał?...”

Poczuła ból w sercu i ażeby dodać sobie otuchy, wybrała inny rozdział:

„Dobrze to jest, że doświadczamy niekiedy przykrości i ucisków, albowiem budzą one czułość w sercu człowieka...”

„To samo mówił Dębicki” — pomyślała Madzia.

„... ostrzegając go, że jest wygnańcem, że na tym świecie nic takiego nie ma, na czym by oparł nadzieję”.

„Nawet na Zdzisławie?...” — rzekła ze smutkiem jeszcze głębszym.

„Kiedy człowiek dobrej woli przykrościami lub złymi myślami jest dręczony...”

„O, bardzo jestem dręczona!”

„... wtedy czuje, jak mu jest potrzebnym Bóg, bez którego żadne dobro utrzymać się nie może. Wtedy w nędzy swojej smuci się, jęczy i modli... Wtedy dopiero spostrzeżenie należycie, iż prawdziwe bezpieczeństwo i zupełny spokój na tym świecie utrzymać się nie mogą”.

„Więc gdzież moje szczęście?...” — pomyślała nad wszelki wyraz zgnębiona.

Otworzyła na los książkę i znalazła rozdział: *O życiu zakonnym*. Gorąco ją przeszło.

„Czy naprawdę to mi sądzono?...” — spytała.

„Trzeba, ażebyś się nauczyła często zwyciężać samą siebie, jeżeli z innymi zachować chcesz pokój i zgodę... Trzeba, ażebyś się stała głupią dla Chrystusa, jeżeli chcesz zakonne prowadzić życie...”

„Zawsze byłam głupia!...” — szepnęła Madzia.

„Szata zewnętrzna mało znaczy: lecz zmiana obyczajów i zupełne poskromienie namiętności prawdziwego stanowią zakonnika...”

„Aaa!... więc nie potrzebuję wstępować do zakonu, tylko zmienić obyczaje i poskromić namiętności...”

„Kto szuka czegokolwiek innego jak Boga i zbawienia duszy swojej, boleść tylko znajdzie i utrapienie”.

„No, dobrze... ale jeżeli chcę pielęgnować chorego brata?...”

„Zapatruj się na żywe przykłady Ojców świętych, w których jaśniała prawdziwa doskonałość i religia, a postrzeżesz, jak jest drobnym i prawie niczym, co my czynimy... Nienawidzili dusz swoich na tym świecie, aby je w życiu wiekuistym posiadać mogli...”

„Ale brata chorego nie opuścili!...”

„Wyrzekli się bogactw, dostojności, zaszczytów i krewnych, nic światowego nie trzymali...”

Madzia zamknęła książkę, pełna troski. Zdawało jej się, że rozmawia z niewidzialnym nauczycielem, który każe jej wyrzec się wszystkiego dla zbawienia i Boga. W tej chwili wyrzeczenie się świata nie było dla niej przykrym: wszystkie węzły łączące ją z ludźmi obcymi już rozluźniły się, jeżeli nie pękły. Ale jak tu opuścić rodziców, a nade wszystko brata, dla którego jej opieka była sprawą życia i śmierci?...

Dopiero chłodniejsza rozważa przypomniawszy jej, że walczy ze złudzeniem.

Nikt jej przecie nie zachęca do wyrzeczenia się rodziny; nawet sam autor tej dziwnej książki zaleca tylko zmianę obyczajów i zerwanie z ziemskimi namiętnościami.

Jeszcze raz odwróciła kartki i znalazła:

„Wspieraj mnie, Panie Boże mój, w dobrym przedsięwzięciu i świętej służbie Twojej: daj mi dziś dobrze zacząć; niczym bowiem jest, co dotychczas czyniłam”.

„Tak!... — myślała Madzia — pensja, lekcje, sesje w stowarzyszeniu kobiet — to wszystko nic... Trzeba zmienić obyczaje, wyrzec się namiętności i życie poświęcić Zdzisławowi... Gdybym rok temu pojechała do niego, byłby zdrow... Niechby sobie drwili, że jestem na łasce brata i że nie pracuję samodzielnie...”

Kilkugodzinna z nadzwyczajną książką rozmowa, której towarzyszył szmer drzew, szelest przelatujących ptaków albo pobożne pieśni wychowanek sierotego zakładu, doskonale wpłynęła na Madzię. Ukoilo się nerwowe rozdrażnienie, a jego miejsce zajęła pełna tęsknoty nadzieja. Zdawało się Madzi, że na nią i na cały świat spada subtelna mgła, w której rozplývają się wszystkie troski ziemskie i spoza której wynurza się nowy horyzont, pełen jasności i spokoju.

Przypomniała sobie widziany kiedyś obrazek. Było tam pole zarosłe wiosennymi kwiatami i gaj; po polu przechadzały się święte kobiety, a pod gajem Matka Boska siedząc na zydlu przędła nić ludzkich pokoleń. Madzia miała jakby przecucie, że lada chwilę znajdzie się na owym polu, gdzie każde mgnienie oka wydaje się szczęśliwą wiecznością, a wieczność — mgnieniem oka.

„Zapewne niedługo umrę” — pomyślała bez żalu.

Około drugiej wróciła do domu. Pani Burakowska powiedziała jej, że była tu jakaś pani wyglądająca na ubogą guwernantkę i napisała list w jej pokoju.

— Służąca chciała ją podpatrywać — mówiła pani Burakowska — ażeby co nie zginęło. Ale ją wykrzyczała, bo przecie nie każdy potrzebujący musi kraść...

Madzia drgnęła spojrzawszy na kopertę. Było to pismo Ady Solskiej, która, wśród mnóstwa przeprosin za swoją śmiałość oświadczyła, że będzie tu o czwartej. A ponieważ pani Burakowska zdawała się czekać na objaśnienia dotyczące autorki listu, więc Madzia powiedziała jej, że owa uboga guwernantka jest osobą niezależną i uczciwą, której można otworzyć całe mieszkanie.

Na kilka minut przed czwartą Ada Solska zapukała do drzwi i zatrzymawszy się u progu rzekła nieśmiałym głosem:

— Przyjmiesz mnie, Madzius?...

Madzia pobiegła ku niej z otwartymi ramionami. Lecz Ada była tak podobną do swego brata, Stefana, że Mada zabrakło tchu i — w pierwszej chwili nie miała odwagi uściskać swojej przyjaciółki.

— Widzisz... już mnie nie kochasz!... — smutnie szepnęła Ada.

Wtem schwyły się w objęcia i płacząc, wśród pocałunków, zaprowadziły się na kanapkę.

— Ach, co ja wycierpiałam nie widząc cię tak dawno... — mówiła Ada. — Szłam tu z biciem serca...

— Trzecie piętro... — wtrąciła Madzia.

— Ależ nie dlatego, tylko... bałam się... myślałam, że jesteś na mnie śmiertelnie obrażona... A ty zawsze jesteś anioł... święta... moja ty złota Madziu...

Znowu zaczęły się całować.

— Wiesz, co się stało — ciągnęła Ada. — Ten szkaradny Kotowski o mało nie zabił pana Kazimierza!... Myślałam, że umrę, ale już jesteśmy zaręczeni... Nie wiem nawet, które z nas oświadczyło się; on czy ja? Zresztą wszystko jedno.

— I jesteś szczęśliwa? — zapytała Madzia.

— Ach, nawet mnie nie pytaj... Jestem tak szczęśliwa... tak strasznie szczęśliwa, że ciągle boję się... Zdaje mi się, że umrę... że nigdy się nie pobierzemy... że panu Kazimierzowi odnowi się rana... Ale najwięcej boję się Stefka!... Już tydzień, jak napisałam mu o wszystkim, i — nie mam odpowiedzi... Ty pamiętasz, jak on nie lubił Kaz... pana Kazimierza?... Boże, z jaką ja trwogą czekam na jego przyjazd!... Powiadam ci, że gdyby między nimi doszło do nieporozumień, zabiłabym się.

— Dajże spokój — przerwała Madzia. — Ostatecznie masz prawo wyjść, za kogo ci się podoba.

— Aaa... prawo! Niby ty nie znasz Stefka. Co jego obchodzą czyjeś prawa, jeżeli on ich nie uznał? Ach, gdybyś ty sprowadziła się do mnie...

— Ja?...

— Mój Madzius — mówiła podniecona Ada — po co mamy udawać... Wiesz, jak cię kochał Stefek... a ja dodam, że kocha cię do dziś dnia, może nawet bardziej... Gdybyście się pogodzili... gdybyś wyszła za niego, on pod wpływem radości przebaczyłby mi moje przywiązanie do Kazimierza...

Madzia rumieniła się i bladła; wzruszenie jej nie uszło uwagi Ady.

— Nie zapieraj się!... — zawołała panna Solska — mój brat nie jest ci obojętnym. A jeżeli tak, więc... musisz wyjść za niego, musisz... musisz...

I zaczęła ją całować po rękach.

Madzia cofnęła ręce i odparła:

— To nie może być...

Ada przeszła ją skośnymi oczyma.

— Więc chyba kochasz pana Kazimierza?... — spytała.



— Spójrzj na mnie — odparła Madzia, spokojnie wytrzymując jej palający wzrok.

— Więc dlaczego nie chcesz wyjść za Stefka?...

— Wiesz chyba — rzekła Madzia po chwili — że i ja mam brata... ciężko chorego... Lada dzień wezwie mnie i pojedę za granicę... a do końca życia muszę go pielęgnować...

— A któż ci broni czuć nad bratem nawet po wyjściu za Stefka?... Może myślisz, że on przeszkadzałby ci?... Nie!... Słuchaj, Madzius: jedź teraz do brata za granicę, a my wszyscy — Stefek, pan Kazimierz i ja podążymy za wami. Gdziekolwiek każą osiąść twemu bratu, my tam osiadziemy: w górach czy we Włoszech, nawet w Egipcie... A gdyby go lekarze skazali na dłuższą podróż morską, to... jeszcze i tam będziemy razem. Przecie pan Kazimierz także potrzebuje odzyskać siły, a Stefek i ja przepadamy za podróżami... No, więc powiedz tylko słówko... jedno małe słówko: tak — a uszczęśliwisz Stefana i... nas oboje... No, powiedz... no....

Mówiąc to panna Solska tuliła się do Madzi.

— Powiedz: tak... powiedz...

Madzi żal się jej zrobiło.

— Zastanów się, Adzius, czy mogę myśleć o czymś podobnym? — odparła. — Mnie serce pęka na myśl o biedaku, który... gdzieś tam... leży samotny w gorączce, może... bez nadziei, a ty mi każesz... Powiedz, gdybyś na serio stawiała mi podobne żądanie, czy nie byłoby to okrucieństwem?... Ja już i tak jestem nieszczęśliwa...

— Masz słusność — odparła Ada poważnie. — Dziś mówić o tym byłoby egoizmem z mojej strony... Ale kiedyś... mam w Bogu nadzieję...

Madzia milcząc siedziała ze spuszczonej oczyma.

— Cóż robisz, powiedz mi?... — rzekła nagle panna Solska, ażeby zmienić temat rozmowy.

— Czekam na listy od brata... na telegram, którym mnie wezwie. A tymczasem chodzę do szarytek.

— Po co? — zapytała zdziwiona Ada.

— Siedzę u nich w ogródku, ażeby trochę odpocząć na świeżym powietrzu, i czytam Tomasza a Kempisa.

— A nie mogłabyś to przychodzić do naszego ogrodu?... — spytała Ada, lecz pomiarkowawszy się dodała: — Wreszcie może tamten spokojny kącik i bliskość zakonnicy korzystniej wpływają na ciebie, biedaczko... O, ja wiem, co znaczy niepewność!...

Pożegnały się serdecznie. Madzia tego dnia nie poszła do szarytek, lecz napisała długi list do Iksinowa do majora. Opowiedziała mu o chorobie Zdzisława i prosiła, ażeby w sekrecie przed rodzicami wyrobił jej paszport.

Od tej pory znowu zaczęło się dla Madzi szczególne życie. Dobrze sypiała, niewiele jadła i całe dni przepędzała w ogrodzie szarytek czytając albo żywoty świętych, albo Tomasza a Kempisa.

Gdyby spytano, ile czasu upłynęło jej w ten sposób, nie umiałaby odpowiedzieć. Zdawało jej się, że powolnym ruchem spada w jakąś błękitną otchłań obojętności dla spraw ziemskich. Z każdą chwilą otaczający ją świat tracił rzeczywistość, która natomiast wynurzała się z nieznannej głębin. Było z nią jak z człowiekiem, który w chwili wyraźnego snu mówi: a jednak to tylko sen; ci ludzie są przywidzeniem i ja sam jestem kimś innym...

Niekiedy trafiały się jej przebudzenia. To przyszedł list, w którym Zdzisław donosił, że jest zdrow i zabawi kilka tygodni w Wiedniu dla obejrzenia miasta. To znalazła w swoim pokoju bilet wizytowy pana Stefana Zgierskiego, a innym razem pani Heleny z Norskich Korkowiczowej. To znowu jakaś znajoma w demonstracyjny sposób nie przywitała się z nią na ulicy; ale czy to była panna Żaneta, naręczona pana Fajkowskiego, czy Mania Lewińska?... Madzia nie zauważyła.

Jednego dnia pani Burakowska z miną zakłopotaną przypomniała Madzi, że kasjerka składu materiałów aptecznych wraca do swego pokoju i że Madzia musi pomyśleć o mieszkaniu dla siebie.

— Niech mnie pani przeprowadzi do pokoju obok kuchni, który jest wolny... Przecie to tylko na parę dni. Za parę dni brat mnie wezwie i wyjadę.

— Tak... ale i ten pokój... Zgłaszają się kandydatki... — mówiła pani Burakowska. A potem dodała:

— Na parę dni może pani przeprowadzić się do hotelu.

Madzia wstrząsnęła się: w słowach tych uczuła prawie obelgę. Spojrzała na gospodynię i chciała zapytać: co to znaczy?...

Lecz w tej chwili znowu ogarnął ją apatyczny spokój i znowu zaczęła pogrążyć się w ową otchłań, w której rzeczy ziemskie rozpuszczały się jak lodowate góry w słońcu.

Nie odpowiedziała nic pani Burakowskiej i poszła do szarytek. Zdawało się jej, że na tym świecie nie ma ważniejszych zajęć, jak czytać świątobliwe książki, pomagać sierotom przy szyciu bielizny albo śpiewać z nimi nabożne pieśni.

Nazajutrz w czasie obiadu pani Burakowska oddała jej list z Iksinowa. Madzia na adresie poznała rękę matki.

„Winszuję ci — pisała doktorowa — skutków samodzielności. Całe miasto mówi, że straciłaś miejsce u panny Malinowskiej przez złe prowadzenie, że spacerujesz z kawalerami, a nawet — że bywasz w hotelach. Nie rozumiem źródła tych haniebnych pogłosek, ale z miny ojca widzę, że i on coś słyszał, bo od kilku dni wygląda jak z krzyża zdjęty.

Ile w tym wszystkim prawdy, nie pytam się ciebie; zbierasz plon waszej nikczemnej emancypacji i lekceważenia rodzicielskich przestróg. Nie gniewam się, nie upominam cię ani rad nie udzielam. Ale przypominam, że nosisz nazwisko, które należy do Zofii i do Zdzisława Brzeskich, i jeżeli myślisz dalej w taki sposób pracować samodzielnie, to przynajmniej weź sobie pseudonim, jak zrobiła twoja zmarła przyjaciółka Stella”.

Madzia zbladła i nie skończywszy obiadu wyszła do swego pokoiku. Zapłakała cicho, poleżała na łóżku — i w godzinę później była w ogrodzie szarytek z Tomaszem a Kempis w ręku.

„Nie jest prawdziwie cierpliwym — czytała — kto nie chce cierpieć, tylko ile mu się zdaje i od kogo mu się podoba. Prawdziwie cierpliwy nie uważa, jaki człowiek go trapi... Lecz zarówno od wszelkiego stworzenia, ilekolwiek i kiedykolwiek mu się co przeciwnego zdarzy, wszystko z ręki Boskiej wdzięcznie przyjmuje i za niezmierny zysk poczyta. Bo nic, jakkolwiek byłoby drobnym, byle dla Boga zniesionym, bez zasługi przed Bogiem przejść nie może...”.

„Nie trap się, córko — mówiła w innym miejscu książka — jeśli niektórzy źle o tobie myślą i mówią, czego byś nierada słyszeć. Ty gorzej jeszcze o sobie myśleć powinnaś i wierzyć, że nikt nie jest słabszym od ciebie... Nie w uściech ludzi pokój twój zakładaj: czyli bowiem o tobie dobrze, czy źle sądzić będą, ty przez to nie staniesz się innym człowiekiem. Gdzież jest prawdziwy spokój i prawdziwa chwała? Czyliż nie we mnie?”.

„A jednak ten surowy list — myślała Madzia — pochodzi od matki, która odtrąca mnie w imieniu rodziny. I za co?...”.

Uczuła ból w sercu i zaczęła przeglądać inny rozdział.

„Trzeba pominąć wszelkie stworzenia — radził duch — siebie samego zupełnie opuścić i wzniesić się myślą aż do owego stanowiska, z którego widzieć się daje, że nie ma nic między stworzeniami, co by Tobie, Stworzycielu wszechrzeczy, było podobne... Co tylko Bogiem nie jest, niczym jest i za nic poczytane być powinno”.

Odpoczęła i wyszukała rozdział: *O pragnieniu życia wiekuistego*.

„Córko! Kiedy poczuwasz w sobie wlaną z góry żądzę wiekuistej szczęśliwości i z więzów ciała wyjść pragniesz, abys mogła oglądać niczym nie przyćmioną światłość moją, rozszerz serce twoje i w radosnej wdzięczności przyjm to święte natchnienie...

Musisz jeszcze być doświadczoną na ziemi i przez wiele utrapień przechodzić. Wieść się będzie, co się podoba innym: nie uda się, co się podoba tobie. Słuchanym będzie, co inni mówią, a co ty mówisz, poczytywanym za nic. Inni prosić będą i otrzymają; ty prosić będziesz i nic nie wskórasz. Słysząc inni będą w uściech ludzi, o tobie nikt ani wspomni...

Lecz zważaj, córko! owoc tych dolegliwości, prędki ich koniec i nader wielką nagrodę: a zamiast twardego ciężaru uczujesz cierpliwość twoją najsilniej pokrzepioną. Bo za tę marną wolę, której teraz dobrowolnie odstępujesz, w niebie na zawsze wolę twoją mieć będziesz... Tam oddam chwałę za poniesione obelgi, radość za smutek, a na miejsce poniżenia królewskie na wieki siedlisko...”.

Kiedy mrok zapadł i Madzia zamknęła książkę, dziwiła się, że taką przykrość sprawił jej list matki. Czyliż nie zapowiedziano, że przez wiele utrapień musi przechodzić?... A czy cierpienia nie tracą wartości, jeżeli nie potrafi przenosić ich z rezygnacją?

Przeszło znowu kilka dni, w ciągu których nie odbierała listów od brata.

„Zapewne nie chce mu się pisać — myślała. — A może jest w drodze?... A może chce zrobić mi niespodziankę i lada godzinę przysłać telegram, ażebym przyjeżdżała?...”

Ale poza tymi przypuszczeniami w jej duszy nurtowały dwie obawy: że Zdzisław ciężiej zachorował albo... wyparł się jej jak matka...

Obaw tych Madzia nie tylko nie sformułowała, lecz nawet nie pozwoliła im uświadomić się. Ilekroć na tle jej niepokojów począł zarysowywać się frazes: „ciężiej zachorował”, Madzia szeptała *Zdrowaś Maria* albo chwyciła Tomasza a Kempis i pogrążyła się w czytaniu.

W ciągu tygodnia spowiadała się drugi raz, tym razem w kaplicy szarytek; otoczyła się pobożnymi książkami i całe dni myślała o Bogu, ostatniej nadziei cierpiących. Dusza jej coraz głębiej zatapiała się w niebie; w pamięci coraz dokładniej zacierały się stosunki ziemskie.

„Co tylko Bogiem nie jest, niczym nie jest i za nic poczytane być powinno” — potwarzała coraz częściej, wśród coraz gwałtowniejszych uniesień.

Nareszcie jednego południa bryftrygier przyniósł jej od razu dwie karty korespondencyjne z Wiednia. W obu Zdzisław donosił, że zajęty jest zwiedzaniem pięknych okolic tamtejszych i że jeszcze nie zwoływał konsylium lekarzy.

„Jak on nie dba o siebie...” — pomyślała Madzia z goryczą.

Nagle wzrok jej padł na datę jednej z kart: był piąty września, a na drugiej trzeci.

„Trzeci jest dzisiaj — rzekła — a piąty pojutrze... Dlaczego on pisał daty wcześniej-sze?... Czy jest tak chory, że traci pamięć, czy... już go tak znudziły listy do mnie?...”

Nie jadła obiadu, tylko mówiąc pacierz pobiegła do szarytek. Trochę popracowała w szwalni z sierotami, a potem wyszła do ogrodu ze swoją ukochaną książką.

„Kiedy człowiek dojdzie do tego — czytała — iż u żadnego stworzenia nie szuka pociechy, wtedy dopiero w Bogu doskonale smakować zaczyna. Wtedy spokojnym będzie, jakkolwiek się rzeczy obróca.

Wtedy ani się pomyślnością zbyt uraduje, ani lada przeciwnością stroska. Lecz odda się całkowicie i z ufnością Bogu, który dla niego wszędzie jest wszystkim: dla którego w istocie nic nie ginie ani umiera, ale wszystko dla Niego żyje i służy na każde Jego skinienie...”

— To samo mówił Dębicki — rzekła. To przypomnienie napełniło ją radością tym żywszą, gdy przerzucając kartki znalazła jakby prorocstwo dla siebie:

„Przyjdzie pokój w dniu jednym, który jest Bogu wiadomy. A dzień ten będzie nie jak w doczesnym życiu przeplatany nocą, lecz będzie to światłość wiekuista, jasność nieskończona, pokój trwały i spoczynek bezpieczny...”

„Słowo w słowo to mówił Dębicki...”

Niepokój jej odleciał, kiedy czytała półgłosem, rozmarzona, pełna zachwyty:

„Wielką rzeczą jest miłość i wielkim ze wszech miar dobrem, która jedynie lekkim czyni wszystko, co jest trudne... Miłość ciężaru nie czuje, o trudy nie dba, porywa się nad siły, nie pyta o niepodobieństwo, bo wszystko mniema dla siebie podobnym i dozwolonym...

Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie utrudza się, wśród pętów nie jest spętana; wśród trwogi nie miesza się, lecz jak żywy płomień w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi”.

Madzia zdawało się, że widzi otwarte niebo i słyszy nieśmiertelne chóry zawodzące pieśń triumfu:

„Nad wszystko i we wszystkim spoczniesz, duszo moja, w Panu, bo On jest wiekui-  
stym spoczynkiem świętych.

Nad wszelkie dary i łaski, które wlać i udzielić możesz; nad wszelką radość i uniesienie, jaką myśl uczuć i pojąć zdoła.

Nad aniołów i archaniołów i nad wszystkie niebios zastępy; nad wszystko widome i nad wszystko, czym nie jesteś Ty, o Boże mój!...”

W tej chwili ktoś dotknął jej ramienia. Madzia odwróciła głowę i zobaczyła młodą szarytkę.

— Co siostra każe? — zapytała z uśmiechem.

— Matka Apolonia prosi panią do parlatorium.

Madzia poszła za siostrą, odurzona, pełna niebiańskich widzeń. Nagle oprzytomniała: w parlatorium, obok matki Apolonii, stał Dębicki. Jego policzki były jakby obwisłe i miały ziemistą barwę.

Madzia spojrzała na niego, na staruszkę zakonnice i parę razy potarła czoło. A gdy Dębicki drżącą ręką powoli zaczął wydobywać jakiś papier z kieszeni, Madzia powstrzymała go i rzekła:

— Wiem, Zdzisław nie żyje.

#### 41. NA JAKIE BRZEGI NIEKIEDY WYRZUCAJĄ FALE ŚWIATA?

W połowie września, około siódmej wieczór, od tłumy przechodniów, którzy mijali pałac Solskich, oderwał się niewysoki jegomość w szarym paltocie i skręcił na dziedziniec.

Przy żelaznej bramie nie było nikogo; z budki stróża, gdzie płonęło czerwone światło, dolatywały fałszywe dźwięki skrzypców. Na pustym dziedzińcu wędły suchotnicze drzewka i biegało kilkoro dzieci bawiących się ciskaniem bengalskich zapalek. Zresztą była cisza.

Jegomość w szarym paltocie spojrzął na korpus pałacu ostro rysujący się na złotych blaskach zorzy wieczornej, potem — na lewe skrzydło, nad którym już lśniła Wega. Zajrzał w okna biblioteki, gdzie panowała ciemność, powoli zbliżył się do drzwi frontowych i znikł pod kolumnami.

Drzwi były otwarte, a po marmurowej posadzce sieni przechadzała się cisza i pustka. Jegomość równym krokiem wszedł na pierwsze piętro, wyjął z kieszeni klucz i otworzył pokoje należące do pana tego domu.

Wszędzie mrok, cisza i pustka.

Gość nie zdejmując kapelusza minął kilka salonów, gdzie, jakby w oczekiwaniu na powrót gospodarza, zdjęto pokrowce z mebli. Potem wszedł do pokojów Ady Solskiej, równie cichych, mrocznych i pustych; nareszcie skręcił do mieszkania, które niegdyś zajmowała Madzia.

Uczuł świeży powiew i spostrzegł, że balkon jest otwarty. Zatrzymał się we drzwiach i patrzył na ogród, którego drzewa brunatniały i żółkły; na złoty zachód i na Węgę, brylant płonący wśród nieba.

Wieczór był pogodny i ciepły niby pocałunek odchodzącego lata; ale nad roślinnością unosił się melancholijny czar jesieni, której nieujęta mgła przenika ludzką istotę i skrapla się w duszy jak łza bezprzyczynowego żalu.

Gość oparł się na poręczu balkonu; widać wpatrywał się w niedostrzegalne kształty nocy i wsłuchiwał się w niemą melodię jesieni, bo ciężko westchnął.

W tej chwili w altance stojącej prawie pod balkonem odezwał się gruby głos:

— Tak mnie bolą nagniotki... Założyłbym się, że jutro będzie ślota.

— Więc włóż, aniołku, pantofle — odezwał się głos niewieści.

„Aha — pomyślał gość — pan Mydełko obchodzi w tej altance miodowy miesiąc...”

— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli — odparł bas.

— Ja ci znajdę, duszko...

— Trzeba jeszcze ściągać buty!... — mruknął bas.

— Ależ ja ci zdejmę... Przecieżes ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój kotecek...

„Oho!... — rzekł gość do siebie. — Eks-panna Howard mocno awanturuje się...

I dziwić się teraz, że Ada robi głupstwa!...”

Cicho opuścił balkon i usiadł na fotelu. Położył kapelusze na komodzie, oparł głowę o poręcz i dumał, dumał...

Nagle zdało mu się, że słyszy szelest kobiecej sukni. Chciał się zerwać... To zeschły liść z balkonu wsunął się do pokoju.

„Ach — szepnął — co ja zrobiłem... co ja zrobiłem!...”

Teraz naprawdę z dalszych apartamentów doleciał odgłos stąpań i rozmowa.

Gość przeszedł do mieszkania Ady i przez otwarte drzwi zobaczył w salonie dwóch ludzi: jeden był niski i pękaty, drugi, odziany w liberię, trzymał w ręku kandelabr z zapalonymi świecami.

— No, niech pan patrzy, gdzie jest? Przecie pan hrabia nie szpilka!... — gniewał się ten z kandelabrem.

— A ja ci mówię, że hrabia przyjechał i najwyżej kwadrans temu wszedł do siebie. Ładnie pilnujecie pałacu!... — odpowiedział pękaty.

Jegomość w szarym paltocie wszedł do sali, a pękaty pan zawołał:

— O, widzisz, gapiu!... Najniższa służa pana hrabiego — dodał kłaniając się.

Lokaj osłupiał zobaczywszy w salonie obcego człowieka, a o mało nie rzucił na ziemię kandelabru, gdy przekonał się, że tym obcym jest jego pan.

— Zanieś światło do gabinetu — rzekł Solski do lokaja. — Proszę, panie Zgierski... cóż nowego?

Lokaj zdjął palto z Solskiego, zapalił w gabinecie cztery gazowe lampy i — wyszedł, blady z trwogi. Wówczas pan Zgierski zaczął zniżonym głosem:

— Ważne wiadomości. Nasi współzawodnicy już blokują pana Kazimierza Norskiego licząc, że za jego pośrednictwem uda im się zdobyć część akcji naszej cukrowni.

— Wątpię — odparł niedbale Solski rzucając się na fotel przed biurkiem. — Mój przyszyły szwagier za wiele ma rozumu, ażeby pozbywał się takich papierów.

Gdyby piorun ześliznął się po okrągłych kształtach pana Zgierskiego, nie dziwiłby go więcej aniżeli taka odpowiedź. Solski nazywa pana Kazimierza swoim szwagrem?... Koniec świata!...

Była chwila ciszy. Lecz że pan Zgierski dławił się milczeniem, więc zaczął tym razem z innego tonu:

— Ale co za fatalny wypadek... Biedny doktor Kotowski do dziś dnia nie może strawić swojego strzału... Schudł, zmizerniał...

— Tak — odpowiedział Solski — powinien był mierzyć w lewy bok i trochę niżej. No, ale trudno.

Pan Zgierski aż oparł się o biurko i naprawdę oniemiał.

— Cóż — odezwał się Solski — panna Brzeska wciąż jest u szarytek?

— Gorzej!... — pochwycił pan Zgierski. — Wczoraj przyjechał jej ojciec ze starym majorem (pamięta pan hrabia?...) — i pozwolił panie Magdalenie zostać szarytką. Panna Ada, pan Norski, pani Helena Korkowiczowa, słowem — wszyscy jesteście zrozpaczeni. Ale co robić?...

— Cóż ostatecznie skłoniło pannę Brzeską?... — spytał Solski opierając się na rękę w taki sposób, ażeby przysłonić twarz.

— Ostatnią kroplą goryczy była śmierć brata, o czym miałem zaszczyt pisać hrabiemu... Ale właściwy grunt przygotowały plotki... oszczerstwo, które nie cofa się nawet wobec świętych istot... Przez parę miesięcy Warszawa po prostu wyla... A za co?... Że ten prawdziwy anioł w ludzkim ciele odwiedził konającą, chciał pomóc sierocie i pielęgnował chorego brata!...

Wszystkie niegdyś przyjaciółki (z wyjątkiem drugiego anioła: panny Ady) opuściły nieszczęśliwą... ba! nawet dały jej odczuć swoje niezadowolenie. No, a był i taki dzień, że panna Magdalena mogła znaleźć się na bruku, gdyż gospodyni, od której wynajęła lokal, kazała rzeczy jej wynieść na korytarz...

— Tak!... — odparł Solski. — Zdaje mi się jednak, że i pan do tego ogródka cisnął parę kamyków...

— Ja?... — krzyknął Zgierski uderzając się w piersi. — Ja?... Czy dlatego, że uważałem za obowiązek komunikować hrabiemu wszystko, co doszło do mojej wiadomości?... Musi przecie hrabia przyznać, że zawsze byłem ścisły i nigdy nie splamiłem się kłamstwem...

— No tak... Ja też nie stawiam zarzutów... Zresztą wypadek ten nie wpłynie na nasze stosunki... Owszem, pan będzie miał teraz osiemset rubli pensji...

— A więc hrabia nie gniewa się na mnie!... — zawołał dramatycznym głosem pan Zgierski. — Hrabia nie stracił dla mnie szacunku?...

— Nigdy go nie miałem — mruknął Solski, ale tak cicho, że pan Zgierski mógł nie usłyszeć.

I z pewnością nie słyszał. Z całą bowiem swobodą i elegancją zaczął rozmowę o kwestii cukrowniczej, a w kilka minut jak najczulej pożegnał Solskiego.

Tymczasem służba ustroiwszy się w liberię oświetliła salony; w kuchni zapłonął ogień, z kredensu wydobyto porcelanę i srebra. Po ósmej przed główne drzwi zajechała karetka, a w chwilę później do pokoju Solskiego weszła jego siostra, Ada.

Ciemny strój potęgował bladość jej twarzy; ale w drobnej postaci malowała się energia, a w skośnych oczach migotały iskry.

Solski powstał od biurka i serdecznie ucałował siostrę.

— Jakże się miewasz? — spytał tonem niezwykle łagodnym.

Zdumiona Ada cofnęła się i znowu przybierając postawę obronną zapytała:

— Czy odebrałeś mój list w końcu sierpnia?

Solski patrzył na nią z uśmiechem.

— Chcesz powiedzieć — czy wiem, że zaręczyłaś się z Norskim?... Ależ wiem i nie tylko od ciebie.

— I cóż ty na to?...

— Proszę Boga, ażeby was błogosławił; a swoją drogą radzę ci zrobić przed ślubem intercyzę. Nawet będę ci służył w tej sprawie, jeżeli zażadasz.

W tej chwili Ada upadła na kolana, objęła brata za nogi i całując je szeptała z płaczem:

— Ty mój bracie jedyny... mój ojczec... moja matko... Ach, jak ja ciebie Kocham!...

Solski podniósł ją, zaprowadził na kanapę, otarł łzy i tuląc ją odparł:

— Czy naprawdę myślałaś, że byłbym zdolny przeszkadzać ci do szczęścia?

— I ty to mówisz, Stefku, ty?... Więc on może prosić cię o moją rękę?...

— Naturalnie. Jestem przecież twoim opiekunem.

Ada jeszcze raz chciała upaść bratu do nóg, lecz nie pozwolił. Zdjął z niej kapelusz, okrywkę i stopniowo uspokoił, tak iż odzyskała dobry humor.

— Boże!... — mówiła — jak ja już dawno nie śmiałam się...

Na herbatę do gabinetu Ady przywłókł się Dębicki. Gdy służba odeszła i zostali tylko we troje, Solski, widocznie wzruszony, zapytał:

— Cóż z panną Magdaleną, profesorze?...

— Ano... nic. Wstępuje do szarytek. Ojciec pozwolił; dziś pisali jakieś podania...

Solskiemu twarz pociemniała.

— On zawsze spokojny... — wtrąciła Ada.

Dębicki podniósł na nich łagodne oczy.

— Dlaczego miałbym mówić inaczej?... — odpowiedział. — Przecież i jej należy się, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej spokój...

A po chwili milczenia dodał:

— Chorzy, kalecy, zwierzęta, nawet przestępcy znajdują przytułek i odpowiednie warunki bytu. Z jakiejże racji dusza wyjątkowo szlachetna ma być pozbawiona tych praw?...

— Jak to? — wybuchnął Solski — więc sądzisz pan, że habit...

— Pozwoli jej opiekować się sierotami, doglądać chorych, pomagać nieszczęśliwym bez narażenia się na obelgi i krzywdy... — odpowiedział Dębicki. — Ona zawsze czuła do tego pociąg, no i dziś znalazła pole.

Solski wzruszył ramionami i zaczął bębnić w stół; wreszcie rzekł:

— Ale, ale... Wiesz, Ada, kogo spotkałem w Wiedniu?... Ludwika Krukowskiego i jego siostrę. Wystawowa para dziwaków!... Otóż oni mieszkali w Iksinowie, znali Brzeskich, a nawet Ludwik starał się o pannę Magdalenę i dostał kosza...

Pomimo to nie masz pojęcia, z jaką czcią mówili o całej rodzinie, a w szczególności o pannie Magdalenie. W tej kobiecie jest naprawdę coś nadludzkiego... A jednak rzucano na nią najpodlejsze oszczerstwa właśnie z czasów pobytu w Iksinowie. Mówiono, że romansowała z jakimś starym majorem, który zapisał jej majątek...

— Ten major jest w Warszawie — wtrącił Dębicki.

— A co najgorsze, powiedziano że przez pannę Magdalenę zabił się jakiś urzędnik pocztowy...

— Wszystko nikczemny fałsz!... — mówił Solski uderzając pięścią w stół. — Zabił się urzędnik, ale przez tę pannę, która swoją winę bezczelnie zwała na Madzię... Krukowski opowiedział mi to ze szczegółami...

— Tobie tę plotkę podszeptano w Warszawie? — spytała Ada.

— Rozumie się... Dlatego wyjechałem za granicę.

— Dlaczegożes mnie nie zapytał?

— Ach, czy ja wiem... Byłem na pół obłąkany... Prawda, że reflektowałem mnie profesor, tłumaczył zachowanie się panny Magdaleny względem nas... Już zacząłem uspakajać się, gdy spadła plotka o tym urzędniku i o zapisie majora...

I pomyśleć, że to ja razem z bezimienną ciżbą lotrów popchnąłem ją do klasztoru!...

Solski zerwał się rozgorączkowany i chodząc mówił:

— Dziecinny projekt — zamykać się u szarytek! Żyjąc wśród ludzi ona więcej dobrego może zrobić aniżeli tam... Profesor ma obowiązek wytłumaczyć jej... Przecież te same ochrony, szpitale i czy ja już wiem co, panna Magdalena może mieć u siebie, a wpływ — bez porównania większy. To... to jest zbiegostwo — wołał zmienionym głosem — to zdrada społeczeństwa!... Świat ma zanadto kobiet, które myślą o zabawach, strojach, kokieterii... ale takich jak ona brak mu i dlatego jest źle...

— Stefan ma rację... — wtrąciła Ada, surowo patrząc na Dębickiego.

— Robiłem, com mógł — odpowiedział profesor — przytaczałem rozmaite argumenta, ale... Argument przekonywa myśl spokojną, ale nie uleczy zranionego uczucia.

— Więc powiedz jej, że zakopując się w tym grobie żywych, zdradza... Nie, to jeszcze za słabe... ona — okrada ludzkość!... Niech sobie przypomni, jeżeli jest tak pobożna — ciągnął rozdrażniony Solski — przypowieść o zakopanych talentach... Bóg nie na to daje ludziom wielkie zalety, ażeby uciekali na pustynię... To jest gorsze aniżeli nienawiść; to jest pycha i pogarda dla człowieczeństwa...

Profesor kiwał głową.

— Mój kochany, masz rację — rzekł. — Mniej więcej to samo mówiłem nie tylko ja, ale przede wszystkim ów stary major, który wścieka się na pannę Magdalenę nie gorzej od ciebie. I wiesz, co odpowiedziała?

„Zlitujcie się, nie ciągnijcie mnie tam, skąd uciekłam; gdzie straciłam spokój i wiarę, a mogłam stracić rozum. Mnie tu jest dobrze, a tam było strasznie”.

Oto są słowa panny Brzeskiej.

— Jest biedactwo ogromnie rozdrażniona; sama to uważałam — wtrąciła Ada.

— Zapewne — rzekł Dębicki.

— Ale rozdrażnienia przechodzą — dodał Solski.

— Może i to przejdzie — odparł Dębicki.

— Ach, jesteś profesor nieznośny ze swoim spokojem!... — zawołał Solski.

— I ty byłbyś spokojniejszy, gdybyś w tym wypadku zamiast zdrady, zbiegostwa czy rozdrażnionych nerwów widział tylko — prawo natury.

— Co znowu, co?... — zawołał Solski zatrzymując się przed swoim nauczycielem.

Dębicki patrzył na niego i zapytał:

— Czy wiesz o tym, że panna Magdalena jest naprawdę istotą wyjątkową?

— Sam tak zawsze mówiłem... To geniusz uczucia w kobiecej postaci... Ani śladu egoizmu, tylko jakieś utożsamienie się czy rozplynienie w cudzych sercach... Ona zawsze czuła za wszystko i wszystkich, prawie zapominając o sobie.

— Doskonałego wyrazu użyłeś: geniusz uczucia — prawil Dębicki. — Tak... Są geniusze woli, którzy mają wielkie cele i umieją robić odpowiednie plany, choć nie zawsze dopisują im środki. Są geniusze myśli, których wzrok ogarnia bardzo szeroki horyzont i trafia w rdzeń każdej kwestii, lecz — znowu ci nie zawsze znajdują słuchaczy. I są geniusze uczucia, którzy, jak dobrze powiedziałaś, czują za wszystko i wszystkich, lecz sami — u nikogo nie znajdują oddźwięku.

Otóż widzisz: wspólną cechą nadzwyczajnych jednostek jest — brak proporcji między nimi a ogółem, który składa się z ludzi miernych. My doskonale umiemy oceniać — na przykład — piękność, majątek, powodzenie; ale stanowczo brak nam zmysłu do taksowania wielkich celów, szerokich rzutów oka albo serc anielskich...

— Paradoksy!... — wtrącił Solski.

— Bynajmniej, to są codzienne fakta. Spójrzaj dokoła: kto odgrywa głośne role, zdobywa majątki i cieszy się powodzeniem? W dziewięćdziesięciu na sto wypadków nie nadzwyczajna zdolność, ale trochę wydatniejsza mierność. I to jest naturalne: nawet ślepy oceni przedmiot wyższy od niego o pół łokcia; ale w żaden sposób nie oceni góry, choćbyś go na jej szczyt zaprowadził.

— Zdaje mi się, że pan jest niesprawiedliwy — odezwała się Ada.

— Więc niech pani weźmie historię. My, którzy czytamy już skomentowane dzieła geniuszów albo korzystamy z ich prac, jesteśmy przekonani, że nic łatwiejszego, jak poznać się na geniuszu. Tymczasem, który był z nich od razu poznany?... Filantropów męczono lub wysmiewano; wynalazców nazywano wariatami, a reformatorów heretykami. Można głowę postawić o zakład, że z dwu ludzi stających do jakiegoś wyścigu w dziedzinie ducha — mierność od razu zdobędzie podziw i oklaski, a geniusz — przede wszystkim zaniepokoi widzów. I dopiero następujące pokolenia dostrzegają, że jeden prześlizgnie się po wyszlifowanych gościńcach, a drugi — stwarzał nowe światy. Znałem matematyka, którego formuły sięgają nieledwie do początków stworzenia, i — nie mógł dostać wyższej posady nad tysiąc rubli, podczas gdy jego koledzy buchalterowie mieli po kilka tysięcy. Ukazywano mi przyrodnika, który robił odkrycia w nowej dziedzinie zjawisk, a któremu zarzucali antagoniści, że nie wie — ile pies ma zębów i jakie?

Nareszcie z tej garstki dam, na które patrzyliśmy wszyscy: piękna panna Norska zdobyła majątek, postrzelona panna Howard dostała męża, Bogu ducha winna Lewińska będzie miała męża i dobrobyt, a wszystkie trzy — wielki szacunek u świata. Tylko panna Brzeska, wychłostana plotkami, musi aż do szarytek uciekać przed potwarzą. Biada orłom w menażerii, szczęśliwe gęsi w kojcu!

— Wiem, co zrobię... — rzekł nagle Solski i strzelił z palców.

— Ach, jak to dobrze! — zawołała Ada, pełna wiary w praktyczność brata.

— Gdzie mieszka doktor Brzeski?... — zapytał Stefan. — Pójdziemy tam jutro i profesor zapozna mnie z nim.

— Oni mieszkają na Dziekance, bo to, według majora, najporządniejszy hotel w Warszawie — odparł Dębicki. — Jeżeli jednak masz jakieś plany, to nie rachuj na pomoc Brzeskiego, tylko na majora. To dzielny starzec, a przy tym znał twego dziadka.

— Doprawdy?

Na tym skończono rozmowę i wszyscy rozeszli się. Ale w mieszkaniu Stefana świeciło się do trzeciej rano.

Nazajutrz około południa Solski w towarzystwie profesora zapukał do drzwi numeru na Dziekance. Otworzył im siwy starzec z najeżonymi wąsami i faworytami, trzymający ogromną fajkę w zębach.

W głębi pokoju, pod oknem, siedział ktoś drugi, który na widok gości nie podniósł głowy.

Starzec z fajką spostrzegłszy Stefana przyslonił oczy ręką jak daszkiem, przypatrzył się i zawołał:

— He?... a kto to? Czy nie Solski?...

— Solski — odparł pan Stefan.

— Słowo stało się ciałem!... — krzyczał popędliwy starzec. — Przecie ten chłopak wygląda, jakby odziedziczył skórę po swoim dziadku... Chodź — ino tu...

Obejrzał go, pocałował w czoło i prawil:

— Wiesz ty, że twój dziad, Stefan, komenderował naszą brygadą?... Aaa... co to był za żołnierz!... W ogień i wodę poleciałby za sztandarem i — za spódnicą... Jeżeli i ty wdałeś się w niego, no to niech was nie znam!...

Profesor przedstawił pana Stefana doktorowi Brzeskiemu, który siedział na krześle zgięty i nieruchomy.

— Toś pan chyba wczoraj wrócił z zagranicy? — zapytał doktor. — Straciłem tam syna...

— O, tylko już daj pokój z synem!... — zawołał major. — Gdybyś się o niego nie starał, nie byłbyś stracił.

— Łatwo ci żartować, bo nie masz dzieci... — westchnął doktor.

— Jak to?... Co to?... — wybuchnął major. — Owszem, tym więcej cierpię, że nie tylko nie wiem, który mi umarł, ale nawet nie wiem, jak mu było na imię. Syn... syn... syn!... I my umrzemy, choć także jesteśmy synami. Nie spadliśmy jak żaby z deszczem...

— Miał dwadzieścia siedem lat — mówił jednostajnym głosem doktor — pracował na siebie, ba!... na nas, i umarł... Nic nie wiemy, co się z nim dzieje, czekamy listu z Moskwy, a tu przychodzi telegram z Wiednia... Taka dziwna śmierć...

— Szczególniej dla ciebie dziwna! — wtrącił major. — Małoś to ludzi wyprawił na tamten świat?



Solski spojrzął na majora z wymówką; starzec spostrzegł to i odparł:

— Gorszysz się?... Mój kochany, gdybym ja mu nie lał pomyj na łeb, to jutro leliby mu zimną wodę. Po co on ma siedzieć jak sowa w dziupli i dumać?... Niech klnie, niech płacze, niech się modli, to i ja będę mu pomagał!... Ale za te dumania będę drwił i sobaczył, aż mu krew popłynie oczyma.

Rzeczywiście doktor podniósł głowę i spojrzął na swoich gości mniej apatycznym wzrokiem.

— A jeszcze w dodatku — rzekł — córka wstępuje do szarytek. Straszna rzecz, jak nieszczęście nigdy samo nie chodzi.

— W tej właśnie sprawie przyszliśmy... — wtrącił Dębicki.

Solski podniósł się z krzesła.

— Panie doktorze — zaczął — sędzę, że nazwisko moje nie jest panu obcym...

— A tak... Byliście oboje z siostrą przyjaciółmi Madzi. Wiem, wiem...

Uściskał Solskiego, który pocałowałszy go w ramię rzekł wzruszony:

— Panie, mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki Magdaleny...

— Albo ona już moja!... — odparł doktor.

— Tere fere!... — zawołał major. I całując drugi raz w głowę Solskiego, mówił:

— Owszem, oddajemy ci Madzię, tylko odbierz ją zakonnicom... Powiadam ci, Solski — prawil starzec wytrząsając mu ręką pod nosem — jeżeli ona zrobi na tobie dobry interes, boś słyszysz magnat, to ty na niej zrobisz tysiąc razy lepszy. Niech mnie diabli porwą, jak tu stoję, że miłszej i szlachetniejszej dziewczyny nie znajdziesz na całym świecie...

Aż ochryplł stary, tak wrzeszczał.

— Właśnie — zaczął Dębicki — chcieliśmy się naradzić nad sposobami wydobycia panny Magdaleny...

— Dajcież spokój — odezwał się doktor — przecież jej tam nie więżą...

— Co tu radzić?... — przerwał major. — Ty, mój Solski, nie radź się ojca ani tego drugiego niedołęgi — profesora. Tylko jeżeli płynie w tobie krew dziada, wyjdź na podwórze, gdzie dają jeść kaczkom, i przypatrz się kaczorowi.

Co robi zakochany kaczor?... Myślisz, że wzdycha albo naradza się z kim?... Gdzie tam... On naprzód zjada swoją porcję i porcję panny, a potem — bez żadnych madrygałów — bierze ukochaną za czub i prowadzi do urzędnika stanu cywilnego. Taki był nasz dawny system, dobry system. Ale spróbuj z babą ceregieli — a nie wybrniesz z tarapatów!

Uchwalono, że jeszcze dziś pójdą do Madzi: ojciec, major i Dębicki, i oświadczą Solskiego.

— Głupie te oświadczyń! — mrucał major. — Ja, dopóki nie mówiłem nic, miałem szczęście w miłości, ale niech tylko odezwałem się z komplementem czy oświadczeniem, zaraz pokazywali mi drzwi... Czy to baby umieją gadać?... czy rozumieją ludzki język!...

Około godziny drugiej Solski pożegnał hotelowe towarzystwo, a doktor, Dębicki i major także opuścili numer i wolnym krokiem, przystając i oglądając się, ciągnęli w stronę Tamki. Major opowiadał, jak za jego czasów wyglądała Warszawa: który dom zwalono, a który przebudowano; gdzie były odwachy, a gdzie kawiarnie. Niejednokrotnie też zatrzymywali się przed sklepowymi wystawami, które gniewały majora.

— Ci kupcy — mówił — którym przez okna można cały sklep obejrzeć, wyglądają jak chorzy z wiecznie otwartym gardłem. Co ja bym miał przed lada błaznem wywracać kieszeń i prezentować mój majątek, jak gdyby mnie posądzali, że go ukradł?

Tak idąc i rozmawiając, niespełna w godzinę znaleźli się w instytucie Św. Kazimierza i poprosili matkę Apolonię do parlatorium.

Tu wystąpił major i oświadczył sędziwej zakonnicy, że Madzia już nie będzie szarytką, ponieważ prosił o jej rękę pan Stefan Solski, wnuk generała pieszej brygady.

— Zapewne, gdyby Madzia wyszła za mąż, byłoby to najlepiej, ale... niech panowie pogadają z nią samą — odpowiedziała matka Apolonia.

Posłano po Madzię. Ukazała się po upływie kilku minut, mizerna, w czarnej sukni i białym czepeczku na głowie.

Dębicki spojrzawszy na nią postanowił nie odzywać się; ale major nie stracił energii.

— Wyglądasz, moja kochana — rzekł — jak strach na wróble... Ale nie o to chodzi. Pan Solski (słuchaj z uwagą!), wnuk mego generała, prosi o twoją rękę. A my wszyscy zgadzamy się.

Madzia zarumieniała się, potem zbladła. Chwilę milczała przyciskając ręką serce, następnie odparła cicho:

— Ja nie wyjdę za mąż...

— Ależ zastanów się — przerwał major — przecież to Solski prosi o twoją rękę. Wnuk mego jene...

— Ja nie mogę wyjść za mąż.

— Trzysta tysięcy!... — krzyknął major, ostro patrząc na matkę Apolonię. — Dlaczego nie możesz wyjść za mąż?

Madzia milczała.

— Widzę — rzekł starzec siniejąc — że tej dziewczynie spętano nie tylko wolność, ale nawet język... Niechże pani będzie łaskawa, zrobi cud, ażeby nam wyjaśniła przyczynę swego postanowienia — zwrócił się do szarytki.

— Moje dziecko — rzekła matka Apolonia — powiedz panom, dlaczego nie chcesz wyjść za mąż.

Madzia spojrzała na matkę Apolonię błagalnym wzrokiem, ale staruszka miała spuszczone oczy.

— Trzeba koniecznie?... — spytała Madzia.

— Tak.

— Nie mogę wyjść za mąż... — zaczęła Madzia głosem drżącym i bezdźwięcznym — nie mogę wyjść za mąż, bo...

— Bo co? — spytał major.

— Bo należałam do innego — dokończyła Madzia.

Dębicki obejrzał się za kapeluszem, doktor podniósł smutne oczy na córkę, matka Apolonia patrzyła w ziemię... Tylko major nie stracił otuchy.

— Cóż to znaczy: należałam do innego? Powiedz, już nie ma co taić...

— Jeden pan... — zaszlochała Madzia — jeden pan całował mnie...

Zakryła twarz rękoma i odwróciła się od swoich sędziów.

— Ile razy tak było?... — spytała matka Apolonia.

— Raz, ale... bardzo długo...

— Jak długo?

— Może z pięć... może z dziesięć minut...

— Nie może być... — mruknął Dębicki. — Zbyt długo zatamowany oddech...

— Et!... głupiotka jesteś, kochanko — westchnął major. — Ażeby zaś pan Solski miał jeszcze jeden powód do zazdrości, to...

Objął Madzię i pocałował w oba policzki zalane łzami.

— Biegnij teraz na rynek — mówił — i każ otrąbić, żem cię całował... Moje dziecko, gdyby na niebie zapisywano: ile razy całujemy ładne dziewczęta, nigdy nie zobaczylibyśmy słońca... Takie zebrałyby się chmury z napisów.

— Możesz odejść, Madziu — odezwała się matka Apolonia.

Madzia zniknęła za drzwiami.

— No, dobrze — znowu zabrał głos major. — Wyprawiłaś pani dziewczynę, a tymczasem my nic nie wiemy...

— Szanuję wiek pański — odparła zakonnica — ale...

— Naprzód nie szanuj pani mego wieku, bo nie wiadomo, kto z nas starszy... Po wtóre...

— A po wtóre — przerwała stanowczo matka Apolonia — tylko jedno z nas może pozostać w tym pokoju: pan albo ja...

Major osłupiał. Wnet jednak zebrawszy myśli, rzekł do Dębickiego:

— Nie mówiłem, że byłem odezwał się przy babach — zaraz wypychają mnie za drzwi?...

Prędko wybiegł na dziedziniec i zaczął nabijać tytoniem ogromną fajkę, którą do tychczas ukrywał pod paltotem.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się zakłopotany doktor — za mego przyjaciela. Ale starzec... jak dziecko...

— Proszę pana — rzekła z uśmiechem zakonnica — widzimy gorzej chorych...  
— Z czymże wracamy? — wtrącił Dębicki, kolejno spoglądając na doktora i na szarytkę.

Matka Apolonia wzruszyła ramionami.

— Słyszeli panowie — odparła. — Myślę jednak że przede wszystkim biedne to dziecko musi się uspokoić.

— I ja tak sądzę.

— Nadto zaś — dodała zakonnica — moim zdaniem... należałoby powtórzyć panu Solskiemu dzisiejszą rozmowę...

— Zapewne... tak... — odpowiedział profesor.

Pożegnali obaj staruszkę i wyszli do majora, który zaglądał do nich przez okno.

---

O piątej nad wieczorem Solski był w parlatorium i niecierpliwie oczekiwał na matkę Apolonię.

Gdy ukazała się, powiedział, kim jest, i prosił, ażeby mu pozwolono zobaczyć pannę Brzeską.

— Przepraszam pana — odparła staruszka — ale Madzia jest tak rozstrojona, że nawet nie chciałabym zawiadamiać jej o pańskich odwiedzinach.

— Więc kiedyż?... — spytał usiłując zapanować nad sobą.

— Powiem jej o tym za kilka dni.

— Więc dopiero za kilka dni mogę się zobaczyć?

Zakonnica lekko zmarszczyła brwi; nie podobał jej się ten nacisk.

— Zobaczyć się z nią?... — powtórzyła. — To chyba nieprędko nastąpi...

— Zdaje mi się, że pani zna moje zamiary względem panny Brzeskiej?...

— Znam, panie, i szczerze pragnęłabym, ażeby się spełniły. Dlatego... niech pan przyjmie ode mnie radę...

— Słucham...

— Przede wszystkim pozwólcie jej wrócić do równowagi moralnej, której biedne dziecko zostało pozbawione. Niech uspokoi się i odzyska zdrowie...

— Kiedyż pani przypuszcza?... — zapytał z prośbą w głosie.

— Uspokoić się może za kilka miesięcy, jeżeli... nie zajdzie nic nowego...

— Pani — rzekł wyciągając rękę. — Czy sądzi pani, że mogę mieć nadzieję?... Że serce panny Magdaleny zwróci się kiedy do mnie?

Staruszka spojrzała na niego surowo.

— Tylko Bóg wie o tym — odparła.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/emancypantki-tom-ii>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Emancypantki* tom 2, il. Antoni Uniechowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Paulina Oltusek, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0728-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).